

Richard Ford KANADA

Jedna decyzja, po której życie
zmienia się na zawsze

Richard Ford
KANADA

Z języka angielskiego przełożył
Zbigniew Kościuk

 PWN

Kristinie

Kanada jest dziełem mojej wyobraźni. Postacie i wydarzenia, które zostały w niej opisane, mają fikcyjny charakter. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób jest przypadkowe i nie powinno być przedmiotem domysłów. Pozwoliłem sobie na wprowadzenie pewnych zmian do miejskiego krajobrazu Great Falls w Montanie, zmieniłem także krajobraz prerii i pewne szczegóły miast z południowo-zachodniej prowincji Saskatchewan. Na przykład w 1960 roku droga stanowa numer trzydzieści dwa nie miała utwardzonej nawierzchni, którą posiadała w czasie, gdy o niej pisałem. Wszelkie błędy i niedopatrzenia zostały zawinione przeze mnie.

R.F.

CZEŚĆ PIERWSZA

Najpierw opowiem o napadzie dokonanym przez moich rodziców, a później o zabójstwach. Napad jest ważniejszy, bo przesądził o życiu mojej siostry i moim. Gdybym nie zaczął od napadu, nic nie miałoby sensu.

Nigdy nie przyszłoby wam do głowy, że moi rodzice mogą napaść na bank. Nie byli dziwakami ani przestępcami. Nikt nie pomyślałby, że tak skończą. Wydawali się normalnymi ludźmi – choć to wrażenie prysło, gdy obrabowali bank.

Mój ojciec Bev Parsons przyszedł na świat w zwykłej wiejskiej rodzinie w okręgu Marengo w Alabamie w 1923 roku. W 1939 roku skończył szkołę średnią i marzył o wstąpieniu do amerykańskich sił powietrznych. Pojechał do Demopolis i odbył szkolenie w Randolph, niedaleko San Antonio. Chciał zostać pilotem myśliwca, ale nie miał odpowiednich predyspozycji, więc wyuczył się na bombardiera. Latał średniej wielkości bombowcami B-25 Mitchell nad Filipinami, a później nad Osaką, siejąc zniszczenie w szeregach wroga i wśród niewinnej ludności. Był wysokim, czarującym, wesołym mężczyzną mierzącym ponad metr osiemdziesiąt wzrostu (ledwie się mieścił w luku bombardiera), o kwadratowej ufniej twarzy i wystających kościach policzkowych, zmysłowych ustach oraz długich kobiecych rzęsach. Miał białe lśniące zęby i krótkie czarne włosy, z których był równie dumny jak ze swojego imienia. Bev. Kapitan Bev Parsons. Nigdy przy tym nie przyszło mu do głowy, że większość ludzi uważa imię Beverly za kobiece. Twierdził, że posiada anglosaksońskie korzenie. „To popularne imię w Anglii. Faceci noszą tam imiona Vivian, Gwen i Shirley”. Mógł tak gadać bez końca, miał otwarty umysł południowca i eleganckie maniery, które powinny były otworzyć mu drzwi do oszałamiającej kariery w siłach powietrznych. Jego ruchliwe orzechowe oczy stale wypatrywały kogoś, na kim mógłby skupić uwagę – zwykle mojej siostry bliźniaczki i mnie. Opowiadał kiepskie dowcipy w teatralnym stylu rodem z Południa, znał karciane triki i magiczne sztuczki. Potrafił oderwać kciuk, a po chwili

z powrotem umieścić go na miejscu, sprawić, żeby chusteczka zniknęła i pojawiła się ponownie. Grał na pianinie boogie-woogie, parodiował południowy akcent i aktorów serialu Amos 'n' Andy. Od latania mitchellami częściowo stracił słuch i był drażliwy na tym punkcie, choć prezentował się elegancko w „prawdziwej” wojskowej fryzurze i niebieskiej bluzie kapitana, promieniując szczerą serdecznością. Pewnie właśnie to przyciągnęło do niego moją matkę (choć trudno sobie wyobrazić dwoje gorzej dobranych ludzi), która niefortunnie zaszła w ciążę w wyniku ich pospiesznego spotkania po uroczystości wydanej na cześć żołnierzy powracających do domu. Zdarzyło się to w Fort Lewis, gdzie w marcu 1945 roku ojciec odbywał szkolenie, żeby wyuczyć się na kwatermistrza, bo nie było już potrzeby zrzucania bomb na wroga. Pobrali się, gdy tylko odkryli, że mama jest w ciąży. Jej rodzice, żydowscy imigranci z Polski, mieszkali w Tacomie i nie akceptowali tego związku. Kiedyś byli nauczycielami matematyki i znanymi muzykami amatorami, którzy dawali koncerty w Poznaniu. Z kraju uciekli w 1918 roku i dotarli do stanu Waszyngton przez Kanadę, aby zostać szkolnymi stróżami. Żydowskie pochodzenie niewiele dla nich znaczyło, podobnie później dla naszej matki – było krępującą swobodę tradycją, którą z radością porzucili w kraju, gdzie rzekomo nie było żadnych Żydów. Nigdy też nie sądzili, że ich jedyna córka poślubi uśmiechniętego, gadatliwego jedynaka pochodzącego z głębokiej prowincji ze szkocko-irlandzkiej rodziny rzeczoznawców drzewnych, i szybko wyrobili sobie na ten temat zdanie. I choć, obiektywnie biorąc, można było domniemywać, że nasi rodzice nie są dla siebie stworzeni, to ich małżeństwo tylko to potwierdziło, zmieniając życie matki na zawsze – i to wcale nie na lepsze, w co zapewne wierzyła.

Moja matka Neeva Kamper (zdrobnienie od Geneva) była drobną, poważną kobietą w okularach, o niesfornych kasztanowych włosach i delikatnym meszku sięgającym linii szczęki. Ojciec żartował, że w Alabamie, skąd pochodził, takie włosy nazywano żydowskimi lub imigracyjnymi, ale je lubił i kochał naszą matkę. Można jednak było odnieść wrażenie, że ona nigdy nie przywiązywała większej wagi do jego słów. Miała grube brwi i lśniące czoło pokryte cienką skórą, spod której prześwitywały żyłki. Błada cera osoby rzadko opuszczającej dom i małe delikatne dłonie o wypiełgnowanych błyszczących paznokciach – ze starannym manikiurem – z których była dumna i którymi gestykułowała

z roztargnieniem, powodowały, że wydawała się krucha, choć wcale taka nie była. Została obdarzona sceptycznym umysłem i uważnie słuchała, kiedy ktoś do niej mówił. Bywała też zgryźliwie dowcipna. Nosiła soczewki bez oprawki, czytała francuską poezję i często używała określeń w rodzaju cauchemar[1] lub trou du cul[2], których nie rozumieliśmy z siostrą. Pisywała wiersze brązowym atramentem, docierającym do domu pocztą, i prowadziła kronikę, której nie mogliśmy czytać. Chodziła z lekko uniesionym nosem i konsternacją na twarzy, która stała się w końcu jej drugą naturą, choć mogła nią być od samego początku. Zanim poślubiła mojego ojca, a później szybko urodziła moją siostrę i mnie, w wieku osiemnastu lat ukończyła Whitman College w Walla Walla i pracowała w księgarni, pozując na członkinię artystycznej bohemy i poetkę, mając nadzieję, że pewnego dnia otrzyma posadę wykładowcy w jakimś małym college'u i wyjdzie za kogoś zupełnie innego od mężczyzny, którego ostatecznie poślubiła – pewnie profesora wspomnianego college'u, będącego w stanie zaoferować jej życie, do jakiego rzekomo została stworzona. W 1960 roku, kiedy to wszystko się stało, miała zaledwie trzydzieści cztery lata, ale już „poważne zmarszczki” w okolicy małego, zaróżowionego na końcu nosa oraz przenikliwe, szarozielone duże oczy ze smagłymi powiekami, które nadawały jej obcy, lekko melancholijny i niezadowolony wygląd – odpowiadający temu, kim była. Miała ładną smukłą szyję i zaskakujący uśmiech, odsłaniający małe zęby ukryte za dziewczęcymi wargami w kształcie serca. Ale rzadko się uśmiechała – chyba tylko do mnie i mojej siostry. Wiedzieliśmy, że mama wygląda nietypowo w oliwkowych spodniach, bawełnianej bluzce z obszernymi rękawami oraz butach z bawełny i konopi, które musiała sprowadzać z dalekiego Zachodniego Wybrzeża, bo czegoś takiego nie można było kupić w Great Falls. Jeszcze bardziej niezwykle wyglądała, gdy z ociąganiem stawała obok naszego wysokiego, przystojnego i towarzyskiego ojca. Rzadko bywali w towarzystwie i chodzili do restauracji, więc trudno było powiedzieć, jak się prezentują na tle zewnętrznego świata, wśród niezajomych. Dla mnie i mojej siostry życie w naszym domu wyglądało normalnie.

Moja siostra i ja mogliśmy bez trudu odgadnąć, co przyciągnęło naszą matkę do Beva Parsonsa – rosłego, barczystego, gadatliwego, wesołego mężczyzny, pragnącego zadowolić każdą osobę, która znajdzie się

w pobliżu. Trudniej było zrozumieć, co zwróciło jego uwagę w naszej matce. Była przecież drobną (mierzącą zaledwie metr pięćdziesiąt wzrostu) kobietą, zamkniętą w sobie i nieśmiałą, wyobcowaną i artystycznie usposobioną, ładną jedynie wtedy, gdy się uśmiechała, i dowcipną wyłącznie wówczas, gdy czuła się całkowicie odprężona. Nasz ojciec musiał na swój sposób cenić to wszystko, wyczuwać, że choć mama posiada subtelniejsze usposobienie, potrafi ją zadowolić, co czyniło go szczęśliwym. I trzeba powiedzieć, że umiał spojrzeć głębiej, pod powierzchnię zewnętrznych dzielących ich różnic, wnikać w sedno ludzkich spraw, za co go podziwiałem, nawet jeśli matka tego nie dostrzegała.

Kiedy zastanawiam się, dlaczego tak skończyli, zawsze myślę o ich fizycznym niedopasowaniu. Nie byli dla siebie stworzeni, nie powinni byli się pobrać ani zrobić tego, co zrobili – powinni rozstać się po pierwszym namiętnym spotkaniu niezależnie od tego, jaki był jego wynik. Im dłużej z sobą przebywali i więcej o sobie wiedzieli, tym wyraźniej rozumieli swój błąd i tym bardziej gmatwało się ich życie – jak długi dowód matematyczny z błędem w pierwszym obliczeniu i kolejnymi krokami, coraz bardziej oddalającymi od poprawnego rozwiązania. Socjologowie z tamtego okresu – początku lat sześćdziesiątych – mogliby powiedzieć, że nasi rodzice znajdowali się w awangardzie historii, należeli do pierwszych, którzy złamali społeczne bariery i wybrali postawę buntu w imię kredo wymagającego ratyfikacji w formie samozniszczenia. Ale oni tacy nie byli. Nie byli zuchwałymi ludźmi kroczącymi w awangardzie czegokolwiek. Jak powiedziałem, byli zwykłymi ludźmi mającymi pecha, oszukany przez okoliczności i intuicję, którzy przekroczyli granice postrzegane jako słuszne i odkryli, że nie ma już dla nich powrotu.

Dodam jeszcze coś o ojcu: kiedy wrócił z wojny, gdzie niósł ze świstem śmierć spadającą z nieba – nastąpiło to w 1945 roku, tym samym, w którym w Michigan, w bazie Wurtsmith w Oscodzie, na świat przyszliśmy moja siostra i ja – jak wielu innych wojskowych mógł się znajdować pod wpływem potężnej nieokreślonej siły, z którą zmagał się do końca, próbując zachować pozytywną postawę i unosić się na powierzchni zdarzeń, ale nie rozumiejąc już świata, do którego wrócił. W końcu to niezrozumienie stało się kwintesencją jego życia. Podobnie musiały się czuć miliony chłopaków,

choć ojciec nigdy by się z tym nie zdradził, nigdy by nie przyznał, że to prawda.

W 1956 roku nasza rodzina, podobnie jak wiele innych wojskowych rodzin po zakończeniu wojny, przeprowadziła się do Great Falls w Montanie. Mieszkaliśmy w bazach sił powietrznych w Missisipi, Kalifornii i Teksasie. Nasza matka skończyła studia, więc pracowała jako nauczycielka zastępcza. Ojciec nie pojechał do Korei, ale oddelegowano go do pracy za biurkiem w kwatermistrzostwie. Pozwolili mu zostać, bo otrzymał odznaczenia wojenne, ale nie awansował wyżej stopnia kapitana. W pewnym momencie – gdy mieszkaliśmy w Great Falls, a ojciec miał trzydzieści siedem lat – uznał, że nie ma już dla niego przyszłości w armii, więc po dwudziestu latach służby powinien odebrać emeryturę i odejść z jej szeregów. Do podjęcia tego kroku podobno skłoniło go to, iż nasza matka nie okazywała zainteresowania życiem towarzyskim bazy i nie zapraszała na obiad sąsiadów. I pewnie miał słuszość. Myślę, że gdyby poznała tam kogoś interesującego, życie w bazie mogłoby się jej spodobać, ale nie oczekiwała tego. „Nie ma tam niczego oprócz krów i zboża – mawiała. – Żadnej zorganizowanej społeczności”. Tak czy siak, myślę, że nasz ojciec miał dość sił powietrznych, ale lubił Great Falls. Dlatego uważał, że moglibyśmy osiąść w tym mieście na stałe – nawet jeśli jest pozbawione życia towarzyskiego. Powtarzał, że zapisze się do masonów.

Była wiosna 1960 roku. Moja siostra Berner i ja mieliśmy po piętnaście lat. Rodzice zapisali nas do ogólniaka Lewis Junior High (nazwanego tak na cześć Meriwethera Lewisa). Budynek szkoły znajdował się tak blisko Missouri, że z wysokich okien widziałem lśniąca toń rzeki, kaczki i inne ptactwo oraz zarysy Chicago i Milwaukee, a także dworzec St. Paul, gdzie nie stają już pociągi pasażerskie. W górze, na Gore Hill, było miejskie lotnisko, gdzie lądowały dwa samoloty dziennie, a w dole – rafineria ropy naftowej, za wodospadami, od których miasto wzięło swoją nazwę. W pogodny dzień widziałem na wschodzie zasne mgłą ośnieżone szczyty, wznoszące się sto kilometrów dalej i rozciągające się aż do leżącego na południu Idaho i Kanady na północy. Moja siostra i ja nie mieliśmy

zielonego pojęcia o Zachodzie (oprócz tego, czego dowiedzieliśmy się z telewizji) ani nawet o Ameryce, choć uważaliśmy ją za najlepszy kraj na świecie. Naszym prawdziwym życiem była rodzina, w której funkcjonowaliśmy niczym piąte koło u wozu. Poza tym z powodu coraz większego wyobcowania matki, jej pustelniczego trybu życia, poczucia wyższości i pragnienia, abyśmy nie przesiąkli duszną „mentalnością jarmarcznego miasteczka”, jakim było Great Falls, nasze dni nie wyglądały jak dni większości dzieciaków – nie odwiedzali nas koledzy, nie chodziliśmy na zbiórki skautów i potańcówki. Matka uważała, że jeśli się przystosujemy, skończymy tu, gdzie jesteśmy. Poza tym, jeśli twój ojciec pracował w bazie wojskowej – niezależnie od tego, gdzie mieszkałeś – zawsze miałeś niewielu przyjaciół i nie znałeś sąsiadów. Wszystko załatwialiśmy na terenie bazy: chodziliśmy do lekarza i dentysty, fryzjera i po zakupy spożywcze. Ludzie wiedzieli. Wiedzieli, że długo nie zagrzejesz miejsca, więc nie warto zadawać sobie trudu, żeby cię poznać. Baza odciskała na nas swoje piętno, bo też nikt nie musiał się orientować, co się w niej dzieje, ani w tym uczestniczyć. Poza tym nasza matka była Żydówką, wyglądała na imigrantkę i żyła w taki sposób, jakby była przedstawicielką cyganerii. Rozmawialiśmy o tych sprawach tak, jak gdyby obrona Ameryki przed wrogami nie była czymś przyzwoitym.

Mimo to lubiłem Great Falls, przynajmniej na początku. Nazywano je „elektrycznym miastem” z powodu wodospadów, które wytwarzały prąd. Wydawało się proste, uczciwe i oddalone od dużego świata, chociaż stanowiło fragment bezkresnego kraju, w jakim mieszkaliśmy. Chociaż nie podobało mi się to, że ulice nie miały nazw, ale numery, co było mylące i, jak mówiła moja matka, oznaczało, że Great Falls zostało zaprojektowane przez bankierów dusigroszy. Oczywiście zimy były tu mroźne i długie, z wiatrem pędzącym z północy niczym pociąg towarowy i ciemnością, która mogłaby zdemoralizować każdego, nawet największego optymistę.

Prawdę powiedziawszy, Berner i ja nigdy nie mieliśmy poczucia, że skądś pochodzimy. Gdy nasza rodzina przenosiła się w nowe miejsce – w dowolnie odległy punkt na mapie – i zadomawiała się w wynajętej kwaterze, ojciec wkładał odprasowany niebieski mundur i jechał do pracy w bazie sił powietrznych, a mama przyjmowała kolejną posadę nauczycielki. My z Berner umawialiśmy się, że jeśli ktoś nas zapyta, skąd pochodzimy, odpowiemy, że właśnie stąd. Ćwiczyliśmy takie scenki

w drodze do kolejnej nowej szkoły: „Cześć! Jesteśmy z Biloxi w Missisipi”, „Cześć! Przyjechaliśmy z Oscody. To na północ stąd, w Michigan”, „Cześć! Mieszkam w Victorville”. Starłem się nauczyć podstawowych rzeczy, które znali inni chłopcy, mówić jak oni, miejscowym slangiem, i chodzić pewnym krokiem, jakbym czuł się bezpiecznie i nic nie mogło mnie zaskoczyć. Berner postępowała tak samo. Później przeprowadzaliśmy się kolejny raz, a Berner i ja musieliśmy na nowo zapuszczać korzenie. Dorastanie w takich warunkach może wywołać poczucie zagubienia i wyobcowania lub nauczyć elastyczności, umiejętności przystosowania, choć moja matka tego nie aprobowała, bo nie postępowała w taki sposób i miała nadzieję na inną przyszłość – którą sobie wyśniła, zanim poznała naszego ojca. My – moja siostra i ja – byliśmy drugoplanowymi aktorami dramatu, który rozwijał się nieprzerwanie na jej oczach.

Chyba dlatego zaczęło mi zależeć na szkole, bo oprócz rodziców i siostry był to jedyny stały element w moim życiu. Nie chciałem, żeby lekcje się kończyły. Spędzałem w szkole tyle czasu, ile mogłem, ślęcząc nad książkami, przebywając z nauczycielami i wdychając szkolne zapachy, które wszędzie były takie same, jak żadne inne. Posiadanie wiedzy stało się dla mnie ważne niezależnie od dziedziny. Nasza matka znała się na różnych rzeczach i ceniła wykształcenie. Chciałem być pod tym względem taki jak ona, bo mogłem zatrzymać to, co wiedziałem, i wyróżniać się wśród kolegów jako wykształcony i obiecujący – co wydawało mi się istotne. Chociaż nie utożsamiałem się z żadnym z miejsc, w których mieszkaliśmy, identyfikowałem się ze szkołami, jakie się tam znajdowały. Byłem dobry z angielskiego i historii, przyrody i matematyki – przedmiotów, z których była dobra nasza matka. Za każdym razem, gdy pakowaliśmy manatki, bałem się, że z jakiegoś powodu nie pozwolą mi pójść do szkoły lub nie nauczę się czegoś ważnego, co mogłoby zapewnić mi przyszłość, i że nigdy nie nadrobię zaległości. Albo że wyślą nas w nowe miejsce, gdzie w ogóle nie ma szkoły (rodzice rozmawiali kiedyś o Guam). Bałem się, że skończę jako ignorant, nie mając niczego, na czym mógłbym się oprzeć – niczego, co by mnie wyróżniało. Jestem pewny, że wszystko to zawdzięczam mojej matce, która żywiła przekonanie, iż jej życie jest pozbawione wartości. A może moi rodzice – coraz bardziej zagubieni, niepasujący do siebie i nieczujący wzajemnego pożądania, stający się stopniowo własnymi

satelitami i darzący się coraz większą podświadomą niechęcią – nie potrafili zapewnić mojej siostrze i mnie niczego, czego moglibyśmy się uchwycić, chociaż było to ich obowiązkiem. Tylko że obwinianie rodziców o własne życiowe problemy do niczego nie prowadzi.

Kiedy wczesną wiosną nasz ojciec odszedł z wojska, wszyscy byliśmy zaaferowani kampanią prezydencką. Rodzice opowiadali się po stronie demokratów i Kennedy'ego, który miał wkrótce odebrać nominację. Moja matka powiedziała, że ojciec lubi Kennedy'ego, bo uważa, iż jest do niego podobny. Ojciec zaś na pewno nie znosił Eisenhowera, z jakiegoś powodu związanego z amerykańskimi bombowcami, które poświęcano, aby zmiękczyć szkopów podczas lądowania w Normandii, za zdradzieckie milczenie w sprawie MacArthura, którego ojciec ubóstwiał, a także dlatego, że żona Ike'a była znana z tego, iż lubi wypić. Nie cierpiał też Nixona, bo facet przypominał Włocha, był zimną rybą i wojennym kwakrem, co czyniło go obłudnikiem. Nie lubił też Organizacji Narodów Zjednoczonych, bo jego zdaniem stała się zbyt kosztowna i umożliwiała komuchom pokroju Castro (którego nazywał lichym aktorzyną) przemawianie do całego świata. Na ścianie w salonie, nad szpinetem marki Kimball oraz metronomem wykonanym z mahoni i mosiądzu, który nie działał, ale przejęliśmy go razem z domem, wisiała ramka z fotografią Franklina Roosevelta. Ojciec wielbił Roosevelta za to, że nie uległ chorobie Heinego-Medina, zaharowywał się na śmierć, żeby ocalić kraj, i przy pomocy agencji REA[3] wyprowadził prowincjonalną Alabamę z wieków średnich. Oraz za panią Roosevelt, którą tytułował Pierwszą Cnotką.

Mój ojciec miał głęboko ambiwalentny stosunek do Alabamy. Z jednej strony pozował na nowoczesnego człowieka, a nie wieśniaka, co często powtarzał. Miał postępowe poglądy w wielu kwestiach, na przykład w sprawach rasowych, bo służył razem z czarnymi w siłach powietrznych i uważał, że Martin Luther King to człowiek z zasadami, a uchwała o prawach obywatelskich Eisenhowera jest bardzo potrzebna. Ale według niego kobiety też zasługiwały na bardziej sprawiedliwe prawo, a wojna była tragedią i stratą, o czym przekonał się na własnej skórze. Z drugiej strony jednak, kiedy nasza matka powiedziała coś obraźliwego na temat Południa, stawał się smętny i oznajmiał, że Lee i Jeff Daviesowie byli ludźmi

majątnymi, ale dali się zwieść złej sprawie. Z Południa pochodziło też wiele dobrych rzeczy, mawiał, nie tylko odziarniarka bawełny i narty wodne. „Mógłbyś wymienić choć jedną z nich? – odpowiadała nasza matka. – Oczywiście z wyjątkiem własnej osoby...”

Kiedy ojciec zdjął niebieski mundur sił powietrznych i przestał chodzić do bazy, znalazł cywilną robotę i zaczął sprzedawać nowe samochody marki Oldsmobile. Uważał, że jest urodzonym handlowcem, że jego ujmująca osobowość – pogodna, trajkocząca i życzliwa, serdeczna i przeniknięta pewnością siebie – przyciągnie nieznajomych i sprawi, że z łatwością zrobi to, co innym wydawało się trudne. Że klienci będą mu ufać, bo pochodzi z Południa, a południowcy są uważani za bardziej praktycznych od mrukliwych nudziarzy z Zachodu. Pieniądze zaś zaczną napływać, kiedy rok sprzedaży nowego modelu dobiegnie końca i ruszą większe obniżki. Dostał szaro-różowego oldsmobile’a super-88 do celów demonstracyjnych i parkował go przed naszym domem przy First Avenue, na linii południe–zachód, aby służył jako reklama. Zabierał nas na przejażdżki do Fairfield, w kierunku gór, do położonego na wschodzie Lewistown i na południe do Heleny. Nazywał te całodzienne wyprawy „orientacją w terenie i testem sprawności”, choć niezależnie od trasy niewiele wiedział o okolicy i posiadał znikomą wiedzę o samochodach – oprócz umiejętności ich prowadzenia, co zresztą uwielbiał robić. Uważał, że każdy oficer sił powietrznych bez trudu znajdzie dobrą pracę i że powinien być odejść ze służby, kiedy skończyła się wojna. Gdyby to zrobił, znajdowałby się dzisiaj w zupełnie innym miejscu.

Kiedy ojciec odszedł z armii i podjął zwyczajną pracę, moja siostra i ja mieliśmy nadzieję, że nasze życie wreszcie się ustabilizuje. Od czterech lat mieszkaliśmy w Great Falls. Moja matka jeździła codziennie do miasteczka Fort Shaw, gdzie uczyła piątoklasistów. Nigdy nie opowiadała o szkole, ale zdawała się lubić to zajęcie i czasami przebąkiwała o innych nauczycielach jako ludziach pełnych poświęcenia (choć nie nadawali się do niczego innego i nigdy nie zaprosiłaby ich do naszego domu jak ludzi z bazy wojskowej). Właśnie kończyło się lato, więc myślałem o nauce, którą rozpocznę w miejscowym ogólniaku, Great Falls High School, gdzie działały kluby szachowy i dyskusyjny i gdzie mogłem się nauczyć łaciny – byłem zbyt drobny, żeby uprawiać sporty, które zresztą nie wzbudzały mojego szczególnego zainteresowania. Matka powtarzała, że oczekuje, iż

Berner i ja pójdziemy do college'u, ale musimy sami wykombinować, jak to zrobić, bo nie będzie nas na to stać. Po chwili dodawała, że Berner jest taka jak ona, więc najpewniej nie zrobi dobrego wrażenia, dlatego zamiast studiować, powinna wyjść za jakiegoś absolwenta college'u. W lombardzie przy Central Avenue znalazła kilka uczelnianych proporczyków i powiesiła je na ścianach w naszych pokojach. Były to rzeczy, z których wyrosły inne dzieci. Ja dostałem proporczyki z Furman, Holy Cross i Baylor, moja siostra – z Rutgers, Lehigh i Duquesne. Nie mieliśmy zielonego pojęcia o tych uczelniach, nie wiedzieliśmy nawet, gdzie się znajdują. Mimo to wyobrażałem sobie, jak wyglądają – stare budynki z cegły w otoczeniu dużych cienistych drzew, do tego rzeka i wieża z zegarem.

Moje stosunki z Berner stawały się coraz trudniejsze. Nie chodziliśmy do tej samej klasy, bo uważano za niezdrowe, aby bliźniaki cały czas przebywały razem – choć pomagaliśmy sobie w pracy domowej i dobrze sobie radziliśmy. Moja siostra przesiadywała w swoim pokoju, czytała czasopisma filmowe, które kupowała w sieci drogerii Rexall, oraz książki w rodzaju Peyton Place i Witaj, smutku, które przemycała do domu i za nic nie chciała powiedzieć, skąd je wzięła. Obserwowała rybki w akwariu, słuchała radia i nie miała przyjaciół – podobnie jak ja. Nie przeszkadzało mi, że nas rozdzielono – miałem własne życie, zainteresowania i plany na przyszłość. Berner i ja byliśmy bliźniętami dwujajowymi – ona urodziła się też o sześć minut wcześniej – więc różniliśmy się od siebie. Berner była wysoka, chuda i niezgrabna, piegowata i leworęczna (ja byłem praworęczny), z brodawkami na palcach i jasnozielonymi oczami jak oczy naszej matki i moje, pryszczami, płaską twarzą i miękką brodą, która nie wyglądała ładnie. Jej kręcone kasztanowe włosy rozdzielały się na środku głowy. Miała zmysłowe usta jak nasz ojciec, choć gdzie indziej miała mało włosów – na nogach i ramionach. Nie miała też piersi, o których warto byłoby wspomnieć, jak nasza matka. Zwykle nosiła spodnie i pulower, które czyniły ją większą, niż była w rzeczywistości. Czasami wkładała białe koronkowe rękawiczki, żeby ukryć dłonie. Cierpiała na alergię i z ich powodu nosiła inhalator marki Vicks, którym zawsze zalaatywało w jej pokoju. Na mój gust była połączeniem naszych rodziców: wzrost ojca, wygląd matki. Czasami przyłapywałem się na tym, że myślę o Berner jak o starszym chłopcu. Kiedy indziej żałowałem, że nie jest bardziej podobna

do mnie, bo wtedy byłaby miłsza i moglibyśmy się zbliżyć. Oczywiście nigdy nie chciałem wyglądać jak ona.

Ja byłem niższy, miałem krótko przycięte brązowe włosy z bocznym przedziałkiem, gładką cerę i niewiele pryszczu, „ładne” rysy twarzy jak u ojca, ale jednocześnie delikatne jak u matki. Lubiałem swój wygląd i sposób, w jaki ubierała mnie mama – spodnie khaki, czyste odprasowane koszule i sznurowane półbuty z katalogu Searsa. Rodzice żartowali, że jesteśmy dziećmi listonosza lub mleczarza, dziwadłami, chociaż sądzę, że mieli na myśli raczej Berner. Mniej więcej wtedy moja siostra stała się drażliwa na punkcie swojego wyglądu i sprawiała wrażenie zniechęconej, jakby w jej życiu nagle wydarzyło się coś złego. Zapamiętałem ją jako zwykłą piegowatą dziewczynkę, uroczą i szczęśliwą, potrafiącą cudownie się uśmiechać, stroić miny i rozśmieszać wszystkich do łez. Później nieoczekiwanie przyjęła sceptyczny stosunek do życia – zaczęła traktować mnie z sarkazmem i zręcznie wynajdywać braki – co powodowało, że stale chodziła zagniewana. Nie lubiła swojego imienia, choć mnie się podobało i uważałem, że czyni siostrę wyjątkową.

Po miesiącu handlowania oldsmobile’ami ojciec miał drobny wypadek – jechał za szybko i uderzył w kogoś swoim demonstracyjnym samochodem. Stracił więc robotę i wrócił do punktu wyjścia. Później zaczął sprzedawać dodge’e i zaparkował przed naszym domem pięknego dwutonowego biało-brązowego coroneta ze sztywnym dachem, silnikiem uruchamianym przyciskiem, elektrycznymi szybami, pochylanymi fotelami i eleganckimi skrzydełkami, jarmarcznymi czerwonymi tylnymi światłami oraz długą anteną przypominającą bicz. Wóz stał na podjeździe jakieś trzy tygodnie. Berner i ja wsiadaliśmy do środka i słuchaliśmy radia. Ojciec zabierał nas na kolejne przejażdżki, a my pozwalaliśmy, żeby powietrze wpadało do środka przez otwarte okna. Kilka razy zawiózł nas na Bootlegger Trail[4] i pozwolił prowadzić – uczył, jak cofać i skręcać koła podczas poślizgu na lodzie. Niestety nie sprzedał ani jednego auta i doszedł do wniosku, że w takim miejscu jak Great Falls – zwyczajnym miasteczku liczącym marnych pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, pełnym oszczędnych Szwedów i podejrzliwych Niemców, z niewielkim odsetkiem majątnych obywateli gotowych wydać pieniądze na elegancki wóz – wybrał niewłaściwą branżę. Zaczął więc sprzedawać używane samochody na parkingu niedaleko bazy

wojskowej. Ludzie związani z lotnictwem zwykle z trudem wiązali koniec z końcem – rozwodzili się i otrzymywali pozwy sądowe, pobierali się ponownie i trafiali za kratki, co powodowało, że potrzebowali gotówki. Dlatego kupowali i sprzedawali używane samochody, traktując je jak środek płatniczy. Można było nieźle zarobić na pośredniczeniu, co najwyraźniej odpowiadało naszemu ojcu. Poza tym lotnicy chętnie robili interesy z byłym oficerem, który rozumiał wyjątkowe problemy weteranów i nie traktował ich z góry jak ludzie z miasta.

Także w tej robocie ojciec nie zagrażał miejsca, chociaż dwa lub trzy razy zabrał mnie i Berner na parking, aby nas oprowadzić. Nie mieliśmy tam nic do roboty z wyjątkiem łązenia między rzędami samochodów w podmuchach gorącego wiatru, pod łopoczącymi chorągiewkami i srebrzystymi światłami zawieszonymi na przewodach, przyglądając się ulicznemu ruchowi ponad maskami wozów piekących się w słońcu Montany. „Great Falls to miasto używanych samochodów, a nie nowych bryk” – mawiał ojciec, stojąc z rękami na biodrach na schodkach małego drewnianego biura, w którym sprzedawcy czekali na klientów. „Nowe samochody wpędzą każdego do przytułku. Tysiące dolarów idą w błoto, gdy wyjeżdżasz z parkingu”. Mniej więcej w tym czasie, pod koniec czerwca, wspominał o tym, że myśli o podróży samochodem na południe, aby zobaczyć, jak się tam żyje, wśród „pozostawionych”. Matka odpowiedziała, że w taką wyprawę powinien się wybrać sam, bez dzieci, co go rozzłościło. Dodała też, że nie chce mieszkać tak blisko Alabamy. Dość się naoglądała Missisipi. Na Południu sytuacja Żydów była gorsza od sytuacji kolorowych, którzy przynajmniej stamtąd pochodzili. Uważała, że Montana jest lepsza, bo nikt nie ma tu pojęcia, jak wygląda Żyd, co zakończyło dyskusję. Zdaniem matki jej żydowskie pochodzenie było obciążeniem, choć czasami wyróżniało ją w sposób, który akceptowała. Nigdy jednak nie było dobre pod każdym względem. Berner i ja nie mieliśmy pojęcia, kim jest ten Żyd, oprócz tego, że nasza matka jest Żydówką, co mocą starożytnych zasad oficjalnie czyniło nas Żydami, a to było lepsze od alabamskich korzeni. Mama powiedziała, że powinniśmy się uważać za niepraktykujących lub odciętych od korzeni, co oznaczało, że jak wszyscy obchodziliśmy Boże Narodzenie i Święto Dziękczynienia, Wielkanoc i czwarty lipca i nie chodziliśmy do kościoła, bo w Great Falls

nie było kościoła dla Żydów. Kiedyś bycie Żydem mogło coś oznaczać, ale dzisiaj nie musiało.

Po miesiącu sprzedawania i kupowania używanych samochodów ojciec wrócił do domu wozem, który wymienił za naszego mercury'ego rocznik '52 – biało-czerwonym chevroletem bel air rocznik '55, wystawionym na placu, gdzie handlował. „To dobry interes”. Oznajmił, że zamierza podjąć nową pracę. Będzie teraz sprzedawać farmy i rancza. Przyznał, że się na tym nie zna, ale zapisał się na kurs w piwnicy YMCA. Pomoże mu kolega z firmy. Jego ojciec był rzeczoznawcą drzewnym, więc zna się na dziczy bardziej niż na mieście. Oprócz tego w listopadzie wybrano Kennedy'ego, więc wkrótce nadejdzie okres wzrostu i ludzie zaczną kupować ziemię. „Nie wyprodukują jej więcej” – powiedział, ale ja miałem wrażenie, że wokół jest jej dość. Ojciec doszedł do wniosku, że wskaźniki dotyczące sprzedaży używanych aut sprzysięgły się przeciwko wszystkim, a szczególnie dilerom. Nie wiedział, czemu miałyby być ostatnią osobą, która przyjmie to do wiadomości. Matka przyznała mu rację.

Chociaż moja siostra i ja nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, tata i mama zrozumieli, że zaczęli się od siebie oddalać, że inaczej siebie postrzegają i dzielące ich różnice nie znikną, ale staną się wyraźniejsze. Wcześniej nie pozwalało im na to intensywne, absorbujące i burzliwe życie, przeprowadzki z jednej bazy do drugiej i wychowywanie dwójki dzieci. Dopiero po latach dostrzegli to, co powinni byli zauważyć od razu – i to pewnie bardziej ona niż on – że to, co początkowo wydawało się drobiazgiem, stało się czymś, czego nie znoszą. Jego optymizm i jej wyobcowanie podszyte sceptycyzmem. Jego charakter południowca i jej imigracyjne, żydowskie usposobienie. Jego brak wykształcenia i jej przytłaczające poczucie niespełnienia. Kiedy zdali sobie z tego sprawę (lub kiedy ona to zrozumiała), zaczęli doświadczać napięcia i ogarnęły ich obawy, którymi się z sobą nie dzielili. (Znalazło to wyraz w różnych rzeczach, które pisała moja matka, i w prowadzonej przez nią kronice). Gdyby pozwolili, żeby wypadki potoczyły się tak jak w tysiącach innych związków – typową drogą prowadzącą do rozstania – matka spakowałaby Berner i mnie, wsadziła do pociągu i wyruszyła razem z nami do Tacomy, skąd pochodziła, do Nowego Jorku lub Los Angeles. Gdyby tak się stało, każde z nich miałoby szansę na nowe życie w innym świecie. Ojciec mógłby znów podjąć służbę w siłach powietrznych, bo odejście z wojska

było dla niego bardzo trudne. Mógłby poślubić kogoś innego. A ona mogłaby wrócić do szkoły, gdy Berner i ja wyjedziemy do college'u. Mogłaby pisać wiersze i realizować swoje wczesne marzenia. Oboje mieli szanse odmienić swój los na lepsze.

Naturalnie, nasi rodzice opowiedzieliby zupełnie inną historię. Odgrywaliby w niej główną rolę, a my bylibyśmy tylko biernymi obserwatorami. Zwykle nie myślimy o tym, że ludzie napadający na banki mają potomstwo, ale wielu musi je posiadać. Jest to jednak opowieść dzieci – moja i mojej siostry – dlatego oceniamy, obciążamy winą i osądzamy tak, jak sami to widzimy. Wiele lat później, w college'u, przeczytałem, że wielki krytyk Ruskin napisał, iż kompozycja to nic innego jak właściwe ułożenie nierównych elementów. Autor musi zdecydować, co jest równe czemu, co ważniejsze, a co może zostać odsunięte na bok, kiedy życie gna naprzód.

Większość późniejszych wydarzeń, które nastąpiły po połowie lata 1960 roku, znam z różnych niewiarygodnych źródeł: z „Great Falls Tribune”, gdzie zamieszczono artykuł o naszych rodzicach, przedstawiający ich tak, jakby dokonali czegoś niesamowitego i komicznego, oraz z kroniki mojej matki, którą prowadziła w więzieniu okręgu Golden Valley w Dakocie Północnej, czekając na proces, a później w więzieniu stanowym Bismarck. Kilku rzeczy dowiedziałem się od ludzi, z którymi rozmawialiśmy w tamtym czasie. O innych szczegółach wiem, bo mieszkaliśmy z nimi pod jednym dachem i obserwowaliśmy ich, jak to robią dzieci, kiedy sytuacja zmieniała się z normalnej i spokojnej w coraz gorszą, aż w końcu nie dało się jej wytrzymać (choć w tym czasie jeszcze nikt nie został zabity).

Niemal przez cały czas, gdy mój ojciec stacjonował w Great Falls – bite cztery lata – uczestniczył, choć wówczas o tym nie wiedzieliśmy, w przekręcie polegającym na dostarczaniu kradzionej wołowiny do kantyny oficerskiej, za co otrzymywał pieniądze i świeże mięso na steki, które jadaliśmy w domu dwa razy w tygodniu. Proceder ten trwał od lat, kontynuowany przez kolejnych wtajemniczonych w niego oficerów służby kwatermistrzowskiej, którzy trafiali do bazy. W nielegalnym handlu brali udział członkowie plemienia Kri, którzy mieszkali w rezerwacie na południe od Havre w Montanie i byli specjalistami od wykradania krów rasy hereford miejscowym ranczerom, ich nielegalnego uboju oraz przewożenia tusz do bazy – i to wszystko w ciągu jednej nocnej zmiany. Kierownik klubu oficerskiego przechowywał mięso w pojemnikach termoizolacyjnych, a później serwował majorom, pułkownikom i dowódcy bazy oraz ich małżonkom, którzy nie mieli pojęcia, skąd pochodziło, bo było im to obojętne dopóty, dopóki nikt nie dał się złapać. A wołowina odznaczała się dobrą jakością, rzeczywiście pierwszorzędną.

Oczywiście był to groszowy przekręt, dlatego tyle lat uchodził wszystkim płazem i nikt nie sądził, że ktoś ich nakryje. Ale później doszło

do jakiegoś nieporozumienia i część procederu – między innymi lewe rachunki wystawiane w biurze zaopatrzenia i zamówień – wyszła na jaw, a kilku pracowników bazy zostało ukaranych, w tym mój ojciec, który stracił stopień kapitana i ponownie został podporucznikiem. Możliwe, że szwindel wykryto właśnie przez niego, ale nigdy nie powiedziano mu tego wprost. Cała ta historia – o której rodzice nie rozmawiali, więc Berner i ja nie mieliśmy o niczym pojęcia – niemal na pewno przyczyniła się do odejścia ojca z armii. Możliwe, że został zmuszony do przejścia na emeryturę, choć otrzymał dyplom zwolnienia honorowego, który oprawił w ramkę i powiesił w naszym salonie, nad pianinem, obok swojego ukochanego FDR[5]. Dyplom wisiał tam nadal, kiedy naszych rodziców aresztowano, a moja siostra i ja zostaliśmy sami i nikt się nami nie opiekował. Kilka razy przeczytałem go uważnie („Zwolniony honorowo z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych... w dowód uznania za uczciwą i wierną służbę...”) i pomyślałem, że nie napisali w nim prawdy. Kiedy wyprowadzałem się z domu, zastanawiałem się nad zabraniem go z sobą, ale w końcu o nim zapomniałem. Pewnie wisiał dalej w naszym opuszczonym salonie i bawił kogoś innego, aż w końcu został wyrzucony na śmietnik.

Później ojciec – dowiedziałem się o tym z zapisków mojej matki, które nazwała Kroniką zbrodni popełnionej przez słabą osobę, bo miała nadzieję, że jej historia zostanie kiedyś opublikowana – odnalazł tych Indian, mieszkających na południe od Havre, i chciał ubić z nimi nowy interes, kiedy nie poszło mu z oldsmobile’ami i dodge’ami, a później używanymi samochodami i motocyklami, które próbował sprzedawać strażakom. Był przekonany, że Indianie utracili zyskowny kanał zbytu kradzionego towaru. Sądził, że jeśli uda mu się znaleźć nowego odbiorcę mięsa, będą mogli zacząć wszystko od nowa z lepszym skutkiem, bo brak udziału sił powietrznych w procederze oznaczał, iż nie będą musieli się z nikim dzielić zyskiem. Ten marny pomysł mógłby się wydać nawet komiczny, gdyby nie odmienił ich życia: życia naszego ojca i naszej drobnej, surowej żydowskiej matki, mieszkających w skromnym, wynajętym domu w Great Falls, oraz nieszczęsnych Indian i kradzionych krów szlachtowanych w środku nocy w starej ciężarówce z naczepą. Zdrowy rozsądek powinien był temu zapobiec, ale żadne z nich go widać nie posiadało.

Gdy ojciec zdał sobie sprawę, że nie utrzyma naszej rodziny, kiedy będzie się uczyć sztuki sprzedawania farm i rancz – mimo wojskowej emerytury w wysokości dwustu osiemdziesięciu dolarów i wynagrodzenia, które moja matka dostawała w szkole w Fort Shaw – zaczął szukać nowego odbiorcy kradzionego mięsa. Wiedział, że w Great Falls nie ma wielu możliwości. W mieście był szpital Columbus i hotel Rainbow, ale ojciec nie znał tam nikogo. Mógł słyszeć o jednym lub dwóch lokalach, w których serwowano steki, ale te były obserwowane przez policję z powodu nielegalnego hazardu. Później zwrócił uwagę na firmę Great Northern Railway, która obsługiwała pociąg pasażerski Zachodnia Gwiazda, przejeżdżający przez Great Falls w drodze do Seattle i dwa dni później wracający do Chicago. Wagony restauracyjne Great Northern potrzebowały stałego zaopatrzenia w niewyszukany towar pierwszej klasy. Nasz ojciec wierzył, że może im dostarczyć pierwszorzędnej wołowiny. Dowiedział się o strażaku sprzedającym kaczki, dzikie gęsi i sarninę (wszystko nielegalnie) Murzynowi, który pracował na kolei i był szefem kelnerów obsługujących wagon restauracyjny. Złożył mu więc wizytę w jego domu w Black Eagle i zaproponował sprzedaż wołowiny, którą on (nasz ojciec) otrzyma od Indian będących jego wspólnikami. Murzyn zaś – facet nazywał się Spencer Digby – odniósł się przychylnie do jego oferty. Robił takie przekręty od lat i nie miał żadnych obaw. Wyglądało na to, że kolej niewiele różniła się od armii. Pamiętam, jak pewnego popołudnia ojciec wrócił do domu w wesołym nastroju. Oznajmił matce, że właśnie założył „niezależną spółkę handlową”, która uzupełni nasze dochody, gdy on będzie poznawał tajniki handlu ranczami. Że nie odmieni to na zawsze niczyjego losu, ale spowoduje, że nasza sytuacja stanie się stabilniejsza.

Nie pamiętam, co odpowiedziała matka. W swojej kronice napisała, że od jakiegoś czasu myślała o chwilowej separacji z ojcem, zabranii mojej siostry i mnie do stanu Waszyngton, a kiedy ten przedstawił jej pomysł sprzedaży kradzionego mięsa kolei Great Northern (czego najwyraźniej się nie wstydził), wyjaśniła, że mu się sprzeciwiła i od początku czuła „nieznośne napięcie”. Wtedy zdecydowała – bo wszystko zdawało się zmierzać w złą stronę – że powinna jak najszybciej nas opuścić. Ale tego nie zrobiła.

Oczywiście nie wiedziałem, co naprawdę myślała. Nasza matka – młoda (miała wówczas trzydzieści cztery lata) wykształcona kobieta, wyznająca

tradycyjne wartości – nie wyobrażała sobie, aby mogła mieć cokolwiek wspólnego z przestępcami. Całkiem możliwe, że nie wiedziała o przekręcie w kantine, bo ojciec wychodził do bazy co rano jak do każdej innej pracy, z tą różnicą, że nosił niebieski mundur. Pewnie nie opowiadał jej, co się tam działo, boby się sprzeciwiła, a poza tym czuł, że jest coraz bardziej rozczarowana tym, iż jej mąż jest zawodowym wojskowym.

Nasza matka mogła sądzić, że jest bliska zakończenia jakiegoś rozdziału w swoim życiu, że wkrótce nadejdą lepsze czasy, kiedy Berner i ja będziemy wystarczająco dumni, aby mogła pomyśleć o rozwodzie. Mogłaby więc go opuścić, gdyby tylko opowiedział jej o przekręcie z Great Northern, ale i tym razem tego nie zrobiła. Wszystko, co mogłoby się stać, gdyby nie poznała Beva na przyjęciu bożonarodzeniowym – wiersze, które by napisała i opublikowała, drobne posady nauczycielskie w college'u, małżeństwo z młodym profesorem i inne dzieci niż Berner i ja – mogłoby się jeszcze wydarzyć, gdyby zrewidowała swoje życie. Ale tak się nie stało. Zamiast tego nadal mieszkała w Great Falls, w mieście, o którym wcześniej nigdy nie słyszała (często mylonym ze Sioux Falls i Cedar Falls), tolerująca nas, odizolowana od świata, odczuwająca niechęć do zasymilowania się z otoczeniem i myśląca wyłącznie o frustrującej przyszłości.

Przez cały ten czas ojciec funkcjonował w innej rzeczywistości – ze swoją skłonnością do kombinowania, z optymistycznym spojrzeniem w przyszłość i urokiem osobistym. Chociaż żyli niby w jednym świecie, gdyż go z sobą dzielili, no i mieli nas, to nie byli tacy sami. Możliwe, że matka go kochała, bo on bez wątpienia ją tak. Poza tym z powodu swojego pesymistycznego nastawienia pewnie nie poradziłaby sobie z szokiem wywołanym odejściem, z tym, że na wieki zostanie z nami sama. Nie jest to historia, o której nigdy nie słyszano na tym świecie.

Przez jakiś czas interesy mojego ojca z Indianami i Great Northern szły świetnie, choć matka napisała w swojej kronice, że w połowie lipca, gdy ojciec poznawał tajniki sprzedaży rancz i nadzorował dostawy wołowiny, zaczęła doświadczać „fizycznego znudzenia” i po raz pierwszy od lat wydzwaniać do rodziców. Dziadkowie nie brali udziału w życiu naszej rodziny. Moja siostra i ja nigdy ich nie poznaliśmy. Wiedzieliśmy, że to dziwne, bo dzieci z naszej szkoły cały czas widywały dziadków, jeździły do nich w odwiedziny, dostawały od nich kartki, prezenty i pieniądze na urodziny. Ale nasi dziadkowie z Tacomy byli przeciwni temu, aby ich inteligentna córka z dyplomem college’u wyszła za wygadanego i uśmiechniętego byłego lotnika z Alabamy, który uruchomił sygnały alarmowe w ich zaściankowym imigracyjnym świecie. Obrazili mojego ojca, wyrażając swoją niechęć do niego. Dlatego nigdy nie zachęcał nas, abyśmy ich odwiedzili, ani ich, żeby odwiedzili nas, choć nie sądzę, by wyraźnie tego zabronił. Poza tym dziadkowie nie przylecieliby do żadnego z miejsc, w których mieszkaliśmy. Do Teksasu lub Missisipi, Dayton lub Ohio. Dziadkowie uważali, że nasza matka powinna mieć zawód, mieszkać w eleganckim mieście i poślubić dyplomowanego księgowego lub chirurga. Ale matka powiedziała Berner, że nigdy by tego nie zrobiła, że zawsze pragnęła – bo czuła, iż jest wyjątkową osobą – bardziej interesującego życia. Jej rodzice byli pełni pesymizmu i obaw, na dodatek mało elastyczni – chociaż mieszkali w Ameryce od 1919 roku. Uznali, że można odwrócić się plecami do córki i jej rodziny, pozwolić, abyśmy przepadli w amerykańskim interiorze. „Byłoby miło, gdybyście poznali dziadków, zanim odejdą” – powiedziała nam kilka razy matka. Miała czarno-białą fotografię zrobioną nad wodospadem Niagara, przedstawiającą maleńkich, podobnie wyglądających ludzików w okularach, gumowych płaszczach przeciwdeszczowych, wyglądających na nieszczęśliwych i zdumionych, pozujących na trapie statku (teraz wiem, że był to wycieczkowy Maid of the Mists, bo sam nim płynąłem), odbywającego rejsy w rejonie wodospadów.

Zdjęcie wykonano podczas podróży powrotnej jej rodziców przez kontynent z okazji dwudziestej rocznicy ślubu, w 1938 roku. Nasza matka miała wówczas dwanaście lat. Dziadkowie nazywali się Wojtek i Renata Kampczyńscy, po amerykańsku: Vince i Renny Kamper. Prawdziwe nazwisko, Neeva Kampczyński, pasowało do mojej matki lepiej niż Kamper, a nawet Parsons (to drugie w ogóle było do niczego). „To prawdziwa katarakta, dzieci – oznajmiła, przyglądając się popękanej fotografii. – Pewnego dnia sami ją zobaczycie. Przy niej nasze mizerne wodospady przypominają żart. Chyba że człowiek niczego nie widział, jak prostacy, którzy tu mieszkają”.

Myślę, że matka powiedziała rodzicom o swoim niezadowoleniu, może nawet wspomniała o opuszczeniu ojca i zabranii Berner i mnie do Tacomy. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że Seattle i Tacoma leżą tak blisko siebie. Z cotygodniowej szkolnej gazetki wiedziałem o wieży Space Needle, którą wówczas budowano. Chciałem ją zobaczyć. Teren wystawy światowej wydawał się olśniewający, kiedy człowiek myślał o nim w Great Falls w Montanie. Nie mam pojęcia, czy dziadkowie odnieśli się ze zrozumieniem do skarg matki i wyrazili gotowość przyjęcia nas do siebie razem z nią. Od czasu, gdy odeszła od nich bez błogosławieństwa, upłynęło piętnaście lat. Byli starymi ludźmi, skostniałymi, konserwatywnymi intelektualistami, którzy ocalili życie w złych czasach i pragnęli, aby świat był przewidywalny. Mogli jednak być otwarci. Tylko nie sądzę, jak już wspomniałem, aby opuszczenie ojca wydawało się dla matki łatwe. Być może była bardziej zachowawcza i konserwatywna, niż sądziłem. Bardziej podobna do swoich rodziców, aniżeli sama przypuszczała.

Byłem wtedy bardzo zaaferowany rozpoczęciem nauki w ogólniaku w Great Falls. Marzyłem, żeby lekcje zaczęły się wcześniej niż we wrześniu, bo mógłbym przebywać częściej poza domem. Odkryłem, że latem klub szachowy spotyka się co tydzień w zakurzonej dusznej sali w południowej wieży szkoły. Jeździłem tam na rowerze po starym, łukowato wygiętym moście, a później Second Avenue South, żeby być obserwatorem – patrzeć, jak starsi chłopcy grają i tajemniczym językiem rozmawiają o posunięciach, własnej strategii i oddaniu przewagi, wymieniając przy tym nazwiska słynnych szachistów, których nie znałem: Gligoricia, Raya Lopeza, a nawet Bobby'ego Fischera, mistrza

podziwianego przez wszystkich członków klubu. (Wiedzieli, że był Żydem, co dostarczało mi niezrozumiałej satysfakcji). Nie miałem pojęcia o tej grze, ale lubiłem porządek panujący na szachownicy, staroświecki wygląd figur i miłe doznanie, jakiego doświadczałem, trzymając je w ręku. Wiedziałem, że w szachach trzeba myśleć logicznie, planować posunięcia kilka ruchów naprzód i mieć dobrą pamięć – a przynajmniej tak mówili koledzy. Członkowie klubu nie mieli nic przeciwko mojej obecności. Zachowywali się arogancko, ale przyjaźnie. Powiedzieli mi o książkach, które powinienem przeczytać, oraz miesięczniku szachowym „Master”, który mógłbym zaprenumerować, jeśli myślę poważnie o tej grze. Było ich tylko pięciu. Synowie prawników i lekarzy z miejskiego szpitala. Rozmawiali poważnym tonem o sprawach, o których nie miałem zielonego pojęcia. O wypadku samolotu szpiegowskiego, Francisie Garym Powersie, „wietrze zmian” i rewolucji na Kubie. O katoliku Kennedym i Lumumbie. O tym, że stracony Caryl Chessman wolał rozegrać partię szachów, zamiast zjeść ostatni posiłek, oraz o tym, czy jest rzeczą słuszną, aby zawodnicy grający w baseball mieli nazwiska wypisane na koszulkach. Rozmowy te upewniły mnie w przekonaniu, że nie mam pojęcia, co się dzieje na świecie (choć powinienem).

Matka zachęcała mnie do interesowania się szachami. Powiedziała, że jej ojciec grywał w nie z innymi imigrantami w parku w Tacomie, czasami nawet z kilkoma równocześnie. Uważała, że szachy rozwiją moją inteligencję i spowodują, że stanę się pewniejszy w złożonym świecie i nie będę się bać poczucia zagubienia – które jest wszechobecne. Za pieniądze odłożone z kieszonkowego kupiłem w sklepie hobbystycznym przy Central Avenue plastikowy zestaw szachów firmy Staunton oraz zwijaną winylową szachownicę, które rozłożyłem na stałe na mojej komodzie. Nabyłem też ilustrowaną książkę, którą polecili mi członkowie klubu, żeby nauczyć się zasad gry. Umieściłem ją obok książek z fantastyki o Ricku Brancie oraz o kulturyście Charlesie Atlasie, które zostawił poprzedni lokator, więc je czytałem. Najbardziej podobało mi się to, że szachiści wyglądali inaczej niż zwykli ludzie (nieco tajemniczo) i mieli skomplikowane obowiązki, które polegały na przemieszczaniu się w uprzednio zaplanowany sposób w związku ze strategiczną misją, w mojej książce opisaną jako udział w jedynej prawdziwej wojnie od czasu, gdy w Indiach wymyślono tę grę.

Matka nie grała w szachy – wolała pinochle[6], twierdząc, że to żydowska gra (choć nie miała do niej partnera). Mój ojciec zaś ich nie lubił, bo twierdził, że Lenin był szachistą. Wolał warcaby, które uważał za bardziej naturalną rozgrywkę, wymagającą subtelnych umiejętności, pozwalających zmylić przeciwnika. Moja matka prychała i mówiła, że warcaby są subtelne jedynie dla prostaka z Alabamy, który nie potrafi jasno myśleć.

Kiedy kupiłem szachy, rozłożyłem je na planszy i pokazałem mamie, jak poruszają się pionki i figury. Próbowwała wykonać kilka ruchów, ale straciła zainteresowanie i oświadczyła, że ojciec zniesmaczył jej tę grę, bo był zbyt wymagający. W mojej książce przeczytałem, że szachiści grywają sami z sobą, aby się ćwiczyć. Że spędzają długie godziny, rozmyślając, jak siebie pokonać, aby walcząc z prawdziwym przeciwnikiem na turnieju, móc rozgrywać partię we własnej głowie – co budziło mój podziw, choć nie miałem pojęcia, jak to możliwe, i wykonywałem głupie ruchy wzbudzające buczenie członków klubu. Kilka razy próbowałem przekonać Berner, żeby usiadła po drugiej stronie planszy, na moim łóżku, i pozwoliła, abym pokazał jej posunięcia, o których przeczytałem w Podstawach szachów, a później nauczył ją, jak na nie odpowiadać. Zrobiła to dwa razy, ale po chwili się znudziła i zrezygnowała, zanim gra rozpoczęła się na dobre. Kiedy czuła do mnie obrzydzenie, spoglądała twardym wzrokiem i milczała, a później oddychała przez nos w taki sposób, żebym usłyszał. „Czy to coś zmienia, jeśli nauczysz się grać w szachy?” – rzuciła na odchodnym. Oczywiście wiadomo, że nie o to chodzi. Nie wszystko musi mieć praktyczne zastosowanie. Pewne rzeczy robimy dlatego, że je lubimy – ale wtedy Berner nie myślała w ten sposób o życiu.

Oczywiście Berner była moim jedynym przyjacielem. Nigdy nie dochodziło między nami do ostrej rywalizacji ani do poważniejszej różnicy zdań i wrogości, jak to bywa między braćmi i siostrami. Pewnie dlatego, że byliśmy bliźniakami i wiedzieliśmy, co myśli drugie albo na czym mu zależy, więc mogliśmy łatwiej dojść do porozumienia. Zdawaliśmy sobie również sprawę, że życie z naszymi rodzicami różni się od życia innych dzieci. Wyobrażaliśmy sobie, że nasi koledzy mają normalne życie, przyjaciół i rodziców, którzy zachowują się normalnie, gdy są razem. (Oczywiście nie było to prawdą). Oboje uważaliśmy także, że nasza

sytuacja jest przejściowa, a najtrudniejsze było czekanie. W pewnym momencie wszystko się zmieniało, więc łatwiej znosiliśmy ten stan, jeśli okazywaliśmy cierpliwość i wspólnie robiliśmy większość rzeczy.

Jak już wspomniałem, Berner zmieniała się, stała się zagniewana i drażliwa, więc dużo z sobą nie gadaliśmy. Poza tym często odnosiła się do mnie w sarkastyczny sposób. Zacząłem dostrzegać na jej płaskiej piegowatej twarzy poważne rysy matki: zaokrąglony nos, wielkie oczy wyglądające tak, jakby były pozbawione źrenic, grube rzęsy, duże pory na pryszczatej cerze i gęste, ciemne kręcone włosy. Nie uśmiechała się teraz częściej niż matka, a raz usłyszałem, jak mama mówi do niej: „Chyba nie chcesz wyrosnąć na wysoką tyczkowatą dziewczynę ze skwaszoną miną”. Oczywiście nie sądzę, aby Berner obchodziło to, na kogo wyrośnie. Zdawała się żyć terażniejszością, a myślenie o przyszłości nie wypierało niezadowolenia z obecnej sytuacji. Była silniejsza ode mnie, więc czasami brała mój nadgarstek w swoje duże dłonie i skręcała skórę w przeciwną stronę, aż pojawiały się chińskie oparzenia; mówiła wtedy, że jest ode mnie starsza i powinienem robić to, co każe – choć prawie zawsze to robiłem. Byłem zupełnie inny niż ona. Rozmyślałem i fantazjowałem o przyszłości – o szkole średniej, o moich zwycięstwach szachowych i college’u – sceptyczna Berner zaś widziała przyszłe życie bardziej racjonalnie niż ja. Może zresztą tak było lepiej, zważywszy na to, jak miało się potoczyć jej życie – bo musiała zostać w Great Falls, wyjść za jakiegoś pocziwego farmera i urodzić mu dużo dzieci, które nauczy wielu rzeczy, co uczyni ją szczęśliwą i usunie zgorzkniałą minę z twarzy, choć ta mina była jedynie jej obroną przed tym, czego nie wiedziała. Między nią i matką zrodziła się bliskość, która nie miała nic wspólnego ze mną. Zaakceptowałem i ceniłem tę więź przez wzgląd na Berner. Czułem, że potrzebuje jej bardziej niż ja, bo w tym czasie uważałem, że jestem bardziej przystosowany od siostry. Miałem rzekomo pozostawać w bliższych stosunkach z ojcem, czego zwykle oczekiwano od chłopców nawet w naszej rodzinie. Ale z ojcem nie można było się zaprzyjaźnić. Większość czasu przebywał poza domem – najpierw w bazie wojskowej, a później przepadał na długo w świecie, sprzedając samochody, które nie chciały się sprzedawać, zgłębiając tajniki handlu farmami i ranczami i pełniąc funkcję pośrednika w handlu kradzioną wołowiną, którą Indianie przywozili ciężarówką na dworzec kolejowy Great Northern, co miało się przyczynić do jego zguby, a ostatecznie do

zguby całej naszej rodziny. Tak naprawdę nigdy nie byliśmy z sobą blisko, choć kochałem go tak, jakby tak było.

Z perspektywy czasu można by uznać naszą małą rodzinę za skazaną na zagładę, czekającą, aby pograżyć się w spienionych falach, przeznaczoną na skażenie i upadek. Nie mogę jednak nas tak opisać ani powiedzieć, że były to nieszczęśliwe i złe lata, choć przyznaję, odbiegały daleko od normalnych. Widzę ojca na małym trawniku naszego wynajętego domu o wypłowiałych musztardowych ścianach i białych okiennicach oraz moją matkę siedzącą na stopniach werandy, obejmującą kolana rękami, w niebieskiej bluzce i szortach z żaglowego płótna. Mój ojciec ma na sobie eleganckie beżowe spodnie, błękitną koszulę i żółty pasek z wężowej skóry, a także nowe czarne buty kowbojskie, które sprawił sobie po odejściu z wojska. Jest wysoki, uśmiechnięty i nieświadomy własnego uroku (choć skrywający sekrety). Gęste włosy mojej matki są niedbale zaczesane do tyłu i związane apaszką. Obserwuje go, jak nieporadnie rozkłada siatkę do badmintonu na naszym bocznym podwórku. Chevrolet rocznik '55 stoi przy krawężniku w cieniu wysokiego wiązu. Małe oczy matki są skupione, nos zmarszczony za okularami. Siostra i ja pomagamy ojcu z siatką – bo to dla nas ją rozkłada. Nagle moja matka się uśmiecha i unosi brodę na jakieś słowa, które wypowiedział. Ojciec mówi: „Nic nie jest dla mnie łatwe, Neevy”, „Nie jesteśmy w tym dobrzy” lub „Potrafię rzucić bomby, ale nie mam zielonego pojęcia, jak rozłożyć siatkę”. „Wiemy”, odpowiada mama, a później oboje wybuchają śmiechem. Ojciec miał poczucie humoru, podobnie jak ona, choć uważam, że rzadko ulegała impulsowi, by mu się poddać. Było to typowe dla nich, dla nas wszystkich w tamtym czasie.

Tamtego lata ojciec wychodził do roboty to tu, to tam. Ja zacząłem czytać książki o szachach i pszczelarstwie, bo postanowiłem, że będzie to moje drugie zajęcie w ogólniaku. Uznałem, że nikt nie będzie tam mieć pojęcia o pszczołach – bo ludzi zainteresowanych nimi można znaleźć w wiejskiej szkole, gdzie jest FFA[7] lub 4H[8]. Moja matka czytała europejskie powieści (Stendhala i Flauberta), a ponieważ w Great Falls był mały katolicki college, zaczęła tam chodzić i raz w tygodniu brać udział w letniej szkole. Później moja siostra – mimo surowego spojrzenia na świat i wybuchów gniewu – znalazła chłopaka. Poznała go na ulicy, kiedy szedł

do domu ze sklepu sieci Rexall (co wkurzyło ojca, chociaż szybko o wszystkim zapomniał). Moi rodzice nie pili alkoholu, nie kłócili się i, wiele na to wskazuje, nie mieli kochanków. Matka odczuwała „fizyczne ennui[9]” i coraz częściej myślała o rzuceniu ojca, ale jeszcze częściej o pozostaniu z nami. Pamiętam, że w tym czasie przeczytała mi wiersz wielkiego irlandzkiego poety Yeatsa. Były tam słowa: „Bo nic nie może być stałe i całe, co wprzód nie było rozdarte”[10]. Wielokrotnie dokonywałem analizy tego wiersza w swojej długoletniej karierze nauczyciela. Sądzę, że matka miała właśnie taki pogląd na życie – uważała, iż jest niedoskonałe, ale trzeba je zaakceptować, bo próba zmiany oznaczałaby zdyskredytowanie go i siebie i przyniosłaby zbyt wiele szkód. Był to punkt widzenia dziecka imigrantów, który odziedziczyła po rodzicach. Chociaż z perspektywy czasu można by wyciągnąć jak najgorsze wnioski o naszych rodzicach – że byli okropni, nierozumni, poddani mrocznej sile zniszczenia – bardziej prawdziwe byłoby stwierdzenie, że gdyby spojrzeć na nas z kosmosu (ze sputnika), wcale nie wydalibyśmy się irracjonalni lub skazani na zagładę. Może nawet w ogóle nikt by o tym nie pomyślał. Lepiej potraktować nasze życie i wydarzenia, do których doprowadziło, za dwie strony jednej monety – jedna była normalna, a druga naznaczona piętnem katastrofy. Przy czym dzieliło je bardzo niewiele. Inny sposób spojrzenia na nasze życie grozi pominięciem jakiegoś istotnego, racjonalnego elementu, nadającego wszystkiemu sens z perspektywy ludzi będących w centrum wydarzeń. Bez niego nie warto o tym słuchać.

Chociaż nowy interes ojca, polegający na sprzedaży kolei kradzionej wołowiny, szedł przynajmniej na początku zgodnie z planem, opowieść, którą zamieszczono później na łamach „Tribune”, ujawniła, że proceder ten był znacznie bardziej skomplikowany od przekrętu w bazie. Wtedy Indianie dostarczali mięso ciężarówką przez główną bramę, a wartownicy byli uprzedzeni i ich przepuszczali. Później podjeżdżali pod tylne drzwi kantyny oficerskiej, wyładowywali mięso i na miejscu odbierali gotówkę, być może nawet od mojego ojca. Ojciec i kierownik kantyny, kapitan Henley, zatrzymywali uzgodnioną część pieniędzy i zabierali do domu wybrane porcje, żeby wykarmić rodzinę. W ten sposób wszyscy byli zadowoleni. Układ z linią kolejową Great Northern musiał być inny, bo ten Murzyn, Spencer Digby, nie ufał Indianom i bał się o pracę – pewną, dobrze płatną posadę i stanowisko przełożonego wagonu restauracyjnego. Digby pozwalał Indianom podjeżdżać ciężarówką z logo producenta dywanów z Havre do rampy załadunkowej na dworcu Great Northern i tam odbierał kontrabandę. Nie chciał jednak płacić na miejscu, bo się bał, a poza tym musiał sprawdzić jakość towaru. Oba powody sprawiały, że Indianie czuli się urażeni. Nie lubili robić interesów z Murzynem. Trzeba było więc znaleźć inne rozwiązanie. Skończyło się na tym, że nasz ojciec przyjeżdżał na dworzec i odbierał pieniądze od Digby’ego, ale dopiero gdy Digby zdobył forszę i upewnił się, że mięso jest odpowiedniej jakości, aby podać je w wagonach restauracyjnych. Ten Digby upierał się, żeby oddzielić od siebie te dwie czynności – odbiór mięsa i wypłacenie gotówki – jakby pieniądze nie były za mięso (na wypadek, gdyby zostali złapani) i jakby mój ojciec był faktycznym dostawcą, a Indianie jego pracownikami. W takich przekrętach kryje się zawsze coś niezrozumiałego, co jest dowodem, że były w nie zamieszane istoty ludzkie.

Zmiana pierwotnego planu działania postawiła mojego ojca w niebezpiecznym położeniu. Lubił rolę pośrednika, bo dzięki niej czuł się

i wyglądał na kompetentnego, a poza tym nie uważał sytuacji za groźną dopóty, dopóki nie było za późno. Ale ten sposób działania oznaczał, że przez dzień lub dwa Indianie nie mieli wołowiny, którą ukradli i rozebrali z narażeniem własnego życia, a później dostarczyli na stację mniej lub bardziej na widoku – i to w czasach, gdy policja z Great Falls z przyjemnością aresztowałaby każdego Indianina bez żadnego wyraźnego powodu i miała na oku wszystkich czarnych, bo wywoływali problemy na Południu – i nie mogli natychmiast otrzymać pieniędzy, do których mieli pełne prawo (stu dolarów za półtuszę, bo wołowina była wtedy tania). Jeszcze bardziej niebezpieczne według nich było to, że musieli czekać pod miastem, nie rzucając się w oczy, aby odebrać pieniądze od ojca, do którego mieli jedynie częściowe zaufanie (pełnym darzyli siły powietrzne, bo jeden z nich służył kiedyś w lotnictwie, a poza tym wierzyli, że rząd się o nich zatroszczy, bo zawsze tak było; i pod tym względem nie różnili się zbytnio od mojego ojca).

Niebezpieczeństwo nowego rozwiązania – które wymyślił ojciec, wierząc, że wszystkim się spodoba – polegało na tym, że znalazł się między dwiema przestępczymi stronami, niedarzącymi się wzajemnie sympatią ani zaufaniem, choć on uważał, że może im zaufać, nawet jeśli nieszczególnie ich lubił. Co gorsza, za każdym razem, gdy dostarczono wołowinę, natychmiast stawał się dłużnikiem Indian, powszechnie znanych ze skłonności do przemocy. Później w „Tribune” napisano, że dwóch z nich było mordercami, a trzeci porywaczem. Cała trójka spędziła ponad pół życia w więzieniu Deer Lodge. Można by więc pomyśleć, że tak absurdalny przekręt nie powinien się udać, ale wypalił i nie był wcale bardziej niedorzeczny od napadu na bank.

Pewnego dnia w połowie czerwca ojciec wstał rano i oznajmił, że planuje pojechać do Box Elder w Montanie, miasteczka położonego przy drodze stanowej prowadzącej do leżącego na północy Havre, żeby obejrzeć pierwszorzędne ranczo, które jego nowa firma miała nadzieję sprzedać z dużym zyskiem. Chciał, żebyśmy z nim razem z siostrą pojechali, bo, jak powiedział, przez całe życie byliśmy smarkaczami z bazy i nie znaliśmy kraju, a poza tym spędzaliśmy zbyt dużo czasu w domu. Tak czy siak, naszej matce przyda się spokojny ranek.

Wyruszyliśmy biało-czerwonym bel airem drogą stanową numer osiemdziesiąt siedem przez nagrzane pola dojrzałej pszenicy w stronę

leżącego sto pięćdziesiąt kilometrów dalej Havre. Góry Highwood, rozciągające się na wschód od Great Falls, majaczyły w nieokreślonej dali, sine i owiane mgiełką, bardziej tajemnicze niż wówczas, gdy patrzyło się na nie z miasta. Po godzinie minęliśmy Fort Benton, gdzie pod autostradą płynęła Missouri – ta sama lśniąca rzeka, którą oglądałem z okien szkoły, tutaj mniejsza i bardziej spokojna, sunąca między skarpami z kredy i granitu na spotkanie z Yellowstone, White, Vermilion i Platte, do granicy Missisipi ze stanem Illinois (o czym już wówczas wiedziałem). Droga stanowa opadała i biegła wzdłuż strumienia, a później wspinała się ponownie na poziom, gdzie było więcej ziemi uprawnej, a góry wydawały się zabarwione innym błękitem – dłuższe i niższe od Highwood, ale równie zamglone, porośnięte drzewami i obce. Ojciec oznajmił autorytatywnym tonem, że to Bear's Paw. Góry znajdowały się na terenie rezerwatu Rocky Boy, co oznaczało, że mieszkali tam Indianie. Indianie niczego nie posiadali, bo nie było im to potrzebne, skoro o wszystko troszczył się rząd, a poza tym nie znali się na uprawie roli. Ojciec powiedział, że robił z nimi wcześniej interesy, więc może wjechać na ich ziemię bez zezwolenia i nie narobimy sobie kłopotów.

Jechaliśmy wąską drogą przez pola pszenicy, mijając zakurzone miasteczko ze spichlerzem, a później inne, zwane Box Elder – jak krzewy czarnego bzu w naszym sąsiedztwie. Miasteczko miało krótką główną ulicę przecinającą tory oraz bank i pocztę, a także sklep spożywczy, dwie kawiarnie i warsztat samochodowy – absurdalna miejscina pośrodku odludzia. Skręciliśmy na wschód wąską żwirową drogą, która biegła w kierunku gór, gdzie leżało ranczo. Przed nami rozciągały się jedynie podnóża gór i ocean pszenicy. Żadnych domów, drzew ani ludzi. Dojrzałe zboże wdzierało się na pobocze drogi, żółte i gęste, kołyszące się na suchym gorącym wietrze nawiewającym kurz do środka samochodu i oblepiającym wargi. Ojciec powiedział, że rzeka Missouri płynie teraz na południe od nas. Nie możemy jej zobaczyć, bo znajduje się poniżej skarpy. Lewis i Clark, o których słyszeliśmy, przebyli szmat drogi i dotarli tutaj w 1805 roku. Polowali na bizona dokładnie tam, gdzie byliśmy. Ojciec wystawił za okno lewy łokieć i oznajmił, że z wysokości okienka bombardiera ta część Montany przypomina Saharę i nie jest miejscem, w którym mieszkaniec Alabamy byłby szczęśliwy. Przekomarzał się z Berner, pytając, czy czuje się

mieszkanką Alabamy, bo on stamtąd pochodzi. Kiedy zaprzeczyła, spojrzała na mnie, marszcząc czoło i wydymając wargi. Oświadczyłem ojcu, że ja też nie czuję się mieszkańcem Alabamy, co go wyraźnie rozbawiło. Powiedział, że jesteśmy Amerykanami i że tylko to się liczy. Później zobaczyliśmy wielkiego kojota stojącego na drodze z królikiem w pysku. Zwierzę zatrzymało się i spojrzało na samochód, a później odeszło, znikając w wysokiej pszenicy. Widzieliśmy też ptaka, którego nasz ojciec nazwał orłem przednim, wiszącego na idealnie błękitnym niebie, osaczonego przez wrony, które chciały go odpędzić. I trzy sroki dziobiące węża, który pospiesznie pełzł po jezdni. Nasz ojciec wykonał raptowny skręt i przejechał po nim tak, że spod opon doleciały dwa głuchoe stuknięcia, a sroki uciekły.

Jechaliśmy kilka kilometrów żwirową drogą, wlokąc za sobą tuman kurzu, dopóki pszenica się nie skończyła i jej miejsca nie zajęło wysuszone, ogrodzone siatką i wygryzione przez bydło pastwisko z kilkoma chudymi krowami stojącymi nieruchomo przy rowach. Ojciec zwolnił i nacisnął klakson, co spowodowało, że zwierzęta wierzgnęły i prychnęły. Usuwały się z drogi z gnojem ciekącym po zadach.

– Wybaczcie nam – powiedziała Berner, patrząc na nie z tylnego siedzenia.

Po chwili minęliśmy niski niemalowany drewniany dom stojący przy drodze na gołej ziemi. W dole widać było drugi, a później trzeci, ledwie majaczący w dali. Wszystkie były zniszczone, jakby coś się z nimi stało. Pierwszy nie miał frontowych drzwi ani szyb, a jego tylna część się zawaliła. Na podwórku walały się fragmenty karoserii, metalowa rama łóżka i biała lodówka. Wszędzie chodziły kury, dziobiąc suchą ziemię. Kilka psów przysiadło na stopniach, obserwując drogę. Biały koń z uzdą stał przywiązany do drewnianego słupka z boku domu. Ktoś zaparkował ciężarówkę z naczepą w polu za budynkiem, a obok niej mniejszą furgonetkę z wymalowanym napisem „Dywany z Havre”. Kilku chudych chłopców – jeden bez koszuli – stanęło w pustej framudze i patrzyło, jak przejeżdżamy. Berner pomachała im ręką, a jeden z nich odmachnął.

– Ci chłopcy to Indianie – wyjaśnił ojciec. – Mieszkają tutaj. Nie są takimi szczęściarzami jak wy. Nie mają prądu.

– Dlaczego tu mieszkają? – spytała Berner.

Spojrzała przez tylną szybę na obłok kurzu, rozlatujący się dom i chłopców. Nic w ich wyglądzie nie wskazywało na to, że są Indianami, chociaż wiedziałem, że nie wszyscy Indianie mieszkają w tipi, śpią na ziemi i noszą pióropusze. Żaden z przedstawicieli tej społeczności nie uczęszczał do mojej szkoły, ale słyszałem, że niektórzy z nich się upijali i ludzie znajdowali ich zimą na drodze przymarzniętych do asfaltu. Wiedziałem też, że Indianie pracują w biurze szeryfa, które zajmuje się wyłącznie przestępstwami popełnianymi przez czerwonoskórych. Sądziłem jednak, że tam, skąd pochodzą, będą wyglądać inaczej. Ci dwaj chłopcy jednak nie różnili się niczym ode mnie, choć ich dom mógł runąć w każdej chwili. Zastanawiałem się, gdzie są ich rodzice.

– Mogłabyś zadać to samo pytanie członkom rodziny Parsonsów, nie uważasz? – odrzekł mój ojciec, jakby był to żart. – Co my robimy w Montanie? Powinniśmy być w Hollywood. Ja mógłbym być na przykład dublerem Roya Rogersa.

Później zaczął nucić piosenkę. Ojciec często śpiewał. Miał miękki aksamity głos, którego lubiłem słuchać. Berner zaś zwykle zatykała wtedy uszy. Tym razem była to piosenka Dom, dom na prerii, gdzie bawią się kozy i gruboskórce. Był to jeden z jego dowcipów. Pomyślałem, że indiańscy chłopcy nie grają w szachy, nie prowadzą dyskusji i pewnie w ogóle nie chodzą do szkoły, bo nie jest im to do niczego potrzebne.

– Podziwiam Indian – oznajmił nagle ojciec, gdy przestał śpiewać. Później jechaliśmy w milczeniu.

Minęliśmy kolejny rozpadający się dom, obok którego stał przewrócony do góry nogami czarny samochód bez opon i szyb w oknach. W dachu domu były duże dziury między dachówkami. Przy drzwiach rosły wysokie bzy i malwy jak u nas i ktoś zrobił okrągłą zagrodę dla świń z chłodnic samochodowych. Znad chłodnic sterczały świńskie ryje i uszy. Za domem stał rząd pomalowanych na biało uli; widać ktoś z domowników hodował pszczoły. Pasieka zwróciła moją uwagę. Przeczytałem książkę o pszczołach i zamierzałem przekonać ojca, aby pomógł mi zbudować ul i postawić go na podwórku. Wiedziałem też, gdzie można kupić pszczoły w stanie Georgia. Usłyszałem w radiu, że na placu targowym niedaleko naszego domu zostaną zorganizowane Targi Stanowe Montany. Chciałem odwiedzić dział pszczelarski ze specjalistycznym sprzętem i pokazami podkurzaczy, wystawą odzieży i produktów. Sądziłem, że hodowla tych owadów jest

bardzo podobna do gry w szachy: jedno i drugie było skomplikowane, rządziło się jasno określonymi zasadami, wymagało umiejętności i wyznaczania celów, kryło też w sobie możliwości sukcesu, które dało się dostrzec jedynie dzięki cierpliwości i pewności siebie. „Pszczoły odsłaniają sekrety wszystkich ludzkich spraw” – napisano w Bee Sense, książce, którą wypożyczyłem w bibliotece. Wszystkich tych rzeczy mógłbym się łatwo nauczyć w drużynie skautów, gdyby moja matka na to pozwoliła. Ale się nie zgodziła.

Korpulentna kobieta o bladej cerze, w szortach i górze od kostiumu kąpielowego stanęła w drzwiach frontowych i osłoniła oczy przed słońcem, kiedy przejeżdżaliśmy.

– W Alabamie też mamy Indian – podjął mój ojciec tonem, który miał przekonać Berner i mnie, że wszystko, co tu widzimy, jest najzupełniej normalne, na wypadek gdybyśmy pomyśleli, że jest inaczej. – Oprócz nich są Czikasawowie, Czoktawowie i ci wasi „Błotni Bułgarzy”. Wszyscy są spokrewnieni z ludźmi, których tu widzicie. Oczywiście żadne z tych plemion nie zostało potraktowane sprawiedliwie, mimo to zachowały poczucie godności i szacunku dla siebie.

Nie dostrzegłem tego w domostwach, które mijaliśmy, choć zrobiło na mnie wrażenie to, że Indianie znają się na pszczołach.

– Gdzie jest ranczo, które chcesz sprzedać? – zapytałem.

Ojciec pochylił się i poklepał mnie w kolano.

– Minęliśmy je dawno temu, synu. Nie wyglądało najlepiej jak na mój gust. Jesteś bystry, pamiętałeś. Słuchajcie, dzieci, chciałem, żebyście zobaczyli kilku prawdziwych Indian, skoro tu mieszkacie. Musicie umieć rozpoznać Indianina, kiedy go zobaczycie. Mieszkacie w Montanie. Indianie są częścią tutejszego krajobrazu.

Chciałem podjąć temat targów stanowych, skoro ojciec był w dobrych humorze, ale on myślał wyłącznie o rdzennych mieszkańcach tych terenów, więc uznałem, że zmarnuję okazję.

– Nikt nie odpowiedział na pytanie, dlaczego oni tu mieszkają – przypomniała Berner. Była spocona i kreśliła wilgotnym palcem wzór na miałkim kurzu pokrywającym jej piegowate ramię. – Przecież nie muszą. Mogliby mieszkać w Great Falls. Stany to wolny kraj. To nie Rosja ani Francja.

Ale ojciec przestał zwracać na nas uwagę. Przejechaliśmy kolejny kilometr drogą zrytą koleinami, aż zbliżyliśmy się do Bear's Paw na taką odległość, że mogłem dostrzec linię drzew i płaty brudnego śniegu w miejscu, gdzie przez całe lato nie docierało słońce. Tam gdzie się znajdowaliśmy, było gorąco, ale gdyby wejść wyżej, zrobiłoby się zimno. W pewnym momencie skręciliśmy z drogi na wysuszoną jałową ziemię, która ciągnęła się bez końca, przejechaliśmy między słupkami ogrodzenia, na których nie było siatki, i zawróciliśmy tam, skąd przybyliśmy, mijając rozpadające się domy po lewej i Indian, a potem Box Elder. Miałem wrażenie, że przyjeżdżając tutaj, niczego nie osiągnęliśmy, niczego, na czym zależało ojcu, czym się martwił lub co musiał zobaczyć – niczego, co miałoby związek ze sprzedażą lub z kupnem rancza. Nie miałem pojęcia, dlaczego odbyliśmy tę podróż. Nie rozmawialiśmy o tym z siostrą, kiedy wróciliśmy do domu.

Do pierwszego tygodnia sierpnia mój ojciec, facet z Great Northern oraz ich wspólnicy z plemienia Kri dokonali trzech pomyślnych transakcji. Krowy skradziono, ubito i dostarczono na miejsce. Pieniądze przeszły z rąk do rąk. Indianie odjechali. Wszyscy się rozluźnili. Mój ojciec był przekonany, że nowe rozwiązanie dobrze działa. Nie czuł się zagrożony w roli pośrednika i nic go nie niepokoiło. Uważał, że skoro sprawy idą gładko, będzie tak wiecznie. Rząd opiekował się Indianami, a siły powietrzne chroniły naszego ojca przed życiem, z którym ma do czynienia większość śmiertelników. Ponieważ ojciec znał się na wojennym rzemiośle (po mistrzowsku opanował celownik Nordena, zrzucił bomby na nieznanym sobie ludzi i nie dał się zabić), czuł, że pozostawanie pod czyjąś opieką jest usprawiedliwione, co wzmacniało jego skłonność do niezagłębiania się zbyt w jakiejkolwiek sprawy. W przypadku przekrętu z wołowiną oznaczało to, iż zapomniał, że pośrednictwo w handlu kradzionym mięsem nie wyszło mu na dobre w bazie sił powietrznych. Proceder ten kosztował ojca utratę stopnia kapitana i w taki lub inny sposób spowodował przeniesienie do cywila na długo, zanim był do tego przygotowany – jeśli kiedykolwiek byłby do tego gotów po spędzeniu tak długiego czasu poza nim.

Możliwe, że przenikliwość i wyniosłość matki upewniły ojca, iż bacznie go obserwuje i zastanawia się, czy kolejne niepowodzenie nie będzie wystarczającym powodem do odejścia. Że mimo jego widocznych sukcesów, pogodnej natury i nowego startu w cywilnym życiu jej wątpliwości narastają, osłabiając „wyczucie”, które rzekomo miał do tego, co robił. Chciał jedynie, aby wszystko szło utartym torem dopóty, dopóki nie zacznie się nowy rok szkolny i matka nie zacznie uczyć. Będzie mógł wtedy spokojnie zgłębiać tajniki sprzedaży farm i rancz oraz umożliwi zajmowanie się nielegalnym procederem z Digbym i Indianami – bo przecież robił to tylko dla naszego dobra.

Mimo to nasze ówczesne życie wydawało się całkiem normalne. Pamiętam, że na początku sierpnia ojciec nalegał, abyśmy poszli do kina Liberty na sobotni popołudniowy seans Szwajcarskich Robinsonów. Ojciec i ja uwielbialiśmy ten film, ale matka uparła się, żebyśmy czytali z Berner książkę – tę, która została jej z ogólniaka i była znacznie mniej optymistyczna i romantyczna od filmu. Na początku sierpnia Berner zaczęła chodzić na zajęcia do Zgromadzenia Sióstr Opatrzności Bożej, wracała do domu z kolejnymi książkami i rozmawiała o tym, co zakonnice mówiły o senatorze Kennedym. Ludzie z Południa, twierdziły siostry, nie pozwolą mu wygrać lub ktoś go zastrzeli przed dniem wyborów. Ojciec zapewnił nas, że to nieprawda, że wiele osób Południa nie rozumie, chociaż papież w Rzymie zaakceptował amerykański styl życia, a ojciec Kennedy’ego był baronem whisky. Rozmawialiśmy także o wieży Space Needle. Ojciec powiedział, że chciałby ją zobaczyć i zabierze nas do Seattle. W tym czasie moja siostra dwa razy przyprowadziła swojego chłopaka pod nasz dom, chociaż nigdy nie wszedł do środka. Lubiłem go. Nazywał się Rudy Patterson. Był o rok starszy ode mnie, należał do mormonów (kiedy na niego spojrzałem, Rudy wyjaśnił, że między innymi oznacza to, iż są poligamistami) i już chodził do szkoły średniej, co spowodowało, że wydał mi się niezwykle intrygujący. Był chudy, wysoki, miał rude włosy i duże stopy oraz rzadkie jasne wąsiki, którymi bardzo się chełpił. Kiedyś poszliśmy na drugą stronę ulicy, żeby pograć w kosza przy tablicach zainstalowanych przez miasto. Wyznał mi, że planuje rzucić naukę, pojechać do Kalifornii i wstąpić do zespołu muzycznego lub do marines. Zapytał Berner, czy chciałaby razem z nim pojechać lub później się spotykać, ale odmówiła. Rudy powiedział, że Berner jest twarda jak skała, co było prawdą. Kiedy graliśmy w koszykówkę pod gęstym słodkim listowiem wiązów i jesionolistnych klonów, szumiących cykadami, siostra siedziała na stopniach werandy – dokładnie tak jak matka – mrużąc oczy od słońca, obejmując kolana i patrząc na nas.

– Nie mów mu, co powiedziałam! – zawołała. – Nie chcę, żeby znał moje sekrety!

Nie wiedziałem, do którego z nas mówi – Rudy’ego czy mnie. Nie znałem żadnych sekretów Berner, chociaż kiedyś sądziłem, że wiem o niej wszystko, bo jesteśmy bliźniakami. Ale w tym czasie już ze mną nie

rozmawiała i traktowała tak, jakbym był znacznie młodszy od niej i jakby jej życie zaczęło zmierzać w inną stronę, oddalając się od mojego.

Oczywiście były też złe rzeczy, naprawdę złe, o których dowiedziałem się pod koniec pierwszego tygodnia sierpnia, kiedy ojciec wrócił wieczorem do domu. Chociaż go nie widziałem, czułem, że dzieje się coś dziwnego. Dzieci są wrażliwe na takie rzeczy: zbyt głośne trzaśnięcie drzwi na werandę, ciężkie stukanie obcasów na deskach podłogi lub skrzypnięcie drzwi do sypialni i głos, który zaczyna coś mówić, a później drzwi się zamykają i ze środka dolatują jedynie stłumione dźwięki.

Była połowa lata, w suchym powietrzu unosił się kurz, nasilając alergię Berner. Wczesnym wieczorem, przed przystąpieniem do gotowania obiadu, matka włączała wentylator na poddaszu i leżała w wannie wypełnionej chłodną wodą, a pastelowe światło wpadało do środka przez kwadratowe okienko. Stawiała zapaloną świeczkę na toalecie i wychodziła z wody dopiero, gdy ta zrobiła się zimna. Ojca nie było w domu, bo zgłębiał tajniki sprzedaży ziemi. Kiedy wrócił, poszedł prosto do łazienki i zaczął rozmawiać z mamą ożywionym głosem. Zamknął drzwi, więc nie słyszałem, o czym mówił, ale doleciały mnie słowa „wpakowałem się w tarapaty...”. Byłem w swoim pokoju, czytałem o pszczołach i słuchałem radia. Postanowiłem udoskonalić strategię, aby dostać się na targi stanowe, bo w ciągu czterech lat ani razu na nie nie pojechaliśmy. Matka uważała, że chodzenie na targi nie ma sensu, bo nie lubiła konnych przejazdów i zapachu wsi, a Berner nie była nimi zainteresowana.

Ojciec długo rozmawiał z matką w łazience. Na dworze zaczęło się ściemniać, więc siostra wyszła ze swojego pokoju i zapaliła światło w salonie, a później zaciągnęła zasłony i wyłączyła wentylator. W całym domu panowała cisza.

Drzwi łazienki otworzyły się na chwilę i ojciec powiedział: „Później będę się o to martwić”, a matka odrzekła: „Oczywiście, nie obwiniasz o to siebie”. Ojciec podszedł do otwartych drzwi mojego pokoju. Miał czarne buty marki Acme, białą koszulę z kieszeniami w kształcie strzały i guzikami z masy perłowej oraz pasek z wężowej skóry. Lubiał elegancko się nosić, bo przez większość życia chodził w mundurze. Podczas nauki sprzedaży rancz doszedł do wniosku, że musi wyglądać jak ranczer, chociaż nie miał zielonego pojęcia o tym fachu. Spytał, co robię. Odrzekłem, że

czytam o pszczołach i chcę pójść na targi stanowe, o czym już wcześniej wspomniałem. Będzie tam namiot organizacji 4H, gdzie chłopcy w moim wieku będą pokazywać, jak hodować pszczoły i zbierać miód.

– Widzę, że to poważna sprawa – powiedział ojciec. – Musisz uważać, żeby pszczoły nie pożądliły cię na śmierć. Słyszałem, że chmary tych owadów mogą się rzucić na człowieka.

Później stanął w drzwiach pokoju mojej siostry, zapytał, co robi, i rozmawiali o jej rybkach. Matka wyszła z łazienki z poważną miną. Miała na sobie zielony płaszcz kąpielowy i ręcznik, którym owinęła mokre włosy. W takim stroju udała się do kuchni i zaczęła wyjmować jedzenie z lodówki. Ojciec poszedł za nią i oświadczył:

– Wszystko wyjaśnię.

Matka coś odpowiedziała, ale nie usłyszałem co, bo zrobiła to szeptem. Później ojciec wyszedł na werandę, gdzie było ciemniej i chłodniej. Na ulicy paliły się lampy. Ojciec usiadł na huśtawce, która miała cienki skrzypiący łańcuch, i zaczął się kołysać w rytm cykad. Słyszałem, że mówi coś do siebie, po czym poznałem, że jest zmartwiony. (Często mówił do siebie – oboje to robili – jakby pewnych rozmów nie można było prowadzić z innymi. Kiedy coś ich niepokoiło, takich monologów pojawiała się więcej). Bujał się rytmicznie, a później nagle się roześmiał. Po chwili ruszył w stronę ulicy, wsiadł do samochodu i odjechał – pewnie żeby wyjaśnić sprawę, która go niepokoiła.

Następnego dnia była niedziela. Jak zwykle nie poszliśmy do kościoła. Mój ojciec miał dużą rodzinną Biblię, w której widniało jego nazwisko. Trzymał ją w szufladzie swojej komody. Oficjalnie był członkiem Kościoła Chrystusa i został zbawiony wiele lat temu, kiedy mieszkał w Alabamie. Matka podawała się za „etyczną agnostyczkę”. Berner mówiła, że wierzy we wszystko i nic, co wyjaśniało, dlaczego była taka, jaka była. Nie przypominam sobie, abym ja w coś wierzył. Nie wiedziałem nawet, co to słowo oznacza. Wiedziałem jedynie, że ptaki latają, a ryby pływają, czyli to, czego można dowieść. Mimo to niedziela różniła się od pozostałych dni tygodnia. W niedzielę rzadko się do siebie odzywaliśmy i robiliśmy to cicho, szczególnie rano. Ojciec oglądał wiadomości w telewizji, a później mecz baseballu ubrany w bermudy i T-shirt, czego nie robił w dni powszednie. Matka czytała i przygotowywała jesienny plan zajęć, a także

pisala kronike, ktora zaczela prowadzic, gdy byla nastolatka. Po sniadaniu zwykle szla na dlugi samotny spacer w gore Central Avenue, mijajac rzeka i dochodzac do miasta, gdzie ulice byly opustoszone i prawie nic sie nie dzialo. Ponzniej wracala do domu i zabierala sie do szykowania obiadu. Ja przeznaczalem niedziele na cwiczenie zagrywek szachowych i uczenie sie zasad gry, bo kolezdy z klubu powiedzieli, ze zasady sa kluczem do wszystkiego. Gdybym przyswoil je wszystkie, moglbym grac intuicyjnie i odwaznie – czyli tak, jak to robil Bobby Fischer nawet wtedy, gdy mial siedemnaście lat i byl niewiele starszy ode mnie.

W niedziele rano rodzice nie wspomnieli o tym, co trzeba bylo „wyjasnic” poprzedniej nocy, ani o tym, o czym przez godzine gadali w lazience. Nie wiedzialem, kiedy moj ojciec wroutil do domu ani skad. Jak zwykle ogladal telewizje w bermudach. Kilka razy zadzwonil telefon. Dwukrotnie podnioslem sluchawke, ale linia pozostawala glucha – co nie bylo niczym niezwyklym. Nikt nie zasugerowal, ze dzieje sie cos dziwnego. Matka poszla jak zazwyczaj na spacer do miasta, a ojciec ogladal Meet the Press. Interesowal sie wyborami i uwazal, ze komuniści opanuja Afryke, ale Kennedy mimo to zwyciezyl. Berner i ja wyszlimy na rozgrzane podworke i przestawilimy tyczki z siatka do badmintona, zeby miec wiecej miejsca do gry obok domu. Nastal ladny spokojny poranek. Obok garazu kwitly malwy. W Great Falls nie bylo co robic.

O jedenastej luteranie Syjonu, ktorzy mieli kosciol po drugiej stronie ulicy, jak zwykle zaczeli bic w dzwony i przyjmowac ludzi pod swój dach. Jak zwykle pojawily sie tez osobowki i furgonetki, parkujac przy krawezniku naprzeciw naszego domu. Rodziny z dziecmi podazaly do szarego drewnianego budynku i znikaly w srodku. Lubilem na nich patrzec z hustawki na werandzie. Byli w wesołym nastroju, rozmawiali i chichotali, zajeci sprawami, w ktorych, jak sadzilem, zgadzali sie z soba. Kiedyś poszedlem do ich kosciola w tygodniu, zeby zobaczyc, co jest w srodku, ale drzwi okazaly sie zamkniete. Szary budynek z desek szalunkowych wygladal jak sklep, który zbankrutowal.

Kiedy dzwony luteranow zaczely bic, przed nasz dom zajechal stary samochod. Pomyslalem, ze kierowca zaraz wysiadzie i przejdzie na druga strone. Ale on po prostu siedzial w starym, niestarannie pomalowanym plymoucie i palil papierosa, jakby czekal, az cos lub ktos zwróci na niego uwage. Samochod pochodził z lat czterdziestych, byl ublocony i pelen

wgniecień, ale z jakiegoś powodu wydał mi się znajomy. Tylną boczną szybę wybito, miał różne opony, a na jednej z tyłu brakowało nakrętki na wentylu. Pojazd najwyraźniej przeżył kilka stłuczek i nie pasował do naszego domu, zaparkowany za należącym do ojca bel airem, który był czysty i błyszczący.

Mężczyzna siedział w środku, a my z Berner patrzyliśmy na niego z bocznego podwórka, stojąc obok siatki do badmintona z raketami w ręku. Później rozejrzał się wokół i wygramolił na betonowy chodnik, co sprawiło, że drzwi po jego stronie głośno zgrzytnęły, zanim poruszył nimi ponownie. Niemal w tym samym momencie nasz ojciec stanął w drzwiach, nadal w bermudach, a później ruszył chodnikiem, jakby chciał sprawdzić, czy obcy się wyniesie. Jakby natychmiast trzeba było coś z tym zrobić. Oboje usłyszeliśmy, jak ojciec mówi: „Hola, nie tak prędko! Hola, hola! Hola, hola!”, kiedy tamten szedł wolno chodnikiem. „Nie musiałeś tu przyjeżdżać! To mój dom! – zawołał. – Załatwimy sprawę!” Zaśmiał się, gdy to powiedział, chociaż wydawało się, że w całej sytuacji nie ma nic śmiesznego.

Mężczyzna stanął na betonowej ścieżce, groźnie opuścił brodę i spojrzał na naszego ojca. Nie cofnął się, kiedy ten zaczął się zbliżać. Nie wyciągnął ręki na powitanie ani się nie uśmiechnął. Był ubrany, jakby przyjechał z miejsca, gdzie jest zimno – miał na sobie ciężkie, rdzawoczerwone wełniane spodnie, zniszczone brązowe buty na gołych stopach i jasnoczerwony rozpinany sweter naciągnięty na brudną, szarą sportową bluzę. Dziwny ubiór jak na sierpień.

Gdy tylko wyszedł na chodnik, stało się jasne, że bolą go nogi. Pomagał sobie ramionami i zginał kolana do środka. Nie należał do roślących mężczyzn, ale wydawał się ociężały, jakby jego kości były grube i trudne do wprawienia w ruch. Miał lśniąco czarne włosy upięte w długi kucyk i grube okulary w czarnej oprawce. Jego pomarańczowa cera była usiana bliznami po trądziku. Do tego rzadka rozwichrzona kozia bródka i plaster band-aid na szyi. Wyglądał na pięćdziesiąt lat, choć równie dobrze mógł być młodszy. Dziwnie wyglądał na naszym podwórku, bo sprawiał wrażenie nieszczęśliwego z tego powodu. Chociaż Berner i ja staliśmy daleko, czułem jego smród – woń mięsa zmieszana z zapachem lekarstw.

Kiedy nie podał ojcu dłoni i się nie wycofał, ojciec położył mu rękę na ramieniu i przystąpił bliżej, żeby go zawrócić. Później zaczęli rozmawiać,

zmierzając w stronę plymoutha zamiast do domu. W pewnej chwili mężczyzna zszedł z betonu na trawę i wyrwał się z uścisku ojca. Obejrzał się do tyłu – ale nie w stronę Berner i mnie, jakby nie chciał patrzeć ani na niego, ani na nas. Później przemówił. Siostra i ja usłyszeliśmy, co powiedział: „To się może źle skończyć. Dla wszystkich, kap”. Kiedy ojciec służył w siłach powietrznych, ludzie mówili do niego „kap”. Mężczyzna rozejrzał się wokół i ponownie skupił wzrok na ojcu. Powiedział coś jeszcze, pod nosem, jakby wiedział, że patrzymy, i nie chciał, abyśmy go usłyszeli. Kiedy skończył, skrzyżował ramiona i odchylił plecy, wysuwając jedną stopę przed drugą w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Jakby patrzył, jak odpływają od niego własne słowa. Ojciec, milcząc, skinął głową i wsunął dłonie w kieszenie bermudów. Później tamten zaczął szybko mówić, z wyraźnym napięciem. Zwracał się do ojca stłumionym głosem, ale zdołałem usłyszeć wypowiedziane z naciskiem słowo „ty”, słowo „ryzyko” i słowo „brat”. Ojciec spojrział w dół na swoje gumowe sandały i gołe stopy, pokręcił głową i powiedział: „Nie, nie, nie”, w taki sposób, jakby zgadzał się z czymś, co usłyszał, choć mówił zupełnie co innego. Później rzekł: „Przepraszam, ale to nie ma sensu” i „Rozumiem, w porządku”. Jego ciało przeszył dreszcz, jakby poczuł ulgę lub był rozczarowany. Wtedy tamten człowiek – później dowiedzieliśmy się, że to był Marvin Williams, na którego wołali „Mysz”, Indianin z plemienia Kri – odwrócił się i bolesnym krokiem odszedł bez słowa do swojego plymoutha, wiosłując ramionami, z kolanami ugiętymi do środka. Trzasnął drzwiami, uruchomił silnik i odjechał, nie spojrzawszy na ojca, który stał na betonowej ścieżce w szortach i sandałach i patrzył, jak samochód się oddala. Dzwony luteranów zaczęły ponownie bić, ogłaszając ostatnie wezwanie na nabożeństwo. Mężczyzna w jasnoszarym garniturze zamknął oba skrzydła drzwi ich świątyni, spojrział w stronę naszego domu i pomachał ręką, ale ojciec go nie zauważył.

Później matka wróciła z porannego spaceru i zrobiła bliny – swoją ulubioną potrawę. Podczas posiłku ojciec niewiele się odzywał. Opowiedział dowcip o wielbłądzie, który miał trzy garby i zrobił „muuu”, i dodał, że Berner i ja powinniśmy się nauczyć sztuki opowiadania dowcipów, bo dzięki temu ludzie będą nas lubić. Później razem z matką poszli do swojej sypialni,

zamknęli drzwi i siedzieli tam bardzo długo – znacznie dłużej niż w łazience poprzedniego wieczoru.

Zanim nasza matka wróciła ze spaceru, ojciec zdjął sandały i grał z nami w badminton na podwórku jeden na dwóch. Biegał tam i z powrotem, aż na górnej wardze wystąpił mu pot i stracił oddech, starając się trafić lotkę, śmiejąc się i świetnie bawiąc – jakby nie mogło być lepiej, a wizyta Indianina nie była niczym ważnym. Berner zapytała, jak się nazywa ten człowiek, a ojciec odparł, że to Marvin Williams, członek plemienia Kri. Williams był „biznesmenem”, wyjaśnił nasz ojciec. „Uczciwym, ale wymagającym biznesmenem”. W pewnej chwili stanął na rozgrzanym, porośniętym trawą podwórku z rękami na biodrach, uśmiechnięty, z poczerwieniałą spoconą twarzą, zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział, że niebawem nasza sytuacja się poprawi. Może nie zostaniemy w Great Falls, ale przeprowadzimy się do innego miasta, którego nazwy nie wymienił, gdzie są lepsze perspektywy – co mnie zaskoczyło i zmartwiło, bo szkoła zaczynała się za kilka tygodni, miałem pewne plany związane z szachami i uczyłem się wielu nowych rzeczy. Byłem nawet zadowolony z sytuacji, choć nie wiedziałem, w jakim kierunku zmierzają nasze sprawy. Później doszedłem do wniosku, że to właśnie wtedy, w godzinach, jakie nastąpiły po wizycie tego Indianina Williama Myszki, który stał na naszym podwórku i groził, że zabije ojca, może nawet pozabija nas wszystkich, jeśli nie otrzyma zapłaty (tego się po prostu domyśliłem), tata uznał, że trzeba zrobić coś niezwykłego, aby ocalić rodzinę, i wpadł na pomysł obrabowania banku. Zaczął myśleć o tym, na który bank napaść, kiedy to zrobić i jak wciągnąć do tego matkę, żeby zmniejszyć ryzyko wykrycia i uniknąć więzienia, co się jednak nie stało.

Później, gdy już poznałem całą historię w takim stopniu, w jakim miałem ją poznać, odkryłem, że w piątek poprzedzający tamtą sobotę, kiedy mój ojciec rozmawiał z matką w łazience, a później pojechał dokądś nocą, Indianie dostarczyli Digby’emu cztery ubite krowy hereford na rampę załadowniczą Great Northern i odjechali, oczekując, że następnego dnia ojciec im zapłaci. Digby zaś pomyślał, że skoro przekręt z kradzioną wołowiną idzie tak dobrze, może przyjąć więcej mięsa, które dostarczy przyjacielowi, szefowi kelnerów w innym pociągu Great Northern, i zostanie za to sownie wynagrodzony. Ojciec uznał, że taki obrót sprawy jest pomyślny dla każdego. Kiedy jednak w sobotnią noc pojechał po pieniądze do małego bungalowu Digby’ego w Black Eagle, Digby oświadczył, że mięso cuchnęło (było lato, zbyt gorąco, żeby transportować ubite krowy w samochodzie firmy dywaniarskiej pozbawionym chłodni) i nie nadawało się do podania nawet Indianom, a co dopiero klientom luksusowego wagonu restauracyjnego na trasie z Seattle do Chicago. Oznajmił też, że nie zamierza płacić ojcu za taki towar. Że już wywiózł półtusze i wrzucił do strumienia w Missouri, aby nikt – na przykład straż kolejowa – nie przyłapał go z nimi bez rachunku i nie zapytał, jakim sposobem znalazło się w chłodni na stacji.

Ojciec był niemile zaskoczony i oznajmił Digby’emu bez ogródek, że nie powinien przyjmować dostawy, jeśli wołowina była „nieświeża”. Skoro jednak ją przyjął, to on, Digby, jest odpowiedzialny za towar i musi za niego zapłacić (czteryście dolarów). Nasz ojciec uważał, że ten Digby – tyczkowaty jegomość o wyłupiastych oczkach i cichym dziewczynskim głose, w muszce i białej marynarce – po prostu przestraszył się Indian (bo im nie ufał, a oni nie ufali jemu), co spowodowało, że plan kupna większej ilości mięsa wydał się złym pomysłem, i rzeczywiście taki był. Konstatacja ta przerodziła się w jeszcze większą obawę, że zostanie przyłapany i straci dobrze płatną posadę. Później okazało się, że Digby był zamieszany w inną działalność przestępczą, za którą policja z Great Falls z przyjemnością

wsadziłaby go do więzienia: pracownicy wagonu restauracyjnego i stewardzi z pullmanów mieli dziewczyny na całej długości głównej linii kolejowej. Dziewczyny wsiadały w jednym mieście, załatwiały swoje interesy i wysiadały następnego ranka. Nasz ojciec ani przez chwilę nie wierzył, że Kri dostarczyli nieświeże mięso. Nie zdarzyło się to nigdy wcześniej, dlatego nie widział powodu, aby właśnie teraz miało tak się stać. Kiedy wrócił do domu Digby'ego (po naradzeniu się z moją matką, która siedziała w wannie), żeby ponownie zażądać czterystu dolarów, gotowy wyszarpnąć mu je z gardła (co nie było w jego stylu, ale doprowadziła go do tego rozpacz), Digby już wyjechał z miasta pociągiem Western Star do Chicago, gdzie miał inne życie. Zostawił naszego ojca, żeby sam załatwił sprawę z Indianami.

Ojciec znalazł się w położeniu, które mógł przewidzieć i podjąć odpowiednie środki ostrożności. Powinien na przykład być obecny w momencie, gdy mięso przechodziło z rąk do rąk, lub przygotować sobie odpowiednią ilość gotówki na wypadek, gdyby coś poszło źle. Miał jednak do dyspozycji tylko tyle, ile zostało mu z miesięcznej emerytury, niewielką kwotę, którą zarobiła nasza matka, ucząc przez dziewięć miesięcy w szkole, i naszego chevroleta. Rodzice nie odłożyli niczego na czarną godzinę, która teraz nadeszła. Nie mieli nawet rachunku bieżącego. Za wszystko płacili gotówką.

Następnego ranka w niedzielę Mysz alias Williams przyjechał do naszego domu, stanął na podwórku przed moim ojcem i powiedział, co powiedział: zagroził, że nas zabije, co ojciec potraktował bardzo poważnie. Williams oznajmił również, że on i jego wspólnicy narazili się na większe ryzyko, kradnąc cztery krowy zamiast jednej, że trudniej było zabić i przewieźć cztery sztuki i że zostali wyśmiani przez tego czarnucha Digby'ego, kiedy dostarczyli mięso i zażądali zapłaty sześciuset dolarów zamiast czterystu, jak wcześniej uzgodniono. Williams powiedział mojemu ojcu jeszcze, że straż rezerwatu obserwuje jednego z jego kumpli w związku z kradzieżą i że ten potrzebuje pieniędzy na podróż do Wyoming, aby zaszyć się tam na kilka miesięcy. Dlatego jemu, Williamsowi, i jego przyjacielom należą się teraz dwa tysiące dolarów zamiast sześciuset lub czterystu, na które się zgodzili. Nie wyjaśnił tylko, skąd ojciec miałby wziąć tę kwotę.

Ojciec nie przywykł, aby mu grozono. Był przyzwyczajony do tego, że jego stosunki z ludźmi dobrze się układają, że ich bawił i był podziwiany za swój wygląd, dobre maniery, południowy akcent i bohaterską służbę bombardiera podczas wojny. Natychmiast więc zaczął się zastanawiać i kombinować, gdzie znaleźć pieniądze, i szybko wpadł na niezwykle pomysł obrabowania banku. Wtedy wydawało się to lepsze niż pozwolić, aby Indianie zabili jego i moją matkę oraz Berner i mnie. Lepsze od zebrania całej naszej trójki, załadowania do bel aira i porzucenia wszystkiego w środku nocy tak, aby więcej o nas nie słyszano. Inne sposoby rozwiązania sytuacji – wzięcie pożyczki (nie posiadał zdolności kredytowej, teściowie go nie lubili, nie miał stałego wynagrodzenia ani niczego, co mógłby zastawić, żeby dostać pieniądze), udanie się na posterunek policji w Great Falls lub dogadanie się z Williamsem – nie przyszły mu do głowy lub uznał, że tylko ją pogorszą. Później, kiedy przypomniał sobie o możliwości pójścia na policję i zdania się na jej łaskę, już postanowił, że napad na bank jest dobrym rozwiązaniem, i tak zostało.

Kiedy już po procesie moja matka przebywała w Kobięcym Więzieniu Stanowym Dakoty Północnej w Bismarck, opisała w swojej kronice następne dni i te, które je poprzedziły – szczegółowo wyjaśniając, dlaczego ona i ojciec to zrobili. Gdy uczęszczała do college'u w Walla Walla, marzyła o tym, żeby zostać poetką, i sądziła, że dobrze napisana historia zapewni jej przyszłość, kiedy już wyjdzie z więzienia, co jednak nigdy nie nastąpiło. W kronice bardzo krytycznie wyraża się o ojcu i jego wadach. Nie tłumaczy się ani nie twierdzi, że oszalała lub została zmuszona do wzięcia udziału w napadzie, nie stara się nawet wyjaśnić, jak została do tego namówiona. (Wyraża jedynie żal z powodu tego, co spotkało moją siostrę i mnie). Píše, że wierzyła, iż jest taką osobą, za jaką zawsze się uważała – refleksyjną i inteligentną, o dużej wyobraźni, może jeszcze odrobinę wyobcowaną i sceptyczną, oszczędną i wesołą. (Wcale taka nie była). Z powodu tych wartości nie chciała, abyśmy z Berner przystosowali się do życia w miejscach, gdzie rzuciła nas służba ojca w siłach powietrznych. Miała poczucie, że to nas osłabi, skazi w nas to, co dobre, uczyni typowymi mieszkańcami Missisipi, Teksasu, Michigan, Ohio i innych miejsc, o których miała niskie mniemanie. W swojej kronice używa słów: „osłabienie”, „wyobcowanie”, „zastój”, „skażenie”. Wiedziała,

że nigdy nie powinna wyjść za ojca – że powinna była przewidzieć, iż byliby bardziej szczęśliwi, gdyby się nie pobrali. Napisała też o poślubieniu profesora college’u, tworzeniu poezji i tym podobnych rzeczach. Że zdecydowanie powinna była opuścić ojca, kiedy pojawił się pomysł napadu na bank, skoro już wcześniej o tym myślała. Dopiero później odkryła, że oprócz wszystkich prawdziwych rzeczy, które o sobie wiedziała, była także słaba. Nigdy wcześniej matce nie przyszło to do głowy, ale jej zdaniem właśnie z tego powodu poślubiła uśmiechniętego, przystojnego i romantycznego Beva Parsonsa. (Była w ciąży, lecz mogła sobie z tym poradzić, bo dziewczyny z college’u wiedziały o tym nawet w latach czterdziestych). To właśnie ze względu na wspomnianą słabość nie rzuciła Beva dawno temu i nie zabrała nas z sobą. Fakty te upewniły ją w przekonaniu, że jest taka jak wszyscy inni, co w sposób nieuchronny (zgodnie z jej obłąkaną logiką) doprowadziło ją do obrabowania banku. Nie, żeby uważała się za przestępcę. Nigdy tak o sobie nie myślała. Rodzice nie wychowali jej tak, by była zdolna w coś takiego uwierzyć (mogło to mieć coś wspólnego z byciem Żydem w miejscu, gdzie nie przebywali żadni Żydzi, i przekonaniem o własnej wyjątkowości, które nie pozwalało na przyjmowanie rad i ostrzeżeń innych ludzi, niezależnie od tego, jak byłyby rozsądne).

Myślałem wtedy o tym, jacy młodzi byli nasi rodzice siedzący w swoich celach w areszcie okręgu Cascade. Ojciec trzydzieści siedem lat, matka – trzydzieści cztery. I o tym, że nie byli ludźmi zdolnymi od obrabowania banku. Ale ponieważ tak niewielu ludzi napada na banki, wydaje się, że ci, którzy tego dokonali, od początku byli na to skazani – niezależnie od tego, co o sobie sądzili lub jak zostali wychowani. Odkryłem, że nie potrafię inaczej o tym myśleć, bo w przeciwnym razie przygniótłby mnie ciężar tragedii.

Czyż jednak to nie dziwne myśleć w taki sposób o własnych rodzicach – że cały czas byli ludźmi, spośród których rekrutują się przestępcy? Że dokonał się cud, tylko w drugą stronę. Jestem pewien, że właśnie to miała na myśli moja matka, kiedy pisała, iż jest słaba. Dla niej te dwa słowa – „przestępca” i „słaby” – mogły oznaczać to samo.

W poniedziałek rano w naszym domu coś się zmieniło. Nadciągały wielkie wydarzenia – większe od nowej pracy ojca, jego odejścia z armii lub przeprowadzki do nowego miasta. Poprzedniego dnia rodzice siedzieli w swoim pokoju do późnej nocy i kłócili się za zamkniętymi drzwiami. Domyśliłem się, że ojciec postanowił zrobić coś, z czym nasza matka się nie zgadzała. Kilka razy usłyszałem trzaśnięcie drzwiami szafy i słowa matki: „Ostatni raz...”, „Nie wplączesz go...” i „To najbardziej zwariowany pomysł...”. Zawsze zaczynała podniesionym głosem, ale szybko go obniżała, więc nie mogłem dosłyszeć wszystkiego. Ojciec trzy razy wychodził z sypialni na werandę. (Słyszałem stukanie jego butów na deskach podłogi). Później wracał, zamykał drzwi do sypialni i ponownie zaczynali rozmawiać. „Znasz inne rozwiązanie? – zapytał. – Zawsze byłaś bojaźliwa w takich sprawach”. „Zapomniałaś, że już cię na tym złapali?” Po chwili wymieniali jedynie pojedyncze słowa, a później rozmowa całkiem się urywała. Wyszedłem z mojego pokoju do kuchni, w której paliło się światło, i wypłem szklanekę wody. Pod drzwiami ich pokoju widać było pasek pomarańczowej poświaty. Kiedy wgramoliłem się do łóżka, znalazłem w nim Berner. Nic nie powiedziała. Po prostu leżała, oddychając i próbując się uspokoić, z twarzą odwróconą do ściany, na której wisiały moje proporczyki college’ów. Nie spaliśmy w jednym łóżku od czasu, gdy mieszkaliśmy w Great Falls – chociaż kładliśmy się razem w mniejszych domach, kiedy byliśmy dziećmi. Nie czułem się swobodnie, ale wiedziałem, że nie zrobiłaby tego, gdyby nie stało się coś ważnego. Że podsłuchiwała jak ja. Leżała w ubraniu i pachniała papierosami oraz landrynkami. Zasnęliśmy, kiedy rodzice przestali rozmawiać. Gdy obudziłem się następnego rana, miałem zaciśnięte i obolałe pięści, a Berner zniknęła. Nie rozmawialiśmy o tej nocy, gdy zobaczyłem ją ponownie. Jakby nic się nie stało.

Rano ojciec bywał zwykle w dobrym humorze, ale w poniedziałkowy poranek zachowywał się tak, jakby z jakiegoś powodu ogarnął go smutek. Matka schodziła mu z drogi. Przygotowała śniadanie, a później usiedliśmy do stołu i zabraliśmy się do jedzenia. Ojciec spytał Berner i mnie znad jajecznic, co pożytecznego moglibyśmy zrobić dla republiki, jak zawsze gdy chciał poznać nasze plany. Przypomniałem mu, że tego dnia rozpoczynają się targi stanowe i że interesuje mnie wystawa pszczelarska – co mogłoby być użyteczne. Nie skomentował tego, jakby zapomniał o własnym pytaniu. Nie zażartował z niczego ani się nie uśmiechnął. Miał zaczerwienione oczy. Nie podziękował nawet matce za śniadanie. I nie ogolił się jak zwykle, gdy wychodził do bazy, choć zawsze przywiązywał do tego dużą wagę. Jego zarośnięta szczeka miała chore, sine zabarwienie. Jedynym tematem przy stole była jego kiepska forma, choć nikt nie poruszył go wprost. Zauważyłem, że matka spogląda na ojca znad okularów poirytowanym wzrokiem. Jej wargi były zaciśnięte i twarde, jakby potraktował ją w sposób, którego nie lubiła.

Ojciec z kolei nie miał na sobie swoich nowych spodni, czarnych butów ani koszuli z kieszeniami w kształcie strzały, którą wkładał, kiedy szedł do pracy w firmie handlującej farmami i ranczami. Zamiast tego włożył stary niebieski kombinezon sił powietrznych i parę białych, ubrudzonych farbą tenisówek – strój, który nosił, kiedy kosił trawę lub podlewał ogród. Gdy odszedł z armii, odciął stopień wojskowy i naszywkę z nazwiskiem „PARSONS”. Pomyślałem, że wyglądał jak ktoś, kto nie chce zostać rozpoznany przez znajomego.

Po śniadaniu rozmowy całkowicie ustały. Berner poszła do siebie, zamknęła drzwi i słuchała płyty na gramofonie. Matka sprzątnęła kuchnię, a później wyszła na werandę, gdzie w słońcu piła herbatę, rozwiązywała krzyżówki i czytała powieść na swoje zajęcia u zakonnicy. Ja chodziłem za ojcem po domu. Wydawało mi się, że dokądś jedzie, więc chciałem się dowiedzieć dokąd i czy mogę pojechać razem z nim. Z szafki w łazience wyjął swoją skórzaną kosmetyczkę na przybory toaletowe i włożył do środka różne przedmioty. Później wrzucił skarpetki i bieliznę do starej płóciennej torby wojskowej, a ja stałem w drzwiach łazienki i patrzyłem. Byliśmy rodziną, która nie podróżowała, chyba że ojca przeniesiono do nowego miasta. „Pozostawanie w jednym miejscu to luksus”, mawiał i był on jego największym marzeniem. Uważał, że w naszym kraju człowiek

może mieszkać, gdziekolwiek zechce. Nie ma znaczenia, gdzie się urodził. Na tym polega piękno Ameryki. Inaczej było w krajach, które wyzwoliliśmy podczas wojny, ograniczonych i prowincjonalnych. Bałem się, że rodzice postanowili się rozejść. Zachowanie ojca zdawało się na to wskazywać. Milczenie. Napięcie. Gniew. Ale jednocześnie nigdy nie słyszałem, żeby rozmawiali o rozstaniu.

Kiedy zobaczyłem, jak zapina niebieską torbę (zauważyłem, że włożył do niej pistolet – dużą czarną czterdziestkę piątkę, którą zabrał, odchodząc z wojska), spytałem:

– Dokąd jedziesz?

Podniósł głowę i spojrzał na mnie ze swojego łóżka. (Nasi rodzice spali oddzielnie). W domu było gorąco jak zwykle rano, bo dopiero po południu włączaliśmy wentylator na strychu. Uśmiechnął się, jakby mnie nie słyszał, co mu się czasem zdarzało. Ale zmęczony wyraz twarzy, który miał przy śniadaniu, zniknął, a jego skóra odzyskała dawną barwę.

– Jesteś prywatnym detektywem? Prowadzisz śledztwo? – zapytał.

– Tak – przytaknąłem. – Jestem. – Bałem się zapytać: „Czy rozchodzicie się z mamą?”. Nie chciałem tego usłyszeć.

– Wyjeżdżam w podróż służbową – oznajmił i zaczął majstrować przy torbie.

– Wrócisz?

– Jasne – odrzekł. – Dlaczego miałbym nie wrócić? Chciałbyś ze mną pojechać?

Nagle matka stanęła w drzwiach obok mnie. Położyła dłoń na moim ramieniu i zacisnęła palce. Nie była wysoka, ale potrafiła silnie chwycić.

– Nie pojedzie z tobą – wycedziła z naciskiem. – Mam dla niego robotę, która przyniesie pożytek krajowi.

Wypchnęła mnie za drzwi, weszła do sypialni i zamknęła je za sobą. Później usłyszałem, jak się kłóca, chociaż robili to szeptem. „Nie możesz... nie waz się pod żadnym pozorem...” – warknęła. A on na to: „Na rany Chrystusa! Później o tym pogadamy!”. Ojciec rzadko rzucał przekleństwami, podobnie jak matka. Berner za to przeklinała dużo. Nauczyła się tego od Rudy’ego. Byłem więc zaskoczony, że ojciec tak odpowiedział matce.

Pomyślałem, że matka może nagle otworzyć drzwi i będzie zła, że podsłuchuję, więc wróciłem do swojego pokoju i usiadłem nad zielono-

białą szachownicą. Uspokoilem się za rzędem białych figur ustawianych w konkretnym celu, czekających, aby na mój rozkaz wyruszyć do bitwy.

Chwilę później ojciec wyszedł frontowymi drzwiami, niosąc płócienną torbę z pistoletem w środku, i wszedł do samochodu. Nigdy nie powiedział mi, w jakiej sprawie wyjeżdża, ani się nie pożegnał. Podejrzywałem, że ta wyprawa nie ma nic wspólnego ze sprzedażą farm i rancz, ale z Indianinem, który zjawił się w naszym domu. Byłem przekonany, że chodziło o coś ważnego, w przeciwnym razie nie opuszczałyby domu w takim pośpiechu. Odniosłem też wrażenie, że w naszym życiu pojawiło się coś, czego nie było nigdy wcześniej.

W ciągu następnych dni ojciec jeździł po wschodniej Montanie i zachodniej części Dakoty Północnej (gdzie nie był nigdy wcześniej), szukając banku, który mógłby obrabować. Nie zamierzał zrobić tego od razu, ale na podstawie przyjętych kryteriów wybrać miasto i placówkę. Planował wrócić do Great Falls, na jakiś czas oddać się życiu rodzinnemu, a później napisać na upatrzony wcześniej oddział. Plan wydawał się przemyślany, możliwy do zrewidowania, a nawet całkowitego porzucenia – sprytniejszy, jak przystało na plan obrabowania banku. Do tego stopnia, że nie powinien przynieść nieprzewidzianych skutków, a ojciec nie powinien wylądować w więzieniu.

Oczywiście trudno to sobie wyobrazić... Gdy mijasz samochód na nieuczęszczanej wiejskiej drodze, siedzisz obok faceta w barze i wymieniacie się poglądami albo czekasz za klientem meldującym się w motelu, przyjaznym gościem o ujmującym uśmiechu i orzechowych oczach, który jest rad, że może ci opowiedzieć historię swojego życia, i pragnie, abyś go polubił... Trudno pomyśleć, że ten facet jeździ po okolicy z naładowanym pistoletem, wybierając bank, który niebawem obrabuje.

Myślę, że choć mój ojciec bał się Indian i lodowatego spokoju, z jakim Mysz Williams oznajmił, że nas załatwi, jeśli wkrótce nie dostanie swoich pieniędzy, podczas długiej podróży na wschód przez szerokie puste przestrzenie Montany, ciągnące się aż po Dakotę Północną, oglądania banków i miasteczek, w których mógłby się ukryć, liczenia funkcjonariuszy policji stanowej i zastępców szeryfa oraz podejmowania decyzji, jak daleko od granicy stanu powinien znajdować się bank (ojciec pochodził z Południa, więc granice miały dla niego znaczenie, jakiego nie posiadały dla ludzi z innych miejsc, gdzie mieszkaliśmy), pomysł napadu zaczął mu się wydawać rozsądnym, a przynajmniej akceptowalnym rozwiązaniem, które na dodatek nie budziło większych obaw. Wnioskuje to z jego zachowania, kiedy dwa dni później wrócił do domu, pewny siebie

i tryskający energią, ponownie w świetnym nastroju, jakby duży problem, z którym wyjeżdżał, okazał się najmniejszym zmartwieniem na świecie. Zwykle w ten sposób ojciec minimalizował kłopoty. Mam wrażenie, że nie odczuwał ciężaru sytuacji, bo przelotnie pomyślał nawet o tym, abym wziął udział w napadzie razem z nim. Dowiedziałem się o tym dopiero później, z kroniki mojej matki, bo przez zamknięte drzwi słyszałem tylko słowa, których w pełni nie rozumiałem: że według niego byłbym dobrym współnikiem. Matka (którą typował na drugą kandydatkę) została natychmiast rozpoznana z powodu cudzoziemskiego wyglądu i małego wzrostu oraz dlatego że była wrogo nastawiona do większości ludzi, co zdaniem ojca stanowiło obciążenie. Chciał, żeby napad został przeprowadzony w sposób uprzejmy. (Jestem przekonany, że zaproponowanie mnie na współnika skłoniło matkę, żeby się zgłosiła – i zrobiła coś, co było jej całkiem obce).

Wywnioskowałem później, że ojciec od dawna musiał myśleć o napadzie na bank, chociaż wcześniej nie traktował tego pomysłu poważnie. Z kroniki mojej matki zaś jasno wynika, że nie dopuszczał do siebie, iż może zostać złapany – był na to zbyt przebiegły. Poza tym żywił przekonanie, że obrabowanie „banku państwowego” jest „przestępstwem bez ofiar”, bo jeśli człowiek ukradnie mniej niż dziesięć tysięcy dolarów (ojciec zgarnął znacznie mniejszą kwotę), bank federalny zadba o to, aby żaden z depozytariuszy nie stracił pieniędzy. Jak powiedziałem, ojciec miał duże zaufanie do rządu, sięgające programu Nowy Ład i REA – lat jego służby w siłach powietrznych, kiedy władze dbały o wszystko, bo mu się to należało za służbę krajowi. Dziś można by go nazwać nieuleczalnym demokratą.

Jeśli chodzi o ryzyko schwytania, po sprawdzeniu, jak wygląda wschodnia Montana i zachodnie Dakoty (jałowe, puste, odludne i ubogie tereny), nie wyobrażał sobie, aby ktokolwiek go zauważył, szczególnie jeżeli obok niego nie będzie siedzieć moja matka. Wyda się przyjacielskim, niewzbudzającym podejrzeń facetem, ubranym tak, by nie zapaść nikomu w pamięć, jadącym z synem niepozornym samochodem. (Zamierzał ukraść tablice rejestracyjne z Dakoty Północnej, aby jego chevrolet stał się jeszcze bardziej niewidoczny). Wiedział, że nie wygląda na kogoś, kto mógłby obrabować bank. Że za pierwszym razem mógłby dokonać tego bez maski i przebrania. Że robi to szybko, a później rozplynie się w spieczonym

słońcem szerokim krajobrazie i wieczorem znajdzie się w Great Falls. Nikt nie wymyśliłby niczego sprytniejszego.

Plan mojego ojca miał sens dla osób określonego pokroju. Szeryf okręgu Cascade, na którego terenie znajduje się Great Falls, powiedział później reporterowi „Tribune”, gdy moi rodzice zostali już zatrzymani, iż wielu ludzi sądzi, że w Montanie można łatwo dokonać rabunku i nie zostać złapanym – więc pewnie dlatego dochodzi tam do tylu przestępstw (kolejna rzecz, o której mój ojciec nie wiedział). Ludzie myślą, powiedział szeryf, że po dokonaniu napadu zostaną wchłonięci przez ogromną pustą przestrzeń i nikt ich nie dostrzeże, bo jest tam zbyt mało ludzi, aby cokolwiek zauważyć. W rzeczywistości, ciągnął szeryf, rabuś, który napadł na bank w Montanie, zawsze się wyróżnia. W końcu jest zwykle jedynym, który popełnił to przestępstwo, dlatego odróżnia się od pozostałych, którzy mają świadomość, że go nie popełnili. Oprócz tego każdy zauważyłby przyjazną twarz mojego ojca, bo mało tam takich, nawet w najlepszych czasach.

Moja matka musiała o wszystkim wiedzieć. Kiedy w poniedziałek rano ojciec odjechał w niebieskim kombinezonie, z torbą, w której leżał naładowany pistolet, była tak przerażona, że ludzie nas zabiją (bo obrabowaliśmy bank, żeby zdobyć pieniądze), iż zaczęła zachowywać się tak, jakby nasze życie stało na progu wielkiej zmiany. Zapędziła nas do sprzątnięcia domu, choć nigdy wcześniej nie przywiązywała do tego większej wagi, bo zawsze mieszkaliśmy w wynajętych domach z nieszczelnym układem wodno-kanalizacyjnym i gazowym, brudnym już, gdy się wprowadzaliśmy. Zawiązała sobie czerwoną chustkę na głowie, upinając włosy do góry, włożyła stare bawełniane spodnie, które podwinęła w kostkach, wyszperała czarne gumowe rękawiczki, aby ocalić paznokcie, i zaczęła szorować podłogę w kuchni i płytki w łazience, wietrzyć szafy i myć okna, wyjmować naczynia z kredensów i zmywać półki środkiem Bab-O. Berner i ja otrzymaliśmy zadanie umycia wiórkami mydlanymi i szmatami podłóg i drzwi, stolarki i kątów szaf oraz ram okiennych w naszych pokojach. Później kazała nam umyć szyby octem, który wysuszył mi skórę na dłoniach i sprawił, że kwaśno pachniała. Powiedziała, abyśmy zanieśli ubrania dla St. Vincent de Paul na tylną werandę i położyli je na stercie obok mojego roweru. Kazała mi również wejść na strych po składanej drabinie – na wypadek gdybym zapomniał o rzeczach, które tam

trzymaliśmy. Strych, pełen kurzu i sadzy, był przegrzany i ciemny, pachniał naftalinowymi kulkami na mole i zgnilizną, a ja bałem się grzechotników, jadowitych pajaków i szerszeni gnieźdzących się pod krokwiami, więc szybko uciekłem z niego, nie zabierając niczego.

Kiedy spytaliśmy, po co to całe zamieszanie, matka odparła, że gdy ojciec wróci do domu z podróży w interesach, być może będziemy musieli opuścić Great Falls, więc trzeba będzie zwrócić dom panu Bargamianowi, właścicielowi mieszkającemu w Butte. Bargamian miał nasz depozyt, który matka chciała odzyskać. (Mój ojciec powiedział, że Bargamian był „jednym z jej plemienia”, ale matka odrzekła, że jest Ormianinem, inną z prześladowanych ofiar). Nie poinformowała, dokąd mielibyśmy się udać, ale ponieważ w niedzielę rano usłyszeliśmy to samo od ojca, uznałem, że to całkiem możliwe – i byłem przerażony, bo za dwa tygodnie zaczynała się szkoła.

W ciągu następnych dni, kiedy ojca nie było w domu, kilka razy dzwonił telefon, a ja natychmiast podnosiłem słuchawkę, sądząc, że to on. Ponownie nikt nie odpowiadał. W końcu odebrała moja matka i powiedziała: „Czego chcesz? Kto mówi?”. Ale ten, kto był po drugiej stronie, nic nie odrzekł, a później połączenie zostało przerwane.

W ciągu tych dni przynajmniej czterokrotnie wyjrzałem przez frontowe okno i zobaczyłem, jak przed naszym domem przejeżdża wolno jeden z dwóch samochodów. Pierwszym był stary czerwony plymouth, którym Mysz zajechał do nas w niedzielę. Tym razem kierował nim ktoś inny, młodszy mężczyzna, który nie musiał być Indianinem. Drugi wóz wyglądał jeszcze gorzej – brązowe kombi o zepsutym niskim zawieszeniu i wgniecionym dachu. W środku siedziało kilka osób, między innym korpulentna kobieta, o której pomyślałem, że jest Indianką. Za każdym razem kierowca gapił się na nasz dom, ale nie stawał. Nie trzeba było być geniuszem, aby zrozumieć, że ci ludzie mają coś wspólnego z przyczyną, dla której mogliśmy opuścić to miejsce i dla której kilka dni wcześniej pojechaliśmy do Box Elder (żeby im się przyjrzeć dokładnie).

Inną niezwykłą rzeczą, jaka wydarzyła się pod nieobecność ojca, było to, że Berner wyszła ze swojego pokoju z ustami pomalowanymi czerwoną szminką, co skłoniło moją matkę do żartobliwego nazwania jej femme fatale, która wkrótce wyruszy do Nowego Jorku lub Paryża, aby rozpocząć wielką karierę aktorską. Berner nie była tym speszona. Rozczesała włosy,

rezygnując z prostego przedziałka na środku głowy. Zwykle zaczesywała je do tyłu, ale teraz pozwoliła, by opadały jej na ramiona skłębioną masą. Nie lubiłem tej fryzury, bo podkreślała jej płaską twarz i powodowała, że piegowata cera wydawała się brudna, chociaż zawsze była czysta, nawet z pryszczami. Kiedy sprzątaaliśmy dom, zapytałem Berner, czemu się tak dziwnie uczesała. Zmarszczyła brwi, spojrzała na mnie i oświadczyła, że zrobiła to, bo „jej chłopak” (Rudy) powiedział, że powinna bardziej przypominać dojrzałą kobietę, jeśli chce, aby był nią dalej zainteresowany. Wspomniała, że myśli o ucieczce razem z nim i mnie zabije, jeśli powiem o tym matce. „Życie w tym domu doprowadza mnie do szaleństwa”, oznajmiła i skrzywiła usta. Byłem zdumiony, bo nigdy nie przyszło mi do głowy, że mieszkanie z naszymi rodzicami może się stać tak nieznośne lub że ucieczka z domu może stanowić rozwiązanie.

Kolejnym wydarzeniem, jakie odnotowaliśmy, kiedy Berner i ja sprzątaaliśmy dom, a nasz ojciec jeździł jak oszalały po pustkowiach Montany i Dakoty Północnej, wybierając bank, który obrabuje, było to, że matka weszła w nowy, dziwny stan ducha. Jego przejaw stanowiło z pewnością szorowanie i wietrzenie domu. Chociaż sam słyszałem, jak kilkakrotnie zadzwoniła do swoich rodziców w Tacomie, nie prosząc ich, aby przyjęli ją do domu, ale zapewnili dach nad głową Berner i mnie. Rozmawiała z nimi naturalnym, czułym tonem, jakby spotykali się co miesiąc, choć nie widzieli się od blisko szesnastu lat. Zrozumiałem, że przyjmą Berner, ale nie przyjmą mnie. Chłopak to dla nich za dużo. Był to kolejny powód, który skłonił moją siostrę do snucia planów o ucieczce: perspektywa życia z dwójką surowych, podejrzliwych i niewyobrażalnie starych Polaków, których nie znała i którzy pewnie nigdy jej nie polubią, choć przypadkiem byli jej dziadkami.

Ciąg zdarzeń, który matka wywołała dla mojego dobra, abym nie wpadł w ręce szeryfa stanu Montana, opiszę później, bo nadał kierunek mojemu przyszłemu życiu. Przez te dwa dni, kiedy pucowaliśmy dom, zanim ojciec wrócił w środę wieczorem, upatrzwszy sobie bank, stan umysłu mojej matki pozostawał tematem największego zainteresowania – i pozostał nim do dziś mimo wielu lat, które upłynęły od jej odejścia.

Można by pomyśleć, że kobieta, której mąż postradał rozum (a przynajmniej jego część) i planował napad na bank, której mąż

doprowadził na skraj ruiny własną rodzinę i uważał wciągnięcie jedyne go syna w przestępstwo za oryginalny pomysł, której mąż mógł wpakować ją i siebie do więzienia i zniszczyć jej wszelkie wyobrażenia o życiu, że ta kobieta skwapliwie skorzysta z okazji do odejścia (zwłaszcza że wcześniej już o tym myślała) lub powiadomi władze, aby ocalić siebie i dzieci, albo znajdzie w sobie tyle siły, by nie pozwolić, żeby sytuacja zaszła za daleko. (Moja matka, chociaż drobna i zniechęcona, sprawiała wrażenie osoby o silnej woli, co ostatecznie okazało się nieprawdą). Ale nasza matka tak nie postąpiła.

Kiedy dom był już nieskazitelnie czysty, a matka zadzwoniła do swoich rodziców, jej gniew na ojca osłabł. Stała się nagle – nie w sposób radosny, bo nigdy nie znajdowała się w radosnym nastroju – zaskakująco spokojna. Chociaż, prawdę mówiąc, nie było to takie niezwykle. Można było odnieść wrażenie, że po raz pierwszy od kilku tygodni lub od jeszcze dłuższego czasu poczuła ulgę. Jakby podjęła decyzję i umieściła na właściwym miejscu coś bardzo ważnego. Śmiała się z nami i żartowała, że Berner zostanie gwiazdą filmową, a ja profesorem college’u, arcymistrzem szachowym lub znanym pszczelarzem. Dzieliła się z nami opinią na temat wielu spraw – nie sądziłem, że ma o nich pojęcie, bo nigdy o nich nie mówiła. Opowiadała o senatorze Kennedym, który nie wywarł na niej większego wrażenia, o trzęsieniu ziemi w Maroku i kubańskiej rewolucji, o której musiała dowiedzieć się z radia, jak ja. Oglądała z nami telewizję – program informacyjny Douglasa Edwardsa, seriale westernowe Restless Gun i Trackdown. Żartowała na temat oper mydlanych i innych programów, które nadawano.

W tym czasie Berner i ja rzadko z nią rozmawialiśmy. Oboje towarzyszyliśmy jej w dziwny, półświadomy sposób, który nie zwracał nas przeciwko ojcu, ale respektował niewypowiedziany podział, jaki istniał między nimi i po części spowodował, że ojciec wyruszył w „podróż służbową”, nie wspomniawszy ani słowem, kiedy wróci. (Szczerze mówiąc, kilka razy fantazjowałem, że pojechał już obrabować bank). Wydawało się, że nie było sposobu, aby zacząć rozmowę na temat tego podziału – nawet z siostrą – bez poruszenia tych wszystkich spraw. Dlatego po prostu sprzątaaliśmy dom, jedliśmy posiłki i oglądaliśmy dwa kanały w telewizji. Ja czytałem jeszcze książkę o szachach, obmyślałem niemożliwe strategie debiutu, przeglądałem pszczelarskie katalogi i marzyłem o tym, aby

wreszcie zaczęła się szkoła. Berner zaś jak zwykle przesiadywała w swoim pokoju, słuchała radia, próbowała kosmetyków, układała i rozczesywała włosy, używała długiego kabla telefonicznego, żeby prowadzić prywatne rozmowy z Rudym, i planowała (jestem tego pewny) ucieczkę, z której miała nigdy nie wrócić, bo niedługo miało już nie być do czego wracać. Jeśli w tym krótkim czasie nasza matka ujawniła zmianę w swoim sposobie postrzegania świata, musiała ona dokonywać się w niej od lat, by ukazać się nagle w ciągu tych dwóch dni, kiedy naszego ojca nie było w domu.

Zawsze uważałem, że wygląd naszej matki wpłynął na jej przemianę, na spokój, który ją ogarnął, gdy czekaliśmy, aż ojciec wróci do domu, a potem wyruszy tam, dokąd miało go zaprowadzić przeznaczenie. Jej budowa ciała (była wzrostu piętnastoletniej Shirley Temple), wyraz twarzy (rzadko się uśmiechała, nosiła okulary i odznaczała się wyraźną żydowską obcością) i nastawienie (sceptyczne i bystre, defensywne, często zdystansowane) zdawały się decydować o tym, co myślała lub mówiła, jakby stwarzały jej całe ja. Chociaż można by to pewnie powiedzieć o każdym. Cechy zewnętrzne wyróżniały ją we wszystkich miejscach, w których mieszkaliśmy – choć pewnie nie byłoby to prawdą w Polsce lub Izraelu, a nawet w Nowym Jorku albo Chicago, bo tam wielu ludzi wyglądało i zachowywało się podobnie jak ona. Była pozbawiona wszelkich cech, które sprawiają, że człowiek mniej rzuca się w oczy i wpasowuje się w otoczenie. Choć wtedy tego nie wiedziałem na pewno, przyjmowałem, że wszystko, czym była (co nam mówiła i jakich rad udzielała, czego nie lubiła i w czym przodowała), wynikało wyłącznie z niej, z tego, jaką była osobą – a nie z tego, co myśleli o niej inni. Nie liczyły się dla niej społeczeństwo ani zdrowy rozsądek. Chociaż nigdy nie napisała o tym w swojej kronice, to, kim była i jak wyglądała, sprawiało, że wszystko okazywało się dla niej wyzwaniem: podróż samochodem do szkoły w Fort Shaw, kolejne przeprowadzki i domy, miasta, których nie potrafiła zaakceptować, dowcipy mojego ojca, jego głupkowaci koledzy z sił powietrznych ze śmiesznymi intrygami, mającymi zapewnić im miejsce na czele paczki, oraz brak przyjaciół. Wspomniała jedynie, że posiadała coś, co przez długi czas uważała za silną wolę. I że właśnie ta cecha zmuszała ją – zważywszy na to, jak bardzo różniła się od tego, co ją otaczało (z wyjątkiem Berner i mnie, bo nas kochała) – do myślenia, że życie, które

zna, zasługuje wyłącznie na pogardę. Poufałość i dostosowanie też nie zasługiwały na jej szacunek. Tłumaczy to, dlaczego nie chciała widzieć ich u nas.

Spokój, który wówczas odczuwała (choć może było to jedynie niewzruszone postanowienie) – jej żarty z Berner i ze mnie, wspólne oglądanie telewizji i rozmawianie o serialach *Secret Storm* i *As the World Turns*, zawierających głęboką życiową prawdę – mógł jedynie oznaczać, że z powodu odmiennego ukształtowania przez życie to, co musiała znosić, nie było brzemieniem, ale kryło w sobie wielką, tłumioną latami tęsknotę za zmianą. W połączeniu z obłędem mojego ojca i planowaniem przez niego napadu na bank pragnienie to mogło sprawiać, że nie przeżywała rozpaczy, przerażenia lub jeszcze silniejszego wyobcowania, ale doświadczała w o l n o ś c i. Wolności od wszystkich mocy, które ją tłamsiły. Mogła dojść do wniosku, że uwolnienie stanowiło następstwo tych samych cech, które ją izolowały, i że nie były one jej udręką, lecz siłą. Pasowałoby to do mojej matki i jej sceptycznie nastawionego umysłu. Dzięki temu mogła czuć się tak dobrze, jak się nie czuła od dłuższego czasu. Wiem, że to dziwne, ale nasza matka była dziwna.

Nie wyjaśnia to jednak, dlaczego nie zapakowała Berner i mnie do pociągu jadącego do Tacomy (Chicago, Atlanty lub Nowego Orleanu) i nie pozwoliła, aby nasz ojciec wrócił do pustego domu, żeby to go otrzeźwiło i żeby odzyskał zdrowy rozsądek – jeśli takowy posiadał. Nie wyjaśnia też dlaczego, gdy następnego dnia ojciec wrócił do domu, wybrawszy bank i paląc się do działania, nie zostawiła go ani nie próbowała odwieść od tego zamiaru, pójść na policję lub wyrysować linię na piasku, ale stała się jego współniczką i przekreśliła własne życie, kiedy on przekreślił swoje. Gdy zaczynam się zastanawiać, dlaczego dwie skądinąd rozsądne osoby postanowiły napaść na bank i dlaczego były razem, chociaż miłość między nimi już dawno zaczęła usychać, zawsze pojawiają się te powody – powody, które w świetle kolejnego dnia tracą wszelki sens i trzeba wymyślić następne.

Im dłużej będę zwlekać z nazwaniem ojca urodzonym przestępcą, tym prawdziwsza będzie moja opowieść. Przyznaję, że ojciec stał się przestępcą, ale nie jestem pewny, w którym momencie łańcucha zdarzeń on, ktoś inny lub świat się o tym dowiedzieli. Bo z a m i a r bycia przestępcą musiał odegrać ważną rolę w tym, co się stało. Można jednak postawić tezę, że ojciec nie miał takiego zamiaru przed obrabowaniem Krajowego Banku Rolnego w Creekmore w Dakocie Północnej. Może nawet nie miał go zaraz po tym fakcie – dopóki nie uświadomił sobie możliwych konsekwencji. Dla Beva Parsonsa w stanie umysłu, w jakim się wówczas znajdował, napad na bank był tak konieczny i wyjątkowy, iż nie potrafiłby przytoczyć żadnych kontrargumentów przeciwko niemu – choć zdaję sobie sprawę, że nie będzie to dla niego zbyt pochlebne. Ponieważ ojciec nie uważał siebie za człowieka zdolnego do dokonania napadu z bronią w rękę, dopuszczenie się tego czynu nie zmieniło natychmiast jego zdania na własny temat, może nawet nie zmieniło aż do chwili, gdy do naszych drzwi zapukali detektywi, a później spacerowali po salonie, omawiając jego „podróż do Dakoty Północnej”, a na koniec oznajmili naszym rodzicom, niemal od niechcenia, że będą musieli założyć im kajdanki i zawieźć do aresztu. Może wielu innych świeżo upieczonych przestępców myśli w ten sposób o sobie i własnych działaniach.

Jak postępują ludzie, którzy zamierzają wsiąść do samochodu i pojechać do banku, żeby go obrabować? Gdybyście przejechali obok naszego domu w środę wieczór, zauważylibyście zapalone światła i ujrzeli przez okno moją matkę przygotowującą obiad w kuchni, zobaczyli światła w sąsiednich domach i mojego ojca, który przed chwilą wziął prysznic, a teraz siedzi na stopniach werandy i zawiązuje sznurówki butów w chłodnym powietrzu brzęczącym owadami. Ujrzelibyście jasny księżyc stojący wysoko na niebie, samochody przejeżdżające za parkiem i mokre włosy ojca, poczulibyście zapach wody kolońskiej Old Spice i talku,

usłyszeli, jak opowiada Berner i mnie o tym, co widział podczas swojej „podróży w interesach” – o prerii przypominającej wielkie śródlądowe morze („jak Zatoka Meksykańska”) bez świateł na północy i gór, za to z dużą ilością dzikiej zwierzyny – a nasza dwójka siedziałyby jak urzeczona, z błogim wyrazem twarzy. Czy pomyślelibyście, że oto macie przed sobą człowieka gotowego dokonać napadu z bronią w rękę? Nie, nie pomyślelibyście. Chociaż muszę przyznać, że intryguje mnie, jak niewiele dzieli zwykłe zachowania od ich przeciwieństwa.

Wszystkie znaki, rzekomo zapowiadające nadciągającą katastrofę, są w większości błędne. Sposób, w jaki postrzega je dziecko, jest równie dobry jak sposób widzenia dorosłego. A mogłoby być lepiej. Wiele lat temu znałem człowieka, który się powiesił – maklera giełdowego z licznymi zmartwieniami i problemami psychicznymi, przygniecione poczuciem bezsensu, przekonanego, że nie zdoła dokonać w życiu niczego dobrego. W tygodniu poprzedzającym tę straszną chwilę, którą zaplanował w najdrobniejszych szczegółach – aby żona znalazła go, kiedy wróci z dziewczynkami z wakacji na Florydzie – znajomi mieli wrażenie, jakby zdjął ze swoich barków brzemień świata, w tak doskonałym nastroju się znajdował. Śmiał się, opowiadał dowcipy, przekomarzał z kolegami i snuł plany, choć nie robił tego od dłuższego czasu. Byli przekonani, że przekroczył punkt krytyczny, rozwiązał zagadkę życia, odnalazł ścieżkę wiodącą do dawnego ja – do człowieka, którego z radością wspominali i czuli się podekscytowani, że ponownie do nich wrócił. Później znaleźli go zwisającego z kandelabru w holu domu, który zbudował zaledwie dwa lata wcześniej i rzekomo kochał. To zagadka, kim naprawdę jesteśmy.

Kiedy mój ojciec wrócił do domu w środę wieczorem, około dwudziestej, był w pogodnym nastroju. Można by pomyśleć, że zrobił najlepszy interes życia, odkrył żyłę złota, złożył ropy lub wygrał los na loterii. Nadal miał na sobie kombinezon sił powietrznych, tenisówki ubrudzone trawą i nie był ogolony. Przywiózł też niebieską torbę, w której ukrył pistolet. (Podczas sprzątnięcia domu zajrzałem do jego szuflady ze skarpetami i ujrzałem to, co ujrzałem. Pistoletu nie było. Zabrał go z sobą). Przez jakiś czas chodził po domu, rozmawiając ze wszystkimi – z naszą matką w kuchni, z Berner i ze mną, czasami nawet sam z sobą. Był gibki i rozluźniony, zaglądał do wszystkich pokoi, jakby zauważył jakie są czyste. Przemawiał pewnym

tonem, z silniejszym południowym akcentem niż zwykle, jak zawsze gdy czuł, że nie jest obserwowany, opowiedział dowcip lub wypił drinka. Mówił o zmianach, jakie zaszły we współczesnym życiu – o satelicie na niebie, który przewiduje pogodę, a nocą przypomina gwiazdę. Uważał, że satelity staną się przełomem w nawigacji lotniczej. W Brazylii rząd zbudował nowe miasto pośrodku dżungli i przeniósł do niego tysiące ludzi. „To rozwiąże problemy rasowe – powiedział. – Wszyscy będziemy mogli kupić sobie nowe nerki, kiedy stare się zepsują” – co z oczywistych powodów było dobre. Dowiedział się o tym z kanadyjskiej stacji radiowej, kiedy jechał samochodem. Było ją dobrze słychać, bo podczas podróży znajdował się blisko granicy.

Jak już wspominałem, po wzięciu prysznicą usiadł obok Berner i mnie na werandzie i w półmroku zaczął opowiadać o prerii, która przypomina ocean. Podnieśliśmy głowy, szukając satelity krążącego po niebie. Ojciec powiedział, że jednego wypatrzył, ale my go nie dostrzegliśmy. Później opowiadał o swoim dzieciństwie w Alabamie, o tym, jak zabawnie mówią tamtejsi ludzie i jak jest tam wesoło w porównaniu z Montaną, gdzie ludzie są pozbawieni radosnego poczucia humoru i uważają, że twardość i brak życzliwości są cnotą. Spytał nas ponownie – co często robił – czy czujemy, że pochodzimy z Alabamy. Ponownie odparliśmy, że nie. Później zapytał mnie, skąd pochodzę. Odparłem mu, że z Great Falls. Berner początkowo nic nie odrzekła, a później oświadczyła, że jest z Marsa, na co wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Ojciec powiedział, że kiedyś marzył o zostaniu pilotem, ale nadawał się tylko na bombardiera. Był rozczarowany z tego powodu, lecz rozczarowania kształcą, a odwrotny wynik czasami bywa lepszy. Opowiadał o strasznych błędach, jakie popełniają ludzie uczący się zrzucania bomb, i wielkiej odpowiedzialności, która się z tym wiąże. Raz lub dwa nasza matka wyszła na dwór z kuchni. Ojciec przywiózł dwie butelki piwa marki Schlitz i wypili po jednym – co nie zdarzało się codziennie. Piwo wprawiło ich w wesoły nastrój, który towarzyszył matce, gdy ojciec wyjechał. Włożyła białe rybaczkę, które odsłaniały jej cienkie kostki, bawełniane buty na płaskim obcasie oraz ładną zieloną bluzkę – rzeczy, o których posiadanie jej nie posądżaliśmy. Wyglądała jak młoda dziewczyna i uśmiechała się częściej niż zwykle. Trzymała swoją butelkę za szyjkę i piła małymi łykami. Zwracała się czule do ojca i kręciła głową, słuchając głupot, które wygadywał. Kilka razy poklepała go po ramieniu

i powiedziała, że jest oryginałem. (Jak powiedziałem, była dobrym słuchaczem). Ale dla mnie ojciec wydawał się taki jak zawsze. Zwykle był w dobrym humorze.

Kiedy tak siedzieliśmy na werandzie i na drzewach zaszemrały cykady, Berner wspomniała, że jacyś dziwni ludzie przejeżdżali obok naszego domu i zdarzały się głuche telefony. Mój ojciec zbył ją słowami: „Ci chłopcy są w porządku. Nie przejmuj się nimi. Nie myślą jak biali, ale są w porządku”. Spytałem o interes, na który liczył. Odrzekł, że wszystko poszło idealnie, lecz wkrótce będzie musiał wrócić tam ponownie, żeby sfinalizować transakcję, i że tym razem być może z nim pojedą. Że wszyscy będziemy mogli pojechać. Spytałem, czy to, co powiedział w niedzielę, było prawdą, że być może przeprowadzimy się do innego miasta. Nadal martwiłem się o szkołę, klub szachowy i inne sprawy, na których mi zależało. Uśmiechnął się i zaprzeczył. Nie, nie przeprowadzimy się. Czas najwyższy, aby nasza rodzina osiadła na dobre, żebyśmy mogli z Berner mieć przyjaciół i żyć jak szanowani obywatele. Spodziewał się odnieść sukces w sprzedaży rancz. Powiedział, że nauczy mnie sztuczek handlowych, gdy tylko sam je opanuje, choć nie miałem pojęcia, w jaki sposób mogło to być związane z nowymi możliwościami w interesach. Zastanawiałem się, czy spytać go, po co zabrał pistolet w podróż służbową. Nie zrobiłem tego, bo nie sądziłem, aby wyjawiał mi prawdę. Kiedy dzisiaj o tym myślę, odnoszę wrażenie, że wszystko, co wówczas mówił, było nieprawdą. Po prostu wiedziałem, że powinienem mu wierzyć. Dzieci potrafią udawać równie dobrze jak dorośli.

Skończyliśmy kolację po dwudziestej drugiej trzydziści. Byłem senny, ale już nie odczuwałem głodu. Kiedy siedzieliśmy przy stole, telefon zadzwonił jeszcze dwa razy. Za pierwszym razem ojciec roześmiał się serdecznie i powiedział, że oddzwoni później. Za drugim stał i słuchał, jakby ktoś mówił do niego poważnym tonem. Kiedy do nas wrócił, powiedział: „To nic, drobiazg. Klient zadzwonił po dodatkowe informacje”. Przy stole matka spytała ojca, czy dostrzegł jakąś zmianę w Berner. „Oczywiście – odpowiedział. – Jej włosy wyglądają znacznie lepiej, podoba mi się nowa fryzura”. Zwróciła mu uwagę, że Berner pomalowała usta szminką – zrobiła to ponownie – i że jeśli nie będą czujni, ucieknie do Hollywood lub do Francji. Ojciec odrzekł, że Berner mogłaby chodzić z naszą matką do sióstr opatrności, złożyć ślub czystości i zostać

zakonnica, co sprawiło, że matka się roześmiała, ale Berner zachowała kamienną twarz. Dzisiaj wspominam tę noc jako najszczęśliwszą, najbardziej naturalną chwilę, jaką nasza rodzina spędziła wspólnie tamtego lata lub kiedykolwiek. Przez moment widziałem, jak mogłoby wyglądać nasze życie, gdyby biegło naprzód pewniejszym, bardziej stałym kursem. Nasi rodzice wyglądali na szczęśliwych i czuli się dobrze w swoim towarzystwie. Ojciec był rad ze sposobu, w jaki zwracała się do niego matka. Komplementował ją za ubranie, wygląd i pogodny nastrój. Zachowywali się tak, jakby ponownie odnaleźli coś, co kiedyś istniało między nimi, ale w miarę upływu czasu znalazło się w ukryciu, zostało zagubione lub zapomniane. Teraz byli tym ponownie oczarowani, oczarowani sobą nawzajem. Chyba właśnie tak powinno być, właśnie tego powinniśmy oczekiwać od małżeństwa. Jakby na chwilę znów ujrzeli osobę, w której się zakochali, którą zdołali ocalić od zapomnienia. Dla niektórych, jak dla mnie, ten obraz nigdy nie wyblakł. Ale to dziwne, że rodzice ujrzeli siebie ponownie i pozwolili, aby frustracje, niepokoje i zmartwienia zniknęły jak obłoki rozproszone przez burzę, na nowo odnajdując lepszą stronę swojego ja, bo ten przelotny obraz pojawił się przed zagładą naszej rodziny.

Opowiem teraz o ojcu. Tego wieczoru, gdy byliśmy rodziną, kiedy razem się śmialiśmy, żartowaliśmy i jedliśmy – ignorując to, co nad nami wisiało – jego wyraz twarzy ponownie się zmienił. Gdy dwa dni wcześniej wyjeżdżał z domu, jego twarz wydawała się nalana i zmęczona. Jego rysy były rozluźnione i niewyraźne, rozmyte – jakby z ociąganiem i bez wprawy stawiał każdy krok. Ale kiedy wrócił tamtego wieczoru i przechadzał się po domu, rozmawiając o tym, co go interesowało – o satelitach, politykach z Ameryki Południowej, przeszczepianiu organów i o tym, jak nasze życie może się zmienić na lepsze – jego rysy stały się wyostrome, jakby wyrzeźbione. W ostrym świetle żarówki zawieszanej nad stołem wyglądał na skupionego.

Ojciec miał małe orzechowe oczy – jasnobrązowe dyski, które sprawiały wrażenie słabych, bo je mrużył, kiedy się uśmiechał, a ponieważ miał wydatne kości policzkowe, często ginęły w całościowym obrazie. Ale gdy tamtego wieczoru siedzieliśmy przy stole, głównym elementem jego twarzy stały się właśnie oczy, jakby ujrzały świat, którego wcześniej nie

dostrzegały. Błyszczały intensywnie. Kiedy na mnie spoglądały, początkowo było mi dobrze i przyjemnie, ale później poczułem się niewygodnie. Bo było tak, jakby ojciec oceniał wszystko na nowo, jakby krążąc po pokojach naszego domu, oglądał je pierwszy raz i zainteresował się nimi na nowo. Wszystko to sprawiło, że dom wydał mi się dziwnie obcy, jak gdyby ojciec planował go użyć w sposób, jakiego nie robił do tej pory. Wyraz jego oczu sprawiał, że czułem się podobnie.

W ciągu kolejnych lat rozmyślałem o jego oczach, o tym, w jaki sposób tak bardzo się zmieniły. A ponieważ z powodu ojca tyle rzeczy miało się zmienić, pomyślałem, że całkiem możliwe, iż na jego twarzy ujawnił się nagle długo tłumiony wewnętrzny potencjał. Stawał się tym, kim zawsze miał się stać. Musiał się jedynie przedrzeć przez kolejne warstwy swojego prawdziwego jestestwa. Widziałem to na twarzach innych mężczyzn – bezdomnych leżących na chodniku przed barem, w publicznym parku, na przystanku autobusowym lub wystających w kolejce przed drzwiami przytułku, czekających na wejście i schronienie się przed długą zimą. W ich twarzach – często przystojnych, choć zniszczonych – dostrzegałem ślady ludzi, którymi niemal udało im się zostać, ale zawiedli i stali się sobą. Jak w koncepcji przeznaczenia i charakteru, której nie lubię i w którą nie chcę wierzyć, mimo to tkwi ona we mnie niczym twarda opowieść leżąca u podłoża wszystkiego. Bo zawsze, gdy widziałem takiego zniszczonego człowieka, mówiłem sobie: „To mój ojciec. Mój ojciec był taki jak on. Takim go znałem”.

Rzeczy, które zrobiłeś, rzeczy, których nigdy nie zrobiłeś, rzeczy, o których marzyłeś – po dłuższym czasie wszystkie zlewają się w jedno. Kiedy Berner i ja poszliśmy do łóżka w tamtą środową noc, gdy ojciec wrócił do domu, nasłuchiwałem rodziców rozmawiających w kuchni, śmiejących się, zmywających naczynia. Słyszałem szum wody. Brzęk talerzy i sztućców. Dźwięk otwieranych i zamykanych szafek. Ich przyciszone głosy.

– Nikomu nie przyjdzie do głowy... – powiedział ojciec, ale reszty nie zdołałem usłyszeć.

– Chcesz zrobić z tego imprezę rodzinną na mieście? – spytała matka. Woda płynęła dalej, a później przestała. Jej ton stał się bardziej sarkastyczny.

– Nikomu nie przyjdzie do głowy... – zaczął ponownie. Później usłyszałem swoje imię. – Dell...

– Nawet o tym nie myśl! Nie! – zaprotestowała.

– W porządku.

Brzęk układanych wytartych talerzy.

– Jesteś szczęśliwy? – Pytanie było zbyt głośne, abym go nie usłyszał.

– Co ma do tego szczęście?

– Wszystko. Absolutnie wszystko.

Wyobraziłem sobie, że wbiegam w przedział do oświetlonej kuchni, a oni tam stoją i na mnie patrzą. Ojciec jest wysoki, a jego małe oczy nadal błyszczą. Moja drobna matka ma na sobie białe szorty i ładną zieloną bluzkę z zielonymi guzikami. Jej twarz jest poważnie zatroskana. „Pojadę”, mówię. Mam dłonie zaciśnięte w pięści, twarz wilgotną od potu. Czuję, jak wali mi serce. Rodzice zaczynają się oddalać w moim śnie jak wtedy, gdy człowiek jest chory i gorączka powoduje, że świat zaczyna się kurczyć, a odległości się zwiększają. Rodzice stawali się coraz mniejsi i mniejsi, aż znaleźli się na granicy zniknięcia i za chwilę mieli się rozpląnąć, ja zaś zostałem sam w kuchni oświetlonej jaskrawym światłem.

W czwartek obudziłem się późno, bo długo czuwałem, nasłuchując, jak rodzice krążą nocą po domu. Matka weszła do mojego pokoju o ósmej – w okularach, przysuwając swoją badawczą, miękką twarz do mojej i dotykając mojego gołego ramienia małą chłodną dłonią. Jej oddech miał słodki zapach pasty do zębów i gorzką woń herbaty. Drzwi do mojego pokoju były otwarte. Ujrzałem ojca przechodzącego korytarzem. Miał na sobie niebieskie dżinsy, cywilną białą koszulę i buty marki Acme.

– Twoja siostra zjadła śniadanie. Przygotowałam ci płatki pszenne. – Utkwiła wzrok w mojej twarzy, jakby dostrzegła coś nieoczekiwanego. – Musimy wyjechać z ojcem na jeden dzień. Wrócimy jutro. Przypilnowanie domu będzie dobrym doświadczeniem dla was dwojga. – Jej twarz była spokojna. Jakby podjęła jakąś decyzję.

W drzwiach stanął ojciec. Miał uczesane i lśniące włosy. Ogolił się. W moim pokoju zapachniało talkiem. Wydawał się bardzo wysoki w pustej framudze drzwi.

– Nie odbierajcie telefonu – powiedział – i nie wychodźcie z domu. Wrócimy jutro wieczorem. To będzie dla was cenne doświadczenie.

– Dokąd jedziecie? – Podniosłem wzrok i spojrzałem w kierunku salonu za jego plecami, oświetlonego promieniami słońca, aż zapiekły mnie oczy z powodu niewyspania.

– Mam do załatwienia pewną sprawę. Wczoraj o tym wspomniałem – odrzekł. – Potrzebuję opinii twojej matki. – Mówił spokojnie, ale zauważyłem żyłę, która wystąpiła mu na czole.

Matka spojrzała na niego, jakby wcześniej o tym nie słyszała. Przykucnęła obok łóżka, lekko opierając palce na mojej piersi.

– To prawda – przytaknęła.

– Możemy pojechać z wami? – zapytałem.

– Zabierzemy was następnym razem – zapewnił mnie ojciec.

Przed moimi oczami przemknął sen. Jadę. Krzyczę. Zaciskam dłonie w pięści.

– Opiekuj się siostrą. – Uśmiechnął się znacząco. – Jesteś pod jurysdykcją pułkownika Parsonsa. – Zawsze żartował, jeśli mógł.

– Zamierzacie kogoś zastrzelić?

– Dobry Boże... – westchnęła matka.

Szeroki uśmiech na twarzy ojca przygasł. Zmrużył oczy, jakby wpatrywał się w zapalone światło.

– Dlaczego to powiedziałeś?

– On wie – wtrąciła matka.

Stała obok mojego łóżka i spoglądała w dół, jakby chciała mnie o coś obwinić, choć o niczym nie wiedziałem.

– Co ci przyszło do głowy, Dell? – Na twarz ojca ponownie powrócił uśmiech. Jakby zrozumiał.

– Ostatnim razem zabrałeś pistolet.

Zrobił krok w kierunku mojego pokoju.

– Daj spokój. W tym kraju ludzie noszą broń. To powszechne. Żyjemy na Dzikim Zachodzie, ale nikt tu nigdy nikogo nie zastrzelił.

Matka patrzyła na mnie uporczywym wzrokiem. Jej małe oczy za okularami sprawiały wrażenie skupionych, jakby wypatrywała jakiegoś znaku na mojej twarzy. Pociła się pod bluzką – czułem to – bo w domu już było gorąco.

– Boisz się? – zapytała.

– Nie – odrzekłem.

– On się nie boi – potwierdził ojciec, cofając się i spoglądając do tyłu na zegar w kuchni. – Musimy jechać. – Po tych słowach zniknął w korytarzu.

Matka w dalszym ciągu na mnie patrzyła, jakbym stał się osobą, której nie znała.

– Pomyśl o jakimś wspaniałym miejscu, do którego chciałbyś pojechać, dobrze? – powiedziała. – Zabiorę cię tam. Ciebie i Berner.

Usłyszałem trzaśnięcie siatki we frontowych drzwiach.

– Znajduje się pod jurysdykcją pułkownika Parsonsa... – usłyszałem głos ojca, który rozmawiał z Berner na werandzie.

– Chcę do Moskwy – odparłem.

W książce Mistrz szachów przeczytałem, że wielcy gracze pochodzili z Rosji. Michaił Tal był znany ze stylu polegającego na poświęcaniu bierek i groźnego spojrzenia, a Aleksandr Alechin wyróżniał się agresywną strategią. Sprawdziłem hasło „Moskwa” w słowniku Merriam-Webster

i encyklopedii World Book, odnalazłem też miasto na globusie, który stał na komodzie w moim pokoju. Nie miałem pojęcia o Związku Radzieckim i o tym, co odróżniało go od Rosji. Wiedziałem tylko, że ze Związkiem Radzieckim łączy się postać Lenina, który zdaniem ojca grywał w szachy. I Stalina, człowieka, którym ojciec pogardzał. Powiedział, że Stalin wpędził Roosevelta do grobu zupełnie tak, jakby go zastrzelił.

– Do Moskwy?! – wykrzyknęła ze zdumieniem matka. – Mój biedny ojciec dostałby ataku serca! Myślałam o Seattle!

Od strony ulicy doleciał klakson chevroleta. Usłyszałem, jak siatka zamyka się ponownie. Berner wróciła do środka, gotowa się mną zająć.

– Jego zupa wykipi – dotarły do mnie jej słowa.

Matka pochyliła się i szybko pocałowała mnie w czoło.

– Pogadamy o tym, kiedy wrócę – powiedziała i wyszła.

Kiedy mieszkaliśmy w Missisipi, w mieście Biloxi – w 1955 roku, gdy miałem jedenaście lat – mój ojciec pracował w tamtejszej bazie i przychodził do domu w weekendy tak jak w Great Falls. Ojciec lubił Missisipi, bo było stamtąd niedaleko do miejsca, gdzie się wychował, i podobała mu się Zatoka Meksykańska. Gdyby odszedł z armii tam i wtedy zamiast później, wszystko mogłoby się ułożyć lepiej dla niego i dla naszej matki. Mogliby wziąć rozwód i podążyć własną drogą. Dzieci potrafią się przystosować, kiedy rodzice je kochają. A nasi nas kochali.

W sobotnie ranki ojciec zabierał mnie do kina, gdy wyświetlali jakiś film, który chciał zobaczyć, lub nie było nic innego do roboty. Było tam kino z klimatyzacją, Trixy, w centrum miasta, przy głównej ulicy, kończącej się nad zatoką. Seanse rozpoczynały się o dziesiątej i trwały do szesnastej. Bez przerwy wyświetlano filmy krótkometrażowe, fabularne i kreskówki, wszystko za jeden bilet wstępu, który kosztował pięćdziesiąt centów. Siedzieliśmy do końca, jedząc słodycze i popcorn i popijając napój Dr Pepper, pasjonując się przygodami Tarzana, Jungle Jima, Johnny'ego McShane'a i Hopalonga Cassidy'ego, Stoogesów oraz Flipa i Flapa, oglądając kroniki i stare filmy z czasów wojny, za którymi przepadał ojciec. O szesnastej wychodziliśmy z chłodu w gorące, słonawe i duszne popołudnie nad zatoką, oślepieni słońcem, zemdleni i niemi, bo zmarnowaliśmy dzień i nie mogliśmy się niczym pochwalić.

W jeden z takich poranków siedzieliśmy obok siebie w ciemności, a na ekranie wyświetlano kronikę z lat trzydziestych o dwójce przestępców – Clyde Barrowie i Bonnie Parker – którzy sterroryzowali (jak powiedział lektor) kilka stanów na południowym zachodzie, rabując, zabijając i okrywając hańbą swoje imię, dopóki nie zginęli na wiejskiej drodze w Luizjanie w zasadzce urządzonej przez oddział pościgowy zastępców szeryfa, którzy ostrzelali ich samochód z krzaków, kładąc kres przestępczej karierze. Barrow i Parker mieli po dwadzieścia kilka lat. Później, kiedy wyszliśmy z ojcem na parne, rozgrzane słońcem popołudnie – był czerwiec, bolały nas oczy i mieliśmy otępiełe głowy – stwierdziliśmy, że ktoś (jak się okazało jeden z operatorów kina Trixy) zaparkował ciężarówkę z długą platformą przed wejściem do kina. Na platformie stał stary szary czterodrzwiowy ford z lat trzydziestych z karoserią podziurawioną kulami, wybitymi szybami, powgniatanymi drzwiami i maską oraz sflaczałymi oponami. Nad jednym z kół samochodu była tablica z wymalowanym napisem: „Samochód, w którym zginęli Bonnie i Clyde – wypłacimy dziesięć tysięcy dolarów temu, kto udowodni, że to nieprawda”. Właściciele przystawili drewniane schodki i zachęcali ludzi wychodzących z kina do zapłacenia pięćdziesięciu centów, żeby osobiście zbadali auto, jakby w środku nadal znajdowali się martwi Bonnie i Clyde i każdy powinien ich zobaczyć.

Mój ojciec stał na rozgrzanym betonie, spoglądając w górę na samochód i oglądających go ludzi – dzieci i dorosłych, kobiety i mężczyzn – którzy przechodzili obok, gapili się, żartowali, naśladowali serie z automatu i wybuchali śmiechem. Nie miał zamiaru zapłacić. Powiedział, że to auto to oszustwo, w przeciwnym razie by go tu nie było. Świat nie działa w taki sposób. Oprócz tego został niedawno polakierowany, a otwory po kulach nie wyglądają na prawdziwe. Naoglądał się ich w kadłubach samolotów – były większe, bardziej postrzępione – ale nie powstrzyma to nikogo przed wyrzuceniem pieniędzy w błoto.

Kiedy staliśmy na chodniku kilka minut, przyglądając się wrakowi, ojciec powiedział:

– Mógłbyś napaść na bank, Dell? To mogłoby być ekscytujące. Twoja matka byłaby zaskoczona, nie sądzisz?

– Nie – odrzekłem, patrząc badawczo na lśniące dziury w karoserii i wiejskich kmiotów zaglądających do środka, drących się wniebogłosy

i wybuchających śmiechem.

– Jesteś pewny? – zapytał. – Bo ja mógłbym spróbować. Byłbym sprytniejszy od tej dwójki. Jeśli nie będziesz główkować, skończysz podziurawiony jak kawałek szwajcarskiego sera. Oczywiście twoja matka źle by to zrozumiała. Nie wspominaj jej o tym.

Przyciągnął mnie bliżej. W promieniach słońca jego koszula pachniała krochmalem. A później ruszyliśmy dalej w czerwcowe popołudnie.

Nigdy nie powiedziałem o tym mojej matce, nigdy nawet o tym nie pomyślałem aż do tamtego dnia, wiele lat później, kiedy staliśmy z siostrą na werandzie i patrzyliśmy, jak nasi rodzice odjeżdżają, żeby obrabować bank. Wtedy nie łączyłem z sobą tych wydarzeń, ale później to zrobiłem. Ojciec zawsze o tym myślał. Niektórzy ludzie chcą zostać prezesem banku, a inni marzą, żeby go obrabować.

Informacje na temat faktycznego przebiegu napadu zaczerpnąłem głównie z kroniki mojej matki oraz artykułów zamieszczonych w „Great Falls Tribune”, których autor, jak już wspomniałem, uważał całe to wydarzenie za komiczną historię, przedstawioną ku przestrodze opinii publicznej. Ale chociaż fascynowało mnie to, że skoku dokonali nasi rodzice, jego przebieg rzeczywiście był tak śmieszny i niewytłumaczalny, że fakty, które można przytoczyć, stanowią niewystarczające wyjaśnienie.

Wielu z nas myśli o napadzie na bank podobnie jak o zabiciu zajadłego wroga: leżąc nocą w łóżku i łącząc z sobą skomplikowane elementy planu, dopasowując szczegóły i sięgając myślami wstecz, aby powiązać wcześniejsze kalkulacje z możliwością wykrycia, która przyszła nam później do głowy. W końcu dochodzimy do jakiegoś nierozwiązywalnego problemu, więc uznajemy, że nasz spryt może nie wystarczyć i że choć rozmyślanie o podstępnym zgładzeniu wroga daje zadowolenie (bo przecież należałoby to zrobić), tylko osobnik obłąkany lub posiadający skłonności samobójcze mógłby zrealizować ten zamiar. Bo świat jest przeciwny takim czynom. Poza tym jesteśmy amatorami w planowaniu przestępstw, knuciu intryg i zabijaniu i nie dysponujemy koncentracją potrzebną do pokonania świata. Dlatego ostatecznie zapominamy o naszym planie i idziemy spać.

Aby odnieść sukces, moi rodzice powinni byli przewidzieć, że ludzie rozpoznają ich samochód. Że niebieski kombinezon ojca zostanie uznany za kombinezon sił powietrznych – nawet jeśli został pozbawiony emblematów. Że ludzie bez trudu dostrzegą niewypłowiąły materiał pod dawnymi belkami kapitańskimi. Że uroda ojca, jego uprzejmy południowy akcent i dobre maniery zostaną zapamiętane przez wszystkich przebywających w banku w Dakocie Północnej. Że ludzie sobie przypomną, iż wspominał o chęci obrabowania banku kilku pracownikom bazy w Great Falls (choć to był żart). Nasi rodzice powinni również zdawać sobie sprawę, że wbrew intuicji ojca ludzie napadający na banki nie wtapiają się w tłum, ale

wyróżniają na jego tle, bo stali się czymś lub kimś innym od dawnych siebie i od wszystkich pozostałych. Z tych wielu powodów odkrycie, kto obrabował bank, bardzo szybko przestaje być trudne.

Moi rodzice jednak, którzy odjechali w czwartek rano – całkowicie niewinni, z banalnym debetem, możliwym do uregulowania na wiele sposobów, wobec małej grupki pozbawionych większego znaczenia Indian – zupełnie o tym nie pomyśleli. Ale niemal na pewno przyszło im to do głowy już następnego dnia, gdy jako przestępcy wracali do domu w Great Falls, a przekonanie, że to, co zrobili, ujdzie im płazem, zaczęło gasnąć na płaskim letnim niebie.

Tamtego dnia pojechali na wschód drogą międzystanową numer dwieście przez miasta Lewistown i Winnett i rzekę Musselshell do Jordan, Circle i Sidney, przez spieczoną i stwardniałą od słońca równinę, która rozciąga się od gór aż po Minnesotę. Byli w rejonie, gdzie nikogo i niczego nie znali – z wyjątkiem tego, co ojciec zdołał ustalić podczas swojej „podróży w interesach”, co musiało być dla niego wielką sprawą i mogło wywołać wrażenie, że są niewidzialni.

Podczas dwóch dni nieprzerwanego krążenia i przecinania granicy stanów ojciec dotarł do miasteczka Creekmore (wówczas liczyło ono sześciuset mieszkańców) i Krajowego Banku Rolnego Dakoty Północnej. Wstąpił na lunch do kawiarni po drugiej stronie Main Street. Nikt go nie zagadnął ani (jak sądził) nie zwrócił uwagi na jego kombinezon. (W niedalekim Minot również znajdowała się baza sił powietrznych). Doszedł więc zapewne do wniosku, że ludzie pogrążą się w podobnym stanie niepamięci, gdy w takim stroju wejdzie do banku zaraz po jego otwarciu, zacznie wymachiwać czterdziestką piątką, zgarnie forszę leżącą w szufladach kasjerów i na widoku – nie podejmie próby wejścia do skarbcza, chyba że ten będzie otwarty i zdoła bez trudu zabrać pieniądze – umieści to wszystko w płóciennym worku i zniknie. Niecałe trzy minuty później popędzi na wschód, do granicy z Montaną, stając się szybko coraz mniej rozpoznawalny. A matka będzie na niego czekać przed bankiem, ale nie wysiądzie z samochodu z powodu swojego charakterystycznego wyglądu. Będzie pilnować pracującego auta, a później je poprowadzi. Był to śmiały plan, ale ojciec uważał, iż jest na tyle prosty, że powinien się udać, bo przecież użył swojej mózgownicy, by go obmyślić. Przewagą będzie również to, że nigdy wcześniej nie odwiedził tego banku. Większość rabusiów odczuwa bowiem potrzebę przeprowadzenia rekonesansu w miejscu planowanego przestępstwa i zasiewa nieświadome wspomnienia w umyśle tych, którzy ich później zobaczą – choć mój ojciec nie sądził, aby

ci ludzie ujrzeli go ponownie. Garstka klientów przebywających w Banku Rolnym o tak wczesnej porze będzie zbyt zahipnotyzowana nieoczekiwanym widokiem groźnie wyglądającej czterdziestki piątki, aby zwrócić uwagę na niego lub na jego wygląd. Właśnie do tego potrzebna mu była broń – żeby odwrócić uwagę. Mógł prysnąć z co najmniej pięcioma lub sześcioma tysiącami dolarów, może nawet z dziesięcioma tysiącami, które stanowiły górną granicę. To też wykombinował w swojej mózgowicy.

Bardziej skomplikowana część planu obejmowała zabiegi mające na celu uniknięcie schwymania już po przeprowadzeniu skoku. Jego głównym sprzymierzeńcem miały być szerokie otwarte przestrzenie. Aby dodatkowo zwiększyć swoją przewagę, w poprzedni wtorek pojechał do miasta Wibaux w Montanie, na południe od Creekmore, i przedstawił się jako agent nieruchomości, wpytując w Wibaux Bank, biurze ubezpieczeniowym i barze o rancza na sprzedaż i opuszczone gospodarstwa oraz o to, jak mógłby się skontaktować z właścicielami w imieniu firmy z Great Falls. Sądził, że okolica jest pełna porzuconych rancz. Że nikt nie zwróci na nich uwagi. Że nikogo nie spotkają od horyzontu aż po horyzont.

Uzbrojony w informacje uzyskane od miejscowych kupców i mapę okolicy zaczął objeżdżać gospodarstwa, dopóki nie znalazł takiego, które wydawało się opuszczone. Zauważył kilka pojazdów i maszyn, ale w okolicy nie było nikogo. Zajechał na podwórko, wysiadł z samochodu i zapukał do drzwi. Zajrzał przez okna, aby się upewnić, że w domu nie ma ludzi. Miał zamiar uruchomić jedną z ciężarówek bez użycia kluczyka, ale znalazł go w stacyjce i włączył silnik. Sprawdził, czy można otworzyć szopę i bez większego trudu wejść do domu. Obie rzeczy okazały się możliwe.

Zgodnie z planem w czwartek wieczór on i nasza matka mieli pojechać do opuszczonego rancza i spędzić noc w samochodzie, budynku gospodarczym lub domu bez zapalania światła. Zamierzali ukryć bel aira w jednym z zabudowań. Ojciec planował przykręcić do jednej z ciężarówek tablice rejestracyjne Dakoty Północnej, które ukradł w Creekmore i trzymał w swojej torbie sił powietrznych wraz z pistoletem i czapką (jego jedynym przebraniem). Tym pojazdem – ciężarówką marki Ford – mieli wyruszyć następnego ranka, aby pokonać krótki dystans do Creekmore, przekraczając granicę stanu. Matka miała zaparkować wóz obok Banku Rolnego na

chwilę przed jego otwarciem, a ojciec wysiąść, wejść do środka, obrabować kasy, a następnie wyjść i wrócić do furgonetki. Wtedy matka miała przewieźć ich z powrotem przez granicę, do rancza w Wibaux, gdzie czekał na nich chevrolet. Później mieli się przebrać, wyrzucić pistolet, czapkę, niebieską torbę i tablice z Dakoty – wszystko z wyjątkiem pieniędzy – do stawu na farmie, potoku lub studni i wyruszyć do Great Falls jak dwoje ludzi, którzy wybrali się na wycieczkę, a teraz wracają do domu.

Ojciec szczegółowo przedstawił ten plan matce podczas ich czwartkowej podróży na wschód. Z miejsca się sprzeciwiła. Nie miała zielonego pojęcia o napadaniu na banki, ale potrafiła słuchać i była rozsądna. Uważała, że plan ojca jest zbyt skomplikowany i zawiera zbyt wiele niewiadomych, które mogą pójść źle. (Z jakiegoś powodu zgodziła się na skok – jedyne prawdopodobne wytłumaczenie tej decyzji jest najprostsze: przecież ludzie to robią. Jeśli uważacie, że to nielogiczne, nadal oceniacie wydarzenia z punktu widzenia kogoś, kto n i e obrabował banku i nigdy tego nie robi, bo wie, że to czyste szaleństwo). Co się stanie, powiedziała moja matka, jeśli właściciele rancza wrócą i zastaną ich śpiących w samochodzie lub domu? (Ojciec miał gotową odpowiedź: ogarnęła ich senność, więc zjechali z drogi, aby bezpiecznie przenocować. Nikt nie postawi im zarzutów, bo wtedy jeszcze nie obrabują banku, dlatego będą mogli spokojnie wrócić do domu). A jeśli stara ciężarówka zepsuje się w połowie drogi do Creekmore? (Na to pytanie ojciec nie znał już odpowiedzi). Albo jeśli ktoś będzie na nich czekać, gdy wrócą po chevroleta? (Ojciec założył, że jeśli ranczo było puste, kiedy je znalazł, pozostanie puste, dopóki będzie go potrzebować, co było typowe dla jego sposobu myślenia). Jego plan, powiedziała moja matka, ma zbyt wiele niewiadomych. Zbyt wiele niedopracowanych punktów. Im prostszy plan, tym lepiej. Wspomniała o przekombinowanym przekręcie, w którego wyniku ojciec znalazł się między Indianami i Digbym. Nie był wystarczająco ostrożny i roztropny, naoglądał się za dużo filmów gangsterskich w Podunk w Alabamie. Ona nie widziała ani jednego, nie miała pojęcia o samochodzie Bonnie i Clyde'a i o tym, że ojciec wyznał mi, iż ma ochotę obrabować bank. Ale teraz brała w tym udział.

Lepszym planem było zastąpienie tablic chevroleta tablicami z Dakoty Północnej, wjechanie do Creekmore o wczesnej porze, jak zaproponował, zaparkowanie z tyłu budynku, a nie od frontu, na pełnym widoku, wejście

do środka, obrabowanie banku, wyjście, okrążenie budynku, wskoczenie do samochodu, w którym ona będzie na niego czekać, i odjechanie z miasta tak, jak do niego przybyli. Żadnych pochopnych działań. Wszystko będzie wyglądać naturalnie. Jej plan bazował na przekonaniu, że ludzie nie zwracają uwagi na większość zdarzeń, jeśli nie są w nie osobiście zamieszani. Właśnie tacy mieli być ludzie, którzy znajdą się w piątek o dziewiątej rano na ulicy w Creekmore w Dakocie Północnej – miasteczku, gdzie nie działo się nic, co mogłoby zwrócić czyjąś uwagę.

W kronice mojej matki nie ma żadnej wzmianki o obiekcjach, które ojciec zgłosił do jej planu, choć była to długa podróż – niemal sześćset pięćdziesiąt kilometrów. Zatrzymali się na lunch, zatankowali w Winnett i spędzili mnóstwo godzin w samochodzie, więc mieli dość czasu na przedstawienie swojego zdania. Matka napisała jedynie, że przekonała go, iż najlepszym rozwiązaniem będzie zatrzymanie się w Glendive w Montanie, aby się pokazać. Zatrzymają się i jakby nigdy nic zjedzą kolację. Następnego ranka wstaną i pokonają sto kilometrów do Creekmore, zrobią to, co zaplanowali, a następnie wyruszą do domu, do mojej siostry i do mnie. Matka powiedziała jeszcze, że ojciec powinien mieć maskę, ale odmówił, bo w miasteczku nikt go nie znał, więc maską była jego własna twarz. Przystojną maską.

Kiedy patrzę wstecz, wydaje się okrutną ironią, że zrealizowali koncepcję mojej matki. Bo mimo wszystkich słabych punktów plan mojego ojca mógł okazać się lepszy. Poświęcił on więcej czasu (może nawet lata) na jego obmyślenie i przeanalizowanie. I nawet jeśli jej plan zapobiegł natychmiastowemu ujęciu, to w końcu i tak doprowadził do ich zatrzymania. Ludzie zapamiętali bel aira, kiedy w poprzedni wtorek ojciec wstąpił na lunch do jadłodajni Town Diner w Creekmore. Został rozpoznany po raz drugi, kiedy wjechali do miasta w piątek rano i zaparkowali za bankiem, a później wyjechali z miasta po napadzie. Zapamiętał go recepcjonista motelu Yellowstone w Glendive i szeryf okręgu Dawson, który zauważył naklejkę sklepu BX na przedniej szybie. Oprócz tego był śmieszny południowy akcent ojca i jego niedzielne maniery, kombinezon sił powietrznych i służbowa czterdziestka piątka. Ochroniarz z banku zauważył nawet drobne, wystrzępione otwory na ramionach kombinezonu. Służył w siłach powietrznych jako sierżant

sztabowy, więc trafnie odgadł, że zostały pozostawione przez belki kapitana. Moi rodzice po prostu nie mieli pojęcia o tym, jak wygląda życie w małym miasteczku na prerii, gdzie wszyscy zwracają uwagę na wszystko. Oczywiście żadna ze wspomnianych rzeczy nie łączyła się z nimi bezpośrednio – znajdowali się już wówczas w domu w Great Falls razem z nami – bez zidentyfikowania chevroleta przez ludzi, których nikt nie posądziłby o to, że cokolwiek widzą lub kojarzą (ale, o dziwo, właśnie tak się stało). Okazało się, że ojciec nie zapisał się w pamięci nikomu z Creekmore – dopóki nie przyszła pora, żeby zeznawać przeciw niemu, bo wtedy stał się nagle osobą wpadającą w oko.

Często zastanawiałem się, o czym rozmawiali matka i ojciec w samochodzie jadącym przez środkową część stanu Montana, z pistoletem w torbie, na spotkanie przeznaczenia, ze mną i z moją siostrą wlekącymi się tuż za nimi. Zawsze zakładałem, że było inaczej, niż to sobie wyobrażałem – jak z wieloma innymi rzeczami. W moich urojeniach, bo chyba tak to trzeba nazwać, rodzice się nie kłócili, nie złościли, nie okazywali strachu ani niechęci. On nie starał się przekonać jej do udziału w napadzie. (Nie musiał tego robić). Ona nie przytaczała argumentów, że nie jest to konieczne. (Wszystko zostało już postanowione). Ojciec sądził, że pieniądze rozwiążą jego problemy, uczynią go bogatym, utrzymają nas razem, pozwolą osiąść na stałe w Great Falls i stać się normalną rodziną. W przeciwnym razie musiałyby uznać, że jest wielkim nieudacznikiem, że strasznie namotał i zmarnował okazję dokonania czegoś ważnego (większego od sprzedawania rancz lub samochodów i wykradania krów), czegoś, co zapewniłoby nam wszystkim beztrudne życie lub wysadziło je w powietrze tak skutecznie, że już nic nie będzie takie jak kiedyś. Jedno i drugie mogło być prawdą, zważywszy na jego zmienny i nierozważny charakter. Ale wydaje się jasne, że chciał czegoś więcej niż dwóch tysięcy dolarów potrzebnych do spłacenia Indian, bo takie pieniądze mógłby zdobyć bez przeprowadzania napadu na bank. W i ę c e j – cokolwiek to było – okazało się tym, co napad oznaczał dla niego.

Oczywiście z matką sprawa była inna. Nie lubiła podejmować ryzyka i miała zdrowy rozsądek. Wychowano ją tak, aby znała życie i potrafiła dostrzec drobne różnice. Mogła sobie wyobrazić inną przyszłość, choć miała trzydzieści cztery lata. Ponieważ jednak zgodziła się wziąć w tym udział – pojechała z ojcem, obmyśliła prostszy plan, siedziała

w samochodzie, czekała i kierowała po dokonaniu napadu, a dzień wcześniej była nawet w dobrym nastroju – trzeba pogodzić się z myślą, że zrobiła to jeśli nie z własnej woli, to przynajmniej świadomie, wyobrażając sobie, że po napadzie ich sytuacja może się poprawić. W lepszym momencie dostrzegłaby, że to błąd; że mogli zostawić dom oraz swój skromny dobytek i odjechać w środku nocy. Kiedy ojciec odszedł z sił powietrznych, nic nie trzymało ich w Great Falls. Oboje nienawidzili gromadzenia rzeczy i oprócz chevroleta i dwójki dzieci posiadali niewiele. Jej umysł zwyczajnie nie sięgał tak daleko, w przeciwnym razie niepewność okazałaby się zbyt złowroga.

Po pięćdziesięciu latach, które upłynęły od tamtego czasu, zgaduję, że Neeva – ogarnięta nowym, nieoczekiwanym poczuciem wolności i ulgi, jakiego doświadczyła, gdy Bev krążył po pustkowiach Dakoty, szukając dogodnego na napad banku – doszła do błędnego przekonania, iż rabunek jest ryzykiem, które ułatwi jej zdobycie tego, czego pragnie. Była to mylna kalkulacja, podobna do tej, która skłoniła ją do poślubienia Beva Parsonsa – do zrezygnowania z życia, jakie mogła prowadzić, na rzecz tego, które wydawało się bardziej śmiałe i nieoczekiwane, choć wcale takie nie było. Dzięki połowie pieniędzy z rabunku nie musiałyby wracać do swojej błędnie skalkulowanej egzystencji, która stała się dla niej wyrzutem. Skok mógł się wydawać lepszym pomysłem od rozpląnięcia się w mroku nocy i przebudzenia w zakurzonej Cheyenne w stanie Wyoming lub Omaha w Nebrasce, gdzie czekałoby ją więcej tego, co już miała po dziurki w nosie. W swojej kronice napisała, że podczas drogi do Creekmore oświadczyła ojcu, iż po napadzie (nie miała pojęcia, ile zgarną, ale pieniędzy najwyraźniej miało wystarczyć) weźmie połowę i nas, dwójkę dzieci, i odejdzie. Napisała, że ojciec się roześmiał i powiedział: „Poczekaj, zobacz, jak się będziesz czuć”.

Fascynuje mnie ich zbliżanie się do punktu, po którego przekroczeniu nie ma odwrotu – ich podróż, rozmowy, wymienianie opinii i czułych słów – bo oficjalnie życie moich rodziców jeszcze się nie zmieniło. Nie byli przestępcami. To zdumiewające, jak daleko sięga normalność. Że można ją mieć w zasięgu wzroku, stojąc na tratwie oddalającej się w głąb morza, a ona, jak ziemia, staje się coraz mniejsza. Lub w balonie wznoszącym się w słupie powietrza nad prerią, kiedy ziemia w dole się poszerza, staje się coraz bardziej płaska i coraz mniej wyraźna. Dostrzegasz ją lub nie, ale

jestes już tak wysoko, że wszystko jest stracone. Myślę, że to właśnie z powodu katastrofalnych wyborów dokonanych przez naszych rodziców odnoszę się nieufnie do normalnego życia, ale też tak kurczowo się go trzymam. Trudno mi myśleć jednocześnie o zwyczajnym życiu i końcu, który ich spotkał. Mimo to trzeba próbować, bo, powtarzam, w przeciwnym razie niewiele zrozumiemy z tej historii.

Kiedy widzę ich ostatni przelotny obraz – zanim stali się kimś innym – myślę, że jadąc chevroletem na wschód, siedząc obok siebie, po raz pierwszy bez dzieci, samotni razem, mogli poczuć ostatnią resztkę dawnej zażyłości, która ujawniła się poprzedniego wieczoru, i cofnąć się do początku. Tak jak inni rodzice. Mogli doświadczyć wrażenia, iż jedno uzupełnia drugie w wyjątkowy, przyjemny i tak podstawowy sposób, że wcześniej nie trzeba było o tym mówić ani w pełni tego przeżywać – z wyjątkiem jednego razu, na początku. Oczywiście gdyby moja matka nie zaszła w ciążę, a ojciec nie zrobiłby tego, co należy, ich znajomość okazałaby się jedynie przelotnym romansiem, który później nasuwa pytanie, czy była to prawdziwa miłość, choć do niczego nie doprowadziła.

Podróż do Glendive zajęła im sześć i pół godziny. Zatrzymali się w motelu Yellowstone. Mój ojciec starał się zachowywać wesoło, a jednocześnie nie powiedzieć niczego, co mogłoby zapaść w pamięć recepcjoniście. Zostawił matkę w samochodzie, kiedy ich meldował, aby nie zwróciła niczyjej uwagi i nie wywarła na nikim wrażenia. Potem opuścili rolety i zdrzemnęli się w gorącym, zatechłym domku z płyty pilśniowej. O dziewiętnastej, kiedy jeszcze było widno – choć miasteczko opustoszało, a jaskółki na moście zbijały się w gromady i nurkowały w kierunku swojego lustrzanego odbicia na powierzchni rzeki Yellowstone – ojciec pojechał do miasta, zjadł samotnie obiad w hotelu Jordan i poprosił o zamykany pojemnik z wołowiną i makaronem, aby zawieźć go żonie, która była chora i odpoczywała w pokoju.

Nie wiadomo, jak spędzili wspólną noc – ostatnią, zanim stali się przestępcami – bo moja matka nie podała żadnych szczegółów. Nie ma też gotowego szablonu takiej nocy. Byli sami w dusznym domku. Rozmawiali o tym, o czym musieli lub co przyszło im do głowy. Normalni ludzie zerwaliby się spanikowani o drugiej nad ranem, złani potem obudzili osobę leżącą obok i zawołali: „Nie! Zaczekaj! Co my wyprawiamy?! Można grozić, że się to zrobi, obmyślić plan i przyjechać aż tutaj. Można fantazjować, że się uda, ale to czyste szaleństwo! Musimy wrócić do domu, do naszych dzieci! Spójrz na to z innej strony”. W taki sposób myślą rozumni ludzie, tak mówią i tak postępują, kiedy przychodzi chwila refleksji. Ale nasi rodzice tego nie zrobili. „Nie spałam dobrze w tamtą upalną noc w Glendive – napisała moja matka. – Śniło mi się, że jestem w łodzi, a właściwie na statku przepływającym przez Kanał Panamski (to musiał być on), a może Kanał Sueski. Statek utkwiał i nie mógł się poruszyć do przodu ani do tyłu. B. spał twardo jak zawsze. Obudził się wcześniej. Kiedy otworzyłam oczy i na niego spojrzałam, był ubrany i uczesany i majstrował przy pistolecie”.

O siódmej trzydzieści wstali z łóżka, zostawili rzeczy rozrzucone po pokoju, nie zjedli śniadania, zawiesili na drzwiach karteczkę „Nie przeszkadzać” i odjechali z motelu. Wszystko miało wyglądać tak, jakby zamierzali w nim pozostać, jakby spali do późna, a następnie pojechali załatwić jakąś sprawę, aby wrócić pod koniec dnia.

Wyruszyli na wschód przez małe miasteczko Wibaux, w którego okolicy ojciec obmyślił swój pierwotny plan, zanim moja matka wpadła na prostszy pomysł. Po minięciu Wibaux przekroczyli granicę Dakoty Północnej – informował o tym jedynie mały metalowy znak oznajmiający, że wjechali na teren innego stanu. Tuż za granicą skręcili w ubitą wiejską drogę i wjechali w pole jęczmienia na głębokość półtora kilometra, do strumienia przepływającego obok wysepki zielonych ketmii, które obsiadło stado srok. Mój ojciec wysiadł w parnym świetle poranka i zmienił tablice rejestracyjne – zielono-białe tablice stanu Dakota Północna, Ogrodu Pokoju, które ukradł trzy dni temu, zajęły miejsce tablic z czarnymi znakami należącymi do Stanu Skarbów, które później planował przykręcić z powrotem. Potem przebrał się w niebieski kombinezon i tenisówki, które miały go uczynić niewidzialnym, a następnie ukrył odzież i buty pod konarami leżącymi na ziemi. Matka została w samochodzie, bo bała się węży. Później wrócili na drogę, skręcili na wschód i niebawem wtoczyli się do Creekmore, które było pierwszym miastem po przekroczeniu granicy – wybranym przez ojca właśnie z tego powodu.

Krajowy Bank Rolny znajdował się na zachodnim końcu Main Street w centrum Creekmore. Mój ojciec był zdumiony, że o ósmej pięćdziesiąt osiem rano na ulicy panuje taki ruch. Mijali ciężarówki ranczerów, kombajny do zbioru pszenicy i samochody do przewożenia zboża oraz ludzi, którzy wyszli do miasta na zakupy. Wyglądało, że w Creekmore roi się od rannych ptaszków. Zgodnie z planem ojciec nie pojechał główną ulicą, ale skręcił na pierwszym skrzyżowaniu obok firmy ubezpieczeniowej i przejechał pół przecznicy tylną aleją – porośniętą chwastami i wysypaną żwirem, z warsztatem samochodowym na rogu i bankiem, za którym nie było żadnego budynku. Podjechał do miejsca, w którym mógł zaparkować obok innych samochodów, należących do pracowników banku. Nie zamierzał urządzić dłuższego postoju. Nie chciał rzucać się w oczy, dlatego zdecydował, że się nie przebierze i nie włoży maski, jak radziła matka. Nawet wówczas nie wierzył, że wygląda jak rabuś. Miał wyraźne regularne

rysy i świeżo ostrzyżone włosy. Był ogolony. Nic (z wyjątkiem kombinezonu) nie odróżniało go od dorosłych obywateli Dakoty Północnej o wyrazistych regularnych rysach.

Kiedy zatrzymali się z tyłu banku, były trzy minuty po dziewiątej. Mój ojciec wysiadł z auta w brązowej płóciennej czapce na głowie i z naładowanym pistoletem w kieszeni kombinezonu. Nie rozmawiali z sobą. Z miejsca skręcił w zacienioną boczną alejkę wyłożoną płytami, oddzielającą bank od sklepu jubilerskiego, i wszedł na chodnik biegnący wzdłuż Main Street. Wtedy oślepiło go słońce – powiedział o tym później matce. Przez krótką straszną chwilę nie wiedział, w którą stronę się udać. Oprócz tego na ulicy panował ożywiony ruch, większy niż pięć minut temu. Matka napisała, że niemal zawrócił – co nadal mógł być zrobić. Ale pod wpływem chwili uznał, że cała ta gorączkowa krzątanina odwróci od niego uwagę, gdy wyjdzie z banku – co miało nastąpić nie później niż za trzy minuty – z torbą pełną pieniędzy. Że nie będzie rzucać się w oczy i ponownie zniknie niepostrzeżenie w bocznej alejce.

Zrobił kilka kroków po gorącym chodniku w kierunku wielkich drzwi banku wykonanych z mosiądzu i szlifowanego szkła. Pomyślał, że powinien był włożyć okulary przeciwsłoneczne, bo stanowiłyby dobre przebranie i dodatkowo osłaniały oczy. Wszedł jednak prosto do banku i zamarł, gdy drzwi się za nim zamknęły. W środku było chłodno i ciemno, panowały dziwny bezruch i cisza. Na dworze kotłowało się od ruchu, skwaru i zgiełku. Poza tym zaskoczyły go małe wymiary oddziału, bo nigdy wcześniej nie wszedł do środka, bojąc się, że ktoś mógłby go zapamiętać. Jeden klient – drobna, szczupła blondynka – stał przy jednym z trzech okienek kasowych zabezpieczonych mosiężną kratą i rozmawiał z kasjerem. Kobieta patrzyła, jak kasjer odlicza banknoty, a następnie wkłada do torebki z materiału, aby przenieść je do kasy sklepu jubilerskiego tuż obok. W banku pachniało czystością, pastą do metalu marki Brasso – powiedział później matce – lub wnętrzem nowej lodówki.

Potem ojciec wyprężył się na baczność, wyciągnął z kieszeni czterdziestkę piątkę i przystąpił do okienka zajętej kasy – dwa inne były wolne – informując obecnych, że to napad. W jego wykonaniu. Powiedział klientce z salonu jubilerskiego i dwóm urzędnikom – mężczyznom w garniturach, spoglądającym na niego ze zdumieniem znad swoich biurka za metalową barierą, gdzie przeprowadzano transakcje – oraz starszemu

ochroniarzowi, siedzącemu przy jednym z pustych stołów, że mają się położyć twarzą do marmurowej podłogi i nie robić niczego z wyjątkiem tego, co im każe. Jeśli ktoś włączy alarm, narobi hałasu, będzie próbował wstać, uciec lub uczynić coś nagłego i niespodziewanego, to go zastrzeli. (Później miał temu zaprzeczyć).

W tamtej chwili, obwieszczając swój zamiar, prezentując broń i wydając teatralne polecenie „nie ruszać się, bo zastrzelę”, ojciec mógł przeżywać najprawdziwsze szczęście, bo ogarnęło go (pierwszy raz od czasu, gdy z nieba zasypywał Japonię gradem bomb) radosne podniecenie wypływające ze świadomości, że wreszcie robi coś, o czym od dawna marzył. Zasłużył sobie na to nie tylko dlatego, że życie źle się z nim obeszło (Indianie, kolejne zajęcia, siły powietrzne, moja matka), a rabunek z bronią w rękę wydawał się satysfakcjonującym rozwiązaniem i rekompensatą, skoro nie okradał depozytariuszy, ale rząd, dla którego tyle poświęcił, zabił tysiące Japońców i był patriotą (rząd, który dysponował nieograniczonymi środkami gwarantującymi, że żaden niewinny człowiek nie straci ani pensa), ale że jednocześnie za jednym zamachem rozwiązywał wszystkie problemy naszej rodziny.

Wydaje się mało prawdopodobne, aby to podniecenie okazało się długotrwałe. Łypiąc jednym okiem na urzędników bankowych i ochroniarza i nie zwracając większej uwagi na pracownicę salonu jubilerskiego, która uklękła z bólem, usuwając się z drogi i ślizgając jak wąż po twardej posadzce, ojciec rozłożył płócienną torbę na marmurowym blacie pod kratami kasy i polecił kasjerowi włożyć do środka – szybko i bez gadania – zawartość wszystkich trzech szuflad, a także to, co miała otrzymać pracownica salonu jubilerskiego, choć pieniądze nie zostały jeszcze przeliczone. Kiedy kasjer wkładał pliki banknotów do torby, która była tak duża, że można by w niej zmieścić kulę do kręgli, jeden z dwójki urzędników, wytworny wiceprezes o nazwisku Lasse Clausen, później zeznający przeciwko mojemu ojcu w sądzie, podniósł głowę z podłogi, spojrzał na niego i zapytał:

– Skąd jesteś, synu? (Zwrócił uwagę na jego akcent z Alabamy). Nie musisz tego robić. Nie załatwia się tego w ten sposób.

– Nie ujdzie ci to płazem – dodała pracownica salonu jubilerskiego rozłożona na chłodnej posadzce. – Ktoś cię zastrzeli, zanim wyjedziesz z miasta. Nie ty jeden nosisz tu broń.

Ojciec powiedział później matce, że kiedy usłyszał te słowa, ogarnęło go dziwne przygnębienie, które spowodowało, iż „poczuł silną niechęć” do wszystkich obecnych w banku. Miał ochotę ich zastrzelić, jednego po drugim, żeby nie został schwytany. Dobrze im tak, mieli mniej szczęścia od niego. Nie zrobił jednak tego, bo nie z a p l a n o w a ł, że ich zastrzeli. W ciągu wielu lat rozmyślał o napadzie na bank – i bawienia się tym pomysłem – w jego planie nikt nie zginął. Miał zamiar go zrealizować, powiedział, bo tak postąpiłby człowiek inteligentny. Ale mógł być ich zabić – bo robił już w życiu znacznie gorsze rzeczy. Możliwe jednak, że tylko się przechwalał po fakcie, bo osobiste pozbawienie kogoś życia było czym innym od zrzucania bomb z samolotu.

Kiedy zawartość szuflad znalazła się w torbie, młoda kasjerka stojąca za okienkiem spojrzała na mojego ojca. Powiedziała później, że miała wrażenie, jakby go znała. On też zdawał sobie sprawę, że pozostali dobrze mu się przyjrzeni i nie sparaliżował ich widok broni ani nawet sam fakt napadu. Kilka dni wcześniej bank w Creekmore stał się celem innego skoku, więc pracownicy byli już w trakcie łapania naszego ojca, który przeżywał pewnie większe zaskoczenie od nich. Wyznał później matce, że wtedy po raz pierwszy poważnie pomyślał o tym, iż może zostać schwytany. Wywołało to pragnienie natychmiastowego zrezygnowania z napadu, ale nie było to już możliwe. Spojrzał na duży zegar wiszący nad otwartym bankowym skarbcem. Była dziewiąta dziewięć. Skarbiec wykonany z mosiądzu, srebra i stali majaczył na końcu tunelu. W środku były tysiące dolarów, ale ojciec uznał, że nie zdoła ich wynieść w torbie – oprócz tego nie potrzebował aż tyle. Był w Banku Rolnym przez cztery minuty. Wszyscy na niego patrzyli. Wszyscy słyszeli jego aksamitny głos i południowy akcent. Wszyscy mieli go do końca życia widzieć oczami wyobraźni, opowiadając o tym, jak znajdowali się w banku w dniu napadu. Wiedział to wszystko. Może mu się to nawet podobało. Czuł zapach własnego potu – potu, którego woń mogli czuć także oni. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko wziąć torbę z pieniędzmi – w której znajdowało się dwa i pół tysiąca dolarów – i wyjść. Tak też zrobił. Nie mówiąc ani słowa więcej. Bo już wiedział, że obrabowanie banku było złym pomysłem.

Matka przesiadła się na fotel kierowcy, kiedy ojciec zaparkował z tyłu banku. Przysunęła siedzenie do przodu, aby dosięgnąć pedałów stopami. Czekala, nie wyłączając silnika, kiedy pojawił się w alejce z płócienną torbą. Wskoczył na tylną kanapę i przykucnął pod kocem, a ona wolno odjechała, jakby to, co wydarzyło się w banku, nie miało nic wspólnego z biało-czerwonym chevroletem bel air z tablicami rejestracyjnymi Dakoty Północnej, opuszczającym właśnie miasto i kierującym się na zachód.

Napisała, że gdy dotarła do skrzyżowania z Main Street, gotowa skrócić w lewo, w okolicy banku nie zauważyła niczego, co spodziewała się zobaczyć. Do środka jakby nigdy nic wchodziła jakaś kobieta. Nie było słycać alarmu, nie widziała radiowozu szeryfa ani policji stanowej, a po chodniku nie biegali ludzie, jak oszalali wołając: „Napad!”. Pomyślała, że ujdzie im to na sucho. Że wkrótce rozpocznie nowe życie, w którym nie będzie miejsca dla naszego ojca ani Great Falls w Montanie.

Zgodnie z planem wróciła do granicy stanu z moim ojcem ukrytym za fotelem i skróciła w wyboistą wiejską drogę, przez pola jęczmienia, do ketmii i strumienia, przy którym zatrzymali się niecałą godzinę wcześniej. Mój ojciec wysiadł na kurz i skwar, zrzucił kombinezon i tenisówki i w bieliźnie wetknął pieniądze (wiedział już, że było ich mniej, niż zamierzał ukraść) do pustej przestrzeni za tylnym siedzeniem. Potem włożył kombinezon, buty, pistolet, czapkę i koc do niebieskiej torby, dorzucił kilka zakurzonych skał i ukrył je w strumieniu. Torba nie zatonała, ale zawirowała i odpłynęła w wianku żółtej piany, znikając im z oczu. Ojciec był przekonany, że to wcale nie szkodzi, bo nikt tu nie przyjdzie i jej nie zobaczy. Później ponownie włożył dżinsy, białą koszulę i buty, a następnie przykręcił tablice rejestracyjne Montany. Matka wróciła do autostrady, a później skróciła w lewo, w kierunku granicy, zostawiając wszystko za sobą.

W Glendive znów zatrzymali się w motelu Yellowstone. Ojciec poszedł do pokoju i zabrał rzeczy. Później zajrzał do biura, aby pogadać z recepcjonistą – innym niż ten, który zameldował ich poprzedniego wieczoru. Płacąc – gotówką – żartował, że niebo jest pełne satelitów, więc wkrótce wszyscy będą wiedzieć o wszystkim, co zrobili inni. Recepcjonista uznał to później za dziwne. Ojciec wrócił do domku, zaniósł małą damską walizkę do chevroleta, gdzie matka już na niego czekała. Usiadł za kierownicą i wyruszyli w kierunku Great Falls. Wszystko szło zgodnie z prostym planem matki. Ale gdyby poważnie rozważyli możliwość złapania – jak powinni – być może pewność co do tego by ich opuściła. A tak jechali do domu rozluźnieni i szczęśliwi, myśląc o Berner i o mnie, którzy czekaliśmy na nich i na lepsze życie dla nas wszystkich.

Często rozmyślałem o trzech sprawach związanych z tym, co nastąpiło po napadzie z bronią w rękę, gdy nasi rodzice stali się przestępcami i zmierzali prostą drogą do więzienia. Pierwszą było to, że zawsze się od siebie różnili. Moja siostra i ja zdaliśmy sobie z tego sprawę w okresie dorastania. Te uderzające różnice – osobowości i wyglądu, stosunku do życia i temperamentu – stanowiły przeciwne krańce kontinuum obejmującego życie Berner i moje. Oboje zostaliśmy ulepiani z cech, które czyniły ich tak różnymi – niektóre znalazły odzwierciedlenie we mnie, inne w Berner – choć nie uczyniły nas ani trochę bardziej podobnymi. Ja miałem charakter optymisty, choć nie tak wielkiego jak ojciec. Byłem ostrożny, ale nie tak stanowczy i sceptyczny jak matka. Berner wyglądała jak nasza matka, ale była od niej wyższa już w wieku piętnastu lat – mierzyła metr siedemdziesiąt. Miała uroczą stronę osobowości, jak nasz ojciec, ale skrzętnie ją ukrywała i zwykle zachowywała się tak, jakby była jej pozbawiona, co według mnie upodabniało ją do matki. Oboje byliśmy też inteligentni, jak ona. Berner jednak była praktyczna, czego nie dało się powiedzieć o żadnym z naszych rodziców. Była też nastrojowa i łatwo się poddawała, jak oboje rodzice. W pewnym momencie miała skłonność do godzenia się z porażką i przeznaczeniem, czego ja nigdy nie robiłem.

Kiedy nasi rodzice wrócili do domu po napadzie na bank w Dakocie Północnej i gdy wszyscy ponownie znaleźliśmy się razem – zanim zjawili się policyjni detektywi – moja siostra i ja niemal natychmiast spostrzegaliśmy, że matka i ojciec mniej się od siebie różnią. Że panuje między nimi znacznie większa zgoda, że nie ma już tak częstego wzdychania i kłótni, wrogości i sprzeciwu – co się nigdy wcześniej nie zdarzało. Uznałem, że ta nowa więź powstała, zanim wyjechali, tego wieczoru, kiedy oboje byli w dobrym nastroju, jakby dawna zażyłość odezwała się ponownie i ich ogarnęła, powodując, że przestali przypominać przeciwne krańce kontinuum i zamienili się w dwoje ludzi, którzy kiedyś wzięli ślub, bo się lubili.

Bóg jeden wie, co się działo w ich głowach w dniach, które nastąpiły bezpośrednio po napadzie. Skradzione pieniądze znajdowały się gdzieś w naszym domu. Musieli się czuć widoczni, bo żyli teraz we wrogim świecie (choć dzień wcześniej stali się niewidzialni), a dawne życie, budzące zniecierpliwienie z powodów, które były znane tylko rodzicom, w sposób oszałamiający i gwałtowny znalazło się poza ich zasięgiem – tratwa odpłynęła za daleko, balon wzniósł się zbyt wysoko... Przeszłość skończyła się w okrutny sposób, a przyszłość okazała się zagrożona. Ale mogła ich też połączyć nieoczekiwana i obopólna świadomość konsekwencji. Żadne z nich wcześniej nie zostało nią hojnie obdarzone i to mogła być ich największa wada. Choć oboje mieli dość rozumu, aby wiedzieć, że czyny powodują następstwa.

O drugiej rzeczy pomyślałem dopiero, gdy przeczytałem kronikę matki – dziesiątki lat po tym, jak odebrała sobie życie w więzieniu – i dowiedziałem się, że ojciec chciał za współnika mnie, a nie ją. Ciekawiło mnie, czy wyjaśniłby mi, że zamierza obrabować bank i pragnie, abym mu w tym pomógł. Jakich słów by użył, żeby powiedzieć o tym piętnastolatkowi? Czy wszedłby do mojego pokoju, kiedy leżałem obudzony w czwartek rano, zapytał, czy możemy porozmawiać, i opowiedział o wszystkim? A może zaczekałby, aż samochód jadący na wschód minie Musselshell, aby poruszyć tak dziwaczny temat? Albo zrobił to, wjeżdżając do Creekmore? Albo nigdy mi nie powiedział i wykorzystał jedynie jako kamuflaż, zostawił w samochodzie zaparkowanym z tyłu banku, czekającego, aż zjawi się ponownie, i niewiedzącego, co się dzieje?

A gdyby mi powiedział, to co mógłbym odrzec? „Nie”? Czy odmówienie byłoby możliwe? Oczywiście odpowiedziałbym „tak” albo nic bym nie odrzekł i pojechał razem z nim. Nie byłem zbuntowany ani pyskawy jak siostra. Kochałem go i chciałem postrzegać wszystko tak jak on. A gdybym został jego współnikiem, co zmieniłoby się później między nami? Pewnie wszystko. Czy wydorostałbym w jeden dzień? Czy moje życie zostałoby zrujnowane? Czy stalibyśmy się bardziej jak bracia niż ojciec i syn? Czy byłbym teraz przestępcą, a nie nauczycielem? Bardzo możliwe.

To rodzi kolejne pytanie: co by było, gdybyśmy zostali razem złapani, zatrzymani i umieszczeni w więzieniu lub wpadli w policyjną zasadzkę jak Bonnie i Clyde, a później zostali zastrzeleni i ułożeni na ziemi w celu wykonania zdjęć? „Ojciec i syn dokonali napadu na bank. Obaj zostali

zabici”. Ojciec nie zadał sobie trudu, żeby pomyśleć o takiej możliwości, a matka uchroniła mnie przed tym losem.

Czy gdyby rodzice nie zostali ujęci, zakończyliby karierę rabusiów bankowych?

To prowadzi do trzeciej sprawy, o której rozmyślałem. W przypadku naszej matki z pewnością tak by się stało – jeśli cokolwiek o tym wiem. Zamierzała zrobić to tylko raz, przynajmniej wedle mojej wiedzy, aby zostawić za sobą życie, które nie dawało jej zadowolenia. Gdyby osiągnęła cel, bez wątpienia rozpoczęłaby nowe z Berner i ze mną w innym miejscu. Miała zaledwie trzydzieści cztery lata. Nie trzeba się zbytnio wysilać, aby wyobrazić ją sobie jako nauczycielkę w jakimś małym college’u – mniej wyobcowaną, przypuszczalnie niezamężną, w gruncie rzeczy pogodzoną z losem – która zostawiła daleko za sobą napad, w jakim brała udział.

Jeśli chodzi o mojego ojca, nie mam takiej pewności. Lubił to, a przynajmniej tak mu się wydawało. Gdyby skok się powiódł, jego natura – już o tym wspomniałem – skłoniłaby go do wniosku, że będzie tak zawsze i że może udoskonalić swoją metodę. Przynajmniej jeden raz. Był też zawsze przekonany – wbrew narastającym dowodom wskazującym, że jest w błędzie – iż nie przypomina człowieka pokroju tych, co to rabują banki.

Przyjechali do domu w piątek po dziewiętnastej. Wydawali się zmęczeni i rozkojarzeni, choć czuli ulgę, że w końcu się w nim znaleźli. Byłem podekscytowany i zacząłem opowiadać, jak Berner i ja spędziliśmy dwa dni – co się wydarzyło, co widzieliśmy i o czym myśleliśmy. Indianie kilka razy przejechali obok naszego domu. Telefon za to dzwonił wiele razy, ale nie podnieśliśmy słuchawki. Berner i ja zjedliśmy resztę spaghetti i jajka na twardo i zrobiliśmy grzanki. Graliśmy w szachy, oglądaliśmy Nietykalnych, program komediowy Erniego Kovacsa i wiadomości. Skosiłem trawnik i obserwowałem pszczoły na cyniach za garażem. Nocą siedzieliśmy na huśtawce na werandzie, patrząc w rozgwieżdżone niebo. Słyszałem zgiełk dolatujący z terenu targów stanowych: rozlegający się przez megafon głos prezentera prowadzącego rodeo z Dzikiego Zachodu, wyścigi wozów i radosne odgłosy tłumu. Słyszałem organy parowe i wybuchy śmiechu wzmocnione przez system nagłaśniający.

Nasi rodzice byli czymś wyraźnie podekscytowani i zajęci sobą. Jakby zwracali baczną uwagę, żeby nie irytować się wzajemnie. Matka wzięła kąpiel, a później poszła do kuchni i przygotowała grzanki francuskie z plastrami szynki. Ojciec lubił jeść śniadanie na kolację, bo uważał, że to dobre dla trawienia. Wyszedł później na ulicę i przestawił samochód w alejkę za domem – co rzadko robił, bo był dumny ze swojego bel aira jak z samochodów demonstracyjnych, które próbował bez powodzenia sprzedać. Później zamknął auto i przyniósł kluczyki do domu, zamiast zostawić w stacyjce jak zwykle.

Kiedy siedzieliśmy przy stole, ojciec oznajmił, że interes, który pojechali sprawdzić, okazał się niewypałem. „Odwiarty naftowe”, stwierdził rzeczowo, a później się uśmiechnął i pokręcił głową, jakby był to żalony pomysł. Zwróciła mu na to uwagę nasza matka, dodał. Mądrze postąpił, zabierając ją z sobą. Miała świetny zmysł do interesów. Zakomunikował nam, że teraz poświęci cały swój czas na naukę metod sprzedaży farm i rancz. To pewny biznes. Wkrótce pojawią się okazje i będziemy mogli

kupić ziemię na własność. Zostaniemy w Great Falls. Berner i ja za dwa tygodnie pójdziemy do szkoły. Przedstawi Bargamianowi propozycję kupna nieruchomości. Nasz dom był domem rzemieślniczym, jakich już się nie buduje, oświadczył. Oczywiście, wymaga odmalowania i nowych tapet, szkoda też, że nie ma „fuaje” i kominka. Posiada za to inne eleganckie akcenty, jak choćby stiuk na suficie w salonie. Ojciec podziwiał symetrię budynku i jego wyraziste linie. Światło z dworu ładnie wpadało przez okna salonu – co było prawdą – a latem panował w środku przyjemny chłód. Dom przypominał mu „wiatę”, w której dorastał w Alabamie. Nie będą się już zastanawiać nad przeprowadzką.

Poczułem ulgę na te słowa, choć mogły nie zrobić podobnego wrażenia na Berner, bo już postanowiła uciec z Rudym Pattersonem i zostawić za sobą dotychczasowe życie.

Zauważyłem, że ojciec nie wrócił do domu z niebieskim workiem, z którym wyjechał, zanim jeszcze wspomniał o tym, że go zgubił. Ojciec dbał o własne rzeczy w pedantyczny sposób, typowy dla wojskowych. Kiedy ponownie zajrzałem do jego szuflady na skarpety, szukając pistoletu, znów go nie znalazłem. Uznałem, że podczas podróży w interesach musiało się coś wydarzyć, dlatego nie przywiózł go z powrotem. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co to mogło oznaczać. Zauważyłem też, że gdy zjedliśmy kolację i zapewnił nas, że zostaniemy w Great Falls, usiadł w salonie i nie zdejmując butów, białej koszuli oraz dżinsów, nastawił telewizor na program Summer Playhouse, a później rozmawiał z moją matką przez drzwi do kuchni, gdzie zmywała naczynia. Powiedział, że czuje się w Great Falls jak w domu, ale jest pewny, iż byłby równie szczęśliwy, gdyby wrócił do Alabamy. Że mieszkanie blisko krewnych ma swoje plusy. Matka odparła, że mieszkanie blisko miejsca urodzenia nigdy nie było złym pomysłem. Wielu potrzebowało całego życia, aby się tego nauczyć. Jest szczęściarzem, powiedziała, że to odkrył jeszcze za młodu.

Oczywiście wszystko to było kłamstwem – ich słowa oraz sposób, w jaki się do siebie zwracali, oświadczenia, w które mieliśmy wierzyć, i obraz przyszłości, jaki przed nami malowali. Próbowali upiększyć czyny, które popełnili, odpowiednio je ubrać, ozdobić to, co miało się stać ich rezultatem. Ale tych rzeczy nie dało się uwznioślić. Nasi rodzice uciekali przed katastrofą, lecz przybyli do znajomego, spokojnego miejsca, gdzie wszystko było takie jak kiedyś – włączając Berner i mnie – wyglądało tak

samo i w innych okolicznościach mogło nadal takie pozostać. Mogli sądzić, że oni też są tacy sami, że mogą dalej żyć jak dawniej, mieć takie same pragnienia. Katastrofalne konsekwencje, którymi trzeba było się zająć, i ciąg zdarzeń, jaki uruchomili, odciskający na nich piętno ludzi skończonych, jeszcze w pełni do nich nie dotarły. Nadal umieli myśleć, postępować i rozmawiać w taki sposób jak kiedyś. Można im to wybaczyć, a nawet ich za to polubić – bo byli oczarowani ostatnim kęsem życia, które przekreślili.

W sobotę rano obudził mnie głos matki rozmawiającej przez telefon. Nalegała na coś i pomachała mi ręką, kiedy szedłem korytarzem do toalety, mijając aparat stojący we wnęce. Odniosłem wrażenie, że ojca nie ma w domu. Samochodu też nie było tam, gdzie go wczoraj zostawił.

W nocy pogoda się zmieniła. Białe chmury, widoczne przez okno w kuchni, przesuwały się szybko na zachód, a światło przybrało żółtozieloną barwę. Wiązy na podwórku i w parku po drugiej stronie ulicy zakołysały się w jedną i drugą stronę na wietrze, jakby nadciągał deszcz. Sterta naszych starych ubrań nadal leżała na tylnej werandzie, czekając na przyjazd ciężarówki z kościoła St. Vincent de Paul. I choć w domu było teraz chłodno, bo drzwi od frontu i od tyłu zostały otwarte, panował w nim spokój. Czułem się jak w poranek poprzedzający ważne popołudnie.

Kiedy moja matka skończyła rozmawiać, oznajmiła, że idzie do sklepu włoskiego przy Central Avenue, gdzie robiła zakupy spożywcze. Berner jeszcze śpi, więc jeśli chcę, mogę pójść razem z nią. Ucieszyłem się, bo uważałem, że spędzam za mało czasu z matką. Podczas drogi matka mówiła niewiele. W sklepie kupiła „Tribune”, czego nie robiła nigdy wcześniej, bo nie interesowało ją, co się dzieje w mieście. Gdy wracaliśmy, podjąłem próbę poruszenia pewnych spraw, które były dla mnie ważne. Mój rower marki Schwinn, kupiony jako używany jeszcze w Missisipi, był już dla mnie za mały. Myślałem o rowerze firmy Raleigh – angielskim, z cienkimi oponami, ręcznymi hamulcami i przerzutkami oraz koszem za siedzeniem. Chciałem zabierać książki i szachy do szkoły, kiedy zaczną się lekcje. Wcześniej rodzice nie pozwalali mi jeździć do szkoły na rowerze, ale uznałem, że teraz się zgodzą. Przypomniałem jej, że chcę zbudować ul i postawić go za domem. Miałem zamiar zrobić to na wiosnę, kiedy otrzymam pszczoły, które zamówiłem w Georgii. Będą z tego korzyści: owady zapylą malwy, poza tym miód – którym wszyscy mogliśmy się dzielić – leczy alergię i będzie dobry dla Berner. Obserwowanie tych owadów jest niezwykle kształcące, bo pszczoły są dobrze zorganizowane

i działają w sposób celowy, więc będę mógł napisać o nich pracę do szkoły, jak o wytapianiu rudy i szczepionce Salka na paraliż dziecięcy, którą otrzymaliśmy razem z Berner. Wspomniałem również, że targi stanowe nadal trwają i że mam nadzieję odwiedzić wystawę pszczelarską. Dziś jest ich ostatni dzień. Odpowiedziała, że będę musiał zwrócić się z tym do ojca, bo ona nie ma czasu. Przypomniała mi, że nie lubi targów rolniczych. To niebezpieczne imprezy. Pracują przy nich ludzie znani z tego, że porywają dzieci. Myślała o ubraniach. Berner i ja potrzebowaliśmy nowej bielizny. Zauważyłem, że nie rosnę zbyt szybko w przeciwieństwie do Berner, a matka odparła, że to naturalne. Mogłem nosić jeszcze jeden sezon ubrania kupione rok temu. Nie miałem wrażenia, że nawiązałem z nią kontakt w którejkolwiek ze spraw, na jakich mi zależało.

Kiedy stanęliśmy przed domem, drzwi kościoła luterańskiego się otworzyły i zauważyłem w środku ożywioną krzątanicę. Wiatr poruszył drzewami, a matka spojrzała na konary i stwierdziła, że się ochłodziło (ja tego nie czułem). Ogarnął ją smutek, bo oznaczało to, że wkrótce na szczytach majaczących na zachodzie pojawi się śnieg i zanim zdążymy się obejrzeć, nadejdzie jesień.

Gdy weszliśmy do domu, matka zaparzyła herbatę i zrobiła kanapki z szynką bolońską, a później wyszła na schody, na wiatr i słońce, i zaczęła czytać gazetę. Nie wyłączyła dużego radia marki Stromberg-Carlson, stojącego w salonie, co nie było normalne. Nasłuchiwała wiadomości o napadzie, żeby sprawdzić, czy informacje dotarły do Great Falls – ale wówczas o tym nie wiedziałem. Później przejrzałem gazetę, aby się dowiedzieć, do której godziny trwają targi. Niczego bym nie zauważył, nie pamiętam też, aby w gazecie była jakaś wzmianka o kradzieży. W moim życiu nie wydarzyło się jeszcze nic, co miało z nią związek. Zauważyłem jednak, że Indianie przestali przejeżdżać przed naszym domem i gapić się na nas z nienawiścią. Telefon też zamilkł. Za to tego ranka czarno-biały policyjny radiowóz dwa lub trzy razy minął nasz dom, co matka też odnotowała. Mimo to nie spodziewałem się niczego złego. Miałem jedynie wrażenie dziwnego ruchu wokół mnie. Na powierzchni życia nie można było niczego dostrzec, a ja wiedziałem tylko o niej. Dzieci są wyczulone na ruch, który może oznaczać, że ktoś się o nie troszczy, że w niewidoczny sposób zadbał o wszystko i najpewniej nie wydarzy się nic złego. Albo może oznaczać coś innego. Dziecko ma takie doznanie, jeśli dorasta

w dobrych warunkach, co – jak sądziłem – zachodziło w przypadku Berner i mnie.

Ojciec nie wrócił do południa, a moja matka zaczęła się gdzieś szykować, chociaż nigdy nie wychodziła w sobotę. Włożyła jesienny kostium, który czasami ubierała, gdy miała lekcje – gruby zielony wełniany strój w dużą jasnoróżową kratę – do tego pończochy i czarne buty na małym obcasie. Kiedy chodziła po domu, szukając torebki, sprawiała wrażenie spiętej i skrepowanej, jakby drapał ją materiał, a buty głośno stukały na podłodze. Podczesała włosy przed lustrem w łazience, żeby były nastroszone i ukryły rysy jej twarzy. Kiedy Berner zobaczyła mamę, powiedziała: „Wszystko widziałam”, a następnie wróciła do swojej sypialni i zamknęła drzwi.

Wszedłem do salonu i spytałem matkę, dokąd idzie. Nadal czułem dziwny ruch wokół mnie. Zapowiedź deszczu pojawiła się i zniknęła, jak to często bywa. Dzień okazał się wilgotny, pogodny i bardzo upalny. Matka odpowiedziała, że wpadnie po nią przyjaciółka Mildred Remlinger, szkolna pielęgniarka, z którą jeździła codziennie, kiedy odbywały się lekcje, ale nigdy się z nią nie widywała w czasie wakacji. Nie znałem Mildred. Matka powiedziała, że ma problemy osobiste i musi porozmawiać o nich z inną kobietą. Niebawem wróci. Berner i ja możemy zjeść resztę kanapek, jeśli będziemy głodni. Wieczorem ugotuje nam obiad.

W końcu samochód Mildred zajechał przed nasz dom i rozległ się klakson. Matka wyszła pospiesznie na dwór, zbiegła po stopniach i wsiadła do auta – brązowego czterodrzwiowego forda – które natychmiast odjechało. Pomyślałem, że dziwne wrażenie, które miałem, było wywołane przez matkę.

Po chwili Berner wyszła ze swojego pokoju, więc zjedliśmy kanapki i trochę sera. Ojca nadal nie było. Berner powiedziała, że powinniśmy wziąć trochę sera i pójść nad rzekę, żeby nakarmić kaczki i gęsi, co zrobiliśmy. Mieliśmy niewiele do roboty, gdy nie chodziliśmy do szkoły lub w domu nie było rodziców, którzy obserwowali nas i byli przez nas obserwowani. Bycie dzieckiem w takich okolicznościach polega głównie na czekaniu: aby rodzice coś zrobili lub żeby dorosnąć – a tym razem zapowiadało się długie czekanie.

Rzeka znajdowała się zaledwie trzy przecznice od naszego domu, po przeciwnej stronie niż sklep włoski. Berner założyła okulary

przeciwsłoneczne i białe koronkowe rękawiczki, aby zasłonić dłonie i brodawki. Po drodze oznajmiła, że Rudy Patterson uważa, iż Castro niebawem skonstruuje bombę atomową i pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie wysadzenie w powietrze Florydy. Wywołała to wojnę światową, której żadne z nas nie przeżyje, w co nie uwierzyłem. Wspomniała również, że Rudy powiedział jej o tym, iż mormoni noszą specjalne ubranie, chroniące ich przed innymi, i mają zakaz jego zdejmowania. A później dodała, że zaczęła wychodzić nocą przez okno w sypialni i spotykać się z Rudym, który często podkradał samochód ojca. Jechali razem na krawędź urwiska sąsiadującego z lotniskiem i parkowali w miejscu, z którego widać było światła miasta. Słuchali rozgłośni radiowych z Chicago i Teksasu i palili papierosy. Właśnie tam Rudy wspomniał jej o Castro i o tym, że poważnie myśli o ucieczce z Great Falls. Czuł się starszy nad wiek, miał już włosy na piersi i mógł uchodzić za osiemnastolatka. Wolałem nie wiedzieć, co jeszcze robili w tym samochodzie.

– Całowaliśmy się. To nic złego – oświadczyła Berner. – Nie przepadam za jego ustami i wąsikami. Brzydko pachnie. Jak ziemia. – Później pokazała mi siniaka zasłoniętego przez golf. – On mi to zrobił – wyjaśniła. – Walnęłam go za to. Mama by się wściekła, gdyby go zobaczyła.

Wiedziałem, co to takiego. Jakiś chłopak w szkole nazwał taki siniak malinką. Miał go dokładnie tam, gdzie Berner. Nie mogłem pojąć, dlaczego ludzie zadają sobie ból i robią takie rzeczy. Wtedy jeszcze nikt nie powiedział mi o seksie. Wiedziałem tylko to, co usłyszałem.

Jakiś czas staliśmy w zielskach nad rzeką, gdzie roiło się od koników polnych i much, które śmigają w powietrzu i bzyczały nad brzegiem szumiącej, lśniącej wody. Samochody hałasowały na pobliskim moście Central Avenue. Huta zawsze nadaje powietrzu gorzki, metaliczny smak i nawet rzeka pachniała metalicznie, choć była chłodniejsza przy powierzchni. Wysokie budynki Great Falls – Milwaukee Road i składy kolei Great Northern, hotel Rainbow i Pierwszy Bank Krajowy, fabryka farmaceutyczna – majaczyły obco w dali. Bielik poszybował nad płaską tonią wody, zmierzając w kierunku wyspy Squaw i komina firmy wydobywczej Anaconda Copper – wysokiego na sto pięćdziesiąt metrów, który wydawał mi się imponujący – a później mignął na drzewie po drugiej stronie i w jednej chwili zmalął. Sieje podpłynęły po kulki żółtego sera, które rzucaliśmy z prądem. Wokół zaroily się krzyżówki, trzepiąc

skrzydłami i sprzecząc się ponad nimi, a potem odpływając ku brzegowi i trzcinom. Złapałem w dłonie ciepłego konika polnego i położyłem na powierzchni wody. Zatoczył krąg w dół strumienia, poruszając skrzydełkami i próbując się podnieść. Później zniknął. Potężny wojskowy samolot cysterna wzbił się w niebo z pobliskiej bazy. Lubiłem Great Falls, ale nigdy nie zależało mi na tym mieście. Wyobrażałem sobie, że wsiądę do pociągu linii Western Star i wyjadę do jakiegoś college'u – Holy Cross lub Lehigh – a wtedy wszystko w moim życiu trafi na swoje miejsce.

Kiedy wracaliśmy do domu, słońce oświetlało czubki naszych głów. Wilgotny, gorący wiatr z południa wznosił tumany kurzu na Central Avenue. Opony przejeżdżających samochodów zgrzytały. W powietrzu nie było odrobiny chłodu.

W kościele luteranów odbywało się wesele. Główne i boczne drzwi były otwarte, a do środka wstawiono dwa wysokie srebrne wentylatory, żeby wywołać cyrkulację powietrza. Dwaj mężczyźni w koszulach i kapeluszach z Dzikiego Zachodu stali na kościelnym podwórku z marynarkami w rękę i palili papierosy. Przy krawężniku zaparkowała samotna ubłocona furgonetka. Do tylnego zderzaka przyczepiono cynowe puszki i sztucce. Na bocznych oknach wypisano białymi literami: „Nowożeńcy – związek skojarzony w niebie” i „Biedna dziewczyna”.

Przystanęliśmy, a Berner w przeciwsłonecznych okularach na nosie zajrzała do środka, jakby w każdej chwili państwo młodzi mogli wyjść na ulicę. Nigdy nie byliśmy w tym kościele.

– Po co ludzie się pobierają? – spytała, krzywiąc usta z niesmakiem. – Trzeba płacić za coś, co można mieć darmo.

Ostrożnie splunęła między swoje tenisówki na nasz trawnik przed domem. Nie pomyślałem o zadaniu takiego pytania, ale czasami miałem wrażenie, że Berner wie, o czym pomyślę, zanim przyjdzie mi to do głowy. Dorastała szybciej niż ja i nie lubiła niczego, czego nie rozumiała.

– Rodzice Rudy’ego nie mają ślubu – rzuciła. – Jego prawdziwa matka mieszka w San Francisco. Pojedzie tam, kiedy się stąd wyrwie. Zastanawiam się, czy nie uciec razem z nim. Uduszę cię, jeśli im powiesz. – Chwyła mnie za ramię i uszczypnęła tak mocno, że poczułem ból w uszach, chociaż miała na dłoniach białe rękawiczki. Była znacznie silniejsza ode mnie. – Nie żartuję – dodała. – Ty mały gnojku.

Już wcześniej tak do mnie mówiła. Nazywała gnojkiem, babą, kutasem. Nie lubiłem tego, ale czułem, że to oznacza, iż nadal jesteśmy sobie bliscy. Dzięki temu lepiej się czułem.

– Nic nie powiem – zapewniłem.

– I tak nikt ci nie uwierzy – rzuciła, uśmiechając się pogardliwie. – Pan Szachista. Oto kim jesteś – mruknęła i weszła po stopniach do domu.

Ojciec siedział przy stole w kuchni, nakładając pastę marki Cat's Paw na swoje czarne kowbojskie buty. Widziałem, jak to robił setki razy ze swoimi wojskowymi butami. Jego drewniany zestaw stał na „Tribune”, którą czytała wcześniej matka. Poobcinał też paznokcie, bo małe półksiężycy leżały rozrzucone na papierze.

Zdjął globus z mojej komody i postawił na stole przed sobą. W pokoju pachniało słodko od pasty. Ojciec nastawił stację radiową KMON i wysłuchał sobotnich wiadomości dla rolników. Miał na sobie typowy sobotni strój: gumowe sandały i bermudy, i koszulę hawajską w czerwone kwiaty, która odsłaniała tatuaż na przedramieniu, przedstawiający zwiniętego węża. Pod spodem widniała nazwa mitchella, którym latał, zrzucając bomby: „Old Viper”. Miał też drugi tatuaż na ramieniu: skrzydła sił powietrznych, na który nie zasłużył, bo nie był pilotem, czym pozostawał niezmiennie rozczarowany.

Kiedy wszedłem, sprawiał wrażenie zamyślnego i skupionego, jakby źle się czuł. Nie ogolił się, ale uśmiechnął się szeroko na mój widok. Jego oczy błyszczały tak jak wtedy, gdy wrócił z pierwszej podróży w interesach.

Berner przeszła przez pokój, nie zatrzymując się.

– Gorąco mi – powiedziała. – Posiedzę w wannie z zimną wodą, a później nakarmię moją rybkę.

Nikt nie włączył wentylatora na strychu, więc zrobiła to Berner, idąc korytarzem. Powietrze zaczęło się ruszać. Usłyszałem, jak zamyka drzwi.

– Chciałbym z tobą pomówić – powiedział ojciec, czyszcząc buty szmatą i pastą. – Usiądź tutaj.

Nie przywykłem do tego, aby być z nim zupełnie sam, chociaż rzekomo spędzałem więcej czasu z nim niż z matką. Ale matka zwykle była w pobliżu. Gdy zostawaliśmy sami, ojciec zawsze chciał odbyć ze mną poważną rozmowę, która polegała na tym, że mówił, iż nas kocha i dla nas pracuje, że zależy mu na naszej przyszłości. Nigdy jednak nie wyrażał się o niej w konkretny sposób.

Usiadłem obok szmat, poczerniałych szczotek do butów i okrągłej puszkii cat's paw. Globus stał odwrócony w taki sposób, że widać było Stany

Zjednoczone.

– Chciałbym cię zabrać na targi stanowe. – Spojrzał mi prosto w oczy, jakby mówił coś całkiem innego. Albo jakbym został przyłapany na kłamstwie, a on próbował mi wytłumaczyć, że nie należy kłamać. Tylko że akurat tym razem nie skłamałem.

– Dziś jest ostatni dzień – zacząłem. Przeczytałem o tym w gazecie, na której czyścił buty. Pewnie widział ogłoszenie i dlatego podjął ten temat. – Możemy jeszcze pójść.

Kiedy mieszkaliśmy w Missisipi, odwiedziliśmy targi okręgowe, których namioty ustawiono niedaleko naszego domu. Ojciec i ja wstąpiliśmy tam pewnego wieczoru. Rzucałem gumowymi piłkami w szmaciane lalki z rudymi kucykami, ale żadnej nie strąciłem. Później strzelałem z dubeltówki na korki, trafiłem kilka pływających kaczek i wygrałem paczkę kredowych pastylek do ssania. Ojciec zostawił mnie i poszedł do namiotu, żeby obejrzeć przedstawienie dla dorosłych. Stałem na zewnątrz, na trocinach, słuchając ludzkich głosów, muzyki karuzel i chichotów dochodzących z beczki śmiechu. Kiedy ojciec w końcu wyszedł w towarzystwie innych mężczyzn, powiedział, że było to ciekawe przeżycie, choć nie dodał nic więcej. Jeździliśmy samochodami elektrycznymi i jedliśmy ciągutki, a później wróciliśmy do domu. Nie byłem więcej na wystawie i szczególnie mi na tym nie zależało. Chłopcy z klubu szachowego powiedzieli, że Targi Montany, na których można było obejrzeć okazy bydła, drobiu i płodów rolnych, są beznadziejne. Ale mnie interesowały pszczoły.

Ojciec oddychał przez nos, pucując skórzany but. Wydzielał mocny zapach, silniejszy niż pasta – kwaśny, który musiał mieć związek z tym, że nie czuł się najlepiej. Później się wyprostował, odłożył szmatę i przesunął dłońmi po twarzy, jakby była na niej woda, a następnie po włosach, co wyzwoliło jeszcze więcej kwaśnej woni. Zamknął oczy i otworzył je ponownie.

– Kiedy byłem małym chłopcem, miałem przyjaciela w Alabamie, który mieszkał przy tej samej ulicy co my. Jeden z naszych sąsiadów, stary doktor, miał gabinet w jego domu. Pewnego dnia zaprosił mojego przyjaciela do środka. Stary doktor chciał mu zrobić coś złego, coś, co nie było w porządku. – Skupiony wzrok ojca zatrzymał się na puszcze z pastą do

butów, a później dramatycznie podniósł się na mnie. – Rozumiesz, o czym mówię?

– Tak jest – przytaknąłem, chociaż nie wiedziałem.

– Oczywiście mój przyjaciel, Buddy Inkster, zmusił go, żeby przestał. Wrócił prosto do domu i powiedział matce. Wiesz, co mu odrzekła? – Ojciec mrugnął i przechylił głowę, przypatrując mi się badawczo.

– Nie, nie wiem.

– Powiedziała: „Buddy, powiedz staremu, żeby go sobie obciął!”.

Moja siostra zaczęła napszczać wodę do wanny. Chociaż wentylator pracował, zrobiło mi się gorąco w ubraniu. Poczułem pot pod kołnierzem koszuli. Drzwi do łazienki się zamknęły, usłyszałem dźwięk przekręcanej zamki.

– Rozumiesz, co powiedziała jego matka? – Ojciec chwycił pokrywkę pudełka i starannie wcisnął ją na miejsce dwoma palcami. Cicho kliknęła. – Oczywiście, gdyby to zrobił, on – mam na myśli tego starego chirurga – trafiłby do więzienia, ludzie wyszliby na niego z widłami i pochodniami. Rozumiesz?

Nie rozumiałem. Na ulicy przed domem zatrafił samochód. Silnik zwiększył obroty, a później auto odjechało z głośnym wyciem. Odniosłem wrażenie, że ojciec tego nie słyszał.

– Powiedziała, że Inkster powinien nauczyć się z tym żyć i zadbać o siebie. Zrozumiałeś?

– Chyba tak. – Tak sobie pomyślałem.

– Ciebie też mogą spotkać różne złe rzeczy – podjął ojciec – ale musisz je znieść.

Chciał, żeby jego historia wywarła na mnie wrażenie, jakby sugerował, że można przeoczyć ważną część tego, co ludzie robią i mówią, ale trzeba na sobie polegać, by ich zrozumieć. Myślę, że chciał mi zasugerować – nie do końca za pomocą słów – że może się do mnie zbliżać coś złego i że muszę znaleźć własny sposób, aby sobie z tym poradzić. Chciał też, żebym był odpowiedzialny za Berner. Dlatego powiedział to mnie, a nie jej, co dowodziło jedynie, że nie znał Berner, tak samo jak nie znał mnie.

– Czy ty i twoja siostra zastanawialiście się nad tym, co chcecie robić w życiu?

Jego oczy sprawiały wrażenie suchych i zmęczonych. Koniuszki palców były umazane pastą. Wycierał je jeden po drugim flanelową szmatką. Teraz

zdawał się mówić do mnie jakby z oddali.

– Tak – odparłem.

– Rozumiem. Co myślisz? – zapytał. – O przyszłości.

– Chcę zostać prawnikiem – powiedziałem, bo jeden z chłopaków z klubu szachowego oświadczył, że jego stary jest prawnikiem.

– Musisz się jak najszybciej zabrać do roboty – stwierdził ojciec, oglądając paznokcie po wytarciu. Na krawędziach nadal pozostała czarna pasta. – Znaleźć sposób, aby to wszystko zrozumieć. – Uśmiechnął się blado. – Ustalić priorytety. Pewne rzeczy są ważniejsze od innych. Może się okazać inaczej, niż myślisz.

Odwrócił wzrok i spojrzał przez okno na First Street, która biegła z południa na zachód. Luteranie przechadzali się pod drzewami w parku naprzeciw kościoła. Wesele dobiegało końca. Ludzie, śmiejąc się do siebie, chłodzili twarze kapeluszami i papierowymi wachlarzami. Z forda Mildred Remlinger, który zaparkował przy krawężniku, wysiadała moja matka. W zielono-różowym wełnianym kostiumie w kratę sprawiała wrażenie drobnej i nieszczęśliwej. Nie powiedziała nic do wnętrza samochodu, ale zamknęła drzwi i zaczęła iść w stronę naszej werandy. Samochód Mildred odjechał.

– Nadciągają kłopoty – mruknął ojciec.

Myślałem, że powie, iż nie wolno mi wspomnieć matce o naszej rozmowie. Często to powtarzała, jakbyśmy mieli jakieś ważne sekrety, choć nie sądzę, abyśmy je posiadali. Ale ojciec tego nie powiedział. Musieli się umówić, że ze mną porozmawia, choć nie rozumiałem, o co naprawdę chodzi – o ich aresztowanie oraz o to, co Berner i ja mamy zrobić.

Ojciec posłał mi konspiracyjny uśmiech. Wstał od stołu.

– Na pewno wszystko już sobie wykombinowała – powiedział. – Zaraz się przekonasz. To bystra sztuka. Znacznie bystrzejsza ode mnie.

Poszedł, żeby otworzyć jej drzwi. Na tym nasza rozmowa się skończyła, a kolejnej nie odbyliśmy.

Wszyscy słyszeli opowieści o ludziach, którzy popełnili poważne przestępstwo, a później postanowili się przyznać, oddać w ręce władz, uwolnić sumienie od nieznośnego brzemienia winy i krzywdy, wstydu i nienawiści do siebie. Wyznać prawdę przed pójściem do więzienia. Jakby poczucie winy było dla nich najgorszą rzeczą na świecie.

Chcę powiedzieć, że poczucie winy ma z tym mniej wspólnego, niż można by sądzić. Najbardziej nieznośne jest to, że nagle wszystko staje się bardzo skomplikowane: prosta ścieżka prowadząca do przeszłości okazuje się zagrożona i nieprzejezdna, a dawne samopoczucie człowieka różni się zupełnie od obecnego. Oprócz tego zmienia się postrzeganie czasu, godziny dnia i nocy upływają w dziwny sposób – najpierw szybko, a później ledwie dostrzegalnie. Przyszłość staje się równie zagmatwana i nieprzenikniona jak przeszłość. Taka sytuacja paraliżuje, powoduje, że człowiek zastyga w jednej, długiej nieznośnej terażniejszości.

Któż nie chciałby położyć temu kresu, gdyby mógł? Spowodować, żeby terażniejszość ustąpiła miejsca jakiegokolwiek przyszłości. Kto nie przyznałby się do wszystkiego, żeby tylko uwolnić się od nieznośnej terażniejszości? Ja bym tak postąpił. Tylko święty by tego nie uczynił.

W sobotę inny czarno-biały radiowóz przejechał kilka razy obok naszego domu. Kierowca w mundurze sprawiał wrażenie, jakby uważnie go obserwował. Ojciec kilkakrotnie podchodził do okna i wyglądał na ulicę.

– Spokojnie. Widzę cię – mruknął więcej niż jeden raz.

Poprzedniego dnia rodzice byli przyjaźnie do siebie nastawieni, ale teraz znowu lawirowali wokół siebie w sposób, do którego przywykłem. Ojciec sprawiał wrażenie, jakby nie miał się czym zająć, ale matka była wyraźnie zdeterminowana. Rozmawialiśmy niewiele. Próbowiałem zainteresować Berner grą pozycyjną i poświęceniem figury, o których czytałem i które pokazałem jej na szachownicy rozłożonej na łóżku. Powiedziała, że nie czuje się dobrze, a ja nie umiałem pojąć, że chodzi o życie.

Kiedy matka wróciła po spotkaniu z panną Remlinger, zaczęła się ponownie krzątać po domu. Wyprała ubrania w pralce bębnowej i rozwiesiła je na lince na podwórku – stając na skrzynce, żeby dosięgnąć worka ze spinaczami. Później umyła wannę – bo Berner jak zwykle zostawiła ją brudną – i zamiotła werandę, na którą wiatr przywiął ziemię. Ojciec wyszedł na podwórko i usiadł na jednym z ogrodowych krzeseł. Patrzył w niebo i wykonywał ćwiczenia oczu, których nauczył się podczas służby w siłach powietrznych. Po chwili wrócił do środka, wyciągnął karciany stół z szafy w holu i rozstawił w salonie, a następnie wyjął układankę i rozłożył kawałki na stole przed sobą. Lubił układanki, bo uważał, że wymagają wyjątkowej inteligencji. Kiedyś namalował kilka obrazków, łącząc ponumerowane punkty, i ustawił je na widoku, ale później schował wszystkie do szafy i nie spozjrzał na nie nigdy więcej.

Przysunął krzesło z jadalni dla tego, kto chciałby mu pomóc, i zaczął rozkładać kawałki, a później odwracać, przyglądać się i łączyć pasujące do siebie części jak małe wysepki. Zapytał Berner, czy ma ochotę się przyłączyć, bo poprawi jej to samopoczucie, ale odmówiła. Obraz, namalowany przez Frederica E. Churcha, przedstawiał wodospad Niagara – ogromne masy zielonej wody przepływające po niskich czerwonych skałach, zmieniające barwę na białą i żółtą, kiedy wpadały w powietrzną otchłań. Układaliśmy go wiele razy. Przypominał mi fotografię matki i jej rodziców, którzy przepłynęli pod wodospadem statkiem. Z powodu swojego dramatyzmu był to ulubiony obrazek naszego ojca. Na pudełku napisano, że malarz należał do Hudson River School, co nie miało najmniejszego sensu, bo na tym samym pudełku widniała informacja, iż rzeka na obrazku to Niagara, a nie Hudson. Zastanawiałem się, czy istnieje jakiś schemat łączenia kawałków, aby można było ułożyć całość w godzinę lub krócej. Rekonstruowanie go i szukanie odpowiednich fragmentów za każdym razem od nowa wydawało się najtrudniejszym sposobem wykonania tego zadania. Poza tym nie miałem pojęcia, dlaczego ktoś miałby to robić więcej niż raz. Z układanką sytuacja wyglądała inaczej niż z szachami, bo choć każda partia mogła się wydawać podobna, liczba posunięć była nieskończona.

Przez chwilę stałem obok ojca, wskazując błękitnopurpurowe części nieba i te, z których ułożona była rzeka. Berner spytała matkę, czy może wyjść na spacer, bo wentylator źle działa na jej zatoki, ale mama się nie

zgodziła. Później matka długo rozmawiała z kimś przez telefon w korytarzu, a ojciec udawał, że nie zwraca na to uwagi. W końcu rozwinęła długi przewód, zabrała aparat do sypialni i zamknęła drzwi. Poprzez szum wentylatora słyszałem jej ożywiony głos: „Nie, w normalnych okolicznościach byśmy tego nie zrobili, ale...”, a później jeszcze: „...Nie ma powodu, aby sądzić, że ta sytuacja będzie trwać wiecznie”. Fragmenty rozmowy prowadzonej przez nią z nieznaną osobą powodowały, że ojciec, który siedział w salonie i układał obrazek z wodospadem Niagara, wydał mi się nagle dziwnie obcy, jakby nasza matka była jednocześnie jego matką i oprócz nas musiała się troszczyć także o niego.

Po chwili poszedłem do swojego pokoju i położyłem się na łóżku. Berner weszła do środka, zamknęła drzwi i oznajmiła, że według niej nasi rodzice zwariowali. Powiedziała, że kiedy matka odłożyła słuchawkę i poszła do kuchni, ona – Berner – zajrzała do ich sypialni, jakby mogła w ten sposób ustalić, z kim tamta rozmawiała. Na jej łóżku leżała otwarta walizka z częściami garderoby. Berner wyszła i zapytała, co tam robi walizka, a matka wyjaśniła, że niebawem wyruszą w podróż. Nie powiedziała dokąd. Berner spytała, czy ojciec z nami pojedzie, a nasza matka odparła, że tak, jeśli zechce, ale pewnie nie będzie miał ochoty. Berner oświadczyła, że ma mdłości i chce się jej rzygać – ale tego nie zrobiła – a po chwili miała ochotę uciec z domu i natychmiast poślubić Rudy’ego Pattersona. Pomyślałem, że nie zostałem zaproszony w tę podróż i nie pojedę razem z nimi.

O szesnastej matka poszła do sypialni, żeby się zdrzemnąć. Kiedy drzwi były zamknięte, ojciec zajrzał do mojego pokoju, a później zatrzymał się w drzwiach pokoju Berner. Zapytał, czy mielibyśmy ochotę pojechać na targi, bo przeczytał, że ostatniego dnia cena biletu została obniżona o połowę i że nocą odbędzie się pokaz sztucznych ogni. Powiedział, że nie ma powodu, abyśmy tam nie wstąpili, i uśmiechnął się w sposób, który uznałem za szelmowski.

Oczywiście bardzo chciałem pojechać. Na targach można było się nauczyć ważnych i skomplikowanych rzeczy. Pszczelarze mieli ul ze ścianą zrobioną ze szkła, w którym mieszkała królowa, i pokazywali, jak posługiwać się podkurzaczem, żeby nie zostać pożądlonym na śmierć – o czym wspomniał mój ojciec i co bardzo mnie zaniepokoiło. Berner zaś

powiedziała, że nie jest zainteresowana. Nie ruszając się z łóżka, oświadczyła, że w szkole mówili, iż ostatniego dnia na targi chodzą tylko cuchnący Indianie, bo są splukani i wstawieni. A ona naoglądała się Indian w samochodach, które cały tydzień krążyły wokół naszego domu, kiedy nasi rodzice nie raczyli być w pobliżu.

Ojciec włożył wyglansowane kowbojskie buty i odprasowane dżinsy, które nosił, gdy jechał do biura handlu ziemią, chociaż się nie ogolił ani nie uczesał, co zwykle robił. Uśmiechał się, ale dziwnie wyglądał, jakby skóra na jego twarzy nie była właściwie przytwierdzona do kości. Stojąc w drzwiach pokoju Berner, powiedział, że przykro mu z powodu Indian, i zapewnił, że ich ułagodził. Dodał też, że kiedyś jego wuj Cleo zaproponował mu, aby pojechał z nim do Birmingham. Ojciec miał wtedy małą przyjaciółkę Patsy, odrzekł więc wujowi, że nie może jechać, bo nie zobaczy Patsy. Miesiąc później wujek Cleo zginął na zepsutym przejeździe kolejowym. Nigdy więcej go nie zobaczył i zawsze żałował, że wtedy się z nim nie wybrał.

– Nie sędzę, żeby była to twoja wina – odburknęła Berner, nie podnosząc się z łóżka i szlifując paznokcie. – Może wuj Cleo powinien był bardziej uważać. – Lubiła droczyć się z ojcem i mieć poczucie wyższości.

Później powiedziała jeszcze coś, czego nie dosłyszałem z powodu szumu wentylatora. Myślę, że coś w rodzaju: „Zamierzasz umrzeć, jeśli z wami nie pojedę?”.

– Mam nadzieję, że nie – odparł ojciec. – Mam nadzieję, że tak się nie stanie.

Berner była pyskata, już to mówiłem. Ojciec nazywał ją „nadętą”.

– To szantaż – oznajmiła. – Nie chcę być szantażowana.

– Może nie powiedziałem tego jak należy – odrzekł mój ojciec.

Berner dodała jeszcze coś, czego nie zrozumiałem, ale po zręczliwym tonie głosu zorientowałem się, że uległa. Usłyszałem skrzypienie desek podłogi w jej pokoju. Nie potrafiła mu odmówić, kiedy skupił na niej uwagę. Tylko nasza matka była do tego zdolna. Swoją drogą kochaliśmy ich oboje. Trzeba to wyraźnie podkreślić. Zawsze ich kochaliśmy.

Pojechaliśmy Third Street wzdłuż rzeki, obok miejsca, gdzie z Berner karmiliśmy kaczki. Niebo stało się ponownie niespokojne i powiał wiatr, przynosząc różne wonie. Na południe sunęły płaskie obłoki o purpurowych brzuchach. Grzywy fal tańczyły na powierzchni rzeki, a mewy szybowały w wilgotnej bryzie. Nadchodziła burza. Zanosiło się na nią cały dzień. Zbliżała się jesień – nasza matka miała rację.

Siedziałem z tyłu, ale nie myślałem o pokazie pszczelarskim, lecz o namiocie, w którym policja stanowa wystawiła swoją broń, aby obywatele mogli ją zobaczyć. Koledzy z klubu szachowego rozprawiali o bazuce i skrzynce ręcznych granatów oraz karabinie półautomatycznym Thompsona, które miały się tam znajdować. Snuli domysły na temat okoliczności, w jakich można by ich użyć. Ich propozycje obracały się wokół Indian, których uważano za element przestępczy, oraz komunistów spiskujących przeciwko Ameryce. Trzeci raz zajrzałem do szuflady na skarpety w komodzie ojca, aby sprawdzić, czy jego pistolet tam jest, ale go nie było. Pomyślałem, że ojciec kogoś zastrzelił (najpewniej tego Indianina zwanego Myszą), a później pozbył się broni, wrzucając ją do rzeki.

Berner siedziała z przodu i udawała nadąsaną, że musi z nami jechać, co mi się nie podobało. Przy wjeździe na teren targów panował duży ruch. Ojciec dwukrotnie spojrział we wsteczne lustro i powiedział:

– Czy ktoś nas śledzi? Czy ktoś nam siedzi na ogonie, Dell?

Była to nasza zabawa. Odwracałem się i spoglądałem przez tylną szybę, a tam nikogo nie było. Teraz jednak spostrzegłem dwukrotnie ten sam czarny samochód.

Kiedy jechaliśmy wzdłuż pobielanego ogrodzenia terenów targowych, zauważyłem wierzchołki karuzel – diabelski młyn i karuzelę zefir (którą znałem jedynie z opowiadań kolegów) oraz wygięty tor kolejki górskiej z wagonikami sunącymi w górę i dół i ludźmi, którzy krzyczeli i machali rękami. Muzyka, zgiełk tłumy i wiadomości podawane przez megafon mieszały się w niespokojnym powietrzu – w taki sam sposób, jak słyszałem

w domu – z kobiecymi głosami odczytującymi numery bingo. Wiatr niósł z sobą zapach trocin, nawozu oraz czegoś słodkiego. Byłem tak podniecony, że chciałem natychmiast wbiec do środka, zanim zamkną bramę. Szczęka bolała mnie od zaciskania i czułem mrowienie w palcach u stóp. Samochody zaś stanęły w korku, bo ulicę zatarasowały rozlatujące się graty pełne dzieciaków oraz ludzie, którzy musieli być Indianami, idący gęsiego poboczem do wejścia dla pieszych.

Właśnie wtedy, gdy mieliśmy jako kolejni skręcić w wielką bramę wjazdową, znalazłem paczkę pieniędzy. Ze zdenerwowania wsunąłem dłoń we wnękę za poduszkami tylnej kanapy, do chłodnej przestrzeni za fotelem, a ona odnalazła i wyciągnęła jakiś przedmiot – zwitek amerykańskich banknotów przewiązany białą banderolą, na której widniał stempel z napisem „Krajowy Bank Rolny w Creekmore, Dakota Północna”. Byłem zdumiony. Wykrzyknąłem „och!” tak głośno, że ojciec natychmiast spojrzał na mnie w lusterku wstecznym. Popatrzyłem mu prosto w oczy i zamarłem w bezruchu.

– Widziałeś coś? – spytał. – Zauważyłeś kogoś za nami?

Jego usta wyraźnie się poruszały, lecz głos nie był z nimi związany. Pomyślałem, że się odwróci i na mnie spojrzy, jak Berner, która utkwiała wzrok w zwitku banknotów, a później natychmiast popatrzyła przed siebie.

– Widziałeś cholernych gliniarzy? – powtórzył ojciec.

– Nie – odrzekłem.

Zatrzymaliśmy się przed skrętem w lewo, prowadzącym na tereny targowe, a ludzie z tyłu natychmiast zaczęli trąbić. Zastępca szeryfa skinął ręką, żebyśmy ruszyli do przodu. Panowało wielkie zamieszanie.

– O co chodzi, do licha? – spytał ojciec, wyraźnie poirytowany, rzucając gniewne spojrzenie w lusterko wsteczne i nie poruszając głową.

– Pszczoła – odrzekłem. – Użądliła mnie pszczoła.

Nic innego nie potrafiłem wymyślić. Wetknąłem banknoty w dzinsy. Berner lekko się odwróciła i posłała mi drwiące spojrzenie, jakbym zrobił coś, czego nie powinienem. Serce zaczęło mi walić. Nie wiem, dlaczego nie powiedziałem, że znalazłem pieniądze. C o o n e t a m r o b i ł y? Zamiast tego zachowałem się tak, jakbym je ukradł lub jakby ukradł je ktoś inny. Pomyślałem, że nie powinienem zostać z nimi przyłapany i że mi się upiecze, jeśli nikt tego nie zauważy.

– Cholerni gliniarze – mruknął ojciec. – Wszystko zepsują.

Spojrzał gniewnie we wsteczne lusterko na tego, który rzekomo za nami jechał, i zamiast skręcić przed zastępcą szeryfa i przejechać przez bramę, dodał gazu i pognął prosto w dół Third Street. Nie miałem pojęcia, dlaczego przejmują się policją.

– Dokąd jedziemy? – spytałem, widząc, jak biały parkan przemyka obok nas.

– Odwiedzimy targi za rok – odrzekł ojciec. – W tym roku jest za dużo ludzi. Wpuszczają do środka każdą squaw. Poza tym za chwilę zaczną padać.

– Nie, nie zaczną – zaprzeczyłem.

– Sądziłam, że lubisz Indian – zauważyła Berner wyniosłym tonem.

– Bo lubię – odrzekł ojciec. – Ale nie dzisiaj.

– Jeśli nie dzisiaj, to kiedy? – spytała tylko po to, żeby się z nim droczyć.

– Kiedy jestem dobry i gotowy – odrzekł i tak skończyła się nasza wyprawa na targi.

Pojechaliśmy w dół Smelter Avenue do tamy Black Eagle. Ojciec wpatrywał się we wsteczne lusterko, jakby ujrzał tam coś, od czego chciał się uwolnić i co prawdopodobnie było powodem, dla którego nie poszliśmy na targi. Przesuwał palcami po włosach i pocierał kark nad kołnierzykiem koszuli. Popatrzył na mnie, bo świdrowałem go wściekłym wzrokiem. Zmierzaliśmy w kierunku komina hutniczego pieca i rafinerii, gdzie dzień i noc paliły się światła, a wyloty gazu wypluwały żółte płomienie. Cuchnęło tu. Rudy powiedział, że jego ojciec śmierdział rafinerią, dlatego matka przeprowadziła się do San Francisco.

– Czy to znaczy, że nie pojedziemy na targi? – zapytała Berner.

– Większość karuzel i tak jest zamknięta – odparł ojciec.

– Skądże, nadal działają – zaprzeczyła Berner. – Sama widziałam. Ty prowadziłeś, a przynajmniej starałeś się to robić.

– Nie zależy mi na karuzelach – wtrąciłem.

Opary z rafinerii wypełniły wnętrze samochodu.

– Fu! Co za smród! – prychnęła siostra, podnosząc szybę, gdy przejeżdżaliśmy obok labiryntu rur, zaworów, ogromnych zbiorników i ludzi w srebrnych kaskach, chodzących po kładkach i metalowych rusztowaniach, oraz wysokiego płomienia strzelającego z rur wentylacyjnych i liżącego niespokojne powietrze. Rafineria znajdowała się między Smelter Avenue i rzeką. My zmierzaliśmy w kierunku mostu na Fifteenth Street, którym można było wrócić do Great Falls.

– Chciałem zobaczyć pawilon pszczelarski – jęknąłem z rozpaczą, bo serce ciągle mi się ścisnęło. Jeszcze jedna rzecz, której się nie nauczę.

– Pszczoły są mądrzejsze od nas – oświadczyła Berner.

Zwitek pieniędzy wyrzucił mi materiał na przedzie spodni. Berner obejrzała się ponownie, popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się znacząco. Zawsze udawała, że wie o sprawach, o których nie miała pojęcia, i mnie poniżała.

– Jeśli chcesz wiedzieć, pszczoły są jak ludzie w Montanie – powiedział ojciec, zmieniając pas, żeby skręcić na most. – Wszystkie są jednakowe. To robotnice bez duszy jak banda tych niespokojnych Szwedów, Norwegów i Niemców, którym udało się uniknąć bombardowania. Wszyscy są spięci niczym Żydzi. Sprzedawałem im samochody. – Czasami mówił, że zrzucił bomby na Japońców, aby Żydzi mogli prowadzić lombardy.

Miałem ochotę powiedzieć, że rój to nie poszczególne pszczoły i że ludzie mogliby się wiele nauczyć od tych owadów, ale nie chciałem zwracać na siebie uwagi, bo miałem pieniądze w portkach.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Berner.

Ojciec spojrział w lusterko wsteczne.

– Do bazy. Popatrzmy na startujące odrzutowce.

Robiliśmy to wszędzie tam, gdzie mieszkaliśmy. Ojciec uważał, że to interesujące zajęcie. Jego wzrok mnie odnalazł, żeby sprawdzić, jak to przyjąłem, a brwi zadrgały, jakby chodziło o żart, który razem robimy Berner. Nie odpowiedziałem uśmiechem.

– Matka jest w połowie spakowana – oświadczyła siostra. – Dokąd się wybiera?

Wjechaliśmy na stary most WPA. Ojciec prychnął, uszczypnął się w nos i wydał kolejne prychnięcie.

– Przecież ja się tylko ożeniłem z waszą matką. Nie potrafię czytać w jej myślach, nie wiem o niej wszystkiego... Jasne? Ale bardzo was kocha. Tak jak ja. – Był wyraźnie poruszony. Po chwili dodał: – Mam teraz na głowie kilka własnych zmartwień, które zdołałyby zaabsorbować uwagę dzikiego zwierzęcia, i wiem, że nie wszystko idealnie mi wychodzi.

– Dokąd byś pojechał, gdybyś odszedł?

Berner spojrzała mu prosto w oczy, a piegowata twarz siostry pobladła, jakby zrobiło się jej mdło od jazdy samochodem. Ojciec zaś ponownie popatrzył w lusterko wsteczne. Obejrzałem się, żeby zobaczyć, co jest za nami. Czarny ford z dwoma facetami w garniturach. Rozmawiali z sobą. Jeden się śmiał. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, czy widziałem ten wóz w pobliżu terenów targowych, ale tak mi się zdawało.

– Niewykluczone, że matka zabierze was na wycieczkę – zaczął. – Niech was to nie martwi, dzieci...

– Słyszałeś, co powiedziałam? – przerwała mu Berner.

– Tak, słyszałem.

Ojciec włączył lewy kierunkowskaz, bo za chwilę mieliśmy zjechać z mostu i skręcić na wschód, do bazy. Nagle jednak przyspieszył, minął jedną przecznicę, a później skręcił w prawo, w Seventh, kierując się w stronę centrum, gdzie była ładna cienista uliczka z białymi drewnianymi domami, ładniejszymi od naszego, potężniejszymi wiązami i dębami, bardziej zadbanymi trawnikami i szkołą z czerwonej cegły. Nie znałem ludzi, którzy tam mieszkali. Może to byli chłopcy z klubu szachowego, których ojcowie byli prawnikami. Nigdy nie odwiedziłem tej części miasta, chociaż Great Falls nie należało do rozległych. Było raczej miasteczkiem niż miastem.

Spojrzałem za siebie. Czarny ford skręcił i nadal jechał za nami, a dwaj mężczyźni rozmawiali. Nie jechaliśmy do bazy, żeby obserwować startujące samoloty.

– Co zrobiłeś z pistoletem? – spytałem.

Ojciec spojrzał na mnie, a później ponownie rzucił okiem na forda.

– Skąd o tym wiesz?

– Zajrzałem do twojej szuflady.

Westchnął wyraźnie sfrustrowany.

– Nie powinieneś tego robić. To moja prywatna sprawa.

Nie był zły. Nigdy się na nas nie złościł. W końcu nie zrobiliśmy nic złego.

– Dlaczego prywatna? Co czyni ją prywatną? – spytała Berner.

– Nie wiecie, co to znaczy „rozumieć”?

Jego wzrok co chwilę wędrował w kierunku lusterka wstecznego. Przejechaliśmy całą Seventh Street i ponownie znaleźliśmy się nad rzeką. Białe grzywy fal unosiły się na szerokiej tafli wody, za którą widać było teren targowy, wierzchołek zefira, diabelskiego koła i kolejki górskiej pod chmurami sunącymi po niebie. Wszystko działało, a my mogliśmy tam być.

Nagle mój ojciec odwrócił się w fotelu, chociaż prowadził, i spojrzał na mnie gniewnym wzrokiem. Zacisnąłem dłonie na pliku pieniędzy ukrytym w spodniach. Pomyślałem, że świat by się zawalił, gdyby je zobaczył. Spojrzenie ojca świdrowało mnie na wylot. Cała jego twarz – widziałem tylko prawą stronę: policzek, brodę i usta oraz jedną brew – zdawała się poruszać. Przestraszył mnie. Nie zwracał uwagi na to, co robi. Zapomniałem, co powiedział.

– Zadałem ci pytanie! Wiesz, co to znaczy „rozumieć”?!
–

Rozmawialiśmy o tym wcześniej, kiedy czyścił buty. Można było zrozumieć grę w szachy. Trzeba było jedynie okazać cierpliwość. Ale on nie byłby tym zainteresowany.

– Tak – odrzekłem.

Spojrzał za siebie, rozglądając się po ulicy. Mijaliśmy tyły aresztu okręgu Cascade.

– Co powiedziałeś?

Mój głos nie był szczególnie donośny.

– Tak, tato – powtórzyłem głośniej. – Wiem.

Obejrzał się i spojrzał na mnie ponownie, jakby nadal nie dosłyszał. Jego oddech był nieświeży. Mrugnął oczami, jakby się zmienił.

– Dlaczego nie zapytasz mnie? – prowokowała go Berner, buntowniczo unosząc brodę. – Ja wiem wszystko.

– Dobrze! – Posłał jej gniewne spojrzenie, jakby pokrzyżowała mu plany.

– Powiem wam na wszelki wypadek. – Przesunął ręką po ustach, a później włosach. – Zrozumieć to znaczy akceptować, zgadzać się na zaistniałą sytuację. Rozumiesz, więc akceptujesz. Jeśli akceptujesz, to znaczy, że rozumiesz. – Jego oczy ponownie błysnęły w lusterku wstecznym.

Czarny ford nadal był za nami, a w nim dwaj mężczyźni w garniturach. Patrzyli na mnie jak dyrektor szkoły lub sprzedawca.

Jechaliśmy przez handlową część miasta w kierunku mostu na Central Avenue. Mijaliśmy bary, drogerię Rexall, sklep sieci Woolworth, wysoki budynek biurowca ze sklepem hobbystycznym na dole, w którym kupiłem szachy, i salę koncertową. Na ulicach panował niewielki ruch. Wszyscy poszli na targi, bo można było kupić bilet za pół ceny. Nasz dom znajdował się po drugiej stronie rzeki, w małym nędznym sąsiedztwie.

– Nie zgadzam się z tobą – oznajmiła Berner. Obejrzała się na mnie i wydeła policzki. Wyglądała staro, jak szkolna nauczycielka. Lubiła sprzeciwiać się ojcu i szukała kolejnej wymówki, żeby uciec z domu.

– To ty się mylisz – odrzekł ojciec. – Po prostu się mylisz.

– Nie rozumiem wielu rzeczy – powiedziała Berner – ale je akceptuję. I nie akceptuję innych, choć je rozumiem. – Splotła ramiona i spojrzała przez okno na rzekę przepływającą pod mostem, którym jechaliśmy. – To ty nie rozumiesz. To wszystko. I dobrze o tym wiesz.

Ojciec uśmiechnął się dziwnie i pokręcił głową.

– Myślicie, że jestem dla was niedobry? O to wam chodzi? – Spojrzał ponownie we wsteczne lusterko, żeby sprawdzić, czy czarny samochód nadal za nami jedzie, czy zawrócił na most. Zawrócił.

Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Nie miałem pojęcia, dlaczego w ogóle o to zapytał. Nigdy nie był dla nas niedobry.

– Nie jestem – podjął. – Chciałem tylko, żebyście się nauczyli ważnej życiowej lekcji. Pewne rzeczy trzeba zaakceptować i zrozumieć. Trzeba nadać im sens. Tak postępują dorośli.

– W takim razie nigdy nie dorosnę – burknęła Berner zaczepnie.

Ja zaś zrozumiałem, że ojciec mówi o pieniądzach, które ukryłem w spodniach. Mówił o jednym, a myślał o drugim. Zauważył, kiedy je znalazłem – w lusterku wstecznym – lub wetknąłem do spodni. Starał się mi powiedzieć, żebym odłożył je na miejsce, zanim wrócimy do domu, i pogodził się z tym, że nie potrafię zrozumieć, skąd pochodzą. Zrobienie tego miało sens. Kiedy się znajdą na miejscu, wszystko będzie w porządku.

– Nie rozumiem, dlaczego płaczesz – powiedział ojciec.

Berner skrzyżowała ręce na brzuchu i spoglądała przez okno wściekłym wzrokiem.

– Przecież nikt nie zrobił ci nic złego, siostró.

– Nie jestem twoją siostrą! – prychnęła. – I nie płaczę!

– Właśnie że płaczesz, ale nie powinnaś. – Spojrzał na nią, a później na ulicę. Na Central Avenue prowadzącą do naszego domu.

Pewnego dnia Berner przestała płakać, jakby nie mogła znieść łez i nienawidziła wpływu, jaki wywierają na postępowanie ludzi – a szczególnie moje – wobec niej. Zamiast płakać, zrobiła się wściekła. Ale ja wiedziałem, że płacze, bo przyłożyła mały palec do kącika oka i głęboko westchnęła. Nie było buczenia, pociągania nosem ani darcia się wniebogłosy jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Nie pamiętałem natomiast, kiedy sam płakałem ostatni raz. Przestałem znacznie wcześniej niż ona. Nasza matka zaś nigdy nie płakała. Ojciec płakał raz, kiedy oglądał film wojenny w telewizji.

Była to moja jedyna szansa, żeby odłożyć pieniądze za siedzenie, bo ojciec skupił uwagę na Berner. Pochyliłem się do przodu, jakbym zawiązywał sznurówkę, i wyciągnąłem plik ze spodni, a później wcisnąłem go w szczelinę. Wypadł z moich palców, sprawiając, że natychmiast

poczułem się o sto procent lepszy i lżejszy. Kiedy podniosłem głowę i spojrzałem w lusterko, zauważyłem, że ojciec świdruje mnie wzrokiem.

– Co robisz? – zapytał.

Berner rzuciła mi wściekłe spojrzenie, jakbym ją zdradził. Miała zbolaną minę, ale zaraz się odwróciła i ponownie popatrzyła na ulicę.

– Związuję sznurowadło – odparłem.

Nasza ulica była coraz bliżej. Korony wierzb i dębów w parku zakołysały się na wietrze, a między nimi zamajaczyła niska dzwonnica luteranów.

– Spytaj swoją siostrę, dlaczego się dąsa. – Ojciec niezgrabnie wyciągnął rękę i poklepał Berner po ramieniu, ale ona nawet na niego nie spojrzała. – Nie mam pojęcia, o co chodzi. Przysięgam na Boga. Tobie powie. Powiesz Dellowi, prawda? Dlaczego płaczesz, kochanie? Nie jestem złym człowiekiem. Nie chcę, żebyś tak o mnie myślała.

– Ludzie płaczą, bo są nieszczęśliwi – wycedziła Berner.

Skęciliśmy w stronę domu.

– Jesteś nieszczęśliwa? – Ojciec był zdumiony, gdy ludzie nie czuli się dokładnie tak jak on.

Spojrzałem ponownie do tyłu. Czarny ford z dwoma facetami przejechał obok kościoła luteranów. Ojciec skręcił raptownie do krawężnika, jakby chciał ustąpić mu drogi. Ford przesunął się wolno obok nas. Mężczyźni przyjrzeni się nam uważnie. Jeden coś mówił, a drugi kiwał głową. Dotarli do rogu, skręcili na zachodnim krańcu parku i ruszyli wolno Central Avenue. Zrozumiałem, że to policja, ale nie miałem pojęcia, dlaczego nas śledzi. Nie pomyślałem o pieniądzach ukrytych za tylną kanapą.

– Kim według ciebie są ci dwaj gamonie? – spytał ojciec, obserwując forda znikającego na Central Avenue.

Jego dłonie były zaciśnięte na kierownicy i napiął mięśnie szczęki, jakby starał się powiedzieć coś innego. Siedzieliśmy przed domem w milczeniu. Wiatr przywiał na nasz trawnik białe konfetti z wesela luteranów.

– Może... – zaczął mój ojciec, cmokając wargami i uśmiechając się do Berner, która nadal patrzyła w bok, wyraźnie nieszczęśliwa. Później odwrócił się w moją stronę, choć nie wiedziałem, co powinienem powiedzieć. – A może to mormońscy misjonarze. Oni też noszą garnitury i krawaty. Może mają świętą księgę i chcą, żebyśmy ją przeczytali. Powinienem był ich zatrzymać i porozmawiać. To mogłoby być interesujące, prawda? – Chciał, żebyśmy uznali to wszystko za żart i nie

zaprzętali sobie głowy. – Co ty na to, siostrze? – dodał z południowym akcentem, bo uważał, że ludzie to lubią. Jego brwi zatańczyły, gdy posyłał mi spojrzenie sugerujące, że znowu trzymamy sztangę, a Berner nie należy do naszej paczki. Zawsze je lubiłem.

– Chciałabym być daleko stąd – westchnęła Berner żałośnie. – W Kalifornii albo w Rosji.

– Wszyscy czasami tego pragniemy, kochanie – odrzekł ojciec. – Ale ty i twoja matka zdecydowanie częściej od innych. Będziecie musiały o tym pogadać.

Odwrócił się w moją stronę. Sądziłem, że coś powie, ale tylko się uśmiechnął, odsłaniając duże białe zęby, jakby bitwa została przegrana. Otworzył drzwi samochodu i wysiadając, kontynuował:

– Tutaj złapiecie wiatr w żagle. Dość gadania o bzdurach.

Berner zmarszczyła brwi, a później prychnęła, jakby ojciec był godny pogardy i żalosny, z czym się nie zgadzałem, chociaż nie poszliśmy na targi.

– Dziękuję – powiedział, stojąc obok auta, jakbym udzielił mu odpowiedzi. – Nie muszę wiedzieć nic więcej.

Pochylił się nade mną i Berner, którzy siedzieliśmy w środku. Podmuch wiatru przemknął ulicą, unosząc wirujące konfetti i zginając wierzchołki drzew. Poczuliśmy bogatą woń deszczu. Zanosiło się na burzę.

– Musicie wysiąść, dzieci – powiedział ojciec. – Tutaj mieszkamy. Nie możemy na to nic poradzić. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Przynajmniej do czasu.

Kiedy weszliśmy do środka, ojciec oświadczył, że jest śmiertelnie zmęczony, i poszedł do sypialni. Nie gasząc górnego światła, w ubraniu i butach wyciągnął się na pustym łóżku i natychmiast zasnął z ręką na oczach.

Dzień zmierzał wolno ku końcowi i zaczęło padać – początkowo słabo, a później mocniej. Zerwał się wiatr i krople zaczęły dudnić o szyby. Przez dom przeszedł chłodny podmuch, wydymając zasłony i rozrzucając gazety leżące na stole w jadalni. Matka zamknęła okna i zaciągnęła zasłony, które były już mokre, a później zapaliła lampy stołowe i odłożyła zestaw ojca do czyszczenia butów.

Nie miała nam wiele do powiedzenia i sprawiała wrażenie poważnej. Przygotowała kolację w kuchni, nie wspominając o pannie Remlinger i swojej rozmowie telefonicznej ani nie pytając, dokąd pojechaliśmy z ojcem. Mimo to poinformowałem ją, że mieliśmy zamiar odwiedzić targi, ale było za dużo ludzi. Nie wspomniałem o pieniądzach znalezionych za siedzeniem, o tym, że Berner płakała i chciała pojechać do Rosji, ani o dwóch policjantach, którzy nas śledzili. Czułem, że powinienem to wszystko odłożyć na później.

Berner jak zwykle poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi, nie mówiąc nikomu ani słowa. Jej radio cicho grało, więc słyszałem, jak chodzi po pokoju, przesuwa metalowe wieszaki w szafie i przemawia do swojej rybki, dzięki czemu pewnie czuła się mniej samotna. Przypuszczałem, że pakuje rzeczy, aby uciec. Nie potrafiłem odwieść jej od tego zamiaru ani powiedzieć o tym rodzicom. Zawsze tak postępowaliśmy. Bliźniak nie pakuje drugiego w tarapaty. Pomyślałem, że nawet jeśli ucieknie, z pewnością wróci. I nikt nie będzie miał do niej z tego powodu pretensji.

Siedziałem w swoim pokoju przy otwartym oknie i obserwowałem gasnące światło, a także słuchałem kropli deszczu uderzających o dach i wpadających do środka. Nie było grzmotów ani błyskawic, jedynie smaganie letniego deszczu. Co jakiś czas przestawało padać. Słyszałem

przez ścianę chrapanie ojca i matkę krzątającą się w kuchni, i wrony na wilgotnych konarach drzewa, kraczące i skaczące z gałęzi na gałąź, zmieniające miejsce, zanim deszcz ponownie zacznie padać. Pomyślałem o zakończeniu targów, o wodzie spłukującej trociny i spływającej po namiotach, o stoiskach wystawowych i robotnikach rozmontowujących karuzele i ładujących je na ciężarówki, o zwijanej ekspozycji pszczelarskiej i broni. Sięgnąłem po moją World Book, otworzyłem na literze P i przeczytałem artykuł poświęcony pszczołom. W roju panował idealny porządek, owady szanowały królową i ponosiły dla niej ofiary. Gdyby było inaczej, wszystko pograżyłoby się w chaosie. Już wcześniej czytałem, że pszczoły stanowią klucz do wszystkich ludzkich spraw, bo idealnie reagują na środowisko i siebie nawzajem. Mogłem napisać o tym pracę na początku roku szkolnego i dobrze zacząć. Założyłem kartkę ołówkiem i zamknąłem tom encyklopedii. Pomyślałem, że będę bardziej wyluzowany, kiedy zaczną się lekcje, mój ojciec znajdzie zajęcie, a matka ponownie zacznie uczyć.

Po chwili usłyszałem ojca przemawiającego stłumionym, zasnym głosem. Stopy w skarpetkach zadudniły na podłodze. Z kuchni dolatywał brzęk talerzy, garnków i rondli. Moja matka też coś mówiła przyciszonym tonem. „...ryba w głębokiej wodzie” – powiedział ojciec. „...w najlepszym ze światów...” – odrzekła matka. Pomyślałem, że rozmawiają o pieniądzach ukrytych w aucie i zaginionym pistolecie ojca, miejscu, do którego pojechali, i walizce matki czekającej na łóżku. Pytania wirowały mi w głowie, gdy leżałem w delikatnych podmuchach nocnego wiatru, z deszczem moczącym dół narzuty i paskiem światła pod drzwiami prowadzącymi na korytarz. Byli mi bardzo bliscy, ale nagle stali się bardzo dalecy, więc z całej siły chwyciłem boki materaca. Czułem się tak jak dawno temu, gdy zachorowałem na szkarlatynę i nie mogłem się całkowicie obudzić. Matka weszła do pokoju, usiadła na łóżku i przyłożyła chłodną dłoń do mojej skroni. Ojciec stał w drzwiach – wysoki, ukryty w cieniu. „Jak się czuje? – zapytał. – Może powinniśmy go zabrać do szpitala”. „Wyzdrowieje”, odrzekła matka. Podciągnąłem narzutę pod brodę i ścisnąłem materiał w dłoniach.

Słuchałem sów pohukujących w ciemności. Chciałem jeszcze raz przeanalizować własne myśli, ale nie mogłem powstrzymać senności, więc pozwoliłem, żeby na jakiś czas ode mnie odpłynęły.

– Chcesz kolację? – spytała cicho matka, pochylając się nade mną.

W okularach błysnęło światło palące się gdzieś za jej plecami. Przyłożyła dłoń do mojego policzka. Jej palce pachniały mydłem. Pogładziła mnie po włosach i delikatnie ujęła koniuszek mojego ucha. Zaplątałem się w prześcieradło i nie mogłem poruszyć rękami. Moje ręce spały.

– Jesteś bardzo rozpalony.

Stała w nogach łóżka i dotknęła narzuty.

– Padało na ciebie.

– Gdzie jest Berner? – zapytałem, sądząc, że uciekła.

– Zjadła kolację i poszła spać.

Matka zamknęła okno.

– A tata? – poczułem się wyczerpany. Moje usta były sine i słabe, włosy oblepiały głowę. Bolały mnie stawy.

– Nigdzie nie pojechał.

Ruszyła w kierunku drzwi. Korytarz wypełniało złociste światło. Woda sączyła się strużkami za ścianą lub gdzieś na dworze.

– Padało bez przerwy – wyszeptała – ale teraz przestało. Zrobiłam ci kanapkę.

– Dziękuję – odrzekłem, a matka zniknęła w drzwiach.

W jadalni zjadłem grillowany ser z piklami, liściem sałaty i sosem francuskim – rzeczy, które lubiłem. Wygłodniały jadłem w pośpiechu, a później wypłem szklanekę maślanki. Ojciec uważał, że maślanka jest pokrzepiająca. Moje ubranie było mokre i wygniecione. W domu panował chłód i pachniało czystością, jakby wysprzątał go wiatr, choć oczywiście to my sprzątnęliśmy go kilka dni wcześniej. Była dwudziesta druga trzydziści, zły czas na kolację przy stole.

Usłyszałem kroki ojca na deskach werandy. Co jakiś czas odchrząkiwał, żeby oczyścić gardło. Obok domu przejechało kilka samochodów – ukośne światła przesunęły się po częściowo zaciągniętych zasłonach. Jeden stanął

przy krawężniku. Silny snop oświetlił wilgotne podwórko. Nie można było zobaczyć, kto jest w środku, ale ojciec zawołał z ciemnej werandy:

– Dobry wieczór, koledzy! Witajcie! Jesteśmy już wszyscy, kolacja czeka na stole! – Zaśmiał się donośnie.

Światło zgasło, a samochód wolno odjechał, choć nikt nie odezwał się słowem ani nie wysiadł. Ojciec zaśmiał się ponownie i chodził jeszcze przez jakiś czas, gwizdząc nieskładnie bez żadnej melodii.

Matka wróciła do sypialni. Widziałem ją z mojego miejsca przy stole. W walizce było więcej rzeczy. Składała kolejne i układała je na górze. Później spojrzała w kierunku drzwi i zorientowała się, że jestem przestraszony.

– Chodź do mnie, Dell – powiedziała. – Chcę z tobą porozmawiać.

Poczułem, że nogi się pode mną ugięły. Byłem ciężki, jakbym za dużo zjadł. Chętnie położyłbym się na jej łóżku i zasnął.

– Smakowała ci kanapka?

– Dlaczego się pakujesz?

Zaczęła składać kolejne rzeczy.

– Pomyślałam, że jutro pojedziemy pociągiem do Seattle.

– Kiedy wrócimy? – spytałem.

– Kiedy będziemy gotowi.

– Czy Berner z nami pojedzie?

– Tak. Pojedzie. Wszystko jej wyjaśniłam.

– A tata? – Już wcześniej o to pytałem.

– Nie.

Podeszła do szafy i powiesiła puste wieszaki leżące na łóżku.

– Dlaczego nie? – chciałem wiedzieć.

– Musi załatwić pewną sprawę. Poza tym ojciec lubi tu być.

– Co będziemy robić w Seattle?

– No cóż, Seattle to prawdziwe miasto – stwierdziła matka rzeczowo. – Zobaczysz dziadków. Oni chcą poznać ciebie i twoją siostrę.

Spojrzałem na nią twardym wzrokiem, jakim patrzyła na mnie Berner. Nie powiedziała, dlaczego wyjeżdżamy, a ja wiedziałem, że nie powinienem o to pytać.

– A co ze szkołą?

Serce zabiło mi szybciej. Wołałem nie myśleć o tym, że nie zacznę lekcji jak chłopcy, których nie zobaczyłem nigdy więcej. Gardło mi się ścisnęło.

Oczy zapiekły, jakby były w nich łzy.

– Nie martw się o to.

– Mam dużo planów... – zacząłem.

– Wiem. Wszyscy mamy plany.

Pokręciła głową, jakby nasza rozmowa była głupia. Spojrzała na mnie. Wyglądała na zmęczoną.

– Musisz być elastyczny – powiedziała. – Ludzie, którzy nie są elastyczni, nie zajdą daleko na tym świecie. Ja staram się być elastyczna.

Pomyślałem, że wiem, co znaczy to słowo, choć miało jeszcze inne znaczenie. Jak „rozumieć”. Nie chciałem się przyznać, że nie jestem elastyczny.

Za oknami zerwał się wiatr, strząsając z liści krople wody, które zastukały o dach. W środku panowała zupełna cisza. Matka podeszła do okna sypialni, przyłożyła dłonie do szyby i wyjrzała na zewnątrz. W szkłe odbijało się wnętrze pokoju z nią i ze mną, i łóżkiem, na którym leżała jej walizka z ubraniami. Przy oknie matka wydawała się bardzo mała. Za nią widziałem jedynie niewyraźne kształty i cienie, garaż z jasnymi malwami i cyniami, pusty sznur do prania, z którego zdjęła czyste rzeczy, młode drzewko dębu, które zasadził ojciec i przywiązał do tyczki. I jego samochód.

– Co wiesz o Kanadzie, hę? – Wydawała ten dźwięk zawsze, gdy chciała dać do zrozumienia, że jest przyjacielsko nastawiona.

W układance mojego ojca Kanada znajdowała się za wodospadem Niagara. Nigdy nie sprawdziłem tego hasła w encyklopedii. Wiedziałem tylko, że leżała na północ od nas. W moich oczach pojawiły się gorące łzy. Głęboko zaczerpnąłem powietrza i wstrzymałem oddech jak najdłużej.

– Dlaczego? – Mój głos był ściśnięty.

– Och! – Oparła czoło o szybę. – Mam nawyk postrzegania rzeczy wyłącznie tak, jak zostały mi przedstawione. Dobrze, że jesteś inny. To moja słabość.

Delikatnie stuknęła paznokciem o szybę, jakby dawała sygnał komuś czekającemu w ciemności. Zdjęła okulary, chuchnęła w szkła, a później otarła je rękawem bluzki.

– Twoja siostra jest inna – stwierdziła.

– Jest znacznie inteligentniejsza od mnie. – Szybko potarłem oczy i osuszyłem rękę o spodnie, żeby tego nie spostrzegła.

– Pewnie tak. Biedaczka... – Matka odwróciła się do mnie i uśmiechnęła przyjaźnie. – Idź do łóżka. Wyjeżdżamy jutro rano. Pociąg odchodzi o dziesiątej trzydzieści. – Przyłożyła palce do warg, dając znak, żebym nic nie mówił. – Nie musisz brać niczego z wyjątkiem szczoteczki do zębów. Zostaw wszystko, dobrze?

– Mogę zabrać szachy?

– Możesz – powiedziała. – Mój ojciec grywa w szachy, a przynajmniej kiedyś to robił. Będziecie mieli się o co spierać. Idź już.

Wyszedłem z ich pokoju, a matka wróciła do pakowania walizki. Nie było okazji, żeby powiedzieć lub zapytać o rzeczy, które nie dawały mi spokoju – policję, szkołę, planowaną ucieczkę Berner i powód naszego wyjazdu. Wspomniałem już, że wszystko działało się wokół mnie, a moja rola sprowadzała się do znalezienia sposobu zachowania normalności. Bo nikt nie zna normalności lepiej od dzieci.

Matka przysłała do mnie ponownie i wsunęła suchy pled pod moje stopy, tam gdzie materac był wilgotny. Zacisnąłem powieki, ale czułem zapach kulek na mole. Drzwi zamknęły się cicho, a później usłyszałem pukanie do drzwi Berner.

– Boli mnie brzuch... – jęknęła siostra.

– Przyzwyczaisz się – odparła moja matka. – Przyniosę ci butelkę z ciepłą wodą.

Drzwi się zamknęły, a po chwili matka wróciła i rozmawiały z sobą jakiś czas. Sprężyny łóżka Berner skrzypnęły.

– Oczywiście, oczywiście – usłyszałem głos matki. Później kroki podążyły w stronę kuchni i doleciał mnie szum wody.

Deszcz przestał padać, a mój pokój ponownie wypełniło chłodne powietrze. Pomyślałem o pokazie sztucznych ogni na terenie targów i uniosłem okienną ramę, ale dobiegły mnie jedynie świst hutniczego pieca i dźwięk syren dolatujący z miasta. W powietrzu czuć było silną woń krów nadciągającą od placów załadunkowych. Później usłyszałem kroki mojego ojca i głosy obojga rodziców. Rozmawiali krótko, urywanymi zdaniami, a potem zapanowała cisza, jakby mieli sobie niewiele do powiedzenia. Po chwili matka – rozpoznałem jej kroki – wróciła do ich sypialni i zamknęła drzwi. Ojciec poszedł na werandę i usiadł na huśtawce. Drzwi siatki skrzypnęły, otwierając się i zatraskując.

Przez jakiś czas rozmyślałem o Seattle. Widziałem tylko kilka miast, ale żadne z nich nie było duże. Wyobraziłem je sobie wyłaniające się w promieniach słońca z mrocznego oceanu z coraz wyraźniejszymi zarysami budynków, na które padło światło. Później przypomniałem sobie, że słońce pojawia się na wschodzie, że pada na budynki z innej strony. Próbowałem sobie wyobrazić wieżę, Kosmiczną Iglicę, sterczącą wysoko w niebo. Potem musiałem zasnąć. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętam, było to, że pomyliłem się w sprawie wschodzącego słońca i że nikomu o tym nie powiedziałem.

Kiedy wstałem w nocy, żeby pójść do toalety, ojciec siedział samotnie przy stoliku karcianym nad przedstawiającą wodospad Niagara układanką, którą rozłożył przed sobą jak posiłek. Paliły się wszystkie światła w przedniej części domu. Obrazek był niemal gotów. Należało jeszcze uzupełnić tylko kilka fragmentów postrzępionego nieba. Ojciec miał na sobie to samo ubranie co wcześniej – białą koszulę, która teraz była pognieciona, dżinsy i zdarte na czubkach buty. Ale się ogolił i pachniał tak, jakby wziął kąpiel. Obejrzał się i spojrzął na mnie, jakby ucieszył się, że mnie widzi, chociaż zamierzałem wrócić prosto do łóżka.

– Jako chłopiec... w twoim wieku... – zaczął, podnosząc element i oglądając go uważnie, a później umieszczając w pustym miejscu na niebie, gdzie idealnie pasował; pod paznokciami nadal miał resztki pasty do butów – ...byłem całkiem dobrym sportowcem. Sport jest bardzo ważny. Nic innego nie da ci szczęścia. Jestem pewny, że słyszałeś o Wielkim Kryzysie.

Czytałem o Roosevelcie i Hooverze, marszu robotników i kolejkach po chleb w podręczniku wiedzy o społeczeństwie.

– Tak, tato.

– Widzisz... – Starannie wybrał następny kawałek, ale nie pasował. Pokręcił głową. – Mogłem osiągnąć duży sukces w sporcie, futbolu i koszykówce, ale nikt mnie nigdy nie uczył. Rozumiesz? Nie miałem trenerów. Dzięki wrodzonym umiejętnościom można utonąć lub nauczyć się pływać, a ja... – uśmiechnął się, jakby był rad, że może mi to wyjaśnić – ja utonałem. – Odchrząknął i przełknął ślinę. – Dlatego zaciągnąłem się do armii. No, może nie był to bezpośredni powód, ale w końcu... – Podniósł mniejszy kawałek układanki i delikatnie wcisnął go w puste miejsce, a później cicho zamruczał, widząc, że pasuje. Do ułożenia pozostały jedynie cztery elementy. Odwrócił się na krześle i spojrzął na mnie badawczym wzrokiem. Miałem na sobie spodnie od pidżamy w niebiesko-białe paski i byłem bosy. – Dlaczego nie śpisz? – zapytał. – Coś cię gnębi?

– Nie, tato – odpowiedziałem, chociaż rzeczywiście coś nie dawało mi spokoju. Szkoła. Dlaczego ojciec z nami nie pojedzie? Dlaczego śledziła nas policja i dlaczego radiowóz przejeżdżał obok naszego domu? Miałem wiele zmartwień.

– No cóż, to znakomicie – odrzekł. – Tak powinno być, kiedy człowiek ma piętnaście lat. Masz piętnaście lat, prawda? – Odchylił się na krzesło przyniesionym z jadalni.

– Tak, tato – przytaknąłem.

Ojciec podrapał się w ucho kawałkiem układanki.

– Myślę, że twoja matka coś planuje. Możliwe, że zawsze się do tego szykowała. Do przyszłego życia. Nie obwiniaj jej o to. Ja jej nie obwiniam. Nie żałuję, że ją poślubiłem. Gdybym tego nie zrobił, nie miałbym ciebie i twojej siostry. – Spojrzał na kawałek układanki, jakby przyłgnęło do niego coś interesującego. – Matka odczuwa do mnie pewną niechęć, ale jej przejdzie, kiedy dotrze do Seattle. Chodziła do college’u, nie tak jak ja.

– Dlaczego nie poszedłeś do college’u? – spytałem, choć tak naprawdę chciałem zapytać go, dlaczego matka czuje do niego niechęć.

– Temat college’u nigdy się nie pojawił. – Spojrzał na mnie obojętnie. – Uważali, że i bez tego jestem dość bystry jak na swoje życiowe perspektywy. I przypuszczalnie mieli rację.

– Pojedziesz z nami do Seattle?

Wiedziałem, że nie pojedzie, ale wolałem udawać, iż nadal jest to możliwe.

– Jestem tu szczęśliwy. Powiedziałem ci dziś po południu. Będę tu czekał na wasz powrót. Taki jest plan twojej matki.

– Wrócisz do pracy?

Uśmiechnął się szeroko.

– Jeśli mnie zechcą. Dopiero zacząłem. Myślę, że mam do tego dryg.

Podniósł kolejny element i obrócił w palcach kilka razy, żeby móc go zobaczyć. Wykonywał tę sztuczkę wiele razy dla Berner i mnie, kiedy byliśmy mali. Zrobił wielkie oczy i uśmiechnął się kącikami ust, jakby nie był czegoś pewien. Nagle wsunął element do ust, a następnie pogryzł go i połknął, dramatycznie przełykając ślinę. Później odchrząknął i zakaszłał z przesadą.

– Człowieku – powiedział. – To całkiem niezłe. Wolę taki kawałek od groszaka lub guzika.

– Masz go w dłoni – zauważyłem. Dotknąłem ucha, bo właśnie tam często pojawiały się zdematerializowane przedmioty.

– Zjadłem go – wyjaśnił ojciec. – Chcesz jeden? Zostały mi trzy. – Podniósł jeden z ostatnich kawałków.

– Masz go w dłoni – powtórzyłem.

Położył obie dłonie na kolanach, klepnął się w nogi i skinął głową. Czekałem, aż go pokaże.

– Wracaj do łóżka, pułkowniku – zakomenderował. – Jutro czeka cię trudny dzień. Jak nas wszystkich.

Wyciągnął rękę i chwycił moje nagie ramię, a następnie przyciągnął do siebie tak, że poczułem jego wielkie ciało, ciepłe i pachnące cytrusami. Poklepał mnie trzy razy po plecach, a później odsunął na długość ramienia i spojrzał poważnie w oczy. Nadal czekałem na pojawienie się kawałka układanki. Jak głupiec.

– Będziemy musieli popracować nad twoją tężyzną, gdy wrócisz – powiedział. – Przyda ci się kilka nowych mięśni. Zrobimy to, kiedy cię ponownie zobaczę.

– Gdzie jest element? – spytałem.

Wskazał palcem swój brzuch.

– Tutaj. – Wymierzył sobie kuksańca i spojrzał w dół. – Tym razem to nie sztuczka. Na tym polega sekret magika. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedziałem.

Wróciłem do pokoju, zamknąłem drzwi i poszedłem spać do mojego chłodnego łóżka.

Promienie słońca prześwitywały przez wilgotne liście i wpadały do mojego pokoju, tworząc pajęczynę światła na łóżku i podłodze. Obudził mnie niedzielny dzwon luteranów. Nie spałem w nocy, a może miałem tak intensywny sen, że wydawało mi się, iż naprawdę robię rzeczy, o których śniłem. W okienną siatkę zaplątał się nietoperz. Wygramoliłem się z łóżka i pociągnąłem za linkę, a później trąciłem zasłonę gumką od ołówka, aby go nie zranić przez małe otwory w siatce. Ujrzałem jego drobną, wykrzywioną ludzką twarz, szarą jedwabistą skórę i pulsujące skrzydełka. Patrzył na mnie, jakbym go zawołał. Delikatnie uderzyłem ekran. Nietoperz zniknął, ponownie wolny, a siatka była pusta.

W alejce obok naszego garażu stał samochód. Silnik pracował, a w powietrzu unosiły się ciężkie opary spalin. W środku zapaliło się światło. Dostrzegłem dwóch mężczyzn w garniturach. Ten w fotelu pasażera czytał coś drugiemu, który siedział za kierownicą, trzymając w ręku białą kartkę papieru. Obaj się pochylili i spojrzeli na nasz dom przez tyczki, na których rozwieszono sznur do bielizny. Nie mogli mnie zobaczyć, bo za moimi plecami panowała ciemność. Mimo to jeden z nich wskazał mnie palcem, a później światło w środku zgasło. Silnik zwiększył obroty. Opony zgrzytnęły na wilgotnym żwirze. Na tym mój sen się skończył.

Usłyszałem głos Berner w korytarzu na dole. Leżałem na łóżku, wpatrując się w mokre plamy na suficie – na łuszczące się rdzawe kształty przypominające stany Unii. Nie miałem pojęcia, jak długo bił dzwon. Jakiś pies zawył w uliczce za naszym domem. Może wyprawa do Seattle została przesunięta? Może matka o niej zapomni, jeśli zostanę w łóżku? Nie chciałem tam jechać.

Matka mówiła coś do Berner urywanym głosem. Chwilę później drzwi się otworzyły i stanęła w nich zagniewana i skupiona.

– Pozwoliłam ci pospać dłużej, ale niebawem musimy ruszać. – Trzymała w ręku różową poszewkę od swojej poduszki, z białymi obrębionymi rogami. – Włóż do niej to, co chcesz zabrać. – Weszła do środka i zostawiła ją na moim łóżku. – Nie bierz zbyt wiele. Na miejscu kupimy ci nowe rzeczy. – Utkwiła we mnie wzrok.

Leżałem przykryty pod brodę, a promienie słońca przecinały podłogę i fragment białej ściany. Matka ponownie włożyła zieloną wełnianą spódnicę w różową kratę, ale teraz dodała do niej białą bluzkę. W tym ubraniu sprawiała wrażenie mniejszej i młodszej. Jej rysy twarzy wydawały się skupione wokół nosa i okularów.

– Twoja siostra już się ubrała – oznajmiła. – Obym nie musiała ci tego powtarzać – dodała i zniknęła.

Moje drzwi pozostały otwarte jak milczące ostrzeżenie.

W pośpiechu się ubrałem. Pomyślałem, że nie czas na mycie. Włożyłem do poszewki pudełko z balsy do szachów, moje magazyny „Chess Master”, książki Podstawy szachów i Bee Sense, którą wypożyczyłem z biblioteki i miałem niebawem oddać. Zabrałem też dwa tomy encyklopedii World Book z literami B i M, bo były grube i zawierały dużo informacji. Dorzuciłem jeszcze parę skarpetek, bokserki, T-shirt i na tym koniec, bo mój ojciec powiedział, że wrócimy. Uczesałem się i użyłem wody marki Wildroot, z której ojciec pozwolił mi korzystać. Nie widziałem ojca, słyszałem jedynie jego głos.

– Dzieci muszą jeść – oświadczył.

– Mogą zjeść w pociągu – odrzekła matka cierpko.

Berner była w salonie. Czekala ubrana w luźną sukienkę w szare i niebieskie kropki. Na nogach miała białe tenisówki i białe skarpetki. Włosy zaczesala do tyłu, w bujną fryzurę, jak zwykle. Tym razem nie umalowała ust szminką. Siedziała na rozkładanej kanapie, ściskając piegowate kolana, blada i poirytowana, jakby w dalszym ciągu bolał ją brzuch. Między jej nogami stała zielona walizeczka – prezent od rodziców na piętnaste urodziny. Na tworzywie odcisnięto deseń przypominający skórę aligatora. Berner nie kryła, że jej nienawidzi. Walizka była wygraną na loterii zorganizowanej w bazie. Kiedy minąłem drzwi na korytarz, zmierzając do mojego pokoju, spojrzala na mnie badawczo zza okularów. Obrazek z wodospadem Niagara nadal leżał na stoliku do kart – brakowało

jedynie fragmentu, który ojciec zjadł. Już nigdy nie będzie można ułożyć go do końca, więc stał się bezużyteczny.

Ojciec wyszedł z kuchni ubrany jak w nocy. Wydawał się duży i gibki, w dobrym nastroju, chociaż się nie ogolił, a jego twarz poszarzała.

– Jesteś dorosłą dziewczyną – powiedział do Berner – ale mam wrażenie, że nie czujesz się najlepiej. Lepiej zostań ze mną.

Berner chciała zaprzeczyć, ale z kuchni doleciał głos matki:

– Przestań! Nie dokuczaj jej! Nic jej nie jest!

Ojciec rozejrzał się po salonie, jakby było w nim dużo ludzi, którzy go słuchają. Ujrzał mnie, uśmiechnął się i mrugnął.

– To moja córka – odrzekł głośno. – Nie dokuczam jej, tylko do niej mówię. Zaopiekuję się twoją rybką, kiedy wyjedziesz – obiecał.

Wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Ojciec spojrzał na mnie. Nadal się uśmiechał. Rozpostarł ramiona, wyraźnie sfrustrowany. Wcześniej okazywał w ten sposób zdumienie – odwracając dłonie ku górze, jakby z sufitu kapą woda.

– Ciekawe, kto to taki – powiedział i ruszył przez salon, żeby otworzyć.

– Może mormoni? Może przynieśli dobre nowiny, na które czekaliśmy? Trzeba będzie się przekonać, prawda?

– Kto to? – doleciał z kuchni głos matki, a później rozległ się brzęk naczynia upuszczonego na podłogę.

Rozpadło się na kawałki w chwili, gdy mój ojciec otwierał drzwi, żeby zobaczyć, jakie nowiny nas czekają.

Od tej chwili czas zaczął płynąć inaczej. Przez następne dwa i pół dnia – do poniedziałkowego południa – godziny mijały w galopującym, chaotycznym tempie. Pamiętam szczegóły, ale nie potrafię ich połączyć. Chwilami mam nawet wrażenie, że dwa kolejne dni nigdy się nie zdarzyły, że tylko mi się przyśniły lub źle je zapamiętałem. Wiem, że nie należy pragnąć, aby złe rzeczy się nie wydarzyły, nawet gdyby bez nich można było odnaleźć drogę do teraźniejszości.

Kiedy ojciec otworzył drzwi, ujrzałem dwóch rosyłych mężczyzn stojących na werandzie. Matka wyszła z kuchni i usiadła przy stole w jadalni. Nie zadała sobie trudu pozbierania kawałków naczyń, które upuściła. Jej walizka stała obok rozkładanej kanapy, a zielona walizeczka Berner nadal tkwiła między jej kolanami. Ja byłem w korytarzu z różową poszewką w dłoniach.

– Witaj, Bev – odezwał się jeden z mężczyzn.

Obaj mieli na sobie rozpięte garnitury i obaj nosili letnie kapelusze z wygiętym rondem. Byli masywni, potężniejsi niż ojciec, choć nie przewyższali go wzrostem. To oni jechali za nami czarnym fordem i naradzali się w alejce za naszym domem, kiedy wydawało mi się, że śnię. Większy i starszy miał dużą, nalaną czerwoną twarz, krzaczaste brwi i tłusty kark sięgający brody. Na jego nosie tkwiły okulary. To on siedział za kierownicą i wskazał na mnie. Byli z policji.

Ojciec spojrzął za siebie, w kierunku matki, i uśmiechnął się, jakby to, że policja zna jego imię i wie, gdzie mieszkamy, było czymś zabawnym.

– Po co to całe zamieszanie, chłopcy? – spytał teatralnie.

Mężczyźni ruszyli do środka. Byli zbyt potężni, aby wejść jednocześnie, więc każdy musiał się lekko odwrócić.

– Nie ma żadnego zamieszania, Bev – odrzekł rosyły policjant, zaglądając do salonu zza pleców ojca.

Jego usta wyglądały tak, jakby chciał się uśmiechnąć, ale nie był tego do końca pewien. Drugi policjant był młodszy i szczuplejszy, mimo to również potężny, o szerokiej twarzy i zmrużonych niebieskich oczach. Słyszałem, że zmrużone oczy oznaczają fińskie pochodzenie.

– Kogo tam masz, Bev? – zapytał starszy.

Mój ojciec cofnął się o krok, trzymając ręce z dala od tułowia, i się odwrócił.

– Młode. – Wydawał się rozluźniony, nieprzejęty tym, co się działo.

– Może przypadkiem masz przy sobie pistolet?

Potężnie zbudowany policjant wyciągnął rękę i dotknął ramienia ojca. Nasz salon nagle wydał się pełny, a wszelka wolna przestrzeń zniknęła. Sześć osób. Nigdy wcześniej nie było w nim sześciu osób. Słyszałem, jak starszy policjant oddycha.

– Jasne, że nie. – Ojciec spojrział na siebie i powiódł wzrokiem w dół, jakby właśnie tam mógł się znajdować pistolet. – Nie mam broni. – Jego głos miał teraz wyraźny południowy akcent.

– Nie schowałeś jej gdzieś w domu? – Policjant rozejrzał się wokół. Szkła okularów powiększały jego jasnoblękitne oczy.

– Nie, proszę pana. W tym domu nie ma broni. – Mój ojciec pokręcił głową.

– Czy odwiedziłeś Dakotę Północną w ostatnim czasie, Bev? – zagadnął nieoficjalnie rosły policjant, jakby była to zwyczajna rozmowa, minął mojego ojca i przystąpił do mnie, stojącego w drzwiach prowadzących na korytarz. Pochylił się i rzucił okiem w stronę łazienki i sypialni rodziców.

Wyższy i młodszy utkwiał wzrok w ojcu, jakby na tym polegała jego praca.

– Jak się masz, synu?

Potężnie zbudowany policjant położył wielkie łapsko na moim ramieniu. Pachniał cygarami i skórą. Na butach miał gumowe ochraniacze oblepione błotem. Małe kawałki błota już odpadły na naszą czystą podłogę.

– W porządku – odparłem.

Pod marynarką dostrzegłem złotą klamrę u paska od spodni. Jego brzuch opinała biała koszula. Miał małą złotą trójkątną szpilkę w klapie.

– Wybieracie się dokądś? – zagadnął przyjacielskim tonem.

Spojrzałem na naszą matkę.

– Jedziemy do Seattle. Dzisiejszym pociągiem. Żeby zobaczyć ich dziadków – wyjaśniła.

– Nie byłem w Dakocie Północnej – odpowiedział mój ojciec.

Rosły policjant nadal trzymał rękę na moim ramieniu. Zmierzył badawczo kuchnię z kawałkami rozbitego talerza rozrzuconymi na linoleum.

– Ten chevrolet z tyłu jest twój?

– Tak – przytaknął ojciec. – Mam go od niedawna.

– Ale jeździsz nim od kilku dni, prawda? – zapytał policjant.

Nie mogłem się poruszyć, czując na sobie jego dłoń.

– Och, tak – potwierdził mój ojciec. Uśmiechnął się do matki, jakby było to zabawne pytanie. Jego twarz sprawiała wrażenie niezwykle ruchliwej. Rozglądał się niespokojnie i poruszał ustami, zanim zaczął mówić. Obliznął ślinę w kącikach ust i napiął mięśnie szczęki. Jego dłonie kołysały się wzdłuż tułowia, jakby zamierzał zrobić coś nieoczekiwanego.

– Idźcie do swoich pokoi, dzieci – rzekła matka.

Berner natychmiast wstała, podniosła swoją walizkę i ruszyła w kierunku korytarza, ale wielki policjant podniósł rękę i powiedział:

– Chyba będzie lepiej, jeśli zostaną.

Przyciągnął mnie do siebie tak, że poczułem jego pistolet pod marynarką. Berner stanęła i spojrzała na matkę. Jej usta utworzyły pomarszczoną linię, co oznaczało, że jest zirytowana.

– Zrób, co powiedział – nakazała matka.

Berner wróciła sztywnym krokiem na kanapę, usiadła i położyła walizkę na kolanach. Rosły policjant podszedł do pianina, pochylił się i obejrzał honorowy dyplom mojego ojca, fotografię prezydenta Roosevelta i metronom.

– Masz jeszcze swój kombinezon sił powietrznych? – Zsunął okulary na czubek nosa i pochylił się nad dyplomem, jakby zrobił na nim wrażenie.

– Na szczęście nie – odparł mój ojciec. – Mam teraz lepsze ubrania. Handluję farmami i ranczami.

Nie miałem pojęcia, dlaczego skłamał.

– Jak się nazywasz, młoda damo? – spytał rosły policjant, spoglądając na Berner. Jego kolega nie spuszczał wzroku z ojca.

– Berner Parsons – odpowiedziała. Odniosłem wrażenie, jakby mówienie tego w naszym domu było niewłaściwie.

– Byłaś ostatnio w Dakocie Północnej, Berner? – podjął policjant.

– Nie. – Berner pokręciła głową.

– Nie rozmawiaj z nim – odezwała się matka nagle bardzo rozgniewana, chociaż nadal siedziała na swoim miejscu przy stole. – To jeszcze dziecko.

– Pewnie, że nie musisz ze mną rozmawiać. – Policjant uśmiechnął się do ojca w taki sposób, że jego czerwone policzki opadły, a brwi powędrowały w górę. Podsunął okulary na nosie i wetknął kciuki pod pasek spodni, odsłaniając białe skarpety nad ubłoconymi ochraniaczami. Później westchnął głęboko. – Może wyjdziemy na zewnątrz, Bev. Musimy pogadać. Bishop będzie zabawiać towarzystwo, dopóki nie wrócimy. – Skinął głową koledze, który odsunął się od drzwi.

– Zgoda – odparł ojciec. Jego południowy akcent był teraz bardzo wyraźny. Nadal kołysał rękami tam i z powrotem i spoglądał na boki, jakby wszyscy go obserwowali. Przykro było na niego patrzeć. Sprawiał wrażenie zrozpaczonego. Do dziś to pamiętam.

Bishop sięgnął za siebie i otworzył drzwi z siatką. Promienie słońca przenikały przez gałęzie drzew, ogrzewając powietrze na zewnątrz. Krople deszczu z ostatniej nocy błyszczały na naszym trawniku. Luteranie szli do kościoła. Ojciec ruszył w kierunku drzwi, prowadzony przez policjanta o wydatnym brzuchu, trzymającego dłoń na jego plecach.

– O czym będziemy gadać? – spytał, wychodząc na werandę. Przesunął dłoń po włosach i spojrzał w dół, tam, dokąd podążały jego buty.

– Coś wymyślimy – odparł rosły policjant, idąc w ślad za nim.

– Nie musisz mu nic mówić! – krzyknęła matka.

– Wiem, że nie muszę – odpowiedział ojciec.

Bishop zamknął szklane drzwi. Nie mogłem zobaczyć, co się działo na zewnątrz. Nasza czwórka została w domu sama.

Czekaliśmy w domu z tym policjantem Bishopem jakieś pięć minut, choć równie dobrze mógł to być kwadrans. Dzwon luteranów odezwał się jeszcze kilka razy i zamilkł, a później zamknięto drzwi do kościoła i nabożeństwo się rozpoczęło.

Słońce padało na dach, więc powietrze w salonie stało się gorące i nieruchome. Zwykle włączaliśmy wentylator na strychu, ale tym razem żadne z nas się nie poruszyło. Położyłem moją poszewkę na podłodze i usiadłem na taborecie od pianina. Matka nie spuszczała ze mnie wzroku, jakbym powinien o czymś pomyśleć. Nie wiedziałem, o co jej chodzi. Zastanawiałem się, o czym ojciec nam nie powiedział. Uznałem, że policja niebawem odjedzie i będziemy mogli o tym porozmawiać. Bo już spóźniliśmy się na pociąg.

Młody policjant stał odwrócony plecami do drzwi. Z dłońmi w kieszeniach marynarki żuł gumę. W pewnym momencie zdjął kapelusz i otarł czoło białą chusteczką, którą wyciągnął z kieszeni. Miał krótko obcięte jasne włosy, niemal białe, i wyglądał młodziej bez kapelusza. Pomyślałem, że ma trzydzieści lat, chociaż nie znałem się na wieku ludzi. Jego włosy i szeroka twarz ze zmrużonymi oczami nie pasowały do siebie, ale u policjanta wydawało się to naturalne. Wyglądał na chłopaka z rodzaju tych, którzy podobali się Berner. W jego oczach była dzikość, jak w oczach Rudy'ego.

– Chodzisz do szkoły? – spytał, zwracając się w moją stronę.

Matka spojrzała na mnie, ale się nie odezwała. Nie miałem pojęcia, co mam zrobić lub czego nie robić. Berner wierciła się w swoim ubraniu. Odstawiła zieloną walizkę na podłogę i westchnęła głęboko, dając do zrozumienia, że jest zniecierpliwiona.

– Tak – przytaknąłem.

Policjant otarł oczy chusteczką, złożył ją i wsunął do kieszeni marynarki, a później ponownie zatknął kapelusz na głowę.

– Do ogólniaka Meriwethera Lewisa – dodałem.

– Chodzisz do liceum? – Wydawał się zaskoczony. – Nie wyglądasz na wystarczająco dużego.

Spojrzałem na matkę. Nie miałem pojęcia, co siedzi jej w głowie.

– Chodziłem tam piętnaście lat temu – wyjaśnił Bishop. – Teraz sam mam dzieci. – Zatrzymał wzrok na matce. – Dobrze znasz Great Falls? – zapytał ją.

Matka pozwoliła, aby jej spojrzenie przesunęło się na funkcjonariusza, a później na jej dłonie leżące na stole. Nagle spojrzała w kierunku frontowego okna, jakby zobaczyła ojca i drugiego policjanta.

– Czy jesteście biologicznymi rodzicami tych dzieci? – spytał Bishop, gdy nie udzieliła odpowiedzi na pierwsze pytanie. Oparł się o gałkę drzwi, świdrując matkę wzrokiem, jakby nagle jej wygląd wydał mu się dziwny – bo musiał taki być w jego oczach.

– To nie wasza sprawa, prawda? – stwierdziła.

– Nie – odparł Bishop. – Nie sędzę. – Pociągnął koniec lewego ucha i się uśmiechnął.

Matka pozwoliła, aby jej wzrok ponownie podążył w stronę okna.

Policjant stojący na podwórku wybuchnął śmiechem, jakby on i ojciec ubawili się jakimś dowcipem. Mogłem ich usłyszeć przez szklane drzwi. Pomyślałem, że wszystko jest w porządku. Gliniarz powiedział:

– Cóż, to zrozumiałe, Bev. Na tym polega nasza praca.

– Nie wyglądacie na rabusiów napadających na banki – podjął Bishop. – Wyglądacie jak ludzie, którzy pracują w sklepie spożywczym.

Na chwilę wstrzymałem oddech. Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo. Zamknąłem je, próbując wziąć pełny oddech. Nie chciałem patrzeć na Berner.

– To też nie powinno was obchodzić – rzekła matka.

– Tym razem się mylisz – odpowiedział Bishop.

Ktoś mówił po drugiej stronie drzwi. Na deskach werandy zaskrzypiały ciężkie kroki. Matka nie ruszyła się od stołu, a moje serce zaczęło walić w piersi. Chciałem, aby powiedziała, że nikt z tu obecnych nie jest rabusiem. Zamiast tego spojrzała na mnie.

– Wy dwoje macie nigdzie nie wychodzić. Zostańcie w domu – powiedziała do Berner i mnie. – Zrozumieliście? Z nikim nie wychodźcie, chyba że będzie to panna Remlinger. Jasne?

Przesunęła ręce. Poprzednio trzymała prawą dłoń w lewej, a teraz lewą w prawej.

Frontowe drzwi się otworzyły – odniosłem wrażenie, że stało się to nagle – i ujrzałem w nich potężnie zbudowanego policjanta. Trzymał w dłoni słomkowy kapelusz z wygiętym rondem. Jego głowa była prawie łyśa, okrągła i pokryta czerwonymi plamami. Zobaczyłem też ojca stojącego na zewnątrz, na trawniku, z rękami za plecami. Uśmiechał się w stronę drzwi, kręcił głową i coś krzyczał. Pomyślałem, że woła do mnie, ale nie potrafiłem go zrozumieć.

– Nie jedziemy do Seattle? – zapytała Berner. Nadal siedziała na kanapie w swojej sukience w groszki. Nie mogła zobaczyć, co się dzieje na dworze.

– Po prostu zrób, co powiedziałam – odparła matka.

– Proszę wstać, pani Parsons – przemówił rosły policjant. Pomyślałem, że nazwanie jej „panią Parsons” było nieoczekiwane i szokujące.

Później pokój wypełnił się ruchem, zapanowało zamieszanie – buty i krzesła szurały o podłogę, materiał ocierał się o materiał, oddechy i skóra zetknęły się z sobą. Bishop wyciągnął srebrne kajdanki i położył ręce na ramionach matki.

– Zrób to dla mnie i wstań, Neeva – powiedział, kładąc kapelusz na stole.

Nasza matka nie wstała. Nie poruszyła się, ale zeszywniała i nie odrzekła ani słowa, choć lekko rozchyliła wargi. Dwaj policjanci stanęli po bokach i unieśli ją za ramiona, a następnie odwrócili i umieścili jej ręce za plecami. Nie stawiała oporu, ale jej dłonie dygotały. Mrugnęła za szklami okularów i spojrzała w górę. Potężnie zbudowany policjant odebrał kajdanki i zapiał je ostrożnie na jej nadgarstkach.

– Paniom nie zakładamy ciasno. – Uśmiechnął się, kiedy to powiedział.

Ojciec w dalszym ciągu krzyczał z dworu. Usłyszałem, jak mówi: „Mogłoby być znacznie gorzej!”. Kilku luteranów wyszło z budynku kościoła i przyglądało się tej scenie. Jeden z nich, w kowbojskim kapeluszu, powiedział coś, czego nie zdołałem dosłyszeć.

– Dobrze już, dobrze! – krzyknął mój ojciec. – Targi się skończyły! Wyjechali z miasta!

– Mam dwoje dzieci – powiedziała żałośnie policjantom matka, niezdarnie poruszając się wokół stołu z rękami skutymi na plecach.

Trudno opisać to, co widziałem. Smród cygar bijący od rosłego dyszącego policjanta wypełnił cały pokój, jakby mężczyzna palił. Nogi

mojej matki nie poruszały się ochoczo, choć nie stawiała oporu i nie powiedziała nic oprócz tego, że ma dwoje dzieci. Utkwiła wzrok przed sobą, jakby to, co robiła, było trudne do wykonania.

– Tak, wiem – odrzekł policjant, przesuając ją niemal delikatnie. – Wiem.

– Powiedzcie nam, dokąd jedziecie – poprosiła Berner. Wyglądała na spokojną, ale wydawała się równie poruszona jak ja. Nie mieliśmy pojęcia, co powiedzieć lub zrobić. – Będziemy na was czekać – dodała.

Policjanci wyprowadzili naszą mamę na zewnątrz. Ojciec stał na chodniku, gadając jak obłąkany, a moja siostra i ja patrzyliśmy na to wszystko. Nigdy nie zdołałbym sobie tego wyobrazić.

Podniosłem się z taboretu od pianina, bo pomyślałem, że powinienem stać. Serce mi waliło, ale jednocześnie czułem spokój, jakby otaczała mnie pustka.

– Pamiętajcie, co powiedziałam – mówiła dalej matka, nie odwracając się za siebie.

Byli na werandzie, a ona wpatrywała się w swoje stopy, ostrożnie idąc po schodkach, z dwoma policjantami trzymającymi ją pod ramiona, co sprawiało, że wydawała się jeszcze mniejsza.

– Nigdzie nie wychodźcie, dopóki Mildred po was nie przyjedzie.

Korpulentny policjant stanął na dolnym stopniu i powiedział:

– Przynieś mi kapelusz, synku.

Jego nakrycie głowy nadal leżało na stole w jadalni.

Przeszedłem przez pokój i podniosłem kapelusz – był zdumiewająco lekki i pachniał potem zmieszany z wonią cygar. Wróciłem na werandę i go podałem. Zatknął go na łysą głowę wolną ręką, drugą trzymał za ramię moją matkę.

– Ktoś przyjedzie, żeby się wami zaopiekować, dzieci – powiedział.

Matka spojrzała na mnie z poczerwieniałą twarzą. Berner podeszła do drzwi. W moich wspomnieniach twarz naszej matki jest otoczona ciemnością.

– Zostawcie je! – rzekła gniewnie. – Zadbałam o wszystko! – Ostatnie słowa były skierowane do mnie.

– Zdecyduje o tym sąd dla nieletnich – oświadczył rosły policjant i mocniej ścisnął jej ramię. – Proszę się o to nie martwić.

– To moje dzieci! – Posłała mu gniewne spojrzenie.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć – odrzekł. – Teraz są pod opieką stanu Montana.

Policjanci zaczęli prowadzić matkę po betonowym chodniku w kierunku ojca, który stał z rękami skutymi na plecach, śmiejąc się i gapiąc na nich. Po wczorajszym weselu na betonowych płytach pozostały białe okruchy konfetti.

– Czy będę mógł porozmawiać z prawnikiem? – spytał mój ojciec, jakby był w dobrym nastroju. – Choć nie sądzę, abym jakiegoś znał.

Bishop zaczął go prowadzić do policyjnego samochodu i otwierać tylne drzwi.

– Nie będziesz go potrzebować, Bev – odparł.

– Słuchajcie, nie musicie tego robić! Co jest grane? – Ojciec odwrócił się i spojrzał na mnie. „Co jest grane”, powiedział. Nigdy nie słyszałem, żeby tak mówił.

– Mylisz się – odparł Bishop.

Okulary naszej matki przekrzywiły się, kiedy umieszczali ją na tylnym siedzeniu auta. Rosły policjant, który przytrzymał ją za ramię, delikatnie je poprawił, aby znalazły się tam, gdzie trzeba. Matka obejrzała się i spojrzała na mnie ponownie przez otwarte drzwi.

– Zostańcie w domu, Dell! – zawołała. – Nie wychodźcie z nikim oprócz Mildred! Uciekajcie, jeśli będzie trzeba!

– Nie wyjdziemy! – odkrzyknąłem ze łzami w oczach.

Ojciec stał jeszcze na ulicy po drugiej stronie samochodu. Zmusili go, żeby się pochylił i wszedł do środka. Nagle podniósł głowę i spojrzał ponad dachem auta. Kiedy jego dziki wzrok mnie odnalazł, zawołał:

– Mówiłem ci! Te mały niczym się nie wyróżniają!

Policjant Bishop mocniej nacisnął mu głowę i popchnął go w dół na tylne siedzenie, gdzie już siedziała matka. Ojciec powiedział coś jeszcze, ale nie zdołałem go zrozumieć. Bishop zatrzasnął drzwi. Ze schodów kościoła przypatrywała się nam jeszcze większa grupka ludzi, którzy wyszli zobaczyć, co się dzieje. Urządziliśmy widowisko, najgorszą rzecz, jaka mogła się wydarzyć, i odegraliśmy je w najgorszy sposób.

Bishop okrążył policyjny samochód, aby znaleźć się po stronie kierowcy. Jego starszy zwalisty kolega usiadł w fotelu pasażera. Twarz mojej matki zamajaczyła w tylnej szybie. Odniosłem wrażenie, że mówi coś gniewnie do ojca, który siedział obok niej. Nie widziała mnie. Kierowca wrzucił ze

zgrzytem pierwszy bieg i wóz ruszył wolno w stronę rogu parku. Stałem na werandzie i patrzyłem, jak to wszystko się dzieje. P o z w o l i ł e m, żeby to się działo. P o z w o l i ł e m, żeby moi rodzice zostali aresztowani i odwiezieni, jakbym nie miał z tym żadnego problemu. Promienie słońca prześwitywały przez liście wiązu. Powietrze było ciężkie i gorące. Od strony placów załadunkowych dolatywała słaba woń silników Diesla. Na Central Avenue zawyła policyjna syrena, silnik nabrał obrotów i auto przyspieszyło. Inne wozy ustępowały mu drogi. Później wszedłem do domu, zamiast stać i patrzeć, i dostarczać widowiska naszym sąsiadom, których nie znałem. Nie miałem pojęcia, co innego mógłbym zrobić. Nie mogłem tak po prostu stać. A później jakaś część tej historii się skończyła.

Moglibyście pomyśleć, że patrzenie, jak skuwają waszych rodziców, nazywają ich rabusiami i odwożą do więzienia, a później pozostanie samemu w domu pozbawiłoby was rozumu. Że biegalibyście po pokojach jak oszalali, jęczeli i oddawali się rozpacz, bo już nigdy nic nie będzie takie jak powinno. W przypadku niektórych rzeczywiście mogłoby tak być. Ale nikt nie wie, jak się zachowa, dopóki taka chwila nie nadejdzie. Mogę jednak was zapewnić, że większość z tych rzeczy nam się nie zdarzyła, chociaż nasze życie zmieniło się na zawsze.

Kiedy wróciłem do domu, Berner poszła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi. Stałem samotnie pośrodku salonu i rozglądałem się wokół z sercem walącym jak oszalałe i mrowiącymi stopami. Rzuciłem okiem na obrazki wiszące na ścianie – te, które odziedziczyliśmy razem z domem, oraz kilka własnych. Na fotografię prezydenta Roosevelta i dyplom honorowy ojca. Spojrzałem na poszewkę z moim dobytkiem, walizkę matki i walizeczkę podróżną Berner z tworzywa imitującego skórę aligatora. Zatrzymałem wzrok na małej półce z książkami matki, układance z wodospadem Niagara, porysowanym pianinie i kilku sprzętach ze sklepu Montgomery Ward, które przywieźliśmy z sobą do Great Falls, kiedy miałem jedenaście lat. Nic nie przedstawiało większej wartości. Poplamiony perski dywan na podłodze. Telewizor. Gramofon ojca. Tapeta z powtarzającym się motywem żaglowca. Poplamiony sufit ze słodziutkim żyrandolem oraz stiukiem podziwianym przez tatę. Byłem za to wszystko odpowiedzialny – przynajmniej przez jakiś czas. Musiałem właściwie ocenić wszystkie przedmioty. Zachowywać spokój i dyscyplinę.

W tamtej chwili nie myślałem o naszych rodzicach – o tym, że przekraczają rzekę w drodze do więzienia. Nie myślałem o banku, który mieli rzekomo obrabować. Ale wydawało się niemożliwe, aby go nie obrabowali, bo zostali aresztowani i nie powiedzieli, że są niewinni. Nie miałem żadnej opinii na temat takich napadów i ludzi, którzy się tym

trudnili. Bonnie i Clyde nie przypominali naszych rodziców. Inaczej było z Rosenbergami, o których słyszałem. Prawdę mówiąc, kiedy myślałem o naszych rodzicach w pierwszych godzinach po ich aresztowaniu, nie zastanawiałem się nad tym, czy obrabowali bank czy nie. Myślałem raczej o tym, że znaleźli się po przeciwnej stronie muru, za granicą, a Berner i ja zostaliśmy po tej. Chciałem, żeby wrócili. Ich życie nadal było naszym prawdziwym, wielkim życiem. Nadal żyliśmy między nimi. Ale teraz musieliby powrócić z tamtej strony muru, aby życie zaczęło płynąć na nowo. Z jakiegoś powodu wątpiłem, że tak się stanie. Możliwe, że nadal byłem w szoku.

Niemal natychmiast pomyślałem o pieniądzach ukrytych pod kanapą w samochodzie. Przeraziłem się, że ktoś – policja – je znajdzie. Nazwa Krajowego Banku Rolnego wydrukowana na banderoli opasującej banknoty nic mi nie mówiła. Rosły policjant wspomniał o Dakocie Północnej, ale ojciec zaprzeczył, że tam był. Kupił chevroleta całkiem niedawno, więc pieniądze mogły się tam znajdować cały czas. Mimo to połączyłem fakty. Może w samochodzie były inne paczki banknotów. Pomyślałem, że trzeba je zabrać (choć nie miałem zielonego pojęcia, gdzie je schować), bo policja mogła wrócić i przeszukać dom – wiedziałem, że tak robią, kiedy coś zostanie ukradzione.

Wyszedłem kuchennymi drzwiami i przebiegłem przez podwórko. Wczołgałem się na rozgrzany tylny fotel bel aira, który nie był zamknięty, i wsunąłem dłoń między poduszki. Namacałem chłodny, ciasno opasany zwitek. Wetknąłem rękę głębiej, aż po łokieć. Poczulem śruby i profile podwozia, kurz i smar. Znalazłem nienaruszoną paczkę goździkowej gumy do żucia, guzik i pustą kopertę z nadrukiem Szpitala Świętego Patricka – i zostawiłem je na miejscu. Nie znalazłem innego pliku banknotów ani tam, ani pod przednim fotelem, ani w schowku na rękawiczki, więc uznałem, że go nie ma. Wetknąłem znalezione pieniądze za spodnie tak jak wcześniej, wygramoliłem się na zewnątrz i popędziłem do domu, mając nadzieję, że policja nie będzie tam na mnie czekać. Znalazłszy się w środku, ukryłem banknoty (nie pomyślałem o tym, żeby je przeliczyć, choć pamiętam, że na górze była dwudziestodolarówka) w kuchennej szufladzie, pod tacą na sztuce – co spowodowało, że taca znalazła się za wysoko, aby szufladę dało się zamknąć. Później wyciągnąłem zwitek, zdarłem banderolę, wrzuciłem ją do toalety i spuściłem wodę. Należało tak postąpić. Moi

rodzice uznaliby to za dobry pomysł. Ponownie umieściłem banknoty w szufladzie, dzieląc je na dwie kupki i układając jedną obok drugiej, dzięki czemu mogłem ją zamknąć, aby nikt niczego nie zauważył.

Później po prostu wróciłem do swojego pokoju. (Z pokoju Berner nie dochodziły żadne odgłosy, a ja nie chciałem z nią rozmawiać). Zamknąłem drzwi i zaciągnąłem zasłony. Zgasilem górne światło i położyłem się w ubraniu na łóżku – tak jak dzień wcześniej. Leżałem nieruchomo, obserwując, jak moja klatka piersiowa unosi się i opada, czując bijące serce, obserwując własny oddech i usiłując go wyrównać za pomocą głębokich wdechów. Matka powiedziała, że w ten sposób można zasnąć, jeśli człowiek obudzi się w środku nocy z myślami kłębiącymi się w głowie, bo sama często tak robiła. Byłem przekonany, że jeśli zasnę i się obudzę, wszystko będzie już za nami. Albo wszystko okaże się snem, a ja obudzę się w pociągu jadącym do Seattle, razem z Berner i matką, zmierzając ku nowemu życiu ze szkołą i z nowymi kolegami. Była dwunasta trzydzieści. Południe. Mój zegar Baby Ben spóźnił się dziesięć minut. Dzwon luteranów zaczął ponownie bić. Na sąsiedniej ulicy zawył pies. Na zewnątrz świeciło słońce, ale w moim pokoju panowały cień i chłód. Ptaki śpiewały. Usłyszałem odgłosy kapania dolatujące z jakiegoś miejsca. Rzeczywiście nie miałem problemu z zaśnięciem. Spałem bardzo długo.

Kiedy się obudziłem, usłyszałem głos dolatujący z głębi domu. Pomyślałem, że to policjanci, że rozmawiają z Berner i przystępują do przeszukania, aby znaleźć pieniądze. Serce na chwilę mi zamarło, a później zaczęło bić jak oszalałe. Jednym z pierwszych miejsc, które sprawdzą, będzie na pewno szuflada w kuchni.

Gwałtownie otworzyłem drzwi, pragnąc zaskoczyć tego, kto się tam znajdował. Może nawet skłonić go do ucieczki. Okazało się, że to Berner – stała na korytarzu i rozmawiała przez telefon. Miała na sobie pidżamę w niebieskie słonie i była bosa. Rozwijała i zwijała przewód telefoniczny na kciuku, kręcąc palcem w gęstych włosach i uśmiechając się na dźwięk słów, które słyszała. „Och, tak”, mówiła. „Sama nie wiem. To dobry pomysł”. Jej głos brzmiał tak jak głos matki. Nie wiedziałem, z kim rozmawia, ale uznałem, że to Rudy Patterson. Nie znała przecież nikogo innego, no i powiedziała mi, co razem robili.

Ulżyło mi, że to nie policja, choć miałem przeczucie, że niebawem wrócą, bo tak powiedział starszy detektyw. Podszedłem do frontowego okna i wyjrzałem na zewnątrz. Pustą ulicę i park pokrywały słoneczne cętki. Kościół luteranów był zamknięty. Na nasz trawnik padał ładny cień. W parku otyły głuchy chłopak z naszej ulicy rzucał patyk czarnemu labradorowi. Pies biegł, podnosił patyk, a później kładł u stóp chłopca, który klepał zwierzaka po łbie i coś mówił. Żadnych policyjnych radiowozów. Co jakiś czas tylko chłopak odwracał się i ukradkiem spoglądał w stronę naszego domu.

Podszedłem do okna w kuchni i spojrzałem tam, gdzie stał samochód ojca, ale auto zniknęło. Przestrzeń, którą jeszcze niedawno wypełniał chevrolet, przypominała powietrzne pudło. Natychmiast otworzyłem szufladę, spodziewając się, że będzie pusta, lecz dwa pliki dwudziestek nadal leżały pod plastikową tacką, co upewniło mnie, że nie śniłem, że wszystko działo się naprawdę.

Pozbierałem kawałki naczyń, które upuściła matka, i włożyłem do kosza pod zlewem. Naczynie pękło na duże kawałki, więc nie potrzebowałem szczotki. Po chwili do kuchni weszła Berner. W tej swojej pidżamie ze słoniami sprawiała wrażenie niewzruszonej, jakby w tych okolicznościach przebywanie w domu było najlepszym rozwiązaniem, jakby czekała na tę chwilę i pragnęła jak najlepiej ją wykorzystać.

– Odholowali jego samochód. Przyjechał wielki wóz pomocy drogowej z platformą – powiedziała, wyglądając przez okno. – Fajny, duży stary labrador. – Spojrzała na chłopaka w parku rzucającego patyk psu.

Zamierzałem przenieść pieniądze w inne miejsce. Nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego.

– Nie sądzę, aby ktoś przyszedł – podjęła Berner. Podrapała się w bok przez pidżamę, nie przestając obserwować chłopaka. Jej włosy były potargane i nastroszone po drzemce. – To znaczy, że możemy robić, co chcemy.

– Dlaczego? – zapytałem.

Jej wargi ułożyły się w złośliwy uśmiech. Wypuściła powietrze tak, jak to robiła, gdy chciała mi okazać wyższość.

– Będę robić, co zechcę! – oświadczyła. – Jeśli coś robisz, to znaczy, że tego chcesz. – Wskazała palcem ucho i nakreśliła koło, a później wycelowała palec we mnie. – Jesteś pomyłony – dodała. Często tak mówiła.

– Co zamierzasz zrobić?

– Sama nie wiem.

Otworzyła drzwi lodówki, zajrzała do środka i ponownie je zamknęła.

– Ale na pewno coś zrobię. Mam dość nicnierobienia. Rudy chce się ze mną ożenić.

– Nie możesz – zaprotestowałem.

Wiedziałem, że nie może. Mieliśmy po piętnaście lat. Poza tym oświadczyła przecież, że nie chce wyjść za męża. Zaledwie wczoraj.

– W niektórych miejscach na to pozwalają. Pojedziemy do Salt Lake City w Utah. Tam jest lepiej niż tutaj. Chociaż Rudy już nie należy do Kościoła.

Byłem zniesmaczony tym, co usłyszałem. Słowa Berner sprawiły, że poczułem się tak, jakby moja osoba i moje myśli nie miały najmniejszego znaczenia. Stojąc w naszej kuchni w pidżamie i gadając o poślubieniu Rudy'ego, rzucała cień na mnie i na wszystko, co myślałem – jakby mój los

musiał być taki jak jej, jakby można było podrzeć moje plany niczym wilgotną chusteczkę i patrzeć, jak znikają. Ja zaś miałem własne zamiary. Wiedziałem, że będę sobą niezależnie od tego, co się wydarzy. Później moje serce się uspokoiło, co uznałem za pozytywny znak. Gdybym naprawdę miał poczucie, że wszystko jest stracone, że moje życie jest skończone, bo jestem związany z siostrą, nie wiem, co bym zrobił. W tamtej jednak chwili miałem niewielkie możliwości, aby uczynić cokolwiek.

– Nie wyjdę natychmiast za mąż – dodała Berner, ponownie wyglądając przez okno. Nagle odwróciła się na pięcie i wykrzywiła twarz w szerokim uśmiechu. – Matka powiedziała, że muszę się o ciebie zatroszczyć.

W jej oczach nieoczekiwanie błysnęły łzy. Możliwe, że ja też zacząłem płakać. Oboje mieliśmy powody, ale ona postanowiła je zignorować.

– Nienawidzę tej ich cholernej odwagi – rzuciła.

– Nie musisz uciekać – powiedziałem.

Oboje czuliśmy się paskudnie.

– Muszę – odrzekła. – Ja...

Pragnąłem otoczyć ją ramieniem. Wydawało się to najbardziej naturalne, jeśli chciałem zapanować na sytuacji. W korytarzu zadzwonił telefon – głośnym, terkoczącym, żalonym dźwiękiem, który zniszczył ciszę panującą w domu. Oczekaliśmy chwilę, niemal obejmując się wzajemnie, a telefon dzwonił i wydawało się, że tylko on zwraca uwagę na nasze istnienie.

Nie pamiętam dokładnie, co się wydarzyło tamtej niedzieli. Pamiętam jedynie, że czuliśmy się swobodnie i że dom wydawał się wygodny dla naszej dwójki. Spałaszowaliśmy trochę jedzenia prosto z lodówki – zimne spaghetti i jabłko. Jedliśmy, wyglądając przez frontowe okno na park pogrążony w cieniu późnego popołudnia. Obok parku przejeżdżały samochody. Jeden lub dwa zwolniły, a ludzie w środku wychylili się, spoglądając na Berner i na mnie. Ktoś pomachał ręką, a my odmachnęliśmy. Nie miałem pojęcia, co ci ludzie mogli o nas wiedzieć. Matka wykazała się zapobiegliwością, zniechęcając nas do zasymilowania się z otoczeniem, bo gdyby ktoś – na przykład kolega z klubu szachowego – przyjechał, żeby się na nas gapić, poczułbym się upokorzony. Co gorsza, nie zrobiłem niczego, aby tak się czuć, z wyjątkiem tego, że miałem rodziców.

Przed zapadnięciem zmroku wbrew poleceniu matki, która zabroniła nam wychodzenia z domu, wybraliśmy się na spacer po okolicy. Zrobiliśmy to, bo mogliśmy to zrobić. Nikt nas nie zauważył. Wszystkie domy w sąsiedztwie były pogrążone w ciszy, zamknięte na głucho. W to niedzielne popołudnie okolica wydawała się ładniejsza, niż sądziłem.

Później wróciliśmy i usiedliśmy na stopniach werandy, obserwując, jak niebo staje się purpurowe i wschodzi księżyc. Kilka świateł błysnęło w oknach sąsiadów. Zauważyłem papierowy latawiec, który zaplątał się wysoko w konarach jednego z drzew w parku. Zastanawiałem się, jak go zdjąć. Oczekiwaliśmy, że lada chwila nadjedzie samochód i jacyś nieznajomi powiedzą nam, że mamy z nimi dokądś pójść. Ale nikt się nie zjawił.

Prawie nie rozmawialiśmy o rodzicach. Oboje uznaliśmy, obserwując nietoperze śmigające wokół ciemniejących drzew, że dopuścili się tego, o co ich oskarżono. Wydarzenia wydawały się zbyt dramatyczne, aby nie były prawdziwe. Wyjechali na cały dzień i noc, czego nie robili nigdy wcześniej. Pistolet zniknął. Pojawiły się pieniądze, a Indianie wydzwaniali

i przejeżdżali obok naszego domu. Przez chwilę pragnąłem, żeby tak było – niezależnie od tego, czy to naprawdę powiedziałem. Jakby dzięki obrabowaniu banku nasz ojciec zyskał coś, czego mu brakowało. Trudniej było rozstrzygnąć, co to oznaczało dla matki. Całkiem możliwe, że tamtego wieczoru Berner i ja postradaliśmy część umysłu, dzięki której jesteśmy w pełni świadomi tego, co się z nami dzieje. Bo i dlaczego staliśmy się spokojni, a później poszliśmy na spacer? I dlaczego pomyślałem, że obrabowanie banku i zniszczenie naszego życia sprawiło, że ojciec stał się pełniejszą osobą? Nie miało to żadnego sensu. Żadne z nas nie pomyślało o zadaniu pytania: „D l a c z e g o obrabowali bank?”, „D l a c z e g o ogóle uznali to za dobry pomysł?”. Przyjęliśmy to po prostu za smutną rzeczywistość.

Wróciliśmy do domu, kiedy na dworze zapadła ciemność. W powietrzu zaczęły krążyć komary. Ćmy uderzały o szyby, a wokół słychać było brzęczenie cykad. W niedzielną noc ruch na Central Avenue zamarł niemal całkowicie. Zamknęliśmy drzwi, zaciągnęliśmy zasłony i zgasiliśmy światło na werandzie. Niezależnie od tego, co myślała Berner, byłem przekonany, że ktoś się zjawi i nas zabierze – policja lub ktoś z opieki nad nieletnimi – i że policja przeszuka dom. Zdecydowaliśmy, że nie wpuścimy nikogo do środka, jakbyśmy byli małżeństwem, które tu mieszkało.

Poszedłem do kuchni, wyjąłem pieniądze i wytłumaczyłem Berner, skąd się wzięły. Nie wiedziałem, czy je wczoraj widziała, ale odrzekła, że nie. Stwierdziła, że pewnie ukradli je rodzice, dlatego kasę trzeba ukryć lub spuścić razem z wodą w toalecie. Przeliczyliśmy banknoty na stole w jadalni. Kiedy okazało się, że to pięćset dolarów, Berner zmieniła zdanie i powiedziała, że powinniśmy je podzielić i że każdy powinien zdecydować, co zrobi ze swoją połową. Przecież i tak zostaniemy oskarżeni o ich posiadanie, więc powinniśmy je zatrzymać. Dodała, że rodzice mogli ukryć więcej pieniędzy w domu i że powinniśmy je znaleźć, zanim przyjdzie policja. Poszliśmy do sypialni rodziców i przeszukaliśmy torebkę matki, sprawdziliśmy ich szuflady i zajrzeliśmy pod materace, do szafy z ubraniami, gdzie znajdowały się stare buty i swetry, i lotnicza czapka ojca. Nie znaleźliśmy żadnych zwitków banknotów, choć matka miała trzydzieści dolarów w portmonetce. Znalazłem też to, co nazywała swoją żydowską książeczką, którą wcześniej widziałem jedynie przelotnie, ale nie

miałem pojęcia, co jest w środku. Książeczka była mała, z tekstem w języku, który matka określiła jako hebrajski. Leżała na dnie szuflady jej toaletki razem z naszymi zdjęciami z czasów niemowlęcych, stereoskopem z obrazkiem Tadź Mahal i jej receptą na okulary, ołówkami malarskimi, jej wierszami i dziennikiem, którego wówczas nie odważyliśmy się przeczytać. Na książeczce widniało imię, którego nie potrafiłem powtórzyć, kiedy je wymówiła, ale wiem, że zaczynało się na H. Pomyślałem, że w domu nie było miejsca, w którym można by schować coś tak, aby nikt tego nie znalazł, i że policjanci są specjalistami od wyszukiwania ukrytych przedmiotów. Nasz dom nie miał piwnicy, a ja nie miałem ochoty zaglądać na strych z powodu gorąca oraz węży i szerszeni. Nie było sposobu, abyśmy odgadli, gdzie są pieniądze, więc w końcu zaprzestaliśmy poszukiwań.

W skórzanej kasetce na biżuterię, należącej do naszego ojca – z monogramem w kształcie litery P – która pachniała jak on, znalazłem jego pierścień z ogólniaka, masywny i złoty, z kwadratowym niebieskim kamieniem, na którym wyryto małą literkę D na oznaczenie Demopolis i dwa małe, stojące na tylnych nogach konie, na oznaczenie mustangów. Ojciec powiedział, że demopolis to po grecku „miejsce, w którym mieszkają ludzie” i że je lubi, bo to oznacza, że wszyscy są równi. Wsunąłem pierścień na palec – pasował jedynie na kciuk – i zdecydowałem, że będę go nosić, bo wydawało się mało prawdopodobne, abym kiedykolwiek dostał własny. Znalazłem również złote kapitańskie belki, zegarek na rękę, niebiesko-białą plakietkę z nazwiskiem „Parsons”, metalowe nieśmiertelniki oraz pudełko po papeterii z wojennymi odznaczeniami. W głębi szafy wisiał ciężki mundur sił powietrznych, wyczyszczony i odprasowany, gotowy do włożenia, choć bez baretek odznaczeń i pasków. Założyłem bluzę. Była na mnie za duża i za ciepła, żeby nosić ją w domu. Wkładałem ją kilka razy i zawsze czułem się ważny. Lubiałem to. W kieszeniach nie było pieniędzy. Kiedy ojciec ubierał rano mundur i wychodził z domu, żeby pojechać do bazy, zwykle miał dobry humor. Robił tak jeszcze kilka miesięcy temu, ale te czasy minęły bezpowrotnie.

Berner wyciągnęła ciemne wełniane spodnie matki, które ta wkładała jedynie zimą, i rozłożyła przed lustrem w drzwiach szafy, jakby były jakimś zabawnym przedmiotem. Były na nią za małe, chociaż próbowała je

włożyć. Później znalazła parę butów z czarnego płótna na płaskich obcasach, które matka sprowadzała pocztą. Wcisnęła do środka swoją dużą kościstą stopę i zaczęła chodzić po sypialni, klapiąc i stukając obcasami, i mówiąc, że nasza matka nie miała stylu, co nie było prawdą. Miała własny styl. Musieliśmy wiedzieć, że nasi rodzice nie wrócą. Nie wkładalibyśmy ich ubrań i ich nie naśladowali, gdyby życie mogło znowu wrócić do normy.

Po dwudziestej pierwszej rozległo się pukanie do drzwi. Oczywiście pomyśleliśmy, że to policja, i zgasiliśmy światło w sypialni. Wyszedłem na korytarz na czworakach – w bluzie ojca – a później zakradłem się do kuchni. Nikt nie mógł mnie zobaczyć przez szklane drzwi. Zbliżyłem się do kuchennego okna i wyjrzałem nad parapetem na ciemne frontowe podwórko oświetlone blaskiem księżyca przenikającym przez baldachim liści i konarów, z pustą tablicą do koszykówki po drugiej stronie ulicy, rzucającą cień w świetle latarni. Na ścieżce stał Rudy Patterson – wysoki, o długich ramionach – i gapił się w niebo, paląc papierosa, trzymając papierową torbę i czekając na wpuszczenie do środka. Rozmawiał z kimś, kogo nie mogłem zobaczyć, albo śpiewał pod nosem. Światło na werandzie nie było włączone.

Wiedziałem, że przyszedł po Berner – że wszystko zostało zaplanowane. Że zostanę sam w domu, że będę musiał stawić czoło temu, co się wydarzy, i sobie poradzić. On i Berner byli już w drodze do Salt Lake lub San Francisco. Berner podjęła decyzję. Nie miałem pojęcia, co robić, ale nie zamierzałem go wpuścić do środka. Chciałem, żeby drzwi pozostały zamknięte, aby Berner została ze mną. Nie uważałem, aby w jej przypadku ucieczka była najlepszym rozwiązaniem. Tak samo jak dla mnie.

Siostra podeszła do drzwi prowadzących na korytarz i wyjrzała, jakby było jej obojętne, czy ktoś ją zobaczy.

– Kto to? – zapytała.

– To Rudy – odrzekłem. – Nie może wejść. Mama powiedziała, żeby nikogo nie wpuszczać.

– Zapomniałam o nim – westchnęła i wyszła na korytarz. – Kazałam mu przyjść. Może wejść. Nie bądź głupi. On i ja jesteśmy w sobie zakochani.

Podeszła do frontowych drzwi i wpuściła Rudy'ego Pattersona do naszego domu.

Niezależnie od tego, co poczułem na widok Rudy'ego stojącego na ścieżce oświetlonej blaskiem księżyca, kiedy wszedł do naszego domu, wszystko się zmieniło. Przynajmniej na jakiś czas. Choć Rudy nie należał do chłopaków, których można by posądzić o wywieranie pozytywnego wpływu na innych, gdy stanął w drzwiach, czas się zatrzymał, a wraz z nim zatrzymało się nasze życie. Wszystko na zewnątrz zniknęło, jakby przyszłość i przeszłość dotarły do kresu i na świecie pozostała tylko nasza trójka.

Gdy Rudy wszedł do środka, od razu zaczął hałasować. Chodził po naszym salonie, palił swoje papierosy i lustrował nasze rzeczy. Te same, które ja taksowałem wcześniej tego dnia. Oglądał pianino, obrazki na ścianie, dyplom ojca, walizkę matki i poszewkę z moimi drobiazgami. Wydawał się starszy i większy niż ostatnim razem, kiedy graliśmy w parku w koszykówkę, a Berner siedziała i na nas patrzyła. Miał zaledwie szesnaście lat i potargane, kręcone rude włosy, do tego długie ramiona usiane czerwonymi piegami i wielkie dłonie z włosami na wierzchu oraz małe wąsiki, których Berner nie lubiła. Na bicepsach poniżej T-shirtu widać było żyły i miał podrapane knykcie, jakby czołgał się po skałach lub brał udział w bójce. Był w obcisłym brudnym czarnym kombinezonie z szerokim pasem i mosiężną sprzączką oraz z małą pochwą na nóż z boku. Włożył też grube czarne buty za kostkę, jakie nosili mężczyźni w bazie lub były to buty jego ojca, które wkładał do pracy w rafinerii. W niewielkim stopniu przypominał chłopaka, z którym latem przyjaźniła się moja siostra i którego lubiłem, bo był dla mnie miły. Od ostatniego razu, kiedy go widziałem, stało się z nim coś dziwnego. Ale nie miałem pojęcia co. Nadal go lubiłem, rozumiałem też, dlaczego mojej siostra zdecydowała się uciec razem z nim. Wydawał się groźny i tajemniczy. Pomyślałem, że może byłoby warto się do nich przyłączyć i nie musieć stawiać czoła jutrzejszemu dniowi oraz temu, co najpewniej przyniesie.

Rudy chodził po pokoju, gadając bez przerwy. Nigdy nie był w naszym domu. Może dlatego wydawał się podenerwowany i zachowywał się w przesadny sposób. Poza tym pił. W papierowej torbie miał trzy butelki piwa marki Pabst i celofanowy woreczek z orzeszkami ziemnymi, które jadł, zostawiając łupiny na układance naszego ojca z wodospadem Niagara. W tylnej kieszeni miał pół pinty whisky Evan Williams, którą nazywał

„pete”. Narobił szumu w naszym domu, choć już wcześniej panowała w nim dziwna atmosfera.

Rudy wiedział, że nasi rodzice są w więzieniu i zostaliśmy sami. Berner wszystko mu powiedziała. Oznajmił, że jego ojcu i macosze się nie układa, a poza tym mormoni to wariaci. Nie wierzył w to, co oni. Mormoni wymyślili tajemny język, powiedział, którego używają tylko wtedy, gdy z sobą rozmawiają. Planują zniewolić katolików i żydów, a czarnych odesłać do Afryki lub zlikwidować. Waszyngton w Dystrykcie Kolumbii miał zostać wypalony do ziemi. Gdybyś opuścił Kościół mormonów, wytropiliby cię i sprowadzili w łańcuchach. Wyjął „pete”, pociągnął łyk, cmoknął, a później ku mojemu zdumieniu podał Berner, która wypięła troszeczkę i wręczyła butelkę mnie. Pociągnąłem łyk, przełknąłem i zacisnąłem zęby, żeby się nie zakrztusić. Whisky wywołała ból gardła i paliła mi wewnątrz, spływając do żołądka, gdzie bolała jeszcze bardziej. Berner wzięła kolejny łyk. Robiła to już wcześniej. Nie skrzywiła się, ale otarła wargi palcami, jakby lubiła ten smak. Rudy podał jej papierosa i przypalił. Zaciągnęła się, trzymając papierosa między kciukiem i środkowym palcem. I to wszystko działo się w naszym salonie! Jeszcze dwanaście godzin temu byli tu nasi rodzice. Ich zasady rządziły naszym zachowaniem, determinowały wszystko, co robiliśmy. Teraz odeszli, a wraz z nimi ich reguły. Ta świadomość przyprawiała o zawrót głowy. Zrozumiałem, że nie mam bladego pojęcia o tym, jak będzie wyglądać reszta mojego życia.

Berner usiadła w jednym z foteli w salonie i obserwowała Rudy’ego. Jego zachowanie przypominało przedstawienie. Łaził po pokoju, opowiadając, że rodzice zagrozili mu oddaniem pod opiekę kuratora, co było najgorszą rzeczą, jaka mogła się stać. Oznaczało to wysłanie do dużego sierocińca w Miles City i groźbę adoptowania przez nieznajomych, którzy mogą cię później traktować tak, jakbyś był ich własnością. Ale w tym wieku nikt go nie adoptuje, więc stanie się więźniem skazanym na odpychające towarzystwo prostaków ze wsi, porzuconych lub osieroconych przez rodziców, albo brudnych Indiańców, których rodzice są zbrojeńcami. Coś takiego zniszczy ci życie, nawet jeśli zdołasz przeżyć. Pomyślałem, że właśnie tego się obawiała moja matka i dlatego zabroniła Berner i mnie wychodzić z kimkolwiek oprócz panny Remlinger.

Niebawem salon pachniał jak papierosy Rudy'ego oraz jego whisky i piwo. A niedawno został wysprzątnany! Jutro będziemy musieli sprzątnąć go ponownie. Poszedłem włączyć wentylator na strychu, który zaczął terkotać jak rakietą i rozwiął część dymu. Wszystkie drzwi i okna były zamknięte na głucho, bo wcześniej o to zadbałem. Nadal miałem na sobie wojskową bluzę ojca. Rudy powiedział, że chciałby ją przymierzyć. Zdjąłem, a on naciągnął ją na plecy. Leżała na nim lepiej niż na mnie. Jego zachowanie natychmiast się zmieniło. Przechadzał się po naszym salonie z kolejnym papierosem i puszką piwa, jakby był oficerem, a nasz dom polem bitwy, którą niebawem stoczy.

– Załatwiłem całe mnóstwo komuchów – oświadczył uroczystym tonem, krocząc dumnie po pokoju.

Berner powiedziała, że ona też. Oczywiście Rudy był pijany. Pomyślałem, że wygląda głupio. Nie robił już na mnie takiego wrażenia jak kiedyś, ale nadal go lubiłem. Może i ja byłem trochę wstawiony.

– Macie jakąś muzykę, której moglibyśmy posłuchać? – spytał, podziwiając swoje odbicie w przydymionym lustrze wiszącym nad rozkładaną kanapą, które zastaliśmy w domu, kiedy się wprowadzaliśmy.

– On ma kilka płyt – odrzekła Berner, mając na myśli ojca.

– Chętnie którejś posłucham – powiedział Rudy, opierając ręce na biodrach jak generał Patton, którego zdjęcia oglądałem w World Book.

Berner podeszła do gramofonu, wyjęła z szafki jedną z płyt ojca, odtwarzaną z prędkością siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę, i umieściła na talerzu, co wcześniej robił jedynie ojciec. Niemal natychmiast orkiestra Glenna Millera zaczęła grać jeden z ulubionych kawałków ojca – Little Brown Jug. Ojciec darzył ogromnym podziwem Glenna Millera, bo Glenn zginął, służąc krajowi.

Rudy natychmiast zaczął wirować, tańcząc sam z sobą. Pikował i sunął po podłodze, uśmiechając się i zginając kolana, unosząc i opuszczając ramiona, zataczając kręgi – z piwem w jednej i papierosem w drugiej ręce.

– Musisz ze mną zatańczyć – powiedział do mnie.

Podbiegł tanecznym krokiem, otoczył mnie ramieniem i podniósł ze stołka do pianina, na którym siedziałem, a później poprowadził do tyłu i obrócił, trzepocząc palcami. Odpychał i przyciągał mnie do siebie, deptając mi po palcach wielkimi czarnymi buciorami, uśmiechając się i pachnąc jak whisky i papierosy, obłapiając moje ramię i plecy

poranionymi dłońmi. Nigdy wcześniej nie tańczyłem i nie sądzę, abym wtedy to robił. Pamiętałem, że matka i ojciec tańczyli, choć ostatnio rzadko im się to zdarzało. Oczywiście nie ułatwiała tego różnica wzrostu. Matka lubiła rosyjski balet i nienawidziła prostackich tancbud z prowincji, w których gustował ojciec.

Berner zmarszczyła brwi i obserwowała mnie z papierosem w ustach, kiedy wirowałem z Rudym po pokoju. Nawet mi się to spodobało.

– Przestań tańczyć z kumplem – rzekła w końcu – i zatańcz ze swoją dziewczyną.

– Dostarczyłem Dellowi silnego dreszczu emocji – wysapał Rudy, uśmiechając się dziko bez tchu.

Odwrócił się i mnie puścił, a później zaczął tańczyć z Berner, która potrafiła to robić nie lepiej niż ja. W głowie mi się kręciło i czułem lekkie mdłości. Klapnąłem w fotelu, w którym przed chwilą siedziała Berner. Po piosence Little Brown Jug rozległ się przebój Stardust, którego często słuchał mój ojciec. Berner i Rudy tańczyli sztywno, początkowo na odległość ramienia. Rudy przybrał skupiony wyraz twarzy, jakby był pochłonięty pracą nóg, a Berner wydawała się znudzona. Później przysunęli się do siebie i szybko stało się jasne, że już wcześniej to robili. Twarz Berner ukazała się ponad ramieniem Rudy'ego. Zamknęła oczy. Byli niemal tego samego wzrostu, a podobieństwo między nimi było większe niż między moją siostrą i mną. Oboje mieli piegi i duże kości. Białe tenisówki Berner poruszały się niezgrabnie w ślad za buciorami Rudy'ego. Oboje trzymali papierosy, ale Rudy miał oprócz tego butelkę piwa. Pociągnąłem kolejny łyk evana williamsa z butelki, która stała na podłodze, i ponownie poczułem pieczenie w żołądku, ale później nie było już tak źle, bo whisky natychmiast mnie uspokoiła, chociaż wiedziałem, że nie jestem spokojny. Rozsiadłem się w zielonym fotelu i patrzyłem, jak Berner i Rudy tańczą – on w wojskowej bluzie ojca, ona uwieszona na jego szyi. Miałem przeczucie, że za chwilę ktoś wpadnie frontowymi drzwiami i nakryje nas na paleniu i picu, i robieniu innych rzeczy, których nie powinniśmy robić. Ale było mi wszystko jedno. Byłem szczęśliwy. Byłem szczęśliwy, że Berner jest szczęśliwa. Zawsze trudno było ją zadowolić. Przez chwilę odnosiłem wrażenie, że obserwuję tańczących rodziców i wszystko jest ponownie tak, jak być powinno.

Kiedy odtańczyli kolejny kawałek Glenna Millera, twarz Rudy'ego poczerwieniała. Pocił się w lotniczej bluzie. Nagle przestał tańczyć, ściągnął kurtę i cisnął ją na krzesło. Później zaczął ponownie krążyć po pokoju, mówiąc, że nie zabawi długo. Berner stała na środku salonu i na niego patrzyła. Oznajmił, że ma plan, jak zdobyć trochę forsy tej nocy, ale nie byłoby dobrze, gdyby nam powiedział. (Uznałem, że chodzi o kradzież). Powiedział, że trafiłby do przytułku Deer Lodge, gdyby został złapany, bo ma siedemnaście lat. Ludzie go obserwowali, ale w Kalifornii jest ich tylu, że nikt nie zwróci na niego uwagi tak jak w znienawidzonym Great Falls, które jest „zapadłą dziurą”. Później spytał Berner, czy w domu jest coś do jedzenia. Miał tylko fistaszki, które podwędził w sklepie włoskim, oraz piwo i whisky, które kupił od Indianina za pieniądze z portfela ojca. Berner powiedziała, że w lodówce są mrożone steki – te, które ojciec przyniósł z bazy. Może mu zrobić jednego. Rudy odrzekł, że byłoby wspaniale.

Rudy i ja usiedliśmy w salonie, zapaliwszy górne światło. Zastony zostały zaciągnięte, żeby nikt nas nie zobaczył. Nasza rodzina siedziała tu dwa dni temu. Teraz Rudy palił papierosa, pociągając na zmianę whisky i piwo. Berner wyłożyła zamrożony stek na patelnię, żeby zrobić go na westinghouse'a[11], jak mawiał ojciec. Nigdy nie widziałem, aby Berner coś gotowała, więc nie mogłem uwierzyć, że to potrafi. W każdym razie ja nie miałem o pojęcia o przyrządzaniu posiłków. Rudy sięgnął po książkę z półki naszej matki w salonie – tomik wierszy Arthura Rimbauda. Przeczytał linijkę lub dwie. „W korzennych i podmokłych krainach – w służbie najpotworniejszych eksploatacji przemysłowych i militarnych...”[12] Do dziś pamiętam te słowa. Rudy wydał mi się przyjacielski i tajemniczy. Potargane rude włosy i żylaste ramiona przemawiały na jego korzyść, bo sprawiały wrażenie niezwykłych. Nie sądziłem, aby był bardziej inteligentny ode mnie. Nie umiał grać w szachy, a ja umiałem. Nie miał pojęcia o innych miejscach na ziemi, a ja tak. Nie planował pójść do college'u, tylko uciec z domu. Byłem niemal pewny, że nigdy nie czytał „Time'a”, „Live'a” lub choćby „National Geographic”. Nie oznaczało to, że jest pozbawiony inteligencji – nosił przecież nóż u pasa, miał buty ze stalowymi czubkami, pił i palił, wymyślił sposób zdobycia pieniędzy i wiedział dużo o mormonach, a oprócz tego zabawiał się

z Berner w samochodzie ojca zaparkowanym w pobliżu miejskiego lotniska. Musiałem przyznać, że wszystko to było niebagatelną rzeczą.

Przy stole Rudy bąknął, że chciałby przeżyć zimę w innym klimacie – w Kalifornii, gdzie mieszkała jego prawdziwa matka. Wyznał, że ojciec powiedział mu, iż on, Rudy, nigdy nie powinien był się urodzić, a przynajmniej powinien urodzić się komuś, kto ma znacznie więcej cierpliwości od niego. Wrzucił papierosa do butelki po piwie (w naszym domu nie było popielniczek) i zapalił kolejnego, a później wygłosił prorocstwo, że skończy w pudle. Zdawał się nie pamiętać, iż w tej chwili znajdowali się tam nasi rodzice i że może nam być przykro z powodu jego słów. Powiedział, że przez cały czas pobytu w Great Falls z nikim się nie zaprzyjaźnił. Z tym miastem musi być coś nie tak, skoro nie można tu znaleźć kumpla. Podobnie było w przypadku Berner i mnie, ale wynikało to pewnie z lęku naszej matki przed przystosowaniem się do otoczenia. Później spojrzał na mnie twardym wzrokiem z drugiej strony stołu i nagle sobie przypomniał, w jak paskudnej sytuacji znajdujemy się z siostrą. Oświadczył, że wydaje mu się, że nie zrobiliśmy niczego, aby zasłużyć na taki los. Nigdy bym o tym nie pomyślał. Czułem, że jeśli nasi rodzice napadli na bank – niezależnie od powodów, które nimi kierowały – wina leżała po ich stronie. Sprawa wydawała się prosta. Rudy nie wspomniał o wstąpieniu do marines lub poślubieniu Berner, o czym mówił wcześniej.

Berner przysła z kuchni ze stekiem dla Rudy'ego na białym talerzu, który przed nim postawiła. W poprzek naczynia leżały nóż i widelec. Stek i na tym koniec. Kawał mięsa wyglądał na twardy jak dachówka i zwinął się na brzegach tam, gdzie znajdował się tłuszcz. Nie wyglądał na nadający się do spożycia. Berner oparła dłonie na biodrach, wydeła wargi, zmarszczyła brwi i spojrzała na stek, jakby nie była zadowolona z jego wyglądu.

– Nigdy nie ugotowałam niczego z wyjątkiem zupy – oznajmiła.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciw Rudy'ego, gapiąc się na jego talerz ze skrzywioną miną. W domu panował ukrop, chociaż wentylator na strychu był włączony. Na górnej wardze Berner pojawiły się kropelki potu. Rudy też się pocił. Wokół nas unosiła się woń przypalonego mięsa.

– Wygląda nieźle – stwierdził Rudy z papierosem w ustach.

Pomyślałem, że będzie jednocześnie jadł i palił. Wbił nóż w mięso, ale nie był w stanie odkroić ani kawałka. Patrzyliśmy na niego z zapartym tchem. Rudy odłożył stołowy nóż i wyjął z pochwy własny, o czerwonej rękojeści, a następnie z łatwością odkroił kęs mięsa.

– Idealny – oświadczył i wsunął kawałek do ust, choć zauważyłem, że w środku jest nadal zamrożony.

Zaczął go energicznie przeżuwać, odłożywszy papierosa na krawędź talerza. Kiedy tak żuł, z jego nosa unosił się dym. Pociągnął kolejny łyk piwa, a później odciął kolejny kawałek, ale odwrócił się na krześle, zanim go zjadł, i spojrzał na pokój, w którym tańczyliśmy i piliśmy whisky. Na fotelu leżała wojskowa bluza ojca, a na stoliku karcianym – układanka z wodospadem Niagara zasypiana łupinkami po orzeszkach ziemnych. Były jeszcze poszewka na poduszkę z moimi rzeczami i walizka matki, która stała w salonie od rana, od czasu gdy w naszym domu zjawiała się policja. Odniosłem wrażenie, że Rudy chciał sprawdzić, czy wszystko jest tak samo, jak było.

Wrócił do swojego steku i podzielił kawałek na połowę. Berner i ja obserwowaliśmy go z napięciem. Jego buty zaszurały po podłodze, jakby jedzenie wymagało wysiłku. Zaciągnął się papierosem, uniósł brodę, następnie wypuścił dym ustami i wessał go nosem, a później nadział mały kawałek steku na widelec, włożył do ust i przeżuł, uśmiechając się do siebie.

– Myślę... – przełknął kęs i odchrząknął – myślę, że poradzilibyśmy sobie sami na włóczędze. Tak uważam...

Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Nie miałem pojęcia, jaką włóczęgę ma na myśli.

– Czy twoi rodzice wiedzą, gdzie jesteś? – spytała Berner. – Myślą, że uciekłeś?

– Pewnie tak – odparł Rudy, żując z wysiłkiem. – Gdyby ktoś wyłowił mnie z Missouri, nie przyszliby, żeby rozpoznać ciało.

Wydał się podekscytowany własnymi słowami. Wstał z nożem myśliwskim w jednej ręce i papierosem w drugiej, a następnie trzy lub cztery razy dźgnął powietrze nad stołem. Za każdym razem wydawał głośne westchnienie: „Ach! Ach! Ach!” – jakby uderzał jakąś znienawidzoną osobę. Nie był to szczególnie imponujący widok. Później usiadł ponownie,

odciął kolejny kawałek steku i zjadł, głośno dysząc. Spojrzał na mnie i się uśmiechnął. Miał serdeczny uśmiech.

– Chcesz trochę, Dell? Jest naprawdę dobry.

Przysunął mi talerz, na którym leżały nóż i widelec. Nadal trzymał przed sobą nóż myśliwski, na wypadek gdyby musiał nim kogoś dźgnąć.

– Nie jestem głodny – odpowiedziałem, choć nie była to prawda.

Odwrócił się i nie wycierając ostrza, wsunął nóż do małej pochwy.

– Najadłem się – oznajmił.

Zjadł dwa i pół kawałka. Otarł usta wierzchem dłoni, a później zgasił papierosa podeszwą, oblizał pęta i wsunął go do kieszeni koszuli. Zakaszał, żeby ukryć beknięcie.

– Mógłbym się zdrzemnąć... – powiedział, ponownie zasłaniając usta – ale muszę zdobyć trochę forsy.

– Jak zamierzasz to zrobić? – zapytała Berner, która niewiele się odzywała. Obserwowaliśmy Rudy’ego jak zwierzę w klatce.

– Gdybym wam powiedział, stalibyście się moimi współnikami i wsadziliby was do więzienia.

Wstał i wrócił do salonu, klepiąc się po brzuchu, jakby zjadł obiad złożony z trzech dań zamiast kawałka nierozmrożonego steku. Wsunął do ust nowego papierosa i przypalił papierową zapałką, którą wyciągnął z tej samej kieszeni. Zachowywał się tak, jakby czegoś szukał. Przypominał mojego ojca, kiedy wrócił z podróży w interesach. Miał pewnie dobre serce i cierpiał, bo rodzice go nie kochali. Nie musiał robić nikomu krzywdy, ale sprawiał wrażenie osoby zagubionej, na której nie można polegać. Kiedy się nie uśmiechał, kąciki ust opadały mu na małe zęby, nadając mu wygląd oszusta – chłopaka, którego nie powinniśmy znać, choć nie byliśmy jego współnikami. Mogłem go sobie wyobrazić pod opieką kuratora, uwięzionego w jakimś pustym, targanym wiatrem miejscu otoczonym drutem kolczastym, gdzie spotykają go straszne rzeczy i skąd nie można uciec. Nadal miałem na palcu pierścień ojca z ogólniaka z dwoma złotymi mustangami stojącymi na zadnich nogach. Chciałem, żeby okazał się magiczny, aby sprawił, że mój ojciec nagle się pojawi i przejmie kontrolę na sytuacją – nad tym, co dzieje się z Berner i mną. Bo to on był przyczyną tego wszystkiego.

– Chcesz tu przenocować czy nie? – spytała Berner zuchwale, wypowiadając coś nie do pomyślenia. Nie powinna była tego robić.

– To kiepski pomysł – wtrąciłem.

– Też tak uważam.

Rudy w dalszym ciągu lustrował rzeczy w salonie, puszcżając propozycję Berner mimo uszu. Pewnie szukał czegoś, co mógłby sprzedać w lombardzie obok bazy wojskowej. Bluzę ojca. Płyty Glenna Millera. Metronom, choć nie wiedziałby, co to takiego. Może rozglądał się za pieniędzmi, ale przecież nie miał o nich zielonego pojęcia.

– Ktoś może mnie szukać. Nie byłoby dobrze, gdyby mnie tu znaleźli. – Zmarszczył czoło i spojrzał na mnie, jakbyśmy się zgadzali, a później wetknął kciuki za pas.

– Przecież już tu jesteś – rzuciła Berner z irytacją. – Co za różnica?

– Byłaby, gdyby ktoś tu przyszedł.

Ponownie przestudiował dyplom honorowy ojca i oprawione w ramkę zdjęcie prezydenta Roosevelta, jak wcześniej policjant. Mógł je sobie zabrać, jeśli chciał. Pragnąłem tylko, żeby odszedł, zanim ktoś tu przyjdzie.

– Mój stary nienawidzi Roosevelta – powiedział. Wymówił „ru” jak rym do „zu”. Spojrzał na mnie pytająco, jakby chciał poznać moją opinię. – Uważa, że zrujnował kraj. Jego żona była komunistką, współczuła wszystkim, szczególnie czarnuchom.

Rzadko słyzałem to słowo. Użył go chłopak ze szkoły, którego ojciec był lekarzem. Nasz ojciec nigdy tak nie mówił. Nie darzył nienawiścią innych ludzi, a my byliśmy tacy jak on.

– Zostajesz czy wychodzisz? – powtórzyła Berner ostro. Wstała od stołu i podniosła talerz Rudy’ego.

– Pracuję dziś na nocną zmianę – odparł, udając rozluźnionego.

Pomyślałem, że zdejmie fotografię prezydenta Roosevelta i ją zabierze, ale podszedł do kanapy, podniósł swoją papierową torbę z butelkami piwa i ruszył w kierunku drzwi. Przed naszym domem zatrąbił przejeżdżający samochód. Było po dwudziestej trzeciej. Ktoś krzyknął w ciepłą letnią noc:

– Hej tam! Kryminaliści! Jesteście kryminalistami! Kryminaliści! Hej, wy!

Samochód zatrąbił ponownie, a później przyspieszył, oddalając się z rykiem silnika.

– Nie zobaczymy się więcej, prawda? – spytała Berner gniewnie, ściskając w ręku talerz Rudy’ego. – Nie będę rozpaczać.

– Dobrze wiesz, że wrócę – odparł Rudy. Chciał, żebyśmy go uważali za dorosłego. Już wspomniałem, że rude włosy, papierosy, pokaleczone ręce i knykie przemawiały na jego korzyść. – Ty i ja czmychniemy stąd na dobre. Jestem mężczyzną, na którym można polegać.

– Nie jesteś mężczyzną! – sprzeciwiła się Berner. – Masz szesnaście lat!

– Skończę za tydzień. Nie będziesz musiała długo czekać, żeby się o tym przekonać. – Z jego twarzy zniknął szeroki uśmiech. Stał, trzymając gałkę drzwi, jakby nas przepraszał, a my wydawalibyśmy werdykt w jego sprawie. Bo rzeczywiście tak było. – Musisz być cierpliwa. – Otworzył drzwi.

– Co mi to dało? – rzuciła Berner, odwracając się i idąc do kuchni.

– Nie wpuszczaj nikogo, Dell – ostrzegł Rudy, ignorując moją siostrę. – Przyjdą po was, jeśli będą mogli.

– Moja matka już nam to mówiła – odrzekłem.

Rudy wyjął papierosa z ust, odchrząknął, wpuścił kłęb dymu do pokoju i szybko rozejrzał się wokół, jakby był zaskoczony tym, czego postanowił nie zabierać. Później przekroczył próg i mocno zamknął drzwi. Berner zaczęła już zmywać naczynia w zlewie. Pomyślałem, że nie zobaczę więcej Rudy'ego Pattersona, i byłem rad z tego powodu. W niczym nam nie pomógł. Okazało się, że miałem rację.

Tamtej niedzielnej nocy Berner i ja posprzątailiśmy pokoje, pozmywaliśmy naczynia, wyrzuciliśmy pety, łupinki po fistaszkach i puste butelki po piwie, a potem zmiotliśmy błoto, które zostawiła policja, kiedy u nas była. Usunęliśmy wszystko, co sprawiało, że nasz dom wydawał się obskurny. Schowaliśmy układankę z wodospadem Niagara i stolik karciany, odnieśliśmy globus na moją komodę i powiesiliśmy do szafy wojskową marynarkę ojca. Zanieśliśmy walizki matki i Berner tam, gdzie było ich miejsce, a poszewkę od poduszki do mojego pokoju. Rozmawialiśmy niewiele. Berner doszła do wniosku, że nie zobaczy więcej Rudy'ego i że to szczęście, gdy tacy ludzie znikają z naszego życia – bo tak podpowiadało jej doświadczenie (które było żadne). Nie kochał jej, a ona nie była w nim zakochana, jeśli o to chodzi. Jak powiedziałem, lubiłem Rudy'ego, ale dla Berner było lepiej, żeby nie uciekała i zaczekała tutaj, aż wrócą rodzice. Staralem się podkreślić swój autorytet jedyne go mężczyzny w domu, obejmując kontrolę nad rzeczami, nad którymi nikt nie był w stanie zapanować.

W moim pokoju zrobiło się chłodno, kiedy promienie słońca przesunęły się z dachu. Wyłączyłem wentylator na strychu i myśląc o rodzicach, położyłem się na łóżku w przyćmionym blasku księżyca. Chciałem uspokoić serce, bo przez cały dzień waliło jak oszałałe, jakbym bez przerwy biegał dookoła boiska.

Obraz rodziców ponownie się zmienił. Ich postacie się zwały, ale nie tak, jakby ponownie odnaleźli dawną miłość, lecz stali się jedną osobą. Jeśli miniony dzień był dla mnie szokujący i chaotyczny, dla nich musiał być jeszcze gorszy. Mimo to przeżywanie go w ten sposób – czyli zamazanie ich obrazu w myślach – było źródłem ulgi. Jak powiedziałem, tego dnia mogłem utracić część rozumu. Utrata rozumu nigdy nie polega na tym, jak ją sobie wyobrażamy.

Nie byłem pewny, co zrobimy następnego ranka lub całego następnego dnia. Jeśli ktoś przyjdzie, po prostu zostaniemy w domu. Jeśli zjawi się

Mildred Remlinger, powie nam, co mamy robić. Kiedy leżałem w łóżku, kilka razy zadzwonił telefon. Berner odebrała raz, myśląc, że to Rudy, ale wiem, że nikt się nie odezwał, kiedy podniosła słuchawkę. Więcej tego nie zrobiła.

W pewnym momencie omal nie zasnąłem – moje serce w dalszym ciągu dziwnie łomotało. Później zrozumiałem, że Berner weszła do mojego pokoju i położyła się obok mnie – drugi raz w ciągu tygodnia. Jak powiedziałem, od czasu przeprowadzki do Great Falls nie spaliśmy w jednym łóżku, choć mi tego brakowało. Byłem więc szczęśliwy, gdy wróciła. Nigdy jednak sam nie położyłbym się obok niej. Miała napady gniewu i nabijała się ze mnie. Teraz byłem bardzo szczęśliwy, że nie jestem sam.

Berner płakała i pachniała jak jej łyzy i papierosy. Nie miała na sobie ubrania, co mnie zdumiało. Jej zimna skóra przylgnęła do mojej pidżamy. Płacz sprawił, że wydała się jeszcze zimniejsza. Ujęła moją dłoń i przycisnęła do brzucha.

– Ogrzej mnie – powiedziała. – Nie mogę zasnąć. – Pociągnęła nosem i westchnęła. – Piłam whisky. Po whisky nie można zasnąć.

Przytuliła się do mnie. Pachniała mydłem, maścią Vicks oraz pastą do zębów, a jej włosy zalatywały papierosami. Przytuliła swoją nierówną twarz do mojego karku. Jej policzki były wilgotne i chłodne, a nos zatkany.

– Spałem – skłamałem.

– Skoro tak, to śpij dalej – odparła. – Nie będę ci przeszkadzać.

W nocnej ciszy rozległ się gwizd pociągu. Splotłem ramiona, ale chwyciła moją rękę.

– Ucieknę sama – wyszeptała do mojego ucha. Odchrząknęła, przełknęła ślinę i pociągnęła nosem. – Chyba zwariowałam – uznała zaraz. – Nie obchodzi mnie, co się stanie.

Przez chwilę milczała. Leżałem obok niej, ciężko dysząc. Później pocałowała mnie w szyję – mocno i nieoczekiwanie – poniżej ucha i przysunęła się jeszcze niżej. Nie miałem nic przeciwko jej pocałunkom. Sprawiały, że czułem się bezpieczny. Puściła moją rękę i poruszyła swoją, szorstką i kościstą.

– Chciałam zrobić to z Rudym tej nocy – oświadczyła. – Ale zrobię to z tobą.

– W porządku – odparłem. Też tego chciałem. Było mi wszystko jedno.

– To nie potrwa długo. Już to robiliśmy, w jego samochodzie. Pewnie o tym wiesz.

– O niczym nie wiem – zaprzeczyłem.

– Doskonale. To bez znaczenia. Zapomnisz.

– W porządku – powiedziałem.

– Obiecuję ci – wyszeptała. – To nic wielkiego.

Wystarczy tej opowieści. Nie ma o czym mówić. To, co zrobiliśmy, nie miało większego znaczenia. Może tylko dla nas i tylko przez jakiś czas. Później Berner obudziła się i usiadła na łóżku, spojrzała na mnie i powiedziała (bo ja też nie spałem):

– Ty nie jesteś Rudym.

– Nie – odparłem. – Jestem Dell.

– W takim razie – rzuciła – chciałam tylko powiedzieć: żegnaj.

– Żegnaj. Dokąd się wybierasz?

Uśmiechnęła się do mnie – moja siostra – a później zasnęła ponownie opleciona moimi ramionami, bo nie chciałem, żeby zmarzła lub się przestraszyła.

Czułem się dziwnie po przebudzeniu w domu, w którym nie było rodziców. Chociaż podobna sytuacja niedawno się zdarzyła – kiedy wyjechali, żeby obrabować bank. Tym razem jednak, w poniedziałek, wszystko było inaczej. Rodzice siedzieli w więzieniu – a przynajmniej tak sądziliśmy – i nie mieliśmy zielonego pojęcia, co się stanie z naszą dwójką.

Spałem do ósmej, aż w moim pokoju zrobiło się parno od słońca, i obudziłem się spocony. Wentylator w korytarzu znowu pracował. Nie znalazłem Berner w moim łóżku. Prześcieradło obok mnie było chłodne, jakby wstała jakiś czas temu. Przez ściany słychać było szum samochodów na Central Avenue. Z lotniska na wzgórzu wystartował samolot. Pomyślałem, że siostra wyszła z domu i będę musiał spędzić cały dzień sam. Ale kiedy się ubrałem i zszedłem na parter, była w kuchni. Podgrzała wczorajszy stek i zjadła kawałek, zostawiając mi resztę mięsa na talerzu. Zjadłem je, popijając zimnym mlekiem. Dom nadal zalatywał piwem i papierosami. Pomyślałem, że powinniśmy wyrzucić śmieci, zanim zrobi się jeszcze bardziej gorąco.

Berner włożyła bermudy, których prawie wcale nie nosiła, odsłaniając piegowate, pozbawione włosów nogi i długie stopy. Miała tenisówki i marynarską bluzkę. Wzięła prysznic, zaczesła włosy do tyłu i związała czerwoną gumką. Nie rozmawialiśmy o tym, co się stało ostatniej nocy. Nie wydawała się nieszczęśliwa z tego powodu, podobnie jak ja. Nie byliśmy tacy sami jak kiedyś, co uznałem za dobre.

– Musimy się z nimi zobaczyć – oświadczyła, zmywając talerze w zlewie i spoglądając przez okno na boczne podwórko, siatkę do badmintonu, dom sąsiadów i sznur do bielizny. – Jeśli tego nie zrobimy, dokądś ich zabiorą i już nigdy się nie spotkamy. – Podniosła gazetę mokrymi palcami i rzuciła na stół, przy którym siedziałem. – Ktoś zostawił nam miły prezent za siatką na werandzie.

Było to dzisiejsze wydanie „Tribune” złożone tak, aby było widać zdjęcia naszych rodziców – dwa oddzielne, umieszczone obok siebie –

wykonane w więzieniu. Każde z nich trzymało białą kartkę z napisem „Areszt Okręgu Cascade” i z numerem wydrukowanym poniżej. Włosy ojca były potargane, ale się uśmiechał. Matka zacisnęła usta i opuściła ich kąciaki w sposób, jakiego wcześniej nie widzieliśmy. Miała na nosie okulary, a jej oczy wydawały się umieszczone blisko siebie, szeroko otwarte, jakby oglądała jakąś straszną scenę. Artykuł nosił tytuł Rabusie, którzy napadli na bank w Dakocie Północnej. Ten, kto podrzucił gazetę, przyczepił do niej karteczkę z odręcznym napisem: „Pomyślałem, że chcielibyście to zobaczyć. Na pewno będziecie bardzo dumni”.

Byłem zaskoczony. Kiedy ujrzałem gazetę, ręce mi zdrząły. Przeczytałem, że w piątek rano nasi rodzice napadli na Krajowy Bank Rolny w Creekmore w Dakocie Północnej. Z bronią w ręku. Zabrali dwa i pół tysiąca dolarów. Później uciekli do Great Falls i zostali zatrzymani w wynajętym domu po zachodniej stronie miasta. Nasz ojciec – którego imię umieszczono w cudzysłowie, „Beverly”, podobnie jak imię naszej matki, „Neeva” – został opisany jako mężczyzna pochodzący z Alabamy, który odszedł z sił powietrznych i od jakiegoś czasu był obserwowany przez policję Great Falls w związku z podejrzeniem o udział w przestępczym procederze wspólnie z Indianami z rezerwatu Rocky Boy. O matce napisano, że pochodzi ze stanu Waszyngton i pracuje jako nauczycielka w szkole w Fort Shaw. Nie była wcześniej notowana, ale trwa śledztwo w sprawie jej obywatelstwa. W przyszłym tygodniu mieli zostać poddani procedurze ekstradycji. W artykule nie było żadnej wzmianki o dzieciach.

Berner pozwoliła, żeby woda odpłynęła ze zlewu.

– Kłamcy! Jak oni wszyscy! – powiedziała.

Nie mogłem sobie przypomnieć żadnej sprawy, w której skłamali. Pomyślałem o pistolecie. Przeczytanie o nim w gazecie było potworną niespodzianką – niemal tak złą jak wiedza na jego temat. Słowo „ekstradycja” znałem z telewizji. Oznaczało, że nie wrócą do domu. Przypuszczalnie ukradli plik banknotów, który znalazłem, więc powinniśmy się go pozbyć.

– Jeśli odwiedzimy rodziców w więzieniu, funkcjonariusze nas zatrzymają – stwierdziła Berner rzeczowo.

Podeszła do okna, a następnie wyjrzała na ulicę i park. Ostre poranne światło odbijało się od dachu samochodu zaparkowanego przed kościołem

luteranów. Puszyste chmury przesuwają się ponad drzewami po idealnie błękitnym niebie.

– Mimo to pójdziemy. Nawet jeśli to kłamcy.

– Tak – zgodziłem się. – Też tego chcę.

Nie chciałem trafić w ręce kuratora dla nieletnich, ale nie mieliśmy wyboru. Nie mogliśmy nie pójść, żeby ich zobaczyć.

– Co zrobimy, kiedy się z nimi spotkamy? – Chciałem zapewnić Berner, że pozwolą nam odejść.

– Pójdziemy na lunch do hotelu Rainbow – odparła. – Zaprosimy wszystkich naszych przyjaciół i urządzimy wielkie przyjęcie.

Berner nigdy nie żartowała. Ojciec mówił, że jest jak matka, pozbawiona poczucia humoru. Ale to, co powiedziała o lunchu w hotelu Rainbow i zaproszeniu naszych przyjaciół, skłoniło mnie do wniosku, że być może cały czas opowiadała dowcipy, ale nikt tego nie zauważył. W przypadku Berner nic nie było proste. Odwróciła się od okna, złożyła ręce i spojrzała na mnie – utkwiała wzrok w moim czole jak wtedy, gdy chciała mi powiedzieć, że nie jestem zbyt inteligentny. Później się uśmiechnęła.

– Nie wiem, co zrobimy – rzekła. – Pewnie to, co robią dzieci, których rodzice siedzą w więzieniu: będziemy czekać, aż stanie się coś złego.

– Mam nadzieję, że jednak nic złego się nie stanie – powiedziałem.

– Nie musisz szukać licha – dodała Berner. – Samo cię znajdzie w twojej kryjówce.

Możliwe, że niektórzy ludzie przychodzą na świat i od początku wiedzą o pewnych rzeczach. Berner już wykombinowała, że wszystko, co wydarzyło się wczoraj i w nocy, przydarzyło się nam, nie tylko naszym rodzicom. Powinienem zdawać sobie z tego sprawę. Byłem jednak znacznie młodszy od niej, chociaż mieliśmy tyle samo lat. Mimo upływu czasu nigdy nie poznałem świata tak jak ona, co pod wieloma względami było dobre. Ale pod wieloma innymi wcale nie.

Więzienie znajdowało się na tyłach sądu okręgu Cascade, przy Second Avenue North. Przejechaliśmy obok niego dwa dni wcześniej razem z ojcem. I minąłem go na rowerze, jadąc do sklepu hobbystycznego. Był to duży trzypiętrowy budynek z szerokim trawnikiem i betonowymi schodami, masztem na flagę i liczbą tysiąc dziewięćset trzy wyrytą w kamieniu nad wejściem. Na trawę rzucały cień stare dęby. Na wysokim dachu stał posąg przedstawiający kobietę z wagą. Wiedziałem, że waga ma coś wspólnego ze sprawiedliwością. Mijając sąd, widywałem czasami samochody szeryfa i jego zastępców, wprowadzających i wyprowadzających z budynku jakichś ludzi w kajdankach.

Berner i ja okrążyliśmy kwartał, zanim weszliśmy do środka. Chcieliśmy sprawdzić, czy od ulicy można zobaczyć okna cel, co okazało się niemożliwe. Kiedy znaleźliśmy się w pobrzmiwającym echem holu, ujrzelśmy tablicę z napisem „Więzienie w piwnicy – zakaz palenia”. W holu nie było nikogo oprócz nas. Zeszliśmy pogrążonymi w cieniu schodami do metalowych drzwi, na których widniał wydrukowany czerwonymi literami napis „Więzienie”. W okienku siedział zastępca szeryfa w mundurze i czytał gazetę. Za jego plecami – ku naszemu zaskoczeniu – można było zobaczyć okratowane drzwi i betonowy korytarz z celami po jednej stronie. Naprzeciw cel znajdowała się długa ściana z zakratowanymi okienkami u sufitu, przez które wpadało blade światło, chłodne i przyjemne, choć było oczywiste, że nie jest to miejsce, w jakim człowiek chciałby przebywać. Pewnie właśnie tam znajdowali się nasi rodzice.

Kiedy Berner i ja wyruszyliśmy do więzienia – przez most na Central Avenue, obok dworca kolei Milwaukee Road, a później przez centrum miasta – był pogodny i ciepły ranek, na niebie unosiły się puszyste chmury napływające z zachodu, które robiły się płaskie nad górami, a później podążały dalej na wschód, w stronę równin. W ciepłym porannym wietrze rzeka wydzielala słodki zapach. Ludzie pływali po niej łódkami,

korzystając z ostatnich dni lata. Zabraliśmy z sobą dwie papierowe torby z przyborami toaletowymi, bo uznaliśmy, że nasi rodzice będą ich potrzebować w więzieniu. Dla ojca zapakowałem maszynkę do golenia, kostkę mydła, tubkę pasty do zębów marki Barbasol i butelkę wody kolońskiej Wildroot oraz grzebień. Berner wybrała jakieś rzeczy dla matki.

Kiedy przekraczaliśmy rzekę Missouri, na moście panował poranny poniedziałkowy ruch. Odniosłem wrażenie, że dwukrotnie przejechał obok nas samochód z chłopakiem, którego znałem ze szkoły. Berner i ja nie wyróżnialiśmy się niczym szczególnym – ot, dwójka zwykłych dzieciaków idących przez most z papierowymi torbami. Niewidzialni ludzie. Nie zniósłbym, gdyby ktoś mnie rozpoznał i zorientował się, że idę do więzienia, aby odwiedzić rodziców, którzy zostali tam zamknięci. Wolałbym skoczyć do rzeki i się utopić.

Siedzący za szybą zastępca szeryfa był roslym, uśmiechniętym mężczyzną z czarnymi włosami i starannym przedziałkiem. Odniosłem wrażenie, że ucieszył się na nasz widok. Berner wyjaśniła mu – przez otwór w szybie – kim jesteśmy. Powiedziała, że myślimy, iż nasi rodzice tu są, i chcielibyśmy się z nimi zobaczyć. Jej słowa sprawiły, że zastępca szeryfa uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wstał zza biurka, zbliżył się do metalowych drzwi obok okienka i wyszedł do nas. Pomieszczenie pachniało sosnowym środkiem do dezynfekcji oraz czymś słodkim, jak balonowa guma do żucia. Więzienie bardziej się odczuwało powonieniem niż innymi zmysłami.

Zastępca szeryfa powiedział, że musi sprawdzić nasze „worki” – ojciec też czasami używał tego słowa. Pokazaliśmy mu torby. Roześmiał się na widok tego, co przynieśliśmy, i oznajmił, że nasi rodzice niczego nie potrzebują, a regulamin aresztu zakazuje wręczania prezentów. Przechowa torby, a później zabierzemy je do domu. Był korpulentnym mężczyzną o okrągłej twarzy, którego ciało ściśle wypełniało brązowy mundur. Mocno utykał i przy każdym kroku dotykał ręką nogi nad kolaniem, a ta wydawała ciche metalowe kliknięcia. Pomyślałem, że ma drewnianą protezę, że został ranny podczas wojny. Wiedziałem o tym. Dostał posadę szeryfa pod warunkiem, że zgodzi się być strażnikiem więziennym. Obawiałem się, że możemy spotkać Bishopa i jego kolegę, policjantów, którzy aresztowali naszych rodziców, że nas rozpoznają i będą chcieli porozmawiać, ale nigdzie ich nie zauważyłem, co sprawiło, iż przebywanie w tym miejscu wydało się jeszcze dziwniejsze.

Później strażnik – który się nie przedstawił, ale zabrał nasze torby, kazał wywrócić kieszenie na drugą stronę i jeszcze pokazać, czy nie mamy czegoś w butach – wszedł do swojego pokoiku i pojawił się z dużym metalowym kluczem. Innym, mniejszym, otworzył drzwi z napisem „Blok więzienny” i wprowadził nas do środka. Pomalowana jasnożółtą farbą podłoga za metalowymi drzwiami wydawała się znacznie twardsza i chłodniejsza pod butami niż podłoga w naszym domu. Odnosiłem wrażenie, że moje podeszwy się do niej lepia. Podobnie musiał się czuć każdy, kto tutaj przebywał – miał przekonanie, że więzienie istnieje z zupełnie innego powodu niż dom.

W drodze do więzienia Berner i ja rozmawialiśmy o tym, co powiemy rodzicom. Kiedy jednak znaleźliśmy się w środku, a zastępca szeryfa dużym metalowym kluczem otworzył okratowane drzwi za swoim biurkiem, nie odezwaliśmy się do siebie. Berner odchrząknęła tylko kilka razy i oblizwała wargi. Pomyślałem, że żałuje tej decyzji.

Za pierwszymi okratowanymi drzwiami była ciasna przestrzeń, w której mieściła się jedynie nasza trójka, a dalej kolejne zakratowane drzwi, co sprawiało, że z więzienia nie można było uciec. W środku pachniało sosnowym środkiem do dezynfekcji, a także jedzeniem i być może moczem, jak w szkolnej szatni dla chłopców. Dźwięk otwieranych drzwi odbił się echem od betonowych ścian. Zwinięty czarny wąż leżał pod kranem sterczącym w długiej ścianie, a niepomalowana podłoga była wilgotna i lśniąca.

Ujrzeliśmy przed sobą pusty rząd cel. Męski głos – nienależący do naszego ojca – rozmawiał z kimś przez telefon. W okratowanych oknach pod sufitem widać było gąszcz nóg grających w koszykówkę. Ktoś – jakiś mężczyzna – zarechotał, a piłka odbiła się od metalowej tablicy jak w parku, gdzie na początku lata ćwiczyłem z Rudym. Oprócz przyćmionej zielonej poświaty z zewnątrz jedyne światło pochodziło z żarówek umieszczonych w betonowym suficie i osłoniętych siatką, których blask ledwie sięgał podłogi. Czułem się tak, jakbyśmy byli w jakiejś mrocznej pieczarze. Pomyślałem, że to emocjonujące, chociaż podniecenie osłabił fakt, iż w środku znajdowali się nasi rodzice.

– Mamy dziś niewielu gości – powiedział utykający zastępca szeryfa, przepuszczając nas przez drugie okratowane drzwi i zamykając je za sobą.

Nie nosił broni. – Wymeldowali się w poniedziałek wczesnym rankiem. Mają dość naszej gościnności, ale zwykle wracają tu ponownie.

Był w wesołym nastroju. Na jego biurku stało małe czerwone radio tranzystorowe, z którego dolatywał cichy głos Elvisa Presleya.

– Otaczamy tu szczególną opieką waszą mamę – dodał. – Wasz tata to prawdziwy twardziel.

Zaczął nas prowadzić zacienionym betonowym korytarzem wypełnionym zieloną poświatą.

– Nie spodziewamy się, że wasi rodzice zabawią u nas długo – ciągnął, wlokąc za sobą klikającą nogę. W lewym uchu miał aparat słuchowy. – W środę lub czwartek przewiozą ich do Dakoty Północnej.

Nagle znaleźliśmy się przed zajętą celą, w której na pogrążonej w cieniu metalowej pryczy siedział nasz ojciec. Z gołego materaca na betonową posadzkę wypadała biała wsypa. Coś skłoniło mnie do pomyślenia, że to ojciec go rozciął.

– Nie powinniście byli tu przychodzić – powiedział głośno, jakby wiedział, że do niego idziemy. Wstał z pryczy. Nie widziałem ojca dobrze, szczególnie jego twarzy, chociaż zauważyłem, że oblizwał wargi, jakby były suche. Oczy miał otwarte szerzej niż zwykle. Berner szła dalej, jakby go nie zauważyła. Kiedy usłyszała jego głos, powiedziała zmieszana:

– Och! Przepraszam.

Przystanąła i zobaczyła go tak jak ja.

– Zbyt ufałem rządowi. To mój największy problem – prychnął ojciec, jakby wcześniej komuś o tym powiedział.

Nie przysunął się bliżej krat. Nie wiedziałem, co to oznacza. Wyglądał na zmartwionego i zmęczonego. Sprawiał też wrażenie chudsze, chociaż spędził tu zaledwie dzień. Poczerwieniałe oczy rozglądały się niespokojnie jak wtedy, gdy szukał kogoś, kogo mógłby zadowolić. Mówił z silniejszym południowym akcentem niż kiedyś.

– Nigdy nie zamierzałem nikogo zabić, jeśli to kogoś obchodzi – ciągnął. – Chociaż mogłem to zrobić.

Spojrzał na nas, a później usiadł na pryczy i wetknął pięści między kolana, jakby chciał okazać cierpliwość. Był ubrany tak samo jak w dniu, kiedy przyszła policja – w dżinsy i białą koszulę. Zabrali mu pasek z wężowej skórki i buty. Był w brudnych skarpetkach. Miał potargane włosy i zarośniętą twarz, a jego cera przybrała szarą barwę – dokładnie taką

jak na zdjęciu w gazecie. Ogarnął mnie nieoczekiwany spokój. Czułem się przy nim bezpiecznie tam, gdzie był. Chciałem go zapytać o pieniądze. Skąd pochodziły.

– Przynieśliśmy przybory toaletowe, ale nie pozwolili, żebyśmy ci je dali – zaczęła Berner dziwnym głosem, wyższym niż zwykle. Trzymała ręce za plecami. Nie chciała dotknąć krat.

– Mam tu toaletę.

Ojciec spojrział w bok na ustrojstwo pozbawione deski, które obrzydliwie wyglądało i cuchnęło. Potarł jeden nadgarstek, a później drugi i ponownie oblizał wargi, jakby nie wiedział, co robi. Przesunął dłońmi po policzkach, nacisnął powieki i je otworzył.

– Kiedy was wypuszczą? – zapytałem. Pomyślałem o tym, że Berner nazwała ich kłamcami. Przypomniałem też sobie o kilku innych rzeczach, o Dakocie Północnej i jego niebieskim kombinezonie lotniczym.

– Co powiedziałaś, synku? – Posłał mi słaby uśmiech.

– Kiedy pozwolą wam wrócić do domu? – powtórzyłem głośno.

– Kiedyś pewnie to zrobią – odparł. Nie wydawał się tym zainteresowany. Przesunął dłonią po włosach jak wtedy, gdy w sobotę jechaliśmy samochodem. – Nie martw się o to. Niebawem pójdziecie do szkoły?

– Tak – odpowiedziałem. Ojciec zachowywał się tak, jakby sądził, że jest w więzieniu dłużej, niż naprawdę był. Wcześniej wiedział, kiedy zaczyna się szkoła.

– Gracie w szachy z Berner? – Jeszcze się do niej nie odezwał.

– Gdzie jest mama? – przerwała mu nagle Berner. Sądziłyśmy, że będą przebywać w jednej celi. A później dodała: – Obrabowaliście bank?

– Umieścili ją gdzieś tutaj. – Ojciec wskazał kciukiem ścianę celi, jakby była tam nasza matka. – Nie odzywa się do mnie – powiedział. – Na mam do niej żalu. – Pokręcił głową. – Sam nie trzymam się najlepiej. Mam nadzieję, że nie uznacie tego za normalne. – Nie odpowiedział na pytanie Berner o napad na bank. Chciałem, żeby to zrobił, bo przypomniałem sobie, że kilka lat temu powiedział: „Mógłbym to zrobić”.

– Nie – odrzekła siostra.

Uśmiechnął się do nas w przyćmionym świetle. Może sądzicie, że gdybyście odwiedzili swojego ojca w więzieniu, mielibyście mu wiele do powiedzenia. Berner planowała zapytać, czy czegoś potrzebują lub czy

powinniśmy do kogoś zadzwonić. Może do kogoś z jego rodziny? Do prawnika? Do szkoły, w której pracowała matka? Nie doświadczałem jednak prawie żadnych uczuć, które spodziewałem się przeżywać. W więzieniu wszystko zamierało – dokładnie tak miało być.

– Powinniście się teraz pożegnać i zajrzeć do waszej matki – podpowiedział zastępca szeryfa, stając za naszymi plecami.

Jego radio nadal grało na końcu rzędu cel. Wiedział, że nie mamy nic więcej do powiedzenia i nie chcemy wprawiać nikogo w zakłopotanie. Ktoś zaczął mówić na dworze, za zakratowanymi oknami pod sufitem. Piłka do koszykówki odbiła się raz i zatrzymała.

– Tam! Taaam gdzieś wysoko jest satelita – rozległ się męski głos.

– Kto to powiedział? – spytał inny.

Piłka odbiła się ponownie.

– Więzienie to nie miejsce dla was, dzieci – powtórzył ojciec, podnosząc głowę i patrząc na nas zmartwionym wzrokiem. Na jego czole ukazała się żyła.

– To prawda – przytaknął zastępca szeryfa. – Ale cię kochają.

– Wiem. Też je kocham – powiedział, jakby nas tu nie było.

– Chcesz, żebyśmy do kogoś zadzwonili? – spytała Berner.

Ojciec pokręcił głową.

– Poczekajmy z tym – powiedział. – Rozmawiałem z prawnikiem. Wkrótce przewiozą nas do Dakoty Północnej.

Berner nic nie powiedziała, a ja też się nie odezwałem. Nadal miałem na kciuku jego pierścień ze szkoły średniej, ale schowałem rękę za siebie, żebyśmy nie rozmawiali na ten temat.

– One o tym wiedzą, Bev – dodał zastępca szeryfa.

Powinienem był zapytać wtedy o pieniądze, ale zupełnie o nich zapomniałem. Zadzwonił telefon. Ostry dźwięk odbił się echem od rzędu cel. Berner i ja staliśmy tak kilka sekund. Nie wiedzieliśmy, co jeszcze moglibyśmy powiedzieć. Należało tutaj po prostu przyjść.

Zastępca szeryfa położył rękę na moim ramieniu, a drugą na ramieniu Berner i pchnął nas naprzód. Wiedział, jak to wszystko działa.

– Do widzenia – rzuciła Berner.

– Wszystko będzie dobrze – odrzekł ojciec, nie podnosząc się z pryczy.

– Do widzenia – powtórzyłem po siostrze.

– Wszystko będzie dobrze, Dell. Synu... – dodał mój ojciec, ale nie odpowiedział na pytanie o bank.

Cela matki znajdowała się na drugim końcu rzędu nieoświetlonych klitek i nie różniła niczym od celi ojca, z wyjątkiem białego metalowego znaku, który zwisał z krat na cienkim łańcuszku. Dużymi czerwonymi literami wypisano na nim słowo „Samobójstwo”. Po drodze zastępca szeryfa wyjaśnił nam, że nie mają specjalnego bloku dla dziewcząt. Okrąg mógł zapewnić im jedynie odrobinę prywatności.

Matka siedziała na pryczy podobnej do tej ojca, ale jej materac był cały. Obok niej spoczywała inna kobieta, z którą mama cicho rozmawiała. W celi znajdowała się druga prycza. Pomieszczenie nie było brudne i cuchnące jak cela ojca.

– Twoje dzieci przyszły w odwiedziny, Neeva – powiedział zastępca szeryfa pogodnym głosem. Pchnął nas do przodu i się wycofał, opierając się plecami o ścianę, żebyśmy mogli z nią być prawie sami. – Śmiało – zachęcił. – Ucieszy się na wasz widok.

– Och! Kochani! – zawołała matka, natychmiast wstając z pryczy.

Trzymała w ręku okulary, więc włożyła je, podchodząc do krat. Sprawiała wrażenie małej. Jej skóra była pokryta plamami, a czubek nosa poczerwieniał. Miała białe tenisówki bez sznurówek i luźną ciemnozieloną sukienkę zapinaną z przodu na białe guziki. Bez paska. Wyglądała tak, jakby pod spodem nie miała piersi. Wytrzeszczone oczy spoglądały badawczo zza okularów. Uśmiechnęła się do nas, jakbyśmy byli jej obcy. Mój wzrok w naturalny sposób podążył ku tabliczce z napisem „Samobójstwo”. Pomyślałem, że tabliczka musi mieć coś wspólnego z drugą kobietą.

– Skąd wiedzieliście, gdzie przyjść? – zapytała. – Kazałam wam czekać na Mildred.

– Nie znaleźliśmy innego miejsca, więc przyszliśmy tutaj – odrzekła Berner. – Widzieliśmy tatę, ale niewiele nam powiedział.

Matka wyciągnęła ręce przez kraty. Nie przywitałem się, ale chwyciłem jej prawą dłoń, a Berner lewą. Ścisnęła je. Wydawała się bardziej zmęczona

niż podczas rozmowy ze mną przedostatniej nocy w moim pokoju. Zauważyłem, że zdjęła obrączkę, co mnie zdumiało. Druga kobieta miała na sobie identyczną zieloną sukienkę i tenisówki. Była wysoka i korpulentna. Dostrzegłem to, chociaż siedziała. Wstała z pryczy, położyła się na drugiej i odwróciła twarzą do ściany. Kiedy się ułożyła, jęknęła.

– Przynieśliśmy przybory toaletowe, ale nie pozwolili nam ich wnieść – podjęła Berner. – Myśleliśmy, że umieszczą cię razem z tatą.

– Rozumiem – powiedziała matka, trzymając nasze ręce, patrząc nam w oczy i się uśmiechając. Nie mówiła głośno. – Czuję się tutaj bardzo lekka. To dziwne, prawda? – Jej głos brzmiał naturalnie, jakby za chwilę mogła stąd wyjść, przejść się swobodnie i z nami porozmawiać.

– Tak, mamó – odparłem.

Ujrzenie jej w celi bardziej szokowało niż ujrzenie ojca, który w więzieniu wydawał się na swoim miejscu. Mimo to czułem się wykluczony i wcale nie było mi lekko. Zastanawiałem się, gdzie jest jej obrączka, ale nie chciałem o to pytać.

– Kiedy stąd wyjdiesz? – usłyszałem zdecydowany ton Berner. Płakała, chociaż starała się tego nie robić.

– Przeżyłam małe załamanie – westchnęła matka. – Przed chwilą rozmawiałam o tym z moją przyjaciółką. – Spojrzała na dużą kobietę odwróconą twarzą do ściany i westchnęła głęboko, opierając jedną stopę na drugiej. – Próbowałam zadzwonić do was – powiedziała. – Miałam prawo do jednego telefonu. Nie odebraliście. Pomyślałam, że gdzieś wyszliście. – Mrugnęła za soczewkami okularów.

Poczułem od niej słodki zapach. Zawsze tak pachniała. W powietrzu czuć było także woń jej wykrochmalonej czystej więziennej sukienki.

– Co się z nami stanie? – spytała Berner ze łzami ciekącymi po policzkach. Zacisnęła wargi, a jej broda zaczęła dygotać.

Ulicą obok więzienia przejeżdżały samochody. Dobiegł nas dźwięk klaksonu. Zewnętrzny świat znajdował się tak blisko miejsca, w którym byliśmy. Nie chciałem, żeby Berner płakała. Płacz w niczym nie pomagał.

– Dokąd pójdziemy? – powiedziałem i pomyślałem o pannie Remlinger, która miała przyjść i nas zabrać.

– Zobaczycie. To niespodzianka. Będzie wspaniale. – Matka uśmiechnęła się przez kraty i skinęła głową. – Ocaliłam was oboje. Mildred po was przyjedzie. Jestem zaskoczona, że jeszcze tego nie zrobiła.

Młody mężczyzna w brązowym garniturze i z teczką w ręku przeszedł przez podwójne drzwi, prowadzony przez drugiego zastępcę szeryfa. Ruszył w naszą stronę, ale zatrzymał się przed celą ojca. Na zewnątrz wysunęła się jedna z rąk ojca, którą tamten chwycił i uściśnął. Ojciec się roześmiał i powiedział:

– Dobrze! Dobrze!

Widząc, jak nieznajomy rozmawia z ojcem, zdałem sobie sprawę, że nasi rodzice mają teraz z sobą mniej wspólnego, i pomyślałem, że dlatego matka czuje się taka lekka. Jakby coś ją opuściło. Jakiś ciężar.

– Nie sądzicie, że powinniście wrócić do domu, dzieci? – zapytała przez kraty matka.

Do jej celi wpadł promień światła późnego poranka. Puściła nasze ręce i się uśmiechnęła. Nie byliśmy z nią nawet dwóch minut. Nie powiedzieliśmy niczego, co mogłoby cokolwiek zmienić. Sam nie wiem, czego oczekiwaliśmy.

– Nie kochasz nas? – zapytała Berner.

Spojrzałem na nią i wziąłem ją za rękę. Siostra sprawiała wrażenie zrozpaczonej.

– Oczywiście, że was kocham – odrzekł matka. – Nie martwcie się o to; tego możecie być pewni.

Wyciągnęła małą dłoń i dotknęła twarzy siostry, ale ta nie przysunęła się bliżej. Dłoń matki na chwilę zawisła w powietrzu.

– Chcesz popełnić samobójstwo? – spytałem.

Nigdy wcześniej nie użyłem tego słowa w rozmowie z moją matką, ale czerwony znak wisiał tuż przede mną. Nie mogłem go zignorować.

– Oczywiście, że nie. – Pokręciła głową. Spojrzała w górę, w okna za naszymi plecami. Skłamała. Zrobiła to w Zakładzie Karnym Stanu Dakota Północna i pewnie wspomniała o swoim zamiarze tamtego dnia w więzieniu okręgu Cascade. – Przecież powiedziałam wam, że przeżyłam małe załamanie nerwowe – dodała.

Człowiek w brązowym garniturze, który rozmawiał z moim ojcem, powiedział:

– W porządku. Trzymaj się. Pójdę zamienić słówko z twoją lepszą połową.

Usłyszałem kliknięcie zamka jego teczki. Pokazywał jakieś papiery i podawał je ojcu do podpisania.

- Jest na mnie wściekła. – Głos ojca poniósł się echem wzdłuż rzędu cel.
- Nie jestem zaskoczony. Wiele kobiet zareagowałoby podobnie.

Młody mężczyzna zachichotał i zaczął iść w naszą stronę, głośno stukając obcasami o betonową posadzkę. Zastępca szeryfa stanął za naszymi plecami i powiedział:

– To prawnik waszych rodziców, dzieci. Lepiej pozwólm, żeby zamienił słówko z mamą na osobności. Chodźcie, zobaczycie ich później. Wypuszczę was.

Berner spojrzała na zbliżającego się mężczyznę i natychmiast przestała płakać. Matka uśmiechnęła się do nas obojga. Miała łzy w oczach. Widziałem je.

– Postanowiłam coś napisać... – Skinęła głową w moją stronę, jakby ten pomysł miał mi się spodobać.

– Co? – zapytałem.

Zastępca szeryfa położył dłoń na moim ramieniu, odciągając mnie od celi.

– Jeszcze nie jestem pewna, co z tego wyjdzie – odparła. – Pewnie tragifarsa. Będiesz musiał mi powiedzieć, co o tym sądzisz. Jesteś bystrym chłopcem.

– Napadliście na bank? – spytała Berner.

Matka nie potwierdziła. Zastępca szeryfa odsunął siostrę i mnie od jej celi, żeby mogła porozmawiać z prawnikiem. Niebawem mieli ją przenieść. Już nigdy jej nie ujrzałem, chociaż wtedy nie miałem pojęcia, że tak będzie. Powiedziałbym więcej, gdybym wiedział. Było mi przykro, że Berner zapytała o bank, bo wprowadziła tym matkę w wyraźne zakłopotanie.

Wychodząc z bloku, minęliśmy celę ojca. Leżał na sfatygowanej pryczy w skarpetkach na nogach, trzymając jakieś kartki i czytając. Musieliśmy się znaleźć w jego polu widzenia, bo się odwrócił, lekko podniósł i spojrzał na nas.

– Wszystko w porządku? – zapytał, kiwając kartkami w naszą stronę. – Widzieliście się z matką?

Zastępca szeryfa pchnął nas naprzód.

– Tak, tato – przytaknąłem, gdy mijaliśmy drzwi jego celi.

– To dobrze. Wiem, że sprawiło jej to radość – dodał. – Czy powiedzieliście, że ją kochacie?

Nie zrobiłem tego, chociaż powinienem.

– Tak – skłamała Berner.

– To dobrze – odparł.

Tylko tyle zdążyliśmy powiedzieć. Wiele razy myślałem, że było to lepsze od powiedzenia prawdy, bo jego też więcej nie ujrzeliśmy.

Dobłą miarą naszej znikomoŝci oraz charakteru Great Falls było to, że nikt nie przyszedł, żeby się z nami zobaczyć, zabrać nas i przewieźć w jakieś bezpieczne miejsce. Nie zjawił się kurator do spraw nieletnich, nie przyjechała policja. Źadni opiekunowie nie podjęli się opieki nad nami. Nikt nie przeszukał domu, kiedy w nim byliśmy. A kiedy nikt tego nie robi – nie zwraca na ciebie uwagi – wówczas ludzie i sprawy szybko idą w zapomnienie i odpływają. Właŝnie tak stało się z nami. Mój ojciec mylił się w wielu sprawach, ale nie pomylił się co do Great Falls. Ludzie w Great Falls nie chcieli nas znać. Byli gotowi pozwolić nam zniknąć, jeśli tego zechcemy.

W tamten poniedziałek Berner i ja wróciliśmy do domu inną drogą. Czuliśmy się teraz inaczej – może każde z nas było bardziej wolne na swój sposób. Ruszyliśmy w kierunku Central Avenue, mijając po drodze pocztę, a później skręcając wzdłuż rzeki, obok barów i lombardów, alejki do gry w kręgle, sklepu sieci Rexall i sklepu hobbystycznego, w którym kupiłem szachy oraz czasopisma pszczelarskie. Na ruchliwej ulicy panował zgiełk, ale nie miałem wrażenia, że ktoś na nas patrzy. Szkoła się jeszcze nie zaczęła. Nie byliśmy tu nie na miejscu – chłopiec i jego siostra wracający mostem nad rzeką słodką i cuchnącą w późny sierpniowy ranek. Nikt by nie pomyślał, że to dzieci, których rodzice trafili do więzienia. Źe trzeba się nimi zaopiekować i je chronić.

Stanęliśmy przy barierce pośrodku mostu i patrzyliśmy na pelikany szybujące wysoko nad wodą. Łabędzie przysiadły na drugim brzegu, gdzie na powierzchni kołysała się warstwa żółtego pyłu. Patrzyliśmy na dwoje ludzi płynących łodzią w dół rzeki, w kierunku komina huty i mostu na Fifteenth Street. Berner włożyła okulary przeciwsłoneczne i milczała. Nie wspomnieliśmy ani słowem o matce i ojcu. Kiedy tak staliśmy przy balustradzie, z wodami Missouri przesuwającymi się w dole, włosy Berner unosiły się i opadały w powiewach suchego wiatru. Chwyliła dłońmi stalową barierę, jakby most był pociągim i mógł odjechać. Wydawała się

młoda, za młoda, żeby uciec i rozpocząć samodzielne życie. Mieliśmy po piętnaście lat, ale nasz wiek nie miał znaczenia. Stanęliśmy wobec faktów, z którymi wiek nie ma nic wspólnego.

Ciekawe, co potrafi skłonić człowieka do myślenia o prawdzie, bo na co dzień zdarza się to tak rzadko... Wtedy na jakiś czas przestałem rozmyślać o prawdzie. Bo nie sposób było odnaleźć jej delikatne okruchy wśród faktów. Jeśli istniał jakiś ukryty plan, życie nie rzucało na niego światła. Znacznie łatwiej było skupić się na szachach – bo podczas gry ujawniał się prawdziwy charakter człowieka, a figurami poruszała siła wyższa. Pomyślałem przez chwilę, że my, Berner i ja, jesteśmy jak małe, wyraźnie zdefiniowane figury przesuwane przez siły potężniejsze od nas. W końcu jednak uznałem, że tak nie jest. Że niezależnie od tego, czy się nam to podoba, czy nie, jesteśmy odpowiedzialni wyłącznie przed sobą, a nie przed jakimś większym planem. Jeśli nasz charakter jest z góry określony i niezmienny, będzie musiał się ujawnić.

Z czasem nabrałem nawyku myślenia, że każda sytuacja, w jakiej uczestniczą istoty ludzkie, może się całkowicie odwrócić. Że wszystkie rzeczy, o których prawdziwości nas zapewniamy, mogą okazać się inne. Każdy filar wiary, na jakim wspiera się świat, może runąć (choć nie musi to nastąpić). Większość zjawisk nie pozostaje długo w jednym stanie. Ale ta wiedza nie sprawiła, że stałem się cyniczny. Cynizm oznacza przekonanie, że dobro nie jest możliwe, a ja wiem na pewno, iż dobro istnieje. Po prostu nie przyjmuję niczego za pewnik i staram się być przygotowany na zmiany, które wkrótce nadejdą.

Tamtego dnia zacząłem rozumieć, jak można poświęcić jedną rzecz w zamian za drugą – tego też uczą nas szachy, czynią to niemal natychmiast. Wydarzenia, które odmieniły życie naszych rodziców, nagle zeszły na dalszy plan, ustępując miejsca tym, które poniosły mnie naprzód w tamten sierpniowy dzień. Do tego momentu moja opowieść skupiała się na odkryciu tego niełatwego faktu oraz ukazaniu naszych rodziców w wyraźniejszym świetle. Myślę, że właśnie dlatego poczułem się wolny, kiedy tak stałem z Berner na moście tamtego dnia, a serce waliło mi z podniecenia. Ta prawda mogła być równie ulotna jak powód, dla którego pozwoliłem, aby pierścień mojego ojca wpadł do rzeki, a później prawie o nim nie myślałem.

Najlepiej będzie, jeśli pozostawię nas na moście tamtego dnia, bo niedługo później stałem na werandzie naszego domu i patrzyłem, jak Berner odchodzi ciemną ulicą, znikając z mojego życia i zmierzając tam, dokąd zaprowadzi ją własne. Gdybym skoncentrował się na odejściu siostry, podkreśliłbym element straty, ale nie myślę tak o tamtym dniu. Kiedy go wspominam, myślę o rozwoju i przyszłości, choć nie zawsze łatwo je dostrzec, gdy człowiek znajduje się tak blisko jednego i drugiego.

CZEŚĆ DRUGA

Mildred Remlinger zajechała przed nasz dom swoim poobijanym brązowym fordem, a potem ruszyła pieszo chodnikiem, wspięła się po stopniach i zapukała do frontowych drzwi, za którymi czekałem samotnie. Bez ceregieli weszła do środka i powiedziała, żebym spakował torbę, której oczywiście nie posiadałem. Miałem jedynie poszewkę od poduszki, w której znajdował się mój skromny dobytek. Spytała, gdzie jest moja siostra, Berner. Powiedziałem jej, że wczoraj odeszła. Mildred rozejrzała się po salonie i oznajmiła, że nie chciałyby być w skórze Berner niezależnie od tego, gdzie się znajduje, bo ona nie ma czasu, żeby jej szukać. Wkrótce zjawią się tu ludzie z opieki nad nieletnimi reprezentujący stan Montana, żeby nas zabrać do przytułku. „To cud – powiedziała – że jeszcze nie przyjechali”.

Mildred posadziła mnie w fotelu obok kierowcy i wywiozła z Great Falls późnym rankiem 30 sierpnia 1960 roku, kierując się na północ szosą osiemdziesiąt siedem – tam, gdzie niedawno nasz ojciec zabrał Berner i mnie, gdzie oglądaliśmy domy Indian i ciągnik z naczepą, w której zabijano krowy, i gdzie pierwszy raz miałem przeczucie, że on i matka pakują się w tarapaty. Great Falls zniknęło na tle krajobrazu za naszymi plecami, a Mildred niewiele się odzywała. Musiała czuć, że doskonale wiem, co się ze mną dzieje, lub że nie można tego wytłumaczyć, dlatego powinniśmy siedzieć cicho.

Na północny zachód od Highwood nie było niczego oprócz rozgrzanej żółtej pszenicy, koników polnych i węży pełzających przez szosę oraz wysokiego błękitnego nieba z górami Bear's Paw mającymi w oddali, sinymi i zamglonymi, z jasnym śniegiem zalegającym na szczytach. Havre w Montanie leżało jeszcze dalej na północy. Tego lata nasz ojciec dostarczył tam nowego dodge'a i wrócił do Great Falls koleją Intermountain. Opisał to miejsce jako „wymarłe, leżące pośrodku wielkiej dziury”. „Istne zadupie”, gdzie natknął się na flagowy okręt polskiej marynarki, co było kolejnym z jego kiepskich żartów. Nie miałem pojęcia,

w jakim celu Mildred mnie tam wiezie. Na mapie Havre był wysuniętym najdalej na północ punktem w Montanie, ba, w całym kraju. Tuż ponad nim znajdowała się Kanada. Nadal zakładałem, że dorośli robią różne dziwne rzeczy, które później okazują się słuszne, bo zjawia się ktoś, żeby się o nas zatroszczyć. Ale był to idiotyczny pomysł i powinienem był o tym wiedzieć po tym wszystkim, co spotkało moją rodzinę. Miałem jednak przeczucie, że godzę się na to, co nasza matka zaplanowała dla mnie i Berner. Zważywszy na mój charakter, nie potrzebowałem niczego więcej.

W Havre, które leżało u stóp długiego wzgórza, z placami kolei Great Northern, wąską brunatną rzeką i skalną krawędzią biegnącą na północ od szosy, Mildred spojrzała na mnie i oświadczyła, że jestem zdecydowanie za chudy i kanciasty, że mogę mieć anemię i że powinienem coś zjeść, bo do końca dnia może się nie pojawić kolejna okazja na posiłek. Mildred była korpulentną władczą kobietą o kwadratowych biodrach, krótkich ciemnych kręconych włosach, niespokojnych czarnych oczkach, ustach umalowanych czerwoną szminką, mięsistym karku i twarzy pokrytej pudrem maskującym, choć niezbyt skutecznie, brzydką cerę. Samochód był przesiąknięty zapachem dymu papierosowego i gumy do żucia, a popielniczkę wypełniały papierki po gumie, zapalki i pety ze śladami szminki, chociaż podczas naszej podróży nie paliła. Matka powiedziała, że Mildred miała problemy małżeńskie i obecnie mieszka sama. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, dlaczego jakiś facet chciałby się z nią ożenić (choć czasami myślałem tak samo o naszej matce). Była olbrzymia, w najmniejszym stopniu ładna, a do tego się panoszyła. Teraz miała na sobie zieloną jedwabną sukienkę w małe czerwone trójkąciki, duże czerwone korale i grube pończochy oraz ciężkie czarne buty i sprawiała wrażenie, że nie czuje się wygodnie w tym stroju. W oknie za jej plecami wisiał druciany wieszak z białym uniformem i czepkiem pielęgniarki, które zdawały się lepiej do niej pasować.

W Havre skręciliśmy w First Street – główną arterię miasta – i zatrzymaliśmy się przed barem kanapkowym, który znajdował się naprzeciw banku i dworca Great Northern. Usiedliśmy przy ladzie. Zjadłem kanapkę z mięsem i miękką maślaną bułkę z korniszonem i lemoniadą. Od razu poczułem się lepiej. Kiedy jadłem, Mildred paliła i mi się przyglądała. Odchrząkując co chwilę, zaczęła opowiadać o swoim dzieciństwie spędzonym na farmie buraków cukrowych w Michigan, rodzicach, którzy

byli adwentystami dnia siódmego, i bracie, który wyjechał na studia do Harvardu (o czym już wówczas słyszałem), i o tym, jak uciekła z chłopakiem z sił powietrznych i „wylądowała” w Montanie. Chłopaka w końcu przeniesiono, a ona została w Great Falls, wyuczyła się na pielęgniarkę i poślubiła innego gościa, zanim zorientowała się, że nie jest dla niej stworzony. Wtedy też wróciła do swojego panieńskiego nazwiska, Remlinger. Powiedziała, że ma czterdzieści trzy lata, choć dałbym jej sześćdziesiąt lub więcej. W pewnym momencie odwróciła się na taborecie, uszczypnęła mnie w ucho i spytała, czy mam gorączkę albo jakiś zjazd po czymś. Nic mi nie dolegało, chociaż byłem zaniepokojony, bo nie wiedziałem, dokąd zmierzamy. Powiedziała, że po lunchu powinienem się zdrzemnąć na tylnej kanapie auta. Wywnioskowałem, że tego dnia nie zatrzymamy się w Havre, ale pojedziemy dalej.

Z Havre udaliśmy się na północ przez drewniany wiadukt rozpięty nad torami i błotnistą rzekę, a później wąską krętą drogą wspinającą się na skalne urwisko tak wysoko, że mogłem spojrzeć wstecz na miasto leżące w dole, ponure i wyblakłe w piekących promieniach słońca. Jeszcze nigdy nie byłem tak daleko na północy, która teraz wydawała się jałowa, odizolowana od świata i coraz bardziej niedostępna. Nie wiedziałem, gdzie jest Berner, ale gdziekolwiek była, musiało tam być lepiej niż tutaj. Nie potrafiłem się jednak zmusić do zapytania o cokolwiek, bo spodziewałem się, że odpowiedź może mi się nie spodobać, a później nie będę wiedział, co zrobić z moim życiem. Że będę musiał stawić czoło temu, że popełniłem błąd, zostając w domu i nie uciekając razem z siostrą (choć wcale mi tego nie zaproponowała).

Obszar rozciągający się na północ od Havre był taki sam jak ten, przez który jechaliśmy wcześniej: monotonne suche pola uprawne – morze złocistej pszenicy topniejącej pod rozpalonym błękitnym niebem, które przecinały jedynie druty elektryczne. Z rzadka mijaliśmy domy i zabudowania, w których mieszkali ludzie lub do których doprowadzono elektryczność. W migoczącej oddali widać było niskie zielone wzgórza. Wydawało się nieprawdopodobne, że tam jedziemy, bo wykalkulowałem sobie, że te wzgórza muszą się znajdować w Kanadzie, miejscu, które – jak pamiętam – rozciągało się nad naszym krajem na globusie stojącym w moim pokoju.

Mildred mówiła niewiele, skoncentrowana na prowadzeniu. Zapaliła papierosa, ale jej nie zasmakował, więc wyrzuciła go przez małe okienko. Na niebie, zataczając szerokie kręgi, wolno szybowały myszołowy. Pomyślałem, że gdyby człowiek zabłądził w tej dziczy, można by go odnaleźć jedynie dzięki ptakom, ale na pewno nie zdołałby przeżyć.

W pewnej chwili Mildred zaczerpnęła głęboko powietrza i wypuściła je, jakby podjęła decyzję w sprawie, o której do tej pory milczała. Oblizła wargi, uszczypnęła się w nos i ponownie odchrząknęła, żeby oczyścić wyschnięte gardło.

– Powinam ci powiedzieć o kilku rzeczach, Dell – zaczęła z dłońmi na kierownicy i stopami w samych pończochach na pedałach, bo zdjęła buty i odsunęła je na bok. Utkwiła wzrok w drodze. Od wyjazdu z Havre minęliśmy jedynie dwa samochody. Na horyzoncie nie było widać miejsca, do którego zmierzaliśmy. – Zabieram cię do Saskatchewan. Pomieszkaś jakiś czas z moim bratem Arthurem – powiedziała opryskliwie, jakby nie robiła tego z przyjemnością. – Nie musisz tam zostać na wieki, to tymczasowe rozwiązanie. Przykro mi... – Ponownie oblizła wargi. – Twoja matka tego chce. Nie powinieś się o to winić. Jestem rozczarowana, że twoja siostra uciekła. We dwójkę stanowilibyście zgrany zespół.

Spojrzała na mnie i słabo się uśmiechnęła. Jej zęby nie były idealnie proste, a krótkie włosy falowały w gorącym powietrzu wpadającym przez okno. Odniosłem wrażenie, jakby Berner siedziała obok mnie, a Mildred zwracała się do nas obojga.

– Nie chcę – oświadczyłem z całkowitym przekonaniem.

Brat Mildred?! Kanada?! Nie musiałem się na to godzić. Miałem chyba coś do powiedzenia w tej sprawie.

Mildred prowadziła jakiś czas w milczeniu, pozwalając, aby szosa przesuwała się pod nami. Może się nad czymś zastanawiała, choć pewnie po prostu czekała. W końcu odrzekła:

– Cóż, jeśli cię odwiozę, aresztują mnie za porwanie i wsadzą do więzienia, a wtedy jedyna istota ludzka, która może ci pomóc, nie jest uznawana za przestępcę i jest gotowa wyświadczyć ostatnią przysługę twojej biednej matce, stanie się niedostępna. Władze cię szukają, chcą cię umieścić w przytułku. Pomyśl o tym. Próbuję cię ocalić. Ocaliłabym także twoją siostrę, gdyby była mądrzejsza.

Moje gardło już wcześniej zaczęło się zaciskać, a teraz skurcz sięgnął klatki piersiowej i wywołał ból. Nagle nie mogłem złapać powietrza, chociaż jechaliśmy sto kilometrów na godzinę, a woń gorącej pszenicy gwizdała w szybach. Poczulem pragnienie otworzenia barkiem drzwi i rzucenia się na pędzący asfalt, ale nie było to w moim stylu. Nie miałem skłonności do gwałtownych zachowań i nie robiłem niczego nieoczekiwanie. Czarna droga zaczęła przypominać moje życie wymykające się z rąk z potworną prędkością, a nie było nikogo, kto zdołałby ją zatrzymać. Pomyślałem, że gdybym zebrał się w sobie i zaczął iść, mógłbym dotrzeć do domu, może nawet odszukać siostrę, dokądkolwiek się udała. Moje palce odnalazły i złapały klamkę, gotowe ją nacisnąć. Berner powiedziała, że nienawidzi rodziców, bo nas okłamali. Ja wyrzekłem się nienawiści, okazałem się wierny i zostałem – zrobiłem to, co chciała matka. I pewnie dlatego spotykały mnie teraz złe rzeczy. Nie potrafiłem sprecyzować, czego oczekiwałem. Matka nie zdradziła mi swego planu. Wyjaśniła wszystko Mildred, nie mnie. Ale czegoś takiego się nie spodziewałem. Czułem się tak, jakbym został oszukany i porzucony, jakby nie doceniono mojej wierności i jakbym musiał przebywać teraz z tą dziwną kobietą w miejscu, gdzie mogłyby mnie znaleźć jedynie myszołowy, gdybym przejął kontrolę nad własnym życiem. Młody wiek był najgorszą rzeczą. Wiedziałem już, dlaczego Berner marzyła o tym, żeby być starsza i uciec z domu. Aby się uratować!

Brak powietrza w płucach bolał tak jak wypicie lodowatej wody i doznanie paraliżu, ale płacz stanowiłby oznakę porażki. Mildred pomyślałaby, że jestem żaloszny. Mocno zacisnąłem powieki, chwyciłem ciepłą klamkę drzwi, a później ją puściłem, pozwalając, żeby gorące powietrze pokonało moje łzy. Nie sądzę, aby był to efekt słów Mildred – wyznania, że wiezie mnie do Kanady, aby zostawić pod opieką nieznanym – ale raczej łączny wynik tego, co wydarzyło się w moim życiu w ciągu ostatniego tygodnia, nad czym bez powodzenia próbowałem zapanować. Mildred chciała jedynie pomóc mnie i mojej matce. To, co czułem po usłyszeniu tych informacji, bliskie było smutkowi.

– Nie obwiniam ciebie – powiedziała w końcu Mildred. Musiała zauważyć, że płaczę. – Choć to żadna pociecha wiedzieć, że to nie twoja wina. Mógłbyś poczuć się lepiej, gdyby była.

Przesunęła grube uda na fotelu, uniosła brodę i pochyliła się do przodu, jakby zobaczyła coś na drodze przed nami. Przestałem płakać.

– Niebawem przekroczymy granicę Kanady – wyjaśniła, ponownie poprawiając się w fotelu. – Powiem im, że jesteś moim siostrzeńcem. Że jedziemy do Medicine Hat, aby kupić ci ubrania do szkoły. Ale jeśli chcesz im wykrzyczeć, że cię porwałam, to będzie najlepsza chwila. – Zacisnęła wargi. – Chociaż, jeśli to możliwe, wolelibyśmy nie trafić do więzienia.

Przed nami, tam gdzie szosa wydawała się jedynie majaczącą w oddali kreską, na horyzoncie błękitnego bezchmurnego nieba pojawiły się dwa ciemne wybrzuszenia. Nie zauważyłbym ich, gdybym nie spojrział tam, gdzie Mildred. Właśnie tam była Kanada. Niczym się nie wyróżniała. To samo niebo, to samo słońce, to samo powietrze. Ale była inna. Jak to możliwe, że tam jechałem?

Mildred, nie przestając kierować, zaczęła grzebać w swojej wielkiej, czerwonej, lakierowanej skórzanej torebce, która leżała na podłodze. Ciemne wybrzuszenia szybko przeobraziły się w dwa niskie kwadratowe budynki stojące obok siebie na wzniesieniu na prerii. Obok każdego budynku dostrzegłem samochód. Musiała tamtędy przebiegać granica. Nie miałem pojęcia, co się wydarzy. Może mnie zatrzymają, skują kajdankami i wyślą do przytułku lub do Great Falls, gdzie nie czekało mnie nic oprócz pustego domu?

– O czym myślisz? – spytała Mildred.

Spojrzałem na błękitne niebo nad Kanadą. Nikt nigdy nie zapytał mnie wprost, o czym myślę. W naszej rodzinie nie liczyło się, o czym Berner i ja myślimy, chociaż zawsze o czymś myśleliśmy. „Co mam do stracenia?”, spytałem milcząco, bo właśnie nad tym się zastanawiałem, ale chyba tylko dlatego, że słyszałem, jak inni ludzie wypowiadają te słowa (w klubie szachowym). Byłem zaskoczony, bo pytanie wydało mi się trafne. Zamiast niego jednak powiedziałem:

– Skąd wiesz, co naprawdę się z tobą dzieje? – Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Och! Nigdy tego nie wiadomo!

Mildred miała prawo jazdy w dłoni, którą trzymała kierownicę. Zbliżyliśmy się do budynków, które okazały się dwoma drewnianymi domkami ustawionymi naprzeciw siebie. Obok nich droga się rozdzielała.

– Na świecie są dwa rodzaje ludzi – podjęła Mildred. – No, jest ich pewnie znacznie więcej, ale są przynajmniej dwa: jedni uważają, że nigdy się tego nie dowiesz. Drudzy, że zawsze wiesz. Ja należę do tych pierwszych. Tak jest bezpieczniej.

Zwalisty mężczyzna w niebieskim mundurze wyszedł z drewnianego domku po prawej stronie – tego, do którego się zbliżaliśmy. Poprawił policyjny kapelusz, skinął głową i dał znak, abyśmy podjechali. Na maszcie obok domku powiewała czerwona flaga, której nie rozpoznałem, ale miała małą flagę Wielkiej Brytanii w lewym górnym rogu. Na znaku umieszczonym poniżej masztu widniał napis: „Wjeżdżasz na terytorium Kanady. Przejście Willow Creek, Saskatchewan”. Po lewej stał amerykański domek, nad którym łopotała flaga z paskami i gwiazdami, choć podejrzewałem, że nie było na niej pięćdziesiątej pierwszej gwiazdy symbolizującej Hawaje. Granica oznaczała jednocześnie dwie rzeczy: wyjazd i wjazd. Ja wyjeżdżałem, co wydawało się znaczące.

Z amerykańskiego domku wyszedł mniejszy mężczyzna bez kapelusza, w innym niebieskim mundurze, z opaską na ramieniu i pistoletem w kaburze. Patrzył, jak Mildred podjeżdża w jego stronę. Może o mnie wiedział i szykował się, aby aresztować nas oboje... Patrzyłem przed siebie i siedziałem bez ruchu. Z jakiegoś powodu pragnąłem, żebyśmy przejechali na drugą stronę, ale jednocześnie czułem podekscytowanie i niepokój, że mogą nam w tym przeszkodzić. Musiałem należeć do pierwszej z dwóch grup, o których wspomniała Mildred. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj i nie patrzyłbym, jak wszystko, co znam, znika za moimi plecami. Nie sądziłem, że będę się tak czuć. Obudziłem się sam w moim łóżku i patrzyłem, jak siostra znika z mojego życia być może na zawsze. Moi rodzice przebywali w więzieniu. „Co masz do stracenia?” było przypuszczalnie właściwym pytaniem. Odpowiedź na nie brzmiała: „Bardzo niewiele”.

Autostrada po stronie Kanady prowadziła przez kolejne bezkresne pola, których nie potrafiłem odróżnić od pól po naszej stronie granicy, choć więcej tu było domów i stodół, wiatraków i innych śladów ludzkiej obecności. Mildred wyjaśniła, że zielone wzgórza, które ujrzałem na północ od Havre, to Cypress Hills. Przypominają Alpy, powiedziała, wyrastające samotnie na prerii, co jest anomalią na równinach, które kiedyś pokrywał lodowiec. Cypress Hills stanowiły odizolowany świat z własną fauną. Ludzie, którzy tu mieszkali, nie lubili obcych. Mimo to miasteczka mijane przez nas po drodze – Govenlock, Consul, Ravenscrag, Robsart – wyglądały jak typowe miasta w Montanie. Pomyślałem jednak, że gdyby człowiek wychował się w miejscu o tak niezwyklej nazwie jak Saskatchewan (którą wcześniej rzadko słyszałem), zawsze czułby się dziwnie. Nic w jego późniejszym życiu nie mogłoby być całkiem normalne, jak w moim przypadku, gdy mieszkałem w Great Falls.

Jadąc na północ w promieniach zachodzącego słońca, Mildred recytowała mi to, co wiedziała o Kanadzie i co jej zdaniem może mi się przydać. Kanada należała do Anglii i składała się z prowincji, a nie ze stanów jak Unia, choć praktycznie niczego to nie zmieniało poza tym, że Kanada miała jedynie dziesięć prowincji. Ludzie mówili tu głównie po angielsku, w inny sposób, którego nie potrafi opisać, ale na pewno wyczuję różnicę i zdołam się nauczyć. Powiedziała, że mają własny Dzień Dziękczynienia, ale ich święto nie przypada w czwartek i nie jest obchodzone w listopadzie. Kanada walczyła u boku Ameryki podczas tej samej wojny, w której brał udział mój ojciec. Przyłączyła się do niej przed nami, bo jest podległa królowej Anglii, a kanadyjskie siły powietrzne są równie dobre jak nasze. Mildred powiedziała, że Kanada nie jest takim starym krajem jak Ameryka, że ciągle czuć tu atmosferę z czasów pionierów. Że nikt nie traktował jej jak kraju, że w pewnych rejonach ludzie mówili po francusku, a stolica była na wschodzie i nikt jej nie szanował tak, jak my szanujemy Waszyngton w Dystrykcie Kolumbii. Wspomniała, że

kanadyjskim pieniądzem jest dolar, ale ich banknoty mają inny kolor od naszych i z jakichś tajemniczych powodów czasami są więcej warte od amerykańskich. Powiedziała też, że Kanada ma własnych Indian i traktuje ich lepiej niż my swoich. Że jest większa od Ameryki, choć niemal całkowicie pusta i niegościnna, gdyż przez większą część roku skuta lodem.

Jechałem, zastanawiając się nad tym, co mówiła i jak to wszystko może się ziścić za sprawą minięcia dwóch drewnianych domków nie wiadomo gdzie. Czułem się teraz nieco lepiej niż kilka godzin temu, kiedy nie wiedziałem, dokąd zmierzamy. Jakby kryzys minął lub został zażegnany. Żałowałem jedynie, że Berner nie została i nie ogląda tego wszystkiego razem ze mną.

Mijały kolejne pola pszenicy. Popołudniowe powietrze było słodkie i chłodne. W oddali dostrzegłem obłoki kurzu tam, gdzie farmerzy pracowali na kombajnach. Ciężarówki przewożące ziarno stały na zrytej ziemi, czekając, by zabrać pszenicę. Wokół nich w oddali poruszały się małe postacie. Kiedy minęliśmy wzgórze, krajobraz utracił wszelkie punkty orientacyjne. Nie było żadnych gór ani rzek – jak Highwood, Bear's Paw lub Missouri – po których mógłbyś ustalić, gdzie się znajdujesz. Drzew było jeszcze mniej niż przedtem. W oddali spostrzegłem pojedynczy niski biały dom z wiatrochronem, stodołą i traktorem, a po nim kolejny. Oczywiście mogłeś określić położenie po słońcu lub po tym, o czym wiedziałeś tylko ty: samotnej drodze, ogrodzeniu, stałym kierunku, z którego wieje wiatr. Wraz ze wzgórzami zniknęło poczucie wyraźnego centralnego punktu, do którego można odnieść inne. Człowiek mógłby się tu łatwo zgubić lub zwariować, bo środek był jednocześnie wszędzie i nigdzie.

Mildred opowiedziała mi to i owo o swoim bracie Arthurze Remlingerze. Był Amerykaninem, miał trzydzieści osiem lat i od dłuższego czasu mieszkał w Kanadzie z własnego wyboru. Jako jedyny w rodzinie ukończył college i miał nadzieję zostać prawnikiem, ale z różnych powodów przerwał studia i zniechęcił się do Ameryki. Mieszkał na północ stąd, w miasteczku Fort Royal w prowincji Saskatchewan, gdzie prowadził hotel. Powiedziała, że przez przypadek zamieszkali naprzeciw siebie po dwóch stronach granicy. Widywała go rzadko i nie przywiązywała do tego większej wagi. Ale go kochała. Dodała, że brat zgodził się mną zaopiekować dlatego, że jestem Amerykaninem, nie mam dokąd pójść

i chciał jej wyświadczyć przysługę. Znajdzie mi coś do roboty. Nie ma dzieci, więc będzie się mną zajmować – zajmowałby się mną i Berner, gdyby ta nie uciekła. To nietuzinkowy człowiek, o czym będę miał okazję się przekonać. Ogładzony i inteligentny. Nauczę się przy nim wielu rzeczy i na pewno go polubię.

Mildred zapaliła kolejnego papierosa i wydmuchnęła dym przez nozdrza tak, by wyleciał z samochodu. Prowadziła godzinami, żeby wywieźć mnie z miejsca, w którym oboje byliśmy zagrożeni. Próbowałem sobie wyobrazić to, do którego jechaliśmy, Fort Royal w Saskatchewan. Nazwa brzmiała obco i groźnie, bo miała cudzoziemskie pochodzenie. Do głowy jednak przychodziła mi tylko preria podobna do tej, która nas otaczała, gdzie nie było dla mnie miejsca.

– Jak długo będę mieszkać u twojego brata? – spytałem tylko po to, żeby coś powiedzieć.

Mildred wyprostowała się i ścisnęła kierownicę w obu dłoniach.

– Nie wiem – odrzekła. – Nie marnuj czasu na ponure rozmyślenia. – Trzymała papierosa w jednym kąciku ust, a drugim mówiła. – Zanim umrzesz, w twoim życiu wydarzy się wiele ekscytujących rzeczy. Skup się na teraźniejszości. Nie przekreślaj niczego i zawsze znajdź sobie coś ciekawego, żeby nie stracić rozumu. To ważne.

Jej rada nie różniła się znacznie od tego, co nasz ojciec powiedział Berner i mnie, gdy nie pojechaliśmy na targi stanowe. Zrozumiałem, że dorośli myśleli w ten sposób, choć stanowiło to przeciwieństwo tego, w jaki nasza matka postrzegała świat. Zawsze przekreślała wiele rzeczy i traktowała świat po swojemu. Mildred wydeła policzki i powachlowała się ręką, co oznaczało, że zrobiło się jej gorąco w zielonej jedwabnej sukience.

– Czy to ma dla ciebie sens? – Pochyliła się i delikatnie trąciła mnie pięścią w kolano, jakby ktoś zapukał do drzwi. – Tak czy nie? Puk, puk?

– Chyba tak – odparłem, chociaż to, czy się z nią zgadzam, wydawało się bez znaczenia. Był to ostatni raz, kiedy Mildred i ja rozmawialiśmy o mojej przyszłości.

Charley Quarters wgramolił się na błotnik swojej ciężarówki, trzymając w ręce puszkę, w której, jak się później okazało, było piwo i kostki lodu. Czekał na nas w mieście Maple Creek w Saskatchewan, aby przewieźć Berner i mnie ostatni kawałek drogi do miejsca, w którym mieszkał brat Mildred. Mildred powiedziała, że Charley jest człowiekiem do wszystkiego, pracuje dla jej brata, ale ona go nie lubi. Facet był Metysem, odrażającym typem. Po przekazaniu mnie w jego ręce Mildred miała wrócić do Great Falls przez Lethbridge w stanie Alberta, aby nie zwrócić na siebie uwagi na przejściu, które wcześniej przekroczyliśmy. Amerykański policjant pilnujący granicy obserwował nas, gdy przejeżdżaliśmy. Na pewno zdziwiłby się, że wraca sama.

Charley Quarters postawił puszkę na masce ciężarówki, podszedł do okna Mildred i pochylił się, opierając łokcie na szybie. Gapił się na mnie, wykrzywiając szerokie wargi w nieprzyjaznym uśmiechu. Ja spoglądałem na pierzaste chmury na zachodzie, bo niebo za nimi stało się purpurowe i jasnozielone, u góry przechodząc w błękit, i starałem się nie okazywać zaniepokojenia. Mildred odsunęła go dłonią. Charley Quarters dziwnie pachniał – słodko-kwaśno. Był niskiego wzrostu, o wydatnej klatce piersiowej i ubitym muskularnym ciele. Jego głowa wydawała się nieproporcjonalnie duża w stosunku do tułowia. Na sobie miał brudne brązowe spodnie z grubego płótna, czarne gumowe buty, w które wetknął nogawki, i postrzępioną, fioletową flanelową koszulę z dziurami na łokciach i rozdartą kieszenią. Czarne przetłuszczone włosy spiął z tyłu damską spinką ze strasami. Jego wyglądu dopełniały zmrużone błękitne oczy i ogromne uszy. Kiedy wykrzywił twarz w nieprzyjaznym uśmiechu, odsłaniał komplet dużych pożółkłych zębów. Wyglądał jak karzeł, którego widziałem na obrazku w mojej World Book (w tomie, który zostawiłem w Great Falls), bo nogi miał wykrzywione na zewnątrz i sprawiał wrażenie zadziornego i twardego, jak bywają karły. Był jednak wyższy.

Wsunął rękę do samochodu Mildred, poczęstował się tareytonem z pudełka leżącego na desce rozdzielczej i wetknął go za ucho.

– Sądziłem, że w dostawie są dwie sztuki.

Łypnął na mnie ponownie, jakby wiedział, że nie spodoba mi się to określenie. Odzywał się urywanymi zdaniami.

– Nie – odparła Mildred. – Po prostu zawieź go na miejsce i połóż do łóżka.

Dwaj potężnie zbudowani mężczyźni w nieprzemakalnych kombinezonach i słomkowych kapeluszach pojawili się w drzwiach hotelu po drugiej stronie ulicy, na którym widniał znak „Commercial”. O zachodzie słońca miasteczko stało się opustoszałe, ulica pogrążyła się w cieniu, ale ich było doskonale widać dzięki przyćmionemu światłu padającemu ze środka. Stanęli na chodniku i chwilę rozmawiali, obserwując nas kątem oka. Jeden zarechotał, nie wiedzieć czemu, a później się rozstali, zmierzając do dwóch furgonetek, które wolno odjechały w przeciwną stronę. Oni też byli Kanadyjczykami.

– Coś z nim nie tak? – zapytał z uśmiechem Charley, jakby mój widok go rozbawił.

– Chłopak jest w porządku. – Mildred pochyliła się ku mnie, ścisnęła moje ramię i spojrzała w oczy. – Jest taki jak wszyscy, prawda?

– To sierota? – spytał Charley Quarters, spoglądając do tyłu na biały fartuch Mildred wiszący w oknie samochodu.

Patrzyłem przed siebie na cztery wysokie elewatory zbożowe, których kontury majaczyły na tle nieba. Jaskółki wykonywały gwałtowne zwroty na tle zachodzącego słońca. Pojedyncza zapalona żarówka dyndała na zakończonej lejkiem rurze wystającej z najbliższego silosa, oświetlając kopiec ziarna usypany na ziemi. Wcześniej nie skojarzyłem tego słowa z sierocińcem.

Mildred spojrzała w szyderczo wykrzywioną twarz Charleya.

– Ma matkę i ojca, nie tak jak ty. Kochają go. Więcej nie musisz wiedzieć.

– Kochają na śmierć – odparł Charley, prostując się i wycofując w kierunku ulicy.

Spojrzał w niebo, błękitne na zachodzie i czarne na wschodzie. Pierzaste chmury przyblakły, a w górze pojawiły się gwiazdy. Miałem odjechać z tym człowiekiem. Pomyślałem, że na pewno zostanie porzucony i zapomniany.

– Powiem ci, co zrobię – podjęła Mildred, zwracając się do mnie. – Powierzę cię opiece mojego brata, wypytam się o twoich rodziców i napiszę do ciebie list. Pamiętaj, co ci powiedziałam o tym, żeby niczego nie przekreślać. Poradzisz sobie. Obiecuję.

Nieoczekiwanie pochyliła się ku mnie, przyciągnęła moją twarz do swoich ust, chwyciła za szyję i pocałowała w zuchwę. Uścisnęła mnie mocno, kiedy nie odpowiedziałem pocałunkiem. Pachniała papierosami i owocowym zapachem torebki, słodkim makijażem i miętową gumą, którą żuła. Jej galaretowate ramiona przywarły do mojego ucha.

– Masz czas – wyszeptała. – Z tego, że zrujnowali swoje życie, nie wynika, że ty musisz zmarnować własne. To doświadczenie będzie dla ciebie nowym początkiem. Twoja siostra już otworzyła nowy rozdział.

– Nie chciałem żadnego nowego początku – wyjąkałem, czując, że gardło ponownie zaciska mi się z gniewu na to, co powiedziała.

– Nie zawsze mamy wybór. – Pochyliła się i nacisnęła klamkę, a później otworzyła drzwi i wypchnęła mnie na zewnątrz. – Idź. Nie przeciągajmy tego, co nieuniknione. Potraktuj to jak przygodę. Nie obawiaj się. Wszystko będzie dobrze. Zapewniam cię.

Czułem, że nie powinienem mówić nic więcej, nawet jeślibym wiedział, co powiedzieć. Poszewka poduszki z moim dobytkiem, który miałem zabrać do Seattle, leżała za przednim fotelem. Sięgnąłem po nią, wygramoliłem się na chodnik i zamknąłem drzwiczki. Mildred zrobiła to, co uzgodniły z moją matką, ale ja pragnąłem wrócić do auta i pojechać razem z nią tam, skąd przybyliśmy. Tylko że nie było to częścią planu mojej matki, kiedy jeszcze mogła ustawić moje życie. Zrobiłem to, co mi kazano – przez wzgląd na matkę w takim samym stopniu, co z każdego innego powodu. Do końca pozostałem dobrym synem.

– Zatem słyszałeś o mnie wszystko! – powiedział Charley Quarters.

Wlekliśmy się w ciemności jego starym furgonem marki International Harvester. W świetle zakurzonych reflektorów widziałem jedynie wysypaną jasnym żwirem drogę i gęstą pszenicę sięgającą poboczy. Bez słońca zrobiło się zimno. Nocne powietrze było słodkie jak chleb. Wyprzedziliśmy szkolny autobus podskakujący na wybojach. Snop naszych reflektorów przesunął się po pustych fotelach. Mimo ciemności gdzieś w oddali na polu trwały żniwa. Widać było przyćmione światła ciężarówek i tumany kurzu. Gwiazdy wypełniły całe niebo.

Nie odrzekłem, że nic o nim nie słyszałem.

– To bez znaczenia – ciągnął.

Na fotelu między nami, przy jego nodze, stała strzelba z zamkiem dźwigniowym, skierowana lufą do dołu. Furgonetka cuchnęła piwem i benzyną, i tym samym mocnym, słodko-kwaśnym szczypiącym odorem, którego nie potrafiłem rozpoznać. Na tylnej skrzyni leżała tusza jakiegoś zwierzęcia.

– Powiem ci, jak będzie – kontynuował Charley. – Będę za ciebie odpowiedzialny, ale sam będziesz musiał o siebie zadbać, chyba że będę cię potrzebować. Będziesz codziennie pracować i spać w domku gościnnym obok mojej przyczepy. Jadać będziesz w hotelu. Hotel jest własnością A.R. Będziesz sam tam chodzić i wracać. Czasami podwiozę cię moim rollsem. I nie będziesz mi sprawiać problemów.

Charley odsunął swój fotel tak daleko, że stopami z ledwością sięgał pedałów. Trzymał kierownicę jedną ręką i palił papierosa Mildred, którego wcześniej wetknął za ucho. Palił i pił drugie piwo. Na skraju drogi stał jeleń, zanurzony po kłęb w pszenicy, z zielonymi ślepiami lśniącymi w świetle reflektorów. Charley gwałtownie skręcił w jego stronę, ale zwierzę wycofało się bez trudu.

– Cholera! – krzyknął. – Mogłem go dostać! – Łypnął na mnie, jakby próbował mnie wystraszyć, co sprawiło mu radość. – Ile lat byś mi dał? –

spytał z papierosem w zębach.

– Nie wiem – odparłem. Nie skomentowałem w żaden sposób informacji o swoich obowiązkach. Nie spodziewałem się, że zostaną mi jakieś przydzielone. Nie miałem pojęcia, czy ponownie ujrzę słońce.

– Masz to gdzieś, co?

– Nie – odpowiedziałem.

– Pięćdziesiąt! Mam pięćdziesiątkę, ale wyglądam młodziej – zagadał na swój urywany sposób. – Myślisz, że jestem Indianinem. Wiem.

– Nie mam pojęcia, kim jesteś – odrzekłem.

– Jestem Metysem – oznajmił. – Nie masz, kurwa, pojęcia, kto to taki, co?

– Nie – rzuciłem.

Mildred wspomniała, że Charley Quarters jest Metysem, ale nie wiedziałem, co to za jeden ani jak prawidłowo wymówić to słowo.

– To dawny ród królewski. – Charley uniósł brodę, wypuszczając dym kącikami ust, kiedy mówił. – Sięgający osoby Cuthberta Granta. Ród męczenników. – Wciągnął nosem chłodne powietrze. – Indianie są całkiem inni. Często zapadają na choroby umysłu, za dużo piją i pładzą z sobą dzieci. Nie akceptują nas. Jeśli nadarzy się okazja, z chęcią zabijają Metysa.

Nagle stanął na pedale hamulca. W ostatniej chwili położyłem dłonie na desce rozdzielczej. Zsunąłem się z fotela na kolana, a serce zaczęło mi walić jak młotem. Zatrzymaliśmy się na oświetlonej żwirowej alejce między polami pszenicy.

– Muszę się odlać – oświadczył Charley. – A ty?

Wyłączył silnik, zanim zdążyłem odpowiedzieć, otworzył drzwi i rozkraczył nogi przed maską ciężarówki. Wyciągnął członka i zaczął sikać na piasek mocnym strumieniem, koncentrując się bez reszty na tej czynności. Też mi się chciało. Nie miałem odwagi poprosić Mildred, żeby się zatrzymała, chociaż była pielęgniarką i widziała takie rzeczy. Nie sądziłem jednak, że zdołam to zrobić w obecności Charleya na środku drogi. Wysikałbym się, gdybym był z ojcem. Byłem chłopakiem z miasta. Siedziałem w furgonetce, a snopy reflektorów oświetlały Charleya i powiększającą się kałużę na ziemi, i pył wpadający przez otwarte drzwi, niosący kwaśną woń moczu.

– Co zrobiłeś?! – zawołał Charley, cicho wzdychając, zanim skończył. – Dlaczego cię wywieźli?! Popełniłeś jakieś przestępstwo?

Nie miałem ochoty na niego patrzeć, oglądać intymnej części jego ciała.

– Nie! – odkrzyknąłem.

Nie zamierzałem powiedzieć: „Moi rodzice są w więzieniu w Great Falls. Moja matka nie chciała, żebym skończył w sierocińcu. Chciała, żebym był tutaj, w Kanadzie”.

Charley splunął w kałużę moczu, a później wciągnął flegmę, oczyszczając nos.

– Tajemnice to dobra rzecz – stwierdził, zapinając rozporek. – Tutaj można się dobrze ukryć.

Komary i gzy uniosły się z pszenicy i zaczęły krążyć w snopach reflektorów. Niektóre wleciały do środka przez otwarte drzwi kabiny. Nagle ujrzałem szybkie mignięcie skrzydeł. Ptak wzleciał w górę i zniknął – jastrząb lub sowa przyciągnięte przez owady. Moje serce zabiło mocniej, ale Charley skrzydlatego łowcy nie zauważył.

– Wiesz coś o A.R.?

Nadal stał na drodze, gadając i gapiąc się w ciemność ponad snopem przednich świateł. Pomyślałem, że chodziło mu o brata Mildred.

– Mildred powiedziała, że jest jej bratem. – Nie sądziłem, aby mnie usłyszała.

Zaszurał czarnymi gumowymi butami na żwirze.

– Pomyślisz, że to dziwak. – Odniosłem wrażenie, że Charley nic nie robi. – Jak się do ciebie zwracać?

– Dell – odparłem.

– Ile masz lat, Dell?

Wiedziałem, co to oznacza.

– Piętnaście – rzuciłem. – Prawie szesnaście.

Charley wrócił do drzwi i wgramolił się na fotel kierowcy, otoczony swoim zwierzęcym zapachem.

– Czujesz się samotny?

Uruchomił silnik, który głośno zaterkotał. Reflektory na chwilę przygasły, a później pojaśniały.

– Tęsknię za rodzicami – odpowiedziałem. – I moją siostrą.

– Dokąd ona poszła? Do jakiegoś sierocińca?

Charley zatrzasnął drzwi i opuścił szybę. Komary zaczęły wirować wokół nas.

– Uciekła z domu – odrzekłem.

– Dobrze zrobiła. – Zamilkł z rękami na kierownicy. – Nie masz pojęcia dokąd, co?

– Nie – odpowiedziałem.

– Chciałbyś mnie o coś spytać?

– Dlaczego mnie tu przywieźli? – Ponownie powiedziałem tylko to, o czym myślałem. Jak wcześniej z Mildred.

To, co przed chwilą mignęło w kręgu świateł, pojawiło się ponownie. Sowa – okrągła, o białej głowie i z rozpostartymi skrzydłami, ze szponami chwytającymi powietrze i ze wzrokiem utkwionym w czymś, co znajdowało się poza granicą światła. Później zniknęła. Nigdy wcześniej nie widziałem sowy, ale słyszałem je nocą w moim pokoju w Great Falls. Wiedziałem, co to za ptak. Odniosłem wrażenie, że Charley ponownie jej nie zauważył.

– A.R. jest dziwny. To Amerykanin – ciągnął. – Mieszka tu od dłuższego czasu. Może jest samotny, a może brakuje mu towarzystwa. Nie wiem. Daj rękę.

Jego twarda dłoń wydawała się szokująco duża. Odnalazł i chwycił moją rękę, a później ścisnął cztery, pięć, może sześć razy w krótkich odstępach czasu. Miał masywne łapsko o krótkich palcach i tępych paznokciach, szorstkie jak jego płócienne spodnie. Próbowałem zabrać dłoń, ale trzymał ją coraz mocniej.

– Czy ta stara pielęgniarka próbowała cię zgwałcić? – spytał takim tonem, jakby zamierzał się roześmiać.

Nie potrafiłem na niego spojrzeć.

– Nie – rzuciłem.

– Miała ochotę. Widziałem. Mnie też chciała przelecieć. Mogliśmy byli obaj to zrobić. Nie możesz pozwolić, żeby ktoś cię tak traktował. Poczekaj na jakąś ładną dziewczynę. Sam za wcześniej zacząłem i tylko popatrz, gdzie jestem.

Z trudem uwolniłem rękę z jego dłoni i wsunąłem pod nogę, żeby nie mógł jej wyciągnąć. Przestraszył mnie.

– Mam cię, Dell. – Dodał gazu, a ciężarówka wystrzeliła jak rakietka. – Pewnie nie interesuje cię Hitler, co?

– Nie – odburknąłem. Wszystko, co wiedziałem o Hitlerze, zasłyszałem od ojca. Nazywał go Schicklegruberem, małym Adolfem i tapeciarem. Mój ojciec go nienawidził.

Charley zredukował bieg.

– Facet mnie intryguje – powiedział. – Musiał toczyć zmagania. Ja też bywam często nierozumiany. – Umieścił dwa krótkie palce pod nosem, odwrócił się do mnie i wytrzeszczył oczy, patrząc dziko. – Spójrz! Widzisz? Tak wyglądał. Kumasz? Miał urocze wąsiki! Nein! Nein! Nein! Achtung! Achtung!

Mój ojciec powiedział, że Hitler nie żyje. I że jego żona zginęła razem z nim. Popełnili samobójstwo.

– Był dobrym malarzem, wiesz? – podjął Charley, ponownie zwiększając obroty silnika. – Ja pozuję na poetę, ale nie musimy teraz o tym gadać.

Wcisnął gaz i pomknęliśmy w mrok. Byłem w Kanadzie. Zgodnie z planem mojej matki.

Wydarzenia, które zmieniają nasze życie, często na takie nie wyglądają.

Obudziły mnie głosy. Męski śmiech, a później inny pomruk i metalowy zgrzyt otwieranej maski furgonetki. I kolejne śmiechy.

– Marzę o tym, żeby kobieta powiedziała mi choć raz coś, czego nie wiem!

Głos brzmiał tak, jakby należał do Charleya Quartersa. Dźwięki dochodziły spoza pokoju, w którym spałem. Pamiętałem, jak do niego wszedłem, ale teraz go nie rozpoznałem. W gęstym powietrzu czuć było chłodny zapach ziemi oraz czegoś cierpkiego, metalicznego i kwaśnego. Okno za moim łóżkiem – metalową rozkładaną pryczą – zasłaniał kawałek cienkiej, szarej bawełnianej tkaniny z białą obwódką, tłumiąc światło, które musiało być promieniami porannego słońca. Nie wiedziałem, że był ranek i że zrobiło się widno. Nie wiedziałem też, jak długo jechaliśmy ostatniej nocy i czy to miejsce było celem mojej podróży.

Usiadłem na łóżku. Pokój był mały, o niskim suficie, pogrążony w zielonkawym cieniu, jakby za zasłoną tańczyła woda. Szumiało mi w głowie, miałem obolałe plecy i nogi. Spałem w bokserkach. Moje ubranie, buty i skarpetki leżały na kupce w nogach pryczy, na podłodze pokrytej linoleum. Wspomnienia rozsypały się w kawałki, bezskutecznie próbując ożyć: reflektory ciężarówki przesuwające się po małym białym budynku, snop latarki skaczący po pokoju z pryczą, Charley Quarters sikający na oświetlony żwir i z napięciem gapiący się w dół, pluszowy łeb sowy jak we śnie, wzmianka o Hitlerze i dziewczętach z Filipin.

Uniosłem zasłonę i wyjrzałem przez zakurzone okno. Jedna z szyb pękła w poprzek, na parapecie łuszczyła się farba. Za oknem rósł krzew bzu, a za nim rozciągała się trawa lśniąca kropelkami rosy. Za trawnikiem dostrzegłem wąską asfaltową uliczkę pełną dziur i wybrzuszeń oraz nierówny betonowy chodnik porośnięty chwastami, za którym widać było kwadrat idealnie błękitnego nieba przypominającego barierę. Po drugiej stronie dziurawej uliczki stała stara biała przyczepa na gumowych kołach,

z płaskim dachem, w której ktoś mógł mieszkać. Na dachu sterczała przechylona telewizyjna antena. Obok przyczepy zobaczyłem otwarty barak z blachy falistej z rękawem powietrznym na dachu, a za nim wysoki drewniany elewator zbożowy o spiczastym dachu. Na elewatorze widniały spłowiałe litery „Saskatchewan Pool”, a pod nimi „Partreau”.

Obok przyczepy zaparkował wgnieciony furgon marki International należący do Charleya Quartersa. Metys stał przed nim i rozmawiał z jakimś człowiekiem w jasnoniebieskiej koszuli, z brązową bluzą przerzuconą przez ramię i ze słomkowym kapeluszem w ręce. Charley nadal miał na sobie czarne gumowe buty z wetkniętymi nogawkami i tę samą flanelową koszulę. Podwórko przed przyczepą było usiane zardzewiałymi metalowymi częściami, oponami i pustymi beczkami, rowerami i klatkami na zwierzęta. Stały na nim też stary motocykl i na drewnianych klockach zielony studebaker z wyjętymi oknami. Skręcone lub zespawane kawałki metalu tworzyły dziwaczne kształty w chwastach. Dostrzegłem koło od roweru przytwierdzone do ostrza kosiarki, snopowiązałkę wyposażoną w kierownicę i lusterko, zegar słoneczny wykonany z obręczy koła. Załamujące promienie słońca szprychy i wiatraczki zatknięte na stosie drewnianych rupieci. O przyczepę opierał się prowizoryczny maszt z taką samą flagą, jaką widziałem na granicy.

Charley odwrócił się, a później jego mocne krótkie ramiona zaczęły z ożywieniem gestykulować najpierw w kierunku przyczepy, a później okna, przez które wyglądałem. Pomyślałem, że rozmawiają o mnie, że mężczyzna w niebieskiej koszuli, słuchający Charleya, musi być Arthurem Remlingerem, bratem Mildred. Charley coś krzyknął, jakby chciał, żeby wszyscy go usłyszeli.

– Dla mnie nic nie jest łatwe! – Cofnął się i zarechotał.

Drugi mężczyzna spojrział na dom, oparł dłoń na biodrze, powiedział coś i skinął głową. Charley odwrócił się i ruszył przez trawę w moją stronę. Szybko naciągnąłem T-shirt i spodnie. Nie chciałem, żeby wszedł do pokoju i zastał mnie w bokserkach. Wsunąłem buty bez skarpetek i rozejrzałem się w poszukiwaniu drzwi, żeby wyjść na zewnątrz. W pokoju była druga pusta prycza. W cieniu stały sterty kartonowych pudeł tak, że prycze ledwie się mieściły. Nie zauważyłem żadnej lampy. Z dworu doleciał mnie głos Charleya:

– Z kim byś chciał? Spytałem cię...

Nie wiedziałem, do kogo mówi.

Wpadłem przez niskie drzwi do kuchni – małej, dusznej i zagraconej. Kolejne kartonowe pudła, żeliwny piecyk i stary telewizor z pękniętym ekranem oraz coś przypominającego wypchanego psa lub kojota na wieku dębowej lodówki turystycznej ze skorodowanymi zasuwkami. Wetknąłem koszulę w spodnie i wyszedłem do małego przedsionka o podłodze z ubitej ziemi i przeszkłonych drzwiach, a później na ostre słońce. Skóra mi ścierpła na czaszce. Nie miałem pojęcia, co się wydarzy, ale wiedziałem, że będzie to coś ważnego. Znajdowałem się bardzo daleko od Great Falls.

– Oto i on! – zawołał Charley.

Z trudem otworzyłem oczy. Biały otynkowany dom, w którym spałem, był tym samym, który pojawił się w moim śnie – tym, po którym przesunęły się światła reflektorów. Stał płasko na ziemi. Kawałki tynku odpadały, odsłaniając listwy i wewnętrzną warstwę zaprawy. Zapiąłem spodnie. Moje buty nie były zasznurowane. Skrzywiłem się i osłoniłem oczy.

– Przyszedł A.R.! – krzyknął Charley, odsłaniając duże kwadratowe zęby i uśmiechając się, jakby to wydarzenie było dla mnie nieprzyjemne, ale jemu sprawiało radość. – Podejdz no tutaj! Pan Remlinger chce cię poznać!

Odwrócił się na pięcie, a ja ruszyłem w ślad za nim przez chwasty. Minęliśmy dziurawą uliczkę, zmierzając w kierunku blaszanego baraku, gdzie mężczyzna w niebieskiej koszuli mówił coś do okna lśniącego rdzawoczerwonego buicka z trzema otworami w przednim błotniku, którego wcześniej nie dostrzegłem.

Skorzystałem z okazji, żeby się rozejrzeć. Znajdowałem się w mieście, ale nie takim, jakie widywałem wcześniej, nawet gdy ojciec zabrał Berner i mnie do rezerwatu Indian w Box Elder, gdzie oglądałem ich domostwa. Kilka szarych drewnianych domów stało wzdłuż pozostałości ulic. Były też inne dowody wskazujące na to, że kiedyś mieszkali tu ludzie: puste kwadraty ceglanych fundamentów, rozpadające się drewniane przybudówki, komin i plac, na którym coś stało, ale zniknęło dawno temu. Pięć lub sześć ocalałych budynków sprawiało wrażenie opuszczonych – otwarte drzwi wisiały na zawiasach, a podwórka zarastały chwasty. Niektóre były pozbawione dachu, inne miały dachówkę uzupełnioną deskami i prymitywnymi łątami, popękane kominy i zapadnięte werandy. Przewody elektryczne biegły jedynie do białej przyczepy, blaszanego baraku i domku,

w którym spałem, oraz jeszcze jednego budynku z dziurą w dachu, przez którą do środka mógł kapać deszcz. Na jego tylnych schodach stała rosła kobieta w luźnej szarej sukience, obserwując nas z oddali. Za budynkiem na rozpiętym sznurze do prania wydymały się w podmuchach suchego wiatru białe prześcieradła i kobieca bielizna.

Nieco dalej po utwardzonej drodze przejechały z hukiem, łopocząc plandekami, dwie duże ciężarówki do przewozu zboża, mijając rząd rozpadających się budynków biurowych o płaskim dachu, stojących naprzeciw elewatora. Budynki sprawiały wrażenie opuszczonych, nie miały okien ani drzwi. Nie zauważyłem innych ludzi. Na skraju miasta, które ujrzałem, idąc w kierunku blaszanego baraku, zasadzono jesionolistne klony i czarne topole (które znałem z Montany) jako osłonę przed wiatrem, ale uschły dawno temu. Za drzewami i rogatekami rozciągały się pola skoszonej pszenicy z belami słomy. Jeszcze dalej stał pozbawiony łopatek wiatrak i czarny, z wolna osiadający w ziemi żuraw pompowy. Preria, którą dostrzegłem za nim, nie była płaska, ale pofałdowana, prawie pozbawiona drzew. Krajobraz dzieliła jedynie przebiegająca w dali linia horyzontu.

– To on! – wykrzykiwał Charley.

Szedłem za nim przez porośnięty chwastami plac do blaszanego baraku, przed którym stał nowy buick. W cieniu baraku dostrzegłem starego dzipa z płóciennym dachem i płaską jednoosiową przyczepę wyładowaną czymś, co przypominało gęsi, ale okazało się drewnianymi wabikami i łopatami.

– Obudziłem dziecinę! – trajkotał Charley. – W Stanach przywykł do delikatnego traktowania! Nie przeżyje tutaj! – Odwrócił się i spojrzał na mnie.

W świetle dnia wydawał się jeszcze dziwniejszy. Jego guzowata głowa była większa, ramiona nienaturalnie wąskie, nogi wykrzywione tam, gdzie kończyły się buciory, a ciemne włosy nadal miał zebrane z tyłu damską spinką. Przedstawiał sobą niepokojący widok.

Wsunąłem rękę do kieszeni, żeby się powstrzymać przed zasłanianiem piekących oczu. Koniki polne skakały w zduszonych chwastach, łąziły po ziemi u moich stóp, grzechocząc niczym węże, co sprawiło, że stałem się spięty. Małe brązowe ptaszki śmigały między rzeźbami z metalu. Słońce paliło moje włosy i ramiona, szczypało w oczy, chociaż włoski na skórze były zimne i drażliwe. Zacząłem się pocić na linii włosów.

Mężczyzna trzymający brązową marynarkę i słomkowy kapelusz powiedział coś przez okno do wnętrza buicka – spostrzegłem kobietę siedzącą w fotelu pasażera i śmiejącą się z jego słów – a później się wyprostował i zaczął iść w moją stronę.

– Musiałem wykurzyć go z łóżka! – Charley nie przestawał mówić podniesionym głosem, żeby tamten go słyszał. – To pan Remlinger! Możesz mówić mu „proszę pana”!

Ponownie osłoniłem oczy. Słońce błyszczało za jego głową. Byłem zdenerwowany. Ten człowiek miał być za mnie odpowiedzialny. Arthur Remlinger.

– Czekaliśmy na ciebie – powiedział A.R.

Podniosłem głowę, żeby zobaczyć jego twarz. Był wysoki i przystojny, miał gęste jasne włosy ze starannym przedziałkiem z prawej strony, z drugiej strony niż ja. Nie uśmiechał się, ale sprawiał wrażenie zaciekawionego. Nic nie odrzekłem.

– Powiesz nam, jak się nazywasz?

– Dell Parsons – odrzekłem. Moje nazwisko dziwnie zabrzmiało w takim miejscu.

Mężczyzna spojrzał na Charleya Quartersa i się uśmiechnął.

– Czy Dell to zdrobnienie? Dziwne imię.

– Nie, proszę pana – odpowiedziałem.

– Śmiało, mów dalej – zachęcił mnie Charley Quarters.

– Spodziewałem się dwóch osób.

Mężczyzna przystąpił bliżej, jakby chciał mi się przyjrzeć. Na sznurku na szyi miał okulary w metalowej oprawce. Jego duże dłonie były kościste i wypiełgnowane. Wydawał się rozbawiony.

– Druga uciekła, zanim tu dotarła – wyjaśnił Charley.

– Szkoda – odrzekł Arthur Remlinger. – Wyglądasz na zmęczonego. Jesteś zmęczony? – Powachlował twarz słomkowym kapeluszem.

– Tak, proszę pana – odparłem.

Nie powiedział, jak się nazywa. Arthur Remlinger – to nie pasowało do jego wyglądu. Pasowało do starszego mężczyzny.

– Szukają cię, co? – Spojrzał na Charleya, a później przesunął wzrok na mnie.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie czułem się swobodnie, żeby z nim rozmawiać.

– Nie wiem – odpowiedziałem.

Ciepły powiew wiatru poruszył srebrnymi wiatraczkami na zarośniętym chwastami podwórku. Załopotały na wietrze, wydając ciche kliknięcia.

– Nie ma ochoty na rozmowę – zauważył Charley. Odwrócił się i spojrzał na wirujące wiatraki, jakby ich widok wyraźnie go uradował.

– Jeśli zajrzą tu goście z RCMP[13] – podjął Arthur Remlinger – powiedz, że jesteś moim siostrzeńcem, że przyjechałeś ze wschodu. Ci ludzie nie mają pojęcia, gdzie jest Toronto. Chcesz, żebym ci dał kanadyjskie imię?

– Nie, proszę pana – odrzekłem.

Uśmiechnął się, a później spoważniał, jakby nie był pewny, co ze mną zrobić. Kiedy się uśmiechał, na brodzie pojawiała się wgłębienie. Jego cera wydawała się gładka i jasna. Wyglądał niezwykle.

– Tak czy siak, nie ma kanadyjskich imion – dodał, obracając kapelusz w palcach, jakby mnie oceniał. Podniósł głowę i spojrzał ponad moim ramieniem w kierunku otynkowanego domu, w którym spałem. – Rozgościłeś się w swoim małym domku? Tym tam? – Mówił tak, jakby starannie dobierał każde słowo.

Poczułem pot na policzku. Obejrzałem się i spojrzałem na nędzne domostwo. W chwastach za domem stała buda zbita z desek. Wiedziałem, że to wychodek. Obok przystanął biały pies, zwrócony w stronę drzwi i machający ogonem. Poruszający się srebrny wiatraczek oznaczał, że Charley go używał. Mój ojciec często opowiadał dowcipy i śmieszne historyjki o cuchnących wychodkach, w których trzeba było się podcierać stronami wydartymi z książki telefonicznej i nie było odrobiny prywatności. Nigdy nie sądziłem, że kiedyś przyjdzie mi z nich korzystać. Nie chciałem wracać do otynkowanej chałupy.

– Sam nie wiem... – odparłem. – Wolałbym...

– Możesz poprzesuwać rzeczy, jak ci się podoba. Niektóre z tych pudeł są moje – podjął Arthur Remlinger, w dalszym ciągu obracając kapelusz w palcach. – Jeśli chcesz wiedzieć, trudno będzie cię tu znaleźć. Nikt nie będzie cię niepokoił. – Potarł duże ucho dłonią. Sprawiał teraz wrażenie, jakby czuł się niezręcznie. – Mieszkam sześć kilometrów stąd, w Fort Royal, przy tej utwardzonej szosie. – Odwrócił się i spojrzał w kierunku drogi. – To na wschód stąd. Znajdziemy ci jakieś zajęcie w hotelu. Mieszkałeś kiedyś sam?

– Nie, proszę pana – odpowiedziałem.

– Tak myślałem – westchnął. – Zakładam, że już pracowałeś.

– Nie, proszę pana – zaprzeczyłem. Nie miałem pojęcia, co Arthur Remlinger o mnie wie, ale przypuszczałem, że musi wiedzieć niemal wszystko – może z wyjątkiem tego, że lubię grać w szachy, interesują mnie pszczoły i nigdy nie pracowałem, bo moja matka tego nie chciała z sobie tylko znanych powodów.

– Czujesz się tu obco? – Spojrzał na mnie, jakby coś zrozumiał. Zmarszczył brwi.

Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak on. Mildred powiedziała, że ma trzydzieści osiem lat, ale jego twarz była twarzą młodego, przystojnego mężczyzny. Jednocześnie wydawał się starszy z powodu stylu, w jakim się ubierał. Nie był jednoznaczny jak inni ludzie, których znałem.

– Tak, proszę pana – przytaknąłem.

Obracał kapelusz centymetr po centymetrze długimi palcami, na których spostrzegłem złoty pierścień.

– Cóż – podjął – pewne rzeczy nas niestety spotykają, Dell. Nie możemy na to nic poradzić. – Ponownie spojrzał ponad moim ramieniem na otynkowany domek. – Kiedy tu przyjechałem... – urwał, rzucił okiem na dom i podjął na nowo – mieszkałem w tym małym domku. Stawałem wśród traw, patrzyłem w niebo i wyobrażałem sobie, że widzę barwne ptaki, że jestem w Afryce, a obłoki to góry. – Z przodu jego ładnej niebieskiej koszuli pojawiły się plamy potu. Na rękę trzymał elegancką beżową kurtkę.

– To Amerykanin, jak ty! Dlatego jest dziwny – odezwał się nagle Charley do Arthura Remlingera i zarechotał. Obserwował brązowe ptaki śmigające między wiatraczkami w jego ogrodzie, a jednocześnie słuchał, choć nie dał tego po sobie poznać. Zaczął iść w kierunku przyczepy z drewnianą skrzynką pod drzwiami pełniącą funkcję schodka, kopiąc chwasty gumowcami i płosząc koniki polne i małe ptaszki. – Obaj jesteście tacy sami – rzucił na odchodnym.

– Co lubisz robić, Dell?

Niebieskie oczy Arthura Remlingera wydawały się pozbawione wyrazu. Przechylił głowę i niezgrabnie wsunął rękę do kieszeni, jakbyśmy mieli odbyć rozmowę. Odniosłem wrażenie, że chce do mnie zagadać, ale nie wie jak. Mildred wyjaśniła, że jest niezwykle, co z pewnością było prawdą.

– Lubię czytać – odpowiedziałem.

Wydał wargi i zamrugał, jakby moje słowa go zainteresowały.

– Planujesz podjąć naukę w dobrym college’u, kiedy będziesz starszy?

– Tak, proszę pana – przytaknąłem.

Arthur Remlinger nosił buty z miękkiego zamszu, w które wetknął nogawki spodni. Pomyślałem, że takie buty musiały sporo kosztować. W ogóle nosił drogie rzeczy, co sprawiało, że jeszcze bardziej tu nie pasował. Potarł czubkiem buta zakurzoną ziemię, a później się odwrócił i spojrzał na samochód. Siedząca w środku kobieta patrzyła na nas z zaciekawieniem. Pomachała mu ręką, ale Arthur Remlinger nie odmachnął.

– Pewnie dogadałbyś się z Florence – stwierdził. – To malarka. Miłośniczka szkoły American Nighthawk. Ma wrażliwość artystki. – Skinął głową, jakby ta myśl go rozbawiła. – Mam jeden z jej obrazów w hotelu. Pokażę ci, kiedy zobaczymy się ponownie. – Rozejrzał się wokół, lustrując rozgrzane chwasty, blaszany barak i rozpadającą się przyczepę oraz ruiny miasta, w którym nikt nie mieszkał. – Tam skąd pochodzę, spaliliby takie miejsce jak to – powiedział.

– Dlaczego? – zapytałem, co najwyraźniej go rozbawiło, bo na jego gładkiej brodzie ukazał się dołek. Ale się nie roześmiał.

– Byliby nim przerażeni – wyjaśnił i dopiero później się uśmiechnął. – Żadnej możliwości sukcesu. Wszyscy Amerykanie się tego boją. Nie potrafiliby pojąć historii tego miejsca.

– Jak długo tu zostanę? – spytałem.

Była to najważniejsza rzecz, której chciałem się dowiedzieć, więc musiałem w końcu poruszyć ten temat. Arthur Remlinger nie wspomniał o moich rodzicach, jakby o nich nie wiedział lub nie byli ważni.

– No cóż... – odparł. – Tak długo, jak zechcesz. – Włożył słomkowy kapelusz na głowę, gotowy do drogi. Kapelusz miał skórzany pasek, który Remlinger wsunął po brodę, przez co zyskał nieco głupawy wygląd. – Może ci się spodoba. Będziesz mógł się tu czegoś nauczyć.

– Chyba mi się nie spodoba – odburknąłem, co mogło zabrzmieć niegrzecznie i niewdziecznie, ale było prawdą.

– W takim razie wymyślisz jakiś sposób, żeby stąd odejść – zauważył. – Dzięki temu zyskasz jakiś cel. – Odwrócił się i zaczął iść w kierunku buicka. – Dell, jestem niezmiernie rad, że przyjechałeś. Wkrótce się

zobaczmy – rzucił, nie odwracając głowy. – Charley ci wyjaśni, na czym polega twoja robota.

– Dobrze – odpowiedziałem. Nie byłem pewny, czy mnie usłyszał, więc powtórzyłem: – Dobrze.

Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z Arthurem Remlingerem. Jak powiedziałem, wydarzenia, które zmieniają nasze życie, często na takie nie wyglądają.

Nasza matka napisała Kronikę zbrodni popełnionej przez słabą osobę w taki sposób, jakbyśmy Berner i ja z nią byli i potrafili czytać w jej myślach w tej samej chwili, gdy je notowała; byli jej powiernikami, którzy mogą odnieść z nich pożytek. Kronika jest jej najprawdziwszym głosem – głosem, którego my, dzieci, nigdy wcześniej nie słyszeliśmy, którym wyraziłaby siebie, gdyby kiedykolwiek mogła to w pełni uczynić, bez ograniczeń, jakie narzuciła swemu życiu. Podobnie musi być z innymi rodzicami i dziećmi. Wszyscy znamy jedynie małą częśćkę innych. Nasza matka nie pożyła długo w więzieniu w Dakocie Północnej. Wszyscy mieli świadomość – niezależnie od tego, czy zabrzmiało to prawdziwie czy nie – że kiedy pisała te słowa, już zaczęła się sypać.

Moi Kochani,

wiem, że oboje przekroczyliście granicę. Z pewnością zauważyliście, że to coś innego niż przespacerowanie się ulicą. Przekroczenie granicy oznacza nowy początek, choć oczywiście coś takiego jak zupełnie nowy początek nie istnieje. (Ona i Mildred najwyraźniej o tym rozmawiały). To tak, jakby umieścić stary początek pod nową lampą. Wiem o tym wszystko. W Kanadzie oboje dostaniecie szansę, nie będziecie obwiniani z powodu Waszego ojca i mnie. Nikogo nie będzie obchodzić, skąd jesteście i co zrobili Wasi rodzice. Nie będziecie się niczym wyróżniać. Nigdy nie byłam w Kanadzie, ale mam wrażenie, że jest tam bardzo podobnie jak w Stanach. To dobrze.

Widziałam wodospad Niagara – oglądałam go, gdy byłam dziewczyną, z moimi rodzicami. Na pewno pamiętacie tę fotografię. Wśród rzeczy, które oddzielają ludzi od siebie, z pewnością są wodospady (a przynajmniej ja zawsze tak uważałam). Nie rozróżniamy zbyt wnikliwie rzeczy, które są podobne, ale jednocześnie różne. Zawsze powinniście to robić! Będziecie mieli tysiące poranków, żeby się nad tym zastanowić. Nikt wam nie powie, co czuć. Wiem, że już wyobrażałeś sobie świat inny od tego, który znasz,

Dell. Sam mi to powiedziałaś. Na tym polega Twoja siła. A Ty, Berner, masz skłonność do tego, co wyjątkowe, więc sobie poradzisz. Po wyjeździe z Polski mój ojciec przekroczył wiele granic, zanim dotarł do Tacomy w stanie Waszyngton. Zawsze czerpał siłę z chwili obecnej. Nie ma co do tego wątpliwości.

Niedawno odkryłam w sobie zupełnie nowy chłód. To nic złego znaleźć zimne miejsce we własnym sercu. Artyści tak robią. Może ma on inną nazwę... Siła? Inteligencja? Wcześniej go odrzucałam przez wzgląd na Waszego ojca albo próbowałam to czynić. Po prostu próbuję Wam pomóc z miejsca, w którym się znajduję, choć jestem w niekorzystnym położeniu. Wiem, że zrozumiecie...

Wielokrotnie czytałem ten „list”. Zawsze byłem przekonany, że nigdy nie sądziła, iż zobaczy ponownie Berner lub mnie. Dobrze wiedziała, że dla nas wszystkich oznacza to koniec rodziny. To więcej niż smutne.

Czytałem, że samotność przypomina stanie w długiej kolejce, żeby dotrzeć do miejsca, w którym obiecano nam coś dobrego. Tylko że kolejka się nie porusza, a inni ludzie bez przerwy wciskają się przed nas, więc początek, w którym człowiek chciałby się znaleźć, oddala się coraz bardziej, aż przestajemy wierzyć, iż możemy na cokolwiek liczyć.

Dni, które nastąpiły po moim pierwszym spotkaniu z Arthurem Remlingerem 31 sierpnia 1960 roku, nie mogły być zatem wypełnione samotnością. Gdyby nie nastąpiły po katastrofie, mogłyby się wydać intensywne i pełne wrażeń dla chłopaka w mojej sytuacji – porzuconego i pozbawionego wszystkiego, co znał, niemającego żadnych perspektyw oprócz tych, które sam dostrzeże.

Początkowo moje obowiązki – zanim przyjechali myśliwi i zaczęły się polowania na gęsi – ograniczały się do Fort Royal w Saskatchewan i hotelu Leonard, który był własnością Arthura Remlingera. On sam mieszkał w apartamencie na ostatnim, trzecim piętrze, z oknami wychodzącymi na prerię, z których można było, jak sądziłem, ogarnąć wzrokiem setki kilometrów na północ i zachód. Codziennie chodziłem do pracy lub pedałowalem szosą jednym z rozpadających się rowerów marki J.C. Higgins, należących do Charleya, szosą, na której wielkie ciężarówki z pszenicą rozwijały złocisty dywan plew, a za nią biegły tory kolei Canadian Pacific, obsługującej elewatory ciągnące się od Leader do Swift Current. Czasami Charley podwoził mnie do hotelu, gdzie sprzątałem pokoje i łazienki, za co płacono mi trzy kanadyjskie dolary dziennie plus wyżywienie, swoją furgonetką, zwykle razem ze Szwedką, panią Gedins, inną mieszkanką Partreau, milcząco wyglądającą przez okno. Pani Gedins pracowała w kuchni hotelowej stołówki. Połowę popołudni miałem wolnych, więc mogłem pedałować szosą do Partreau, gdzie nie było nic do roboty, lub zostać w Fort Royal, żeby zjeść wczesną kolację z robotnikami rolnymi i kierowcami ciężarówek w kiepsko oświetlonej sali, a później wrócić po zapadnięciu zmroku. Charley zakazał mi łapania okazji na szosie.

Powiedział, że Kanadyjczycy nie są zwolennikami tej formy podróżowania, więc uznają mnie za przestępcę lub Indianina i mogą próbować mnie przejechać. Poza tym czekanie na okazję spowoduje, że zacznę się wyróżniać, co wzbudzi podejrzenia i ściągnie na mnie uwagę konnych, a tego nikt sobie nie życzył. Jakby Charley też miał coś do ukrycia i wołał uniknąć bliższej kontroli.

Chociaż nigdy wcześniej nie sprzątałem, okazało się, że umiem to robić. Charley pokazał mi kilka sztuczek, wyjaśnił, jak szybko wejść i wyjść z pokoju, abym zdążył posprzątać te, za które odpowiadałem – szesnaście pokojów oraz dwie wspólne łazienki na każdym z pięter przeznaczone dla gości, którymi byli pracownicy platform wiertniczych, kolejarze, komiwojażerzy i robotnicy rolni z prowincji Maritimes, jesienią wędrujący z jednego miejsca na prerii w drugie. Wielu z nich było młodymi ludźmi, w podobnym wieku jak ja. Wielu czuło się samotnie i tęskniło za domem. Niektórzy zdradzali skłonność do przemocy, lubili alkohol i bójki. Ale żaden nie zwracał uwagi na to, w jakim stanie zostawił pokój, w którym przespał noc, lub łazienkę, w której się mył i korzystał z toalety. Małeńkie pokoiki cuchnęły ich zapachem – potem i brudem, jedzeniem i whisky, błotem ketmii, maścią w butelce i tytoniem. Łazienki na korytarzach śmierdziały obrzydliwie, były zawilgocone i oślizgłe od mydła, ze śladami użytkowania, których mężczyźni nigdy nie myślą posprzątać – jakby znajdowali się w domu u mamusi. Czasami otwierałem drzwi z wiadrem i mopem, ze szczotką, szmatami i środkami czystości i zastawałem któregoś z nich siedzącego samotnie w pokoju, gdzie było kilka łóżek, palącego papierosa, gapiącego się przez okno, czytającego Biblię lub jakiś magazyn. Albo jedną z tych filipińskich dziewcząt siedzących samotnie na łóżku, raz lub dwa bez ubrania, ale częściej w pościeli z jakimś wieśniakiem lub inną dziewczyną, która zasnęła w długi poranek. Nic nie mówiłem, tylko ostrożnie je z powrotem zamykałem i szedłem do innego pokoju. Oczywiście filipińskie dziewczęta nie były Filipinkami, jak wyjaśnił mi Charley. Pochodziły z plemienia Blackfoot[14] lub Gros Ventre[15]. Arthur Remlinger przywoził je taksówką ze Swift Current lub Medicine Hat, żeby nocą pracowały w barze, ożywiając atmosferę i czyniąc hotel Leonard atrakcyjnym miejscem dla gości, bo inne kobiety nie miały do niego wstępu. Gdy rano przyjeżdżałem do pracy, często widziałem taksówkę ze Swift Current zaparkowaną w alejce za hotelem, z szoferem śpiącym na

przednim fotelu lub czytającym książkę i czekającym, aż dziewczyny wyjdą bocznymi drzwiami, aby odwiedzić je do domu. Charley powiedział, że jedna z Filipinek była huterytką z małym dzieckiem, choć nie miała męża. Nigdy nie widziałem tej dziewczyny w hotelu, wątpiłem też, aby huterytka chciała wykonywać taką robotę lub by rodzice jej na to pozwolili.

Nie chcę przez to powiedzieć, że od razu idealnie przystosowałem się do życia w Fort Royal. Było mi do tego daleko. Wiedziałem, że moi rodzice są w więzieniu, siostra uciekła, a ja najprawdopodobniej skończę porzucony wśród obcych ludzi. Ale znacznie łatwiej było – łatwiej, niżbyście myśleli – przestać zwracać uwagę na to wszystko i żyć teraźniejszością, jak powiedziała Mildred, jakby każdy dzień stanowił mały odrębny byt.

Miasteczko Fort Royal ożywało wczesną jesienią, bujnie prosperując w porównaniu z położnym sześć kilometrów dalej Partreau, gdzie byłem zmuszony kwaterować – dziwnym, opustoszałym i nawiedzonym miejscem, którego jedynymi mieszkańcami oprócz mnie byli Charley i pani Gedins, zasadniczo niedostrzegająca mojej obecności. Fort Royal było małą, kipiącą życiem społecznością na prerii, przy torach kolejowych i szosie numer trzydzieści dwa, łączącej Leader i Swift Current. Pewnie niewiele się różniło od miasteczka w Dakocie Północnej, gdzie mój ojciec obrabował bank. Górujący nad zachodnim końcem Main Street hotel Leonard był drewnianą trzypiętrową konstrukcją – kwadratowym, pomalowanym na biało budynkiem z płaskim dachem i rzędem pustych, pozbawionych ozdób okien. Miał małe, niepozorne wejście od ulicy, prowadzące do ciemnej recepcji, sali jadalnej bez okien oraz mrocznego, również pozbawionego okien baru leżącego na tyłach. Na dachu znajdował się znak, którego nie było widać z miasta, ale mogłem go odczytać z szosy, kiedy jechałem do pracy i wracałem do siebie. Czerwony neon ogłaszał wielkimi literami: „HOTEL LEONARD”, a obok niego widniała wykonana z neonu postać kamerdynera z okrągłą tacą, na której stały szklanki martini. (Wtedy nie wiedziałem jeszcze, co to takiego). Widok był zaiste niezwykły, szczególnie gdy patrzyło się od strony prerii, co lubiłem robić, kiedy przyjeżdżałem i odjeżdżałem. Neon przywodził na myśl daleki świat, a ja widziałem go codziennie przed sobą jak miraż lub sen.

Szczerze mówiąc, hotel Leonard nie przypominał prawdziwego hotelu w porównaniu z Rainbow w Great Falls lub innymi eleganckimi przybytkami tego rodzaju, które widziałem. Miał też niewiele wspólnego

z miasteczkiem. Odwiedzali go nieliczni miejscowi, z wyjątkiem pijaków, obiboków i awanturujących się farmerów, od których Arthur Remlinger dzierżawił tereny do polowań na gęsi i którzy pili w barze za darmo. Hotel Leonard nosił w Fort Royal piętno hańby, bo w miasteczku mieszkali kiedyś zwolennicy ruchu wstrzemięźliwości, tutaj zaś uprawiano hazard i były dziewczęta, więc większość porządnych obywateli nigdy tu nie zaglądała.

Najczęściej kończyłem robotę przed czternastą. Jeśli zostawałem w mieście, żeby zjeść kolację, którą podawano o osiemnastej, zwykle widywałem się z Arthurem Remlingerem – zawsze starannie ubranym, w towarzystwie swojej przyjaciółki Florence La Blanc, śmiejącym się i rozmawiającym z klientami płacącymi rachunki. Charley powiedział, żebym się nie odzywał do A.R., choć nasze pierwsze spotkanie było przyjemne. Miałem nie zadawać pytań, nie zwracać na siebie uwagi i nie okazywać przyjaznych uczuć, jakby Arthur Remlinger funkcjonował w wysublimowanym świecie, do którego nikt inny nie ma wstępu. Miałem pamiętać, że jestem tu gościem, bez chodów ani uprzywilejowanej pozycji. Czasami mijałem Arthura Remlingera w małej recepcji lub na schodach, kiedy szedłem z wiadrem i mopem posprzątać, lub w kuchni, gdy jadłem posiłek. „Ach! Tu jesteś, Dell! – mówił, jakbym się przed nim schował. – Jak ci się mieszka na twojej kwaterze?” – lub coś w tym rodzaju (wiedziałem, co to kwatera, od mojego ojca). „Dobrze, proszę pana” – odpowiadałem. „Daj nam znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować”. Ja na to: „Nic mi nie trzeba”. „To dobrze, dobrze” – Arthur Remlinger kiwał głową i szedł dalej. A później nie widziałem go kilka dni.

Przyznaję, że nie miałem pojęcia, dlaczego zgodził się mną zaopiekować i wziąć na siebie odpowiedzialność, bo nie przejawiał wielkiego pragnienia poznania mnie, co miało znaczenie dla chłopaka w moim wieku. Gdy spotkałem go pierwszy raz, sprawiał wrażenie człowieka dobrodusznego, ale dziwaka, jakby coś rozpraszało jego uwagę. Teraz zaś wydawał się jeszcze bardziej dziwny, więc pomyślałem sobie, że tak już jest, kiedy człowiek poznaje nowych ludzi.

Gdy zostawałem w mieście, próbując wypełnić czas pozostały do kolacji – aby później popedałować do Partreau, zanim zapadnie zmrok i szosa stanie się niebezpieczna z powodu ruchu ciężarówek z pszenicą i podchmielonych chłopaków ze wsi za kółkiem – często spacerowałem po

Fort Royal, oglądając to, co się w nim znajdowało. Robiłem to, bo próbowałem uniknąć samotności, która była dla mnie czymś nowym, i dlatego że to, co widziałem, wydawało się niezwykle. Pomyślałem również, że poznawanie otoczenia, zainteresowanie się różnymi rzeczami, jakbym przygotowywał się do napisania artykułu do World Book, sprawi, że nie będę się wydawał żaloszny i nie ulegnę chorobliwym myślom. Odbywałem swoje podróże także dlatego, że nie miałem nic innego do roboty – bo tak to już bywa w miasteczkach na prerii – a rola badacza dawała mi słabe poczucie wolności, jakiego wcześniej nie znałem, mieszkając z siostrą i rodzicami. Na koniec robiłem to dlatego, że znajdowałem się w Kanadzie i nie wiedziałem niczego o tym kraju, czym się różnił od Ameryki i jaki był, a chciałem się dowiedzieć jednego i drugiego.

Spacerowałem chodnikiem wzdłuż Main Street w swoim nowym kombinezonie i używanych butach marki Thom McAn, mając poczucie, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Nie znałem mieszkańców Fort Royal, nie wiedziałem, dlaczego w tym miejscu powstało miasto i dlaczego żyli w nim ludzie, a nawet dlaczego nazwano je Fort Royal. Może dlatego, że w czasach pionierów znajdował się tutaj garnizon wojskowy? Życie handlowe koncentrowało się po obu stronach głównej ulicy. Uważałem, że do tego, aby można było uznać osadę za miasto, nie potrzeba niczego więcej. Codziennie środkiem Fort Royal przejeżdżały ciężarówki z pszenicą, furgonetki i traktory. Zauważyłem salon fryzjerski i chińską pralnię połączoną z kawiarnią, salę bilardową i pocztę z obrazem królowej na ścianie, ratusz, dwa małe gabinety lekarskie, budynek towarzystwa Sons of Norway, sklep sieci Woolworth, drogerię, kino, naliczyłem też sześć kościołów (w tym morawski, katolicki i Betel) oraz zamkniętą bibliotekę, rzeźnię i stację Esso. Był też spółdzielczy dom towarowy, w którym wspólnie z Charleyem kupiliśmy dla mnie ubrania. Oprócz tego znajdowały się tu: bank o nazwie Royal, remiza strażacka, sklep jubilerski, warsztat naprawiający traktory oraz mniejszy hotel o nazwie Królowa Śniegu z własnym licencjonowanym barem. W mieście nie było szkoły, choć kiedyś istniała. Jej białe fundamenty widniały po drugiej stronie małego, pozbawionego drzew parku, w którym stał pomnik ofiar wojny z wyrytymi nazwiskami poległych oraz flagą i masztem. W sumie miasto tworzyło dziesięć schludnych, przecinających się pod kątem prostym

nieutwardzonych uliczek, przy których stały skromne białe domy z wypiełgnowanymi trawnikami, często z pojedynczymi świerkami i ogródkami z ostatnimi kwitnącymi petuniami, czasami z angielską flagą na maszcie otoczonym pomalowanymi białą farbą kamieniami lub katolickimi żłóbkami, które znałem z Montany. Były też: otoczone siatką ziemne boisko do baseballu, lodowisko do curlingu i hokeja, gdy nadejdzie zima, zarośnięty chwastami kort tenisowy bez siatki oraz cmentarz, na południe od którego zaczynały się pola i kończyło miasto.

Podczas spacerów wpatrywałem się badawczo w witrynę sklepu jubilerskiego, oglądając zegarki marek Bulova, Longines i Elgin, małe diamentowe pierścionki zaręczynowe, bransoletki, srebrne sztucce i aparaty słuchowe, i tace pełne jaskrawych kolczyków do uszu. Raz wszedłem do pogrążonej w półmroku drogerii i kupiłem mały zegarek, żeby budzić się o czasie, a potem wdychałem zapachy kobiecych perfum i słodkich mydeł, i saturatora z napojami, i ostrą woń środków chemicznych, dolatującą z głębi pomieszczenia. Któregoś popołudnia zajrzałem do salonu Chevroleta i obejrzałem najnowszy model, który mieli – lśniąca czerwona impalę z twardym dachem, która na pewno spodobałaby się ojcu. Posiedziałem chwilę w fotelu kierowcy, wyobrażając sobie, że mknę przez otwartą prerię jak wtedy, gdy ojciec wrócił nowym desoto i zaparkował go przed domem, a w życiu Berner i moim nie działo się nic ciekawego. W końcu podszedł do mnie sprzedawca w żółtej muszce, stanął przy drzwiach i oznajmił, że jeśli chcę, mogę wrócić chevym do domu, a później roześmiał się i zapytał, skąd jestem. Powiedziałem, że jestem Amerykaninem, że przyjechałem w odwiedziny do wuja i mieszkam w hotelu Leonard oraz że mój ojciec sprzedawał samochody w Stanach (było to dla mnie nowe wyrażenie). Ale on nie wydawał się zainteresowany i odszedł.

Kiedy indziej poszedłem do zamkniętej biblioteki i zajrzałem do środka przez grube szklane drzwi, oglądając rzędy pustych półek, przewrócone krzesła i długie biurko stojące w mroku, odwrócone bokiem do drzwi. Przeczytałem plakaty wiszące przed kinem, które działało jedynie w weekendy i wyświetlało same westerny. Zbadałem ziemne alejki za miastem, prowadzące do stacji rozrządowej, obserwowałem ciężarówki z pszenicą i cysterny mknące na wschód i na zachód, jak to robiłem w Great Falls, z podobnie wyglądającymi wymizerowanymi pasażerami na gapę,

którzy patrzyli tak, jakby mnie znali, przesuając się w otwartych drzwiach wagonów towarowych. Przeszedłem obok rzeźni, przeczytałem, że dzień uboju przypada we wtorek – ze skreślonego odręcznie znaku – i ujrzałem skazaną na zagładę krowę czekającą w zagrodzie za budynkiem. Minąłem warsztat naprawczy firmy Massey-Harris, gdzie mężczyźni pracowali w ciemnym tunelu, spawając coś w maszynach rolniczych za pomocą palników i masek. Cmentarz znajdował się poza granicami miasta, ale tam nie poszedłem. Nigdy nie byłem na cmentarzu, nie sądziłem jednak, żeby w Kanadzie te miejsca wyglądały inaczej niż w Stanach.

Oczywiście chodzenie po mieście to całkiem inna sprawa, gdy ktoś czeka na człowieka w pobliskim domu, myśli o nim i zastanawia się, co tamten porabia i czy nie spotkało go nic złego. Odbyłem wiele takich wędrówek na początku września, kiedy nagle – w sposób typowy dla tego rejonu – pogoda się zmieniła i lato się skończyło, a przede mną i pozostałymi mieszkańcami Fort Royal pojawiła się perspektywa zimy. Niewielu ludzi ze mną rozmawiało, choć nikomu nie zależało specjalnie na tym, żeby ze mną nie rozmawiać. Niemal wszyscy, których mijałem na ulicy, patrzyli mi w oczy i rejestrowali moją obecność, potwierdzając, jak sądziłem, że mnie zapamiętali i że powinienem o tym wiedzieć. I chociaż nie znalazłem w Fort Royal niczego, co by je wyróżniało, ja sam wyróżniałem się wśród tych ludzi, którzy znali się nawzajem i polegali na tej wiedzy. (Był to najważniejszy element, którego nie rozumiał mój ojciec, a który spowodował, że został złapany po tym, jak napadł na bank w Dakocie Północnej). Powiedzielibyście, że wędrowałem po mieście tak, jak zrobiłby to każdy obcy. Miejsce wydawało się dziwne z tej racji, że znajdowało się w innym kraju, ale nie różniło się bardzo od tego, co już znałem. Może z jednej strony podobieństwo do Ameryki pogłębiało jedynie wrażenie obcości, ale z drugiej czyniło miasteczko atrakcyjnym, więc w końcu nawet je polubiłem.

Któregoś dnia, gdy stałem przed wystawą drogerii, oglądając z zaciekawieniem barwne naczynia, młynki, kubki, moździerz, tłuczki i mosiężne wagi – przedmioty, których nie widziałem w sklepie sieci Rexall w Great Falls, co powodowało, że sklep w Fort Royal wydawał się bardziej poważny – minęła mnie kobieta z córką. Odwróciła się, a później cofnęła i spytała:

– Mogę ci w coś pomóc?

Miała na sobie biało-czerwoną sukienkę w kwiatowy deseń, biały pasek z lakierowanej skóry i białe lakierowane skórzane buty do kompletu. Mówiła bez akcentu, na co uczuliła mnie Mildred. Wydawała się przyjaźnie nastawiona, pewnie zauważyła mnie wcześniej i domyśliła się, że jestem przyjezdny. Nikt wcześniej nie zwrócił się do mnie w taki sposób – jak do kogoś zupełnie obcego. Dorośli obecni w moim życiu zawsze wszystko o mnie wiedzieli.

– Nie – odparłem. – Dziękuję.

Nie zdawałem sobie sprawy, że choć jej głos nie brzmiał dla mnie inaczej, ja sam mogłem mówić inaczej niż ludzie, których codziennie spotykała. Może również inaczej wyglądałem, chociaż nie sędzę, aby tak było.

– Do kogo przyjechałeś? – spytała z uśmiechem, choć patrzyła na mnie podejrzliwie.

Jej córka – w moim wieku, o jasnych puklach kręconych włosów i uroczych, małych niebieskich oczach, które były nieco wyłupiaste – stanęła obok niej, przypatrując mi się uporczywie.

– Przyjechałem w odwiedziny do wuja – odrzekłem.

– Kto to taki? – Jej niebieskie oczy, podobne do oczu córki, błysnęły oczekiwaniem.

– Pan Arthur Remlinger – odpowiedziałem. – Właściciel hotelu Leonard.

Zmarszczyła brwi, coraz bardziej zaniepokojona. Jej ciało zeszywniało, jakby nazwisko Arthura Remlingera sprawiło, że stałem się kimś innym.

– Zamierza posłać cię do szkoły w Leader? – spytała, jakby czymś się zmartwiła.

– Nie – odparłem. – Mieszkam w Montanie z rodzicami. Wrócę niebawem. Chodzę tam do szkoły. – Poczuję się dobrze, mogąc to powiedzieć, jakby któraś z tych rzeczy nadal była prawdą.

– Kiedyś pojechałyśmy na targi do Great Falls – podjęła. – Było przyjemnie, ale przyszły tłumy ludzi. – Uśmiechnęła się nieco szerzej, kładąc rękę na ramieniu córki, która także się uśmiechnęła. – Jesteśmy LDS. Chciałbyś przyjść na nabożeństwo?

– Dziękuję – odpowiedziałem.

Wiedziałem, że skrót LDS oznacza mormonów – od mojego ojca i Rudy'ego, którzy utrzymywali, że mormoni rozmawiają z aniołami i nie lubią czarnych. Myślałem, że kobieta powie coś jeszcze, zada pytanie. Ale

tego nie zrobiła. Odeszła z córką ulicą, zostawiając mnie przed oknem wystawowym drogerii.

Innymi popołudniami, kiedy nie zostawałem w Fort Royal i nie prowadziłem swoich badań, żeby się czymś zająć, jechałem higginsem do Partreau z małym pakunkiem zimnego jedzenia w koszu, aby przed zapadnięciem zmroku zjeść posiłek w moim rozpadającym się domku. Smutno było jeść samemu w jednym z dwóch chłodnych, pozbawionych światła pomieszczeń, bo oba były zagracone po sufit cuchnącymi kartonami i wyschlými śmieciami pozostawionymi przez myśliwych przyjeżdżających każdej jesieni, żeby polować na gęsi. Nie było tu dla mnie miejsca z wyjątkiem żelaznej pryczy i drugiej, którą przygotowano dla Berner, „pomieszczenia kuchennego” z wyrzuszonym czerwonym linoleum, jedną jarzeniówką na suficie i dwoma palnikami, na których gotowałem w rondlu cuchnącą smołą wodę, aby się umyć przed pójściem do łóżka. Wszystko w domu przesiąkło zapachem starego dymu i dawno zepsutej żywności, i wygodką, i innymi ostrymi ludzkimi woniami, których źródła nie umiałem określić, więc nie mogłem podjąć próby ich zlikwidowania, choć miałem je w ustach, czułem na skórze i ubraniu, kiedy codziennie wychodziłem do pracy, co powodowało, że byłem skrępowany. Rano czyściłem zęby przy pompie przed domem i myłem twarz mydłem Palmolive, które kupiłem w drogerii. Kiedy zrobiło się chłodniej, wiatr szczypał mnie w ramiona i policzki, wywołując napięcie mięśni i ból. Wiedziałem, że gdyby Berner tu była, poddałaby się i uciekła, a ja odszedłbym razem z nią.

Ale przywożenie jedzenia z hotelu i czekanie do zmroku, aby je zjeść w przyćmionym górnym świetle, powodowało, że od razu kładłem się na mojej pryczy i leżałem godny pożałowania, starając się czytać jedno z moich czasopism szachowych lub marząc o obejrzeniu jakiegoś programu w zepsutym telewizorze, a jednocześnie słuchając gołębi gruchających pod cynowym dachem, wiatru poruszającego deskami elewatora po drugiej stronie szosy oraz nielicznych samochodów i ciężarówek przejeżdżających nocą, a czasami wracającego późno z hotelowego baru Charleya Quartersa, stojącego w chwastach przed swoją przyczepą i gadającego do siebie. (Przeczytałem już hasło „Metysi” w tomie World Book z literą M i wiedziałem, że to mieszańcy Indian i Francuzów).

Co noc wszystko sprzysięgało się przeciwko mnie, wywołując pozbawione nadziei myśli o rodzicach i Berner oraz potęgując pewność, że byłoby mi lepiej w rękach instytucji opiekującej się nieletnimi, bo przynajmniej posłano by mnie do szkoły (nawet gdyby miała kraty w oknach) i miałbym z kim porozmawiać (nawet gdyby byli to nieokrzesani chłopcy ze wsi lub zdeprawowani Indianie). A tak sterczałem tutaj, gdzie na pewno zachoruję (bo zazwyczaj chorowałem jesienią) i nikt się mną nie zajmie ani nie zabierze do lekarza. Zostałem, a cały świat szedł naprzód. Ani słowem nie wspomniano – bo nikt ze mną nie rozmawiał z wyjątkiem Charleya, którego nie lubiłem i który nigdy nie zwracał na mnie uwagi – że wrócę do czegoś, co wcześniej znałem, lub kiedykolwiek zobaczę rodziców. Że mogą kiedyś przyjechać, aby mnie zabrać. Leżąc w ciemności w Partreau, miałem wrażenie, że nie jestem dokładnie tym, kim byłem wcześniej: ogładzonym chłopcem, który pójdzie do college’u, mającym za sobą rodzinę i siostrę. Stałem się mniejszy w oczach świata, niewiele znaczący, może nawet w ogóle niewidoczny. Wszystko to sprawiało, że czułem się bliższy śmierci niż życia. Oczywiście piętnastolatek nie powinien się tak czuć. Ale przebywając w tym miejscu, zacząłem myśleć, że już mi się dobrze nie powodzi i że przypuszczalnie nigdy nie będzie, chociaż kiedyś w to wierzyłem. Moja buda w Partreau wyglądała jak nieszczęście. Gdybym mógł płakać nocami, z pewnością bym to robił. Ale nie było nikogo, dla kogo mógłbym płakać, a poza tym nienawidziłem łez i nie chciałem być tchórzem.

Jeśli jednak nie dołowałbym się w ten sposób każdego dnia, nie czułem się rozgoryczony i porzucony, gdybym nie wracał sześciu kilometrów na rowerze do Partreau i nie jadł zimnego jedzenia po zapadnięciu zmroku zamiast o siedemnastej, ale przeznaczyłbym wolny czas na własne zainteresowania i zwracał uwagę na to, co mnie otaczało (bo Mildred poradziła mi: „Nie przekreślaj niczego”), wówczas mógłbym lepiej ocenić swoją sytuację, zyskać przekonanie, że sobie poradzę i wytrzymam. Bo ostatecznie bycie porzuconym nie leżało w moim interesie, nawet jeżeli co noc nawiedzało mnie doznanie pustki, ponieważ nie wiedziałem, kim jestem ani gdzie jest moje miejsce w świecie, jak wygląda moja sytuacja i jak może się ułożyć moje dalsze życie. Bo przecież gorzej być nie mogło! Berner o tym wiedziała, dlatego uciekła i pewnie już nigdy nie wróci. Wiedziała, że wszystko jest lepsze od bycia dwójką dzieci porzuconych

przez rabusiów bankowych. Charley Quarters powiedział, że człowiek przekracza granicę, aby przed czymś uciec albo się ukryć, a pod tym względem Kanada jest bardzo dobra (choć samego przekroczenia granicy prawie nie zauważyłem). Ale w trakcie tego procesu stawałeś się kimś innym – co przydarzyło się mnie i musiałem to zaakceptować.

W tamte długie chłodne popołudnia spędzane pod wysokim niebem, kiedy za dnia można było zobaczyć księżyc (znalazłem zepsuty stół jadalny w oście, wyniosłem zepsute krzesło z mojej budy i ustawiłem obok okna, przy krzaku bzu, skąd mogłem spoglądać na północ), urządziłem drugi obchód po Partreau. Był to rekonesans zupełnie innej natury. W Fort Royal poszukiwałem tego, co odróżniało je od miast, które znałem, a także próbowałem się pojednać z nowym, a łażąc po Partreau, oddalonym zaledwie sześć kilometrów od Fort Royal, miałem wrażenie, że zwiedzam muzeum wymarłej cywilizacji – cywilizacji, która została stąd wyparta, aby rozkwitnąć gdzie indziej lub nie rozkwitnąć nigdy więcej.

W Partreau było zaledwie osiem dziurawych ulic przebiegających na linii północ-południe i sześć prowadzących z zachodu na wschód. Każda ze swoją nazwą, choć na słupach pozostały tylko nieliczne, które można było odczytać. South Ontario Street. South Alberta Street (przy niej stała moja buda). South Manitoba Street, gdzie znajdowały się maleńki budynek poczty i dom, w którym mieszkała pani Gedins. W sumie naliczyłem osiemnaście ogołoconych domów bez okien i drzwi, z zasłonami powiewającymi w podmuchach wiatru, każdy z numerem. South Labrador Street przebiegała na granicy miasta i wcinających się w nie pół pszenicy, wzdłuż prostokątnego rzędu uschłych oliwników i klonów jesionolistnych, bobowców i czeremch, na których gałęziach przysiadły obserwujące szosę preriokury, a sroki buszowały w krzakach w poszukiwaniu owadów.

Obchodząc przecznice, mierząc place i kwadratowe fundamenty, naliczyłem, że kiedyś było tu ponad pięćdziesiąt domów. W zaśmieconych chwastach i bramach prowadzących na podwórko kryły się wypalone, zardzewiałe szczątki samochodów, przewrócone maszyny i doły na odpadki pełne szafek, pękniętych luster oraz butelek po lekarstwach i metalowych ram łóżek, trójkołowych rowerów i desek do prasowania, sprzętów kuchennych i koszyków dla niemowląt, basenów i budzików, wszystko to na pół spalone i porzucone. Na południowym skraju miasta, prostopadle do

pól i rzędu drzewek oliwnych, odkryłem pozostałości sadu z jabłoniami. Wyschłe pnie opierały się jeden o drugi, kora o korę, jakby ktoś zamierzał je spalić lub przygotował na opał, a później zapomniał. Znalazłem też rozebrane zardzewiałe resztki wesołego miasteczka – czerwone siatkowane krzesła karuzeli, drucianą kapsułę kuli, trzy elektryczne samochody, koło diabelskiego młyna, wszystko rozrzucone i zdewastowane, do tego zwoje grubego łańcucha i bloki spoczywające głęboko w chwastach oraz przewróconą drewnianą budkę do sprzedaży biletów, pomalowaną jaskrawym odcieniem zielonej i czerwonej farby, z rolką pożółkłych biletów w środku. Nie znalazłem natomiast żadnego cementarza.

Przyjrzałem się przelotnie dwóm białym ulom stojącym uroczyście w perzu, za linią drzew, gdzie słońce oświetlało ich boki. Pomyślałem, że to Charley kiedyś hodował pszczoły. Ule stały na ceglach, ale nie miały płaskiego dachu, który był taki ważny, i nie było w nich owadów. Deski obluzowały się na łączach i zaczęły gnić od dołu. Cienka warstwa farby, którą je pomalowano, wyschła i zaczęła się łuszczyć, a ramy na pszczele plastry (wtedy już sporo o nich wiedziałem) leżały w chwastach obok pary zbutwiałych rękawic roboczych. W kurzu brzęczały koniki polne.

Dalej – jakieś sto metrów w polu, za wyschłą sadzawką – stał samotny żuraw pompowy, którego silnik szumiał w popołudniowym wietrze, wyrzucając gryzące wyziewy, gdy posuwał się w górę i w dół. Twarda okrągła działka była czarna i przesiąknięta ropą, którą urządzenie wydobywało i rozlewało wokół. Dwa duże białe liczniki przytwierdzone do silnika coś mierzyły. Któregoś dnia obserwowałem z mojego domu samotnego mężczyznę, który przejechał przez miasto furgonetką, kierując się do pompy. Wysiadł, rozejrzał się wokół, spojrzął na liczniki, zbadał poruszające się części i zapisał coś na kartce umieszczonej na podkładce. Później odjechał w kierunku Leader i nigdy (jeśli się nie mylę) nie wrócił.

Innym razem poszedłem do rzędu budynków handlowych należących do firm, które działały kiedyś przy szosie, zwróconych przodem do niej, elewatora i torów Canadian Pacific. Leżąc na łóżku, często słyszałem pociągi towarowe przejeżdżające późną nocą – szum potężnych silników Diesla, pisk resorów, zgrzyt hamulców i stukot podkładów. W Partreau nie stawały żadne składy. Elewator od dawna był pusty. Czasami zrywałem się z łóżka i wybiegałem na zewnątrz w chłodny mrok spowity blaskiem księżycy, na bosaka i w bokserkach, mając nadzieję, że zobaczę zorzę,

o której opowiadał mi ojciec, ale nigdy nie widziałem jej w Great Falls – i nigdy nie zobaczyłem w Partreau. Rzucające kwadratowe cienie wagony z pszenicą, cysterny i platformy kołysały się i podskakiwały, syjąc iskry spod kół, a przyćmione żółte światło migotało w wagonie obsługi składu. Często na tylnej platformie stał człowiek – jak politycy na zdjęciach, które widziałem, wygłaszający płomienną mowę do tłumów – wpatrując się w pustkę, która się za nim zamykała. Czerwone tylne światło padało na jego twarz, ale nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go obserwuje.

Kiedy zbadałem małe budynki handlowe – niewielki pusty bank, kamienny dom masonów z 1909 roku, sklep obuwniczy firmy Atlas z rozrzuconymi butami, ciemny salon bilardowy, stację benzynową z zardzewiałymi pompami o szklanej pokrywie, biuro ubezpieczeniowe, gabinet urody z dwiema przewróconymi srebrnymi suszarkami do włosów i podłogą zasłaną cegłami, kawałkami mebli oraz półkami na towary, z zepsutymi tylnymi drzwiami, przez które wpadały do środka części nieprzydatnych człowiekowi urządzeń – przyłapałem się na tym, że myślę o życiu, które tu kiedyś tętniło, a nie o życiu, które zostało zepchnięte na bok. Już nie traktowałem tego miejsca jak muzeum, ale miałem o nim lepsze zdanie. Chociaż nauczono mnie, aby się nie asymilować, miałem poczucie, że człowiek asymiluje się bezwiednie, nie zdając sobie z tego sprawy. Że sam to robię – bez udziału innych i bez względu na nich. Że asymilacja wcale nie jest taka trudna i ryzykowna i nie musi być trwała. Świadomość tego stała się dla mnie źródłem innego rodzaju wolności – jakbym rozpoczął życie na nowo lub stał się kimś innym. Nie kimś, kto tkwi nieruchomo, ale kto się porusza, bo taka jest natura tego świata. Mogłem ją polubić lub znienawidzić, ale świat wokół mnie zmieniał się niezależnie od tego, co czułem.

Kiedy nadeszła jesień, zmieniły się również moje codzienne obowiązki.

Wiatr teraz się wzmógł i zaczął nadciągać z północy, niosąc kurz od strony pól. Na niebie pojawiały się większe i cięższe obłoki, a szare deszczowe chmury sunęły na wschód nad prerią. Zacząłem częściej widywać Charleya Quartersa. Woził nas teraz regularnie z panią Gedins, a po południu zabierał mnie furgonetką na długie wyprawy, angażując w swoje sprawy, co polegało głównie na polowaniu na kojoty. Najpierw tropiliśmy je przez lornetkę, a później jechaliśmy serpentynami, żeby przeciąć im drogę w miejscu, gdzie zamierzały przebiec na drugą stronę. Ale wlewaliśmy również wodę do nor susłów, żeby je wypłoszyć, i sprawdzaliśmy różne pułapki w poszukiwaniu królików, lisów i piżmaków. Czasami znajdowaliśmy w nich też małe jelenie lub rysie, sowy, jastrzębie czy gęsi, które Charley zabijał ze strzelby lub dobijał nożem. Później rzucał często jeszcze drgające, mrugające ślepiami zwierzę na skrzynię, aby zdjąć z niego skórę, wysuszyć i naciągnąć, a czasem nawet zafarbować i zakonserwować w swoim blaszanym baraku, zawieźć do Kindersley i sprzedać u Brechtmanna, gdzie nie mogłem się pokazywać. Powiedział mi, że kilka razy widział na prerii łosie odpoczywające w pasach drzew zapewniających osłonę przed wiatrem i że ich poroże jest bardzo cenne, choć te zwierzęta nie występują już w takiej obfitości jak kiedyś. Określał swoją robotę mianem „prymitywnego wypychania zwierząt”. Tłumaczył mi też, że dzięki pułapkom na zwierzęta Metysi mogli prowadzić niezależne życie, ale zwierzyny było coraz mniej, a kolejne prowincje wydawały przepisy zakazujące dawnych praktyk łowieckich. Teraz musieli pracować dla ludzi pokroju Arthura Remlingera, którego Charley chyba raczej nie lubił, choć A.R. stanowił w jego życiu stałą, której nigdy by nie zmienił.

Musiałem z nim jeździć i uczyć się kierować ciężarówką – jak Charley określał swój półtonowy furgon – bo kiedy robi się zimniej i dzikie gęsi, kaczki oraz żurawie zaczęły migrować z północy (często wspominał

o dwóch miejscach: Lac La Ronge i Reindeer), robiąc sobie przystanki w pszenicy i na równinach oraz w okolicy stawów poniżej Saskatchewanu Południowego, kilka kilometrów na północ od Fort Royal, miałem otrzymać nowe zadanie. Oznaczało to, że musiałem się nauczyć także czegoś o strzelaniu (choć nie wolno mi było tego robić) i towarzyszyć Charleyowi podczas wieczornych wypraw w pole, aby wypatrywać gęsi i wiedzieć, gdzie będą kolejnego dnia, wykopać doły i przyjść następnego ranka przed świtem, żeby rozstawić wabiki i umieścić myśliwych w dołach, by o świcie mogli strzelać do gęsi zamierzających żerować w polu i przelatujących wielkimi stadami nad rzeką.

Moje główne zadanie polegało na tkwieniu w kabinie furgonu z lornetką, kilometr od wabików, aż czerwone słońce wynurzy się zza linii horyzontu. Charley siedział w tym czasie w kucki w swoim dole z myśliwymi – zwykle po czterech w czterech dołach – i nawoływał gęsi ludzkim głosem, wydając dziwne, nienaturalne gardłowe dźwięki, z których był bardzo dumny. Ściągał w ten sposób ptaki do wabików, aby było łatwo je ustrzelić. (Powiedział, że nigdy się tego nie nauczę, bo tylko Metysi to potrafią). Z furgonetki widziałem przez lornetkę nawet trzy doły i mogłem obserwować, gdzie upadły zestrzelone gęsi. Liczyłem zabite i ranne sztuki, aby nie przekroczyli limitu pięciu ptaków na jednego myśliwego. Po zakończeniu polowania, kiedy ziemię zaścielały martwe lub dogorywające gęsi, a słońce stało już wysoko i nie można ich było dłużej wabić, odwoziliśmy myśliwych furgonetką do hotelu Leonard, a ja wracałem dżipem z przyczepą o płaskiej skrzyni, zabierałem wabiki i ubite ptactwo i zawoziłem to wszystko do baraku w Partreau. Tam, na kłodzie do patroszenia, odrąbaliśmy im siekierą skrzydła, nogi i głowy, usuwaliśmy pióra za pomocą maszyny skonstruowanej przez Charleya, a później patroszyliśmy i owijaliśmy tusze w papier od rzeźnika, i zawoziliśmy myśliwym, którzy wyjeżdżali tego samego dnia, lub ładowaliśmy do zamrażarki Charleya, żeby klienci mogli je zabrać, kiedy zapragną wrócić do domu – który zwykle znajdował się w Ameryce.

Było to dla mnie zupełnie nowe życie, bo wcześniej widziałem jedynie bazy sił powietrznych i miasteczka położone w ich sąsiedztwie, szkoły i wynajęte domy, w jakich mieszkałem z siostrą i rodzicami, którzy nie posiadali przyjaciół, nie przystosowali się, nie mieli obowiązków ani przygód i nigdy nie spędzili samotnie dnia na prerii. Choć wcześniej nie

pracowałem – mimo wstydu przyznałem się do tego Arthurowi Remlingerowi – odkryłem, że nie mam nic przeciwko obowiązkom, że wykonuję je skrupulatnie i wytrwale, w hotelu Leonard i na polu, przy dzikich gęsiach. Przyznaję, że moje zadania były drobne, ale traktowano je poważnie. W hotelu często obserwowałem dorosłych, gdy byli sami lub myśleli, że nikt ich nie widzi, bo ich zachowanie wydawało mi się interesujące. Na prerii zdobyłem wyjątkową wiedzę, jakiej nie posiadali inni chłopcy w moim wieku, do czego zawsze dążyłem. Najważniejsze jednak było to, że gdy rano wyruszałem do zwykłych zajęć, mój umysł zapominał o sprawach, którymi zwykle był zajęty: o rodzicach, ich smutnym losie, popełnionym przestępstwie i siostrze. Dzięki temu, gdy wieczorem kładłem się do łóżka, często zmęczony i obolały, na chwilę pozostawał pusty i mogłem od razu zasnąć. Dopiero później budziłem się samotnie w ciemności i dawne myśli już na mnie czekały.

Charley Quarters był pod każdym względem najdziwniejszą postacią, jaką znałem. Nie lubiłem go, już o tym wspomniałem, ani mu nie ufałem i zawsze czułem się niepewnie w jego obecności. Nigdy nie zapomniałem, jak ścisnął mi dłoń w ciemności, kiedy jechaliśmy ciężarówką pierwszej nocy. Zdawałem sobie sprawę, że mnie obserwuje, gdy wychodzę z domu i jem przywiezioną kolację przy jadalnym stole lub spaceruję, zapoznając się z okolicą i szukając sposobu na oswojenie się z samotnością. Czasami, gdy jechaliśmy ciężarówką, kołyszac się wśród morza pszenicy, widziałem, że ma usta umalowane szminką. Innym razem czułem od niego zapach słodkich perfum albo miał umalowane brwi czy jego czarne włosy wydawały się ciemniejsze niż zwykle, a na czole widać było ciemne rozmazane smugi. Oczywiście nie wspomniałem o tym ani słowem i udawałem, że niczego nie zauważyłem, ale byłem pewny, że Arthur Remlinger o tym wie i najpewniej nic go to nie obchodzi. Czułem, że obaj są tak dziwni, jak to tylko możliwe. Ponieważ dzieliliśmy wygodkę za moim domem – w której znajdowały się dwa otwory umieszczone obok siebie, worek wapna i plik starych numerów wychodzącej w Saskatchewan gazety „Commonwealth” – miałem świadomość, że Charley może nadejść nieoczekiwanie, kiedy znajdę się w środku. Wychodek był pozbawiony zasuwki lub zamka, więc siedząc na tronie, jak mawiał ojciec, musiałem z całej siły przytrzymać drzwi za pomocą gwoźdźca i kawałka szpagatu,

które zainstalowałem w środku. Stałem się przez to ostrożny i odwiedzałem wygodkę tylko wtedy, gdy Charley siedział w swojej przyczepie, lub późną nocą, chociaż obawiałem się węży i zawsze starałem się korzystać z toalety dla gości na piętrze hotelu Leonard.

Muszę jednak przyznać, że moje niepokoje (dowiedziałem się, że prawdziwe nazwisko Charleya brzmiało Quentin) okazały się nieuzasadnione. Zwykle był rozkojarzony, kiedy znajdowałem się w pobliżu, jakby nękały go własne myśli, których nie potrafił ukończyć. Często wspominał, że nie spał, że w ogóle źle sypia. Kiedy czasami wyglądałem przez okno w środku nocy – zbudzony zawodzeniem kojotów – w jego przyczepie zawsze paliło się światło. Wyobrażałem sobie, że Charley leży w środku, nasłuchując szumu wiatru. Kiedyś powiedział mi, że w dzieciństwie miał paskudną infekcję jelit, która często nawracała, dręcząc go i uniemożliwiając prowadzenie normalnego życia. Czasami widywałem go przed przyczepą, karmiącego ptaki, które zlatywały się ze wszystkich stron i siadały wokół jego rzeźb oraz srebrnych wirujących instalacji. Często poprawiał plastikowe śmigła tych konstrukcji, żeby się lepiej obracały na wietrze. Zdarzało się też, że wynosił na dwór żelazne sztangi, które trzymał w baraku, i wykonywał podrzuty, przysiady i zwroty w chwastach. Innym razem wytaszczył worek drewnianych kijów do golfa i łubiankę z piłkami. Ustawiał piłki na kępach trawy i sztywnym ruchem posyłał jedna po drugiej w kierunku szosy i torów kolejowych, gdzie podskakiwały na asfalcie, uderzały z brzękiem w ściany elewatora lub po prostu szybowały w powietrzu i znikwały wśród pól. Musiał mieć niewyczerpany zapas tych piłek, bo nigdy nie zauważyłem, aby po którejś poszedł.

Najczęściej jednak z ociąganiem uczył mnie, jak mam się zachowywać, kiedy przyjadą myśliwi. Pewnie wymyślił to Arthur Remlinger, żeby mnie czymś zająć do czasu, aż zdecyduje, co ze mną zrobić. Ale ja byłem zainteresowany nauką, bo oprócz tego niczego się nie uczyłem i byłem smutny z tego powodu. Zapytałem Charleya o szkołę – czy mógłbym do niej chodzić – bo co rano obok Partreau przejeżdżał żółty autobus z wymalowanym napisem „II Zespół Szkół w Leader”, taki sam jak w Stanach, i każdego popołudnia wracał z dudnieniem do Fort Royal z postaciami uczniów w oknach. Często mijał mnie, kiedy pedałowalem boczną drogą na starym rowerze tam i z powrotem. Nikt w środku nie

skinął mi ręką, nie pomachał ani nie zmienił wyrazu twarzy na mój widok, choć raz widziałem tę ładną dziewczynę z LDS o lekko wyłupiastych oczach, której matka zagadnęła mnie na ulicy. Odniosłem wrażenie, że mnie nie poznała. Chociaż stopniowo moje samopoczucie się poprawiało i zacząłem się przyzwyczajać do tego miejsca (jak przewidział Remlinger), zawsze gdy autobus mijał mnie na drodze, czułem się porzucony i miałem wrażenie, że już nigdy nie usiądę w klasie, nie zdobędę wykształcenia ani ogłady, jak chciałem. I że być może (co pod pewnymi względami było najgorszą rzeczą) przeceniłem znaczenie edukacji w wielkim porządku świata.

Ale kiedy spytałem Charleya o szkołę, zignorował mnie. Od pani Gedins dowiedziałem się, że przy szosie do Leader, w miasteczku Birdtail, kilka kilometrów od nas, jest katolicka szkoła dla zbłąkanych dziewcząt. Pomyślałem, że mógłbym dojeżdżać tam na rowerze i uczestniczyć w sobotnich zajęciach, bo pani Gedins wspomniała, że szkoła funkcjonuje cały tydzień. Kiedy jednak napomknąłem o tym Charleyowi, wyjaśnił, że do kanadyjskich szkół chodzą tylko kanadyjskie dzieci, a nie ma najmniejszego powodu, żebym miał się stać jednym z nich.

Nadszedł jeden z ostatnich ciepłych dni. Niebo było błękitne, a mleczna linia chmur zwiastujących pierwszą zimową burzę zawisała nad Albertą oddaloną zaledwie o osiemdziesiąt kilometrów od nas. Charley i ja siedzieliśmy na dwóch rozkładanych aluminiowych krzesłach ogrodowych na skalnej wychodni, spoglądając w dół na ogromne stado gęsi sadowiące się w polu jęczmienia po drugiej stronie rzeki Saskatchewan Południowy. Z każdą chwilą ptaków przybywało, a do rozpoczęcia sezonu polowań został tylko tydzień. Obserwowaliśmy ich nawyki, żeby wiedzieć, które pola sobie upodobały, jaka jest liczebność stada, gdzie stoi woda, a gdzie już wyschła i w jakich miejscach powinny się znajdować doły strzeleckie. Chociaż czułem się nieswojo w towarzystwie Charleya, chciałem się od niego uczyć, dowiedzieć się wszystkiego, co mógł mi przekazać, bo nie miałem zielonego pojęcia o polowaniu, myśliwych i strzelaniu do gęsi dla rozrywki.

Charley rozpuścił swoje czarne włosy. Podkoszulek odsłaniający sękaty umięśnione ramiona powodował, że jego dłonie oraz wydatny tors wydawały się większe i potężniejsze. Miał tatuaże na obu przedramionach. Jeden przedstawiał twarz uśmiechniętej kobiety z bujnymi włosami

gwiazdy filmowej, jak włosy Charleya, a pod nią umieszczony był napis „Ma Mère”[16], drugi zaś, o mniej oczywistym znaczeniu, ukazywał niebieski łeb bizona z wytrzeszczonymi czerwonymi ślepiami. Charley położył na kolanach swoją wysłużoną strzelbę z zamkiem dźwigniowym, wetknął papierosa do ust i obserwował przez lornetkę duże stado gęsi, które przysiadło w oddali, za lśniąącym nurtem rzeki, oraz parę kojotów śledzącą ptaki ze wzgórze i stopniowo zbliżającą się do zdobyczy.

– Kanadyjczycy są puści w środku – dodał po zakomunikowaniu, że nie powinienem marzyć o staniu się jednym z nich, choć wcale o tym nie wspominałem. Sądziłem, że w kanadyjskich szkołach uczą tych samych przedmiotów co w amerykańskich. Dzieci w autobusie wyglądały podobnie jak ja, mówiły po angielsku, miały rodziców i nosiły identyczne ubrania. – Za to Amerykanie są pełni... – kontynuował Charley – ...pełni oszustwa, zdrady i zniszczenia. – Nie odrywał lornetki od oczu, a z jego papierosa unosiły się kręte pasemka dymu, wirując w ciepłym powietrzu. – Jesteś synem rabusiów bankowych, co?

Zasmuciłem się, że o tym wiedział. Pewnie od Arthura Remlingera. Zaprzeczanie nie miało sensu, ale nie sądziłem, by to, co powiedział o Amerykanach, było prawdą, nawet jeśli moi rodzice urządzili skok na bank.

– Tak – odparłem z ociąganiem.

– Nie uważam, żeby zrobili coś bardzo złego.

Opuścił lornetkę i spojrzał na mnie, szerzej otwierając powieki, co sprawiło, że jego głowa o nadmiernie rozwiniętych kościach policzkowych, grubych brwiach i wydatnej dolnej szczęce nabrała groteskowego kształtu. Tego dnia miał szminkę na ustach, ale nie pomalował rzęs. Jedno z ciemnoniebieskich oczu – lewe – miało trwałą czerwoną plamkę krwi na białku. Nie miałem pojęcia, czy na nie widzi czy nie.

– Moi rodzice mieszkali w domu z klepiskiem w Lac La Biche w Albercie. Zmarli na gruźlicę – powiedział. – Napad na bank byłby dla nich ogromnym krokiem naprzód.

– Myślę, że źle zrobili – odrzekłem, mając na myśli własnych rodziców. Odniosłem wrażenie, że przydarzyło się to dawno temu, choć minęło zaledwie kilka tygodni od dnia, gdy razem z Berner odwiedziłem ich w więzieniu w Great Falls.

Charley stłumił kaszlnięcie dłonią i wypluł coś na ziemię, a później przyjrzał się ślinie i odwrócił.

– Coś we mnie wstępuje, kiedy jadę na południe – podjął. – A później, kiedy wracam na północ, mnie opuszcza. Nie żebym nie mógł już tam jeździć – powiedział.

Zdradził mi, że w przeszłości dużo podróżował po Ameryce. Był w Las Vegas, Kalifornii i Teksasie. Ale coś się stało – nie wyjaśnił co – i nie mógł już tam wrócić.

– Tutaj wszystko daje się człowiekowi we znaki. Ludzie uważają, że zostali oszukani przez rząd, ale nie zostali – dodał. – Kanada aż się prosi, żeby ją wysadzić.

Pomyślałem, że chodzi mu o miejsce, w którym byliśmy, a nie całą Kanadę, o której nie miał pewnie pojęcia. Powietrze dwieście metrów pod nami zgęstniało od czarno-białych gęsi, ich przenikliwego nawoływania i niewidocznego współdziałania, łopotania skrzydłami i rywalizacji, wznoszenia się i opadania.

– Za sześć tygodni będziesz marzyć, żeby stąd prysnąć, to pewne – ciągnął Charley. – Skończysz na Syberii, ale północ to zły kierunek jak dla mnie.

– Dlaczego pan Remlinger nigdy ze mną nie porozmawia? – spytałem, bo chciałem się tego dowiedzieć.

Charley podniósł strzelbę i ostrożnie przyłożył ją do ramienia. Sądziłem, że tylko obserwuje, bo często to robił.

– Nie wtrącam się w jego sprawy – rzucił od niechcienia.

Oparł plecy o nylonowe paski, znieruchomiał i wziął na muszkę jednego z kojotów. Zwierzę znajdowało się sto metrów od nas. Biegło nagim wzniesieniem, gdzie nie wyrósł jęczmień, w kierunku drugiego wzgórza, za którym mogło się niepostrzeżenie podkraść do gęsi. Jego towarzysz przystanął nieco dalej, obok sterty kamieni. Zamarł, obserwując pierwszego. Nie odezwałem się ani słowem.

Charley opuścił strzelbę i spojrzał w dal, a później zaczerpnął głęboko powietrza i je wypuścił, gryząc niedopałek papierosa. Ponownie przyłożył strzelbę, odchylił się na krześle, odwiódł kurek, robiąc kolejny wdech i wydech przez nos, wypluł papierosa na bok i kolejny raz wciągnął powietrze, aby w końcu oddać jeden ogłuszający strzał.

Kula uderzyła w ziemię za pierwszym kojotem. W oddali ujrzałem unoszący się obłoczek kurzu i plew. Drugi zwierzak zaczął uciekać, wyrzucając do przodu długie tylne łapy. Obejrzał się za siebie, jakby mógł pędzić jednocześnie do przodu i w bok. Stado gęsi w dole wydało jeden przeraźliwy krzyk, który poszybował w powietrze. Ptaki zerwały się z rżysk wielką powolną falą – tysiące gęsi, a może więcej, nie sposób było ich policzyć, zaczęły trzepotać skrzydłami, gęgać, wznosić się i opadać jednym hałaśliwym stadem.

Kojot, do którego strzelił Charley, stanął, patrząc na ptaki, a następnie zatoczył koło. Zwrócił łeb w naszą stronę – dwóch niewyraźnych kropeczek i furgonu Charleya stojącego sto metrów za nami. Najwyraźniej nie skojarzył faktów, bo podrapał się tylną łapą za lewym uchem, przekrzywił łeb, żeby móc się lepiej iskać, a później się otrzepał, spojrzął na nas jeszcze raz i podreptał za towarzyszem – bez wątpienia tam, gdzie były inne gęsi.

– Jeszcze dostanę czorta! Już ja go dopadnę! – rzucił Charley, jakby chybiecie było jedynie ćwiczeniem. Wyrzucił łuskę z komory i sięgnął po peta, który tlił się na ziemi. – Świat w mojej osobie zanotował jego numer – dodał. – Myśli, że jest bezpieczny. Jego śmierć i moja śmierć to towarzysze zabawy. Śmieszna sprawa. Ja to wiem, ale on nie wie.

– Co z panem Remlingerem? – spytałem ponownie.

– Nie wtrącam się w jego sprawy. Już ci powiedziałem. – Wetknął papierosa do ust i spojrzął poirytowany. – Dziwny z niego człowiek. Każdemu z nas ktoś żałuje czasu, nie?

Nie zrozumiałem, co miał na myśli, i nie spytałem ponownie. Jak wspomniałem, czułem się nieswojo w towarzystwie Charleya Quartersa. Pomyślałem, że ma zbyt silny związek z życiem poprzez śmierć. Że pewnie mu nie zależy. Że mógłby pokazać mi więcej, gdybym stworzył do tego okazję lub poprosił (ale postanowiłem, że nigdy tego nie zrobię). I że wtedy mógłbym się wszystkiego nauczyć.

Kiedy nie jechałem z Charleyem na prerię i nie zostawałem w Fort Royal, ale byłem sam w swojej budzie i nie oddawałem się ciągłej rozpaczy, zacząłem doświadczać iluzji, że prowadzę niemal szczęśliwe życie, że się nie poddałem i nadal wiodę sensowną egzystencję, jak powiedziałyby mój ojciec. Miałem wrażenie, jakby czas stanął. Mógłbym przebywać samotnie w Partreau przez miesiąc lub sześć miesięcy, a nawet dłużej i nie dostrzegłbym żadnej różnicy – pierwszy dzień byłby taki sam jak setny, jakby stworzono dla mnie mały tymczasowy świat. Wiedziałem, że w końcu dokądś wyjadę – do szkoły (może nawet kanadyjskiej) lub rodziny zastępczej – albo jakimś sposobem przedostanę się na drugą stronę granicy do tego, co tam na mnie czekało. Że moje obecne życie – jego codzienny rytm i rutyna, i budujący je ludzie – nie będzie trwać wiecznie, ale wkrótce się skończy. Nie myślałem jednak o tym tyle, ile moglibyście sądzić. Jak powiedziałem, mój ojciec zaakceptowałby taki sposób myślenia.

Zjawiskiem, które zastąpiło upływ czasu, była pogoda. Na prerii pogoda oznacza więcej niż czas, mierzy zmiany, które dokonują się w niewidzialny sposób. Minęły letnie dni – gorące, suche i wietrzne, z intensywnie niebieskim niebem – a w ich miejsce nadciągnęły jesienne chmury, najpierw makrelowe, później marmurowe, a jeszcze później, niosąc z sobą nowy chłód, brodate jak ogon klaczy. Słońce przesunęło się na południe i prześwitywało pod nowym kątem przez konary martwych drzew wokół Partreau, lśniło jaskrawo w białych zewnętrznych ścianach hotelu Leonard. Nagle całymi dniami padało, a po każdej ulewie powietrze stawało się chłodniejsze i cięższe, przenikało przez czerwono-czarną tartanową bluzę, którą Charley kupił mi w sklepie spółdzielczym i która pachniała potem, chociaż była nowa. Zostało zaledwie kilka ciepłych dni. W trawie pojawiły się włochate robaki. Żółte i brunatne pająki budowały gniazda i pajęczyny na muchy w zbutwiałych skrzydłach okiennych mojej budy. W prześcieradle znajdowałem robaki z klonu. Nieszkodliwe czarne i zielone węże grały się w słońcu na płytach chodnika. Z elewatora

wyłoniły się dwa koty i przeszły na drugą stronę szosy, a za moimi ścianami zachrobotła mysz. Delikatne żółte koniki polne już nie brzęczały w chwastach.

Dzieci siedzące w środku mijającego mnie codziennie ciężkiego szkolnego autobusu miały na sobie kurtki, czapki i rękawiczki. Niebo zaroiło się od gęsi, kaczek i żurawi sunących długimi srebrzystymi kluczami w promieniach niskiego słońca rano i wieczorem, a ich dalekie pokrzykiwania słychać było w powietrzu nawet nocą. Kiedy się budziłem – zwykle wcześnie – mróz sięgał do połowy okien, a chwasty i oset wokół mojej budy uschły i błyszczały w promieniach słońca. Nocą kojoty podchodziły do miasta, polując na myszy, koty i gołębie gniezdzące się w ruinach domów i dołach na odpadki. Należący do pani Gedins pies, którego zauważyłem pierwszego dnia, często szczekał nocą. Leżąc w swoim pokoju pod szorstkim prześcieradłem i pledem, słyszałem, jak warczy, skrobie w moje drzwi i skomli. Później doleciało mnie zwycięskie zawodzenie kojotów, więc pomyślałem, że już więcej go nie zobaczę (moja matka nie lubiła psów, dlatego nigdy żadnego nie mieliśmy), ale następnego dnia ujrzałem go ponownie, stojącego na szosie wśród resztek topniejącego nocnego śniegu, a kojoty zniknęły.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego zmiana pogody i światła – bardziej niż świadomość upływającego czasu – sprawiła, że ja też się zmieniłem i odnalazłem w sobie akceptację. Może to, że byłem chłopcem z miasta (bo w mieście czas ma bardzo duże znaczenie), który nagle znalazł się w pustym, nieznanym miejscu, wśród ludzi, o których prawie nic nie wiedział, uczyniło mnie bardziej podatnym na działanie elementarnych sił przyrody, zdających się naśladować moje doświadczenia i czyniących je bardziej znośnymi. W porównaniu z tymi siłami – ruchem obrotowym Ziemi i słońcem obniżającym się na niebie, wiatrem przynoszącym deszcze i przylotem gęsi – czas wydaje się sztuczny i traci na znaczeniu tak, jak powinien.

Podczas tych pierwszych chłodnych dni widywałem Arthura Remlingera w jego buicku z trzema otworami w błotniku, pędzącego szosą na zachód – nie mam pojęcia dokąd. Zakładałem, że zmierza w jakieś konkretne miejsce. W oknie pasażera często widziałem głowę Florence. Może jechali do Medicine Hat – miasta, którego nazwa niezmiennie mnie fascynowała.

Czasami widziałem jego wóz obok przyczepy Charleya i ich dwóch naradzających się, niemal zawsze z ożywieniem. Nie chciałem, żeby był moim najlepszym przyjacielem. Był dla mnie za stary. Ale mógłby się dowiedzieć o mnie czegoś więcej, a wtedy ja mógłbym się dowiedzieć czegoś o nim: dlaczego zamieszkał w Fort Royal, o college'u i interesujących rzeczach, które go spotkały – tak jak się dowiedziałem różnych rzeczy o moich rodzicach, bo sądziłem, że człowiek w ten sposób poznaje świat. Mildred zapewniła mnie, że go polubię i wiele się od niego nauczę. Ale moja wiedza o Arthurze Remlingerze nadal ograniczała się do jego imienia, jeszcze dziwniejszego niż imię Mildred, do tego, jak był ubrany i co rzucił do mnie w przelocie, no i że był Amerykaninem z Michigan.

W rezultacie zacząłem się odnosić do niego z rezerwą, doświadczać nieprzyjemnego wrażenia oczekiwania, które pewnie obaj przeżywaliśmy. Kiedy wjechaliśmy do Kanady, Mildred powiedziała, że powinienem żyć terażniejszością. Gdy jednak to robisz, jesteś w stanie uwierzyć, że sam stworzysz scenariusz codziennych wydarzeń, że możesz popuścić wodze wyobraźni i wymyślić coś, czego naprawdę nie ma. Zacząłem łączyć ten niepełny wizerunek Arthura Remlingera (bo nie dysponowałem niczym innym) z jego działalnością, która była niewidoczna dla oka i pragnęła taką pozostać, co czyniło go nieprzewidywalnym i niezwykłym – Charley i Mildred powiedzieli mi, że to zauważę. Jestem pewny, że od kiedy moi rodzice trafili do więzienia, stałem się przeczulony i zawsze wypatrywałem czegoś złego, nawet gdy na zewnątrz wszystko wydawało się w porządku.

Na świecie są tacy ludzie, z którymi coś jest nie tak. Choć można to ukryć, nie da się temu zaprzeczyć, bo to coś zawsze bierze nad nimi górę. Wtedy znałem tylko dwóch dorosłych – moich rodziców. Nie byli wyjątkowi ani ważni, ledwie się wyróżniali. Ale było z nimi coś nie tak. Każdy z wyjątkiem ich syna zauważyłby to na samym początku. Od kiedy to odkryłem i zdecydowałem, co jest prawdą, zawsze dopuszczam możliwość, że wszystko może być inne, niż się wydaje. Myślenie odwrotne weszło mi w krew i nigdy całkowicie się od niego nie uwolniłem.

Któregoś dnia, kiedy pani Gedins była zajęta w hotelowej kuchni, dostałem klucz i zostałem wysłany na trzecie piętro, żeby posprzątać pokoje Arthura Remlingera – posłać jego łóżko, sprzątnąć jego ubikację, zabrać ręczniki i myjki, wytrzeć kurz przenikający przez stary cienki sufit

i nawiewany pod ramami okien. Jego mieszkanie składało się z trzech pokoi – było zdumiewająco małe jak na człowieka, który miał tyle rzeczy i nie zostawiał po sobie porządku, kiedy wychodził. Nie powstrzymałem się przed tym, aby dokładnie zbadać to, na czym zatrzymałem wzrok, i zajrzałem głębiej, niż powinienem, przekonany, że przypuszczalnie nigdy nie będę miał okazji poznać Arthura Remlingera lepiej. Jak powiedziałem, niewiele o nim wiedziałem i bardzo chciałem rozszyfrować jego tajemnice, a to powodowało, że miałem obawy. Bo obawy mogą być źródłem zarówno ciekawości, jak i podejrzeń.

Pokrytą ciemnymi panelami sypialnię oraz mały salon i łazienkę spowijał mrok – żaluzje zostały zasłonięte, paliły się jedynie lampy na stole – a ich ściany były obwieszane różnymi niezwykłymi przedmiotami. Zauważyłem dużą poźółkłą mapę Stanów Zjednoczonych z białymi pinezkami wbitymi w różnych miejscach – w Detroit, Cleveland, Ohio, Omaha, Nebrasce, Seattle i Waszyngtonie. Nic nie wskazywało, co to mogło oznaczać. Przy oknie w sypialni wisiał obraz olejny w ramie przedstawiający – rozpoznałem go od razu – elewator zbożowy w Partreau z prerią rozciągającą się daleko na północ. Remlinger powiedział, że obraz został namalowany przez Florence w stylu szkoły American Nighthawk, czego nie rozumiałem i nie mogłem tego sprawdzić, bo zostawiłem tom World Book z literą N w Great Falls. Oprócz tego na ścianie wisiała oprawiona w ramkę fotografia czterech wysokich chłopców, młodych i pewnych siebie, uśmiechniętych, z rękami na biodrach, ubranych w grube wełniane garnitury, z szerokimi krawatami, ustawionych przed ceglany budynkiem, nad którego otwartymi drzwiami widniało słowo „Emerson”. Była też inna fotografia, przedstawiająca chudego uśmiechniętego młodzieńca o świeżej twarzy, z gęstwiną jasnych włosów (odgadłem, że było to zdjęcie Arthura Remlingera wykonane wiele lat temu, bo zdradzały go nieomylnie jasne oczy). Oplatał długim ramieniem tors smukłej kobiety w wygniecionych spodniach, uśmiechniętej jak on. Oboje stali obok samochodu z lat czterdziestych, który mój ojciec nazwałby „fordem coupé z okrągłym dachem”. Było też zdjęcie, na którym każdy rozpoznałby rodzinę stojącą w równym szeregu, wykonane dawno temu. Rosła kobieta o ciemnych, związanych w ciasny kok włosach, ubrana w bezkształtną roboczą sukienkę o jaskrawych barwach, zmarszczyła brwi, stojąc obok wysokiego mężczyzny o dużej głowie, z gęstymi brwiami, głęboko osadzonymi oczami

i potężnymi dłońmi, który też zrobił skrzywioną minę. Starsza ciemnowłosa dziewczyna o zuchwałym wyrazie twarzy ustawiła się obok wysokiego chudego chłopaka (którego uznałem za Arthura Remlingera) ubranego w chłopięcy wełniany garnitur zapinany na cztery guziki, przykrótkie spodnie i buty. Tą dziewczyną musiała być Mildred, ale trudno ją było rozpoznać na zdjęciu. Ustawiono ich na tle wielkiej piaskowej wydmy. Z boku zdjęcia uchwycono fragment jeziora albo oceanu.

W kącie przesiąkniętego stęchlizną pokoju stał wieszak na ubrania z paskami, szelkami i muszkami dyndającymi na mosiężnych haczykach. Szafa była wypchana ubraniami – grubymi garniturami, tweedowymi marynarkami, wykrochmalonymi koszulami, a dno zostało zagracone dużymi drogimi butami, w które poupychano jasne pończochy. W szafie znajdowały się też ubrania kobiece – nocna koszula, pantofle i kilka sukienek, które uznałem za własność Florence. W łazience obok szczotki Remlingera ze srebrnym monogramem, grzebieni, butelki z oczarem wirginijskim i przyborów do golenia mieściły się słoiki z maściami kosmetycznymi i gumowy termofor na wodę, czepek pod prysznic i niebieski dekoracyjny talerz ze spinkami do włosów.

Na ścianie ponad drewnianym, ozdobnym podwójnym łóżkiem znajdowały się półki z książkami – grubymi podręcznikami do chemii, fizyki i łaciny w niebieskich oprawach oraz oprawnymi w skórę powieściami Kiplinga, Conrada i Tołstoja, a także kilkoma tomami z samymi nazwiskami na grzbietach: Napoleon, Cezar, U.S. Grant, Marek Aureliusz. Były też cieńsze książeczki o tytułach Free Riders, Captive Passengers, Fundamental Right, Union Bigwigs i Masters of Deceit J. Edgara Hoovera, o którym słyszałem w telewizji.

W ciemnych kątach obu pokojów stały oparte o ścianę rakiety do tenisa i badmintonu. Zauważyłem też gramofon i drewniane pudło z płytami z muzyką Wagnera, Debussy'ego i Mozarta. Obok szafki z gramofonem postawiono marmurową planszę do gry w szachy z bierkami wykonanymi z białej i czarnej kości słoniowej, misternie rzeźbionymi i ciężkimi, jeśli się je podniosło (co uczyniłem). Pomyślałem, że mógłbym wspomnieć o szachach, kiedy zobaczę Arthura Remlingera, i że gdybym go lepiej poznał, moglibyśmy z sobą grać i wtedy nauczyłbym się od niego nowych strategii.

W jego małym salonie znajdowała się duża kanapa o okrągłych oparciach, z szorstkim nakryciem i dwa ustawione naprzeciw siebie krzesła z niskim stolikiem, na którym stała opróżniona do połowy butelka brandy i dwa małe kieliszki, jakby Arthur Remlinger i Florence La Blanc siedzieli naprzeciw siebie, pili i słuchali muzyki lub rozmawiali o książkach. Naprzeciw rakiet do tenisa i badmintonu, obok zasłoniętego żaluzjami okna, wisiała wysoka drewniana żerdź z cienkim mosiężnym łańcuszkiem owiniętym wokół drzewca i zawiązanym w supeł, ale nie zauważyłem ani śladu ptaka. Na ścianie za żerdzią, właściwie niewidoczna w cieniu, znajdowała się oprawiona w ramki mosiężna tabliczka z wygrawerowanymi słowami: „Czyń swoją siłą wszystko, co jest zdolna uczynić twoja ręka; gdyż w Krainie Umarłych, do której idziesz, nie ma ani działalności, ani obliczania, ani wiedzy, ani mądrości”[17]. Tabliczka nie miała żadnego związku z czymkolwiek, o czym wiedziałem. Na drewnianym haku obok tabliczki wisiała skórzana kabura ze skomplikowaną płataniną pasków i sprzączek. Z filmów gangsterskich wiedziałem, że to kabura do noszenia pod pachą. W środku znajdował się srebrny pistolet o krótkiej lufie z białą kolbą.

Oczywiście natychmiast go wyciągnąłem. (Wcześniej zaryglowałem drzwi). Jak na swoje małe rozmiary był zdumiewająco ciężki. Spojrzałem przez szparę za bębenkiem i stwierdziłem, że jest załadowany przynajmniej pięcioma kulami o mosiężnej spłonce. Smith & Wesson. Nie wiedziałem, jakiego kalibru. Przytknąłem wylot lufy do nosa, co też widziałem na filmach. Pistolet pachniał twardym metalem i cierpką oliwą, której używano do czyszczenia broni. Krótka lufa była lśniąca i śliska. Wyjrzałem przez okno na pogrążony w promieniach słońca plac Canadian Pacific, na którym stały wagony pełne ziarna, ale szybko cofnąłem się do środka, bojąc się, że ktoś mnie zobaczy. Czułem, że broń ma bezpośredni związek ze znaczeniem, jakie przypisywałem Arthurowi Remlingerowi i prowadzonej przez niego działalności. Ba, byłem pewien, że łączyło się z nim wszystko w tych pokojach. Mój ojciec też miał pistolet. Nigdy nie uwierzyłem, że go zgubił, a teraz byłem przekonany, iż użył go podczas napadu. Nie wiedziałem, w jaki sposób pistolet sam w sobie miałby mu dodać znaczenia lub uczynić wyjątkowym. W końcu dostał go darmo od sił powietrznych. Ale w przypadku Arthura Remlingera było inaczej. Ponownie ogarnęły mnie złe przecucia, których doświadczałem wcześniej – że jest nieznaną

i nieprzewidywalną osobą. Pistolet był bardzo konkretną i groźną rzeczą, a Arthur Remlinger nie wyglądał na człowieka, który mógłby go posiadać. Sprawiał wrażenie zbyt kulturalnego, co najwyraźniej wprowadziło mnie w błąd. Wytarłem małą kolbę o koszulę, żeby usunąć smugi pozostawione przez palce, i odłożyłem broń do kabury. Nie sprzątnąłem niczego w pokojach, jak mi kazano, i musiałem wrócić później. Dopadł mnie nagły lęk, więc otworzyłem drzwi na korytarz i rozejrzałem się wokół, a gdy nikogo nie spostrzegłem, szybko się wycofałem i zszedłem po schodach, aby wypełnić inne obowiązki.

Kiedy zrobiło się zimno i na początku października zaczęli przyjeżdżać myśliwi (bo Amerykanie mogli polować w Kanadzie), Charley oznajmił, że chce, abym nieustannie zajmował się robotą przy gęsiach. Od miesiąca mieszkałem w swojej budzie w Partreau, choć – jak powiedziałem – odnosiłem wrażenie, że czas stanął lub niewiele dla mnie oznaczał. Inaczej niż jeszcze dwa miesiące wcześniej, kiedy za kilka tygodni miałem zacząć szkołę, bo wtedy marzyłem o tym, żeby przejąć inicjatywę i przyspieszyć powolny upływ dni tak, jak Michaił Tal rozwiązywał problemy szachowe.

Powoli przywykłem do mojego dwupokojowego domu. Musiałem chodzić do wygodki, ale w domu był prąd, więc mogłem korzystać z płyty kuchennej, używać górnego oświetlenia i ogrzewać wnętrze. Nie mogłem już myć twarzy przy pompie z powodu lodowatego wiatru. Nocą więc przynosiłem wodę w wiadrze i polewałem się z cynowego rondla wyszperanego w dole na śmieci, szorując ciało myjką i kostką mydła Palmolive, którą przechowywałem w cynowym pudełku po tytoniu, żeby nie dobrały się do niej myszy i szczury.

Przeciągnąłem jedną z pryczy z tylnego pokoju do kuchni. Tylny pokój wychodził na północ. Lodowaty wiatr przenikał przez tynk i listwy, świszcząc w popękanych szybach tak, że nocą izba, w której nie było światła, stawała się odstręczająca. W kuchni stała stara żeliwna kuchenka marki J.C. Wehrle, ładowałem więc do niej zbutwiałe deski, kawałki drewna i gałązki zebrane podczas moich wędrówek po Partreau. Prałem ubranie i prześcieradła, zmywałem naczynia przy pompie, zamiatałem podłogę znaną miotłą i uważałem, że dobrze przystosowałem się do sytuacji, której dalszego rozwoju nie znałem. Chciałem się ostrzyć w salonie fryzjerskim w Fort Royal – bo czasami widziałem swoje odbicie w łazienkach hotelu Leonard i zauważyłem, że schudłem, a moje włosy były stanowczo za długie – ale w budzie nie miałem lustra, a nocą rzadko zastanawiałem się nad swoim wyglądem. Przypominałem sobie o obcięciu włosów dopiero wtedy, gdy leżałem w łóżku. I o tym, że powinienem

obciąć paznokcie tak, jak to robił mój ojciec. Ale następnego dnia o wszystkim zapomniałem.

Przeniosłem kilka kartonowych pudeł stojących przy ścianie w kuchni do chłodnego północnego pokoju i ustawiłem przy oknie oraz wzdłuż ściany, aby zasłonić pęknięcia i szpary na wylot. W drogerii w Fort Royal kupiłem fioletową świeczkę o zapachu lawendy i zapalałem ją nocą, bo wiedziałem od mojej matki, że aromat lawendy usypia, a poza tym buda – zimna lub ciepła – była przesiąknięta zapachem dymu i zgnilizny, zastałym smrodem papierosów, oraz wonią ludzi, którzy mieszkali w niej od dziesiątków lat. Domek niebawem się rozpadnie jak pozostała część Partreau. Wiedziałem, że jeśli opuszczę to miejsce i wrócę za rok, pewnie niewiele z niego zostanie.

Wieczorami, kiedy skończyłem posiłek i spacer i mogłem zaakceptować samotność (choć nigdy nie miałem wrażenia, że moja sytuacja jest do końca znośna), siadywałem na pryczy i rozwijałem szachownicę na prześcieradle, a później ustawiałem cztery rzędy chwiejnych plastikowych pionków, obmyślając posunięcia i tocząc kampanie z wyidealizowanym, choć bliżej nieokreślonym przeciwnikiem. Nigdy z nikim nie grałem z wyjątkiem Berner. Myślałem o Arthurze Remlingerze. Moja strategia opierała się zwykle na bezczelnym ataku frontalnym. Chciałem pokonać przeciwnika, poświęcając figury, tak jak to robił Michaił Tal, który stał się moim bohaterem. Z powodu niewielkiego oporu wroga gra szybko się kończyła. Innym razem przeprowadzałem podstępne manewry pozorowane (za którymi szczególnie nie przepadałem), wycofując się i wypowiadając przenikliwe uwagi na temat strategii i zamiarów drugiej strony bez ujawniania własnego zwycięskiego planu. Czyniłem to, słuchając starego radia Zenith ze światełkami tłącymi się słabo za cyframi. W chłodne bezchmurne noce z radia dolatywały dalekie głosy, które, jak sądziłem, wiatr przywiewał z całego świata bez żadnego poszanowania granic. Des Moines. Kansas City. Stacja WLS z Chicago. KMOX z St. Louis. Szorstki murzyński głos z Teksasu i gromkie nawoływanie wielebnego Armstronga, pokrzykującego do Boga. Męskie głosy w języku, który uznałem za hiszpański. I te, które wzięłem za francuski. Oczywiście były też świetnie słyszalne stacje z Calgary i Saskatoon, przynoszące najnowsze wiadomości – o uchwaleniu kanadyjskiej karty praw i powstaniu Federacji Wspólnot Spółdzielczych Tommy’ego Douglasa. I nazwy miast: North Battleford,

Esterhazy, Assiniboia – o których wiedziałem tylko to, że nie są amerykańskie. Byłem ciekaw, czy zdołałbym odnaleźć jakąś stację z Dakoty Północnej, która nie leżała przecież tak daleko, i dowiedzieć się czegoś o procesie moich rodziców. Nigdy jednak jej nie znalazłem, choć czasami, kiedy w ciemności leżałem na pryczy i słyszałem odgłosy dochodzące z mojej kuchenki, udawałem głosy Amerykanów, którzy do mnie mówili, wiedzieli o moim istnieniu i mieli dla mnie cenne rady, jeśli tylko wystarczająco długo będę powstrzymywał sen. W ten sposób wiele nocy spędziłem przy radiu i lawendowej świeczce.

W inne wieczory otwierałem jedno lub drugie kartonowe pudło, którego nie przeniósłem do północnego pokoju, i oddawałem się badaniu śladów tego, co wydarzyło się tutaj w minionych latach. Na prerii historia i pamięć wydawały się równie obce jak upływ czasu – jakby mieszkańcy Partreau nie zniknęli w przeszłości, ale przenieśli się do innej teraźniejszości, co wyjaśniało, dlaczego w mieście nie było żadnego przyzwoitego cmentarza i dlaczego pozostawiono tyle rzeczy.

Arthur Remlinger wspomniał, że w pierwszych latach mieszkał w mojej budzie, że wiele rzeczy w pudłach jest jego własnością. W rozmiękłych zatechłych kartonach odnalazłem dowody związane z tym, co widziałem w jego pokojach. W jednym pudle, z wykonanym ołówkiem napisem „A.R.”, znajdowały się cienkie książki i pokruszone, pożółkłe magazyny z lat czterdziestych, przewiązane bawełnianym szpagatem. Jeden z nich nosił tytuł „Free Thinkers”, inny – „Deciding Factor”. Były też dwie książki, które już widziałem w jego mieszkaniu – *Captive Passengers* i *World Analysis*. Nie miałem pojęcia, jakie tematy poruszają. Kiedy wyciągnąłem „Free Thinkers”, na okładce znalazłem informację o znajdującym się w środku artykule pióra „A.R. Remlingera” zatytułowanym *Anarchosyndykalizm, immunitety i przywileje*. Przeczytałem jego pierwszą stronę. Chodziło o sprawę Danbury Hatters i protestancką etykę pracy. Autor szczegółowo wyjaśniał, dlaczego robotnicy nie maksymalizują swojej osobistej wolności. Na ostatniej stronie informowano czytelników, że A.R. Remlinger jest „młodym harwardczykiem ze Środkowego Wschodu”, który poświęcił swoje „znakomite wykształcenie” walce o prawa wszystkich ludzi. Bardzo możliwe, że Arthur Remlinger napisał też artykuły zamieszczone w innych magazynach, ale nie byłem nimi zainteresowany.

Inne pudła, pozbawione inicjałów A.R., zawierały polisy na życie, pliki anulowanych czeków i prawo jazdy wydane przez prowincję Saskatchewan na nazwisko Esther Magnusson, kolekcję żółtych ołówków przewiązanych gumką oraz pliki starych pamfletów i Milky Way for Britain – broszurę na temat obligacji pożyczki wojennej nadgryzioną przez myszy, które uwiły w niej gniazdo. Niektóre pamflety miały związek z Social Reform Gospel[18] i jakimiś Royal Templars of Temperance[19]. Znalazłem też broszury członkowskie klubów gospodyń domowych oraz Wheat and Women i Grain Growers Guide. Jedna z książeczek miała coś wspólnego z Canadian League i na pierwszej stronie oznajmiała, że emigranci nie pomagają w dźwiganiu ciężarów kraju, a żołnierze powracający z frontu powinni mieć „prawo wyboru najlepszych posad”. Między stronami znalazłem czarno-białą fotografię z gazety przedstawiającą płonący krzyż oraz ludzi o zasłoniętych twarzach w białych kapturach i szatach. Pod spodem wyblakłym atramentem napisano: „Moose Jaw, 1927”.

Inne opakowanie zawierało zardzewiałe pojemniki na taśmę filmową z rolką filmu w środku, ale bez żadnej informacji, co może się na niej znajdować. Na wiekach pudełek widniała amerykańska flaga złożona w trójgraniasty kapelusz, tak jak mój ojciec pokazał Berner i mnie. Znalazłem też pudła po butach wypełnione listami w dużej części zaadresowanymi do pana Y. Leytona z Mossbank w Saskatchewan, wysłanymi w latach 1939–1940. Zostały przewiązane szpagatem, niektóre z czerwonym trzycentowym amerykańskim stemplem zamiast znaczka, z podobizną kogoś, w kim rozpoznałem George’a Washingtona. Uznałem, że wolno mi przeczytać przynajmniej jeden z nich, bo nikt nie napisał do mnie do Kanady, a to mogło mi pomóc w docenieniu obecności innych ludzi, której moja egzystencja w Partreau była zupełnie pozbawiona. W liście napisano:

Drogi Synu,

jesteśmy w Duluth, dokąd przyjechaliśmy z Twoim ojcem z wielkich miast, gdzie było naprawdę bardzo ładnie (i nowocześnie). I na pewno znacznie cieplej niż w lodowatym Prince Albert. Nie wiem, jak ludzie mogą tam wytrzymać. Do tego ten wiatr, mój Boże! Oczywiście sam o tym wiesz. Staram się zapomnieć kanadyjskiego, którego nauczyłam się w szkole jako

dziecko – za moje grzechy. Jaqueleen żałuje, że dzieli nas granica. Ale ja nie jestem tego taka pewna. Ktoś musiał uznać, że wie lepiej. Jeśli o mnie chodzi, umrę szczęśliwa w Tennessee.

Wiem (a może tylko słyszałam), że myślisz o wstąpieniu do RCN[20]. To bardzo mężnie z Twojej strony (jeśli lubisz wodę). Wolałabym jednak, żebyś jeszcze to przemyślał. Dobrze? Mamy niewiele do zyskania na wielkiej wojnie. Poza tym może się zdarzyć najgorsze. Oczywiście teraz się nad tym nie zastanawiasz. Ot, taka myśl od Twojej mamy.

Mam kartkę, którą prześlę Ci niebawem. Jest na niej nasz „Królewicz z bajki” podczas słynnej podróży pociągiem do Sask w 1919 roku (dwadzieścia lat temu, mój Boże!). Pewnie nie pamiętasz, ale Twój tata, Twoja babcia i ja staliśmy z Tobą przy torach w Reginie. Miałeś na sobie ten mały garniturek z wełny chesankowej i machałeś małą kanadyjską flagą. Myślę, że dlatego jesteś takim patriotą. Nie widzę innego powodu. Uważaj na siebie. Czekał na moją kartę, bo nie zmieści się do koperty tak, by jej nie zniszczyć. Twój tata przesyła Ci najlepsze pozdrowienia – czego ja się pewnie nigdy nie doczekam.

Całusy i wyrazy miłości.

Twoja mama

Sięgnąłem głębiej do kartonu, żeby odnaleźć kartę z „Królewiczem z bajki” i dowiedzieć się, kto to taki. Bliżej dna znajdowały się jedynie kolejne przewiązane pliki – karty bożonarodzeniowe i wyschnięte wycinki z gazet ze zdjęciami uśmiechniętych, ostrzyżonych na jeża mężczyzn w ubraniach hokeistów. Na samym dnie znalazłem kilka luźnych kartek przedstawiających kompletnie nagie kobiety pozujące obok ozdobnych piedestałów z kwiatami i stołów z książkami. Kobiety były korpulentne i tak uszczęśliwione, jakby miały na sobie ubranie. Nigdy nie widziałem takich fotografii, chociaż wiedziałem o ich istnieniu od kolegów w szkole. Takie karty można było kupić w automatach na targach stanowych. Spędziłem jakiś czas, oglądając starannie każdą z nich, a następnie włożyłem trzy do tomu mojej World Book z literą B, bo wiedziałem, że zechcę obejrzeć je ponownie. Chciałem popatrzeć na nie jeszcze raz i to zrobiłem. I zachowałem je przez wiele lat.

Na dole pudła znalazłem również parę drucianych okularów i prostą złotą obrączkę. Obrączka znajdowała się w środku żółtego pudełka na aspiryne

Bayera razem z dwiema starymi tabletkami i bransoletką z wisiorkiem przedstawiającym wieżę Eiffla. Wiedziałem, że w środku jest obrączka, zanim ją ujrzałem. Nie pytajcie skąd. „To pewnie obrączka ślubna”, powiedziałem do siebie. Oczywiście wiedziałem też, że oznacza zakończony epizod czyjejś przeszłości i nie jest niczym dobrym.

Większości pudeł nie przejrzałem dokładnie. W jednym były gazety wychodzące w mieście Regina, w innym znalazłem zabłocone ubrania i buty, w których mysz uwiła sobie gniazdo, w jeszcze innym – dokumenty, rachunki i zsumowanie należności za zboże, a także opłaty za używanie elewatora i fakturę za nowy traktor marki Waterloo Boy. W kolejnym znajdował się plik nieotwartej korespondencji związanej z wyborami w Saskatchewan w 1948 roku z Federacji Wspólnot Spółdzielczych i Social Credit[21]. Próbowałem sobie wyobrazić, ilu ludzi lub rodzin żyło słoczonych w budzie będącej moim obecnym domem. Wielu, bardzo wielu, pomyślałem, jakby wszyscy mieli nadzieję powrócić ze swojej terażniejszości i to odzyskać, ale nigdy tego nie uczynili. Może umarli albo postanowili zostawić za sobą dawne życie w nadziei, że gdzie indziej lepiej im się ułoży.

Zastanawiałem się, co miał na myśli Arthur Remlinger, kiedy powiedział, że Amerykanie nie pozwoliliby, żeby takie miejsce jak Partreau się ostało. Że spaliliby je jako zniewagę postępu. Kiedy jednak odstawiałem pudła pod dziurawą ścianę mojej kuchni, uznałem, że przypuszczalnie miał rację. Moi rodzice, ludzie pozbawieni majątku i poczucia trwałości, nigdy nie mieli własnego domu i wozili z sobą niewielki dobytek, który (z wyjątkiem Berner i mnie) został im później odebrany i wyrzucony na miejskie wysypisko śmieci w Great Falls. Arthur Remlinger myślał o ludziach takich jak oni, którym nie zależałoby na Partreau, nawet gdyby go nie spalono. Moi rodzice byli ludźmi uciekającymi przed przeszłością, którzy nie oglądali się za siebie, bo nie mieli na nią wpływu, a jednocześnie cały czas żyli nadzieją, że kiedyś rozpoczną prawdziwe życie.

Później zacząłem się uczyć wielu rzeczy naraz: jak rozmieścić doły na gęsi, żeby poranne słońce nie odnalazło ich zbyt wcześnie, a zarazem żeby leżały wystarczająco wysoko, by myśliwi widzieli okolicę i byli gotowi, kiedy stada nadlecą zza rzeki. Nauczyłem się też ustawiać ciężkie drewniane wabiki na prawo i lewo od dołów, pozostawiając puste miejsce, w którym gęsi mogłyby przysiąść – sądząc, że wszystko jest tak samo jak poprzedniej nocy – ale nie za daleko, żeby nie zwróciły uwagi na strzelby i białe twarze myśliwych, którzy najczęściej nie potrafili cierpliwie doczekać odpowiedniej chwili. Charley powiedział, że Amerykanie są zwykle otyli lub starzy, albo jedno i drugie, i nie wytrzymują długo w dołach w zimnych i sztywnych kaloszach kupionych w Reginie, więc zwykle wstają w niewłaściwym momencie. Kaczki, wyjaśnił Charley – gągoły, rożeńce zwyczajne i głowienki długodziobe – zawsze nadlatują pierwsze, krzyżąc w ciemności jak duchy potępionych, hałaśliwie szybując niskim, ukośnym lotem. Strzelanie do nich płoszy gęsi, które mają dobry słuch, więc myśliwych należy powstrzymywać. Powinienem uważać, rozstawiając wabiki, bo myśliwi strzelają do wszystkiego, co rzekomo widzieli lub słyszeli. Podczas polowania niejednokrotnie ginęli ludzie. Charley też oberwał z dwururki i miał blizny. Pozwalał im przeładowywać broń jedynie na sygnał, mimo to trafiali się narwani goście, którzy stwarzali zagrożenie. Miałem donieść Charleyowi, jeśli zauważę, że któryś jest pijany – chociaż poprzedniej nocy wszyscy pili do późna w barze i raczej będą załatywać gorzałą. Miałem również dać mu znak, jeśli któryś wyda się chory, będzie mieć trudności z chodzeniem lub poruszaniem się albo będzie się lekkomyślnie obchodzić ze strzelbą. Charley sprawdzał licencje łowieckie, zezwalał na udział w strzelaniu i ogłaszał koniec polowania – gdy słońce stało wysoko i gęsi widziały ziemię. Jak już wspomniałem, miałem siedzieć w furgonie, obserwować wszystko przez lornetkę i notować zabite oraz ranne ptaki, bo strażnicy przyrody kręcili się w pobliżu i przyglądali się wszystkiemu przez jeszcze silniejsze lornetki, a później robili kontrolę, jeśli

liczby się nie zgadzały, smarowali pozwy sądowe, konfiskowali broń, sprawdzali, kto jest pijany, i nakładali grzywnę na Charleya, ale największą na Arthura Remlingera, zmuszając go do zapłaty dużych kwot za brak dokładniejszej kontroli jego działalności w mieście, związanej z filipińskimi dziewczętami, salą hazardu za restauracją i tym, co tam jeszcze mógł robić, a czego nie aprobowały władze miasta. Arthur Remlinger miał licencję na usługi przewodnickie, choć on sam się tym nie zajmował, nie miał zielonego pojęcia o polowaniu i gęsiach i było mu to najzupełniej obojętne. Był właścicielem, prowadził księgi, trzymał rachunki, lokował myśliwych w hotelu oraz inkasował ich pieniądze – z których część szła do Charleya, a ten odpałał mi drobną sumę. Wiedzieliśmy jednak, że myśliwi będą codziennie rozdawać napiwki po zakończeniu polowania, zwykle w amerykańskiej walucie, więc wszyscy byliśmy zadowoleni.

Jednego z ostatnich ciepłych dni października, po tym jak Charley i ja spędziliśmy rano na wyszukiwaniu odpowiednich miejsc na doły w polu, gdzie zwykle siadywały gęsi, wyruszyłem moim starym rowerem w kierunku miasteczka Leader, leżącego trzydzieści kilometrów na zachód. Miałem zamiar odnaleźć szkołę dla zbłąkanych dziewcząt, o której wspomniała pani Gedins. Birdtail dzieliło od Partreau dziesięć kilometrów, więc chciałem sprawdzić, czy mógłbym się tam zapisać na lekcje – może zimą, kiedy skończą się moje obowiązki przy gęsiach i będę miał więcej czasu. Nie miałem pojęcia, kim jest ta zbłąkana dziewczyna. Myślałem, że chodzi o dziewczynę, która przechodziła tędy w drodze dokądś – jak ja. Nie mogłem też uwierzyć, że może istnieć szkoła przeznaczona wyłącznie dla dziewcząt. Sądziłem, że powinni pozwolić na uczestniczenie w zajęciach przynajmniej kilku chłopcom – nawet w Kanadzie. Pani Gedins powiedziała, że placówkę prowadzą zakonnice. Z doświadczeń mojej matki z siostrami opatrności wynikało, że zakonnice to raczej osoby o serdecznym usposobieniu, szczodre niewiasty, które skorzystają z szansy, aby mi pomóc, co było przecież ich misją, dla której zrezygnowały z małżeństwa i normalnego życia. To, że pochodziłem z Ameryki, nie powinno mieć większego znaczenia. Nie zdradzę, że moja matka jest Żydówką ani że ona i ojciec siedzą w więzieniu w Dakocie Północnej. Życie zaczęło się domagać ode mnie kłamstw, bo inaczej nie mógłbym

sobie poradzić. I byłem gotów skłamać raz lub kilka razy, żeby tylko zacząć chodzić do szkoły i nie zostać jeszcze bardziej w tyle.

Pomyślałem też, że miło by było przebywać w towarzystwie dziewcząt. Oczywiście Berner też była dziewczyną, ale jako bliźniaki przez większą część życia traktowaliśmy się tak, jakbyśmy byli jednej płci. To znaczy ani męskiej, ani żeńskiej, ale jakiejś pośredniej, obejmującej nas oboje. Oczywiście nie trwało to długo. Kiedyś Charley zabrał mnie dwa razy do restauracji przy Main Street serwującej chińskie danie chop suey i przy okazji widziałem dzieci właściciela siedzące w cieniu i odrabiające lekcje przy tylnym stoliku. Moją uwagę zwróciła jego ładna córka o okrągłej twarzy, która mogła być w moim wieku. Ona też mnie dostrzegła, ale próbowała to ukryć. Później, kiedy spacerowałem po Partreau lub rozgrywałem samotne partie szachów w mojej budzie, wyobrażałem sobie, że się zaprzyjaźniliśmy. Mogła mnie odwiedzić. Mogliśmy spacerować razem po pustym mieście, a później grać w szachy. (Byłem pewny, że szłoby jej lepiej ode mnie). Fantazjowałem, że mógłbym jej nawet pomóc w odrobieniu pracy domowej. Nie myślałem o niczym więcej. Nie dowiedziałem się, jak ma na imię, ani się do niej nie odezwałem. Bo to wszystko mogło się nigdy nie wydarzyć – i nigdy się nie wydarzyło. Przebywanie w samotności umożliwiło mi zrozumienie tego smutnego faktu, a jednocześnie wyobrażanie sobie, że ta i wiele innych spraw mogłyby ułożyć się inaczej.

Szosa i preria na zachód od Partreau nie różniły się od szosy biegnącej na wschód, do Fort Royal, chociaż kiedy jechałem rowerem, wydawały się inne – jak teren, którego nie dzieliłem z nikim. Jechałem przez nagi pagórkowaty krajobraz z belami siana na krawędzi pola widzenia, czarnymi punkcikami żurawi pompowych i lśniącymi kluczami gęsi sunącymi po niebie oraz szarobiałym dymem na horyzoncie – tam gdzie farmer miał doły do spalania odpadków.

Gdy dotarłem do znaku Birdtail, nie zauważyłem najmniejszego śladu miasta. Tory linii Canadian Pacific biegły wzdłuż szosy, jak w Partreau i Fort Royal, ale nie było przejazdu do miejsca, gdzie kiedyś znajdowało się miasto, przecinki w krzewach chińskiego karaganu, wiatraka ani elewatora lub choćby fundamentów wyznaczających miejsce, w którym kiedyś stały domy. Nie wydawało mi się, żeby pani Gedins zadała sobie trud okłamania mnie. Usiadłem i spojrzałem w niebo, a później rozejrzałem się wokół, nie

widząc żadnej szkoły. Postanowiłem przejechać półtora kilometra do drugiego znaku z napisem „Birdtail”, jeśli taki istniał. Kiedy dotarłem do niego, obok ujrzałem inny znak z napisem „Szkoła Sióstr Świętych Imion”. Strzałka wskazywała na południe, w kierunku zwirowej drogi, która dochodziła do szosy od strony pól. Nad nazwą szkoły wymalowano znak krzyża. Na wierzchołku wzgórza stał opuszczony dom, a droga nikła za nim w oddali na tle błękitnego nieba. Szkoła mogła się znajdować w każdej odległości. Może nawet piętnastu kilometrów. Kiedy jeździłem z Charleyem przez prerię, nie widziałem żadnego śladu ludzkiej obecności, ale szkoła była dla mnie ważnym celem. Mogłem jechać dopóty, dopóki jej budynek nie zamajaczy na horyzoncie i nie postanowię, co z tym wszystkim zrobić.

Rower z trudem poruszał się w piaszczystej koleinie. Chwiał się i kiwał na kamieniach i żwirze, a pedałowanie pod górę nie było łatwe. Kiedy jednak wjechałem na szczyt wzniesienia, gdzie stał opuszczony dom, ujrzałem okolicę w promieniu wielu kilometrów – ze szkołą, lub z tym, co mogło nią być, położoną u stóp wzniesienia: duży kwadratowy budynek z czerwonej cegły, o czterech piętach, usadowiony we wgłębieniu na prerii, nieróżniący się zbyt od tego, w jakim mogłaby działać szkoła średnia w Great Falls, gdyby Great Falls leżało w takim miejscu. W chwili gdy ujrzałem budynek, natychmiast się domyśliłem, co oznacza słowo „zbląkané”. Zbląkané, czyli takie jak Berner i ja, gdyby przedstawiciele instytucji do spraw nieletnich przyjechali i nas zabrali. Sieroty. Jedynie sieroty mogły przebywać w takim miejscu jak to.

Szeroka kwadratowa działka zajmowała teren wykrojony z pastwisk ciągnących się wzdłuż wąskiego, wyschniętego potoku. Ponad nim na półce skalnej rosła pszenica. Na trawniku widać było patykowate drzewa i ludzkie postacie – najpewniej zbląkaných dziewcząt – przypominające kropki. W ostrym październikowym słońcu szczypiącym mój spocony kark szkoła wydawała się surowa i pozbawiona życia. Niemal zawróciłem w kierunku szosy. Wiedziałem już, że nie ma tu dużych dębów i boiska do piłki, i chłopców w moim wieku, którzy przyjmą mnie do swojego grona – jak w szkole, do której mogłem uczęszczać w Great Falls. Wiedziałem, że nigdy nie znajdę tu tego, co chciałem. Bo byłem w Kanadzie.

Skoro jednak przejechałem taki szmat drogi, pozwoliłem, aby rower stoczył się ze wzgórza. Pomyślałem, że jest trzynasta. Dwa jastrzębie

krażyły leniwie po niebie. Kiedy zacząłem pedałowac, bo na poziomie budynku ziemia zrobiła się płaska, zauważyło mnie kilka dziewcząt siedzących na trawie, rozmawiających w małych grupkach i spacerujących na skraju trawnika. Pomyślałem, że niewielu ludzi pokonałoby tę drogę na rowerze, bo w takim miejscu nie pozostawało nic innego, jak zawrócić.

Wysoka zakonnica w czarnej sukni i białym czepku stanęła na schodach, przyglądając się podwórku. Było po lunchu. Po chwili zaczęła rozmawiać z jedną z dziewcząt, która się roześmiała. Później zakonnica spostrzegła mnie i zaczęła obserwować z trawnika. W miejscu, gdzie teren szkoły graniczył z drogą, stała samotna żelazna brama, choć nie było ogrodzenia, co wydawało się dziwne, bo każdy mógł wejść na ten teren lub z niego wyjść, kiedy tylko mu przyszła ochota. Nie tak wyobrażałem sobie sierociniec. Z boku budynku stały zaparkowane samochody. Wrota związane łańcuchem zamkniętym na kłódkę, a ponad nimi, przymocowany do słupków z cegły, widniał metalowy znak ze złotą postacią Jezusa rozpościerającego ramiona i zapraszającego ludzi, aby weszli przez bramę, jakby cały czas była otwarta.

Siedziałem spocony na siodełku, choć przez całą drogę wokół mnie hulał zimny wiatr. Pomyślałem, że będę musiał się napracować, wracając. Za bramą nie zauważyłem żadnego chłopaka, nawet pracującego na trawniku. Pomyślałem jednak, że musi tam jakiś być, bo przecież nie istniały takie miejsca, gdzie nie chciano ani nie potrzebowano żadnych chłopców. Dwie dziewczyny stojące na podwórku podeszły bliżej. Jedna była wysoka i chuda, miała brzydką cerę i wąskie pomarszczone usta, które sprawiały, że wyglądała na dorosłą. Druga była normalnego wzrostu, o prostych brązowych włosach i kwadratowej nieładnej twarzy. Jedno ramię miała cieńsze od drugiego, chociaż nie było krótsze. Z radością stwierdziłem, że uśmiechnęła się do mnie zza krat bramy. Obie miały na sobie identyczne workowate jasnoniebieskie sukienki, białe tenisówki i zielone skarpetki sięgające kostek. Tam gdzie zwykle znajdowała się kieszonka na piersi, widniał wyszyty białą nicią napis „Szkoła Zakonu Świętych Imion”. Ich mundurki przypominały ubranie, które moja matka nosiła w więzieniu tego dnia, kiedy ją widziałem.

– Co tu robisz? – spytała twardym głosem wysoka dziewczyna, która wyglądała na starszą. Powiedziała to nieprzyjaźnie, jakby chciała, żebym sobie poszedł. Jej długie ciało rozluźniło się, kiedy mówiła. Przekrzywiła

usta, spodziewając się, że inteligentnie odpowiem – tak, jak zrobiłaby to Berner.

– Przyjechałem zobaczyć szkołę – odparłem, czując, że moja obecność w tym miejscu musi się wydawać podejrzana.

Nie znajdowałem się w Ameryce. Nie miałem powodu przyjeżdżać do tej szkoły. Pomyślałem, że powinienem wracać.

– Nie wolno ci tu wchodzić – poinformowała uprzejma dziewczyna o chudym ramieniu. Uśmiechnęła się ponownie, chociaż nie przyjaźnie. Raczej sarkastycznie. Nie miała jednego z przednich zębów, a przez dziurę dostrzegłem ciemne wnętrze ust, co psuło jej wygląd. Obie dziewczęta miały poobgryzane paznokcie, ślady zadrapań na ramionach, blizny po przebytej odrze wokół ust i włosy na nogach, jak ja. Nie było mowy, abyśmy mogli się zaprzyjaźnić.

Wysoka zakonnica schodziła już do mnie po stopniach za plecami dziewcząt. Jej sukienka owinęła się na wietrze wokół kostek. Inne uczennice podniosły się i spojrzały na naszą trójkę przy bramie, jakbym zakłócał im spokój. Zakonnica szła ku nam, wymachując rękami i wyciągając długie nogi. Chciałem odjechać, zanim mnie wypyta i wezwie policję. Obie dziewczyny obejrzały się, jakby się nie przejęły jej pojawieniem. Uśmiechnęły się do siebie w wyćwiczony złośliwy sposób.

– Masz dziewczynę? – zapytała starsza.

Wysunęła ręce przez kraty i skinęła ku mnie palcami. Odsunąłem się od niej. Chinka z Fort Royal nie pokiwała do mnie palcem.

– Nie – odrzekłem.

– Jak ci na imię? – spytała mniejsza, o chudym ramieniu.

Ścisnąłem rączkę kierownicy i postawiłem stopę na pedale, gotowy odjechać.

– Dell – powiedziałem.

– Sio stąd! Sio! – zaczęła wykrzykiwać zakonnica, sadząc długimi krokami przez trawnik, z różańcem owiniętym wokół pasa i dużym krzyżem kołyszącym się u boku. Jej bladą twarz, usta, policzki i czoło ściśle opinał wykrochmalony biały materiał. – Zmiataj stąd, chłopcze!

Dwie dziewczyny odwróciły się do siebie i wymieniły okrutne spojrzenia.

– Jesteś mężczyzną, zmiataj stąd! Co tu robisz?! – wykrzykiwała zakonnica. Zachowywała się, jakby myślała, że za chwilę stanie się coś

potwornego lub już się stało.

– Stara dziwka – warknęła starsza z dziewcząt, co wydało się całkiem naturalne.

– Nienawidzimy jej. Chciałybyśmy, żeby umarła – dodała młodsza. Miała małe, wąskie ciemne oczy, które otwierały się szerzej, gdy mówiła, jakby była zaskoczona samą sobą.

– W Shaunavon w Saskatchewan, skąd pochodzę, Dell to imię dobre dla mały – stwierdziła starsza, nie zwracając najmniejszej uwagi na zakonnice, która zbliżała się do nas szybkim krokiem. Nagle wyciągnęła długie ramię przez kraty i mocno ścisnęła mój nadgarstek. Próbowałem się uwolnić, ale nie potrafiłem. Zaczęła mnie ciągnąć do siebie, a druga z dziewcząt się śmiała. Przechyliłem się na bok, ryjąc obcasem w ziemi, bliski przewrócenia.

– Nie dotykaj ich! – krzyczała zakonnica, chociaż nikogo nie dotykałem.

– On się nas boi – zauważyła młodsza z dziewcząt i zaczęła odchodzić, pozostawiając starszą, która trzymała mnie przez kraty. Gapiła się, torturując mnie wzrokiem, co sprawiało jej wyraźną przyjemność. Wbiła małe obgryzione paznokcie w skórę mojego nadgarstka, jakby chciała ją rozerwać.

– Puść go, Marjorie! – darła się zakonnica, dochodząc do bramy. – Zrobi ci krzywdę! – Poruszała się z trudnością z powodu ciężkiej sukienki.

Tymczasem Marjorie ściągnęła mnie z roweru z taką siłą, że przywarłem do kraty.

– Przestań – powiedziałem. – Nie musisz tego robić.

– Nie muszę, ale chcę.

Marjorie ciągnęła mnie do krat w jakimś celu. Pewnie uderzyć, pomyślałem. Była znacznie silniejsza od Berner i większa od niej. Jej twarz wydawała się spokojna, ale duże błękitne oczy wpatrywały się we mnie twardym wzrokiem. Zaciśnęła szczęki jakby w napięciu. Wydawała się młodsza ode mnie. Z jakiegoś powodu pomyślałem, że ma czternaście lat.

– Chcę zrobić z ciebie mężczyznę – szepnęła – albo wywołać awanturę.

Chwilę później zakonnica chwyciła ramię Marjorie i zaczęła ciągnąć do tyłu, chociaż dziewczyna mnie nie puszczała. Zakonnica ujęła jej brodę i odwróciła głowę Marjorie w bok od kraty.

– Źle, źle, źle! – wysapała gniewnie przez blade wąskie usta.

Czarne szaty sprawiały, że wszystko przychodziło jej z trudem. Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Dlaczego tu przyszedłeś?! – wysapała z poczerwieniałą twarzą. – To nie twoje miejsce! Idź stąd!

Ona też wydawała się bardzo młoda. Jej twarz była gładka i czysta, chociaż wykrzywiona z wściekłości. Wyglądała na niewiele starszą od Marjorie i ode mnie.

W szkole rozległ się dzwonek. Marjorie ściągnęła mnie ze starego roweru, ale jeszcze nie upadłem. Nadal boleśnie ścisnęła moje ramię z obojętnym wyrazem twarzy. Wsunąłem lewą rękę pod jej twarde palce – tam gdzie paznokcie wbiły się w moją skórę – i zacząłem podnosić jeden po drugim. Nie chciałem zrobić jej krzywdy. W końcu się uwolniłem. Potknąłem się o rower i upadłem na żwir, głośno wzdychając.

– Kim jesteś? – spytała zakonnica, łypiąc na mnie gniewnie przez kraty. Jej twarz była lśniąca i wykrzywiona wściekłością. Oplotła silnym uściskiem ramiona Marjorie, która uśmiechała się do mnie, jakbym zrobił coś śmiesznego. – Jak ci na imię?

Nie chciałem mówić jej o sobie. Zacząłem wstawać i podnosić rower ze zwirowej drogi.

– Nazywa się Dell – odparła Marjorie. – Jak mała!

– Dlaczego tu przyjechałeś? – zapytała zakonnica, nie puszczając Marjorie.

– Chciałem pójść do szkoły.

Poczułem się śmiesznie, klęcząc na ziemi, jak skarłały.

– To nie szkoła dla ciebie. – Jej akcent różnił się od akcentu innych ludzi, których znałem. Mówiła szybko, jakby opluwała mnie słowami. Jej ciemne oczy płonęły gniewem – gniewem na mnie. – Gdzie mieszkasz?

– W Partreau – odrzekłem. – Pracuję w Fort Royal.

Wszystkie dziewczęta na podwórku zaczęły iść w kierunku schodów, ustawiając się w kolejce, żeby wejść do środka. Na szczycie pojawiła się inna zakonnica, niska i przysadzista, z rękami splecionymi na brzuchu. Marjorie nadal uśmiechała się do mnie przez kraty, jakbym był załosny.

– Chciałam cię pocałować – mruknęła marzycielsko. – Ale ty nie chciałeś pocałować mnie, prawda?

– Wracaj do środka – zakomenderowała zakonnica, puszczając ramiona Marjorie i popychając ją w kierunku szkoły.

Dziewczyna odrzuciła głowę do tyłu, odwróciła się teatralnie i głośno roześmiała, a później przyspieszyła kroku, żeby dogonić przyjaciółkę.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Nie chcę cię tu więcej widzieć! – wysapała przez kratę zakonnica. Spojrzała na mnie, kręcąc głową, wysuwając twarz do przodu i posyłając gniewne spojrzenie, aby się upewnić, że zrozumiałem. – Jeśli zobaczę cię ponownie, wezwę konstabla! Zabiorą cię stąd! Zapamiętasz?

– Tak – odparłem. – Przepraszam.

Chciałem powiedzieć coś więcej, ale nie miałem pojęcia co. Byłem zrozpaczony, chociaż nie wiedziałem, co to rozpacz. Zakonnica zaczęła odchodzić w swoją stronę, a jej ciężka czarna szata kołysała się w promieniach słońca. Postawiłem rower na kołach i zawróciłem na żwirze. Później wspiąłem się na siodełko i zacząłem pedałowac na wzgórze, pod wiatr, w kierunku szosy i Partreau.

Florence La Blanc wyjechała z Partreau małym różowym metropolitanem, zostawiwszy grubą szarą kopertę opartą o drzwi mojego domku. Przesłano ją z Ameryki z dopiskiem „Przekazać Dellowi Parsonsowi” nagryzmołonym u dołu charakterem pisma, którego nie rozpoznałem. Było to zaledwie kilka dni po tym, jak pojechałem na rowerze do szkoły dla zbłąkanych dziewcząt, i tydzień przed przeprowadzką z Partreau do Fort Royal, bo zaczęło przyjeżdżać coraz więcej myśliwych. Charley zasugerował, żeby umieścić jednego z gości na drugiej z pryczy, ale później stwierdzili (a właściwie Florence stwierdziła), że nie byłoby właściwe, abym spał w jednym pokoju z dorosłym mężczyzną. Charley uśmiechnął się znacząco i powiedział, że podstarzali myśliwi bywają „kochliwi” po północy. Na trzecim piętrze hotelu Leonard, przy tym samym korytarzu, co pokój Arthura Remlingera, znajdowało się maleńkie pomieszczenie gospodarcze. Dano mi ten pokój i pozwolono korzystać z łazienki piętro niżej razem z robotnikami rolnymi i kolejowymi. Dostałem też biały emaliowany nocnik, gdyby mi się zachciało w środku nocy. Charley miał mnie zabierać furgonetką do pracy przy polowaniach na dzikie gęsi. Zaczęło się robić chłodniej i bardziej wietrznie, więc byłem rad, że nie muszę jeździć na rowerze, spać w pełnej przeciągów budzie i nikogo nie widywać. Dzięki przeprowadzce miałem się stać bardziej dostępny, kiedy skończy się robota przy gęsiach, i móc załatwiać różne sprawunki dla myśliwych za napiwki, a wieczorami być na posyłki w barze. Ponieważ byłem zajęty i miałem mniej czasu dla siebie, nie myślałem o rodzicach i szkole, i Berner – bo choć to wszystko było dla mnie ważne, wywoływało smutek.

Rzadko widywałem Florence La Blanc. Charley powiedział, że ma ona niewielki sklep z kartami upominkowymi w Hat i jest wdową, ale kiedyś uznawano ją za miejscową piękność, która zaczęła roztaczać swoje wdzięki, kiedy jej mąż bronił Hongkongu w 1941 roku. Opiekowała się swoją starą matką. Oprócz tego była artystką, piła alkohol w hotelu i grała w karty

w sali do hazardu. Wszyscy ją lubili. Układ z Remlingerem odpowiadał Florence, bo A.R. miał pieniądze i dobre maniery, był przystojny, a na dodatek dyskretny. I był Amerykaninem, do tego młodszym od niej. A kiedy ją znudził, mogła wrócić do Hat.

Czasami, kiedy siedziałem w moim domku, wyglądałem przez okno i widziałem Florence z jej sztalugą rozstawioną w różnych punktach Partreau – raz na końcu miasta, innym razem przed krzewami karaganu, przez które widać było żuraw pompowy i białe ule. Kiedy indziej ustawiła ją na mojej uliczce, malując przyczepę Charleya i jego blaszaną budę. Otrzymałem surowy zakaz naruszania prywatności Arthura Remlingera, ale ani słowem nie wspomniano o Florence, która z oddali zachowywała się przyjaźnie wobec mnie, więc czułem, że mogę z nią pomówić. Powtórzę raz jeszcze, że nikt nie przyjeżdżał do Partreau. Bardzo rzadko z kimkolwiek rozmawiałem. Pomyślałem, że nie będzie mieć nic przeciwko temu, jeśli ją zagadnę. Dlatego gdy ujrzałem Florence siedzącą na drewnianym stołku w brązowym fartuchu i miękkim kapeluszu z materiału, malującą ulicę przebiegającą przed opustoszałą pocztą w Partreau, podszedłem przez chwasty i zagracone place, gdzie kiedyś stały domy, żeby sprawdzić, czy naprawdę maluje, a nie tylko łączy ponumerowane kropki – bo wiedziałem, że to nie jest prawdziwe malowanie ani prawdziwa sztuka. Kiedy Florence zauważyła, że się zbliżam, podniosła długi pędzel i pomachała nim do mnie tam i z powrotem jak wahadło w metronomie. Odczytałem to jako sygnał, że mnie rozpoznała, chociaż nie odrywała wzroku od sztalugi, jakby niespuszczanie jej z oczu było ważne.

– Zostawiłam ci tajemniczą przesyłkę – powiedziała, ciągle nie patrząc na mnie. – Jesteś znacznie wyższy niż miesiąc temu. Jak to możliwe?

W końcu odwróciła głowę i spojrzała na mnie z uśmiechem. Była niedużą kobietą, ale miała ładne, szczerze szerokie usta i ochrypły głos sugerujący, że lubi sobie dogadzać. Mogłem sobie wyobrazić, jak się śmieje. Czasami ona i Arthur Remlinger tańczyli w barze przy dźwięku szafy grającej. Trzymała go wtedy sztywno na odległość wyciągniętego ramienia, ubranego w jeden z tych jego eleganckich garniturów, z poważną miną wykonującego dziwaczne kroki powodujące, że klienci w barze się śmiali, a ona razem z nimi. Jak powiedziałem, lubiła też grać w karty i przebywać w jaskini hazardu obok baru, dokąd rzadko zaglądałem. W jej krótkich kędzierzawych włosach pobłyskiwały szare pasemka, ale

„zwracała na siebie uwagę”, jak mawiał o kobietach mój ojciec. Choć miała czterdziestkę na karku, potrafiłem sobie wyobrazić, jaka musiała być piękna, gdy była młodsza, szczuplejsza i bardziej zuchwała, kiedy jej mąż walczył na wojnie. Na policzkach Florence dało się dostrzec gdzieniegdzie małe żyłki (wiedziałem, że są oznaką ciężkich doświadczeń), a błyszczące oczy mrużyły się podczas śmiechu tak, że stawały się prawie niewidoczne. Moim zdaniem nie pasowała do Arthura Remlingera, ale mogłaby mi się spodobać. Byłem szczęśliwy, że kilka tygodni wcześniej zwróciła na mnie uwagę.

Stałem z boku, kilka kroków za nią, aby móc obserwować, co robi. Widziałem jedynie obraz z elewatorium zbożowym w pokoju Arthura Remlingera, nie miałem zielonego pojęcia o szkole Nighthawk i nie słyszałem o Edwardzie Hopperze. W ogóle nie mogłem sobie wyobrazić, jak człowiek może stać się sławny jedynie dzięki tubkom z farbami. Myślałem, że trzeba wykonywać ćwiczenia oczu, jak mój ojciec, żeby widzieć wszystko bardzo dokładnie.

Florence malowała na środku Manitoba Street. Jej obraz przedstawiał prostą ulicę przed opuszczonym budynkiem poczty oraz kilka rozpadających się pawilonów handlowych z tyłu, które kiedyś zwiedziłem i które musiały tętnić życiem, kiedy Partreau funkcjonowało jako prawdziwe miasto. Nie namalowała jeszcze nieba nad budynkami, a w jego miejscu widać było jedynie puste płótno. Elewator i pola pszenicy, które rozciągały się za torami kolejowymi, też miały się dopiero pojawić. Nie wiedziałem, dlaczego takie rzeczy miałyby być tematem obrazu, bo każdy mógł je obejrzeć, a poza tym nie były piękne – w przeciwieństwie do wodospadu Niagara z obrazu Frederica E. Churcha lub kompozycji kwiatowych, które malował mój ojciec, używając obrazków do kolorowania z punktami oznaczonymi numerkami. Mimo to dzieło Florence mi się podobało i nie powiedziałbym tego jedynie z uprzejmości. Ale ponieważ chciałem rzec coś mądrzejszego, zapytałem:

– Dlaczego to malujesz?

Wiatr przesuwiał zeschnięte chwasty i zaczęło szarzyć, bo od zachodu nadciągał front burzowy. Ustrojstwa Charleya dziko wirowały na wietrze. Z północy w pośpiechu nadlatywały klucze dzikich gęsi, falując w powietrzu i wykorzystując ostatnie promienie słońca. Pomyślałem, że to zła pora na malowanie.

– Maluję rzeczy, które lubię – odparła Florence. – W rzeczywistości wcale nie muszą być ładne.

Trzymała paletę lewym kciukiem, który wystawał przez otwór. Na palcu leżały kupki wyciśniętej farby. Florence mieszała z sobą dwa lub trzy kolory końcem pędzla, a później nakładała na płótno. Widziałem dokładnie to, co malowała – odgadłem, że na tym musi polegać amerykański styl Nighthawk, który wydawał się czymś cudownym, a jednocześnie osobliwym, ale nie rozumiałem, co miała na myśli, mówiąc, że na jej obrazie budynek pocztowy jest ładny. Bo dla mnie wyglądał jak poczta i wcale nie był ładny.

– Nigdy nie byłam prawdziwą malarką – podjęła Florence. – Moja siostra Dinah-Lor była. Ale rzuciła malowanie z powodu złamanego serca. Mój ojciec też był malarzem – prymitywistą, bo naprawdę był malarzem, choć kroił łód w Souris w Manitobie. Może dlatego maluję właśnie tutaj, na South Manitoba Street.

Odwróciła ku mnie swoją pulchną, okrągłą twarz. Jej oczy były wąskie i błyszczące. Dłonie o krótkich palcach wyglądały na silne i stały się czerwone od zimnego wiatru.

– Pewnie nie wiesz, gdzie jest Manitoba... Co, Dell? Wiesz, co to takiego?

Pomyślałem, że się bawi, jak zawsze.

– Wiem, co to Manitoba – odparłem.

Wiedziałem, że Manitoba to prowincja. Ucieszyło mnie, że znała moje imię, ale nie wiedziałem nic więcej o Kanadzie oprócz tego, co powiedzieli mi Mildred i Charley. Zastanawiałem się nad jej uwagą, że jestem wyższy. Byłbym szczęśliwy, gdyby tak było, ale nie sądziłem, żebym mógł urosnąć w ciągu miesiąca. Od przyjazdu do Kanady zwykle czułem się mniejszy.

– Ale pewnie nie wiesz, co znaczy „Saskatchewan” – ciągnęła Florence, spoglądając na płótno znad palety.

– Nie, nie wiem – odpowiedziałem.

– Jestem rada, że mogę ci to wyjaśnić. „Saskatchewan” znaczy „rwąca rzeka”. Nie znam języka Indian Kri, ale wystarczą do tego mapa i podręcznik historii. Przekonasz się, że Manitoba, gdzie się urodziłam, leży bardzo niedaleko stąd – w kategoriach, którymi posługują się sputniki.

Wypowiedziała słowo „sputnik” inaczej, niż słyszałem w radiu, z długim u rymującym się z „but”, podobnie jak Rudy wymawiał u w nazwisku

Roosevelta. Sputnik. Zaczęła przyciemniać rozpadającą się pocztę, aby odpowiadała zrujnowanemu stanowi, w jakim znajdowała się teraz.

– Poza tym lubię przebywać na zewnątrz – podjęła. – No i oczywiście jestem znudzona. Zwykle mijałam to miasteczko, kiedy jechałam z Hat na spotkanie z Arthurem. W naszym wczesnym romantycznym okresie. Wtedy jeszcze w jednym domu lub w dwóch mieszkali tu ludzie. To miejsce jakoś do mnie przemówiło. – Zmarszczyła brwi, oceniając swój obraz. – Czy przeżyłeś coś takiego w życiu? Stale słyszałeś jakieś słowo, aż nagle nabrało zupełnie innego znaczenia? Mnie przytrafia się to cały czas.

Miałem podobne doświadczenie ze słowem „przestępca”. Zawsze dotyczyło Bonnie i Clyde’a, Ala Capone i Rosenbergów, a teraz zaczęło oznaczać moich rodziców. Nie zamierzałem tego powiedzieć, ale po prostu przytaknąłem:

– Tak, przeżyłem coś takiego.

– Właśnie. Jak ci się tu podoba? – Florence spojrzała na mnie po raz trzeci, żeby się upewnić, czy patrzę, jak starannie nakłada farbę na ścianę malowanego budynku. Myślę, że ucieszyła się, bo uważnie obserwowałem, jak maluje. – Kanadyjczycy chcą, żeby wszystkim się u nich podobało. Ale najbardziej chodzi o nas, żebyśmy sami się podobali. – Ostrożnie nałożyła kropeczkę farby na drzwi budynku, a później odwróciła głowę w bok i popatrzyła w tamtą stronę. – Ale kiedy już nas lubią, stajemy się podejrzliwi, bo obawiamy się, że czynią to z niewłaściwego powodu. W Ameryce może być całkiem inaczej. Mam wrażenie, że tam nikogo to nie obchodzi. Niewiele wiem o Ameryce. W Kanadzie kluczem do powodzenia jest robienie wszystkiego z właściwego powodu.

– Podoba mi się – stwierdziłem, chociaż nie myślałem o Kanadzie w tak konkretny sposób. Sądziłem, że mi się tu nie spodoba, bo w Kanadzie wszystko działo się wbrew mojej woli, a to nikomu by się nie podobało. Ale nie byłem pewny, czy teraz chcę wyjechać, bo nie miałem dokąd.

– Cóż... – Florence zwiesiła ramiona i pochyliła się do przodu, odsuwając paletę i lekko zamazując krótkim palcem o czerwonym paznokciu drzwi, aby bardziej przypominały te szare, które widziałem. – To dobrze – powiedziała skoncentrowana. – Pewnie niedobrze być żalonym. – Odchyliła się na stołku i przyjrzała swojemu dziełu. – Życie przypłynęło do nas puste. Musimy zadbać o to, żeby zagościło w nim szczęście. – Wytarła kciuk o brązowy fartuch, co musiała robić wielokrotnie, a później

wyprostowała się na stołku, podziwiając swoją robotę. – Ładnie jest tam, gdzie mieszkasz? Albo gdzie wcześniej mieszkałeś? Nigdy nie byłam w Stanach. Nie miałam na to czasu.

– Lubiłem moją szkołę. – „Byłbym ją lubił”, pomyślałem.

– W takim razie musi być ładnie – skwitowała.

– Wiesz, dlaczego pan Remlinger mnie tu ulokował? – spytałem.

Nie spodziewałem się, że to powiem, ale czułem ulgę, mogąc rozmawiać z kimś podobnym do mnie.

Florence podniosła głowę znad sztalugi i spojrzała na pustą drózkę prowadzącą do szosy, którą przejeżdżał właśnie drugi z dwóch autobusów linii Greyhound codziennie mijających miasteczko. Ponownie przesunęła wzrok na obraz, trzymając pędzel kciukiem i palcem wskazującym. Pasemka jasnych włosów wspinały się po jej bladym karku, ginąc pod miękkim kapeluszem.

– No cóż... – zaczęła, studiując swój obraz – martwisz się, że nie zwraca na ciebie uwagi?

– Czasami. – Żałowałem, że nie przytaknąłem, ale było to prawdą.

– Nie przejmuj się – pocieszyła mnie, wkładając czubek pędzla do cynowej puszeki stojącej na chodniku u jej stóp. – Ludzie pokroju Arthura nie komunikują się ze światem w naturalny sposób. Pewnie sam to zauważyłeś. Przypuszczalnie nawet nie jest świadom, że cię ignoruje. Jest bardzo inteligentny. Studiował na Harvardzie. Może sądzi, że potrzebujesz czasu, aby przywyknąć do samotności. Chociaż ludzie nigdy nie robią tego, czego się od nich chce. Wyświadczył ci przysługę. Może jesteś dla niego nowością. – Uśmiechnęła się do mnie szelmowsko i spojrzała na obłoki. – Nigdy nie lubiałam marmurowego nieba. – Skreśliła pędzlem znak X w powietrzu, jakby była w stanie zamalować niebo, a później odłożyła pędzel do cynowej puszeki i go tam zostawiła.

W poruszanej wiatrem pszenicy szumiał żuraw pompowy, płynnie podnosząc i opuszczając ramię, wydając jedyne nienaturalne odgłosy w okolicy. Nocą niemal przestałem go słyszeć, chociaż nasłuchiwałem go, kiedy zasypiałem.

Stałem za nią i nic nie mówiłem. Florence pochyliła się, odłożyła paletę na chodnik i sięgnęła po drewniane pudełko na farby i pędzle, w którym leżały lśniące mosiężne przegródki z czystymi pędzlami i srebrnymi tubkami farby, kilka małych noży, białych szmatek i ciemnych buteleczek

z jakimś płynem, czerwona talia kart, paczka papierosów marki Export A oraz srebrny flakonik. Wysoko w górze pojawiła się kropeczka samolotu lecącego na wschód przed sunącymi po niebie chmurami. Mój ojciec posadził mnie kiedyś w myśliwcu Scorpion F-89 w bazie Gwardii Narodowej, pozwolił włożyć hełm i poruszać dźwigniami, jakbym go pilotował. Zastanawiałem się, jak Partreau wyglądałoby z jego okna. Czy świat się zagina? Czy widać Góry Skaliste i rzekę Missouri? I Cypress Hills? I Saskatchewan, i Fort Royal, i Partreau, i Great Falls wraz z tym, co znajdowało się między nimi? Wszystko w jednym czystym obrazie.

– Arthur opowiedział mi o twoich kłopotach. O twoich biednych rodzicach... – podjęła Florence, wyjmując jedną z ciemnych buteleczek. Wylała płyn z cynowej puszkii na Manitoba Street, a następnie otworzyła buteleczkę i wlała do środka czysty. – Będiesz mógł opowiedzieć ciekawą historię. Będą cię lubić ładne dziewczęta. Lubimy mężczyzn z mroczną przeszłością. Mój ojciec trafił raz do więzienia w Manitobie, ale nie sądzę, żeby kogoś obrabował. – Włożyła pędzel do puszkii i nim poruszyła, a następnie ponownie rzuciła okiem na swoje malowidło, którego jedyną skończoną częścią był budynek poczty. – Chociaż może – ciągnęła zajęta czyszczeniem pędzla – Arthur widzi w tobie samego siebie. Czystszą wersję siebie. Nie pomyślałabym o tym, ale mężczyźni już tacy są. W ogóle ludzie czasami robią i mówią różne rzeczy, sami nie wiedząc dlaczego. Później, gdy to, co zrobili, wywrze wpływ na innych, mówią, że o wszystkim wiedzieli, ale to nieprawda. Pewnie dlatego przysłała cię tutaj twoja matka. Nie miała pojęcia, co innego mogłaby zrobić, więc oto jesteś. Niech cię to nie zniechęca. Nawiasem mówiąc, sama jestem matką. Ile masz lat, kochanie?

– Piętnaście – odpowiedziałem.

– I masz siostrę, która uciekła?

– Tak, proszę pani – przytaknąłem.

– Jak jej na imię?

– Berner – odparłem.

– Rozumiem.

Florence odstawiła na bok puszkę z pędzlem, sięgnęła po nóż i szmatkę z bocznej części pudełka i zaczęła zeszkrobywać zaschlą farbę z palety, a następnie wycierać drewno szmatką. Nigdy z nikim nie rozmawiałem w taki sposób. Pomyślałem, że pewnie Berner też prowadziła takie

rozmowy tam, gdzie była – o tym, dlaczego sytuacja jest taka, a nie inna, i co może w związku z tym zrobić. Rozmowy z innymi dorosłymi niż rodzice częściej do czegoś prowadzą.

– Jak poznała pani pana Remlingera? – zapytałem.

Florence oparła paletę o nogę sztalugi, na której stało jej płótno, i delikatnie wycisnęła czubek pędzla białą bawełnianą szmatką. Uklękła na chodniku, żeby to zrobić. Nadal stałem obok niej.

– Nie wiem, czy zdołam sięgnąć tak daleko pamięcią. – Uśmiechnęła się do mnie. Wiatr zsunął z jej czoła kapelusz z miękkiego czarnego aksamitu. Niedokończony obraz, nadal na sztalugach, też się zachwiał. – Poznałam Arthura w barze hotelu Bessborough, w Saskatoon w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Miałam wtedy przyjaciela, francuskiego malarza akwarelistę. Jeana-Paula czy Jeana-Claude’a. Poszliśmy na mecz, zawsze sprawiało mu to przyjemność. Ale się na mnie wściekł, bo coś powiedziałam, i mnie zostawił. Na szczęście Arthur już czekał w barze. Był jasnowłosy, przystojny i wyrafinowany, dobrze ubrany, elegancki i nieco ekscentryczny jak na młodego człowieka, ale miał w sobie coś z dżentelmena i emanowała tajemniczością. Była w nim interesująca nutka dramatyzmu. Wydawał się jednocześnie rozgniewany, znudzony i nie na miejscu – odrobinę zagubiony, co zawsze jest atrakcyjne dla kobiet. Mieszkał tam z jakiegoś powodu i nie miał pojęcia, co z sobą zrobić. Straciłam transport do Hat. Oczywiście mogłam pojechać czerwonym autobusem do Swift Current i tam się przesiąść, ale on miał ładniejszy wóz – oldsmobile’a. Wtedy nie był jeszcze właścicielem hotelu, tylko w nim pracował. Tak to się zaczęło. Co to ja powiedziałam? W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym? Miał wtedy dwadzieścia kilka lat. Ja byłam nieco starsza. I szczuplejsza. Moja matka nadal pracowała w Lepke. Byłam ostatnim dzieckiem w domu, który teraz jest w Winnipeg. Oto historia mojego życia w jasnych kolorach.

Uśmiechnęła się do mnie ponownie, a później wróciła do porządkowania przyborów malarskich w pudełku, przesuując jego zawartość czerwonymi palcami. Próbowałam stworzyć sobie wyraźniejszy obraz Arthura Remlingera na podstawie jej słów, dopasować do człowieka, którego ledwie znałam, ale nie potrafiłem tego zrobić. Obraz nie wydawał mi się dostatecznie wyraźny, nawet wtedy.

– Wkrótce przeprowadzę się do Fort Royal – oznajmiłem, bo nie chciałem milczeć, skoro zadałem jej pytanie, a ona odpowiedziała.

– Przyznaję, że był to mój genialny pomysł – odrzekła Florence, nie podnosząc się z kolan. – Arthur sądzi, że dobrze tu sobie radzisz, w twoim małym szałasie. Wiem, że to ciekawe przeżycie mieszkać tu samotnie. Nawet bardzo romantyczne. Ale kiedy przyjadą myśliwi, nie będzie to miejsce odpowiednie dla ciebie. Nie mogę się tobą opiekować, ale mogę być przynajmniej świadoma twojej obecności. Twoja matka byłaby mi wdzięczna.

To prawda. Domyślałem się, że moja matka przeczuwała, iż coś takiego się wydarzy, że taka osoba jak Florence mnie zauważy, dostrzeże, iż jestem coś wart, i nie pozwoli mi zginąć. Nie sądzę, aby ludzie, którzy są coś warci, mogli zginąć na zawsze, nawet jeśli nie potrafią wytłumaczyć, dlaczego są tam, gdzie są, i tak dalej.

– Dlaczego pan Remlinger tu mieszka? – zapytałem.

Florence podniosła się sztywno – nie była bardzo wysoka ani szczupła, jak moja matka. Wyrównała brązowe spodnie ze sztruksu, otrzepała się, a następnie oklepała ramiona i obwisły kapelusz, jakby było jej zimno. Miałem na sobie jedynie kurtkę w szkocką kratę. Naprawdę zrobiło się chłodno.

– Pewnie chodzi o Kanadę – odpowiedziała z uśmiechem. – Nie zawsze jedziemy w jakieś miejsce – dodała. – Czasami po prostu do niego trafiamy. Właśnie tak było w przypadku Arthura. Tutaj skończył. „Nie pojedę do Ameryki, wyjadę z Paryża”, powiedział wielki artysta Duchamp, który pewnie uznałby moje bazgroły za śmieszne. – Spojrzała na swój obraz przedstawiający pocztę i pustą ulicę biegnącą w dal, scenę, która malowała się przed naszymi oczami. – Mimo to je lubię – oznajmiła. – Lubię i nie lubię. – Cofnęła się o krok i spojrzała na obraz pod kątem. A później popatrzyła przed siebie. – Jednak go lubię – zdecydowała.

Pomyślałem, że jeśli przeniosę się do Fort Royal, będę częściej widywać Florence i w moim życiu zacznie się dziać coś bardziej pozytywnego, co obejmie także Arthura Remlingera, którego pragnąłem lepiej poznać.

– Wiem, że to wszystko wydaje ci się dziwne, kochanie – ciągnęła Florence. – Po prostu trzymaj się Flo. Zgoda? Mówiłam tak do własnych dzieci. Miały po dziurki w nosie słuchania tego w kółko. Ale to prawda. – Skinęła w stronę swojego metropolitana. – Jeśli pomożesz mi przenieść te

rzeczy do samochodu, zawiozę cię do miasta, gdzie będziesz mógł zjeść kolację. Charley odwiezie cię z powrotem. Jesteś tu teraz przelotnie. Możesz się przeprowadzić nawet jutro.

Podniosła swoją skrzynkę z przyborami malarskimi. Zdjąłem obraz ze sztalugi, podniosłem cynową puszkę, drewniany stołek i paletę i ruszyliśmy do samochodu. Był to mój ostatni dzień w Partreau.

W grubej szarej kopercie, zaadresowanej do pana A. Remlingera w Esquire przez jego siostrę Mildred, ale przeznaczonej dla mnie, znajdowały się ważne rzeczy. Jedną z nich był list od mojej siostry znaleziony przez Mildred, która sprawdzała naszą skrzynkę, kiedy wyjechaliśmy. W kopercie znajdowała się też krótka wiadomość od Mildred następującej treści:

Drogi Dellu,

w kopercie znajdziesz garść rzeczy dotyczących wiadomej smutnej sprawy. Pojadę na ich proces do D.P. Dopiero wtedy usłyszysz, co się stało. Oni wiedzą, że Twoja matka nie miała z tym nic wspólnego. Mimo to jest zamieszana.

Twoja stara przyjaciółka
Mildred R.

Oprócz liściku od Mildred znalazłem cały numer „Great Falls Tribune” z 10 września, który sprawił, że koperta była taka gruba. Na pierwszej stronie był kolejny artykuł o rodzicach, Berner i o mnie. Napisano w nim, że mężczyzna z Alabamy i jego żona pochodząca (ponownie) ze stanu Waszyngton zostali przewiezieni 8 września z aresztu okręgu Cascade do okręgu Golden Valley w Dakocie Północnej i umieszczeni w areszcie w Beach po zrezygnowaniu ze swoich praw. Postawiono im zarzut napaści z bronią w rękę na Krajowy Bank Rolny w Creekmore w Dakocie Północnej w sierpniu tego roku, po którym zostali zatrzymani przez detektywów z Great Falls w swoim domu przy First Avenue Southwest. Kobieta, Geneva „Neva” (imię zapisano z błędem) Rachel Parsons, pracowała jako nauczycielka piątej klasy w szkole podstawowej z internatem w Fort Shaw w Montanie. Mężczyzna, Sydney „Beverly” Parsons, który w chwili zatrzymania nie pracował, okazał się byłym członkiem amerykańskich sił powietrznych i odznaczonym medalami weteranem drugiej wojny światowej, podczas której służył jako bombardier.

Dwójka dzieci – niewymienieni z imienia chłopak i dziewczyna – zaginęła i przypuszczalnie przebywa u bliżej nieokreślonych krewnych. Podjęto już działania mające na celu przekazanie ich pod opiekę instytucji do spraw nieletnich stanu Montana. Podczas pierwszego przesłuchania przed sądem okręgu Golden Valley małżonkowie zamierzają złożyć wniosek o uniewinnienie. Wyznaczono im adwokata z urzędu. Autor artykułu dodał, że w 1959 roku wskaźnik przestępczości w Great Falls wzrósł o cztery procenty.

Nad tekstem umieszczono te same fotografie, które Berner i ja widzieliśmy w gazecie podrzuconej przez jakiegoś sąsiada rankiem następnego dnia po aresztowaniu rodziców. Wyglądali na nich jak zatwardziali desperaci. Było też inne zdjęcie, którym się zainteresowałem, przedstawiające naszych rodziców prowadzonych przez umundurowanych funkcjonariuszy po stromych betonowych schodach do czarnej policyjnej furgonetki z wymalowaną gwiazdą szeryfa. Oboje skuci w kajdanki. Ojciec miał na sobie jarmarczny luźny pasiak skazańca i kroczył ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakby się bał, że upadnie. Matka była ubrana w bezkształtną, pozbawioną paska sukienkę, którą nosiła na sobie, kiedy odwiedziliśmy ją z Berner, i która sprawiała, że wyglądała na niezwykle małą. Szła ze spojrzeniem utkwionym przed siebie, a jej delikatna twarz była wychudzona, skupiona i gniewna, jakby wiedziała, jacy ludzie zobaczą to zdjęcie, i chciała dać im do zrozumienia, że ich nienawidzi (Berner i ja nie zaliczaliśmy się do tej grupy).

Mam tę gazetę do dziś. Czytałem ją i oglądałem zdjęcia setki razy, żeby ich zapamiętać. Ale kiedy siedziałem w moim chłodnym domku – zatepłym i pełnym przeciągów – z boku łóżka, przy oknie, i kiedy ujrzałem drugie zdjęcie i przeczytałem artykuł ukazujący moich rodziców jako notorycznych, pozbawionych szczęścia przestępców, których świat ledwie zauważył, a później całkiem o nich zapomniał (jakby o ich życiu nie można było powiedzieć nic więcej niż to, co napisano w artykule), poczułem w piersi dziwne klucie, jak ból bez bólu. To doznanie narastało w moim brzuchu niczym głód i w nim pozostało. Przez jakiś czas myślałem, że pozostanie na długo, dręcząc mnie w taki lub inny sposób. Rozpoznałem rodziców mimo więziennego ubrania: ojciec był wysoki, nieco szczuplejszy, ale nadal przystojny (tym razem się ogolił i uczesał), matka sprawiała wrażenie zniecierpliwionej, zdeterminowanej i spiętej.

Mimo to nie wyglądali znajomo. Bo nic z tego, co się wydarzyło, nie było normalne. Zmiany, jakie w nich zaszły i jakie im narzucano, stawały pod znakiem zapytania łączącą nas zażyłość. Wyglądali jak dwoje ludzi, których znałem i którzy ponownie ukazali się w oddali, za jakąś nieprzekraczalną przepaścią, znacznie większą niż granica, jaka mnie od nich teraz oddzielała. Powiedziałbym, że intymna zażyłość właściwa rodzicom oraz ich uogólnione człowieczeństwo połączyły się w taki sposób, iż jedna jakość zneutralizowała drugą, powodując, że nie byli mi ani bliskimi, ani całkowicie obojętnymi osobami. Kiedy schodzili ostrożnie po betonowych stopniach, zmierzając do czarnej więźniarki, mającej ich powieź z turkotem w kierunku Dakoty Północnej i ich przyszłości, stali się dla mnie zagadką, którą dzieliłem (jestem tego pewny) z innymi niewinnymi dziećmi przestępców. Ta świadomość nie spowodowała, że mniej ich kochałem. Ale gdy ujrzałem zdjęcie, pomyślałem, że ich więcej nie zobaczę. W krótkim czasie stali się dla mnie dwojgiem całkowicie straconych ludzi. Wydawało się, że mają jedynie siebie, ale i tego byli już pozbawieni.

Była w tym wszystkim także jakaś satysfakcja, która mogła zaskakiwać, ale pozwoliła, by bezbolesny ból w końcu ustał. W ostatnim miesiącu bez końca się o rodziców martwiłem. Budziłem się, niepokojąc się o nich. Straciłem na wadze, wydorostałem, stałem się poważniejszy. Czasami śniło mi się, że przyjechali swoim samochodem razem z Berner, żeby mnie ocalić, ale nie mogli mnie znaleźć i odjechali. Nie pozostało mi nic innego, jak pożegnać własne dzieciństwo dzięki sile czerpanej z ich straszego upadku. Teraz jednak, gdy znam ich los (lepiej lub gorzej), mogę zacząć powoli rozumieć własny, co nie jest takie złe. Byłem bardzo rad, że Berner nie widziała ich zdjęcia i nie czytała tego artykułu. Gdziekolwiek się znajdowała, miałem nadzieję, że Mildred nie przesłała jej szarej koperty. Później okazało się, że rzeczywiście tego nie zrobiła.

Drogi Delli, Bracie,

wysłałam ten list do Great Falls, chociaż wiem, że Cię tam nie ma, bo nie mam pojęcia, na jaki inny adres mogłabym go przesłać. Może ktoś Ci go przekaże. Może ta śmieszna przyjaciółka naszej matki, Mildred. Mam nadzieję, że nie czytasz tych słów w jakimś przytułku dla nieletnich – byłoby straszne, gdyby tak się stało. Zastanawiam się, czy widziałeś naszych nieszczęsnych rodziców i wiesz, co się z nimi dzieje. Jestem ciekawa, co się stało z moją rybką. Wiesz, że kocham Cię do szaleństwa! Mimo wszystko! Nadal mam połowę pieniędzy, które mi dałeś. Pomyślałam, że poszedłeś odwiedzić ich w więzieniu, kiedy prysnąłam. Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam.

Gdzie jesteś? Ja mieszkam w domu razem z innymi ludźmi. Z dziewczyną, która uciekła z domu jak ja i jest miła. I przystojnym chłopakiem, który odszedł z marynarki bez zezwolenia, bo nie lubi walczyć. Ten człowiek i jego żona nie przebywają tu cały czas, ale się nami opiekują i nie oczekują wiele w zamian. Dom stoi przy długiej ulicy o nazwie California Street (oczywiście). Bo mieszkam teraz w San Francisco. Zapomniałam o tym wspomnieć. Nie widziałam tego niewiernego drania Rudy'ego, Rudego Tatuśka. Uzgodniliśmy, że spotkamy się w San Francisco w sobotę w parku nazywanym Washington Square. Nie widziałam jego ani jego matki. Jeśli go spotkasz, powiedz, żeby na siebie uważał. Nie kocham go. Mógłby też do mnie napisać.

To dziwne, że piszemy do siebie listy jak dorośli, prawda? Chciałabym, żebyś tu przyjechał, jeśli możesz. Nadal bym Ci rozkazywała, ale miałbyś z kim pograć w szachy. Ludzie w Washington Park Sq. też grają. Mógłbyś się od nich wiele nauczyć i zostać mistrzem. Dowiedziałam się, że inni ludzie (dzieci) też mają problemy z rodzicami. Nie żeby wyjechali z domu i obrabowali bank – nie aż tak poważne – albo popełnili samobójstwo. Ale mają inne zmartwienia. Dostałeś od nich list? Naturalnie ja go nie

otrzymałam. Jestem ciekawa, co sobie teraz o mnie myślą. Czy wiedzą, że uciekłam? Tutaj jest pięknie i jeszcze nie zrobiło się zimno, i wszystko dzieje się jakby samo. Lubię samodzielne życie. Powiedziałam ludziom o naszych rodzicach, ale nikt mi nie uwierzył. Może ja też przestanę w to wierzyć i o tym opowiadać. Chciałabym Cię zobaczyć, chociaż kiedy opuszczałam dom, sądziłam, że już nigdy się nie spotkamy. Teraz myślę, że się zobaczymy. Przecież nadal mieszkam na tej samej planecie co Ty, chociaż cieszę się, że nie jestem w Great Falls, bo to gówniane miasto i zawsze takim pozostanie.

Któregoś dnia opowiem Ci, jak się tutaj znalazłam. Dokonałam tego, nie zostawszy zabita, przesadnie wykorzystana lub zagłodzona. Musisz czmychnąć.

Kocham Cię,
Berner Parsons

PS. Wpadłam na pewien pomysł. Możesz napisać na ten adres i powinieneś to zrobić. Cieszę się z upływu czasu, więc nie musisz się spieszyć.

Nie poznałbyś swojej Berner, gdybyś mnie zobaczył. Golę nogi i pachy i obcięłam swój mop na krótką i ładną fryzurę. Stare piegi już mi nie przeszkadzają. Nawet mam teraz piersi. Ten facet, wszyscy nazywamy go wujem Bobem, spytał mnie, czy jestem Żydówką. Oczywiście przytaknęłam. Moja cera mnie zdradziła. Dwa razy dostałam robotę jako opiekunka do dziecka, dasz wiarę? Pamiętam, jak sama byłam dzieckiem. Ty nadal nim jesteś, jeśli chcesz wiedzieć. Kiedy się spotkamy, oddam Ci te ukradzione pieniądze, które mi dałeś.

To smutne, że mieliśmy takich rodziców, bo mogliśmy mieć więcej szczęścia. Nasze życie zostało zniszczone, ale wiele po nim pozostało i można to wypełnić. Czasem za nimi tęsknię. Miałam, a właściwie ciągle mam pewien sen. Zabijam kogoś, sama nie wiem kogo, a później o wszystkim zapominam. Ale wszystko wychodzi na jaw, a ja wiem, że to robiłam, i inni ludzie też. To straszne, bo przecież nigdy tego nie zrobiłam, mimo to mi się śni. Później budzę się i mam wrażenie, jakbym płakała i biegła w wyścigu. Miałeś kiedyś coś takiego? Bo jesteśmy bliźniakami, więc – jak sądzę – tak samo odczuwamy i postrzegamy (świat?). Mam nadzieję, że to prawda. Pamiętam jeden z wierszy matki. Recytuję go na głos temu chłopakowi z marynarki. „Czy nie miałem niegdyś miłej młodości, bohaterskiej, baśniowej, godnej zapisania złotymi głoskami –

zbytku szczęścia! Jaką zbrodni...[22] Teraz nie mogę sobie przypomnieć, co było dalej. Przepraszam. Dalej było po francusku. Chyba zawsze myślałam, że to wiesz o niej.

Kocham Cię raz jeszcze,
Berner Parsons, Twoja siostra bliźniaczka

Okres, który zaczął się dla mnie w Fort Royal w hotelu Leonard, był zupełnie inny od samotnych tygodni spędzonych w Partreau, znacznie lepszy, sprawiający wrażenie – chociaż nie trwał długo i zakończył się katastrofą – jakbym zaczął naprawdę żyć, zamiast czuć, że życie się zatrzymało, jest połowiczną egzystencją osoby zagubionej na pustkowiach prerii, która jakimś cudem dotarła do samotnego, zapomnianego przystanku autobusowego i której już nic nie przydarzy się tak, jak powinno.

Do miasta zaczęło zjeżdżać coraz więcej myśliwych. Przybywali po pięciu lub sześciu – ich wielkie amerykańskie samochody z barwnymi amerykańskimi tablicami rejestracyjnymi parkowały na placu za hotelem pełne sprzętu do polowań, który nie mieścił się w małych pokojach. W moim pokoiku z termostatem, oddzielnym korytarzem od mieszkania Remlingera, słyszałem męskie niskie głosy przenikające przez deski podłogi i biegnące rurami, rozmawiające z sobą do późna w nocy. Leżałem w milczeniu na wąskim łóżku, starając się zrozumieć, o czym dyskutują. Ponieważ byli w większości Amerykanami, sądziłem, że mogą wspomnieć o sprawach, które znam, że dostarczą mi użytecznej wiedzy. Właściwie nie miałem pojęcia, o jaką wiedzę mi chodzi, ale zwykle niewiele słyszałem, najczęściej imiona – Herman, Winifred, Sonny – i narzekania na urazy i zniewagi, i trochę śmiechu.

Wieczorami Charley i ja wyruszyliśmy na nocny zwiad, żeby ustalić, gdzie należy wykopać nowe doły (wynajęto dwóch młodych Ukraińców, aby robili to po zapadnięciu zmroku i przykrywali słomą grudy ziemi), a później wracałem do hotelu, jadłem kolację w kuchni i siadywałem przy szafie grającej w zadymionym, hałaśliwym barze lub stałem za graczami w salonie hazardu albo rozmawiałem z filipińskimi dziewczętami, które serwowały drinki w przyćmionym świetle i tańczyły z myśliwymi, a czasem z sobą nawzajem, i które często (jak już powiedziałem) znikwały z jednym czy drugim mężczyzną i nie pokazywały się przez resztę nocy.

Przestałem sprzątać pokoje, więc rzadko widywałem, jak wsiadają do oczekującej taksówki, aby wrócić do Swift Current.

Amerykanie byli w większości roslymi, hałaśliwymi facetami w szorstkich myśliwskich ubraniach. Śmiali się, palili i pili ryżową whisky oraz piwo, ciesząc się swoim towarzystwem. Wielu uważało przebywanie w Kanadzie za coś wysoce komicznego, dowcipkowało o obchodzeniu Święta Dziękczynienia w październiku, dziwnym sposobie, w jaki gadają Kanadyjczycy (nigdy tego nie zauważyłem, chociaż próbowałem), i o tym, jak Kanadyjczycy nienawidzą Amerykanów, bo pragnęliby zająć ich miejsce i się wzbogacić. Rozprawiali o kampanii wyborczej na Południu (że Nixon pokona Kennedy'ego) i o tym, jak ważne jest zwalczanie komunistów. Mówili o drużynach futbolowych w miastach, z których pochodzili (część przyjechała z Missouri, inni z Nevady, a jeszcze inni z Chicago). Żartowali też ze swoich żon, opowiadali historyjki o sukcesach dzieci, o robocie czekającej w domu i innych wydarzeniach z wypraw myśliwskich wartych wspomnienia, na przykład ile kaczek, gęsi i innych zwierząt ustrzelili. Czasami rozmawiali ze mną – jeśli zauważyli moją obecność lub wysłali za dnia do drogerii albo sklepu z artykułami żelaznymi po coś, czego zapomnieli. Chcieli wiedzieć, czy jestem Kanadyjczykiem, synem pana Remlingera, czy synem jednego z myśliwych mieszkających w hotelu. Odpowiadałem, że przyjechałem w odwiedziny z Montany, że moi rodzice zachorowali, ale wkrótce wrócę i pójdę do szkoły, co witali okrzykami, śmiechem i poklepywaniem po plecach i mówili, że jestem szczęściarzem, bo urwałem się z lekcji i mogę nigdy na nie nie wrócić, tylko zostać przewodnikiem myśliwych i wieść żywot pełen przygód, o którym większość chłopców może jedynie pomarzyć. Chociaż uważali Kanadę za komiczną, wydawała się im tajemnicza i romantyczna, a miejsce, w którym mieszkali, nudne i liche, ale nie zamieniliby go na żadne inne.

Pod koniec wieczoru – przed dwudziestą Charley szedł przez salę (po sprawdzeniu dołów do polowania na gęsi) i mówił myśliwym, żeby położyli się spać, bo jutro wstajemy o czwartej rano – wspinałem się po schodach do mojego pokoju i leżałem na łóżku, czytając magazyn „Chess Master” oraz słuchając, jak myśliwi wloką się do swoich kwater, śmieją i kaszlą, pochrzążają, brzęczą szklankami i butelkami, używają toalety, wydają wstydlive dźwięki, ziewają i stukają buciorami o podłogę, dopóki

nie zamkną się drzwi i nie zaczną chrapać. Później słyszałem pojedyncze głosy mężczyzn dobiegające z przenikniętej chłodem głównej ulicy Fort Royal i trzaski drzwi od samochodów, szczekanie psa i zmienników pracujących przy ciężarówkach przewożących ziarno, na placu za hotelem, syczenie hamulców pneumatycznych ciężarówek zatrzymujących się na światłach, a później ryk ich silników, gdy wyruszały do Alberty lub Reginy – dwóch miejsc, o których nie miałem zielonego pojęcia. Moje okienko znajdowało się pod dachem, a czerwone światło neonu hotelu Leonard zabarwiało mrok w pokoju. Było tu więc zupełnie inaczej niż w budzie w Partreau, gdzie widać było jedynie światło księżyca i świeczkę, niebo pełne gwiazd i blask przyczepy Charleya. Brakowało mi radia, więc żeby przygotować umysł do snu, robiłem w głowie przegląd wydarzeń minionego dnia oraz refleksji, jakie im towarzyszyły. Zawsze myślałem o moich rodzicach: o tym, czy ciężko im w więzieniu i czy teraz mnie wspominają, jak zachowałem się podczas procesu, gdybym na nim był, co bym powiedział, czy powiedziałbym im o Berner i wyznał, że ich kocham, w obecności innych ludzi. (Zrobiłbym to). Myślałem też o szorstkich głosach amerykańskich myśliwych i osiągnięciach ich dzieci, o ich żonach czekających w drzwiach kuchni i wszystkich ich przygodach, z których żadna nie wzbudziła mojej zazdrości lub niechęci. Nie miałem jeszcze żadnych osiągnięć i nikt na mnie nie czekał, nie miałem nawet domu, do którego mógłbym wrócić. Miałem jedynie swoje codzienne obowiązki i posiłki oraz pokój z malutkim dobytkiem. Mimo to, o dziwo, niemal zawsze zasypiałem z poczuciem ulgi, że czuję się tak, jak się czuję. Mildred powiedziała, żebym nie myślał o sobie źle, bo to, co się stało, nie było moją winą. Florence stwierdziła, że życie przychodzi do nas puste, więc to od nas zależy, czy będzie szczęśliwe. I nawet moja matka – która nigdy tu nie była i wiedziała o Kanadzie tylko to, że rozciąga się za rzeką, i nie знаła ludzi, których opiece mnie powierzyła – czuła, że będzie mi tu lepiej niż w jakimś zakładzie dla nieletnich w Montanie. A moja matka na pewno mnie kochała.

Berner napisała, że nasze życie zostało zrujnowane, ale nadal mieliśmy przed sobą długą drogę. Nie mogłem powiedzieć, żebym był naprawdę szczęśliwy. Byłem jednak rad, że nie muszę nosić wody w wiadrze i myć się pod pompą kostką mydła, podgrzewać wody na kuchni i spać w zimnej budzie pełnej przeciągów i przykrew woni, i nie widzieć na oczy nikogo

znajomego, i dzielić ubikacji z Charleyem Quartersem. Miałem wrażenie, iż coś się poprawiło, choć przez pewien czas sądziłem, że już nigdy nie będzie to możliwe.

Moje jedyne spotkanie z Arthurem Remlingerem, podczas którego miałem okazję naprawdę z nim porozmawiać, odbyło się wtedy, gdy spytał – półzartem – czy chciałbym zmienić nazwisko. Zaprzeczyłem, tak jak zrobiłby każdy, a szczególnie ja, który w tym czasie pragnąłem trzymać się kurczowo tego, kim byłem i co o sobie wiedziałem. Przesiadując w mojej klitce pod dachem, czułem, że Arthur Remlinger może wiedzieć o czymś, o czym ja nie wiedziałem. A mianowicie: że jeśli czyjaś misją na świecie było zdobycie doświadczenia, to stanie się kimś innym mogło się okazać do tego konieczne – nawet jeśli nie wiadomo było dokładnie kim i nawet jeśli matka uczyła nas, żebyśmy zawsze pozostali wierną kopią tych, którymi byliśmy, rozpoczynając nasze życie. Oczywiście mój ojciec mógłby powiedzieć, że istnienie tej pierwszej osoby – którą byłem na początku – przestało mieć sens i musi ona ustąpić miejsca komuś innemu, kto się okaże lepszy. Bo ojciec pewnie myślał tak o sobie, chociaż dla niego było już za późno.

Kiedy przywykłem do Fort Royal – miasta, w którym toczyło się prawdziwe, świadome siebie życie – zbliżyłem się do Arthura Remlingera, co przewidziała Florence. Czekałem na to niecierpliwie i nie umiałem powiedzieć, dlaczego nie doszło do tego wcześniej. Podczas tygodni spędzonych w Partreau Arthur Remlinger wydawał mi się inną osobą za każdym razem, gdy go spotykałem – co naturalnie wprawiało mnie w zakłopotanie i powodowało, że czułem jeszcze większe osamotnienie. Raz był przyjazny i entuzjastyczny, jakby chciał mi coś powiedzieć – choć nigdy tego nie zrobił – innym razem trzymał się na dystans i wydawał się skępowany, jakby chciał jak najszybciej odejść. Kiedy indziej znów zachowywał się sztywno i traktował mnie z wyższością – nieodmiennie ubrany w drogie i, jak sądziłem, pochodzące ze Wschodu stroje. W moich oczach był najbardziej niespójną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Ale właśnie to czyniło go fascynującym i budziło pragnienie lepszego poznania, bo nigdy nie przebywałem w towarzystwie dziwnych ludzi (z wyjątkiem matki) i nie poznałem nikogo szczególnie interesującego, z wyjątkiem Berner, która była do mnie podobna bardziej niż ktokolwiek inny.

Podczas jednej z naszych podróży samochodem – gdy przeprowadziłem się do hotelu i zacząłem go częściej widywać – Remlinger pędził swoim buickiem wyboistą szosą, rozprawiając o tym, co go nurtowało: o Adlaiu Stevensonie, którym pogardzał, stopniowej utracie naszych naturalnych praw z powodu sił syndykalistycznych i swojej zdolności przenikliwej obserwacji, która, jak twierdził, mogła mu zagwarantować karierę słynnego prawnika. Auto wypadło na zakurzone wzniesienie z prędkością niemal stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Na szczycie przed nami spacerowało sześć kolorowych bażantów, skubiąc beztrósco ziarno rozrzucone na żwirze i nasiona pszenicy zwiane z ciężarówek jadących do elewatora w Leader. Spodziewałem się, że Remlinger gwałtownie zahamuje lub wykona raptowny skręt, więc kurczowo chwyciłem boki fotela, ale obie dłonie zaraz przesunęły się na deskę rozdzielczą, stopy zaparły się z całej siły o podłogę,

a kolana napięły w oczekiwaniu na to, że ogromny buick zjedzie na bok, wypadnie z drogi czy gwałtownie skręci w rżysko albo wzbije się w powietrze i runie gdzieś na ziemię, a wtedy będziemy martwi. Ale Arthur nawet nie pomyślał o hamulcu. Jego twarz ani drgnęła, gdy przejechał przez stado bażantów. Jeden ptak uderzył o przednią szybę, dwa inne poszybowały w powietrze, czwarty i piąty zamieniły się w stertę piór na asfalcie, szósty pozostał nietknięty – ledwie zauważył pędzący samochód.

– Mnóstwo tu tych ptaków – stwierdził Remlinger.

Nawet nie spojrział w lusterko wsteczne! Byłem zdumiony.

Później dotarliśmy do miasteczka Leader w prowincji Saskatchewan, zaparkowaliśmy i poszliśmy na kanapkę do Modern Café. Arthur – zaciskając cienkie wargi i niemal się uśmiechając, jakby milcząco wypowiadał słowa, zanim zrobi to na głos, choć później się nie uśmiechnął – utkwiał we mnie jasnoniebieskie spojrzenie. Miał na sobie brązową skórzaną kurtkę z futrzanym kołnierzem, podobną do kurtki bombardiera, jaką mój ojciec przywiózł z wojny, choć jego była ładniejsza. Za kołnierz wetknął zieloną jedwabną chusteczkę jako apaszkę. Okulary do czytania dyndały mu na piersi zawieszane na sznurku. Jasne włosy miał starannie uczesane, a kościste wypielęgnowane palce, pokryte rzadkim owłosieniem, spoczywały na widelcu i nożu, jakby najbardziej interesowało go jedzenie. Nie wymienił żadnego powodu, dla którego ignorował mnie tygodniami, więc nie zanosilo się na to, że poda jakikolwiek powód obecnego postoju. Po prostu taki już był.

– Od dawna tu jesteś, Dell? – spytał Arthur Remlinger i nagle się rozpromienił, jakby zdał sobie sprawę, że mnie lubi.

– Od pięciu tygodni – odparłem.

– Lubisz swoją pracę? Uczysz się czegoś? – mówił starannie, z ożywieniem poruszając ustami, jakby każde słowo miało własną przestrzeń oddzielającą je od następnego, a jemu sprawiało przyjemność słuchanie każdego z nich. Głos Remlingera przybrał nosowe brzmienie, niezwykle u przystojnego, wyrafinowanego mężczyzny. Niektóre cechy czyniły go starym, chociaż taki nie był.

– Tak, proszę pana – odpowiedziałem.

Przyłożył widelec do smażonej wieprzowiny, którą zamówił.

– Mildred powiedziała, że możesz być nieco niepewny.

Odciał z boku mały tłusty kawałek i wsunął do ust, zwracając zęby widelca ku dołowi w sposób, jakiego u nikogo nie widziałem. Trzymał widelec w lewej ręce jak Berner.

– W byciu leworęcznym nie ma niczego złego – powiedział. – Sam jestem niepewny. Można mną łatwo kierować, a przynajmniej kiedyś tak było. Tu wszyscy są niepewni. Mieszkanie w Fort Royal jest wbrew naturze. Pod tym względem jesteśmy tacy sami.

– Nie jestem niepewny – zaprzeczyłem.

Poczułem niechęć do Mildred za to, że nagadała mu takich rzeczy, i za to, że o tym wiedziała. Nie chciałem, by tak było.

– No cóż, to zrozumiałe. – Remlinger wyglądał na zadowolonego, co pasowało do jego ładnych rysów twarzy. – Nigdy wcześniej nie byłeś sam i miałeś przykre przeżycia.

W restauracji znajdowało się kilka osób – farmerów, ludzi z miasteczka i dwóch policjantów w ciężkich brązowych kurtkach z mosiężnymi guzikami, jedzących lunch przy barze. Zauważyli nas. Wszyscy wiedzieli, kim jest Arthur Remlinger, jak ta mormonka, którą spotkałem na ulicy w Fort Royal. Nie miałem zadawać pytań, ale czekać, aż zostanę poproszony o zabranie głosu. Ale chciałem wiedzieć, dlaczego przejechał te bażanty i je zabił. Było to szokujące. Mój ojciec nigdy by tego nie zrobił, choć pomyślałem, że Charley Quarters by się nie zawahał. Odniosłem wrażenie, że Remlinger nie myślał o tym dłużej.

– Życie tutaj nie jest łatwe – ciągnął, spokojnie przeżuując tłuste mięso. – Nigdy mi się tu nie podobało. Kanadyjczycy żyją w izolacji, są produktem chowu wsobnego. Nie mają wystarczającej ilości bodźców. – Kosmyk jasnych włosów opadł mu na czoło. Odgarnął go kciukiem. – Ten pisarz, Tolstoj, pewnie o nim słyszałeś... – zauważyłem to nazwisko na jednej z książek – sto lat temu płacił za to, żeby chłopci tu przyjeżdżali. Jak sądzę, chciał się ich pozbyć. Niektórzy zostali do dziś, a przynajmniej ich potomkowie. Pojawiła się krótkotrwała cywilizacja. Ludzie wystawiali sztuki i operetki, urządzali parady. Powstawały kluby dyskusyjne, a z Toronto przyjeżdżali nawet słynni irlandzcy tenorzy z koncertami. – Jego jasne rzęsy drgnęły. Uśmiechnął się i rozejrzał wokół, spoglądając na innych gości i policjantów. W sali słychać było szmer głosów i brzęk sztućców, które chyba lubił. – Teraz – podjął, krojąc mięso – powróciliśmy do okresu brązu. W końcu nie jest to takie złe. – Otarł wargi jedwabną

chusteczką i ponownie utkwiał we mnie wzrok, a następnie przechylił głowę, co oznaczało, że ma pytanie. Dostrzegłem małe sine znamię w kształcie liścia na jego szyi. – Sądziś, że masz jasny umysł, Dell?

Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Może jasny umysł stanowił przeciwieństwo niepewności? Chciałem mieć jasny umysł.

– Tak, proszę pana – odpowiedziałem i zacząłem jeść hamburgera, którego zamówiłem.

Skinął głową i poruszył językiem za wargami, a następnie odchrząknął.

– Życie tutaj powoduje, że rojenia nabierają wielkiej siły. – Uśmiechnął się ponownie, ale powoli poważniał, kiedy na mnie patrzył. – Ludzie robią z rozpaczy różne zwariowane rzeczy, kiedy opuszcza ich pewność siebie. Ty nie masz do tego skłonności, jak sądzę. Nie jesteś zrozpaczony, co?

– Nie, proszę pana – zapewniłem i pomyślałem o mojej matce w celi, uśmiechającej się i bezradnej. Ona była zrozpaczona.

Arthur pociągnął łyk kawy, trzymając kubek za krawędź zamiast za małe wygięte ucho – dmuchnął, a później wziął odrobinę płynu do ust.

– No, to jedno mamy załatwione. Skreślamy rozpacz. – Uśmiechnął się ponownie.

Byłem w mieszkaniu Arthura Remlingera, widziałem jego fotografie, jego książki, jego szachy i jego pistolet. Teraz sprawiał wrażenie dostępnego – mógł być nawet moim przyjacielem, czego pragnąłem. Nigdy nie myślałem o tym, żeby spytać kogoś, dlaczego mieszka właśnie tu, gdzie mieszka. W naszej rodzinie był to temat niekończących się dyskusji, bo co rusz przenosiliśmy się z miejsca na miejsce na czyjś rozkaz. Chciałem się dowiedzieć o nim czegoś więcej, bardziej niż o przejechanych bażantach, bo wydawał się tutaj jeszcze bardziej obcy niż ja, który wbrew wszystkiemu zdołałem się przystosować. Nie byliśmy do siebie podobni, a przynajmniej wtedy o tym nie pomyślałem.

– Dlaczego pan stąd nie wyjechał, skoro nie lubi tego miejsca? – zapytałem.

Remlinger pociągnął nosem i gdy wyjął chusteczkę zza kołnierzyka, jeszcze się w niego uszczypnął. Odchrząknął jak jego siostra Mildred. Tylko pod tym względem byli do siebie podobni.

– Cóż, lepiej byłoby spytać... – Odwrócił się i wyjrzał przez okno restauracji na ulicę, gdzie jego buick stał obok policyjnego dodge'a. Z wnętrza sali widać było odwrócone złote litery napisu „Modern”. Zaczął

padać śnieg. Wiatr przywiał rój białych płatków, które unosiły się nad ulicą niczym mgła, wirując wokół samochodów i ciężarówek jadących z włączonymi światłami, chociaż było południe. Odniosłem wrażenie, że Arthur zapomniał, co chciał powiedzieć – to znaczy zadać lepsze pytanie.

Sięgnął do kieszeni kurtki po paczkę papierosów marki Export A, które widziałem również u Florence. Wyjął jednego, zapalił i wydmuchnął dym na chłodną powierzchnię szyby, gdzie zawisł w powietrzu na tle padającego śniegu. Wyraźnie czuł potrzebę, aby coś powiedzieć, być ujmującym, zachowywać się tak, jakby interesował się mną i moim pytaniem. Ale czy mogło być dla niego coś mniej naturalnego? Piętnastolatek, o którym prawie nic nie wiedział... Może uznał za dobre to, że byłem Amerykaninem. Może dostrzegł we mnie samego siebie, jak powiedziała Florence. Ale jakie to mogło mieć dla niego znaczenie?

Sposób, w jaki palił papierosa – trzymał go palcami lewej dłoni ułożonymi w literę V i spoglądał w bok – powodował, że sprawiał wrażenie starszego. Jego profil wydał mi się bardziej kanciasty niż wtedy, gdy patrzył wprost na mnie. Znamię na szyi stało się bledsze. Na chwilę przybrał zamyślony wyraz twarzy. Kąciki jego ust uniosły się przelotnie obok litery V.

– Jesteś młodym synem rabusiów bankowych i desperatów – powiedział i znów wydmuchnął obłok dymu na szybę. – Chyba nie chcesz, żeby ten i tylko ten fakt stał się kwintesencją całego twojego życia, prawda?

– Tak, proszę pana.

Berner napisała, że nikt nie uwierzył w to, co powiedziała o naszych rodzicach, i że sama chyba przestanie w to wierzyć.

– Chcesz na nim odcisnąć własne ja. – Ponownie wyrażał się w bardzo precyzyjny sposób. – Najlepiej, jak się da.

– Tak, proszę pana – powtórzyłem.

Oblizął wargi i podniósł brodę, jakby bieg jego myśli ponownie się zmienił.

– Czytałeś kiedyś jakąś biografię?

– Tak, proszę pana – przytaknąłem trzeci raz, chociaż przeczytałem tylko te w World Book – Einsteina, Gandhiego i madame Curie. Przygotowałem o nich pracę na szkolne zajęcia. Ale on miał na myśli prawdziwe biografie, grube tomy stojące na jego półce, o których nie powinienem był wiedzieć.

Biografie Napoleona, U.S. Granta, Marka Aureliusza. Chciałem je przeczytać i czułem, że kiedyś to zrobię.

– Uważam – ciągnął Remlinger – że ludzie o bogatym wnętrzu, którzy wiele w sobie kryją, powinni się interesować czynami wielkich wodzów. Wszyscy oni wiedzieli, czym jest los. – Wydawał się zadowolony i mówił z większą swadą. – Zdawali sobie sprawę, że nasze plany bardzo rzadko są ziszczają, a porażka jest zasadą. Doświadczyli niewyobrażalnej nudy i wiedzieli wszystko o śmierci. – Spojrzał na mnie badawczo z drugiej strony stołu. Przestrzeń między jego brwiami się powiększyła, jakby chciał, żebym uznał jego słowa za odpowiedź na pytanie, dlaczego mimo wszystko tu jest. Był taki jak mój ojciec. Obaj chcieli, żebym był ich publicznością, słuchał tego, co pragną wyrazić. Nie zamierzał odpowiadać na moje pytanie.

Wyjął portfel z kieszeni kurtki i położył banknot na stole – czerwony, inny niż amerykański – żeby uregulować rachunek, jakby nagle zapragnął ruszyć dalej; wsiąść do buicka, pomknąć na prerię i uderzyć w to, na co przyjdzie mu ochota.

– Nie przepadam za Ameryką – powiedział, wstając. – Rzadko tu o niej słyszymy.

Dwóch ludzi przy barze odwróciło się i spojrzało na niego – wysokiego, przystojnego, osobliwego mężczyznę. Odwrócił się także jeden z policjantów, ale Remlinger tego nie zauważył.

– To dziwne uczucie mieszkać tak blisko niej – oznajmił. – Cały czas się nad tym zastanawiam. To niecałe dwieście kilometrów stąd. Czy to miejsce wydaje ci się bardzo różne? No wiesz, to tutaj?

– Nie, proszę pana – odrzekłem. – Wydaje się takie samo.

Rzeczywiście tak było.

– Cóż, to dobrze – powiedział. – Już się przystosowałeś. Pewnie dlatego jestem tu, gdzie jestem. Przystosowałem się. Chociaż kiedyś z przyjemnością wybrałbym się w podróż za granicę. Do Włoch. Kocham mapy. Lubisz mapy?

– Tak, proszę pana – przytaknąłem.

– To nie wyścig, w którym musimy wygrać, prawda?

– Tak, proszę pana – bąknąłem.

Nie powiedział nic więcej. Pomysł jego wyjazdu za granicę wydał mi się dziwny. Chociaż Remlinger był niezwykle i tu nie pasował, zdawał się

jednocześnie przynależć do tego miejsca. Jak widać, nadal tkwiłem w dziecięcym przekonaniu, że ludzie przynależą do miejsca, w którym ich spotkałem.

Wyszliśmy z restauracji i nie wróciłem tam nigdy więcej.

Nie potrafię opisać tego, co się później stało, aby wydało się to zrozumiałe lub logiczne, bliskie naszemu doświadczeniu o świecie. Ale jak powiedział Arthur Remlinger, byłem synem rabusiów bankowych i desperatów, czym przypomniał mi, że niezależnie od dowodów naszego istnienia ani tego, co o sobie myślimy lub co jesteśmy gotowi sobie przypisać, by czerpać z tego siłę i dumę, wszystko może wynikać ze wszystkiego.

Tak też było z brzemieniem w skutki wyznaniem Charleya Quartersa na temat Arthura Remlingera, uczynionym krótko potem – o przestępstwach, których się dopuścił, i rozpaczliwej ucieczce przed wymiarem sprawiedliwości, o skłonności do wahań nastrojów i wybuchów gniewu, których nic nie zapowiadało. Charley traktował Remlingera z lekceważeniem, nie czuł się w obowiązku dochowania mu wierności i zatajenia tych informacji. Bo zdaniem Charleya Remlinger nie należał do ludzi, którzy nagradzają lojalność lub szanują cokolwiek na tym świecie. Poznanie prawdy o kimś takim nigdy nie jest złe, bo może ocalić ci przed niejednym skórę.

Właśnie dlatego (choć wówczas nie potrafiłbym tego nazwać, gdyż czułem to jedynie w jeszcze niestworzonej części siebie) Arthur Remlinger traktował mnie jak wszystkich innych – z perspektywy swojego ja, które było wyłącznie jego własnością i niemal w niczym nie przypominało mojego. Moje istnienie nie stanowiło dla niego faktu w odróżnieniu od jego egzystencji, która była czymś bardzo bezpośrednim i namacalnym. Jej głównym elementem było poczucie pustki, której miał świadomość i którą rozpaczliwie pragnął wypełnić. (Okazało się to oczywiście w chwili, gdy się do niego zbliżyłem). Nieustanne doświadczanie tej pustki sprawiło, że w jego mniemaniu stała się ona centralnym problemem istnienia, a w moim – uczyniła go tak interesującym przez ciągłe zmagania, aby ją zapełnić. Pragnął (później doszedłem do tego wniosku, bo gdyby niczego nie pragnął, nie przyjąłby mnie do siebie) dowodu – ode mnie lub kogokolwiek

innego – że zdołał to uczynić. Pragnął potwierdzenia, że tego dokonał i nie zasługuje na dalsze karanie za błędy, jakie popełnił. Ignorował mnie w Partreau, starając się nie uwierzyć w to, że będę wiecznie sam, bo nie miał pewności, czy może liczyć na to, iż dostarczę mu tego, czego chciał – dopóki nie przywykłem do własnego beznadziejnego położenia i nie pozostawiłem własnej tragedii na tyle daleko za sobą, aby móc się zająć jego. Pragnął, żebym był jego „szczególnym synem”, choćby przez krótką chwilę, bo wiedział, że niebawem nadejdą złe czasy. Pragnął, abym dostarczył mu tego, czego synowie dostarczają ojcom: świadectwa, że są prawdziwi, że nie są wydmuszką, że się do czegoś nadają.

Miałem zaledwie piętnaście lat i wierzyłem w to, co mówili ludzie – czasami bardziej niż w to, co szeptało mi własne serce. Gdybym był starszy, gdybym miał siedemnaście lat i trochę więcej doświadczeń oraz gdybym dysponował czymś więcej oprócz nieokreślonych wyobrażeń o świecie, mógłbym zrozumieć, że emocje, których doświadczałem – lgnięcie do Remlingera odsuwające na bok uczucia, jakimi darzyłem własnych rodziców – że te emocje oznaczały, iż niebawem także dla mnie nadejdą złe czasy. Byłem jednak na to zbyt młody, zbyt daleko od granic skromnej wiedzy, jaką wówczas już posiadałem. Podobne doznania towarzyszyły mi, gdy rodzice planowali napad na bank i go przeprowadzali, gdy czekaliśmy z Berner na ich powrót i gdy później byłem gotowy wsiąść do pociągu jadącego do Seattle i zapomnieć o szkole średniej. Ale nie łączyłem ich z obecnymi uczuciami ani nie zdawałem sobie sprawy, że oznaczają to samo. Brakowało mi zdolności tworzenia tego rodzaju powiązań. Tylko dlaczego lgniemy do ludzi, których nikt inny nie uznałby za dobrych i pełnych, ale za niebezpiecznych i nieprzewidywalnych? W ciągu kolejnych lat wielokrotnie myślałem o tym, jak wysoce niefortunne było uwikłanie się w znajomość z Arthurem Remlingerem tak szybko po osadzeniu moich rodziców w więzieniu. Bo przecież każdy z nas powinien to robić: rozpoznać doznanie, które sygnalizuje, że wokół nas dzieje się coś niedobrego, przypomnieć sobie, że już wcześniej mieliśmy podobne i że oznacza to, iż znaleźliśmy się sami na otwartej przestrzeni i powinniśmy postępować z najwyższą ostrożnością.

Oczywiście zamiast okazać przezorność, pozwoliłem, żeby Arthur Remlinger i Florence La Blanc się mną „zaopiekowali”, jakby otoczenie

opieką było najbardziej naturalną i logiczną konsekwencją tego, że matka wysłała mnie do Kanady po katastrofie spowodowanej własnym złym losem. Wszystko to trwało krótko, ale poddałem się temu zupełnie jak dziecko, bo – powtórzę ponownie – jakaś częśćka mnie nadal była dzieckiem.

Na początku października, kiedy zadomowiłem się już w mojej klitce w hotelu Leonard, zacząłem częściej widywać Arthura Remlingera, jakbym nagle stał się jego ulubionym towarzyszem i nie miał dość mojej obecności. Nadal wykonywałem swoje obowiązki i czerpałem z nich satysfakcję: wieczorami tropiłem gęsi razem z Charleyem, wstawałem o czwartej rano i w ciemności wiozłem myśliwych na pola pszenicy, rozmieszczałem wabiki, prowadziłem swobodne pogaduszki z klientami, a później oddalałem się na wyznaczoną pozycję, żeby obserwować przez lornetkę spadające ptaki. Ale gdy nie pochłaniały mnie obowiązki, Arthur Remlinger dopominał się o mój czas. Byłem szczęśliwy, bo nie rozumiałem tego, co się dzieje, i nie byłem przezorny (a przynajmniej wystarczająco przezorny). Zdecydowałem, że go lubię i że jest interesujący – że jest człowiekiem, którego kiedyś mógłbym naśladować. Jak powiedziała Florence, był wykształcony, miał dobre maniere i elegancko się ubierał, sprawiał wrażenie doświadczonego, a do tego był Amerykaninem i chyba czuł do mnie sympatię. Uznałem też, że moja matka chciała, by zaopiekowali się mną obcy, i aprobować tę sytuację jako nowy start w życiu.

Remlinger powiedział, żebym mówił mu po imieniu, co było dla mnie czymś nowym. Zabrał mnie do chińskiej restauracji i nauczył, jak używać pałeczek i pić herbatę. Widywałem przelotnie córkę właściciela lokalu, ale przestałem o niej myśleć i żywić nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. W inne wieczory jadałem kolację w hotelu Leonard z Arthurem i Florence. Florence stawiała kwiaty na stole i przedstawiała mnie innym gościom, jakbym był ich krewnym i jakby coś nas łączyło, a Arthur był za mnie odpowiedzialny. Pod tym względem traktował mnie jak syna, jakbym naprawdę mieszkał w Fort Royal w hotelu Leonard, co wydawało się naturalne w przypadku takiego chłopca jak ja.

Przy takich okazjach Arthur – ubrany w jeden ze swoich eleganckich tweedowych garniturów, wyglansowane buty i jasny krawat – opowiadał o swojej niezwykle rozwiniętej zdolności obserwacji, która, jak sądziłem,

przysłużyłaby mu się w wielu innych zajęciach oprócz prowadzenia hotelu w jakiejś zapadłej dziurze. Powiedział, żebym rozwijał swoje uzdolnienia, by zapewnić sobie przyszłość. Niezgrabnie wyciągnął mały notes w niebieską linię, który najwyraźniej dla mnie przygotował, i poradził, abym zapisywał w nim myśli i obserwacje, ale nigdy nikomu ich nie pokazywał. Jeśli później przeczytam go ponownie, zapewnił, odkryję, jak wiele rozumiem, choć wcześniej nic nie było dla mnie jasne. Wyznał mi, że sam to robi.

W tym okresie zabrał mnie na kilka wypraw samochodem – raz do Swift Current, żeby oddać dług, innym razem do Medicine Hat, żeby przywieźć Florence, której zepsuło się auto. Kiedy indziej zawiózł mnie bocznymi drogami przez prerię na glinianą skarpe nad rzeką Saskatchewan, gdzie prom poruszany siłą rąk sunął wolno w poprzek koryta. Nie wyłączyliśmy ogrzewania buicka i patrzyliśmy w dół na rzekę, gdzie tysiące gęsi lądowało i trajkotało na lśniącej wodzie, obsiadając koliste brzegi. Białe mewy krążyły w niespokojnym powietrzu wysoko ponad nimi. Jasne włosy Remlingera były zawsze przystrzyżone i starannie uczesane, lśniące i robiły wrażenie. Jego okulary kołysały się na szyi, a on sam pachniał olejkiem pimentowym. W samochodzie palił i opowiadał o Harvardzie, o tym, jak wspaniałe wiódł tam życie (miałem wtedy niejasne wyobrażenie o tym miejscu, nie wiedziałem nawet, że leży w Bostonie), o zagranicznych podróżach (interesowały go Niemcy oraz Irlandia) i mierzącej sześć i pół tysiąca kilometrów granicy Ameryki, którą nazywał rubieżą Stanów. Powiedział, że granica nie była naturalnym ani logicznym miejscem podziału, że nie istniała w naturze, więc należałoby ją znieść. Błędny podział utrzymywano z powodu korupcyjnych interesów. Cytował słowa Rousseau, że wszystko, co stworzył Bóg, było dobre, ale człowiek doprowadził do jego zepsucia. Gardził „tyrańskim rządem” i kościołami, i wszystkimi partiami, szczególnie demokratami, którzy byli ulubieńcami mojego ojca (i moimi), bo ojciec darzył sympatią prezydenta Roosevelta, przez Remlingera nazywanego „człowiekiem na wózku” lub „kaleką”, bo zdradził kraj, oddając go Żydom i związkowi zawodowemu. Kiedy Arthur o tym mówił, jego niebieskie oczy błyszczały gniewnie, a później jeszcze bardziej gniewnie. Ze szczególną pogardą odnosił się do związków zawodowych, które nazywał fałszywym mesjaszem. Pisywał o tym artykuły zamieszczane w czasopiśmie przechowywanych w kartonach stojących

w mojej budzie w Partreau. Kiedy z nim byłem, ograniczałem się do słuchania, bo zadawał niewiele pytań. W ogóle nie pytał o mnie, tylko raz, o imię mojej siostry i o to, gdzie się urodziła, i ponownie, czy planuję pójść do college'u oraz czy zadomowiłem się w mojej klitce. Nie opowiadałem o moich rodzicach ani nie wyznałem, że matka jest Żydówką. Dzisiaj Arthur Remlinger zostałby pewnie uznany za radykała lub człowieka o skrajnie liberalnych poglądach, ale czułby się lepiej niż wtedy na preriach Saskatchewan.

Mówienie jednak nie czyniło go szczęśliwym, jakby gadanie bez końca było kolejnym brzemieniem, które musi dźwigać. Mówił nieustannie nosowym głosem, z ożywieniem poruszając ustami. Jego oczy mrugały niespokojnie, początkowo odwrócone ode mnie, jakby mnie przy nim nie było. Czasami stawał się entuzjastyczny, innym razem rozgniewany, co uznałem za sposób na radzenie sobie z pustką, która go wypełniała. Był egzotyczną postacią, równie egzotyczną jak miejsce, w którym się znajdowaliśmy. Nigdy nie znałem kogoś takiego jak on, nigdy też nie uważałem nikogo za równie interesującego.

W owym czasie dobrze sypiałem i z optymizmem myślałem o swoim pobycie w Fort Royal. Niewiele rzeczy było dla mnie źródłem poczucia przynależności, miałem też niewiele do roboty poza moimi obowiązkami, ale starałem się to skompensować własnymi wyobrażeniami o przynależności i normalności – bo taki miałem charakter (taki mam zresztą do dziś). Poszedłem do fryzjera i zapłaciłem za strzyżenie kanadyjskimi dolarami z napiwków. Myłem się we wspólnej łazience i mogłem się przejrzeć w lustrze, kiedy tylko chciałem. Ustawiłem moje szachy na komodzie i obmyślałem strategie, których użyję, jeśli Remlinger kiedykolwiek ze mną zagra. Czułem się w hotelu Leonard jak w domu i bratałem z myśliwymi, handlowcami i robotnikami z platform wiertniczych, którzy byli tutejszą klientelą, gdy robotnicy rolni odjechali. Nawiązałem też luźną znajomość z jedną z filipińskich dziewczyn, która nazywała się Betty Arcenault. Śmiała się ze mną i przekomarzała, że przypominam jej młodszego brata, który był taki mały jak ja. Powiedziałem, że mam wyższą siostrę, która mieszka w Kalifornii. (Ponownie nie wspominałem ani słowem o rodzicach). Betty planowała pojechać do Kalifornii i właśnie dlatego co noc przyjeżdżała ze Swift Current, aby pracować jako „hostessa” w hotelu. Była blada i szczupła,

miała farbowane żółte włosy, paliła papierosy i rzadko się uśmiechała, z powodu zębów. Nigdy nie pomyślałem, żeby z nią być, bo nie wyobrażałem sobie, co moglibyśmy razem robić. Jedyne doświadczenie tego rodzaju miałem z Berner, ale niewiele z tego zapamiętałem.

Odkryłem, że już nie myślę o Partreau. Jeździłem tam co rano z Charleyem Quartersem i patroszyłem gęsi w przenikliwym chłodzie na stole przed jego barakiem, naprzeciw mojej dawnej budy, i czułem się tak, jakbym nigdy nie był w środku, jakbym nigdy nie spacerował tymi ulicami i nie stał za krzewami karaganu, spoglądając tam, gdzie, jak sądziłem, znajdowało się południe, jakbym ponownie ujrzał moich rodziców. Czas zaciąga swoją zasłonę nad wydarzeniami, jeśli niewiele o nim wiesz, a jego wpływ, jak już wspominałem, nie miał wówczas dla mnie większego znaczenia.

W tych dniach Florence La Blanc powiedziała, że zastanawiała się nad moją przyszłością i obmyśliła plan. Siedzieliśmy przy stole w jadalni przykrytym białym obrusem, ze złożonymi serwetkami i srebrnymi sztućcami, które przywiozła z Medicine Hat, i kwiatami, co, jak powiedziała, miało stworzyć iluzję cywilizacji na prerii i dlatego że było Święto Dziękczynienia – moje pierwsze w Kanadzie. Gdybym chodził do szkoły, jak powinienem, powiedziała, miałbym wolne. Oczywiście nie czułem się tak jak w Święto Dziękczynienia, bo był poniedziałek, ale Florence upiekła indyka przygotowała sos, purée ziemniaczane i ciasto z dyni, przywiozła to wszystko samochodem i ogłosiła, że będziemy wspólnie świętować.

W jadalni przebywało mało gości, jakiś handlowiec i małżeństwo w podróży na wschód. Robotnicy z platform naftowych, kolejarze i myśliwi jadali w barze. Remlinger siedział w milczeniu, wpatrując się w duży obraz na ścianie oświetlony małym reflektorem punktowym. Obraz przedstawiał brązowego niedźwiedzia w czerwonym fezie tańczącego w kręgu pokrzykujących mężczyzn o dzikich, pełnych podniecenia oczach, otwartych ustach i czerwonych twarzach, wymachujących w powietrzu krótkimi ramionami.

Florence oświadczyła z wypiekami na twarzy, że myślała o mnie i mojej „doli”. Uważała, że powinienem spędzić jesień w Fort Royal pod opieką Arthura. Powinienem nauczyć się zadbać o siebie i nabrać siły, i częściej

odwiedzać fryzjera. Później, przed świętami Bożego Narodzenia, powinienem pojechać autobusem do Winnipeg i zamieszkać u jej syna Rolanda, który miał młodą żonę, a jego dziecko zmarło na polio. Już z nim o mnie rozmawiała i był gotów się zgodzić. Zapisałby mnie do Katolickiej Szkoły Średniej Świętego Pawła, gdzie nie zadawano by zbyt wielu pytań, bo uczyła tam jego żona. Gdyby jednak byli dociekliwi, ciągnęła, uśmiechając się do mnie i mrużąc błyszczące oczy, usłyszeli by, że jestem uchodźcą porzuconym przez amerykańskich rodziców, którzy trafili do więzienia, i sam jeden odbyłem śmiałą podróż do Kanady, gdzie zaopiekowali się mną odpowiedzialni Kanadyjczycy, bo nie miałem rodziny. Powiedziała, że kanadyjscy urzędnicy nigdy nie odeślą mnie do Montany, a władze Montany nigdy mnie nie odnajdą, bo nie będzie im na tym zależeć. W każdym razie, ciągnęła, będę tam tylko trzy lata, dopóki nie skończę osiemnastego roku życia. Trzy lata szybko miną, a później będę mógł sam decydować o własnym życiu, jak każdy. Mamy za co być wdzięczni.

Odniosłem wrażenie, że nawet przez chwilę nie pomyślała, iż mogę ponownie zamieszkać z jednym z moich rodziców. Ja sądziłem, że jeśli po trzech latach matka albo ojciec wyjdą na wolność, odnajdę ich, a oni z pewnością uradują się z mojego powrotu. Z dzisiejszej perspektywy może się to wydawać dziwne, że rozmawiano w ten sposób o mojej przyszłości i że byłem taki bezsilny.

Remlinger spojrzał na mnie, kiedy Florence przedstawiała swój plan. Miał na sobie elegancką czarną marynarkę i fioletowy fular – zawsze prezentował się wyjątkowo na tle hotelowych gości. Mrugnął do mnie i się uśmiechnął. Zacisnął wąskie wargi, a na jego brodzie pojawił się dołek. Ponownie rzucił okiem na obraz przedstawiający niedźwiedzia i rozkrzyczany tłum, jakby zmierzył coś we mnie i podjął decyzję, a później powrócił do rozmyślań o naturalnym porządku świata i o tym, że człowiek zniszczył doskonałe Boże dzieło. Nie lubiłem, kiedy tak na mnie patrzył, bo nie wiedziałem, co zostało zmierzone ani jak wierny był ten pomiar. Było to jedno z tych doznań, na które nie znałem jeszcze słów – przecucie, że nadciąga ku mnie coś niedobrego. Powiedziałem już, że żywiłem przekonanie, iż Arthur czegoś ode mnie chce, bo w przeciwnym razie by mnie tu nie było – czegoś więcej od bycia publicznością lub świadkiem. Że

mógł chcieć przekazać mi to złe odczucie lub udowodnić poprzez sam fakt mojego istnienia, że się mylił, kiedykolwiek je odczuwał.

Z kolei Florence wydawała się szczęśliwa, że może rozmawiać o mojej przyszłości, a ja byłem rad z tego, że w ogóle mogę ją posiadać. Powiedziała, że powinienem się zastanowić nad przyjęciem kanadyjskiego obywatelstwa i że da mi książkę na ten temat. To by wszystko naprawiło. Kanada jest lepsza od Ameryki, dodała. Wiedzą o tym wszyscy z wyjątkiem Amerykanów. Bo Kanada ma wszystko, co Ameryka kiedykolwiek posiadała, ale nikt tu nie wariuje z tego powodu. W Kanadzie człowiek może być normalny. Kanada przyjmie mnie z radością. Oznajmiła, że kilka lat temu Arthur został Kanadyjczykiem. (Remlinger pokręcił głową, dotknął palcami jasnych włosów i na dłużej odwrócił wzrok). Nie wiedziałem o tym, bo Charley powiedział, że Remlinger jest Amerykaninem z Michigan, jak ja. Mój stosunek do niego natychmiast się zmienił. Nie zacząłem myśleć o nim źle, ale inaczej, jakby część jego odmienności zniknęła, co uczyniło go mniej interesującym niż wtedy, gdy uważałem go za Amerykanina. W pewnym sensie wydał mi się mniej znaczący. Ostatecznie tylko tym może się różnić mieszkanie w jednym miejscu na ziemi od mieszkania w innym – tym, jak myślisz o ludziach, i tym, co powoduje, że myślisz właśnie tak.

W tych dniach napisałem list do Berner. Napisałem go, siedząc na łóżku w moim maleńkim pokoju z kwadratowym oknem wychodzącym na miasto, na cienkiej błękitnej papeterii, którą kupiłem w drogerii, automatycznym ołówkiem, który znalazłem w jednym z pudeł w Partreau.

Napisałem do niej, że jestem w Kanadzie, która nie jest tak daleko, jak może się wydawać, bo dojechałem tu w jeden dzień z Great Falls. Napisałem, że myślę o zostaniu Kanadyjczykiem, ale nie będzie to żadną wielką zmianą. Że wkrótce wyjadę do Winnipeg i rozpocznę nowe życie. (To słowo wyglądało bardzo dziwnie, skreślone moim charakterem pisma). Dostałem pracę, z prawdziwymi obowiązkami i zadaniami, którą polubiłem, i bardzo dobrze się przystosowałem. Uczyłem się nowych rzeczy i sprawiało mi to przyjemność. Nie wspomniałem o naszych rodzicach, jakbym nic o nich nie wiedział i jakbyśmy mogli pisywać do siebie bez poruszania tego tematu. Nie wspomniałem też o Arthurze Remlingerze lub Florence La Blanc, bo nie miałem pojęcia, jak ich opisać lub jak określić ich rolę w moim życiu. Nie napisałem też, że nie wiem, gdzie jest Winnipeg. I nie wspomniałem, że Florence nazwała moje życie „ciężką dolą”. Ani o dziwnych przeczuciach, które mnie nachodziły. Byłem ich tylko częściowo świadomy, ale obawiałem się, że ją zmartwią. Napisałem, że ją kocham i cieszę się, że jest szczęśliwa, i kazałem pozdrowić ode mnie Rudy’ego, jeśli zobaczy go w tym parku. Obiecałem, że odwiedzę ją w San Francisco i będę jej bratem, gdy tylko stanie się to możliwe i będę mógł przyjechać autobusem z Winnipeg. Podpisałem list, złożyłem go i wsunąłem do niebieskiej koperty. Postanowiłem udać się na pocztę i przesłać go na adres w San Francisco, który od niej dostałem. Później położyłem kopertę na drewnianej komodzie, stanąłem przy oknie i wyjrzałem na zewnątrz, na dachy domów i prerię rozciągającą się po horyzont jak ocean. Pomyślałem, że Berner jest naprawdę daleko stąd, a ja nie napisałem jej o niczym ważnym, nie napisałem niczego o sobie ani o niej. Pomyślałem, że nie będzie jej łatwo odgadnąć, co u mnie słychać,

z tego, co zawarłem w liście, bo moja sytuacja była trudna do wyjaśnienia i mogła ją zmartwić. Nie mieszkałem w domu i nie wychodziłem codziennie do szkoły lub pojechałem pociągiem do Seattle. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli napiszę do niej z Winnipeg, kiedy już wszystko się ułoży i zacznę chodzić do liceum Świętego Pawła, a ona będzie mogła to zrozumieć i na pewno okaże zainteresowanie.

Wziąłem list i włożyłem go do poszewki, którą miałem od tamtego ranka, kiedy we trójkę mieliśmy wyjechać – Berner, nasza matka i ja. Pomyślałem, że później go przeczytam – jak uwagi i obserwacje, które Remlinger kazał mi zapisywać w małym notatniku w niebieską linię, żeby wiedzieć, jak wyglądało życie, gdy je przeżywałem. Nigdy niczego w nim nie zapisałem, a kiedy wyjechałem z Fort Royal, nawet go z sobą nie zabrałem.

Charley Quarters uprzedził mnie, że historia Arthura Remlingera będzie najdziwniejszą, jaką w życiu słyszałem, ale powinienem ją poznać, bo chłopcy w moim wieku potrzebują trudnej prawdy (w przeciwieństwie do tego, co wolałaby usłyszeć większość ludzi), gdyż to pozwala mi wyznaczyć sobie wyraźne granice. Powiedział, że on znał taką trudną prawdę, ale nie udało mu się wyznaczyć granic. Właśnie dlatego mieszka sam w rozpadającej się przyczepie w Partreau. Charley zawsze mówił w ten sposób – nawiązując do mrocznych wydarzeń z własnego życia, których nie opowiedziałby w szczegółach, ale przypuszczałem, że są to rzeczy wstydlive i paskudne dla człowieka, który chce być pełną osobą, jak ja tego pragnąłem. Wydawał się podejrzaną figurą, miał gwałtowną naturę i wyglądał na zboczeńca, poza tym, jak już wyznałem, nie lubiłem go. Ale był inteligentny. Przechwalał się, że starał się o przyjęcie do college'u, ale mu odmówiono, bo był Metysem i dlatego że był zbyt bystry. Zastanawiałem się, czy w głębi duszy nie był kiedyś takim chłopcem jak ja, przynajmniej przez jakiś czas, i czy to możliwe, aby ten dobry chłopiec gdzieś w nim przetrwał, bo chciał mi opowiedzieć o granicach i twardej prawdzie.

Sprawialiśmy gęsi upolowane tego ranka. Wielka sterta pierza leżała na ziemi obok podkładu kolejowego, którego używaliśmy jako deski do oporzędzania ptactwa. Niektóre gęsi jeszcze machały łapami, a inne poruszały się, kiedy odrąbywaliśmy im głowy siekierami lub pozbawialiśmy innych części ciała przed otwarciem brzucha nożem i wypatroszeniem, a później przepchnięciem przez maszynę Charleya do usuwania piór. Tego dnia pierwszy raz wszedłem do jego przyczepy.

Powiem tyle, że wewnątrz nie przypominało niczego, co wcześniej widziałem. W pewnym sensie było takie jak pomieszczenie w mojej budzie – ciasne, pozbawione powietrza i cuchnące stęchlizną. Ale zawierało wszystko, co Charley zgromadził w ciągu całego swojego życia, a przynajmniej tak sobie pomyślałem. Było to przegrzane prostokątne

pomieszczenie o oknach uszczelnionych gazetami i oklejonych taśmą maskującą. W rogu stała czarna, pokryta sadzą żelazna kuchenka marki Delmar, a rura kominowa wychodziła na zewnątrz przez otwór wycięty w niskim dachu. Za łóżko służyła Charleyowi brudna niebieska kanapa usłana prześcieradłami. W pomieszczeniu znajdowało się ogromne kłębowisko krzesel, popsutych kartonowych walizek i wysuszonych zwierzęcych skór, które Charley trzymał na sprzedaż, a do tego jego kije golfowe, gitara, mały telewizor niepodłączony do prądu oraz kilka otwartych pudeł z karmą dla ptaków, w których grzebały szczury, a w kącie puszek z jedzeniem – kukurydzą i konserwami rybnymi, herbatą ze sklepu spółdzielczego i parówkami wiedeńskimi – okrągłe pudełka z krakersami, brudne naczynia oraz sztucce, kosmetyczka Charleya, lusterko w ramce i kolejne z jego srebrnych wiatraczków z powyginanymi łopatkami, które wymagały naprawy, do tego pudełko z drewnem na podpałkę i stołowy wiatrak, słoik po piklach z żółtym płynem w środku i para rękawic bokserskich wiszących na ścianie. Były też stara lodówka i kredens z wyciągniętymi szufladami oraz odpadającym fornirem. Na górze stały książki, które Charley czytał. Jedną z nich była Red River Rebellion. Dwie inne to CCF and the Métis oraz Life of Louis Riel. Leżały też sterty luźnych papierów, na których zapisano coś, co uznałem za wiersze Charleya, ale bliżej się im nie przyjrzałem. Na ścianie wisiały oprawione w ramki fotografie Hitlera, Stalina, Rocky'ego Marciano. I człowieka chodzącego po linie wysoko nad rzeką i trzymającego w rękach długą tyczkę. I zdjęcie Eleonory Roosevelt. I Benita Mussoliniego z wysuniętą do przodu szczęką, a obok Duce dyndającego na ulicznej latarni głową w dół, z koszulą, która zsunęła mu się z brzucha, z jego kochanką wiszącą obok niego. Była też fotografia przedstawiająca Charleya jako chłopca i zdjęcie starszej kobiety wpatrującej się w aparat surowym wzrokiem, oraz inne zdjęcie Charleya w mundurze wojskowym, z wąsikami jak u Hitlera, wyciągającego rękę w faszystowskim pozdrowieniu. Wtedy nie rozpoznałem tego wszystkiego, ale wiedziałem o Mussolinim, bo oglądałem stare gazety z jego zdjęciami, kiedy był żywy i martwy – ojciec zachował je dla mnie z czasów wojny.

Charley wysłał mnie po swoją zakrzywioną kamienną oselkę do wyostrzenia siekiery, żeby mógł sprawniej obcinać gęsiom szyje, łapy i skrzydła, ale myślę, że tak naprawdę chciał, abym zobaczył, jak wygląda życie bez wytyczonych granic. W środku cuchnęło zgniłymi jajami, których

smród mieszał się z jakimś słodkim chemicznym zapachem kojarzącym się z żywnością (pewnie rozpuszczalnikiem do garbowania skór) oraz wonią samego Charleya – która w pomieszczeniu była jeszcze trudniejsza do wytrzymania, bo rozgrzana i uwięziona w zamkniętej przestrzeni. Smród był niemal widoczny, prawie dało się go dotknąć, choć blaszane drzwi przyczepy były otwarte i przez dwie minuty, kiedy tam przebywałem, do środka wlatywał zimny wiatr. Chciałem jak najszybciej stamtąd uciec. Czasami czułem ten smród od Charleya, kiedy się do niego zbliżyłem lub wiatr powiał od niego w moją stronę, i myślę, że nikt nie zdołałby do niego przywyknąć, więc zazwyczaj musiałem zebrać siły, żeby się na niego przygotować. W końcu jednak przywykłem, ale i tak za każdym razem w towarzystwie Charleya byłem świadom, że go czuję, że czułbym go, nie zwracając na to uwagi, jakby w tym zapachu było coś przyciągającego. Rozpalał się we mnie i przez chwilę pragnąłem wachać to, czego nie powinienem, smakować coś, co powinno budzić mój wstręt, i spoglądać na rzeczy, od których powinienem odwracać wzrok – inaczej mówiąc, pragnąłem zapomnieć o granicach. Oczywiście to przyciąganie ustawało, kiedy stawałeś się starszy i miałeś dość. Ale było częścią dorastania, jak uczenie się tego, że płomień parzy, woda może się okazać zbyt głęboka, a z wysoka można spaść i nie przeżyć, aby móc o tym opowiedzieć.

Charley miał złe zdanie o Arthurze Remlingerze, chociaż zawsze zachowywał je dla siebie. Mimo to ostrzegł mnie, że to niebezpieczne, podstępne, bezlitosne, poplątane i bezwstydne indywiduum, którego powinienem się wystrzegać, a nawet bać, bo oprócz tego był inteligentny, umiał schlebiać i mógł narazić człowieka na niebezpieczeństwo. Charley dał do zrozumienia, że osobiście tego doświadczył, ale jak zwykle nie wyjaśnił, w jaki sposób do tego doszło.

Patroszyliśmy gęsi. Charley odwrócił wzrok od podkładu kolejowego, na którym rozbieraliśmy mięso, i spojrział na opustoszałe Partreau, jakby przyszło mu coś do głowy. Wciągnął obłok papierosowego dymu do płuc, zatrzymał, a później wydmuchnął przez duże nozdrza.

– Ci ludzie już tu jadą – powiedział. – On o tym wie. Próbuje obmyślić jakiś plan, żeby się ocalić.

Miał na myśli Remlingera. Dodał, że pewnie zauważyłem, iż jego zachowanie jest jeszcze dziwniejsze niż zwykle. Że powinienem być

ostrożny i nie zbliżać się zanadto, bo Remlinger może doprowadzić do tragicznych zdarzeń, w których nie chciałbym uczestniczyć, i że powinienem wyznaczyć sobie granice. Powiedział, że to wszystko wygląda na absurdalne, ale właśnie w ten sposób często dochodzi do bardzo złych rzeczy. (Oczywiście już o tym wiedziałem z własnego życia, bo to, co wieczorem wydaje się mało przekonujące, kiedy wszędzie słońce, może zyskać zupełnie nową siłę uwodzenia).

Charley powiedział, że kiedy Remlinger studiował w college'u, wyznawał niepopularne poglądy. O niektórych z nich już wiedziałem: pogardzał rządem, nie znosił polityków, nienawidził związków zawodowych i Kościoła katolickiego oraz wielu innych rzeczy. Nie był lubiany przez kolegów. Pisywał pamflety dla pism głoszących izolacjonistyczne, przeciwne wojnie i (jak mówili niektórzy) proniemieckie poglądy, co wzbudziło oburzenie profesorów, którzy pragnęli odesłać go do domu w Michigan. Kiedy Arthur był młody, jego ojciec został niesprawiedliwie zwolniony z pracy, a związek zawodowy nie stanął w jego obronie, bo należał do adwentystów o pacyfistycznych zapatrywaniach. Doprowadziło to do dużego kryzysu w rodzinie, który odcisnął piętno na młodym Arthurze i skłonił go do przyjęcia radykalnych poglądów już w szkole średniej. Rodzice nie podzielali jego zdania. Zostawili za sobą złe czasy, przeprowadzili się na wieś i zaczęli uprawiać buraki cukrowe. Nie rozumieli syna – Artiego, jak go nazywali – przystojnego i wygadanego inteligentnego chłopaka, przed którym otwierała się perspektywa prawniczej, a może nawet politycznej kariery i który z powodu swojej inteligencji został przyjęty do Harvardu. (Charley wypowiadał słowo „Harvard”, jakby doskonale znał tę uczelnię i tam był. Dodał, że Remlinger opowiedział mu to wszystko dawno temu).

Co lato Arthur przyjeżdżał do domu z college'u i pracował w fabryce samochodów w Detroit, gdzie mieszkał w nędznej klitce, żeby zarobić na własne wydatki, kiedy rozpocznie się nowy rok akademicki. W tym czasie rodzice rzadko go widywali. Sądzieli, że taka odpowiedzialność syna jest obiecującą zapowiedzią jego świetlanej przyszłości. Kiedy Arthur był na trzecim roku – latem 1943 roku – i miał dobrze płatną posadę w fabryce Chevroleta, popadł w konflikt z działaczem związkowym nadzorującym pracę i nakłaniającym innych, również tych, którzy szukali jedynie zajęcia na lato, by zapisali się do organizacji. Doszło między nimi do ostrej

wymiany słów, bo Arthur nie chciał wstąpić do związku. Jego zdaniem ten działacz wiedział, że jest autorem płomiennych traktatów antyzwiązkowych. (Aktywiści zwracali uwagę na takie sprawy i utrzymywali kontakt z Harvardem). W wyniku konfliktu Arthur stracił posadę i usłyszał, że nie znajdzie już pracy w mieście, więc powinien się wynieść.

To doprowadziło do innej katastrofy, gdyż utrata dochodów oznaczała, że Arthur nie będzie mógł opłacić czynszu. Rodzina nie mogła mu pomóc. Był bez grosza, nie miał na czynsz i stanął przed perspektywą nagłego końca swoich akademickich aspiracji. Udał się więc do władz Harvardu z prośbą o stypendium, ale jego poglądy były powszechnie znane i nie cieszyły się aprobatą, więc prośbę odrzucono. Uczelnia zamknęła przed nim swe drzwi, tak powiedział Charleyowi, a jego młode życie pograżyło się w zamięcie.

Przeżył wstrząs. Załamanie nerwowe, jak to nazywał. Zerwał kontakt z rodziną i tylko sporadycznie rozmawiał z siostrą Mildred, która nie zadawała mu żadnych pytań, na przykład z czego żyje. Pograżony w rozpacz zaczął szukać pociechy gdzie indziej, czerpać ją od innych ludzi. Ci inni pochodzili z Chicago i północnej części stanu Nowy Jork i podzielali jego teraz jeszcze bardziej zaciekle antyzwiązkowe, antykościelne oraz izolacjonistyczne poglądy. Uważali się za zwolenników filozofii prawa do pracy i od dziesięcioleci toczyli zmagania ze związkami zawodowymi. Arthur wyprowadził się z Detroit i zamieszkał u pewnej rodziny w Elmira w stanie Nowy Jork. Pracował na farmie mlecznej, próbując odzyskać równowagę psychiczną. Ci farmerzy byli gwałtownymi ludźmi – pełnymi nienawiści, goryczy i chęci zemsty z powodu zła, jakie wyrządzili im związkowcy – znanymi z wielu niebezpiecznych intryg i planów, na przykład podłożenia bomby w hali związkowej w Detroit, bomby, która nie miała na celu wyrządzenia komukolwiek krzywdy, ale była manifestacją tego, że filozofia prawa do pracy jest jedyną słuszną drogą. A ponieważ Arthur nadal nie był sobą, dał się przekonać, że to właśnie on powinien podłożyć bombę – w pojemniku na śmieci stojącym za budynkiem związkowców. Wyznał Charleyowi, że znajdował się wtedy w takim stanie, że powinien trafić do szpitala dla umysłowo chorych. I rzeczywiście by tam trafił, gdyby rodzina utrzymywała z nim kontakt. Miał przecież siostrę pielęgniarkę.

Zamiast tego Arthur wyruszył z Elmiry do Detroit z dynamitem w bagażniku wypożyczonego samochodu. Umieścił ładunek we wskazanym miejscu, włączył prymitywny mechanizm zegarowy i odjechał. Zanim jednak bomba zdążyła wybuchnąć – o dwudziestej drugiej – wiceprzewodniczący związku, pan Vincent, wrócił do hali po zapomniany kapelusz. Kiedy wchodził tylnymi drzwiami, ładunek eksplodował, a pan Vincent doznał poważnych poparzeń i tydzień później zmarł. Rozpoczęła się wielka obława na zamachowca, którego nikt nie widział, ale, jak sądzono, musiał należeć do jednej z radykalnych grup próbujących zdusić ruch związkowy w Ameryce.

Arthur przeżył kolejne załamanie, kiedy dowiedział się, iż zabił człowieka, i wpadł w przerażenie, że może zostać schwytany i osadzony w więzieniu. Policja uważała, że przestępca pochodzi z Detroit, ale nikt nie wiązał ze sprawą dwudziestotrzyletniego Arthura Remlingera. On zaś wyrzekł się swoich poglądów i odzyskał rozum na tyle, by pojąć, że jest poszukiwanym przestępcą i zmarnował sobie życie.

Mógł się oddać w ręce policji, wziąć odpowiedzialność za to, co zrobił, i pójść do więzienia lub, jak powiedział Charleyowi, wyjechać tam, gdzie go oczy poniosą, i próbować uwierzyć, że nigdy go nie znajdą, że zdoła przeżyć własną zbrodnię.

Charley spojrzał na mnie, aby sprawdzić, czy słucham. Przestałem oporządzać gęś, skupiając na nim całą uwagę, bo jego opowieść mnie zdumiała. Charley wsunął kolejnego papierosa do ust. Krwawa plamka w lewym oku się przesunęła, jakby pływała. Tego dnia nie użył szminki, bo nie malował ust, kiedy myśliwi przebywali w pobliżu, ale jego zapadnięte policzki nosiły ślady różu, a oczy były nadal obwiedzione ciemną kredką. Miał na sobie czarny fartuch spawacza pochłapany krwią, umazane ramiona i dłonie i pachniał jak gęsie wnętrzności. Jego widok zaskoczyłby każdego. Pracowaliśmy w drzwiach blaszanego baraku, a wiatr nawiewał do środka płatki twardego śniegu, które topiły się na głowie Charleya, powodując, że czarna farba do włosów spływała mu po policzkach. Gęsie pióra unosiły się między sztywnymi badyłami chwastów i wiatrakami. Pies pani Gedins przyszedł i zaczął obwąchiwać pudło z wnętrznościami, a potem lizać jego boki. Codziennie paliliśmy jego zawartość w beczce po ropie, później zaś Charley wyrzucał łapy, skrzydła i głowy gęsi kojotom i srokom, do których lubił strzelać.

Uniósł teraz gęste brwi i zmarszczył pulchne czoło.

– Słyszałeś, jak to mówi, prawda? „Załamane nerwowe”, „przybity”, „aspiracje akademickie”. Durnie i chmurnie! – Charley wydał wargi w pogardliwym grymasie. – Oczywiście, że uciekł. W czterdziestym piątym. Zaraz po skończeniu wojny. Myślał – albo myśleli tak ludzie, którzy go szukali i szukają do tej pory – że ukrył się w najbardziej niedostępnym miejscu na ziemi. Okazało się, że wcale tak nie jest. – Charley obrócił papierosa w ustach końcem szerokiego języka, jakby ta część historii najbardziej mu się podobała. – Ale teraz musi stawić czoło losowi, nie? Innemu niż pierwszy. Oczywiście ma tęgiego pietra.

Spojrzał na sztywne ciało gęsi leżącej na podkładzie. Uniósł naostrzoną siekierę, odciął głowę i rzucił na ziemię dla psa.

Spiskowcy opowiadający się za prawem do pracy zaczęli się rozglądać za kryjówką dla Arthura. Nikt go nie szukał, ale on był przekonany, że w końcu zaczną, a nie chciał ryzykować aresztowania. Jego towarzysze nie byli pewni, czy wytrzyma przesłuchanie. Wiedzieli, że jest nieobliczalny, stwarza zagrożenie i może wszystkich pogrążyć. Arthur przyznał, że nie wie, dlaczego nikt go wtedy nie sprzątnął i nie zakopał na farmie w Elmirze.

– Ja bym to zrobił i o wszystkim zapomniał – skwitował Charley.

Zamiast go usunąć, zwrócono się do właściciela hotelu Leonard – małego przebiegłego krętacza nazwiskiem Herschel Box, dla którego Charley pracował jako chłopak – z prośbą o ukrycie Arthura w Saskatchewan. Box był Austriakiem, starszym mężczyzną, który podzielał wywrotowe zapatrywania spiskowców z Elmiry i Chicago i podejmował się wielu niebezpiecznych akcji za granicą, między innymi podpalenie splądrowanego domu w Spokane. Zgodził się wziąć Arthura, bo studiował na Harvardzie i Box uważał go za inteligenta.

Na jesieni 1945 roku Arthur przyjechał do Reginy pociągiem z Ottawy, gdzie został odebrany przez Boxa i zawieszony do małego domku w Partreau. Właśnie tu Remlinger rozpoczął swoje nowe życie w Kanadzie. Pracował podobnie jak ja, jeździł rowerem do miasta, sprzątał pokoje, robił sprawunki dla myśliwych, których Box umieszczał w hotelu, i pobierał opłaty za polowanie. Ale nie chodził w pole, nie patroszył gęsi ani nie kopał dołów jak ja. Box uważał, że nie jest wystarczająco silny do ciężkiej pracy,

więc zrobił go recepcjonistą, a później kontrolerem i szefem nocnej zmiany. W końcu Box wrócił do Halifaxu, gdzie miał córkę i porzuconą żonę. Arthur został sam, żeby pilnować interesu. Powiedział Charleyowi, że przez trzy lata co tydzień przysyłał Boxowi utarg, dopóki ten nie umarł, nieoczekiwanie zapisawszy mu hotel Leonard w spadku, bo darzył go sympatią, był z niego dumny, pragnął go chronić i traktował jak syna.

– Ale nie był to zwykły syn – zauważył Charley. – Ja bym takiego nie chciał.

Arthur nigdy nie był rad z tego, że jest tam, gdzie jest – że mieszka w ciasnych pokojach Boxa z oknami wychodzącymi na prerię, razem z zieloną papugą Boxa zajmującą żerdkę w salonie, zupełnie odcięty od świata, który znał. Pragnął wrócić na Harvard i stale obawiał się obcych, którzy zjawią się, żeby wymierzyć mu karę za „niemożliwy do naprawienia czyn” i jego poglądy. Wyznał Charleyowi, że jego koncepcje były wydumane tak jak rzeczy, które napisał, bo chciał się wyróżnić w oczach profesorów.

– Oczywiście, facet dałby się posiekać za te idee – osądził go Charley, ale nie miało to żadnego znaczenia.

Charley powiedział, że Arthur zaczął miewać napady mrocznego gniewu i cierpieć na depresję, bo jego życie zostało niesprawiedliwie sprowadzone do jednej rzeczy: krótkiej kariery mordercy. A przecież reprezentował sobą znacznie więcej, lecz nie było sposobu, żeby cokolwiek zmienić, cokolwiek naprawić. Odnosił wrażenie, że stał się dojrzały niż we wczesnych latach, ale jego dojrzałość nie miała okazji dojsć do głosu. Byłoby lepiej, zdaniem Charleya, gdyby został aresztowany i wsadzony do więzienia i gdyby poniósł karę, bo byłby teraz wolny i mieszkał w Ameryce, zamiast wegetować w małym miasteczku na prerii i znosić nieufne traktowanie przez mieszkańców, którzy uważali go za dziwadło (Charley użył tego słowa podobnie jak kiedyś mój ojciec). Krążyły plotki, że jest ekscentrycznym milionerem, homoseksualistą lub wyrzutkiem, który uciekł z Ameryki z powodu czyjejś niechęci, że chronił go cudze interesy (co było prawdą) lub popełnił jakąś tajemniczą zbrodnię („Wszystkie plotki kryją w sobie ziarnko prawdy, czyż nie?” – stwierdził Charley). Ale nikt w Fort Royal nie zadał sobie trudu wyświecenia sprawy. Bo od prawdy lepsze były domysły. Mieszkańcy nigdy nie zaakceptowali Boxa – bo stręczył rozwiązłe indiańskie dziewczęta, organizował hazard i hałaśliwe

libacje, a farmerzy potajemnie odwiedzali jego hotel, żeby spędzać noce na hulankach – ale go tolerowali, bo nie chcieli zamieszania. Poza tym miasteczka takie jak Fort Royal wolą ignorować to, czego nie aprobują. Charley powiedział, że kiedy Box wrócił do Maritimes, miasto przystosowało się do nowej sytuacji i zaczęło tolerować Arthura, którego nie obchodziło, co myślą miejscowi.

Remlinger stał się skostniały, tak powiedział Charleyowi – nie znałem tego słowa, co wywołało uśmieszek Charleya. Czuł, że nie jest akceptowany i stanowi problem dla ludzi, na których akceptacji mu nie zależało. Dlatego doświadczał rozgoryczenia, smutku i bezradności, że w 1945 roku był taki młody i taki wystraszony, że zawędrował aż tutaj, a teraz całkowicie się zmienił, lecz nie był w stanie wyjechać z powodu skostnienia – upartej obawy, że zostanie zatrzymany. Powrót i przyjęcie sprawiedliwości oznaczałyby zbyt wiele. Nie rozumiał, jak mógłby to zrobić, tak jak nie rozumiał, dlaczego nie mógłby wrócić do college'u – czemu profesorowie wykorzystali jego potknięcie, aby się go pozbyć. Nigdzie nie pasował, więc pragnął pojechać jeszcze dalej. (Wspomniał mi o tym. O Włoszech, Niemczech, Irlandii). Miał niemal trzydzieści dziewięć lat, ale wyglądał o dekadę młodziej – z pięknymi jasnymi włosami, gładką cerą i niebieskimi oczami oraz elegancką prezencją. Jakby czas się dla niego zatrzymał, jakby przestał się starzeć i stał się Arthurem Remlingerem uwięzionym w wiecznej terażniejszości. Wyznał Charleyowi, że często myśli o samobójstwie i miewa nocne napady wściekłości, a jego umysł bez ostrzeżenia pogrąża się w chaosie sprzecznym z jego prawdziwą naturą. Zaczął się stroić (kiedy był młody, nigdy tego nie robił), kupować eleganckie ubrania w Bostonie i sprowadzać je pocztą – dawać je Florence do przerobienia i naprawy i prac w pralni w Medicine Hat. Czasami, zdradził Charley, choć ja nigdy nie byłem tego świadkiem, podawał się za adwokata (prawnego doradcę), a innym razem za znanego pisarza. Ale Charley uważał, że chociaż Arthur wywiera wpływ na wszystkich wokół siebie, który trudno uznać za pozytywny, nie robi wrażenia na ludziach. Ja też to dostrzegłem i uznałem za niespójność; Arthur cierpiał z tego powodu i pragnął wszystko zmienić, ale nie potrafił.

Charley powiedział, że odszedłby dawno temu i nigdy więcej nie spojrzał na Remlingera, ale ten stary czort Box przekazał Arthurowi poufne informacje na temat jego przeszłości, na której ujawnienie Charley

(podobnie jak Arthur, moi rodzice i ja) nie mógł sobie pozwolić. Był więc „związany umową” dopóty, dopóki Remlinger uzna to za stosowne – w roli służącego, niechętnego powiernika, obiektu żartów, totumfackiego i potajemnego wroga. Pracował u niego od piętnastu lat – tyle, ile ja żyłem.

– Widzę, że dostał cię w swoje ręce – zauważył Charley. Podniósł kilka gęsich tuszy o pomarszczonej skórze i skierował się na tyły swojego ciemnego baraku. – Znalazł dla ciebie rolę w swojej strategii przetrwania. Chyba że się mylę. Ale raczej nie jestem w błędzie.

Zamrażarka stała wśród rozciągniętych suszących się skór i puszek z solą oraz stert wabików do naprawy, motocykla i narzędzi do kopania dołów, gdzie cuchnęło rozpuszczalnikiem i środkami garbarskimi.

– Nie podziwiam go – powiedziałem, przynosząc ptaki, które sam oporządziłem i oskubałem z piór, żeby wrzucić je do zamrażarki razem z jego tuskami, chociaż byłem tego bliski.

– Człowiek, który pragnie, aby zasłużona kara wreszcie dobiegła końca, jest desperatem – oświadczył Charley zwrócony do mnie szerokimi plecami, więc w mroku widziałem jedynie jego lśniąca spinę do włosów. – Nie masz o tym pojęcia – dodał szorstko. – Wiesz tyle, co nic.

W blaszanym baraku panował gęsty chłód, wszystko było twarde i bolesne w dotyku.

– O czym powinienem wiedzieć? – zapytałem. – Co jeszcze mi powiesz?

Charley Quarters odwrócił się, trzymając w rękach odarte z pierza gęsi, uśmiechnął się złośliwie jak pierwszej nocy, kiedy jechaliśmy jego furgonem ciemną drogą na północ od Maple Creek, chwycił moją dłoń i ścisnął ją z całej siły, a ja miałem ochotę wyskoczyć z kabiny i uciec.

– Powiedziałem ci. Oni już tu jadą. A on o tym wie. Zna siebie lepiej niż ja. Ale jest słaby. Nie winię go.

Podniósł łokciem ciężkie wieko zamrażarki i wrzucił do środka gęsi na te, które leżały w środku. Zrobiłem to samo i szybko ruszyłem w kierunku oświetlonych drzwi. Nie chciałem być sam tak blisko niego, bo nie wiedziałem, do czego byłby zdolny.

Ci mężczyźni – było ich dwóch, jak powiedział Charley, gdy wracaliśmy do Fort Royal jego furgonem – pochodzili z Detroit, miasta, w którym Remlinger dopuścił się przestępstwa piętnaście lat temu. Arthur

poinformował go o tym pod koniec lata, kiedy ludzie, z którymi miał kontakt, ostrzegli go, aby się przygotował. Policyjne dochodzenie zostało zakończone dawno temu, ale ludzie nadal pamiętali o sprawie, mieli otwarte oczy i uszy. Nagle w rozmowach wypłynęło nazwisko Arthura Remlingera. „Fuks, zwykły fuks”, powiedział Arthur. Nic nie łączyło go z przestępstwem, nic nie wskazywało, że należałoby odbyć z nim oficjalną rozmowę. Kiedy się jednak okazało, gdzie przebywa – w oddalonym od świata miasteczku w prowincji Saskatchewan – że bez wyraźnego powodu mieszka samotnie w hotelu i że był związany ze znanym w pewnych kręgach, nieżyjącym już Herschelem Boxem, wszystko zaczęło się układać w spójną całość, pasować do innych rzeczy, które o nim wiadano (jak sprzeczka z działaczem związkowym wiele lat temu, pamflety oraz kłopoty, jakie sprawiał na Harvardzie). I nagle stało się jasne, dlaczego z tym Remlingerem, który w dziwnych okolicznościach zmienił obywatelstwo na kanadyjskie, należało osobiście porozmawiać. Gdyby mu się ukradkiem przyjrzeli – wkroczyli niezauważenie do jego życia – wówczas mogliby ocenić prawdopodobieństwo tego, że jest przestępcą. Później – zakładając, iż zostanie uznany za winnego, a przynajmniej za współnika zbrodni – będzie można się zastanowić, co z nim zrobić.

– Pewnie pomyślał, że fascynuje mnie jego popieprzone życie – rzucił Charley, prowadząc.

Arthur powiedział, że nie musi się przejmować dwoma facetami przysłanymi tu po to, aby mu się p z y j r z e ć. Że nie powinien robić niczego podejrzanego – uciekać, do czegoś się przyznawać lub zachowywać w obciążający sposób – bo dałby tamtym powód do podejrzeń. Sądono, że ci dwaj, którzy tu jechali – przez Środkowy Zachód, czarnym chryslerem new yorker, skręcając na północ i przekraczając granicę z Kanadą – nie byli oddani swojej misji. Znano ich nazwiska: Crosley, młody zięć zabitego Vincenta, i emerytowany policjant Jepps, który nie był członkiem rodziny, ale pojechał z Crosleyem, żeby ta wyprawa miała sens. Obaj nie byli pewni, czy Remlinger jest człowiekiem, którego szukają. Podróż do Saskatchewan uważali raczej za przygodę niż poszukiwanie przestępcy. Jeśli trop okaże się fałszywy, zapolują na gęsi (może da się to załatwić). Nie zastanawiali się też nad tym, co mogliby zrobić, gdyby Arthur Remlinger rzeczywiście okazał się przestępcą i stanęliby z nim twarzą w twarz w obcym kraju. Ale byliby zmuszeni c o ś

zrobić: zażądać odesłania go do Detroit (i co dalej?), wrócić do Stanów i przekonać policję, aby ponownie zainteresowała się sprawą (na podstawie jakich dowodów?), porwać Arthura, teraz pełnoprawnego obywatela Kanady, i przewieźć go przez granicę (W jaki sposób? I co mieliby z nim później zrobić? Zastrzelić? Podobno nie mieli broni, co okazało się ich fatalnym błędem). Byli to prości ludzie, zwykli przedstawiciele klasy pracującej, przypominający bardziej myśliwych, którzy zbierali się wieczorami w barze, niż ludzi kierujących się pragnieniem wymierzenia sprawiedliwości albo żądzą zemsty, którzy wyobrażali sobie, tak powiedziano Remlingerowi, że przyjadą do hotelu Leonard, nie zauważą u niego niczego niezwykłego (choć facet był niezwykły) i wrócą chryslerem do Detroit. Trzy tysiące kilometrów w jedną stronę.

Problem polega na tym, zauważył Charley – i właśnie dlatego powinienem mieć się na baczności, bo byłbym idiotą, gdybym tego nie zrobił – że Arthur stał się zgorzkniały i humorzasty, miewał złe przecucia i jeszcze bardziej chaotyczne wyobrażenia o nieznajomych, którzy tu przyjadą. Że domyślą się, kim jest i co zrobił, i że będą próbować go przewieźć przez granicę, aby poniósł konsekwencje, czego wcześniej uniknął. Jego ojciec nadal żył. Jego przyszłość legła w gruzach. Arthur nie miał w sobie spokoju, powiedział Charley, nie posiadał tej zdolności, która pozwoliłaby mu nie obciążać samego siebie. Bo obciążanie siebie było jedyną treścią jego życia. W jego zachowaniu pojawiły się zmiany, które powinienem był zauważyć, ale ich nie dostrzegłem.

Mieszkał tu latami, ciągnął Charley, spodziewając się, że ktoś przyjedzie i go odnajdzie, cierpiącego i czekającego. Wegetował w miasteczku nawiedzanym wiatrami, zagubionym w pustym krajobrazie – wyobcowany, daleki i pozbawiony rodziny. Miał za kompanów jedynie Boxa i Charleya, a później Florence. No, a teraz i mnie. Później zastanawiałem się, jak zdołał to wytrzymać. Górujący nad wszystkim klimat, monotonny kalendarz, identyczne, pozbawione wyrazu dni – nieznany świat, który stał się trwałym elementem jego egzystencji. Większość ludzi uznałaby takie życie za niemożliwe. Właśnie to było lepszym pytaniem, którego Remlinger nie zadał, kiedy rozmawialiśmy w Modern Café. Powiedział mi, że się przystosował.

Ale to życie w Fort Royal sprawiło, że stał się właśnie taki: ekscentryczny, niecierpliwy, pełen żalu, nieco obłąkany, z powodu frustracji

skłonny do gwałtownych działań, przeżywający zaledwie fragment życia, którego nie potrafił porzucić. (Byłby je porzucił, gdyby miał odwagę lub dość wyobraźni, by wyjechać jeszcze dalej, za granicę, i ponownie się ukryć). Charley rzucił lekceważąco, że Arthur nadal uważa się za inteligentnego, naiwnego młodego studenta, który nigdy nie chciał nikogo zabić, ale cierpiał, bo to zrobił – przez przypadek i własną głupotę – i pragnął, żeby ta kara dobiegła końca, gdyż stała się jego życiem.

– Posłuchaj uważnie – rzekł. Minęliśmy właśnie znak „Fort Royal”. W oddali ukazały się niskie domy, hotel Leonard – powiększająca się kropka na prerii – i zakurzone puste ulice, bo o tej porze zaczynało się robić chłodno (pracujące furgonetki stały przy krawężniku, flagi na pocztach i banku łopotały na wietrze, a skuleni mieszkańcy miasteczka trzymali się bliżej ścian budynków niż ulicy). – Nie wypapłaj nikomu tego, co ci powiedziałem. Ani słowa A.R. i Flo, bo obedrę ze skóry!

I powtórzył raz jeszcze, żeby określił granice i chronił samego siebie przed tym, co się stanie, bo pewne wydarzenia mogą potoczyć się inaczej, niż powinny. Charley najwyraźniej je przewidywał, ale bliżej ich nie opisał, więc nie starałem się ich sobie wyobrazić. Myślałem za to o dwóch Amerykanach, którzy zmierzali tu z Detroit. Mój ojciec powiedział, że w Detroit wszyscy mają dobrze płatną pracę i poczucie bezpieczeństwa. Miasto to było amerykańskim tygłem, ośrodkiem władzy, wielobarwną szatą. Przyciągało ludzi z całego świata. „Detroit produkuje, świat kupuje” i tak dalej. Ci ludzie jechali więc tu z Detroit, żeby poznać fakty i nad nimi zapanować. Nigdy nie byłem w Detroit, ale byłem go ciekaw, bo urodziłem się w Oscodzie, na północ od niego. Można mieć różne poglądy i wyobrażenia bez osobistego doświadczenia rzeczy, o którą chodzi.

– Czemu miałbym zostać w to zamieszany? – spytałem. Wtedy nie byłem już taki zahukany.

Zaczęliśmy zwalniać, żeby stanąć przed małymi frontowymi drzwiami hotelu Leonard, nad którymi czarną farbą wymalowano napis „Recepcja”. Gwałtowny podmuch uderzył w szyby furgonu. Spojrzałem na guzowaty i ogorzały profil Charleya. Miał twarz karła, ale ciało większe i niestrudzone.

– Jeśli dopisze ci szczęście, nie będziesz – odparł. Jego duże mięsiste wargi wygięły się jak do pocałunku, co oznaczało, że myśli. – Jeżeli jesteś mądry, weźmiesz pieniądze, które uskładałeś, i wsiądziesz do autobusu.

Pojedź w jakieś miejsce przy granicy i prześlizgnij się na drugą stronę. Więcej się tu nie pokazuj. Jeśli zostaniesz, będziesz dla niego punktem odniesienia, staniesz się elementem jego strategii. Ma gdzieś, co z tobą dalej. Po prostu stara się coś udowodnić.

– Złapią mnie i umieszczą w ośrodku dla nieletnich – odrzekłem.

– Mnie byłoby lepiej w domu – wyznał Charley. – Człowiek myśli, że zna najgorsze, ale zawsze jest coś gorszego.

Chciał powiedzieć, że powinienem wrócić do Great Falls, pójść na posterunek policji i powiedzieć, że jestem zaginionym Dellem Parsonsem, a następnie pozwolić, by to wszystko mnie dosięgło: żeby umieścili mnie w pokoju z kratami w oknach i żebym gapił się na pusty, skuty lodem krajobraz, czekając, aż skończę osiemnaście lat, bo do tego czasu nic się nie wydarzy. Moja matka uważała to rozwiązanie za najgorsze. Byłem podobnego zdania. Nie musiałem odpowiadać Charleyowi. Prawie nigdy tego nie robiłem. On znał wyłącznie siebie, ale ja wiedziałem, co jest dla mnie najgorsze – niezależnie od tego, co się stanie z Arthurem Remlingerem, i niezależnie od tego, co się stanie ze mną jako jego punktem odniesienia, bo czułem, że będę zdany na jego kaprys i zostaną zapomniani, kiedy to wszystko się skończy. Charley jednak nie oczekiwał, że mu odpowiem. Słuchał mnie tylko wtedy, gdy musiał. Wygramoliłem się więc z jego starego furgonu na zakurzoną ulicę Fort Royal i zamknąłem za sobą drzwi.

– Większość nieudaczników stała się taka z własnej woli – dodał Charley, kiedy drzwi się zamknęły. – Nie zapominaj o tym.

Nie odpowiedziałem, a on odjechał, zostawiając mnie z moją przyszłością.

Siedziałem w małej recepcji hotelu Leonard, gdy przyjechali ci dwaj Amerykanie. Zdarzyło się to tego samego dnia, gdy rano Charley opowiedział mi o Remlingerze. Hotel nie miał przyzwoitej recepcji, jedynie niski, kiepsko oświetlony hol u dołu centralnych schodów, gdzie znajdował się kontuar z dzwonkiem, mapą i rzędem haczyków z kluczami na ścianie. Zjadłem właśnie lunch i zamierzałem pójść spać. Byłem na nogach od czwartej rano, a wieczorem mieliśmy tropić gęsi. Dzięki Charleyowi pomyślałem, że ci Amerykanie zjawią się wkrótce, więc zacząłem ich wypatrywać, wyobrażać sobie, jak będą wyglądać, i kręcić się w holu bez sensu. Lecz nie sądziłem, że przyjadą jeszcze tego samego dnia.

Zameldowała ich pani Gedins, bo pracowała w kuchni i usłyszała dzwonek. Prawie się nie odzywała, ale kiedy każdy z nich się przedstawił – Raymond Jepps, Louis Crosley – podniosła głowę znad książki gości i spojrzała na nich swymi wodnistymi szwedzkimi oczami, surowymi i nieufnymi, jakby w Amerykanach było coś kłamliwego, bo przecież jej nikt nie oszuka. Każdy miał skórzaną walizkę. Ponieważ czasami wymagano ode mnie zanieśienia bagaży myśliwych do ich pokojów, za co dostawałem ćwierć dolara, stałem przy ścianie z portretem królowej Elżbiety i czekałem. Pani Gedins oznajmiła, że będą spać w domku zapasowym (mojej budzie), bo wszystkie miejsca w hotelu są zajęte. (Nie były). Zadba o to, żeby Charley ich tam zawiózł, kiedy powiedzą, że są gotowi. Była to pierwsza wskazówka świadcząca o tym, że Charley mówił mi prawdę: że ci dwaj przyjadą ze Stanów, że zostali zidentyfikowani i że na nich czekają. Bo wcześniej byłem w połowie przekonany, że ta cała historia jest nieprawdziwa, a Metys zmyślił ją po ty, aby mnie przestraszyć. Ale ci dwaj przedstawili się nazwiskami, które mieli nosić – Jepps i Crosley – i powiedzieli, że przybyli z Motor City[23] w Stanach. Byli w dobrym nastroju i nie podejmowali żadnych prób ukrycia tego, kim są. Jakby nie mieli pojęcia, że ktoś może ich rozpoznać lub wiedzieć, dlaczego zjawili się

w Fort Royal. Możliwe, że pani Gedins też wiedziała, kim są, że wiedzieli o tym wszyscy z wyjątkiem ich samych.

– Jedziemy na zachodnie wybrzeże Kanady – wyjaśnił z uśmiechem starszy, Jepps, były policjant.

Miał czerwoną twarz i nosił czarny lśniący tupecik, który tkwił zatknięty na jego okrągłej głowie i prezentował się najzupełniej nienaturalnie. Przydawał mu aury głupoty, bo Jepps był niski, okrągłutki i miał spodnie opinające brzuch oraz brązowe buty z ozdobnie dziurkowanym czubkiem, które wydawały się duże jak u klauna. Nie zdradził, co mają zamiar robić na zachodnim wybrzeżu Kanady.

Crosley był młodszy i lepiej ubrany. Miał wyraziste rysy twarzy i czarne, krótkie, niedawno obcięte włosy. Dużo się uśmiechał i rozglądał się dookoła czujnymi oczami, miał ciemniejszą cerę od Jeppsa. Na małym palcu nosił złoty sygnet, którym obracał nerwowo, jakby tylko udawał wesołego.

Później, kiedy Jepps został zastrzelony i leżał martwy na podłodze w mojej budzie, a ja patrzyłem przerażony, choć mimo to pomagałem w przeniesieniu ciała, musiałem podnieść jego tupecik, co było obrzydliwe. Nigdy wcześniej nie widziałem tupecika, ale go rozpoznałem. Zdumiało mnie to, jaki jest mały i lekki. Trafił do beczki, w której spalaliśmy gęsie pierze i wnętrzności.

Crosley spytał panią Gedins, czy mogliby dostać coś do jedzenia. Nie mieli niczego w ustach od chwili, gdy zjedli śniadanie w Estavan. Pani Gedins zmarszczyła brwi i odrzekła, że lunch (nazwała go obiadem) skończył się dawno temu (dochodziła piętnasta), ale Chińczyk przygotowuje im coś na ulicy, że pokażę im, gdzie jest bar. Wtedy zwrócili uwagę na moją obecność. Powiedzieli, że Fort Royal to małe miasto (Jepps nazwał je „burg”, nosowym głosem jak Remlinger). Potrafią znaleźć jedyną chińską „jadłodajnię” w mieście. Oznajmili, że w Detroit jest cała chińska dzielnica. Często tam jeżdżą ze swoimi żonami. Postanowili więc jak najprędzej porównać kanadyjską chińszczyznę z chińszczyzną z Michigan. Powiedzieli, że chcą zostawić walizki w recepcji, i spytali panią Gedins, czy w okolicy można zapolować na kaczki. Po drodze widzieli tysiące lejących gęsi. Co chwila jakiś ptak spadał na ziemię, więc najwyraźniej go ustrzelono. Mieli własną broń, dodał nieśmiało Crosley. Może dałoby się zorganizować polowanie w ciągu dwóch następnych dni? Planowali

rozejrzeć się po okolicy i popodziwiać widoki – jakby przyjechali w gości do Fort Royal w Saskatchewan na początku chłodnego października, żeby cieszyć się atrakcjami miasteczka. Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, co jeszcze bardziej upewniło mnie, że są tymi, o których wspomniał Charley.

Pani Gedins powiedziała, że powinni pomówić z panem Remlingerem, który jest właścicielem hotelu i zajmuje się organizowaniem polowań. Można go znaleźć w restauracji, a wieczorami w barze. Dodała, że w hotelu są też inni myśliwi. Choć pewnie nie zdołają dołączyć do grupy, chyba że ktoś obudzi się pijany lub chory.

Stojąc w mrocznym holu, patrzyłem, jak zareagują, gdy pani Gedins wymieniła nazwisko pana Remlingera. Bo to pana Remlingera przyjechali obserwować, pokonawszy trzy tysiące kilometrów, żeby zdecydować, czy jest zabójcą, i postanowić, co z nim zrobić, jeśli dojdą do takiego wniosku. Nie miałem zielonego pojęcia, w jaki sposób mieliby to stwierdzić, gdyż Remlinger, jak powiedział Charley, nigdy się nie przyzna, a nie pozostał przy życiu prawie nikt, kto o tym wiedział. Tego dnia zastanawiałem się, jak wyglądałby morderca. Czy jeśli popełnisz przestępstwo – niezależnie od tego, jaki miałeś zamiar – będziesz mieć to wypisane na twarzy do końca życia? Czy Jepps i Crosley sądzili, że ustalenie tego faktu okaże się proste? A może człowiek ma wypisane na twarzy „morderca”, z a n i m popełni ten czyn? Widziałem zdjęcia morderców ze starych kronik filmowych. Mój ojciec fascynował się ich przygodami. Alvin Karpis i Pretty Boy Floyd, Clyde Barrow i sławny John Dillinger. Wszyscy oni moim zdaniem wyglądali jak mordercy, chociaż wtedy już dokonali zabójstw, więc nikt nie miał żadnych wątpliwości. Oprócz tego byli martwi, zwłoki wielu z nich leżały rozciągnięte na ziemi do zdjęcia. Pomyślałem, że moi rodzice mogli być postrzegani jako rabusie bankowi na długo, zanim ojciec wszedł do banku i dokonał napadu. Moja siostra i ja mogliśmy być jedynymi, którzy o tym nie wiedzieli. Ale dźwięk nazwiska Remlingera, wypowiedziany w cichym i przegrzanym holu hotelu Leonard, nie wywołał żadnej zmiany na twarzach Jeppsa i Crosleya. Jakby nic ono dla nich nie znaczyło.

– Może... – zasugerował Jepps, obmacując tłustymi palcami spodnie nad wydatnym brzuchem – może mogłaby pani przekazać panu Remlingerowi, że ja i mój przyjaciel chcielibyśmy z nim porozmawiać. Planujemy ustrzelić kilka gęsi, jeśli to możliwe. Będziemy w barze dziś wieczorem. Proszę mu powiedzieć, żeby przyszedł się przywitać. Jesteśmy przyjaznymi

Amerykanami. – Obaj roześmiali się na te słowa, ale pani Gedins się nie uśmiechnęła.

Amerykanie wyszli na wietrzną główną ulicę miasta, aby poszukać chińskiej restauracji, a ja wybiegłem tylnymi drzwiami, żeby sprawdzić, czy czarny chrysler new yorker z rejestracją stanu Michigan nadal tam stoi. Gdyby zaproponowali, żebym poszedł z nimi na obiad, na pewno bym się zgodził, chociaż już zjadłem posiłek. Znajdowanie się w ich pobliżu było pasjonujące, bo nie mieli pojęcia, że wiedziałem o wszystkim. Jakbym to ja musiał się ukrywać. Podniecało mnie to. Mógłbym poznać ich oraz ich plany – chociaż zakazano mi o tym mówić. Poza tym nie miałem pojęcia, co i komu byłbym w stanie przekazać. Każdy zrozumie, że takie sytuacje mogą kusić piętnastolatka.

Ale Amerykanie ledwie zwrócili uwagę na moją obecność i ruszyli w dół ulicy, w kierunku szyldu restauracji Wu-Lu. Wyszedłem na zewnątrz, żeby ich obserwować. Jepps położył krótką rękę na ramieniu młodszego mężczyzny i zaczął mówić poważnym tonem:

– Dokładnie tak, jak chcieliśmy... – dobiegły mnie jego słowa wypowiedziane nosowym głosem i przyniesione przez wiatr.

– Jasne. Wiem, wiem – odpowiedział Crosley. – Ale... – reszty już nie usłyszałem, chociaż pomyślałem, że wiem, o czym rozmawiają. Okazało się, że miałem słuszność.

Kiedy obszedłem budynek i znalazłem się na ubitym placu za hotelem Leonard, ujrzałem wielkiego rdzawoczerwonego buicka Remlingera, zaparkowanego i zimnego. W powietrzu unosiły się małe płatki śniegu. Plac Canadian Pacific znajdował się pięćdziesiąt metrów dalej, za długą pustą parcelą. Lokomotywa manewrowa przetaczała pojedynczy czerwony wagon towarowy na pustą bocznice, zwrotnicowi uwijali się w zimnie z latarniami, a potem wskoczyli do wagonu, gdy przejeżdżał obok nich. Pomyślałem, że mógłbym wykonywać taką pracę, bo lubiłem i chciałem pracować, jeśli nie będę mógł wrócić do szkoły i nie pojedę do Winnipeg, jak mówiła Florence. „Nasze plany bardzo rzadko są ziszczają”, powiedział Arthur Remlinger. Miałem się przekonać, że to prawda.

Na końcu rzędu zaparkowanych samochodów stał czarny new yorker – dwudrzwiowe auto oblepione błotem z żółto-zieloną tablicą rejestracyjną stanu Michigan. Wodna Kraina Cudów. Wyobraziłem sobie zielone lasy

i rozległe jeziora, po których ktoś taki jak ja mógłby pływać kanoe. Nigdy tego nie robiłem. Pomyślałem, że w szkole średniej w Great Falls z pewnością jest koło wodniackie i miałbym okazję powiosłować na rzece Missouri. Położyłem dłoń na masce chryslera. Była ciepła, ale z wolna zaczął przenikać ją chłód. Ten wóz przyjechał z Ameryki, gdzie go wyprodukowano. Z kipiącego tygła. Z większego świata. Reprezentował sobą wszystko, co mój ojciec (i ja) kojarzył z Ameryką. Popierałem te wartości. Rodzice wpoili je mnie i mojej siostrze. Ponownie poczułem, że Jepps i Crosley są szlachetni, a ich misja w Kanadzie słuszna, chociaż nie chciałem, żeby się powiodła, bo wówczas Arthur Remlinger wróciłby do Ameryki, do więzienia. Jak już powiedziałem, to zagadka, dlaczego lgniemy do danych ludzi, chociaż wszystkie znaki wskazują, że powinniśmy raczej ich unikać.

Gdy tak stałem na parkingu, poczułem wielkie zagubienie. Mogłem być bliski załamania nerwowego. Moje skronie stały się napięte i obolałe, broda i nos zdrętwiały (może z zimna). Czułem mrowienie w rękach, a nogi poruszały się z najwyższym trudem. Mimo że Arthur Remlinger był dziwny i wiedziałem, co zrobił, nie wyglądał na człowieka, który mógłby przywieźć bombę, uruchomić mechanizm zegarowy i kogoś zabić. Wydawał się najmniej prawdopodobnym kandydatem. Z kolei Charley Quarters mógłby to zrobić bez mrugnięcia okiem. Albo zabójcy ze starych kronik filmowych. Według mnie Arthur Remlinger nie miał wypisanego na twarzy słowa „morderca”. Na jego twarzy były słowa „ekscentryk”, „samotny”, „sfrustrowany”, a także „inteligentny”, „spoztrzegawczy”, „światowy” i „dobrze ubrany”. I za to wszystko go podziwiałem. Zdecydowałem więc – dzięki czemu po chwili mogłem się już poruszać i odzyskałem czucie twarzy – że Arthur Remlinger nie jest mordercą. Może ci dwaj Amerykanie mimo swoich nazwisk, samochodu i tego, że przyjechali z Detroit, nie byli tymi, za których uważał ich Charley? Taki już miałem nawyk myślenia. Matka napisała w swojej kronice, że zawsze intrygowało mnie to, co stanowiło przeciwieństwo oczywistego. Bo przeciwieństwo oczywistości mogło okazać się prawdą. Moje ostatnie doświadczenia z prawdą wskazywały, że wcześniej czy później wszyscy popełnią przestępstwo, niezależnie od tego, jak mało prawdopodobnymi kandydatami na przestępców się wydają. Nie byłem jednak jeszcze gotów w to uwierzyć. Nie miałem pojęcia, gdzie znajdowałoby się moje miejsce

w świecie, gdyby było to prawdą, bo nie chciałem dopuszczać się przestępstw, ale bardzo pragnąłem się przystosować. Dlatego z całych sił chciałem wierzyć, że Arthur Remlinger jest niewinny, że nie popełnił czynów, które mu zarzucano – bo taki sposób myślenia wydawał mi się pod każdym względem lepszy.

Tego dnia wykonałem swoje zwykłe obowiązki. Uciałem sobie jedynie krótką drzemkę, bo zmitrężyłem czas w holu, a później poszedłem obejrzeć samochód Amerykanów. Dni stały się krótsze, więc Charley i ja wyszliśmy około siedemnastej, żeby pojechać na pola nad rzeką i poszukać gęsi, a później pokazać młodym Ukraińcom, gdzie wykopać doły. Byli to chłopcy ze wsi, dwaj krzepcy młodzieńcy o długich ramionach, bracia, krewni zmarłego męża pani Gedins, milczący i mrukowaci jak ona. Nie odezwali się do mnie ani słowem, kiedy Charley powiedział, gdzie mają pójść i kopać, ale spoglądali na mnie z pogardą, jakbym był uprzywilejowanym amerykańskim chłopakiem, który nie ma interesu ich poznać. Pomyślałem, że w ogóle nie jestem uprzywilejowany, chyba że uznać za przywilej brak własnego miejsca i własnych rzeczy oraz możliwość wyjechania w każdej chwili, co im wydawało się niemożliwe.

Arthur Remlinger nie pojawił się tego dnia. Zwykle widywałem go spacerującego po hotelu. Czasami, jak powiedziałem, łapał mnie, pakował do buicka i składał jakąś propozycję, a później jechaliśmy szosą do Swift Current lub na zachód, a on rozprawiał z ożywieniem o sprawach, które go interesowały. Ale tego dnia się nie pojawił, więc chociaż – stojąc na zimnie za hotelem – „zdecydowałem” (posługując się moim odwrotnym myśleniem), że Remlinger nie jest mordercą, czułem, iż jego nieobecność ma związek z obecnością Amerykanów. Przypuszczam też, że miałem świadomość, iż moje odwrotne myślenie o Amerykanach było błędne.

Wiedziałem, że Charley Quarters zawiózł Jeppsa i Crosleya do domku zapasowego, bo gdy zszedłem do holu, ich walizki zniknęły, a auto już nie stało na parkingu. Myślałem, że Charley coś powie, zwróci uwagę, że mówił prawdę. Ale on siedział z zaciśniętymi wargami, wyraźnie poirytowany. Nie wygłaszał nawet typowych poniżających uwag pod moim adresem – że o niczym nie mam pojęcia, że jestem słaby, że tutejsze życie jest dla mnie zbyt ciężkie i że już nigdy nie pójde do szkoły. Nieliczne słowa, które padły w furgonetcie, dotyczyły wyłącznie gęsi i polowania;

słyszałem je już wiele razy: że gęsi zwykle latają wysoko, z wiatrem, ale czasami latają poniżej niego, że są mądrzejsze od kaczek, ale nie jest to prawdziwa inteligencja, tylko lepszy instynkt, że gęsi białoczelne lubią pszenicę, a śnieżne za nią nie przepadają, że gęsi mogą przelecieć sto pięćdziesiąt kilometrów w ciągu jednej nocy i że tak naprawdę wcale nie trzeba używać wabików – gruba dziewczyna ze wsi w czarnej spódnicy też by się nadała, gdyby spojrzeć na nią z powietrza. Miałem wrażenie, że gada, aby odwrócić uwagę od spraw, o których nie chce myśleć. Uznałem, że miało to jakiś związek z Amerykanami.

Jak zwykle zjadłem obiad w kuchni, a później, o dziewiętnastej, zajrzałem do baru, żeby pobyć w towarzystwie myśliwych, jak kazał Charley, postać obok szafy grającej, zamienić słówko z barmanem i posłuchać Betty Arcenault opowiadającej o Kalifornii (gdzie przebywała Berner) i jej chłopaku, który okrutnie ją traktował. Myśliwi pili, śmiali się i opowiadali historie, palili cygara i papierosy. Dwie grupy przyjechały z Toronto, a jedną tworzyli Amerykanie z Georgii. Mieli taki akcent jak ojciec, kiedy naśladował południowca. Amerykanie z Detroit byli już w barze. Siedzieli przy stoliku z boku sali, pod dużym olejnym obrazem przedstawiającym dwa łosie zwarte w walce, z porożami splecionymi tak, że nie mogły się od siebie uwolnić. Obraz nosił tytuł Śmiertelna walka. Nad nim widniał czarno-biały znak z napisem „Boże, chroń królową”, na którym goście zamieszczali różne nieprzyzwoite uwagi. Ten obraz był moim ulubionym – lubiłem go bardziej od obrazu tańczącego niedźwiedzia w jadalni. Kiedyś, wiele lat później, ujrzałem podobny, właściwie identyczny, na ścianie hotelu Macdonald w Edmonton w stanie Alberta i godzinami rozmyślałem o jego tajemnicy.

Dwaj Amerykanie wyróżniali się w zakopconej sali pełnej myśliwych, kolejarzy i handlowców. Przez cały wieczór pili piwo, po jednej butelce na głowę. Mieli na sobie czyste koszule i sznurowane półbuty z dziurkami, podczas gdy myśliwi nosili łowieckie stroje, jakby planowali prosto z baru wyruszyć do dołów na gęsi. Amerykanie czuli się wyraźnie nieswojo, jakby nerwowość młodszego Crosleya udzieliła się jego starszemu koledze. Rozmawiali wyłącznie z sobą i co rusz rozglądali się po sali – zerkali na cynowy sufit, drzwi prowadzące do holu i kuchni oraz zamknięte drzwi do sali hazardu. Czekali na Arthura Remlingera. Poprosili, żeby ich odnalazł,

bo chcieliby pogadać o polowaniu. Ale on się nie pojawił, a to mogło oznaczać coś ważnego, na przykład że Remlinger nie chciał być obserwowany i dlatego uciekł, a więc jest tym, którego szukają.

Trzymałem się blisko szafy grającej, spodziewając się, że Remlinger nadejdzie lada chwila i zacznie się przechadzać – jak to miał w zwyczaju i co nigdy nie było dla niego czymś naturalnym – żartując, stawiając drinki i obiecując wszystkim udane polowanie. Nie zauważyłem na parkingu samochodu Florence. Pomyślałem, że pewnie opiekuje się matką lub jest w swoim sklepie. Możliwe, że Arthur nie chciał, aby tu była, kiedy przyjadą Amerykanie.

Oczywiście nie miałem pojęcia, co Jepps i Crosley planowali zrobić, kiedy ujrzą Remlingera i wyciągną swoje wnioski. Może spojrzą na niego i – jak chciałem wierzyć – zrozumieją, że nie jest tamtym człowiekiem, że nie podłożył bomby i nikogo nie zabił. Gdyby jednak zdecydowali, że jest mordercą, jaki plan działania by przyjęli? Byłem podekscytowany swoją obecnością w hałaśliwym barze z gorączkowo myślącymi Amerykanami, którzy nie zdawali sobie sprawy z tego, że wiem, kim są (ja lub ktokolwiek inny), i że dzięki temu mam nad nimi przewagę. Ale te wydarzenia musiały przecież doprowadzić do jakiegoś rezultatu. Charley o tym nie wspomniał, jednak było jasne, że się zastanawiał, więc wynik mógł się okazać niepomyślny.

Ponownie doznałem silnego pragnienia, aby z nimi porozmawiać, chociaż robienie takich rzeczy nie leżało w mojej naturze. Jakbym chciał się zbliżyć do czegoś groźnego i dramatycznego. Chciałem im powiedzieć, że urodziłem się w Oscodzie, bo mogło to dla nich coś znaczyć. Cokolwiek czułem, stojąc obok ich samochodu i dotykając ciepłej blachy – przyjemne wrażenie solidności, może nawet sympatii do tych dwóch, dzielenia z nimi jakiegoś sekretu (choć ich nawet nie znałem) – pragnąłem poczuć to wszystko ponownie, a jednocześnie wierzyłem, że mogę to zrobić, nie stwarzając dla nikogo zagrożenia. Nigdy nie powiedziałbym im tego, co usłyszałem od Charleya. Pomyślałem jednak, że mogliby uchylić niechcący rąbka tajemnicy dotyczącej ich misji: co sądzą o Remlingerze i co mają zamiar zrobić w zależności od wniosku, do jakiego skłonią ich poczynione obserwacje.

Ale w chwili gdy zdobyłem się na odwagę, by ich zagadnąć, Arthur wszedł do baru drzwiami z holu. Dwaj Amerykanie od razu wiedzieli, że to

on – jakby mieli jego obraz w swojej głowie, a on wyglądał dokładnie tak, jak się spodziewali. Rumiany mężczyzna z okrągłą twarzą i tupecikiem natychmiast powiedział coś do młodszego, skinął głową i spojrzał na Remlingera, który rozmawiał hałaśliwie przy stole pełnym myśliwych. Crosley się odwrócił, popatrzył na Arthura i nagle stał się śmiertelnie poważny. Przytaknął, odwrócił się do kolegi, oplótł palcami butelkę piwa i powiedział coś krótko. Później siedzieli, jeden naprzeciw drugiego, w przyćmionym świetle baru pod obrazem łosi splecionych rogami i nie odzywali się ani słowem.

Remlinger miał na sobie brązową pilśniową fedorę, którą często nosił, i jeden z drogich bostońskich tweedowych garniturów, który powodował, że dziwnie wyglądał w barze. Do tego wybrał jasnoczerwony krawat i wetknął nogawki spodni w cholewki skórzanych butów. Wtedy tego nie wiedziałem, ale prezentował się jak angielski książę lub baron obchodzący swój majątek, który wpadł do gospody na szklaneczkę whisky. Był to rodzaj przebrania utrudniający rozpoznanie przez ludzi, na których przybycie czekał piętnaście lat – chociaż nie zmienił nazwiska i każdy mógł go poznać, jeśli tego chciał. Może nawet wcale się nie ukrywał, tylko się bawił, czekając na nadejście tego dnia.

Crosley obserwował Remlingera idącego przez bar. Jepps się nie odwrócił, żeby go zobaczyć, ale siedział i gapił się na Crosleya, jakby coś sobie kalkulował. Jakby ponownie stał się policjantem – najpierw przyjaznym, a później nieprzyjaznym. Zastanawiałem się, czy zabrali z sobą broń, bo Charley powiedział, że ją mają.

Remlinger zauważył mnie obok szafy grającej.

– Oto i pan Dell – powiedział, a następnie się uśmiechnął i pomachał obojętnie ręką.

Za chwilę miał podejść do stolika Amerykanów. Chciałem tam być i wszystko obserwować. Chciałem wiedzieć, co się wydarzy, gdy ci trzej się spotkają – bo Arthur Remlinger dokładnie wiedział, kim są, ale oni nie mieli o tym pojęcia, no i musieli zdecydować, czy jest mordercą. Każdy chciałby to zobaczyć. Sytuacja mogła okazać się groźna, gdyby wszyscy trzej mieli broń i uznali, że dłużej nie może tak być.

Zwróciłem uwagę, że Remlinger przesunął wzrok na tamtych dwóch i zatrzymał go na nich na chwilę, a później wrócił do stołu myśliwych z Toronto. Jeden z nich przyłożył dłoń do ust, jakby chciał mu zdradzić

jakaś tajemnicę. Remlinger posłał mi szybkie spojrzenie, a następnie pochylił się nad mężczyzną, który znowu coś mu szeptnął, i obaj zachichotali. Remlinger spojrział na mnie po raz trzeci, jakby rozmawiali na mój temat. Później odwrócił się w stronę dwóch Amerykanów i ruszył ku nim.

Ten bardziej nerwowy, Crosley, natychmiast skoczył na równe nogi, otarł dłoń o spodnie, uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę w kierunku Remlingera, jakby poczuł ulgę, że ta chwila w końcu nadeszła. Usłyszałem, jak Arthur wypowiada swoje nazwisko, ściskając mu rękę. I usłyszałem nazwisko Crosley. Starszy z mężczyzn, Jepps, podniósł się i uściśnął dłoń Arthura, przedstawił się i dodał coś jeszcze, co sprawiło, że obaj się roześmiali. Usłyszałem, jak Jepps powiedział „Kolumbia Brytyjska” i „Michigan”, a później Arthur powtórzył „Michigan” i wszyscy ryknęli śmiechem. Arthur był jak aktor grający ostatnią osobę, którą ktoś mógł podejrzewać o podłożenie bomby i bycie zabójcą. Zwykle nie wierzę w takie rzeczy, ale całe jego życie w Kanadzie stanowiło przygotowanie do tej chwili. Gdyby mu się udało – w co wierzył, bo był przekonany, że już dość się nacierpiął – wówczas wszystko skończyłoby się dobrze i życie mogłoby toczyć się dalej. Jeśli nie, zostałby zidentyfikowany jako zabójca i stanął przed perspektywą wyjazdu do Michigan, a wówczas nikt nie wiedziałby, co się wydarzy, choć kiedyś byśmy się o tym dowiedzieli.

Nie usłyszałem, o czym rozmawiali. Amerykanie usiedli, a Arthur przysunął sobie krzesło do ich stolika, rzucił okiem na swoje tweedowe spodnie i niezgrabnie usiadł okrakiem na krześle, ale nie zdjął kapelusza. Byłem senny, bo nie spałem prawie cały dzień i martwiłem się o tych Amerykanów, ale zostałem na miejscu. Przez kwadrans Remlinger siedział i rozmawiał z nimi z ożywieniem. Postawił im piwo, ale go nie tknęli. Kilka razy spojrział na mnie i obok mnie. Amerykanie bez przerwy się uśmiechali, a on mówił i mówił. W pewnym momencie w sposób zupełnie sobie obcy powiedział ze śmiechem: „Ach. Tak, tak, tak. Taaaak! W tym macie rację!”. Wszyscy trzej skinęli głowami. Wówczas wstał, rozprostował ramiona, przeciągnął się i rzekł: „Przygotujemy wszystko na jutro”. Uznałem, że chodzi o polowanie na gęsi. Że nie ma to nic wspólnego z tym, iż rozpoznali w nim zabójcę. Miałem wrażenie, że obaj Amerykanie doszli do wniosku, że Remlinger nie jest człowiekiem, którego szukają. A nawet jeśli jest, to tak się zamaskował, że należy zostawić go w spokoju na

pustkowiach prerii. (Już powiedziałem, że byłem zdezorientowany, bo czegoś takiego nie przeżyłem. Nie powinno się mnie winić, że nie zrozumiałem tego, co widziałem).

Te myśli mnie pocieszyły, kiedy wspinałem się po schodach do mojego pokoju i gramoliłem do zimnego łóżka w świetle zabarwionym czerwoną poświatą neonu hotelu Leonard. Moja buda w Partreau nie miała zamków, ale cieszyłem się, że ten pokój je posiada, bo nocą na korytarzach kręciło się wielu ludzi. Doszedłem do wniosku, że teraz wszystko pójdzie dobrze, jakby Amerykanie nie byli tymi, którymi byli. Arthur wydawał się ożywiony spotkaniem, był gościnny, jakby Jepps i Crosley przyjechali tu, aby zapolować na gęsi, i niebawem mieli wyruszyć w dalszą drogę do Kolumbii Brytyjskiej. Zrozumiałem, dlaczego Charley powiedział, że Remlinger jest podstępny: zwiódł Amerykanów, udając, że nie wie, kim są. A wtedy już wiedziałem, iż podstęp jest koniecznością. Nawet jeśli nie wszyscy dopuścili się przestępstwa, wszyscy zachowywali się podstępnie wobec innych. Ja sam byłem podstępny, bo nie ostrzegłem Amerykanów, schowałem pieniądze przed policją i ukrywałem swoją tożsamość od chwili, kiedy przekroczyłem granicę, siedząc w samochodzie Mildred i nie odzywając się ani słowem. Osoba, którą stałem się obecnie, była zupełnie inna niż ta, którą bym był, gdybym został w Great Falls – chociaż nosiła to samo nazwisko. Nie wydawało się jasne, czy kiedykolwiek znowu będę taki jak poprzednio, czy nie będę oszukiwać już zawsze, bo czułem, że niebawem pojedę do Winnipeg i zacznę tam zupełnie nowe, lepsze życie, zostawiając za sobą wszystko, łącznie z prawdą.

Zasypiając, myślałem o młodym, wysokim, jasnowłosym i niezgrabnym Arthurze Remlingerze wkładającym bombę do kosza na śmieci w Detroit – takim, jakiego go sobie wyobrażałem. Nie potrafiłem jednak zatrzymać tej myśli w głowie, co było moim sposobem na sprawdzenie, czy coś jest ważne. (Na przykład nie umiałem sobie wyobrazić, jak wygląda bomba). Próbowałem za to odegrać moją nieodbyłą rozmowę z Amerykami – jak idziemy główną ulicą Fort Royal, nie w zimnym i porywistym październikowym wietrze, ale w słoneczny dzień końca sierpnia, kiedy tu przyjechałem. Jepps trzyma swoją wielką dłoń na moim ramieniu i obaj chcą się dowiedzieć, czy jestem spokrewniony z Arthurem Remlingerem, czy jestem Amerykaninem, dlaczego przejechałem taki szmat drogi i siedzę

w Kanadzie zamiast w szkole, gdzie jest moje miejsce, gdzie są moi rodzice, co to za jeden ten Remlinger, czy jest żonaty, czy znam jego przeszłość i czy posiada pistolet. W ostatnich minutach czuwania nie wiedziałem już, czy znam odpowiedź na te wszystkie pytania – z wyjątkiem pistoletu – ale się tym nie martwiłem. I, jak to często ze mną bywało, spałem, choć przez chwilę nie wierzyłem w to, że śpię. Chociaż później, kiedy nagle „obudziłem się” w środku nocy, usłyszałem krowy w zagrodzie ubojni, pojękujące i oczekujące ranka, oraz pomruk ciężarówki redukującej bieg i zatrzymującej się na światłach przed hotelem. Wszystko wydawało się takie, jak powinno. Ponownie zamknąłem oczy, żeby przespać kilka godzin, które mi jeszcze zostały.

Następny dzień, piątek 14 października, będę zawsze uważać za najbardziej niezwykły dzień mojego życia z powodu sposobu, w jaki się zakończył. Przez cały ranek myślałem o Amerykanach przebywających w domku zapasowym i o ich pobycie w Fort Royal, o tym, jak się błąkają ulicami w chłodny dzień, kiedy padał śnieg, a później deszcz i znowu śnieg. Wiatr poruszał światłami wiszącymi nad ulicą, warstwa lodu pokryła chodniki, a mieszkańcy starali się nie wychodzić z domów, jeśli nie było to absolutnie konieczne. Nie miałem pojęcia, co ci Amerykanie mogą robić ani co może się wydarzyć. W czerwonym rozmazanym świetle wczesnego poranka zupełnie zapomniałem o moim odwrotnym myśleniu – że Amerykanie nie byli tymi, którymi byli, lub że Remlinger nie był tym, kim był, lub że tamci zrezygnują ze swojej misji zdemaskowania Remlingera jako zbiega i wrócą do domu. Nie miałem pojęcia, czy po jednym, trwającym kwadrans spotkaniu w zatłoczonym i zadymionym barze mogli ustalić to, co chcieli, i zdecydować, co należy zrobić. Przypomniałem sobie, że Charley powiedział, iż Amerykanie nie spodziewają się, że Remlinger będzie tym, którego szukają. Zatem przypuszczalnie nie wiedzieli dokładnie, co powinni zrobić, gdyby uwierzyli w jego winę. Mogli próbować podjąć decyzję w tej chwili. Charley dał do zrozumienia – a przynajmniej odniosłem takie wrażenie – że mogą postanowić go zabić (i dlatego zabrali z sobą broń) albo go porwać i postawić przed sędzią w Michigan. Ale to nie pasowało do ich charakteru i przyjaznego usposobienia, które wszyscy trzej okazywali w barze. Żadna z tych możliwości nie dawała przejrzystego obrazu, dlatego myślałem o nich nieprzerwanie w ciągu tego dnia, co doprowadziło mnie do wrażenia ciągłego wirowania w żołądku i pod żebrami i oznaczało, że sprawa jest poważna i powinienem mieć się na baczności.

Przed świtem Charley i ja zabraliśmy nasze grupy myśliwych na pola pszenicy. Siedziałem w furgonie i liczyłem spadające gęsi ustrzelone nad trzema wabikami. Charley zaglądał do dołów strzeleckich i nawoływał

ptactwo, chociaż niskie chmury i śnieg powodowały, że gęsi leciały tuż nad rzeką i gorzej widziały wabiki. Ustrzelono wiele sztuk. Charley i ja zostaliśmy jak zawsze, żeby oprawić martwe gęsi w blaszanej budzie. Zauważyłem, że czarny chrysler Amerykanów nie stoi obok domku, co mogło oznaczać, że opuścili miasto i odjechali. Ale Charley powiedział, że Remlinger wspomniał, iż następnego dnia zabierzemy ich na polowanie i mamy ich umieścić na dobrym stanowisku strzeleckim. Jedna grupa z Toronto wyjechała, więc zrobiło się miejsce. Nie spytałem o żadne szczegóły związane z Amerykami, o to, co Charley o nich sądzi po tym, jak ich zawiózł do zapasowego domku, lub co mógł mu zdradzić Remlinger, wydając dyspozycje dotyczące polowania. Charley miał ponury nastrój i udzielił mi kilku dziwnych odpowiedzi na moje pytania, kiedy skubaliśmy i patroszyliśmy gęsi. Na przykład: „Wielu odważnych mężczyzn odniosło rany głowy” i „Trudno przejść przez życie tak, żeby nikogo nie zabić”. Jak powiedziałem, Charley często bywał w złym nastroju z powodów, których nie chciał mi zdradzić, z wyjątkiem narzekania na ciężkie dzieciństwo i problemy jelitowe. Ale z jego zdawkowych uwag wysnułem wniosek, że jeśli następnego ranka zabierzemy Amerykanów na polowanie – jakby byli dwójką zwykłych myśliwych – nie skończy się na strzelaniu do gęsi. Że wydarzy się coś jeszcze, bo ci Amerykanie nie byli jedynie myśliwymi. Byli mężczyznami mającymi inne zamiary.

I tym razem nie udało mi się spotkać Arthura Remlingera w środku dnia, co było znamienne, zważywszy na okoliczności. Zauważyłem za to dwóch Amerykanów jedzących samotnie lunch w jadalni, gdzie zebrali się inni myśliwi, żeby porozmawiać o porannym polowaniu. Pobiegnę do drogerii, żeby kupić butelkę merthiolate'u, i na pocztę po znaczki na kartki pocztowe, żeby dotarły do Stanów Zjednoczonych. Dwaj Amerykanie rozmawiali z ożywieniem i nie zwracali uwagi na mnie ani na nikogo innego. Wydawało się śmieszne, że spędzają cały dzień na gadaniu, na widoku, kiedy tyle o nich wiedziano – o ich zamiarach, o tym, że zabito człowieka, że Remlinger dostał cynk i być może siedzi w swoim mieszkaniu, zastanawiając się, co z nimi zrobić, o tym, że mają broń i być może są gotowi jej użyć. Wydarzenia poprzedzające bardzo złe rzeczy bywają śmieszne, jak powiedział Charley, ale mogą być też zwyczajne

i niepozorne. Warto o tym wiedzieć, bo to wskazuje, gdzie się kryje źródło wielu złych rzeczy – bardzo blisko codzienności.

Jedynym ruchem, jaki wykonałem, aby zakomunikować Amerykanom swoją obecność – bo nadal wierzyłem, że rozmowa z nimi mogłaby stać się przygodą – było spytanie myśliwych siedzących przy sąsiednim stoliku, czy są zadowoleni. W innych okolicznościach bym tego nie uczynił, ale miałem nadzieję, że ci dwaj usłyszą mój amerykański akcent (sądziłem, że go posiadam) i do mnie zagadają. Ale żaden nie podniósł głowy i nie przestał mówić. Usłyszałem, jak jeden z nich – wyraźnie spięty czarnowłosey Crosley, który zdawał się traktować wszystko bardziej serio niż jego okrągłutki towarzysz, łysy Jepps – powiedział: „Nie ma nic pewnego. To tylko pieprzona historyjka”.

Pomyślałem, że debatują o tym, co powinni zrobić, i że mają z tym problem. Ale nie miałem pojęcia, co te słowa naprawdę oznaczały i nie chciałem, żeby pomyśleli, że ich podsłuchuję – chociaż podsłuchiwałem. Dlatego zostawiłem ich samych i poszedłem się zdrzemnąć.

– Przyniosłam ci dobrą książkę. – Florence stała w ciemnym korytarzu za drzwiami do mojego pokoju, znajdującego się w drugim końcu niż pokoje Remlingera. Drzemałem i byłem zaskoczony. Usłyszawszy pukanie, otworzyłem w samej bieliźnie. – Ma w środku ładne mapy – dodała. – Rozmawialiśmy o tym, więc... – Spojrzała w dół na gruby tom, a później wsunęła książkę w moją dłoń i się uśmiechnęła.

Za jej plecami paliła się samotna żarówka. Tylko Charley Quarters pukał do moich drzwi, żeby mnie obudzić wcześniej rano. Nie otworzyłbym mu, kiedy byłem nieubrany.

– Włóż coś. – Odwróciła się, żeby odejść, jakbym był zakłopotany.

Powiedziała, że przyniesie mi książkę o dziejach Kanady. To była ona. Na grzbiecie widniał mały biały znaczek. W górnej części znajdowała się pieczętka „Biblioteka Publiczna w Medicine Hat”. Książka nosiła tytuł *Building the Canadian Nation* i była autorstwa George’a Browna. Rozmawialiśmy już o moim wyjeździe do Winnipeg, zamieszkaniu u jej syna i być może przyjęciu kanadyjskiego obywatelstwa. Zastanawiałem się nad tym. Florence czuła, że tak będzie dla mnie lepiej, ale przebywałem w Kanadzie krótko – ledwie sześć tygodni – i nic nie wiedziałem o tym kraju. Musiałem poznać podstawowe rzeczy: hymn narodowy i słowa przysięgi (jeśli ją mieli), nazwy prowincji i tego, kto jest prezydentem kraju. Nadal też nie powiedziałbym, że lubię Kanadę, bo nie znalazłem się w niej z własnego wyboru. Ale przeprowadzka tutaj w sumie nie różniła się wiele od naszych przeprowadzek z rodzicami z powodu pracy taty. Mieszkałem w Great Falls przez cztery lata, ale nigdy nie miałem poczucia, że tam przynależę. Czas spędzony w danym miejscu nie miał raczej większego znaczenia.

– Tylko mi ją oddaj, kiedy skończysz – rzuciła jeszcze Florence i cofnęła się na korytarz, w światło, które spowodowało, że jej kontury stały się miękkie, a krągłe linie niewyraźne. – Nie chciałam cię zaskoczyć w bieliźnie.

– Dziękuję – odpowiedziałem, zasłaniając się książką. Czułem się tak, jakby widziała mnie całego.

– Mam dzieci – rzuciła na odchodnym Florence i pomachała mi ręką. – Wszyscy jesteście tacy sami.

Kiedy odeszła, zamknąłem drzwi i zaryglowałem zamek. Słyszałem jej kroki na schodach przez całą drogę na dół.

Remlinger odnalazł mnie spoconego w kuchni hotelu Leonard, gdzie czekałem na Charleya, abyśmy mogli pojechać razem na wieczorny rekonesans. Piłem kawę z cukrem i mlekiem, co stało się moim nawykiem po poranku spędzonym w chłodnym furgonie. Miałem na sobie ciepłe rzeczy – czapkę z daszkiem drużyny Jaysów, wełnianą kurtkę w szkocką kratę, wełniane spodnie i buty daytony. Tutejsza kuchnia nie była większa od tej w naszym domu w Great Falls – ze starą lodówką marki Servel, kuchenką na drewno, stertą podpałki, stołem do przygotowywania potraw i spiżarnią. Pani Gedins mnie tolerowała, bo nie miałem gdzie się podziąć i mogłem tylko siedzieć sam w swoim pokoju, ale nigdy się do mnie nie odzywała. Gotowała warzywa i wkładała klopsy z puszki do piekarnika. Zmarszczyła czoło na widok Remlingera, jakby się posprzecjali, co wydawało się całkiem możliwe.

– Chodź ze mną – polecił mi Arthur.

Był bardzo skupiony, jakby podjął decyzję w jakiejś sprawie, inny od tego, jakim go zwykle widywałem. Nie ogolił się, jego oczy wyglądały na zmęczone w poczerwieniałej twarzy i załatywał kwaśną wonią. Miał na sobie elegancką skórzaną kurtkę z futrzanym kołnierzem i brązową pilśniową fedorę.

– Musimy gdzieś pojechać.

– Czekam na Charleya. – Nie miałem najmniejszej ochoty nigdzie z nim się wybierać.

– Charley już wyjechał. Rozmawiałem z nim. Przeprowadzi rekonesans z innymi chłopcami.

– Dokąd pojedziemy?

Wiedziałem lub miałem ogólną świadomość, że w rzeczywistości nie było to pytanie. Mieliśmy pojechać, żeby coś zrobić z tymi Amerykanami, którzy bez wątpienia już podjęli decyzję. Wolałbym zostać w kuchni i czekać na Charleya. Wspólne rekonesansy stały się dla mnie czymś

zwyczajnym i nawet je polubiłem. Ale Charley nie przyszedł, a mnie nie wydawało się, że mam wybór.

– Ci dwaj myśliwi ze Stanów chcą ze mną pomówić – oznajmił Remlinger, mrugając. Wyglądał tak, jakby znajdował się w ruchu, chociaż nadal stał w kuchni. – Pewnie ich zauważyłeś wczoraj wieczorem – dodał. Uśmiechnął się nieoczekiwanie i odwrócił do pani Gedins, która jakby nigdy nic pokazała mu plecy i zaczęła robić coś przy kuchni. – Warto, żebyś ze mną pojechał. To poszerzy twoje horyzonty. Stanie się ważną częścią twojej edukacji. Ci dwaj to Amerykanie. Nauczysz się czegoś wartościowego.

Mówił takim tonem, jakby deklamował, a inni ludzie mieli go słuchać – nie tylko ja i pani Gedins. Albo jakby musiał słyszeć samego siebie. Nikt mu nigdy nie odmawiał z wyjątkiem Florence, która mogła jednym słowem uratować mnie przed tą wyprawą. Ale jej tu nie było. Wszystko w kuchni stało się nagle bardziej intensywne – gorąco, wirowanie pod moimi żebrami, światło i banieczki gotującej się wody z warzywami.

Sam z siebie nie byłem w stanie odmówić.

– Czy ci mężczyźni przyjechali z Detroit? – zapytałem.

Remlinger przechylił głowę i spojrzał na mnie z góry. Uśmiech zniknął, jakbym stwierdził coś zaskakującego. A przecież nie zdradziłem niczego, czego nie powinienem. Byłem obecny, kiedy przyjechali, i dlatego o tym wiedziałem. Ale on o tym nie wiedział. Moje słowa wyraźnie go zaalarmowały. Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. Chciałem tylko, żeby dał mi szansę coś powiedzieć.

– Co o nich wiesz? – zapytał. – Od kogo to usłyszałeś?

– Był tu, kiedy przyjechali – rzuciła pani Gedins odwrócona plecami. Mieszała w garnku. – Słyszał, co mówili.

– Czy to prawda? – Remlinger się wyprostował i cofnął swoją ładną głowę, jakby w ten sposób mógł wydobyć ze mnie prawdę. – Byłeś tu?

– Tak, proszę pana – przytaknąłem.

– No, cóż – odparł Remlinger i rzucił okiem na panią Gedins. – Skoro tak mówisz.

– Muszę iść do toalety – oznajmiłem. Nagle stałem się nerwowy.

– Jak musisz, to idź – rzucił Remlinger, ruszając w ślad za mną. – Spotkamy się na parkingu. Samochód jest na chodzie. Pospiesz się.

Wyszedł z kuchni tylnymi drzwiami, wpuszczając do środka chłód i zostawiając mnie z panią Gedins, która nie odezwała się więcej ani słowem.

Nie potrzebowałem skorzystać z toalety, ale musiałem się nad czymś zastanowić, bo nagle zdałem sobie sprawę, że nie mogę tego zrobić w obecności Remlingera. Miałem dość czasu w ciągu dnia, żeby wszystko sobie przemyśleć i sprawdzić to, co musiałem. Byłem zadowolony, że nie znam całej prawdy, i czułem, że pewnie nie jest najgorzej i że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa z powodu tych Amerykanów nie wydarzy się nic złego. „Nasze najgłębsze przeżycia są fizycznymi zdarzeniami”, mawiał mój ojciec, kiedy matka, Berner lub ja o coś się martwiliśmy. Zawsze uważałem to za prawdę, chociaż nie wiedziałem dokładnie, co to mogło oznaczać. Przekonanie to jednak stało się elementem mojego obrazu normalności: wiara, że fizyczne wydarzenia, ważne, takie, które zmieniły nasze życie i bieg przeznaczenia, są niezwykle rzadkie, prawie nigdy się nie zdarzają. Dowiodło tego traumatyczne aresztowanie moich rodziców – poprzez zestawienie z moim wcześniejszym życiem, w którym było bardzo mało fizycznej aktywności, jedynie oczekiwanie i przewidywanie. Ale mimo wiary w to, co powiedział mój ojciec na temat znaczenia fizycznych wydarzeń, uważałem, że istotniejsze jest to, jak je odczuwasz (była to moja dziecięca metoda ochrony), co zakładasz, co sobie myślisz, czego się obawiasz i co pamiętasz. Właśnie tym było dla mnie życie: wydarzeniami, które rozgrywały się w moim mózgu. Nie było to wcale takie dziwne, zważywszy na ostatnie tygodnie, na moją samotność w Kanadzie, egzystencję bez żadnej przyszłości, na którą mógłbym nakierować swoje działania.

Dlatego w ostatnich dniach starałem się uporządkować myśli siłą, która zdeterminuje to, co się wydarzy, i wierzyć, że nie doprowadzi to do żadnych rezultatów. Na przykład myślałem, że skoro Arthur spodziewał się „tych dwóch”, jak ich wówczas nazywał, i wiedział o nich wszystko z najdrobniejszymi szczegółami – znał ich nazwiska i wiek, markę samochodu, którym przyjadą, i to, że są uzbrojeni, ale nie mają serca do swojej misji – będzie sprawować całkowitą kontrolę nad sytuacją i zadba o to, żeby wszystko skończyło się tak, jak tego pragnie. Wierzyłem też, że Amerykanie nigdy nie zdołają ustalić nic ważnego na jego temat, bo

wydawało się to niemożliwe na podstawie samej obserwacji. Morderstwo nie było wypisane na twarzy Remlingera ani kogokolwiek innego. Zastanawiałem się, jak można podejść do zupełnie nieznanego osoby podejrzewanej o popełnienie morderstwa, i doszedłem do wniosku, że jest to bardzo trudne. Amerykanie też bez wątpienia zdawali sobie z tego sprawę. Sądziłem więc, że zachowają się wobec Remlingera w sposób zgodny ze swoją naturą: prosto, otwarcie, okazując dobrą wolę. Że będą musieli się do niego zwrócić, przedstawić tok swojego rozumowania, wyjaśnić wyciągnięte wnioski i zaprezentować plan, po czym Remlinger zaprzeczy, że cokolwiek o tym wie, oświadczy, że są w całkowitym błędzie, i w ten sposób sprawa zostanie zakończona. Niezależnie od tego, czy uwierzą Remlingerowi, czy nie, Amerykanie będą zmuszeni przyjąć do wiadomości jego zaprzeczenie – co ponownie wydawało się zgodne z ich charakterem i niewielkim entuzjazmem, jaki odczuwali – i wrócić do domu w Detroit. Bo cóż innego mogliby zrobić? Nie byli z tych, co to mogliby go zastrzelić. Może jeszcze tylko jutro rano pojedą z Charleyem i ze mną zapolować na gęsi.

Nie miałem pojęcia, jak Amerykanie mogliby zagadnąć Remlingera, zamienić z nim słówko w przelocie, w hotelowym holu, na przykład Jepps, kiedy Remlinger wyjdzie do samochodu. „Moglibyśmy zamienić słowo na osobności? Chcielibyśmy panu o czymś powiedzieć” („o coś poprosić” lub „zapytać”)? Jakby ci dwaj chcieli sprowadzić sobie dziewczynę do domku lub zajrzeć do salonu z hazardem. Arthur zachowałby się w zdecydowany, a jednocześnie wymijający sposób: „Nie u mnie. Przyjadę do was. Spotkamy się w domku zapasowym. Będziemy mogli tam spokojnie pogadać”.

Wszystko sobie przeanalizowałem, wysuwając siłę myśli przeciwko fizycznym wydarzeniom. Ale teraz można było odnieść wrażenie, że fizycznie wydarzenia zaczynają dochodzić do głosu, więc nie miało już dłużej sensu pytać, czy moje myśli były prawdziwe. Wydawało się, że mój ojciec miał rację.

Spojrzałem w dół przez okno łazienki na drugim piętrze, nadal czując wirowanie w żołądku. Remlinger stał na parkingu w tumanie wilgotnych płatków śniegu i kropli padającego deszczu obok swojego buicka z włączonymi reflektorami, pracującymi wycieraczkami i silnikiem wypluwającym biały obłok dymu w noc. Stał i rozmawiał z jakimś

nieznajomym mężczyzną – wysokim i chudym, w wełnianej czapce, brązowej wiatrówce i miejskich butach, oplatającym tułów rękami, jakby było mu zimno. Na jego czapce zbierał się śnieg nawiewany przez wiatr. Remlinger mówił do niego poważnie, wskazując lewą ręką najpierw na hotel Leonard, a później na szosę w kierunku Partreau, jakby wydawał polecenia. Nie podnieśli głowy i nie spojrzeli na mnie. W pewnym momencie Arthur położył dłoń na ramieniu tego mężczyzny – miał trzydzieści kilka lat, był wzrostu Remlingera, ale szczuplejszy od niego – i drugą ręką wskazał szosę. Obaj skinęli głowami. Pomyślałem, że rozmawiali o Amerykanach, z którymi mieliśmy porozmawiać.

Zastanowiłem się, dlaczego Remlinger chciał mnie z sobą zabrać i co mój udział w charakterze punktu odniesienia, jak powiedział Charley, mógłby oznaczać. Właśnie w tej chwili Remlinger spojrzął w okno łazienki i zmarszczył brwi. Duże płatki śniegu i zimny deszcz na chwilę ustały, jakby w burzy pojawiła się dziura i mnie odsłoniła. Jego usta zaczęły się poruszać, jakby był rozgniewany. Wykonał ramieniem szeroki gest pozdrowienia – przesłał mi sygnał, co było dla niego czymś niezwykłym – a później powiedział coś do mężczyzny w czapce, który spojrzął na mnie, ale nie wykonał żadnego ruchu, a potem zaczął iść przez parking, znikając w mroku. To, na co powinienem był zwrócić uwagę już dawno, teraz do mnie krzyczało. Chciałem, żeby przyjechała Florence. Chciałem wziąć zaoszczędzone pieniądze, które trzymałem w poszewce poduszki, wsiąść do autobusu i uciec daleko od Fort Royal i Arthura Remlingera, jak sugerował Charley. Żałowałem, że nie wziąłem dwudziestu dolarów z tego, co dałem Berner. Czułem, że znalazłem się w pułapce i nie jestem w stanie stawić oporu. Odszedłem od okna i zacząłem schodzić po stopniach tam, gdzie czekał na mnie Remlinger.

– Uwaga, że coś opiera się na kłamstwie, nie jest żadnym potwierdzeniem – powiedział Arthur, kiedy ruszyliśmy. W snopach reflektorów tańczyło coraz więcej grubych płatków śniegu, a rozciągająca się przed nami szosa przypominała tunel. Remlinger mówił z zapałem, jakby prowadził ożywioną dyskusję. – Bardziej ciekawi mnie, czy te wszystkie kłamstwa trzymają się kupy, rozumiesz? – Spojrzał na mnie, opierając wielkie dłonie ze złotym sygnetem na górze kierownicy. Wiedziałem, że chce mówić dalej. Radio było włączone, ale Remlinger ściszył dźwięk. – Gdyby pokazali ci całe twoje życie, cóż... – Wysunął brodę do przodu. – Co za różnica? Nie widzę żadnej.

Spojrzał na mnie ponownie. Chciał, żebym mu przytaknął. Rysy jego twarzy stały się niewyraźne pod rondem pilśniowego kapelusza.

– Tak, proszę pana – odpowiedziałem, ale wewnątrz nie musiałem się z nim zgadzać.

Nie jechaliśmy tak szybko jak zwykle. Odniosłem wrażenie, że Arthur woli rozmawiać, że nie chce dotrzeć do Partreau.

– Nie można zostawić za sobą wszystkiego – ciągnął. – Kiedyś myślałem, że to możliwe, ale przekroczenie granicy niczego nie zmienia. Możesz równie dobrze wrócić. Na twoim miejscu bym to zrobił. Każdy powinien dostać drugą szansę. Ja też z pewnością popełniłem kilka błędów. Wszyscy je popełniliśmy.

Nie rozumiałem, do czego zmierza. Wiedziałem, że popełniłem jakieś błędy, bo mój ojciec często powtarzał: „Człowiek pakuje się w kłopoty tak, jak iskry sypią się w górę”, myśląc o naszych pomyłkach, ale nie miałem pojęcia, o których z moich błędów wiedział Remlinger. Mało brakowało, a byłbym powiedział: „Nie popełniłem żadnych błędów, o których wiesz”, ale nie chciałem się z nim spierać.

– Pewnie, że się martwię, iż mogę tu umrzeć – podjął. – Coś ci powiem – uderzył w deklamatorski ton. – Zadajesz sobie pytanie: „Po co żyję? Czy tylko po to, żeby się zestarzeć?”?

– Nie wiem – odparłem.

Minęliśmy dwie sarny stojące na poboczu z oczami błyszczącymi w sypiącym śniegu. Nie poruszyły się, kiedy przejeżdżaliśmy obok, jakby nie dostrzegły buicka i go nie słyszały. Remlinger pozostawał niezwykle skupiony – inaczej niż zazwyczaj, kiedy przebywaliśmy razem. Byłem ciekaw, co czuje. Normalnie nie zastanawiałem się nad emocjami innych ludzi – tylko Berner, bo ona zawsze mi o nich mówiła. Odkąd wsiadłem do auta, ani razu nie wspomniał o Amerykanach. Jakby spotkanie z nimi nie miało znaczenia.

Spojrzał na mnie ponownie, kierując w śnieżycy.

– Jesteś tajnym agentem, co?

Odniosłem wrażenie, że uśmiechnął się pod rondem kapelusza, ale on się nie uśmiechał.

– Nie mówisz o tym, ale nim jesteś.

– Mówię – odrzekłem. – Ale nikt mnie o nic nie pyta.

– Papugi też mówią, tylko robią to z rozpaczy – powiedział. – Czy z tobą jest tak samo? Intrygujesz mnie. Wiesz o tym, prawda?

– Tak, proszę pana – odrzekłem, chociaż nie miałem pojęcia, kto to taki ten tajny agent.

– Posłuchaj... – Wyprostował się, mocniej zacisnął palce na kierownicy i utkwiał wzrok w płatkach śniegu wirujących przed nami. – Możesz usłyszeć dziś wieczorem różne rzeczy... kiedy dotrzemy na miejsce... rzeczy, które mogą cię zdumieć. Ci dwaj mogą powiedzieć o rzeczach, których nie zrobiłem... Rozumiesz? Pewnie sam tego doświadczyłeś. Ktoś cię o coś posądzał, ale ty tego nie zrobiłeś. Wszyscy tajni agenci muszą z tym żyć. Jestem jednym z nich.

Czułem, że powinienem przytaknąć, bo będzie podejrzewać, że wiem, co zrobił, a to mogło się dla mnie źle skończyć. Ale i tak miałem usłyszeć tę opowieść, więc to, że już ją znałem, nie miało teraz żadnej różnicy.

– Tak, proszę pana – odrzekłem, choć nie było to prawdą. Nigdy nie oskarżono mnie o nic niesprawiedliwie.

– Jeśli usłyszysz, jak mówię tym dwóm, że jesteś moim synem – ciągnął Remlinger – nie zaprzeczaj. Zrozumiałeś? Zgoda?

Przed nami zamajaczył elewator zbożowy w Partreau ze znajomymi pustymi budynkami przy szosie, których jednak nie można było zobaczyć. Przyczepa Charleya stała obok blaszanego baraku, a w środku migotało

światło przenikające przez szpary w papierze, którym oblepił okna. Nie zauważyłem jego furgonetki. W zapasowym domku też się paliło, a wóz Amerykanów stał na dziurawej ulicy. Właśnie tam zmierzaliśmy.

Byłem zaskoczony, że Remlinger chce mnie przedstawić jako swojego syna. Myślałem o tym w skrytości, ale te pomysły zniknęły, kiedy wczoraj Charley powiedział mi to, co powiedział, w swojej ciężarówce. To, że Remlinger miałby oświadczyć coś takiego, wydało mi się dziwaczne i sprawiło, że ponownie poczułem skurcz w żołądku i nie mogłem się skoncentrować na tym, co do mnie mówił. Bo niezależnie od tego, co sobie wyobrażałem, Arthur Remlinger nie był moim ojcem. Mój ojciec siedział w więzieniu w Dakocie Północnej. Nie był tym człowiekiem w kapeluszu spowitym ciemnością.

– Nie jesteś gadatliwy. Charley mi mówił. – Spojrzał na mnie surowym wzrokiem.

Skręciliśmy w South Alberta Street. Buick zaczął się kołysać i podskakiwać, jadąc po dziurach i kawałkach chodnika zniszczonego przez siły przyrody. Przed nami ukazały się w świetle reflektorów puste budynki, a także zepsute karuzele z wesołego miasteczka i rząd krzewów karaganu.

– Czy ci ludzie z tobą rozmawiali?

Zatrzymaliśmy się za samochodem Amerykanów z tablicą rejestracyjną oblepioną śniegiem i lodem. Deszcz ustał i padał tylko śnieg.

– Nie, proszę pana – odrzekłem.

Nie potwierdziłem, że zgadzam się, aby powiedział, iż jestem jego synem. Wszystko w nim było oszustwem. Nie wiedziałem, dlaczego miałbym brać w tym udział. Ale oczywiście było mu obojętne, czy wyrażę zgodę.

– Posłuchaj uważnie – powiedział, wyłączając silnik, a później gasząc światła i prostując się władczo w swoim kapeluszu. Zaczerpnął głęboko powietrza. Jego kurtka zaskrzypiała, wydając woń skóry. – Nie ma powodu, abyś się denerwował. Pozwól mi tylko, abym wyjaśnił tym dwóm kmiotkom, kim jestem. Nie musisz się odzywać.

Już nie udawał, że nasza wizyta dotyczy polowania, hazardu lub dziewcząt. Nic mi nie wyznał, ale potwierdził jednocześnie, że wiedział, iż wiem – bo on wiedział.

Ja też zaczerpnąłem głęboko powietrza, próbując opanować falę mdłości, która podeszła mi do gardła. Doznanie wirowania pod żebrami nie ustało.

Chciałem powiedzieć, że nie wejdę do środka. Nie chciałem wdychać woni zepsucia i pyłu gnijącego tynku, nie chciałem czuć niskiego, przygniatającego sufitu, oglądać słabego migoczącego blasku jarzeniówki jak w więziennej celi. Nie wiedziałem, że jedna rzecz może oznaczać coś innego, ale czułem, że ta buda z dwoma Amerykanami w środku oznacza coś złego, i nie chciałem ponownie się do niej zbliżyć.

Tylko że gdybym tam nie wszedł, doszłoby do zamieszania. Remlinger miał gwałtowne usposobienie – Charley tak powiedział – i chociaż nigdy nie zrobił mi nic złego, mógłby się zwrócić przeciwko mnie, gdybym uparł się zostać w samochodzie. Nie obchodziłem go. Pomyślałem, że tacy są ludzie – że nie są przywiązani do większości rzeczy, które mówią lub czują.

Po prostu łatwiej było z nim pójść. Amerykanie wyjaśnią swoje stanowisko w rozsądny sposób, który leży w ich naturze, a Remlinger wszystkiemu zaprzeczy i ich oszuka. Dzięki temu jutro będą mogli wrócić do domu, a ja powiem Florence, że jestem gotowy wyjechać do Winnipeg. Pomyślałem, że Remlinger nie robi niczego, żeby mnie powstrzymać. Jednym słowem, mogło mnie to uratować przed czymś znacznie gorszym.

– Nie jestem zdenerwowany – odparłem, czując, że fala mdłości minęła wygnana przez świadomość, że wejście do środka spowoduje, iż wszystko stanie się łatwiejsze.

– Pomyślałem, że przez chwilę się zawahałeś – powiedział Remlinger. Jego twarz była teraz ukryta w cieniu. Przesunął się w fotelu, szurając butami po podłodze.

– Nie zawahałem się – odrzekłem.

– To dobrze, nie trzeba się obawiać tych dwóch. Nie mają o niczym pojęcia i długo tu nie zabawią. Później pojedziemy na obiad do Flo.

– Dobrze – przytaknąłem.

Pomyślałem, że byłbym szczęśliwy, gdyby Florence była z nami. Na pewno coś by powiedziała i zostałbym w samochodzie razem z nią. Ale byłem sam i tak już miało zostać. Remlinger wysiadł z wozu, a ja za nim, i ruszyliśmy razem w stronę domku.

Remlinger zapukał do małych drzwi w środku oszklonego przedsionka. Stałem za jego plecami. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Na progu pojawił się uśmiechnięty Jepps w zielonej koszuli w kratę i wełnianych spodniach, które wyglądały na nowe. Crosley siedział w cieniu na jednej z pryczy w grubej wełnianej kurtce, bo w środku jak zawsze panował chłód. Patrzył na nas z napięciem. Wyglądali zupełnie inaczej niż Amerykanie, którzy zameldowali się w hotelu dzień wcześniej i którzy później rozmawiali z Remlingerem w barze. Zdawali się mieć wyraźny cel, który małeńki pokój ledwie zdołał pomieścić, jakby nagle stał się jeszcze mniejszy, chociaż kuchnia była tą samą, w której spałem.

Wszystko było takie samo. Chłodna woń ziemi – wywołująca wrażenie, iż grunt jest tuż pod linoleum – mieszała się z zapachem lawendowej świeczki, który wprowadziłem do tego wnętrza. Kuchenka była włączona i rozgrzana do czerwoności, aby ocieplić wnętrze. Pierścień jarzeniówki migotał, wytwarzając słabe światło. Wypchany kojot w dalszym ciągu stał na skrzynce na lód, a drzwi do tylnego pokoju – do którego przenieśliśmy kartonowe pudła – zostały zamknięte. Przyszło mi na myśl, że może tam być trzecia osoba, choć nie wiedziałem za bardzo kto. Od pomieszczenia, w którym mieszkałem, odróżniały to miejsce tylko walizki Amerykanów. Stojąc za plecami Arthura Remlingera, zastanawiałem się, co ci dwaj planują zrobić, jak poruszyć temat, który zamierzali podjąć, przejechawszy taki szmat drogi. Wierzyli, że Remlinger jest tym, kogo szukają. Gdzie schowali pistolety?

– Pomyślałem, że zabiorę z sobą syna – powiedział Remlinger, a jego głos i akcent stały się inne, jakby bardziej swobodne.

Musiał się pochylić, żeby przejść przez niskie drzwi. Położył dłoń na swojej fedorze, żeby nie przesunęła się na głowie. Natychmiast wypełniliśmy sobą cały pokój i poczułem, że nie mogę oddychać w naturalny sposób. Jepps spojrzał na Crosleya, który siedział na pryczy ze zwartymi kolanami. Crosley pokręcił głową.

– Nie wiedzieliśmy, że masz syna.

Remlinger położył rękę na moim ramieniu, odwracając się ku mnie, bo stałem bliżej drzwi.

– Początkowo nie sądziłem, że to dobre miejsce dla dorastającego chłopaka – powiedział – ale jest czyste i bezpieczne.

– Rozumiem – stwierdził Jepps. Kiedy mówił, rozluźniał szczękę, co sprawiało wrażenie, jakby zawsze się uśmiechał.

Remlinger odczekał kilka sekund. Wydawał się zupełnie swobodny. Jepps wsunął obie dłonie w kieszenie spodni i poruszył palcami.

– Musimy porozmawiać o pewnej sprawie, Arthurze.

– Już o tym wspomniałeś – odrzekł Remlinger. – Dlatego przyjechaliśmy.

– Może byłoby lepiej, gdybyśmy rozmawiali sami – ciągnął Jepps. – Wiesz, o co mi chodzi?

– O polowanie na gęsi? – odparł Remlinger, udając zaskoczenie. – Sądziłem, że o to wam chodzi. I o kilka innych rzeczy, które chcielibyście, aby wam załatwić.

– Nie – zaprzeczył Crosley, przyłączając się do rozmowy. Prycza stała w cieniu, przy chłodnym oknie, obok którego znajdowała się moja lawendowa świeczka.

– Nie chcemy sprawiać ci kłopotu, Arthurze – podjął Jepps, siadając na starym krześle, na którym wieszałem moje koszule i spodnie. Pochylił się i oparł dłonie na kolanach. Brzuch pod zieloną koszulą miał napięty. Pod moją pryczą leżało kilka kart z nagimi kobietami, które tam zostawiłem. Nikt ich nie znalazł.

– Doceniam to – powiedział Remlinger. – Szczerze.

– Widzisz, sądzimy... – zaczął Crosley i natychmiast przerwał, jakby następna rzecz, którą zamierzał powiedzieć, była bardzo ważna i chciał ją ostatni raz przemyśleć. Spojrzał na Arthura i kilka razy mrugnął. – Sądzimy... – powtórzył i ponownie przerwał.

– Kiedyś byłem policjantem – wtrącił Jepps. – Aresztowałem mnóstwo ludzi. W Detroit. – Uśmiechnął się i rozluźnił szczękę w sposób, który nie był uśmiechem. – Wielu ludzi, których zatrzymałem, trafiło później do więzienia, czasami na sporo lat, choć wcale nie musiało tak być. Zrobili tylko jedną złą rzecz. Ponieważ ich złapałem i wyjaśnili mi, co zrobili, wiedziałem, że już nigdy więcej nie przekroczą linii. Wie pan, o czym mówię, panie Remlinger? – Jepps po raz pierwszy ukazał swoje surowe

oblicze. Spojrzał na Arthura, jakby on, Jepps, był przyzwyczajony do tego, że ludzie zwracają na niego uwagę, i teraz domagał się jej od nas. Przeszli do poważnej sprawy, w której tu przybyli.

– Taak – przytaknął Arthur. – Rozumiem. To musi być częste zjawisko.

(Dziś, pięćdziesiąt lat później, kiedy myślę o tym z perspektywy nowego stulecia, mam wrażenie, że przeczuwałem, iż Arthur może zastrzelić ich obu, Jeppsa i Crosleya, ale jeszcze to do niego nie dotarło, bo nadal zachowywał się tak, jakby zamierzał wszystkiemu zaprzeczyć. Lecz ich słuchał. Ludzie czasami mówią w błędnym przekonaniu, że tylko oni słuchają własnych słów. Mówią jedynie dla siebie, zapominając, że inni też mają uszy. Jepps i Crosley podążali własną ścieżką, przekonani, że jest rozsądna i zmierza do wyznaczonego celu. Sądzili, że w ten sposób im się uda. Nie wiedzieli, że Arthur dawno temu zrezygnował z rozsądku).

– Jesteśmy przekonani – podjął powoli i z namysłem Crosley – że jedynym słusznym i dobrym rozwiązaniem jest wyjaśnienie sprawy, panie Remlinger. Nie mamy nad panem żadnej władzy. Jesteśmy w obcym kraju. Zdajemy sobie z tego sprawę.

– Moglibyście mi wyjaśnić, o co chodzi? Byłoby to możliwe? – zapytał Arthur, przesuwając but po popękkanym linoleum. Jego skórzana kurtka ponownie skrzypnęła. Nadal miał kapelusz na pięknych jasnych włosach. W przegrzanej kuchni panowała duszna atmosfera.

– Myślę, że mógłby pan uporządkować swoje życie, po prostu z nami rozmawiając – powiedział Crosley, kiwając głową Arthurowi. – Przyjechaliśmy tu, nie wiedząc, co zrobimy. Nie chcemy stwarzać panu kłopotów. Wystarczy nam, że wrócimy, poznavszy fakty.

Remlinger przyciągnął mnie do siebie.

– Na co miałbym się zgodzić? – spytał. – Co powinienem wam powiedzieć? Nie widzicie, że nie mam zielonego pojęcia, o co wam chodzi? Nie jestem żadną tajemniczą postacią. Nikogo nie udaję. Mój akt urodzenia jest w archiwum sądu okręgu Berrien w Michigan.

– Wiemy – odparł Crosley. Ponownie pokręcił głową, wyraźnie sfrustrowany. – Pana syn nie powinien tego słyszeć.

– Dlaczego nie – zdziwił się Remlinger.

Robił z nich głupców i oni to wiedzieli. Nawet on to wiedział. Najpewniej byli zorientowani, że nie jestem jego synem.

– Możesz przewietrzyć sumienie – dodał Jepps. Takiego słowa użył. **P r z e w i e t r z y ć**. – Ludzie, których aresztuję lub aresztowałem, zawsze czuli się lepiej po złożeniu oświadczenia. Nawet jeśli się tego obawiali. Czasami po wielu latach, jak ty. Wrócimy do domu i więcej nas pan nie zobaczy, panie Remlinger.

– Szkoda – rzekł Arthur z uśmiechem. – Ale co miałbym oświadczyć?

Do tej pory nikt nie powiedział ani słowa na temat powodu, dla którego tu przyjechali, bo – czułem to – nikt nie chciał tego zrobić. Amerykanie, stwierdził Charley, nie byli przekonani o słuszności swojej misji. Remlinger zaś też by tego nie uczynił. Mogliśmy wyjść i na tym by się skończyło. Meksykański impas. Bo nikt nie miał ochoty na wypowiedzenie tych słów.

– Że doprowadził pan do wybuchu... – wyrzucił z siebie Crosley i odchrząknął w środku zdania, którego, jak sądziłem, nigdy nie wypowie, jakby nagle pożałował, że się odezwał – ...w którego wyniku zginął człowiek. Było to bardzo dawno temu. Przyjechaliśmy... – W tym momencie stracił oddech, jakby było tego po prostu za wiele.

Poczułem złość, że usłyszałem te słowa, choć jednocześnie pragnąłem je usłyszeć. Małeńki pokój był nimi naładowany. Crosley wydawał się mięczakiem, bo się bał.

– Co? – Remlinger udał zdziwienie. Był wyniosły, jakby zyskał wielką przewagę nad Jeppsem i Crosleyem, jakby ich obecność miała znacznie mniejsze konsekwencje dlatego, że odkryli swoje karty. – To śmieszne – zachnął się. – Niczego takiego nie zrobiłem.

W tamtym momencie pomyślałem, a właściwie poczułem wagę słów: czy oni w ogóle znali zabitego? Przyjechali tutaj pod wpływem zwykłego przeczucia, a teraz bez większego przekonania oskarżyli człowieka o morderstwo, człowieka, którego też nie znali i który miał związek z przestępstwem tylko dlatego, że je popełnił. Choć dla Remlingera ważniejsze było to, że nic takiego nie zamierzał. Bo Remlinger jednak nie miał najmniejszej ochoty na przewietrzenie swojego sumienia. Wręcz przeciwnie.

Jepps i Crosley jakby zapomnieli o tym, że nie chcieli tego powiedzieć w mojej obecności, chociaż wszystko wiedziałem i nie byłem zaskoczony, i miałem świadomość, że wyraz zdumienia nie maluje się na mojej twarzy. Remlinger też nie zachowywał się jak człowiek, który nie wie o morderstwie, ale jak osoba, która **t w i e r d z i**, że nic o nim nie wie.

Może właśnie to przyjechali zobaczyć. Bo mówiąc: „Niczego takiego nie zrobiłem”, właściwie się przyznał. Każdy coś poświęcał – swoją siłę – aby zyskać przewagę. Remlinger powiedział prawdę, obiecując, że nauczę się czegoś cennego. Rzeczywiście dowiedziałem się, że rzeczy zbudowane jedynie ze słów i myśli mogą się przerodzić w fizyczne działania.

– Sądziliśmy, że najlepiej będzie zrobić to uczciwie – dodał Jepps. – Dać ci szansę uwolnienia serca od ciężaru.

– A jeśli nie mam wam nic do powiedzenia? Nie muszę uwalniać serca?
– rzucił Remlinger pogardliwie. – Może wasze przypuszczenie jest bezzasadne?

– Nie uważamy, aby tak było – odparł Crosley, odzyskawszy oddech, ale nadal przemawiając słabym głosem. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni spodni, wypluł coś na nią, a następnie złożył. Był bardzo przestraszony.

– No, cóż – podjął Remlinger. – A jeśli wszystkiemu zaprzeczę? Jeśli nie będziecie mogli wrócić usatysfakcjonowani tam, skąd przyjechaliście? Co się wówczas stanie?

Starcie przerodziło się w czystą walkę woli. Nie przeciwstawili sobie żadnych faktów.

– Będziemy musieli się zastanowić – odrzekł Jepps.

Wstał. Pomyślałem o pistoletach – może już przygotowanych i ukrytych gdzieś w pobliżu. Nikt nie powiedział prawdy: że Jepps i Crosley nie przejechali takiego szmatu drogi, by wrócić z niczym, że są bardziej przekonani o swej racji, niż się wydawało. Wszystko sprowadzało się do zdecydowania, na jakiej podstawie zrobią to, co zamierzają. Moja obecność była przypuszczalnie jedynym powodem, dla którego tego od razu nie uczynili. Na tym też polegała moja rola: na spowodowaniu, aby wszystko pozostało na swoim miejscu, a Remlinger zyskał chwilę wytchnienia, by mógł wyraźniej ujrzeć swoją sytuację. Byłem jego punktem odniesienia.

– Rzeczywiście, jest coś, o czym mógłbym wam powiedzieć. – Westchnął w końcu tak głęboko, żeby Jepps i Crosley to usłyszeli. – Może to was zadowoli.

– Chętnie posłuchamy. – Jepps spojrzał zadowolony na Crosleya, który skinął głową.

– Mieliście rację, mówiąc, że Dell nie powinien tego słyszeć. Odprowadzę go do samochodu.

Remlinger mówił o mnie, jakbym nie stał obok niego. To, czego jeszcze nie sformułował w swojej głowie, teraz nabrało kształtu: podjął decyzję. Dłużej mnie nie potrzebował.

– Dobrze – przytaknął Jepps. – Zaczekamy.

– Wrócę za chwilę – powiedział Remlinger. – Dobrze, Dell? Możesz poczekać w samochodzie?

– Tak – odrzekłem.

– To nie potrwa długo – zapewnił Remlinger.

Arthur wyprowadził mnie na chłód do cichego buicka, mocno ściskając za ramię, jakby chciał mnie ukarać. Wiatr ustał, ale zrobiło się chłodniej. Przed przyczepą Charleya stała jego furgonetka. Pod drzwiami widać było pasek światła. Pies pani Gedins grzał się na masce wozu.

– Śmieszni jegomoście – rzucił Arthur.

Wydawał się rozgniewany jak nigdy wcześniej. I zrezygnowany, ale jeszcze bardziej wyniosły. Otworzył drzwi samochodu i wepchnął mnie za kierownicę.

– Uruchom silnik – powiedział. – Niech wóz się zagrzeje. Nie chcę, żebyś zamarznął.

Pochylił się i włączył reflektory. Światło poszybowało przez śnieg w kierunku ruin domostw przy South Alberta Street.

– Co im powiesz? – Przez chwilę myślałem, że wślizgnie się do środka, więc przesunąłem się na fotel pasażera.

– To, co chcą usłyszeć – odrzekł. – Teraz nie dadzą mi spokoju. – Wsunął rękę pod osłonę przeciwsłoneczną po stronie kierowcy i wyciągnął mały srebrny pistolet, który widziałem w jego mieszkaniu, bez kabury do noszenia pod pachą. – Spróbuję im coś wyjaśnić. – Wciągnął powietrze w płuca i je wypuścił. Niemal westchnął. – Zostań tutaj – powiedział. – Zaraz wrócę i pojedziemy na kolację.

Zamknął drzwi, zostawiając mnie w zimnym samochodzie z ciepłym powietrzem nawiewanym spod deski rozdzielczej. Przez okno kierowcy – bo na szybie śnieg zamienił się w wodę – obserwowałem jego kapelusze oddalający się w ciemności w kierunku uchylonych drzwi. Nie obejrzał się za siebie ani nie zawahał. Trzymał pistolet z lewej strony, nie próbując go ukryć, chociaż był mały, a światło słabe, więc tamci mogli go nie zauważyć. Pomyślałem, że Jepps i Crosley mogli wyciągnąć swoją broń i trzymać ją

gotową do strzału, kiedy Remlinger wejdzie do środka. Bo skoro mu nie uwierzyli, musieli wiedzieć, co się stanie – jeśli w ogóle wiedzieli, co robią.

Remlinger wszedł do środka przez zabłocony przedsionek z oknami bez szyb, podszedł do drzwi i otworzył je butem. Zauważyłem, że Jepps stoi w przyćmionym świetle, tam gdzie wcześniej. Z miejsca, w którym się znajdowałem, widać było jedynie nogi Crosleya. Nadal siedział na pryczy. Spodziewali się, że tylko z nimi pomówi. Byli prostymi ludźmi, za jakich się podawali. Remlinger źle ich osądził. Wszedł do kuchni przez oświetlony próg. Zauważyłem, że Jeppsa zdradził wyraz twarzy. Arthur wycelował w niego swój srebrny pistolet i strzelił. Nie widziałem, jak Amerykanin pada, ale gdy Arthur wszedł głębiej, żeby zastrzelić Crosleya, ujrzałem go leżącego na linoleum z wielkimi rozkraczonymi stopami. Pistolet wydał ciche paf. Nie był dużego kalibru. Wiedziałem, że nazywają takie damską bronią. Nie doleciały do mnie żadne głosy ani krzyki. Moje okno było zamknięte i szumiał grzejnik, nawiewając do środka ciepłe powietrze, ale usłyszałem wystrzały, które zabiły Crosleya. Po chwili rozległo się kolejne paf i ujrzałem, jak Crosley przesuwają się niezgrabnie w prawą stronę, próbując się schować za pryczą. Arthur podszedł bliżej. Skierował lufę srebrnego pistoletu w miejsce, gdzie ukrył się Crosley. Wystrzelił jeszcze dwa razy. Paf. Paf. Później spojrzał niedbale na podłogę, gdzie leżał Jepps z drgającą lewą stopą. Wycelował niemal uprzejmię w jego głowę lub twarz i oddał pojedynczy strzał. Paf. W sumie pięć strzałów. Pięć paf. Wszystkie słyszałem i widziałem przez otwarte drzwi budy z wnętrza buicka. Arthur spojrzał w dół na Jeppsa, wsuwając pistolet do bocznej kieszeni kurtki. Mówił coś z wielkim ożywieniem. Skrzywił się i wskazał go palcem, a później trącił tym palcem trzy razy, wypowiadając słowa, których nie usłyszałem (a już Jepps na pewno nie był ich świadomy). Zapewne słowa nagany, które wyrażały to, co czuł. Później się odwrócił i spojrzał przez otwarte drzwi w mroczną przestrzeń, która nas dzieliła, na moją twarz w oknie samochodu wykrzywioną w grymasie, jakiego nie potrafię sobie wyobrazić. Wtedy powiedział coś jeszcze, do mnie. Wielka fedora nadal tkwiła na jego głowie, a wargi poruszały się krzykliwie, jakby słowa miały usprawiedliwić to, co przed chwilą uczynił. Czuję, że wiem, co znaczą, nawet jeśli nigdy nie dotarły do moich uszu. Brzmiały jakoś tak: „No i co? Wyjaśniliśmy sprawę? Raz na zawsze?”.

Zakopaliśmy ich tej samej nocy, której zginęli. O tym, jakiego rodzaju człowiekiem był Arthur Remlinger, niech świadczy fakt, że zmusił mnie, abym pomógł Charleyowi Quartersowi i Olliemu Gedinsowi (synowi pani Gedins, wysokiemu mężczyźnie w czapce i płaszczu przeciwdeszczowym, którego widziałem na parkingu hotelu Leonard) przewieźć ciała do dołów wykopanych na prerii, skąd – gdyby żyli – mogliby strzelać do gęsi następnego ranka, ze mną w roli przewodnika. Drugą rzeczą, która o nim świadczy, jest to, że w najmniejszym stopniu o mnie nie zadbał, nie był mną w ogóle zainteresowany ani nie miał dla mnie lepszego planu od tego, który powstał pod wpływem chwili i który z pewnością nie miał na celu poszerzenia mojej wiedzy, lecz ustalenie (jeszcze raz, i to w znacznie gorszy sposób), ile jeszcze jest w stanie znieść mój piętnastoletni umysł. Jeśli później o tym pomyślał, jeżeli w ogóle zadał sobie ten trud, pewnie nie zaprzętał głowy moją osobą. Może nawet całkiem zapomniał, że tam byłem – jak młotek umieszczony na zdjęciu w celu oddania skali, punkt odniesienia, który utracił swoją wartość po wykonaniu fotografii. Bo koniec końców on sam zrezygnował z jakiegokolwiek skali, podobnie jak zrezygnował z rozumu. Robił tylko to, na co miał ochotę, w takich granicach, jakie sam uznawał. Gdybyście powiedzieli, że nie powinien był brać mnie z sobą tamtej nocy, że zmienił przez to jeśli nie kierunek mojego życia, to przynajmniej jego naturę, że naraził mnie na szwank, bo mogłem zostać postrzelony i zginąć, jeżeli sytuacja przybrałaby zły obrót – gdybyście to powiedzieli, mielibyście słuszność. Ale dla niego nie miałyby to żadnego znaczenia. Bo dzieją się różne rzeczy, gdy ludzie nie są tam, gdzie jest ich miejsce, i świat obraca się w kółko zgodnie z tą zasadą. Bo inni byli dla niego martwi jak ci dwaj Amerykanie, których ciała wrzuciliśmy na furgonetkę Charleya tamtej nocy, podczas gdy on stał w cieniu, palił papierosa w padającym śniegu i nas obserwował. Jeśli połączycie z sobą wszystkie fakty, nadacie temu wszystkiemu tyle sensu, ile się da.

Moglibyście pomyśleć, że wyniesienie dwóch ciał z domku i wrzucenie ich na skrzynię furgonetki wryje się w moją pamięć jak nic innego – ich nagły ciężar, choć za życia wydawały się go pozbawione, potworność tego faktu, zdanie sobie sprawy ze zmiany, jaką wywołuje śmierć. Jak już wspomniałem, to ja podniosłem tupecik Jeppsa z linoleum, gdzie leżał w gęstej krzepnącej krwi. I właśnie ten tupecik najżywiej zapamiętałem – zwiewną lekkość tego dziwnego, przesiąkniętego krwią czepka z włosów. Nie pamiętam, jak wyglądały same ciała i jak pachniały, czy były wiotkie lub sztywne i co wskazywało, że mężczyźni zostali trafieni kulami, ani woni prochu (która musiała wypełniać pomieszczenie), ani nawet czy wynieśliśmy ich jak worek, czy przeciągnęliśmy za ręce lub za pięty niczym zwłoki, którymi się stali. Nie pamiętałem też za dobrze, jak szybko padły strzały i ile czasu trwało ich zabicie. Wszystko zostało pozbawione dramatyzmu, inaczej niż na filmach. Wydarzyło się w jednej chwili – niemal jakby nie wydarzyło się wcale. Tylko że ktoś był martwy. Czasami wydawało mi się, że byłem wtedy w pokoju, a nie w samochodzie. Ale to nieprawda.

Zapamiętałem za to grymas malujący się na twarzy Arthura Remlingera po tym, jak ich zastrzelił i mówił do zabitych. Grymas nagany. A później to, jak na mnie spojrział przez drzwi, gdy zdumiony patrzyłem na to, co się dzieje. To spojrzenie (wówczas byłem o tym przekonany) oznaczało, że mógłby zabić i mnie, gdyby przyszła mu na to ochota, i że powinienem to zapamiętać. Morderstwo b y ł o wypisane na jego twarzy, o czym Jepps i Crosley chcieli się przekonać, ale ujrzeli to dopiero w ostatnim momencie swojego życia.

Pamiętam też, że gdy już padły strzały i Remlinger spojrział na mnie i mówił to, co mówił, odruchowo odwróciłem wzrok. Odwróciłem całe ciało od okna i przez inne okno ujrzałem Charleya Quartersa stojącego w drzwiach swojej przyczepy oraz światło za jego plecami. Było zimno, ale on miał na sobie jedynie podkoszulek i slipy. Stał oparty o framugę

i patrzył. Może już o wszystkim wiedział i tylko czekał, aby wykonać swoją robotę.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, było to, jak wrzuciliśmy ciała – rozebrane do naga, bo Charley miał spalić walizki i rzeczy osobiste, a pistolety, sygnety i dubeltówki utopić w rzece Saskatchewan Południowy – do dołów na tyle głębokich, żeby się do nich nie dobrały kojoty i borsuki. Było to stosunkowo proste. Stałem nad nimi i spojrzałem na każdego leżącego we własnym dole, oddalonym kilka metrów od drugiego, a później na ciemną prerię, nad którą słychać było gęganie ptaków lecących po zasnutym śniegiem niebie. Wtedy na tle nocy zobaczyłem – byłem zaskoczony, ale naprawdę go ujrzałem – czerwony neon hotelu Leonard (tam gdzie znajdowało się Fort Royal, bliżej, niż mógłbym pomyśleć) i kamerdynera ze szklanką martini. I przez chwilę było tak, jakby nic się nie stało.

Czy potrafiłbym opisać, jak wpłynęło na mnie to, że stałem się świadkiem zabójstwa dwóch Amerykanów? Musiałbym wymyślić jakieś słowa, bo jedynym prawdziwym skutkiem było milczenie.

Moglibyście sądzić, że przez te wszystkie lata często myślałem o Arthurze Remlingerze, o tym, że jest zagadką, postacią zasługującą na długie analizy. Bylibyście w błędzie. W najmniejszym stopniu nie był zagadkowy. Przez pewien czas wierzyłem, że posiada jakieś znaczenie, bogate wnętrze ukryte pod zwykłymi faktami. Ale on go nie miał, poza tym, że spowodował śmierć trzech osób. P r a g n ą ł posiadać znaczenie, nie mam co do tego wątpliwości (przykładem może być Harvard i pierwsze zabójstwo, którego się dopuścił), lecz nie potrafił wypełnić pustki, która towarzyszyła mu całe życie i zaprowadziła go w miejsce, w którym się znalazł. Nawyk odwrotnego myślenia, który skłaniał mnie do wiary, że istnieje jakieś znaczenie tam, gdzie wyraźnie go brakowało, mógł być przydatny w abstrakcyjnych rozważaniach. Sprawiał, że moja matka uważała mnie za bardziej intrygującego, niż byłem. Ale odwrotne myślenie może prowadzić do ignorowania tego, co oczywiste – a to jest poważnym błędem – oraz do kolejnych błędów i śmierci, o czym mieli się przekonać ci dwaj Amerykanie.

Bardziej niż Remlingera starałem się zachować w pamięci tych Amerykanów – Jeppsa i Crosleya – żywych, bo sposób, w jaki zniknęli na

zawsze i bez śladu, spowodował, że moja pamięć stała się jedynym życiem pozagrobowym, jakie im zostało. Jak już wspomniałem, sądziłem, że ich śmierć była związana z katastrofalną decyzją moich rodziców o tym, by obrabować bank – ze mną samym w roli wartości stałej, elementu łączącego i głównej zasady myślenia. Zanim powiecie, że to tylko igraszka, mieszanie palcem liści herbaty w nadziei na znalezienie logiki, pomyślcie, jak blisko zło sąsiaduje z normalnymi wydarzeniami, które nie mają z nim nic wspólnego.

Po tych pamiętnych wypadkach zacząłem szukać normalnego życia, aby ocaleć. Gdy myślę o tym okresie – począwszy od wyobrażenia sobie szkoły w Great Falls, przez napad, którego dokonali nasi rodzice, ucieczkę mojej siostry, przekroczenie granicy z Kanadą i śmierć Amerykanów, a na wyjeździe do Winnipeg, gdzie mieszkam do dziś, skończywszy – wszystko wydaje się elementem jednej całości niczym części utworu muzycznego lub fragmenty układanki, dzięki której staram się odbudować i zachować swoje życie w akceptowalnym stanie niezależnie od tego, jakie granice przekroczyłem. Wiem, że tylko ja mogę dostrzec te związki, ale powstrzymanie się przed ich poszukiwaniem oznaczałoby zdanie się na pastwę fal miotających nami o skały rozpacz. Bardzo przydaje się tutaj gra w szachy, bo poszczególne potyczki są w niej elementem jednego długiego starcia, które nie prowadzi do konfliktu, porażki ani nawet zwycięstwa, ale do harmonii leżącej u podłoża wszystkiego.

Mogę jedynie domniemywać, opierając się na tym, co oczywiste, dlaczego Arthur Remlinger zastrzelił tych dwóch Amerykanów. Podróż zagraniczna, o której wspomniał, niczego by nie załatwiła. Pozwoliłaby mu jedynie zyskać na czasie, odsunąć na później zniknięcie w jeszcze głębszej dzicz niż Saskatchewan.

Możliwe, że wszystko sobie przemyślał. Ale nie tak, jak zrobiłby to ktoś inny, ważąc argumenty za i przeciw, pozwalając, aby myśli i sądy kierowały jego krokami, i zdobywając wiedzę, która mogłaby go odwieść od popełnienia tych czynów. Może sądził, że Amerykanie w końcu zastrzelą jego; a nawet jeśli tego nie zrobią, nigdy nie dadzą mu spokoju, nigdy nie odjadą, nigdy nie wrócą do Stanów; że są bardziej oddani swojej misji, niż sądził. Bo przemyślenie tej sprawy w jego przypadku oznaczało ich zastrzelenie, chyba że wydarzy się coś nieoczekiwanego, co go przed tym powstrzyma. Kto wie, czym to coś mogłoby być, skoro się nie stało? Może

wielu ludzi właśnie tak sobie wyobraża przemyślenie czegoś, jako zrobienie dokładnie tego, co chcą, jeśli się da. Może zwyczajnie chciał ich zabić, bo w końcu przyjechali po niego i próbowali skłonić do przyznania się do winy; bo pomysł rozmowy wywołał u niego furję – po latach cichej frustracji, tęsknoty i rozczarowania, izolacji i oczekiwania; bo spotkanie z dwoma prostytutkami nie wiedzieć skąd, którzy źle o nim myśleli, doprowadziło go do wściekłości, gdyż miał wysokie mniemanie o swojej inteligencji; a może zdenerwowały go słowa „przewietrzyć” i „uwolnić”, które sugerowały, że Amerykanie odczuwali do niego sympatię. Wszystko to mogło sprawić, że nagle stał się otwarty, a później śmiertelnie groźny. Mógł od dawna wiedzieć, że brak rozsądku jest jego wielką słabością. I mogło mu zwyczajnie przestać zależeć, bo pogodził się z tym, że nie zdoła dokonać niczego lepszego. Że brak rozsądku leży w jego naturze i że zasługuje na wszystko, co zechce. Był mordercą, podobnie jak w nieco mniejszej skali moi rodzice byli rabusiami. Może doszedł do wniosku, że nie ma sensu dłużej tego ukrywać. Ba, że może się tym chlubić. Poza tym w zabiciu dwójki ludzi zawsze kryje się jakiś element obłądu.

Jaki był rezultat tego wszystkiego? Podwójnego zabójstwa? Z tego, co wiem, niewielki. Chrysler Amerykanów został ukryty w blaszanym baraku Charleya, a później wywieziony do Stanów przez Olliego Gedinsa i jednego z jego kuzynów, posługujących się dokumentami zabitych, na które nikt nie zwrócił uwagi na amerykańskiej granicy (to było w Kanadzie w 1960 roku). Dwaj Kanadyjczycy zameldowali się w motelu w rejonie Hi-line w Havre w Montanie pod nazwiskami Jepps i Crosley, a później zniknęli w mroku nocy, pozostawiając wóz zaparkowany przed domem. Władze poszukiwały Jeppsa i Crosleya w przekonaniu, że wyjechali z Kanady, dotarli do Havre, a później rozplynęli się w powietrzu w tajemniczych okolicznościach. Możliwe, że funkcjonariusze Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej odwiedzili hotel Leonard, zadając pytania i pokazując zdjęcia. Ale nikt nie powiązał Arthura Remlingera z ich śmiercią, podobnie jak nie połączył jego osoby z zamachem bombowym dokonany dawno temu. W przypadku Jeppsa i Crosleya, zakopanych gdzieś na prerii, która niebawem miała zamarznąć na kamień, nie było żadnego dowodu na to, że zginęli. Jeśli ktoś przyjechał, aby bliżej przyjrzeć się sprawie – żona lub

jakiś krewny z Detroit – było to długo po tym, jak wsiadłem do autobusu do Winnipeg.

Coś musiało z pewnością dotrzeć do hotelu Leonard po zabójstwach, ale Charley Quarters w dalszym ciągu zabierał myśliwych na poranne polowania, a wieczorami Remlinger nadal krążył z ożywieniem po restauracji i barze. Zabroniono mi tam przychodzić, jakby dłużej nie można było mi ufać. Nadal jednak mogłem jadać w kuchni, przebywać w moim pokoju i wałęsać się po hotelu lub spacerować wietrznymi ulicami Fort Royal tak, jak to robiłem w ciepłych dniach września. Widziałem półtonową furgonetkę Charleya stojącą na ulicy i parkującą na placu za hotelem. Raz spotkałem Arthura Remlingera w holu, gdzie zameldowali się Amerykanie. Czytał list. Podniósł głowę i spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby nie widział mnie nigdy wcześniej. Wydawał się ożywiony, jakby pragnął rzec mi coś, czego wcześniej nie powiedział, ale jego twarz szybko przybrała niemal surowy wyraz.

– Wiesz, Dell, czasami trzeba narobić kłopotów, żeby sytuacja się oczyściła – rzucił. – Wszyscy zasługujemy na drugą szansę.

To samo powiedział w noc podwójnego zabójstwa. Jego uwaga wydała mi się pozbawiona sensu, więc nie miałem pojęcia, co mu odrzec. Widziałem, jak zamordował dwóch ludzi. Nie miałem słów. Później wetknął list do kieszeni kurtki i po prostu odszedł. Uznałem, że właśnie tak myślał o zastrzeleniu dwóch mężczyzn i zakopaniu ich w dole używanym do polowań na gęsi: że zrobił to w celu uzyskania jasności, na jakiej mu zależało, i po to, aby sobie ulżyć w cierpieniu. Próbowałem to zrozumieć i pogodzić z własnymi przemyśleniami, bo czułem zażenowanie i wstyd, jakby ogarnęła mnie ta sama pustka, która nękała Remlingera. Ale nigdy mi się to nie udało.

Nie miałem pojęcia, czy Florence wiedziała o zabójstwach. Osobiście uważam, że tak, ale jednocześnie nie posiadała tej wiedzy, gdyż jako artystka potrafiła godzić w sobie przeciwności. Do tej kategorii należy znaczna część życia, choćby małżeństwo. W każdym razie byłoby to zgodne z tym, co o niej wiedziałem.

Czwartego dnia po zabójstwach – 18 października – Florence przyszła do mojego pokoju i mnie obudziła. Przyniosła tekturową walizkę ze skórzanymi paskami i nalepkami, na których widniały nazwy: Paryż i Nowy Orlean, Las Vegas i Niagara Falls. Położyła ją na komodzie

i powiedziała, że nie mogę do końca życia podróżować z dobytkiem w poszewce poduszki. Że będę mógł zwrócić jej walizkę, kiedy zobaczymy się ponownie. Przyniosła też bilet autobusowy, który mi dała, i swój mały obraz olejny przedstawiający rząd krzewów karaganu na tyłach miasteczka Partreau, za którymi stały białe ule, a dalej rozciągała się preria i niebieskie, namalowane do końca niebo.

– To lepszy widok od poprzedniego – stwierdziła rzeczowym tonem. – Dzięki niemu zapamiętasz wszystko w bardziej optymistyczny sposób. Nie widać na nim miasteczka.

Te słowa bardziej niż wszystko utwierdziły mnie w przekonaniu, że wiedziała o zabójstwach.

Powiedziałem jej, że obraz mi się podoba, bo rzeczywiście bardzo mi się podobał, i byłem zdumiony, że stał się moją własnością. Włożyłem do walizki moje nieliczne ubrania, szachy, książkę Podstawy szachów i zwijaną szachownicę z materiału, dwa tomy World Book i Building the Canadian Nation, którą mi ofiarowała, ale nie zabrałem książki o pszczołach, bo dałem sobie z tym spokój. W końcu walizka stała się całkiem ciężka. Zeszliśmy razem po schodach, wyszliśmy z hotelu i ruszyliśmy wietrzną ulicą Fort Royal w kierunku salonu fryzjerskiego, gdzie w ostatnich dniach ostrzygłem włosy, jakbym wiedział, że coś mnie czeka. Kiedy stanęliśmy za szklanymi drzwiami, Florence powiedziała, że wsadzi mnie do autobusu i że powinienem jechać nim aż do Winnipeg – osiemset kilometrów – więc dotrę na miejsce wczesnym rankiem następnego dnia. Jej syn Roland będzie tam na mnie czekać. Zamieszkał u niego i pójdę do szkoły, w której uczą zakonnice, dopóki „sytuacja się nie wyjaśni”. Będzie świetnie, wspaniale. To dobrze, że wyjadę, zanim zima chwyci wszystko w swoje szpony. Nie ma sensu więcej o tym gadać. Kiedy przyjechał autobus, uścisnęła mnie i pocałowała, czego nie robiła nigdy wcześniej, a teraz zrobiła tylko dlatego, że mnie żałowała. I obiecała, że wkrótce zobaczymy się ponownie. Nigdy się z nikim nie pożegnałem oprócz niej. Czułem się tak, jakbym wyjechał jakiś czas temu, a teraz musiał dogonić samego siebie. Oficjalne pożegnania z konwenansami przestrzegany mi wszędzie na świecie w moim przypadku były raczej wyjątkiem niż regułą.

Oczywiście byłem bardzo, bardzo szczęśliwy, że wyjeżdżam. Bo kiedy po zastrzeleniu Amerykanów, ale przed wyniesieniem ich ciał siedziałem

w samochodzie Remlingera i patrzyłem przez okno na ich auto i na Partreau pogrążone w mroku i przysypane śniegiem, doszedłem do wniosku, że to miejsce dobre dla morderców, puste i pełne utraconej nadziei. Myślałem, żeby stamtąd uciec, ale tego nie zrobiłem. Teraz, siedząc w autobusie wyjeżdżającym z Fort Royal i prowincji Saskatchewan, wiedziałem, że była to dla mnie ostatnia chwila.

Bardzo rzadko czułem potrzebę, aby odwrócić się za siebie, kiedy autobus przebiegał się na wschód. Nigdy nie byłem w tym dobry. Wydarzenia muszą wsiąknąć w ziemię i przeniknąć ją w naturalny sposób, abym zwrócił na nie należytą uwagę. Albo zostać całkowicie zapomniane. Ani przez chwilę nie sądziłem, że to, co się stało, zmieni moją ocenę rodziców i ich znacznie drobniejszego przestępstwa. Nic nie skłoniło mnie też do wiary, że jeszcze kiedyś ich zobaczę, chociaż tego pragnąłem. Sposób, w jaki zostałem wykorzystany przez Remlingera – w roli publiczności, później obiektu rzekomego zainteresowania i w końcu abym udawał jego syna, stając się jego zabezpieczeniem, świadkiem i współnikiem – rodził we mnie bunt. Ale to wszystko nie powstrzymało mnie przed wdrapaniem się po schodkach autobusu ani przed dążeniem do posiadania przyszłości, o której marzyłem.

Czy nie przyszło mu do głowy, że mogę komuś powiedzieć o tym, co widziałem? Jestem pewny, że nie – nie bardziej niż dwaj Amerykanie leżący w swoich nędznych grobach. O pewnych rzeczach po prostu się nie mówi. Właściwie odczuwałem słabą satysfakcję, że przynajmniej na tyle mnie znał, że w końcu zwrócił na mnie uwagę.

Mildred Remlinger poradziła, abym starał się objąć myślami tyle, ile zdołam, nie koncentrował się w niezdrowy sposób na jednej rzeczy i zawsze wiedział, z czego zrezygnować. Z kolei rodzice nauczyli mnie akceptacji. (Moja matka mówiła o elastyczności). W swoim czasie będę w stanie to wszystko sobie wyjaśnić. Gdzieś. Jakoś. Może mojej siostrze Berner, bo wiedziałem, że przed śmiercią ją zobaczę. Do tego czasu będę starał się pogodzić dobre rady, które otrzymałem: szczodrość, trwałość, akceptację, rezygnację, otwarcie na świat – i dzięki nim odnaleźć życie.

CZEŚĆ TRZECIA

Zawsze sugeruję studentom, aby zastanowili się nad długim życiem Thomasa Hardy'ego. Urodzony w 1840, zmarły w 1928 roku. Aby pomyśleli o wszystkim, co widział, o zmianach, jakie zaszły w jego życiu w tak długim okresie. Staram się ich zachęcić, aby stworzyli własną koncepcję życia, zapisali własne wyobrażenia, pomyśleli o swoim istnieniu na tej planecie nie jako katalogu przypadkowych zdarzeń, które bez końca się rozwijają, ale o **ż y c i u** – jednocześnie abstrakcyjnym i skończonym. Tak jakby zdawali sobie z niego sprawę.

Uczę ich o książkach, które dla mnie opowiadają potajemnie o mojej młodości: Jądro ciemności, Wielki Gatsby, Pod osłoną nieba, Opowieści Nicka Adamsa, Burmistrz Casterbridge. Misja w pustce. Porzucenie. Postać początkowo może i tajemnicza, ale w końcu zupełnie tej cechy pozbawiona. (Dzisiaj nie ma ich w lekturze kanadyjskich szkół średnich. Kto wie dlaczego). Zwykle posługuję się górnolotną metaforą przekroczenia granicy, przystosowania i rozwoju polegającego na przejściu od niewłaściwego do właściwego sposobu życia. Albo przekroczenia pewnej linii, po którym to czynnie już nie ma powrotu. Przy okazji opowiadam im jeśli nie o faktach, to przynajmniej o pewnych lekcjach wyciągniętych z mojego długiego życia: że poznanie mnie w wieku sześćdziesięciu lat oznacza niemożność wyobrażenia sobie, jaki byłem jako piętnastolatek (co w ich przypadku jest prawdą), i że należy zrezygnować z przesadnego doszukiwania się ukrytych lub sprzecznych znaczeń – nawet gdy czytają książki – lecz na tyle, na ile to możliwe patrzeć na sprawy jak najprościej. Żeby w procesie postrzegania tego, co ich otacza, zawsze starali się dostrzec sens i uczyli się sztuki akceptowania świata.

Takie postępowanie nie jest dla nich najbardziej naturalne. Któryś zawsze powie: „Nie rozumiem, jaki to ma związek z nami”. Odpowiadam wtedy: „Czy wszystko musi być o was? Czy nie możecie sobie wyobrazić, że jesteście kimś innym? Znaleźć w życiu innych czegoś, co się wam przyda?”. W takich chwilach mam pokusę, żeby opowiedzieć o całym

moim młodym życiu, wyjaśnić, że nauczanie to gest seryjnego nieporzucania (ich), powołanie chłopca, który uwielbiał szkołę. Zawsze miałem poczucie, że mogę ich wiele nauczyć, ale mam mało czasu, co jest złym znakiem. Emerytura przyszła dla mnie w dobrym momencie.

Od dawna powszechnie wiadomo, że jestem Amerykaninem, choć otrzymałem kanadyjskie obywatelstwo i od trzydziestu pięciu lat mam kanadyjski paszport. Kilkadziesiąt lat temu, zaraz po ukończeniu college'u w Manitobie, poślubiłem kanadyjską dziewczynę. Mam własny dom przy Windsor Street w mieście Windsor w prowincji Ontario i od 1981 roku wykładam angielski w Walkerville Collegiate Institute. Koledzy pomijają grzecznym milczeniem moją dawną amerykańskość. Czasami któryś zapyta, czy nie tęsknię „za powrotem”. Odpowiadam, że nie. Wcale. Wyjazd to nic trudnego, wystarczy przekroczyć rzekę. Widzę Amerykę po drugiej stronie. Z jednej strony zdają się popierać mój wybór (Kanadyjczycy uważają się za ludzi tolerancyjnych i pełnych zrozumienia), choć z drugiej w sposób graniczący z niechęcią okazują zniecierpliwienie, że musiałem w ogóle podjąć taką decyzję. Moi studenci – siedemnasto-, osiemnastolatki – mówią, że ich rozśmieszam, bo mówię „jak jankes”, chociaż to nieprawda. Tłumaczę im, że nie ma żadnej różnicy. Mówię, że zostanie Kanadyjczykiem nie jest trudne. Kenijczycy, Hindusi i Niemcy robią to z łatwością. Że za krótko mieszkałem w Stanach, aby się uważać za Amerykanina. Chcą wiedzieć, czy dawno temu byłem dekwonikiem. (Nie mam zielonego pojęcia, skąd im to przyszło do głowy, bo nie studiują historii). Odpowiadam, że byłem kanadyjskim poborowym i że Kanada ocaliła mnie od losu gorszego od śmierci – przez którą rozumieją Amerykę. Czasami pytają żartem, czy nie zamierzam zmienić imienia. Zapewniam ich, że nie mam takiego zamiaru. I mówię, że oszustwo i podszywanie się pod kogoś innego to wielkie tematy amerykańskiej literatury, ale nie można tego powiedzieć o literaturze kanadyjskiej.

Po chwili przestaję potakiwać. Kanada mnie nie ocaliła. Mówię im to tylko dlatego, że pragną, aby tak było. Gdyby moi rodzice nie zrobili tego, co zrobili, gdyby wytrwali w swojej roli, moja siostra i ja prowadzilibyśmy wspaniałe amerykańskie życie i bylibyśmy szczęśliwi. Ale nasze losy potoczyły się inaczej.

Przez wiele lat moja żona i ja jeździliśmy na wakacje na Południe. Nie mieliśmy dzieci i w pewnym sensie stanowiliśmy zakończenie linii naszych

rodzin. Dlatego jeździliśmy tam, gdzie nam przyszła ochota: omijaliśmy Orlando, Orange County i Yellowstone, wybierając zamiast nich ważne miejsca historyczne i ośrodki kulturalne – Chautauqua, Pettus Bridge, Concord i Dystrykt Kolumbii, który Clare uważa za odrobinę przytłaczający, choć ja lubię to miejsce. Zapisalem się na letnie kursy prowadzone przez profesorów z Harvardu i raz odwiedziłem Mayo Clinic. W czasie naszych podróży często przejeżdżaliśmy przez Manitobę.

Nigdy nie wróciłem do Great Falls, ale mówiono mi, że to przyjazne miasteczko – nadal miasteczko, a nie miasto – znacznie lepsze niż wtedy, gdy w nim mieszkaliśmy, w 1960 roku. Dzisiaj nic takiego jak przewiezenie mnie przez granicę nie mogłoby się wydarzyć, bo po zamachu 11 września wszystkie granice zostały szczelnie zamknięte. Rodzice zajmują jeszcze mniej miejsca w mojej pamięci. Często przypominam sobie to, co powiedział Charley Quarters, kiedy siedzieliśmy na krzesłach ogrodowych i obserwowaliśmy gęsi: że coś z niego uszło, kiedy jako czterdziestoosmioletni mężczyzna przyjechał do Kanady z południa. Ja czuję się odwrotnie. Kiedy wracam, zawsze odczuwam spokój. Jeśli coś ze mnie uchodzi, chcę, żeby tak było.

Kiedyś w drodze do Vancouver zatrzymaliśmy się w miasteczku Fort Royal w prowincji Saskatchewan. Moja żona wie wszystko o tamtych czasach, okazuje mi sympatię i jest nawet odrobinę ciekawa, bo nie powtarzam tej historii bez końca. Opowiedziałem jej o tym raz, kiedy byliśmy młodzi. Uznałem, że zrozumiała, i od tego czasu rzadko powracałem do tego tematu.

Fort Royal ledwie przetrwało. Zniknęły drogeria, nieczynna biblioteka i pusta szkoła z cegły. Nie pozostał po nich żaden ślad. Podobny los spotkał dwa rzędy pustych budynków, spółdzielczą stację benzynową, pocztę i nieczynny elewator. Plac kolejowy był w dalszym ciągu używany, ale wydawał się mniejszy. Co dziwne, przetrwała rzeźnia (teraz nazywała się „Mięso z prerii na zamówienie”) i hotelik Królowa Śniegu z przenośnym znakiem umieszczonym od frontu: „Polowania na gęsi: Nadchodzi jesień. Zarezerwuj pokój w sezonie łowieckim!”. Hotel Leonard znajdował się wśród tych domów, które nie przetrwały – budynek na końcu miasta był zamknięty na głucho. Nie widniał na nim żaden znak. Nastąpiło lato, początek lipca, i jeszcze nie rozpoczęły się żniwa. Większość ludzi nadal tam mieszkała – przy krótkich, przecinających się pod kątem prostym

uliczkach, w domach, przed którymi często łopotała kanadyjska flaga, domach, które nie istniały pięćdziesiąt lat temu. Odniosłem wrażenie, że w mieście nie było żadnego miejsca, w którym ludzie mogliby pracować. Pomyślałem, że wszyscy zatrudnili się w Swift Current lub jeszcze dalej.

Partreau, do którego dotarliśmy później, całkiem zniknęło. Nawet skorupa elewatora. Jakby ogromny mściwy walec zorał to miejsce i posypał ziemię solą. Pojechaliśmy zobaczyć pola pszenicy, gęste i falujące. Niebo rozciągało się wysokie i błękitne, wiał gorący wiatr, a w powietrzu usianym kropeczkami cykających świerszczy unosił się kurz. Jastrzębie patrolowały okolicę, krążąc leniwie po ogromnym ciepłym sklepieniu, lub siedziały niczym wartownik na samotnym drzewie tu i tam. Nic nie powiedziałem, ale zawiozłem nas – jeśli mogłem polegać na własnej pamięci – w poblizze miejsca, gdzie zakopaliśmy tych Amerykanów. To dziwne, w jak małym stopniu kawałek ziemi może ocalić znaczenie, które jest z nim związane. Ale to dobrze, bo gdyby było inaczej, miejsca byłyby święte, a jednocześnie nieprzeniknione, a tak nie są ani takie, ani takie. Zamiast tego wszystko stanowi element naszego złożonego umysłu, który (jeśli dopisze nam szczęście) będziemy mogli w końcu zaakceptować. Rozległe pola pszenicy kołysały się i szumiały, zmieniały barwę, uginały się i kładły na wietrze tam, gdzie zatrzymaliśmy samochód. Wysiadłem i zaczerpnąłem w płuca bogaty aromat kurzu i pszenicy i niewyraźną woń zepsucia – pewnie jakiegoś złoża cyny. Amerykanie spoczywali pod ziemią tak, jak leżeliby teraz, gdyby żyli dłużej. Stałem z rękami w kieszeniach spodni i butami w kurzu, starając się nadać temu wszystkiemu sens, sprawić, aby stało się odkrywczym, jakby było to do czegoś potrzebne. Ale nie potrafiłem. W końcu wróciłem do samochodu, gdzie w skwarze czekała żona, obserwując mnie z zaciekawieniem. Zawróciliśmy na zachód, ku dalekim niewidocznym górcom, i ponownie opuściliśmy to miejsce na zawsze.

Ostatniej jesieni, zanim umarła moja siostra, pojechałem do Twin Cities, żeby ją odwiedzić. To tylko godzina lotu z Detroit Metro, z którego wszyscy korzystamy, jakby było naszą własnością. Nie wiedziałem, że tam mieszka. Przygotowując przyjęcie z okazji mojego przejścia na emeryturę, studenci wpisali moje nazwisko do wyszukiwarki internetowej, aby dowiedzieć się o mnie wszystkiego, co można – czegoś kłopotliwego lub wzruszającego, kogoś, kto mógłby mnie szukać, dawnej dziewczyny, kumpla z wojska, policyjnego nakazu zatrzymania. W dzisiejszych czasach trudno utrzymać coś w sekrecie, choć mnie udało się to znacznie lepiej niż większości. Znaleźli wiadomość „poszukuję” zamieszczoną na jakiejś stronie. Komunikat brzmiał: „Poszukuję Della Parsonsa. To nauczyciel. Może mieszkać w Kanadzie. Jego siostra jest chora i chciałaby nawiązać z nim kontakt. Czas ma znaczenie. Bev Parsons”. Podano też numer telefonu.

Przeżyłem szok, widząc nazwisko ojca na kartce papieru, którą uroczyście wręczyli mi studenci, dając do zrozumienia, że mieli mniej poważne intencje, ale mają świadomość, że powinienem to zobaczyć. Nigdy nie spotkałem ojca ani matki po tym, jak poszli do więzienia. Ostatni raz widziałem ich oboje w areszcie w Great Falls. Zdarzały się listy – jeden lub dwa od Mildred – które mnie odnalazły. Z jednego, równie szokującego, dowiedziałem się, że matka popełniła samobójstwo w więzieniu dla kobiet w Dakocie Północnej. Uczęszczałem wówczas do szkoły średniej Świętego Pawła w Winnipeg i nie pamiętam wiele z tego, jak się czułem. Ale nigdy nie dostałem listu od ojca, kiedy skończył odsiadywać wyrok – jeśli tego dożył. Doszedłem do wniosku, że uznał, iż jest mi lepiej tam, gdzie jestem, i niczego nie zyskam, powracając do życia, które skończyło się dawno temu. Zresztą rzeczywiście tak myślałem, ale nie zapomniałem o ojcu. Podczas poprzedniej wizyty u Berner, w mieście Reno w Nevadzie w 1978 roku, siostra powiedziała mi, że miała wrażenie, iż rozpoznała naszego ojca w salonie gier w Jackpot, siedzącego na stołku

i ładującego ćwierćdolarówki do maszyny, a obok niego stała jakaś „meksykańska dziewczyna”. Miał wąsy. Przyznała, że czasami ten obraz mieszał się jej z obrazem samotnego faceta, którego widziała w barze w Baker w stanie Oregon. „Tak czy owak, nadal był przystojny – powiedziała. – Nie odezwałam się do niego”. Berner była alkoholiczką, więc takie historie nie należały do niezwykłych.

Myśl jednak o tym, że mój dziewięćdziesięcioletni ojciec mógł być u boku mojej siostry, opiekować się nią w godzinie potrzeby i szukać mnie po świecie, żeby prosić o pomoc, była równoznaczna z poczuciem, że całe moje życie nie tylko stało się celem ataku, ale, o dziwo, mogło nigdy nie zostać naprawdę przeżyte. Oni nadal żyli, czekali na mnie, tajemniczy, uparci, wypatrujący, niedający się wymazać z pamięci. Zrozumiałem wówczas, jak bardzo chciałem ich wykreślić ze wspomnień, w jak wielkim stopniu moje osobiste szczęście było uzależnione od ich zniknięcia.

Berner i ja spotkaliśmy się tylko trzy razy w ciągu pięćdziesięciu lat. Tego rodzaju nieokreślone stosunki rodzinne, pełne nieudomówień, są może bardziej typowe dla Ameryki. Nie mogę generalizować, jeśli chodzi o Kanadyjczyków, bo ledwie czuję się jednym z nich, ale wielokrotnie widywaliśmy rodziców żony przed ich śmiercią. Często też spotykaliśmy się z jej siostrą w Barrie. A ponieważ Kanadyjczycy i Amerykanie są do siebie podobni pod tyloma względami, to pewnie byłoby nieuprzejmością obstawać przy tej różnicy.

Zawsze miałem świadomość, że powinienem częściej widywać się z siostrą. Ale po prostu do tego nie doszło. Jej życie okazało się zupełnie inne od mojego. Ja miałem jedną żonę, pracowałem jako nauczyciel w szkole średniej i sponsorowałem klub szachowy przez cały okres swojego zawodowego życia. Z kolei Berner przynajmniej trzy razy wyszła za mąż i niestety wydawała się szczęśliwa jedynie na obrzeżach typowej egzystencji. Pogubiłem się w tym wszystkim. Była hippiską, dopóki ruch hippisowski się nie skończył. Później poślubiła policjanta, który źle ją traktował. A potem nie powiodło się jej w college’u dla dorosłych. Jeszcze później pracowała jako kelnerka w kasynie i jako kelnerka w restauracji. A także jako pomoc pielęgniarki w hospicjum. Kolejny mąż był mechanikiem motocyklowym w Grass Valley w Kalifornii. Nie miała dzieci. W jej życiu wydarzyło się jeszcze wiele rzeczy, które nie wydawały się dobre, choć nigdy mi o nich nie powiedziała.

Kiedy odwiedziłem ją w Reno, żyła z facetem o nazwisku Wynne Reuther, który twierdził, że jest spokrewniony z Walterem Reutherem. Oboje byli pijani. Zjedliśmy obiad w restauracji w podziemiach kasyna. Berner, której piegowate ciało było spuchnięte, a płaskie rysy twarzy groteskowe, nabrała nawyku szyderczego, ochrypłego śmiechu, który odsłaniał zbyt dużą część jej języka. Szarozielone oczy stały się jastrzębie i chłodne. Traktowała z ironią moją żonę i zdawała się nie pamiętać lub nie rozumieć, że jesteśmy Kanadyjczykami. Otaczała ją ta sama kłótniwa aura, która zawsze mnie fascynowała – jej wyniosłość, jak określał to nasz ojciec. Kiedy byliśmy dziećmi, zawsze stanowiliśmy dwie strony jednej monety. Ale teraz, podczas obiadu, trajkocząc hałaśliwie obok tego gościa Reuthera, wydała mi się kolejną banalną istotą mimo jej dziwactw, gestykulacji i niekiedy upiornego wyrazu twarzy, który rozpoznałem. W końcu oznajmiła, że to ja, a nie Clare, gadam jak Kanadyjczyk. Było mi to obojętne. Dodała też, że Kanada jest nijaka, czym zirytowała moją żonę. W końcu oświadczyła, że zostawiłem własną ojczyznę, aby radziła sobie sama. Później wdałem się w niepotrzebną dyskusję z Wynne'em Reutherem na temat Iranu, która doprowadziła do przedwczesnego zakończenia wieczoru. Ostatnią rzeczą, którą Berner mi powiedziała, kiedy staliśmy na ciemnym i parnym pustynnym parkingu, z autostradą międzystanową numer osiemdziesiąt, pełną wyładowanych ciężarówek, z łoskotem przejeżdżających ponad nami w pomarańczowych światłach lamp sodowych i jasnej poświacie z kasyna, było: „Zrezygnowałeś z wielu rzeczy. Mam nadzieję, że o tym wiesz”.

Nie miała zielonego pojęcia, o czym mówi. Za dużo wypła i była rozgoryczona marną namiastką życia, które prowadziła, zamiast lepszego życia, jakie mogłaby wieść, gdyby wszystko dobrze się ułożyło. Ale oczywiście miała rację. Zrezygnowałem z wielu rzeczy, jak poradziła mi Mildred. Tylko że ja byłem z tego powodu szczęśliwy, byłem zadowolony z tego, co otrzymałem w zamian. „Ludzie różnią się od siebie bardzo dziwnymi rzeczami” – rzuciła niemal od niechcienia Clare, kiedy znaleźliśmy się w samochodzie i mieliśmy to wszystko za sobą. „Natura nie rymuje swoich dzieci” – odparłem, ciesząc się, że zapamiętałem strofę z Emersona i mogłem jej użyć w idealnym momencie. Ale tamtej nocy towarzyszyły mi poczucie nietrwałości, braku pełni i smutek. Pomyślałem, że mogę nigdy więcej nie zobaczyć Berner.

Zaaranżowałem nasze spotkanie w zajeździe Comfort Inn, obok ogromnego centrum handlowego przy lotnisku w Twin Cities. Podczas rozmowy telefonicznej doszło do uprzejmej różnicy zdań w kwestii tego, kto do kogo przyleci, a kiedy zdołaliśmy to rozstrzygnąć, przystąpiliśmy do ustalenia, czy ja przyjadę do jej domu wypożyczonym samochodem, czy ona przyjedzie, żeby mnie odebrać.

– Muszę mieć możliwość powrotu, kiedy poczuję się zmęczona – powiedziała na linii do Windsor, nie odkładając słuchawki, obolałym, ale pozytywnym głosem, jakbym ja nie mógł jej odwieźć, kiedy będzie mieć dość. Męczył ją ostry kaszel i mówiła ochrypłym głosem. – Jeżdżę na chemoterapię we wtorki – dodała – więc szybko się męczę.

– Czy tata jest u ciebie? – zapytałem, nie przestając myśleć o Bevie Parsonsie, bo jeśli żył i się nią opiekował, nie mogłem o tym nie wspomnieć.

– Tata? – W głosie Berner zabrzmiała nuta niedowierzania. – Nasz tata?

– Bev Parsons – odpowiedziałem.

– Dobry Boże – westchnęła. – Na śmierć zapomniałam. Nie. W końcu postanowiłam się pozbyć mojego dawnego okropnego imienia. Berner. – Powiedziała to z żalem. – Przykleiło się do mnie na tyle lat. Jak pech. Pomyślałam, że imię ojca będzie bardziej odpowiednie. Zawsze mu go zazdrościłam. Mogę zatrzymać swój bagaż, jeśli jakiś posiadam.

– Zawsze lubiłem twoje imię – odrzekłem. – Uważałem je za wyjątkowe.

– To dobrze. Możesz je sobie wziąć. Nie jest zajęte. Przywiozę je z sobą.
– Ponownie się roześmiała.

– Jesteś poważnie chora?

Nagle, bo rozmawialiśmy przez telefon, a nie twarzą w twarz, stało się tak, jakbyśmy nie byli już dziećmi, ale dorosłymi, którzy mogą zadawać takie pytania. Bliźniakami lepszego rodzaju.

– Skądże – odparła. – Biorę chemię, żeby się czymś zająć. Zostały mi dwa miesiące. Być może. Zapewniam, że nie chciałbyś mieć białaczki. Naprawdę. – Westchnęła ciężko do mikrofonu. Zawsze wzdychała, ale nigdy nie robiła tego z rezygnacją.

– Przykro mi – wyszeptałem.

Znowu staliśmy się prawie obcy. Naprawdę było mi przykro.

– No cóż, mnie również – powiedziała takim tonem, jakby była w dobrym nastroju. – Najbardziej bolesne jest leczenie. Leczenie, które nie

leczy. Lepiej tu przyjedź, dobrze? Chcę cię zobaczyć. I coś ci dać.

– W porządku – zapewniłem. – Przyjadę w następny weekend.

– Nadal jesteś panem profesorem? – zapytała.

– Do czerwca – odrzekłem. – Później przejdę na emeryturę.

– Chyba ominie mnie uroczystość wręczenia dyplomów. – Roześmiała się szyderczym, ochrypłym głosem, który zapamiętałem z naszego ostatniego spotkania, kiedy powiedziała mi, że zrezygnowałem z wielu rzeczy.

– Ona po prostu chce się przekonać, że przyjedziesz. – Clare rezolutnie pokręciła głową. Pomagała mi pakować małą torbę. Planowałem spędzić tam tylko dzień i noc. – Oczywiście, że przyjedziesz.

– Gdyby twoja siostra była chora i umierała, też byś to zrobiła.

Nasz dom przy Monmouth Street znajdował się obok małego parku z dwoma wiązami od frontu i z boku. Oba były pokryte złocistymi szeleszczącymi liśćmi. Był październik, upragniona pora ludzi mieszkających w naszej szerokości geograficznej.

– Pojechałabym – odparła, klepiąc mnie po ramieniu i całując w policzek. – Kocham cię – dodała. – Daj jej wszystko, czego zapagnie.

– Niczego nie pragnie bardziej od mojego przyjazdu – powiedziałem. – To ona chce mi coś dać.

– Zobaczymy – stwierdziła żona.

Clare jest dyplomowaną księgową i ma skłonność do postrzegania świata istniejącego poza wąskim kręgiem znajomych i najbliższej rodziny w kategoriach przeciwstawnych: za i przeciw, zysku i straty, dawania i przyjmowania, ale nie dobra i zła. W gruncie rzeczy jest szczodra.

– Dostaniesz to, co do ciebie zmierza, niezależnie od tego, co to takiego – dodała. – Przekaż jej najserdeczniejsze pozdrowienia... jeśli mnie jeszcze pamięta.

– Na pewno – zapewniłem ją. – Ucieszy się. Przekażę jej.

W Minneapolis – mieście, które zawsze z daleka podziwiałem za to, co wydawało się skrojonym na miarę, wytwornym i silnym optymizmem – było zimno. Czasami przejeżdżaliśmy przez nie w drodze do matki Clare, która mieszkała w Portage la Prairie, korzystając z przeprawy promowej przez jezioro do Wisconsin. Stałem przed Comfort Inn w moim płaszczu,

spoglądając na klucze lecących na południe kaczek, kiedy pod hotel zajechała Berner powgniatanym niebieskim fordem przejeżdżając ze śladami rdzy na felgach, masce i dachu. Opuściła szybę.

– Cześć, wielkoludzie! – zawołała, opuszczając szybę. – Masz ochotę na mały numer? Bo na więcej nie mam czasu.

Wyglądała okropnie. Jej uśmiechająca się w oknie twarz miała kolor musztardy. Obrzmienie z ostatnich trzydziestu lat zniknęło, podobnie jak dziewczęcy dołek na brodzie. Oczy ukryte za parą zbyt dużych okularów w czerwonej oprawce – takich, które noszą starsze kobiety, żeby wydać się młodsze – sprawiały wrażenie przygaszonych. Była chuda niemal tak, jak w młodości. Jej płaska twarz zdawała się mieć mniej piegów z powodu nałożonego makijażu. Kiedyś kędzierzawe włosy były szare i rzadkie.

– Muszę wpaść po drodze do domu – wyjaśniła, kiedy ruszyliśmy. – To niedaleko stąd. Zapomniałam leku. Oksyjakostam. Pomyślałam, że później pojedziemy do restauracji Applebee's. Dobrze się tam czuję. Wiesz, gdzie to jest?

– Świetnie – przytaknąłem.

Do grzbietu prawej ręki miała przyklejony taśmą wenflon na chemię. Wszystko, co robiła, sprawiało jej trudność i wymagało ogromnego wysiłku – także spotkanie ze mną. W samochodzie panował bałagan. Radio zostało wyjęte z kieszeni, a jeden ze wskaźników był przyklejony taśmą do winylowej deski rozdzielczej. Na tylnym siedzeniu leżała opona i kilka narzędzi. Berner miała na sobie długie, stare, pikowane fioletowe palto i białe futrzane botki. Pachniała szpitalem – spirytusem do nacierania i czymś słodkim. Widać było, że jest bardzo poważnie chora, jak powiedziała.

– Wezmę pigułkę po posiłku.

Zaczęła lawirować w porannym ruchu w okolicy centrum handlowego.

– Mam całe pół godziny. Później będę musiała wrócić do domu i odwiedzić cię do hotelu. W przeciwnym razie zacznę kierować plecami do kierownicy do góry nogami. Jestem uzależniona. Nigdy wcześniej nie byłam. To lekarstwo na moje alergie. Całkiem niezłe. – Uśmiechnęła się. – Poznajesz mnie? Żółty to mój nowy jesienny odcień. To dlatego, że wątroba mi wysiada. Podobno przy chemii to normalne.

– Poznałem cię – odpowiedziałem. Nie chciałem być poważny, skoro ona nie była. – Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Nie... – Odchyliła się w fotelu, jakby dostała kuksańca w środek tułowia. Zaczepnęła głęboko powietrza, a później je wypuściła. – Chyba że chcesz mnie nauczyć matematyki. Pomyślałam, że warto ją sobie przypomnieć przed śmiercią. Kiedyś byłam dobra z matmy, pamiętasz? Teraz jest zupełnie inaczej. Umieranie musi wywoływać głód wiedzy. I innych rzeczy. – Uśmiechnęła się. – Tęskniłam za tobą. Czasami.

– Pamiętam – odrzekłem. – Też za tobą tęskniłem.

– Jasne, że masz pamięć. Ja za to nie potrafię odnaleźć swojej.

Odwróciła się i spojrzała na mnie poważnie, jakbym powiedział coś, czego nie powiedziałem. Jej spojrzenie wyrażało ciepłe uczucie, którym mnie darzyła. Chciała mnie powitać i dać do zrozumienia, że za mną tęskniła.

– Ale ciebie pamiętam – powiedziała, unosząc brodę raczej na sposób naszego ojca niż własny.

Ja też tak robiłem. Nagle poczułem ukłucie bolesnego pragnienia, żeby być młodym i żeby całe moje dotychczasowe życie okazało się snem, z którego obudziłem się w pociągu jadącym do Seattle.

– Lubisz być Bev?

Jeszcze jej nie dotknąłem, ale niezgrabnie wyciągnąłem rękę i poklepałem ją po ramieniu, które wydało się chude pod pikowanym paltem. Zakaszła sucho i powachlowała twarz.

– Oczywiście – odrzekła, przelękając odkaszlniętą ślinę. – Jestem Bev od piętnastu lat. To dla mnie normalne. Biedna stara Berner wpadła pod autobus. Nie potrafiła dotrzymać mi kroku.

– Lubię to imię – przyznałem.

– Tacie tak dobrze pasowało, że postanowiłam je wypróbować. Oni byli dziećmi, wiesz? Oboje.

– Nie, nie byli – zaprzeczyłem, zaskoczony swoim surowym tonem. – W ogóle nie byli dziećmi. Byli naszymi rodzicami. To my byliśmy dziećmi.

– Zgoda. Touché[24] – przytaknęła, kierując. Jej dłonie były czerwone i zniszczone. – Mówisz tak? Touché? Touché olé[25]?

– Czasami.

– Jestem stuknięta – stwierdziła Berner, skinęła głową i uśmiechnęła się z tolerancją. – Stuknięta. Puknięta w głowę. Ty też. Jesteśmy bliźniakami. Zygota nie zapomina.

– To prawda – odrzekłem. – Jesteśmy bliźniakami.

Dom Berner okazał się nową przyczepą mieszkalną stojącą przy prostej wąskiej alejce obok innych przyczep, w większości nowych, ze schludnymi małymi podwórkami, pojedynczymi młodymi drzewkami przytwierdzonymi drutem do ziemi i sportowymi wozami zaparkowanymi od frontu, na asfaltowej nawierzchni bez krawężnika, oraz talerzami telewizji satelitarnej na dachu. Był sobotni ranek, więc dzieci bawiły się na dworze. Ogromny srebrny odrzutowiec wzniósł się w jesienne niebo półtora kilometra od nas. Silniki oddalającej się maszyny robiły niewiele hałasu.

Berner zajechała na utwardzony podjazd. Na końcu przyczepy stał niski mężczyzna, wsuwając liście sałaty do wysokiej drucianej klatki na króliki, w której kilka tłustych szarych i białych zwierzaków cisnęło się do małego otworu.

– To najbardziej cierpliwy biały człowiek na świecie i mistrz świata w scrabble. Karmi stoją trzódkę.

Otworzyła drzwi i odkryła, że ma problem z wyciągnięciem nóg spod kierownicy.

– Popchnij mnie lekko, kochany. – Wyglądała na obolałą i napiętą. – Trudno mi ruszyć, kiedy się zatrzymam. – Zbliżając się do domu, zaczęła mówić z delikatnym południowym akcentem: – Nie jesteśmy małżeństwem – wyjaśniła, kiedy byliśmy jeszcze w samochodzie. – Ale to najlepszy mąż, jakiego miałam, rozumiesz? Jest nieśmiały.

Wyprostowała się sztywno i spojrzała na mężczyznę, który zamykał drucianą klatkę. Nosił kowbojskie buty, dzinsy, nylonową wiatrówkę i jaskrawą czerwoną czapeczkę, jaką widywał u moich studentów, choć jego była prosta.

– Zapomniałam czegoś! – zawołała do niego.

Popatrzył na nią bez słowa.

– Mojej działki – dodała i zaczęła iść z wysiłkiem w kierunku schodków po lekarstwo.

Wiele przyczep stojących w rzędzie dłuższym bokiem do ulicy miało na podwórku amerykańską flagę zatknietą na aluminiowym maszcie i powiewającą w chłodnym słońcu, jakby ktoś je sprzedał wszystkim sąsiadom. Ale na podwórku Berner flagi nie było. Na niektórych trawnikach umieszczono papierowe plakaty z hasłami, w które wierzyli mieszkający tam ludzie: „Aborcja zabija”, „Małżeństwo jest sakramentem”, „Żadnych podatków”. Wszystko to docierało do Kanady, do rządu:

nerwowe amerykańskie przejęcie się czymś innym i nowym. Nieuniknione dryfowanie wszystkiego na północ.

Mały człowieczek w czerwonej czapce i kowbojskich butach przystąpił do drugiej klatki na króliki i zaczął wsuwać do środka kolejne liście ze srebrnej miski, która stała w trawie u jego stóp. Na plecach jego wiatrówki widniała przyszyta flaga konfederatów z jakimiś literami, których nie potrafiłem odczytać. Był skurczony i twardy, kanciasty i wysuszony, o wiele starszy od Berner. Obserwując go przez przednią szybę w promieniach słońca, pomyślałem, że jest religijny, zbawiony dawno temu. Gdzieś w pobliżu stał pewnie motocykl. Do tego ogromny telewizor i Biblia. Wszyscy tu dawno rzucili picie i teraz czekali. Pomyślałem, że właśnie to się z nimi stało: skończyli w takim miejscu w ten sposób. W nawyk weszło mi bronienie kierunku, jaki obrałem w życiu, jakby każdy mógł się czegoś z niego nauczyć. Choć moje życie nie było godne podziwu, bo i nie mogło być. A tym bardziej życie mojej siostry, która wzięła los we własne ręce i go zaakceptowała. Zdałem sobie sprawę, że nie wiem, jak ją nazywać.

Mały człowieczek zamknął drugą klatkę i starannie zarygłował. Schylił się i podniósł srebrną miskę, a później spojrział na samochód, nie prostując pleców. W końcu wyprostował się i utkwiał wzrok w odbijającej światło szybie. Może mnie zobaczył, czekającego na Berner – albo Bev. Uniósł miskę w geście powitania i uśmiechnął się przyjaźnie, czego się nie spodziewałem, a później odwrócił się i odszedł sztywnym, pełnym godności krokiem za przyczepę, znikając mi z oczu. Nie widział, czy mu odpowiedziałem. Nie chciał mnie poznać. Doskonale go rozumiałem. Za późno znalazłem się na scenie.

Kiedy jechaliśmy samochodem do restauracji Applebee's, odniosłem wrażenie, że stan Berner się poprawił. Nałożyła na twarz więcej makijażu, pachniała wiśniami i żuła gumę. Wróciła do wozu z plastikową torbą na zakupy ze sklepu Cub Foods, w której – jak sądziłem – znajdowało się to, co zamierzała mi dać.

Włączyła nawiew i oznajmiła, że zrobiła to, by ocalić życie, bo cały czas jest jej zimno i nie może się ogrzać. Podrapała się w przezroczystą taśmę podtrzymującą wenfon i pokręciła głową, kiedy to zauważyłem. Miałem wrażenie, jakby chciała wypchnąć szeroki język przez wargi, co uznałem za

skutek działania lekarstw. Kiedy oddaliliśmy się od przyczepy, jej południowy akcent stał się mniej wyraźny.

– On jest z Wirginii Zachodniej – wyjaśniła.

Miała na myśli mężczyznę, który nie był jej mężem. Na imię miał Ray. Był kochany. Wiedział o niej wszystko, ale mu to nie przeszkadzało. Przez wiele lat służył w wojsku, lecz teraz był na emeryturze. Poznała go w Reno. Zabrał ją do Twin Cities dziesięć lat temu. Miał tu brata. Przyczepa to dla niej niemal prezent ślubny. Ray hodował króliki „na stół” i ryczał jak bóbr za każdym razem, gdy musiał któregoś uśmiercić. Chodzili do kościoła.

– Oczywiście w nic nie wierzę. Robię to, żeby sprawić mu przyjemność i być miłą. Wie, że moja matka była Żydówką. Chociaż ja nie jestem praktykująca.

Oznajmiła, że interesują ją Chiny oraz ich rosnąca dominacja. Martwiła się „nielegalnymi”, podatkami, jedenastym września i „zagrożeniem”. Pamiętała imię Clare i to, że pracuje jako księgowa. Powiedziała, że mogłaby nas odwiedzić, i wiedziała, że Windsor leży w niewielkiej odległości od Cities. Dodała, że ona i Ray popierają Obamę.

– Dlaczego nie? To coś nowego.

Spytała, czybym na niego zagłosował. Odparłem, że tak, gdybym mógł to zrobić jako Kanadyjczyk. Roześmiała się, a później zakaszła, by na koniec powiedzieć:

– Zgoda. Masz rację. Dobra uwaga. Zapomniałam, że wyjechałeś z kraju. Nie mogę cię o to winić.

Powtórzę, że nie miała pojęcia o moim życiu i że do tej pory ją ono nie interesowało. Ciągle próbowała podkreślić, że pod jakimś względem jest podobna do mnie, ale wszystkim, co nas łączyło, byli nasi rodzice, no i my sami, brat i siostra, którzy próbowaliśmy wykorzystać jak najlepiej przynajmniej jeden ranek. Kiedy znaleźliśmy się w samochodzie, przestała sprawiać wrażenie chorej i rozgoryczonej, jakby odnalazła swoje dawne ja. Spojrzała na mnie ze znajomym sceptycyzmem i miłością, co sprawiło, że poczułem się młody i naiwny, a ona wydała się stara i mądra. Lubiłem to. Byłem rad, że Clare ze mną nie pojechała, bo teraz nie zabrałbym jej z sobą. Pomyślałem o przyczepie, a później o pokoju chorej osoby, z przyćmionym światłem i telewizorem bez dźwięku, i blatem komody pełnym leków, o tlenie i mgiełce oparów, i wszechobecnej woni śmierci.

Tak było lepiej. W innych, bardziej obiecujących okolicznościach nie spędzilibyśmy z sobą dnia. Ot, taka pobłażliwość śmierci.

– Wiesz – powiedziała, gdy skręcaliśmy na parking restauracji Applebee's pełen SUV-ów z ludźmi, którzy przyjechali na sobotnie zakupy, motocykli i furgonetek – zawsze sobie powtarzam: „Pamiętaj o tym. Za pół roku wszystko może się zmienić”.

– Moja sytuacja nie jest tak bardzo różna od twojej – odparłem. – Jesteśmy w tym samym wieku.

– Masz pojęcie, ile razy okazało się to prawdą? W moim życiu? Sześć miesięcy to szmat czasu. – Spojrzała na mnie kamiennym wzrokiem, poruszając szczękami pod beżową skórą i niespokojnie obracając językiem w ustach.

– Wiem – przyznałem.

– To dobrze – odrzekła i ponownie westchnęła z rezygnacją. Kiedyś robiła to ze zniecierpliwieniem. – Z całych sił próbuję się opierać temu stopniowemu umieraniu. Może tego nie widać, ale tak jest. Czuję się... – Spojrzała na kluczyki w stacyjce i brzęknęła nimi w zamyśleniu. – Czasami czuję się tak, jakby moje prawdziwe życie się jeszcze nie zaczęło. Bo to, które miałam... jak by to powiedzieć... nie odpowiada standardom. Nie ma to żadnego związku z tobą. Sama odeszłam tamtego lata. Pamiętasz?

– Tak – odpowiedziałem. – Pamiętam.

– Żałujesz, że nie masz dzieci?

Spojrzała na samochody na drodze dojazdowej. Obok nas przejechał duży autobus, zmierzając w kierunku centrum, z oknami pełnymi kobiecych twarzy obramowanych krótko przyciętymi włosami. Berner wyłączyła silnik i grzejnik. Hałas na zewnątrz był stłumiony, ale ciągły.

– Nie – zaprzeczyłem. – Nigdy o tym nie myślałem. Chyba widziałem w swoim życiu dość dzieci.

– W takim razie to koniec linii – stwierdziła triumfalnie. – Linia Parsonsów kończy się tutaj, na parkingu Applebee's.

– Clare i ja mówimy to samo.

– Czy masz poczucie, że twoje życie było wspaniałe? Teraz, gdy powiedziałam ci, jak ja się czuję? Będzie w porządku, jeśli przytakniesz. Będę rada. – Odwróciła się do mnie i przez chwilę na jej twarzy nie było widać wysiłku, jedynie ulgę. Na zawsze ją taką zapamiętam.

– Akceptuję moje życie – powiedziałem. – Akceptuję wszystko. Ożeniłem się z odpowiednią dziewczyną.

– Wszyscy je akceptujemy. To nie jest odpowiedź. – Jej suche wargi się zmarszczyły. Spojrzała z niesmakiem na autobus przejeżdżający obok nas.

– Czy w ogóle mamy jakiś wybór?

– Tak – odrzekłem. – Ja miałem wybór. – Choć nie byłem pewny, czy naprawdę tak myślałem.

– Jestem twoją większą siostrą. – Westchnęła w zamyśleniu. – Musisz powiedzieć mi całą prawdę. W przeciwnym razie wrócę i będę cię prześladować. – Uśmiechnęła się do siebie, nacisnęła klamkę drzwi i zaczęła ponownie wyciągać nogi na zewnątrz z grymasem bólu na twarzy. – Tym razem sama sobie nie poradzę.

Przerwaliśmy rozmowę i nigdy do niej nie wróciliśmy.

W restauracji Applebee's usiedliśmy przy dużym oknie z widokiem na zardzewiały samochód Berner, który okazał się bardziej poobijany, niż myślałem. Miał pokrzywioną tablicę rejestracyjną stanu Minnesota i wgnieciony tylny zderzak. Żadne auto na parkingu nie wyglądało tak jak to.

Berner wydawała się radosna, pozbierała się po naszej poważnej rozmowie, jakby ten cały hałaśliwy i kiczowaty zgiełk, przerywany odgłosami dobiegającymi z włączonego telewizora, był dokładnie tym, czego potrzebowała, i wiedziała, że jego zadanie polega na tym, aby nieuleczalnie chorzy zapomnieli o swojej niedoli. Założyła swoje fioletowe palto, któremu przydałaby się wizyta w pralni chemicznej.

Wyjęła z ust gumę do żucia i zawinęła w papierową serwetkę, a następnie położyła na parapecie okna. Zamówiła martini i zachęciła mnie, żebym zrobił to samo. Odrzekłem, że nie powinna pić, bo bierze leki. Ale ona chciała tylko widzieć przed sobą kieliszek, jak za dawnych czasów, żeby był i roztaczał swoją magię. Ja zamówiłem lampkę wina, aby się rozluźnić i poprawić sobie nastrój.

– Czy powiedziałam – zaczęła (plastikowa torba na zakupy stała w boksie obok niej) – że nie zamierzam popełnić samobójstwa? Zapomniałam, co ci mówiłam. Środki chemiczne to gówno.

– Nie wspomniałaś o tym – zapewniłem ją. – Ale cieszę się, że to słyszę. – Uniosłem kieliszek wina, żeby wznieść toast na jej cześć.

– Wystarczy jedno samobójstwo w czteroosobowej rodzinie – stwierdziła.

Mieliśmy wtedy po szesnaście lat i niewiele do powiedzenia. Miejsce pochówku mojej matki było kolejną sprawą, o której wolałem nie mówić.

– Nie mam bzika na ich punkcie – powiedziała, pozwalając, by jeden z palców, ten, na którym widniał mały wyblakły tatuaż przedstawiający krzyż, pogładził nóżkę kieliszka, gdy przeglądała menu z barwnymi zdjęciami potraw – ale czasami myślę o nich i o ich wielkim n a p a d z i e i nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Wszyscy się rozsypaliśmy, ot tak. To było wydarzenie naszego życia, prawda? Wielki popieprzony skok, który pociągnął za sobą wszystko inne.

Zmrużyła oczy za kieliszkiem, oparła się na łokciach i spojrzała na mnie tak, abym zrozumiał, że jest na drodze do uwolnienia od kłopotów. Czuję się paskudnie przez nią i z jej powodu, ale nie mogłem zrobić niczego, aby to naprawić.

– Takie myślenie do niczego nie doprowadzi – zauważyłem, co było przynajmniej w minimalnym stopniu prawdą.

Wszystkie kelnerki zaczęły hałaśliwie śpiewać Happy Birthday to You jakiemuś starszemu gościowi z drugiej strony sali. Inni zaczęli rytmicznie klaskać. Na dwudziestym kanale telewizji pokazywali mecz piłkarski z udziałem drużyny Uniwersytetu Minnesota. Co jakiś czas rozlegały się okrzyki radości i jęki zawodu.

– Nie – odparła Berner. – Wcale nie.

Uśmiechnęła się bez żadnego wyraźnego powodu. Przypomniałem sobie list, który do mnie napisała na progu swojego życia: „Wszyscy tak samo czujemy i tak samo postrzegamy świat”. Już wtedy zaczęła się dzielić światem z innymi, choć ja tego nie zrobiłem. Zostałem porzucony w świecie. Zastanawiałem się, czy w jakiś sposób jej nie oszukuję. Czy otwieram przed nią swoje prawdziwe, najbardziej autentyczne ja? Czy to, co powiedziałem o moim życiu, było prawdą? Nie chciałem jej okłamać. Chciałem dać jej wszystko, co mogłem, zawsze mi na tym zależało – z powodu mojej przeszłości i dlatego że jestem nauczycielem – ale człowiek zawsze udaje, choć stara się tego nie robić. Sytuacja nigdy nie jest oczywista, bo każdy z nas ma różne tożsamości, spośród których może wybierać.

– Może masz w sobie ukrytą dzikość – powiedziała. – A ja ukrytą zwyczajną osobę. Taką oswojoną. – Zamyśliła się na chwilę nad jakąś wewnętrzną rozmową, której do końca nie prowadziliśmy.

– Może... – przytaknąłem i pociągnąłem łyk wina. – Przynajmniej połowa z tego może być prawdą.

– W porządku.

Spuściła wzrok. Przyłapała się na tym, że błędzi daleko myślami. Szarobrzazowe rzadkie włosy miała bezlitośnie zaczesane do tyłu. Kiedy zaszła do domu, nałożyła róż. Miała przekłute uszy, ale nie nosiła kolczyków. Płatki były blade i miękkie.

– Nadal interesujesz się szachami? – zapytała i uśmiechnęła się do mnie, co miało oznaczać, że teraz zwraca na mnie uwagę.

– Nie – zaprzeczyłem. – Uczę gry w szachy, ale nigdy nie byłem w tym dobry.

Nagle rozejrzała się wokół, jakby przybyło nasze jedzenie. Jej zupa. I moja sałatka. Ale tak się nie stało.

– Gadanie diabła – powiedziała, sięgając po plastikową torbę na zakupy ze sklepu Cub Foods i stawiając ją na stole. – Słuchaj... – westchnęła, wyciągając z niej notatnik z białymi kartkami, wyschniętymi i popękkanymi, przewiązany czymś, co wyglądało jak zeszywniałe fragmenty sznurówek w kolorze zbliżonym do cery Berner. – Nie chciałam wysłać ci tego pocztą. – Położyła dłonie na kartkach i przysunęła do siebie, a następnie spojrzała na mnie i się uśmiechnęła. – Nie wiedziałam, czy cię polubię ani czy ty polubisz mnie, czy w ogóle będziesz tym zainteresowany. – Westchnęła ponownie, tym razem bardzo głęboko, jakby coś ją pokonało.

– Co to jest? – spytałem.

Na pierwszej kartce widniały wypłowiałe litery skreślone atramentem.

– To jej kronika, tak ją nazywa. Albo nazywała. Napisała to w więzieniu, kiedy znalazła się tam po raz pierwszy... sądząc po datach. Dostałam ją od Mildred. Poznałam jej syna. Na Zachodzie. Mildred mi to przesłała. Dawno temu... Nieważne, jak dawno. Powinnam była ci to przesłać, ale relacja matka–córka musiała być dla niej bardzo ważna. Tak sędzę. Nie ma tu niczego, co mogłoby zakłócić komukolwiek spokój. Żadnych wielkich objawień. Ale będziesz mógł usłyszeć jej głos. W pewnym sensie to przyjemne. Powinieneś to mieć.

Przesunęła kartki po blacie posiniaczonymi dłońmi, zahaczając o kieliszek martini i mocząc róg dolnej strony.

– Dziękuję – powiedziałem, odbierając plik.

– Zatytułowała to Kroniką słabej osoby. Była nią. – Berner przygryzła kawałek suchej skóry odchodzący od dolnej wargi, jakby kartki zaintrygowały ją ponownie, gdy mi je przekazała, gdy przebyłem długą drogę, żeby je dostać. – Pisze tam rzeczy w rodzaju: „Jesteś dobry jedynie wówczas, gdy możesz być zły, ale postanawiasz tego nie czynić” albo „Nie udało się nam małżeństwo”, z czym wszyscy możemy się zgodzić. Albo: „Ważna rzecz to coś, co sprawia, że życie jest lepsze”. Albo: „Nie możesz powiedzieć, że twoje życie jest nieznośne, dopóki widzisz drogę wyjścia”. Od dawna myślała o opuszczeniu ojca i impasie, w jakim utkwili. Pisze do nas listy. Są też fragmenty wierszy, które lubiła. Kiedyś zapamiętałam jeden z nich. „Jaką zbrodnią, jakim zbłądzeniem zasłużyłem na obecną słabość?”[26] Zawsze chciała być pisarką. Czytałam tę kronikę latami. Czasami wzruszała mnie do łez. Ojciec nie potrafił sobie pomóc, ale ona miała więcej rozsądku. Przynajmniej tak ją zapamiętałam. – Berner pokręciła głową i ponownie spojrzała na tętniący życiem parking przed Applebee’s. – Żałuję, że się na nią boczyłam. Szczególnie teraz. Chciałbym być taka jak ty. Ty wszystko akceptowałeś. W sumie taka postawa ma więcej sensu.

– Ja też – powiedziałem, choć nie była to odpowiedź, której pragnęła.

Patrzyłem na słowa starannie skreślone wyblakłą niebieską kreską zamiast ulubionym brązowym atramentem naszej matki. Berner zaczęła bębnić palcami o blat stołu. Kiedy spojrzałem na jej zwyczajną, pełną oczekiwania twarz, była pozbawiona wyrazu, chociaż mięśnie szczęki się poruszały. Jej oczy stały się błyszczące. W ogóle nie byliśmy do siebie podobni.

– Pamiętasz Rudy’ego? – spytała, wydymając wargi.

– Tak – odpowiedziałem.

– Rudy Rudzielec. Rudy Dziwadło. Moja pierwsza wielka miłość. Czy to nie zabawne?

– Tańczyłem z nim – przypomniałem.

– Naprawdę? – Na chwilę jej twarz się rozpogodziła. – Gdzie wtedy byłem?

– Razem z nami. Tańczyliśmy wszyscy troje. Tego dnia, kiedy poszliśmy odwiedzić ich w więzieniu. – Chciałem wypowiedzieć jej imię. Dla siebie. Jej prawdziwe imię. – Berner... – powiedziałem cicho.

– To moje imię – przytaknęła ochryłym głosem, jakby wyszeptał je ktoś siedzący przy sąsiednim stoliku.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytałem. – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Tłum zgromadzony przed telewizorem wydał kolejny narastający ryk. Ludzie w restauracji zaklaskali ospale. Berner milczała przez chwilę, jakby inna rozmowa tocząca się nieprzerwanie w jej głowie, którą wszyscy kiedyś odbędziemy, stała się nieodparta.

– Zrobiłeś wszystko – powiedziała. – Wszyscy się staramy. Ty. Ja. Co jeszcze można zrobić?

– Nie wiem – odrzekłem. – Może masz rację – dodałem, co wydało się dalece niewystarczające.

Kiedy przybył nasz lunch, zjedliśmy troszeczkę. Berner nie była głodna, a ja zjadłem śniadanie w hotelu. W pewnej chwili, gdy tak siedzieliśmy i nie było już o czym mówić, powiedziała:

– Kiepsko się czuję.

Nagle zrobiła się niespokojna, zaczęła się wiercić na krześle. Później wzięła pigułkę, a ja włożyłem kartki do plastikowej torby. Spotkanie dobiegło końca.

Poszedłem do baru i zapłaciłem rachunek, potem pomogłem jej wstać i podejść do drzwi. Nie wyobrażałem sobie, jak może nas gdziekolwiek zawieźć, a ja nie znałem drogi do jej domu. Poprosiłem kelnerkę, żeby zadzwoniła po taksówkę, a ta zjawiała się szybciej, niż sądziłem. Jechaliśmy w milczeniu na tylnym fotelu. Berner patrzyła przez okno na uliczny ruch, a ja wyglądałem na moją stronę. Patrzyłem na nieznane miejsca. Nie miała nic przeciwko pozostawieniu swojego samochodu, aby Ray później go odebrał.

W końcu dotarliśmy do znajomego rzędu mieszkalnych przyczep z małymi drzewkami, odlotowymi samochodami, dziećmi i samolotami startującymi w oddali. Ray był w środku. Wydawał się rad, że ponownie ją widzi. Podaliśmy sobie dłonie i wymieniliśmy się imionami. Napomknąłem, że zostawiła samochód. Wyglądał na zakłopotanego. Zaśmiał się z jakiegoś powodu, czego pewnie później żałował. Ale

wiedział, co zrobić. Berner źle się czuła i potrzebowała pomocy, aby wspiąć się po schodach. Ray zapytał, czy chcę wejść do środka. Zawsze mają kawę. Powiedziałem, że nie chcę, ale podziękowałem za zaproszenie. I że zadzwonię jutro. Kiedy zegnaliśmy się na progu, ujrzałem duży telewizor – znowu mecz – a Berner się odwróciła, uśmiechnęła i powiedziała marzycielskim tonem:

– Dobrze, braciszku. Żegnaj. Miło było cię ponownie zobaczyć. Pozdrów ich wszystkich ode mnie, dobrze?

– Pozdrowię – powiedziałem. – Kocham cię. Nie martw się.

Zgodnie z pragnieniem naszej matki nie miała grymasu niezadowolenia na twarzy.

Wróciłem do hotelu taksówką, która czekała na mnie na ulicy. Rano odleciałem do Detroit.

Pozostało już niewiele do powiedzenia. Jestem z tego rad. Zostałem pobłogosławiony dobrą pamięcią tak, jak moja siostra została pobłogosławiona nieco gorszą. Chociaż miała rację, napad był wydarzeniem naszego życia, bo doszło do niego w naszej rodzinie, a jego konsekwencje sięgały daleko, choć nigdy nie zdołały przewyższyć swojego źródła. Tydzień po śmierci Berner – rok temu, w 2010, siedem dni po amerykańskim Świącie Dziękczynienia – nieoczekiwanie powiedziałem moim studentom: „Czy mieliście kiedyś uczucie, że jakimś sposobem udało się wam uniknąć kary?”. Ponownie rozmawialiśmy o powieści Hardy’ego Burmistrz Casterbridge. Spojrzeli na mnie ze zdumieniem, bo zauważyli, że jestem rozkojarzony i mówię o sobie. Natychmiast zrozumiałem, że ich przestraszyłem. Ale jeden chłopak, którego rodzina pochodziła z Kosowa, przytaknął.

Nie widziałem mojej siostry po śmierci, chociaż Ray zatelefonował do mnie uprzejmie, nazywając mnie Dellem, a Berner – Bev. Oznajmił, że pobrali się tydzień wcześniej. Powiedziałem, że to wspaniale, i mu podziękowałem. To, że nie przyjechałem, nie miało żadnego znaczenia, bo podczas ostatniej wizyty jej nie oszukałem i ona o tym wiedziała. Ale w dniach, które nastąpiły po jej śmierci, odniosłem dziwne wrażenie, którego nie doświadczyłem nigdy wcześniej, że nasz ojciec nadal gdzieś żyje i mimo podeszłego wieku chce się dowiedzieć o niej, a nawet o mnie. Z rozmysłem starałem się o tym zapomnieć i wkrótce rzeczywiście

zapomniałem. Było to czyste urojenie, mające związek z tym, że poczułem się ponownie porzucony. Chociaż czasami śni mi się sen Berner, ten, o którym napisała mi w swoim liście z San Francisco pięćdziesiąt lat temu, że kogoś zabiłem i o tym zapomniałem, a później zbrodnia się wydała niczym potworna zmora i została ujawniona wszystkim, których znałem – moim studentom, moim kolegom, mojej żonie. I wszyscy byli wstrząśnięci i znienawidzili mnie z tego powodu. Tylko że nikogo nie zabiłem – ani we śnie, ani na jawie (choć pomogłem pochować dwóch Amerykanów i z tego powodu miałem dług, który trzeba było spłacić).

Kronika naszej matki okazała się taka, jak zapowiadała Berner: pełna fragmentarycznych, niedopowiedzianych myśli, które miały zostać rozwinięte w późniejszym czasie, choć ten nigdy nie nadszedł; z jej wersją napadu oraz opiniami, usprawiedliwieniami, banałami i surowymi słowami pod adresem ojca. Jak powiedział Ruskin, kompozycja to układ złożony z elementów nierównej wielkości. Jej kronika zawiera rzeczy nierównej wielkości, ale nie ma to znaczenia dla kogoś w moim wieku, bo żadna z nich nie jest równa życiu, które mu pozostało. Przykro mi, ale taka jest prawda.

„Myślę – napisała nasza matka swoją delikatną ręką, niebieskim atramentem, który mogła dostać w więzieniu i który miejscami stał się prawie niewidoczny – że kiedy umierasz, pewnie tego pragniesz. Nie walczysz z tym. Śmierć przypomina sen. Jest dobra. Nie uważasz? Oznacza koniec ciągłych zmagania. Kiedyś będę się tym martwić i będzie mi przykro, ale teraz czuję się dobrze. Jakby opuścił mnie ciężar. Ogromny ciężar. Jak się okazuje, natura nie znosi próżni”. Pod notatką widniała data: wiosna 1961 roku. Berner umieściła obok znaczek ołówkiem. Widać te słowa coś dla niej znaczyły. Może pewnego dnia nabiorą znaczenia także dla mnie, staną się czymś więcej od trywialnej oczywistości.

Czasami wjeżdżam tunelem do Detroit, miasta, które tu kiedyś było, a teraz są tylko akry pustych działek i wielkie lśniące budynki na brzegu rzeki jak fałszywe fasady – dobre, dzielne twarze zwrócone w stronę naszego świata po drugiej stronie. Jadę do Jefferson wzdłuż rzeki, by w końcu skręcić do przedmieść, a później do Thumb i Port Huron. Zawsze myślę, że pojedę na północ do Oscody, gdzie się urodziłem, żeby zobaczyć, jak to miejsce wygląda obecnie, obejrzeć pozostałości bazy sił powietrznych, z której nic

nie pamiętam. Ale kiedy widzę w oddali wielki łuk mostu Blue Water, rozpięty na odcinku dwustu sześćdziesięciu metrów aż do Sarni, przestaję odczuwać tę potrzebę, jakbym próbował odzyskać coś, czego nigdy nie posiadałem. „Powinieneś tam kiedyś pojechać – mówi do mnie żona. – To mogłoby być interesujące. Pomoże ci uporządkować pewne sprawy”. Jakbym tego nie zrobił.

Oczywiście nie umknęło mojej uwagi, że mieszkam po drugiej stronie granicy, naprzeciw miejsca, gdzie się urodziłem, gdzie rozpoczęły się diabelskie sprawy Arthura Remlingera i skąd wyruszyli tamci dwaj Amerykanie na spotkanie z losem. W pewnym sensie znaczenie tego faktu przygniata mnie swoim brzemieniem, bo często zastanawiam się nad tym, że mieszkam tutaj i teraz, że w jakiś pokrętny sposób właśnie tak miało być i że to brzemień jest wynikiem konsekwencji. Jakby oczekiwano ode mnie, że będę zasiadać po obu stronach czegoś, choć już nie wierzę w takie rzeczy. Uważam, że to, co widzimy, jest zwykłe prawdziwym stanem rzeczy, i że życie, które otrzymujemy, jest puste. Dlatego choć to wszystko mi ciąży, na tym sprawa się kończy. Ukryte znaczenia po prostu nie istnieją.

Moja matka powiedziała, że będę mieć tysiące poranków, aby się budzić i rozmyślać o wszystkim, gdy nie będzie nikogo, kto mi powie, co czuć. Teraz mam ich za sobą tysiące. Wiem tylko, że mamy większą szansę w życiu – większą szansę przetrwania – jeśli umiemy radzić sobie ze stratą i podporządkowujemy jedne elementy drugim, jak sugerował Ruskin, aby zachować właściwą proporcję i połączyć je w całość, która sprzyja dobru, nawet jeśli, co trzeba przyznać, często trudno je znaleźć. Staramy się, jak powiedziała moja siostra. Staramy się. Wszyscy. Wszyscy się staramy.

Podziękowania

Nikt nie zasłużył na podziękowania bardziej od Kristiny Ford, która mi pomagała i udzielała zachęty, służyła mądrością i radą, okazywała cierpliwość, robiła wszystko, co wymagało zrobienia, dzięki której ta książka została ukończona.

Wiele osób okazało szczodre wsparcie mnie i mojej pracy, szczególnie Dan Halpern, stary przyjaciel, na którego zawsze mogę liczyć. Jestem niezmiernie wdzięczny drogiej Amandzie Urban, która była moją pierwszą czytelniczką spoza rodzinnego kręgu i która zawsze mnie zachęcała. Chcę również podziękować mojej wspaniałej przyjaciółce Janet Henderson, która udzieliła mi nieocenionej pomocy, wprowadzając zmiany redakcyjne i czytając tę książkę w początkowej i końcowej fazie. Dziękuję również Philipowi Klayowi, który chętnie poświęcił swój czas, aby pomóc mi w badaniach poprzedzających pisanie. Składam podziękowania Ellen Lewis, która opowiedziała mi o hagadzie. Jestem wdzięczny Scottowi Sellersowi i Louise Dennys, znakomitym wydawcom, których entuzjazm pomógł mi ukończyć tę książkę. Dziękuję mojej wieloletniej przyjaciółce Alexandrze Pringle oraz Jane Friedman za niezachwianą wiarę w to przedsięwzięcie. Dziękuję również Dale'owi Rohrbaugh, który wspaniałomyślnie wyszedł poza zakres swoich obowiązków i okazał ogromną dobrą wolę, aby doprowadzić tę książkę do fazy końcowej. Jestem wdzięczny moim przyjaciołom z Uniwersytetu Missisipi, którzy zaprosili mnie do siebie i zadbali o to, abym miał cichy kąt do pracy. Dziękuję mojemu przyjacielowi doktorowi Jeffreyowi Karnesowi z Mayo za głębokie zrozumienie osobliwego pisarskiego dylematu. Dziękuję również doktorowi Willowi Dabbsowi za energiczną pomoc, kiedy w końcu okazała się potrzebna.

Pewne książki i pewni pisarze w sposób jawny i bardziej ukryty wywarli na mnie wpływ podczas pracy nad Kanadą. W 1984 roku mój wielki przyjaciel Dave Carpenter zabrał mnie do południowo-zachodniej części prowincji Saskatchewan. Inny przyjaciel, Elliott Leyton, zaprosił mnie na polowanie na gęsi. Guy Vanderhaeghe pięknie opisuje graniczny rejon

Saskatchewan i Montany, podobnie jak wielki Wallace Stenger. Każdy czytelnik dostrzeże również wpływ Williama Maxwella. Wszyscy oni wnieśli wkład do koncepcji tej powieści. Wykorzystałem również dwie książki z historii Saskatchewan – Saskatchewan: A History Johna H. Archera i Saskatchewan: A New History Billa Waisera. Wiele nauczyłem się z wyjątkowej książki Lyndy Shorten Without Reserve, zawierającej wywiady z tamtejszymi mieszkańcami. Pozostawałem pod stałym urokiem i często powracałem do pięknych wspomnień Blake’a Morrisona And When Did You Last See Your Father? Wiele zawdzięczam Rachel Wormsbecher i Lloydowi Begleyowi z Muzeum Swift Current w Saskatchewan oraz Libby Edelson i Laurie McGee, które wykonały korektę rękopisu książki. Mój stary drogi przyjaciel Craig Sterry zapewnił mi schronienie i dom w Great Falls, w którym mogłem pisać. Pisarka Melanie Little przeczytała tę książkę i udzieliła mi niezastąpionych mądrych rad, jak usunąć jej niedociągnięcia. Sarah MacLachlan była od początku gorącą orędowniczką tego pomysłu. Na samym końcu Iris Tupholme i David Kent wyrazili łaskawą zgodę na wydanie Kanady w Kanadzie. Dziękuję każdemu z was.

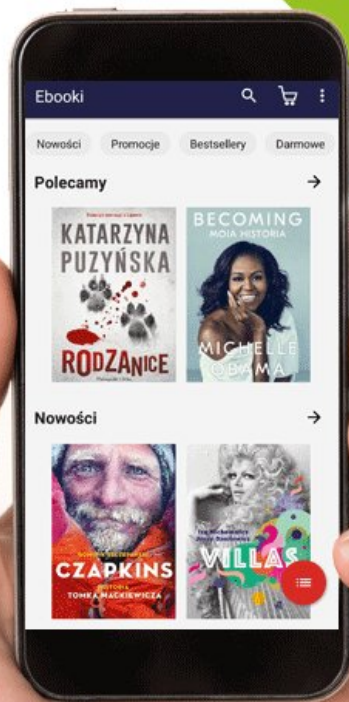
R.F.

Przypisy

- [1] Koszmar (fr.). [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].
- [2] Dupek (fr.).
- [3] Rural Electrification Administration – Agencja Elektryfikacji Terenów Wiejskich.
- [4] Szlak wykorzystywany przez przemytników alkoholu.
- [5] Franklina Delano Roosevelta.
- [6] Amerykańska gra karciana podobna do bezika.
- [7] Future Farmers of America (Przyszli Farmerzy Ameryki) – organizacja powstała w 1928 roku, propagująca rolnictwo wśród młodych osób.
- [8] Amerykańska organizacja młodzieżowa działająca pod egidą Narodowego Instytutu Żywności i Rolnictwa z Departamentu Rolnictwa. 4H, z nazwy oznaczająca w języku angielskim głowę, serce, ręce i zdrowie, nakłania do myślenia i zdobywania wiedzy, działania na rzecz innych, rozwijania nowych umiejętności i życia zdrowo. Główne motto tej organizacji brzmi: „Najlepsze niech będzie jeszcze lepsze”.
- [9] Znudzenie (fr.).
- [10] Fragment wiersza Głupia Jane rozmawia z biskupem, tłum. Ewa Życieńska, w: Poezje wybrane, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987.
- [11] W slangu: przypiec jak skazańca na krześle elektrycznym.
- [12] Fragment wiersza Demokracja, tłum. Julian Tuwim.
- [13] Kanadyjska Królewska Policja Konna.
- [14] Czarne Stopy.
- [15] Wielkie Brzuchy.
- [16] Moja matka (fr.).
- [17] Księga Koheleta 9,10, Nowa Biblia Gdańska, www.biblest.com.pl [dostęp 10.12.2014 r.].
- [18] Ewangelia Reform Socjalnych.
- [19] Królewscy Templariusze Wstrzemięźliwości.
- [20] Kanadyjska Marynarka Wojenna.
- [21] Kredyt Społeczny – kanadyjski ruch polityczny bazujący na koncepcji kredytu społecznego, opracowanej przez Clifforda Douglasa.
- [22] Arthur Rimbaud, Poranek, [w:] tenże, Sezon w piekle. Iluminacje, tłum. Artur Międzyrzecki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.
- [23] Określenie Detroit.
- [24] Trafiony (fr.).
- [25] Trafiony, brawo (fr.).
- [26] Arthur Rimbaud, dz. cyt.



POBIERZ NOWĄ
APLIKACJĘ
NA ANDROIDA



I CZYTAJ,
GDZIE CHCESZ

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
 **Helion SA**